

DAVID FARLAND

WILCZE BRACTWO

PROLOG

W Tal Rimmon w północnej Mystarrii tydzień Hostenfest zaczął się tak samo radośnie jak zawsze.

Pierwszego ranka świąt duch Króla Ziemi wniknął pod dachy domów, gdzie na kuchennych stołach pojawiło się bogactwo słodkich prezentów dla dzieci: plastry miodu, pospolite w Mystarrii nakrapiane brązowo mandarynki, prażone w maśle migdały, mokre jeszcze od porannej rosy kiście soczystych winogron - hojne dary Króla Ziemi dla tych, którzy ukochali jego domenę, symboliczne „owoce lasów i pól”.

O pierwszym brzasku tego dnia dzieci zrywały się niecierpliwie i biegły czym prędzej do kominków i palenisk, gdzie matki zostawiły im podarunki. Dziewczynki mogły znaleźć tam lalki uplecione ze słomy oraz polnych kwiatów, albo i pudełko z małym, rudawym kociątkiem; na chłopców czekały wycięte z jesionu łuki lub grube i wyszywane wełniane płaszcze na zimowe mrozy.

Dzieci śmiały się, rodzice cieszyli się ich radością, a ciepłe niebo nad Tal Rimmon błękitniało tak intensywnie, jakby nic nie słyszało o mającej nadejść jesieni. Lato potrwa wiecznie, obiecywało. Lasy na wzgórzach otaczających miasto stały ciche, bez poszumu drzew.

Gdy drugiego dnia Hostenfest rodzice zamieniali niekiedy półgłosem kilka słów o zdobytej przez wroga twierdzy, mało które dziecko zwracało na to uwagę. Tal Dur leżało daleko na zachodzie, a poza tym diuk Paldane, zwany Łowczym, który sprawował regencję pod nieobecność króla, z pewnością szybko odeprze armię Indhopalu, myślano.

Poza tym, gdziekolwiek spojrzeć, wszystko przypominało o trwającej porze radości. Podłogi zaścielały świeżo wysypane zioła: tawuła, mięta, lawenda, płatki róży. Obok wszystkich drzwi i okien wisały figury Króla Ziemi zapraszające władcę do ludzkich domostw. Minęły już prawie dwa tysiące lat, odkąd Król Ziemi zaczął przewodzić człowieczemu plemieniu. Stare, drewniane rzeźby ukazywały go w zielonym płaszczu podróżnym, z laską w dłoni i koroną dębowych liści na głowie, z białymi królikami i lisami igrającymi u jego stóp.

Figury miały zasadniczo jedynie upamiętniać niegdysiejsze nadejście Króla Ziemi, ale tego dnia liczne starsze kobiety podchodziły do nich, by wyszeptać: „Chroń nas, ziemio”.

Dzieci rzadko to zauważały.

Niemniej wieczorem, gdy do miasta przybył posłaniec z wiadomością, że na północy, w Heredonie, pojawił się nowy Król Ziemi i że nazywa się Gaborn Val Orden, wszyscy mieszkańcy Tal Rimmon wylegli świętować z tej okazji.

Co z tego, że wedle słów owego posłańca wielu władców zginęło właśnie w odległych miastach z rąk żołnierzy Raja Ahtena, który uderzył na królestwa Rofehavenu? Co z tego, że poległ również ojciec Gaborna, stary król Mendellas Val Orden? Najważniejsze, że oto nastał nowy Król Ziemi, cudownym zrządzeniem losu nie kto inny jak prawowity władca Mystarrii.

Młodzi nie posiadali się z dumy, starsi zaś popatrywali po sobie i szepotali: „To będzie długa zima”.

Miecznicy, płatnerze i kowale w całym Tal Rimmon wzięli się zaraz do wykuwania mieczy, młotów, tarcz oraz zbroi dla ludzi i koni. Markiz Broonhurst i inni okoliczni panowie wrócili wcześniej z jesiennego polowania. Przez długie godziny rozprawiali potem w pałacu markiza o ruchach nieprzyjacielskich wojsk, o stosowanej przez Raja Ahtena magii i o tym, że diuk Paldane wzywa pod broń.

Do dzieci i z tego niewiele dotarło, przez co ich radość pozostała niezmacona.

Wszelako w powietrzu wyczuwało się od tego dnia atmosferę trudno uchwytnego niepokoju i podniecenia. Przez cały tydzień młodzieńcy z Tal Rimmon przygotowywali się do turnieju mającego zakończyć obchody Hostenfest. Teraz jednak w oczach ćwiczących pojawiły się dzikie błyski, a gdy około połowy tygodnia zaczęły się pierwsze walki, uczestnicy ruszali do

nich z niezwykłą jak na turniejowe zmagania zaciekłością. Nie zaszczytów już wypatrywali, chcieli zyskać prawo do wzięcia pewnego dnia udziału w bitwie u boku samego Króla Ziemi.

Markiz odnotował zmianę, a na dodatek co rusz powtarzał swoim szlachetnie urodzonym towarzyszom: „Dobre zbiory mamy tego roku. Lepsze niż kiedykolwiek za mojej pamięci”. I miał rację.

Krótko później niebo pociemniało i nad miastem rozszalała się popołudniowa burza. Dzieci pochowały się pod kołdrami, bezpieczne razem z rodzicami. W nocy nadjechało ze wschodu pięciuset potężnych Władców Runów. Odpowiedzieli na wezwanie diuka Paldane’a, by wspomóc obronę Carris, największego zamku w zachodniej Mystarii. Wedle ostatnich meldunków Wilczy Władca, dotąd wycofujący się ku swojemu ojczystemu Indhopalowi, skierował się nagle na południe, ku sercu Mystarii.

Markiz Broonhurst nie miał gdzie przenocować tyłu władców wraz z ich oddziałami, toteż wielu przeczekiwało burzę w salach pałacu albo w zajazdach poza zamkiem. Wszędzie rozprawiano nieustannie, jak najlepiej odeprzeć wrogą inwazję.

Armie Raja Ahtena zajęły już trzy przygraniczne fortece, a co gorsza, sam Wilk zebrał dary od prawie dwudziestu tysięcy ludzi. Dzięki ich krzepie, siłom życiowym, mądrości i zwinności stawał się coraz groźniejszym wojownikiem, któremu nikt nie miał szansy dorównać w polu. Marzyło mu się, by zostać Sumą Wszystkich Ludzi, istotą wedle dawnych legend nieśmiertelną. Niektórzy obawiali się, że już teraz nie sposób go zabić.

Na dodatek przyjął już tyle darów urody, że piękno jego oblicza przyćmiewało słońce. Gdy obiegł miasto Sylvarresta w Heredonie, setki mil na północ, obrońcy tylko raz spojrzeli mu w twarz i zaraz cisnęli broń z murów, by powitać nowego pana. W zamku Longmot zaś użył podobno swego potężnego, przenikliwego głosu i to starczyłoby skruszyć kamienne mury. Rozsypały się niczym kryształ podczas występu mistrza pieśni.

Było już blisko świtu, gdy Raj Ahten uderzył na Tal Rimmon.

Pojawił się, ciągnąc mały wózek z cebulą, głowę okrył przed deszczem połą znoszonego płaszcza. Strażnicy w bramie nie zwrócili na niego większej uwagi, bo niejedyn wieśniak przybywał tej nocy do miasta. Miast kontrolować przechodzących, skryli się zresztą pod okapem przed warsztatem tkackim.

Raj Ahten zatrzymał się i zaintonował pieśń bez słów. Od jego gardłowego pomruku kamienne mury Tal Rimmon zawibrowały zaraz tak przenikliwie, że ludzi wkoło aż rozboleły uszy.

Strażnicy poczuli się tak, jakby im kto szerszeni nawpuszczał pod hełmy, i klnąc rozgłośnie, sięgnęli po broń. Kilku chłopów przechodzących akurat obok Raja Ahtena objęło dłońmi pulsujące bólem głowy, ale zaraz pomdleli i padli martwi, ze skruszonymi czaszkami.

Po chwili wieże Tal Rimmon zadrżały w posadach i zaczęły z nich odpryskiwać kawały murarki, jakby kto w nie walił taranem. Nie trwało długo, a mury popękały i rozpadły się niczym uderzone brzymią pięścią.

Raj Ahten uniósł głos o parę oktaw i pociągnął pieśń, aż i wieże runęły, a pałac zapadł się w sobie pośród pojękiwania drewnianych belek stropowych.

Obecni w środku Władcy Runów zginęli przygnieceni kamieniami. Z popękanych lamp na połamane drewno oraz tapiserie trysnęła oliwa i większość budowli stanęła w płomieniach.

Żaden zwykły śmiertelnik nie miał szans podejść do Raja Ahtena na odległość wystarczającą do zadania ciosu. Dwóch Władców Runów z dużą ilością sił życiowych wybiegło z ruin zajazdu i zaraz go zaatakowało, jednak chociaż oparli się Głosowi, nie byli dość szybcy. Raj Ahten w mgnieniu oka rozplatał obu sztyletem.

Gdy zamkowe mury, pałac i niemal wszystkie budynki wokół rynku legły w gruzach, Raj Ahten odwrócił się i zniknął w ciemnych uliczkach.

Parę chwil później wrócił do wspaniałego rumaka uwiązane go za stodołę u stóp niskiego wzgórza. Obok czekały dwa tuziny niezwycięzonych.

Tkacz płomieni imieniem Rahjim siedział na grzbiecie swego karosza i patrzył łakomie na słupy ognia bijące ku niebu z ruin Tal Rimmon. Tej nocy Raj Ahten zniszczył już dwie warownie, ta była trzecia. Tkacz płomieni wciągnął z rozkoszą powietrze, smugi dymu wydobyły mu się z ust, nienaturalny blask zapalił się w oczach. Czarownik był bezwłosy, nie miał nawet brwi.

- Dokąd teraz, o Najjaśniejszy? - spytał.

- Do Carris - odparł Raj Ahten, przysuwając się na tyle blisko maga, że poczuł gorąco bijące od jego suchej skóry.

- Nie do Tide? - zdumiał się Rahjim. - Moglibyśmy zniszczyć ośrodek ich władzy, zanim dowiedzieliby się o grożącym im niebezpieczeństwie!

- Carris - powtórzył z naciskiem Raj Ahten, zdecydowany zignorować argumenty tkacza płomieni. Nie chciał jeszcze unicestwić Mystarii. Nie teraz, gdy król tego kraju krył się na północy, w Heredonie, bezpieczny w ostępach Mrocznej Puszczy chronionej przez duchy jego przodków.

- Zburzenie Tide byłoby dla nich wielkim ciosem - nalegał Rahjim.

- Ale tego nie zrobię - szepnął lodowatym tonem Raj Ahten. - Jeśli nie zostawię tu niczego wartego obrony, chłopak nigdy nie wróci do Mystarii.

Raj Ahten wskoczył na grzbiet swego wierzchowca, ale nie ruszył od razu w kierunku Carris. Spojrzał na rozjaśniającą okolicę pożar Tal Rimmon. Spod chmury dymu dobiegał płacz dzieci, krzyki ludzi próbujących zlewać płonące domy wodą i wyciągać rannych spod ruin.

Odblask płomieni długo tańczył w czarnych oczach Wilka.

MIESIĄCA ŻNIW

DZIEŃ WYBORÓW

1

GŁOSY MYSZY

Król Gaborn Val Orden wracał do zamku Sylvarresta na ucztę, kończącą ostatni dzień święta Hostenfest, gdy nagle wstrzymał konia i spojrzał uważnie na drogę do wzgórz Durkin.

Tutaj, trzy mile przed miastem, drzewa Mrocznej Puszczy odsuwały się od traktu. Wzeszło właśnie słońce malowało srebrem wzgórz na wschodzie, bezlistne dęby naznaczały drogę smugami cienia.

W plamie porannego blasku na samym zakręcie Gaborn dostrzegł trzy duże zające. Jeden stał jakby na straży i co chwila zerkał na drogę, nastawiając wielkie uszy, podczas gdy drugi skubał złocisty nostrzyk, który rósł na poboczu. Trzeci zając kicał bezmyślnie tu i tam, obwąchując świeżo opadłe, brunatne liście.

Wprawdzie zające były o sto jardów, Gaborn jednak widział je nader wyraźnie. Trzy ostatnie dni spędził w mrocznych podziemiach i zmysły miał wciąż wyczulone. Światło poranka wydawało się jaśniejsze niż kiedykolwiek, pieśń ptaka głośniejsza i wyraźniej brzmiała w uszach. Nawet łagodny wiatr znad wzgórz jakoś inaczej owiewał mu twarz.

- Czekać - powiedział do czarnoksiężnika Binnesmana. Sięgnął po przytroczone z tyłu siodła łuk i kołczan i rzucił ostrzegawcze spojrzenie swojemu Dziennikowi, chudemu jak szkielet uczonemu, który towarzyszył mu od dzieciństwa.

Byli we trzech sami na drodze. Sir Borenson został z tyłu wraz ze swym trofeum myśliwskim, Gabornowi zaś spieszyło się do poślubionej właśnie kobiety.

- Zające, sire? - zmarszczył brwi Binnesman. - Jesteś Królem Ziemi. Co ludzie powiedzą?

- Sza - szepnął Gaborn, wyciągając ostatnią strzałę z kołczana, ale nagle uznał, że Binnesman ma rację. Gaborn był Królem Ziemi i jeśli już miał wrócić z polowania z jakąś zwierzyną, to raczej z porządnym dzikiem niż z zającem. Zwłaszcza że sir Borenson powalił maga raubenów i ciągnął właśnie jego głowę do miasta.

Przez dwa tysiące lat mieszkańcy Rofehavanu wypatrywali nadejścia Króla Ziemi. Co roku ostatni dzień Hostenfest, dzień wielkiej uczty, miał przypominać o obietnicy Króla Ziemi, jego gotowości do obdarowywania ludzi „owocami lasów i pól”.

W zeszłym tygodniu Duch Ziemi ukoronował Gaborna i postawił go na straży losu rodu człowieczego w nadciągających ciężkich czasach. Ostatnie trzy dni upłynęły mu na zacieklej walce; łeb maga raubenów był po części i jego trofeum. Jego, Borensona i Binnesmana. Niemniej gdyby dostarczył na świąteczny stół tylko małego zajączka, kpinom i śmiechom zapewne nie byłoby końca.

A niech się potem komedianci bawią, pomyślał i zeskoczył z konia.

- Zostań - szepnął do wierzchowca, wspaniałego zwierzęcia ze szramami od runów na karku. Rumak spojrzał na niego ze zrozumieniem i nie odezwał się, nawet gdy Gaborn oparł łuk o ziemię, przygiął go nogą i nałożył cięciwę na wyłobienie.

Król sprawdził szare lotki z gęsich piór i osadził strzałę na cięciwie. Pochylony zaczął skradać się poboczem porośniętym wybujałymi krzewami o ciemnopurpurowych kwiatach. Zające wciąż były w pełnym słońcu, zatem dopóki pozostanie w cieniu, nie powinny go dostrzec. Wyczuć zresztą też nie, bo wiatr wiał mu w twarz. Obejrzał się: Binnesman i Dziennik zostali w siodłach.

Znów ruszył błotnistym poboczem. Chociaż zwierzyna, którą podchodził, niewątpliwie należała do drobniejszych, Gaborna zaczęło ogarniać zdenerwowanie. Odczuwał słabo coś jakby narastające z wolna poczucie zagrożenia. Nie zdziwił się: pośród umiejętności, którymi

obdarzyła go niedawno ziemia, była i zdolność rozpoznawania zagrożeń zawisłych nad tymi, których wybrał.

Ledwie tydzień wcześniej czuł, jak śmierć osacza jego ojca, i nie mógł temu nijak zaradzić. Zeszłej nocy ta sama zdolność ocaliła mu życie, gdy grupa raubenów próbowała w podziemiu wciągnąć myśliwych w zasadzkę.

Niewyraźnie przeczuwał jakieś niebezpieczeństwo. Śmierć próbowała go podejść tak samo, jak on podchodził te zające.

Jedyną słabą stroną owego przeczucia było to, że nie wskazywało źródła niebezpieczeństwa. Mogło chodzić o cokolwiek: napaść oszalałego poddanego czy szarżę myszującego dzika. Gaborn podejrzewał jednak, że ma to związek z Rajem Ahtenem, Wilczym Władcą Indhopalu, człowiekiem, który zgładził jego ojca.

Kurierzy na koniach z darami przywieźli dopiero co nowiny o spustoszeniach, które Raj Ahten poczynił w Mystarrii, ojczyźnie Ordenów. Stryjeczny dziadek Gaborna, diuk Paldane, zaczął zbierać oddziały, by stawić czoło zagrożeniu. Paldane był wiekowym mężem, ale uchodził za urodzonego stratega. Miał też kilka darów rozumu. Ojciec Gaborna ufał mu bez reszty i często wysyłał z wyprawami karnymi wobec nazbyt pysznych władców lub band rozbójników. Dzięki niezmiennie odnoszonym sukcesom zwany był Łowczym, a czasem nawet Ogarem. Budził lęk w całym Rofehavanie i gdyby ktokolwiek mógł się ośmielić mierzyć na zdolności umysłu z Rajem Ahtenem, to właśnie on.

Nie należało oczekiwać, by Raj Ahten zawrócił na północ, bo ryzykowałby ponownie spotkanie z mocami drzemiącymi w Mroczej Puszczy, jednak niebezpieczeństwo nadciągało, Gaborn był już tego pewien. Cicho jak upiór zrobił kolejny krok po zaschłym błocie.

Gdy jednak dotarł do zakrętu, zajęcy już tam nie było. Usłyszał wprawdzie szelest dobiegający z trawy obok drogi, ale musiała to być raczej mysz szukająca czegoś pod suchymi liśćmi.

Przez chwilę Gaborn stał tylko i zastanawiał się, jak mogło do tego dojść. Ach, ziemio, pomyślał, zwracając się ku mocy, której służył, nie mogłabyś przysłać mi tu z lasu chociaż jelonka?

Ale nie doczekał się odpowiedzi. Jak zwykle.

Niebawem nadjechali stępa Dziennik z Binnesmanem. Ten pierwszy wiódł ciemnokasztanową klacz Gaborna.

- Jakież płochliwe dziś te zające - zauważył Binnesman z uśmiechem, jakby zadowolony. Poranne światło uwyraźniło zmarszczki na jego twarzy, dodało rdzawych odcieni jego szatom. Tydzień wcześniej czarnoksiężnik utracił część swych sił życiowych, tworząc dziką, istotę związaną z ziemskimi mocami. Wcześniej włosy miał ciemne, a szaty nosił zielone jak liście pod koniec lata. Potem jego strój zmienił barwę, sam zaś Strażnik Ziemi postarzał się w ciągu paru dni o kilkadziesiąt lat. Co gorsza, dzika, którą wezwał z głębi ziemi, oddaliła się gdzieś i zaginęła.

- W samej rzeczy płochliwe - zauważył podejrzliwie Gaborn. Jako Strażnik Ziemi Binnesman starał się służyć swej patronce, chroniąc tak ludzi, jak i wszelkie myszy czy zmijsze. Gaborn zastanawiał się, czy Binnesman nie ostrzegł zajęcy jakimś dyskretnym sposobem, zaklęciem czy gestem.

- Powiedziałbym, że nawet bardziej niż płochliwe - mruknął Gaborn, wskakując na siodło. Nie schował jednak strzały, nie zdjął jej nawet z cięciwy. Byli już blisko miasta, jednak przecież i teraz mógł się przy drodze pojawić jakiś jelen, może nawet taki stary, z porożem rozłożystym jak ramiona dorosłego męża. Mógłby zejść z gór, by podejść przed śmiercią słodkich jabłek z tutejszych sadów.

Gaborn obejrzał się na Binnesmana. Czarnoksiężnik wciąż uśmiechał się tajemniczo, jednak trudno było orzec, co się za tym kryje. Przekora czy zaniepokojenie?

- Cieszy cię, że uszły mi te zające? - spytał wprost Gaborn.

- Nic by ci z nich nie przyszło, mój panie - powiedział Binnesman. - Mój ojciec był oberżystą. Mawiał, że ludzi o zmiennym umyśle nic nie zadowala.

- A co to ma do rzeczy?

- Bacz, na jaką zwierzynę polujesz, mój panie. Gdy tropisz raubena, nie pobiegiesz za zającem. Ogarom też nie pozwolisz go ścigać. Wręcz nie powinienes.

- Aha - mruknął Gaborn, zastanawiając się, czy czarnoksiężnik tylko to miał na myśli.

- Poza tym mag raubenów okazał się trudniejszym przeciwnikiem, niż oczekiwaliśmy.

Gaborn pomyślał z goryczą, że Binnesman ma rację. Pomimo że połączyli swe siły, Król Ziemi i Strażnik Ziemi stracili w tej walce czterdziestu jeden świetnych rycerzy. Prócz ich obu oraz sir Borensona jeszcze tylko dziewięciu uszło żywych z masakry. Wysoka cena. Tamci ocaleni woleli zostać ze zdobyczą i wraz z Binnesmanem konwojowali głowę raubena do miasta.

- Nie wiedziałem, że czarnoksiężnicy mają ojców - powiedział Gaborn, zmieniając temat. - Opowiedz mi o swoim.

- Niezbyt go pamiętam. To było tak dawno. Po prawdzie powiedziałem już chyba wszystko, co mogłem.

- Na pewno pamiętasz coś więcej - nalegał Gaborn. - Im lepiej cię poznaję, tym bardziej nie jestem skłonny ci wierzyć. - Nie wiedział, ile setek lat dane było przeżyć czarnoksiężnikowi, jednak był pewien, że Binnesman miałby o czym opowiadać.

- Masz rację, mój panie. Nie miałem ojca. Jak wszyscy Strażnicy Ziemi, z niej się właśnie zrodziłem. Ktoś ukształtował moją postać z błota, a potem ja dokończyłem jego dzieło zgodnie z własną wolą - stwierdził Binnesman i uniósł tajemniczo brew.

Gaborn spojrział na czarnoksiężnika; coś mu podpowiadało, że słyszy słowa o wiele prawdziwsze, niżby można sądzić. Ale to była tylko chwila.

- Dobry z ciebie bazarz! - roześmiał się. - Słowo daję, sztukę z tego uczyniłeś!

- Nie ja pierwszy. - Binnesman uśmiechnął się. - Doskonałą tylko cudze wynalazki.

W tejże chwili dał się słyszeć gromowy tętent wierzchowca zbliżającego się drogą od południa. Był to szybki koń, z trzema albo i czterema darami metabolizmu; przemykał przez plamy cienia, migocząc w słońcu bielą sierści. Jeździec nosił barwy Mysterii, podobiznę zielonego męża na błękitnym polu.

Posłaniec nie zwolnił aż do chwili, gdy Gaborn uniósł dłoń i zakrzyknął na niego; dopiero wtedy poznał króla, który nie nosił akurat żadnych szczególnych szat poza poplamionym podróznym płaszczem.

- Wasza wysokość! - zawołał mężczyzna i sięgnął do skórzanej torby przy pasie. Wydobył z niej mały zwój opieczętowany czerwonym woskiem z odciskiem sygnetu diuka Paldane'a.

Gaborn otworzył list. W miarę jak czytał, oddech mu przyspieszał, twarz czerwieniała.

- Raj Ahten ruszył na południe przez Mysterię - powiedział do Binnesmana. - Zburzył fortece w Gorlane, Aravelle i Tal Rimmon. Tyle zrobił do świtu dwa dni temu. Paldane donosi też, że jego ludzie wspomagani przez wolnych rycerzy dali Ahtenowi niezłą nauczkę. Łucznicy urządzili zasadzkę na jego wojska. Od wioski Dzikogłowy do Gower można przejść po ciałach poległych.

Reszty wieści Gaborn nie śmiał zrelacjonować. Paldane niezwykle szczegółowo donosił o stratach przeciwnika (36 909 ludzi), które dotknęły głównie zwykłe oddziały rekrutujące się z Fleeds. Podawał też, ile zużyto strzał (702 000), ilu obrońców poległo (1274), ilu było rannych (4951), ile utracono koni (3207) oraz ile broni, złota i koni zdobyto. Dalej opisywał ruchy przeciwnika i obecny stan własnych wojsk. Siły Ahtena odstępowały od Crayden, Fells i Tal Dur i kierowały się na Carris. Paldane wzmacniał załogę tej ostatniej potężnej fortecy, przekonany, że Raj Ahten spróbuje ją raczej zdobyć niż zniszczyć.

Gaborn skończył lekturę i pokręcił z niedowierzaniem głową. Raj Ahten zaczął wojnę na wyniszczenie, Paldane odplacił mu tą samą monetą. To były złe wieści.

Ostatnie słowa listu brzmiały: „bez wątpienia Wilczy Władca Indhopalu zamierza wciągnąć cię, panie, w ten konflikt. Nadwreżył siły broniące północnej granicy, byś nie mógł pociągnąć stamtąd w razie potrzeby ze świeżymi wojskami na południe. Błagam cię, pozostań w Heredonie. Pozwól, by Łowczy sam zaprowadził porządek”.

Gaborn zwinął zwój i schował go do kieszeni. To szaleństwo, pomyślał. Mam siedzieć tutaj, tysiąc mil od Mysterrii, podczas gdy moi ludzie giną, a ja dowiaduję się o tym z parodniowym opóźnieniem. Niewiele mógłby zdziałać, żeby powstrzymać Raja Ahtena, ale gdyby wieści docierały szybciej...

Spojrzał na posłańca, młodzieńca z kręconymi brązowymi włosami i czystymi błękitnymi oczami. Nieraz widywał go już na dworze. Używając daru widzenia, spróbował wejrzeć głębiej w jego serce. Jeździec był mężczyzną dumnym, wielce cenił sobie zarówno swą obecną pozycję, jak i umiejętności jeździeckie. Był odważny i nie bał się ryzyka, w razie potrzeby postawiłby na szali własne życie, aby nie zawieść swego pana. Tuzin dziewcząt z różnych zajazdów Mysterrii kochał się w nim na zabój, bo nie skąpił im ani napiwków, ani całusów, lecz sam był rozdarty, gdyż pałał miłością do dwóch całkiem odmiennych charakterami kobiet.

Gabornowi niezbyt się to wszystko spodobało, ale nie widział też żadnego powodu, dla którego nie miałby wybrać młodego człowieka. Potrzebował podobnych mu sług, zaufanych posłańców. Uniósł prawą dłoń, spojrzał chłopakowi w oczy i wyszeptał:

- Wybieram cię dla ziemi. Odpocznij teraz po drodze, ale chcę, byś dzisiaj jeszcze wyruszył z powrotem do Carris. Mam już tam jednego wybranego posłańca. Jeśli wyczuję zagrożające wam obu niebezpieczeństwo, będę wiedział, że Raj Ahten zamierza zaatakować miasto. Gdybyś usłyszał kiedykolwiek w myślach mój głos, który będzie cię ostrzegał, bądź mu posłuszny.

- Nie śmiem odpoczywać, wasza wysokość, gdy Carris jest zagrożone - powiedział młodzieniec i ku zadowoleniu Gaborna skierował wierzchowca na południe. Kilka chwil później tylko kurz unoszący się nad traktem świadczył, że posłaniec w ogóle pojawił się w Heredonie.

Gaborn zamyślił się głęboko, co czynić. Wiedział, że będzie musiał przekazać te ponure wieści swym heredońskim poddanym.

Słońce wschodziło coraz wyżej. Gaborn poczuł nagle, że musi pogonić konia. Wbił pięty w boki wierzchowca i pomknęli po ocienionej drzewami drodze. Rumak Binnesmana bez trudu utrzymał się tuż za nim, biały muł Dziennika musiał się jednak naprawdę postarać, by nie zostać zbyt daleko z tyłu. W końcu dotarli do łagodnego zakrętu szlaku na szczycie wzgórza, skąd roztaczał się widok na zamek Sylvarresta.

Gaborn ściągnął wodze. Zdumiony czarnoksiężnik zatrzymał się tuż obok. Zamek Sylvarresta stał na niskim wzgórzu nad zakolem rzeki Wye. Wokół jego wysokich murów i wież przycupnęło warowne miasto, a za murami miejskimi rozciągały się zwykle puste pola z rozrzuconymi gdzieniegdzie stogami, sadami, chłopskimi chatami i stodołami.

Niemniej w ciągu ostatniego tygodnia, w miarę jak rozchodziły się wieści o nadejściu nowego Króla Ziemi, z całego Heredonu, a także spoza jego granic, zaczęli ściągać do zamku Sylvarresta najróżniejsi szlachetnie i nieszlachetnie urodzeni. Gaborn przeczuwał, co ujrzy. Pola przed zamkiem zostały wypalone podczas najazdu Raja Ahtena, jednak nie straszyły już czernią, gdyż stały na nich niezliczone namioty. Niektóre należały do wieśniaków, wiele jednak miało barwy władców i rycerzy z całego Heredonu. Była to część tych wojsk, które wyruszyły z odsieczą na wieść o najeździe, ale przybyły za późno, by w czymkolwiek pomóc. W tłumie wyróżniały się proporce Orwynne, Crowthenu Północnego, Fleeds, znaki kupieckich książąt z Lysle, a na jednym z pagórków rozłożyły się obozem tysiące kupców z Indhopalu. Przepędzeni wcześniej przez króla Sylvarrestę, teraz wrócili czym prędzej, by na własne oczy ujrzeć cud nad cudami: nowego Króla Ziemi.

Pola wciąż zatem ciemniały, ale nie od popiołu, ale od ciżby setek tysięcy ludzi i zwierząt.

- Na Moce - mruknął Gaborn. - Przez ostatnie trzy dni zrobiło się ich chyba ze cztery razy więcej. Kilka dni stracę, nim dobioreę sobie ludzi spośród nich.

Ponad dymami z ognisk pobrzmiwała odległa muzyka. Rozległ się trzask kopii, potem krzyki i wiwaty. Binnesman stanął w strzemionach, by lepiej widzieć. W tej samej chwili dotarł na szczyt wzgórza Dziennik. Wszystkie trzy wierzchowce dyszały ciężko po biegu.

Uwagę Gaborna przykuło co innego: tysiące szpaków krążących ponad doliną niczym żywa chmura. Stado kierowało się to tu, to tam, wznosiło się, nurkowało jakby ze szczętem zagubione, poszukujące miejsca do lądowania i nie znajdujące bezpiecznego zakątka. Szpaki często zbijały się jesienią w podobnie wielkie chmary, jednak te ptaki wydawały się czymś wystraszone.

Słychać było też klangor dzikich gęsi. Gaborn przesunął wzrokiem wzdłuż nurtu rzeki wijącej się przez zielone pola niczym srebrzysta nić. Tysiąc jardów ponad wodą, w odległości paru mil, przesuwał się w dół rzeki klucz tych ptaków. Trudno było orzec, czemu właściwie odzywały się tak gromko.

Binnesman wyprostował się w siodle i spojrzał na Gaborna.

- Słyszysz to samo, prawda? Czujesz to całym sobą.

- Co? - spytał Gaborn.

Dziennik odchrząknął, jakby chciał o coś spytać, ale nic nie powiedział. Historyk rzadko się odzywał: słudzy Władców Czasu nie mieli prawa wtrącać się do spraw zwykłych ludzi. Niemniej Dziennik i tak był wyraźnie czegoś ciekaw.

- Ziemia do nas przemawia - wyjaśnił Binnesman. - Do ciebie i do mnie.

- I co mówi?

- Jeszcze nie wiem - odparł szczerze Strażnik Ziemi. Poglądził dłonią brodę, zmarszczył brwi. - Ale tak właśnie zwykle zwraca się do mnie: niespokojnym tańcem królików i myszy, płochliwym lotem stad ptactwa, krzykiem gęsi. Teraz szepcze też do Króla Ziemi. Rośniesz, Gabornie, rośniesz w siłę.

Młodzieniec przyjrzał się Binnesmanowi. Skóra czarnoksiężnika pociemniała rudawo i była obecnie niewiele jaśniejsza od jego workowatej szaty. Pachniał trzymanymi w przepastnych kieszeniach ziołami: kwiatem lipy, miętą, ogórecznikiem, fiołkami, bazylią i tysiącem innych roślin. Gdyby nie skupiona, znamionująca wielką mądrość twarz, wyglądałby na zwykłego, dziedzinniałego staruszka.

- Zajmę się tym - zapewnił Gaborna. - Wieczorem dowiem się więcej.

Gaborn jednak nie potrafił przestać myśleć o zagrożeniach. Najchętniej od razu zwołałby radę wojenną, ale nie śmiał tego robić, jak długo nie wiedział, przed czym właściwie ziemia go ostrzega.

Trzech jeźdźców skierowało się ku głębokiemu wąwozowi pomiędzy opalonymi na czarno stokami wzgórz.

U stóp jednego z nich Gaborn ujrzał siedzącą na poboczu starą kobietę otuloną kocem. Gdy konie ją mijaly, uniosła głowę, a Gaborn zauważył, że wcale nie jest stara. Wręcz przeciwnie. Po chwili ją poznał.

Widział ją tydzień wcześniej, gdy prowadził swoją „armię” z zamku Groverman do Longmot. Armia składała się z dwustu tysięcy sztuk bydła gnanych przez wieśniaków, kobiety, dzieci i garstkę starych żołnierzy. Wzbity niezliczonymi kopytami kurz zawisł nad równiną na tyle wysoko, że nawet Raj Ahten dał się zmylić. Myślał, że ma przed sobą wyćwiczone wojsko. Gaborn był pewien, że gdyby Wilk przejrzał podstęp, jedynie dla zemsty wygubiłby wszystkich, nawet kobiety i dzieci. Dziewczyna siedząca u stóp wzgórza też była w tej gromadzie. Podczas marszu w jednej ręce dźwigała ciężki sztandar, w drugiej niosła małe dziecko.

Okazała się dzielnością i zdecydowaniem. Gaborn chętnie przyjmował pomoc ludzi jej podobnych. Teraz jednak zdumiał się, jak zwykła wieśniaczka, nie mająca zapewne konia,

zdołała przebyć w ciągu tygodnia ponad dwieście mil dzielących Longmot od zamku Sylvarresta.

- Wasza wysokość - powiedziała dziewczyna, skłaniając dwornie głowę.

Gaborn zrozumiał, że czekała tu na niego, czekała, aż będzie wracał z polowania. Opuścił zamek Sylvarresta na całe trzy dni. Ciekawe, jak długo tu już tkwiła...

Wstała i dopiero teraz dało się zauważyć, że stopy ma czarne od ziemi. Bez wątplenia przybyła z Longmot pieszo. Na prawej ręce kołysała niemowlę. Wstając, wsunęła dłoń pod koc, by wyjąć sutek z ust dziecka, i okryła się jak należy.

Wielu możnych przybywało do króla po zwycięskiej walce, szukając nagrody, jednak pospólstwo rzadko się na to decydowało. Niemniej ta dziewczyna chciała czegoś. Bardzo jej na czymś zależało.

- Molly? - spytał z uśmiechem Binnesman. - Molly Drinkham? To ty?

Czarnoksiężnik zsiadł z konia i podszedł do niej. Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało.

- Tak, to ja.

- Pozwól, że spojrzę na twoje dziecko - mruknął Binnesman, biorąc od niej niemowlę. Było czarnowłose i nie miało więcej niż dwa miesiące. Przycisnęło piąstkę do ust i ssało ją energicznie z zamkniętymi oczami. - Skóra zdarta z ojca - cmoknął Strażnik Ziemi. - Wspaniale. Verrin byłby dumny. Ale co ty tu robisz?

- Przybyłam zobaczyć się z Królem Ziemi.

- Skoro tak, to masz go przed sobą. - Binnesman zwrócił się do Gaborna. - Wasza wysokość, to jest Molly Drinkham, w swoim czasie mieszkanka zamku Sylvarresta.

Molly zamarła nagle i pobladła, jakby przerażona. Czyżby paraliżowała ją myśl, że ma przemówić do władcy? A może obawia się odezwać do Króla Ziemi? zastanowił się Gaborn.

- Błagam o wybaczenie, panie - zaczęła piskliwie dziewczyna. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam... jest bardzo wcześnie... Zapewne mnie nie pamiętasz...

Gaborn zeskoczył z konia, by nie patrzeć na Molly z wysokości siodła. Chciał ją jakoś uspokoić.

- Nie przeszkadzasz mi - powiedział łagodnie. - Długą drogę przeszłaś z Longmot. Pamiętam, że mnie wsparłaś. Jakaś wielka potrzeba musiała przygnać cię aż tutaj, zatem słucham.

Dziewczyna skinęła głową.

- No bo tak, myślałam...

- Śmiało - rzucił Gaborn, zerkając na Dziennika.

- Nie zawsze byłam tylko pomywaczką u diuka Grovermana. Mój ojciec dbał o stajnie króla Sylvarresty i mieszkałam w zamku. Zrobiłam jednak coś, przez co okryłam się hańbą, i ojciec odesłał mnie na południe. - Spojrzała na dziecko, które najwyraźniej było nieślubne. - Wyruszyłam z wami w zeszłym tygodniu, bo wiem, że jeśli jesteś, panie, Królem Ziemi, to władasz tymi samymi mocami co Erden Geboren. To właśnie czyni Króla Ziemi.

- Gdzie to słyszałaś? - spytał wyraźnie przejęty Gaborn. Przestraszył się nagle, że dziewczyna zażąda czegoś niemożliwego. Czyny Erdena Geborena z dawna obrosły w legendę.

- Od Binnesmana - odparła Molly. - Pomagałam mu suszyć zioła, a on opowiadał mi różne historie. I wiem, że skoro jesteś, wasza wysokość, Królem Ziemi, to nadchodzą ciężkie czasy, a ziemia dała ci moc wybierania. Wybierania tych, którzy będą walczyć u twego boku i których będziesz chronił. Erden Geboren zawsze wiedział, kiedy ktoś z jego wybrańców znalazł się w niebezpieczeństwie i ostrzegał ich głosem serca i myślami. Ty, panie, na pewno potrafiśz to samo.

Gaborn wiedział już, czego ona chce. Miał ją wybrać, aby mogła znów normalnie żyć. Spojrzał na nią uważnie i zobaczył o wiele więcej niż tylko krągłą twarz i zgrabną sylwetkę pod brudnym płaszczem, więcej niż długie ciemne włosy, ściągniętą niepokojem twarz i błękitne oczy. Użył swego daru, by wejrzeć w głębie jej duszy.

Znalazł w niej umiłowanie do zamku Sylvarresta i wspomnienia o straconej tam niewinności, miłość do stajennego imieniem Verrin, który zmarł kopnięty przez konia. Ujrzał rozczarowanie pracą, jaką musiała wykonywać w zamku Groverman. Niewiele chciała od życia. Tylko żeby móc wrócić do domu, pokazać dziecko matce, znów być tam, gdzie ją kochano. Nie dostrzegł w dziewczynie zdrady ani okrucieństwa. Nade wszystko była dumna ze swego syna i kochała go gorąco.

Z całą pewnością nie dojrzał wszystkiego; wiedział, że gdyby mógł godzinami badać jej serce, w końcu dowiedziałby się o niej więcej, niż ona sama potrafiłaby powiedzieć. Jednak nie miał tyle czasu, a te kilka chwil i tak pozwoliło mu poznać najważniejsze.

Po chwili, całkiem już spokojny, uniósł lewą rękę.

- Molly Drinkham - zaintonował łagodnie formułę. - Wybieram cię. Wybieram, aby cię chronić w mrocznych czasach, które nas czekają. Gdybyś kiedyś usłyszała sercem lub w myślach mój głos, posłuchaj go. Będę cię chronił, ile starczy mi sił.

Ledwie się dokonało, zaraz Gaborn poczuł siłę zaklęcia, poczuł łączącą go z dziewczyną nową więź i wiedział, że jeśli ona tylko znajdzie się w niebezpieczeństwie, zaraz będzie o tym wiedział.

Molly też musiała to poczuć, bo oczy jej się rozszerzyły, a twarz okryła rumieńcem zakłopotania. Opadła na kolano.

- Nie, wasza wysokość, źle mnie zrozumiałeś! - zakrzyknęła, unosząc niemowlę wyżej na rękach. Piąstka wysunęła się z ust, niemniej chłopiec zdawał się spać. Nic mu nie przeszkadzało. - Chcę, żebyś jego wybrał, tak aby pewnego dnia został jednym z twoich rycerzy!

Gaborn spojrzał na dziecko. Z trudem opanował irytację. Dziewczyna musiała wychować się na opowieściach o wielkich czynach Erdena Geborena i oczekiwała po Królu Ziemi więcej, niż należało. Nie pojmowała, że moc Gaborna też ma granice.

- Nie rozumiesz - spróbował wyjaśnić sprawę. - To nie takie łatwe. Moi wrogowie wiedzą, kogo wybieram, a ja nie toczę wojny z ludźmi czy raubenami, ale z nieuchwytnymi mocami, które nimi kierują. Mój wybór naraża na wielkie niebezpieczeństwo, bo chociaż mogę oczywiście zdążyć wysłać ci wsparcie, to nie raz i nie dwa będziesz musiała radzić sobie sama. Moje siły są zbyt skromne, a moi wrogowie nazbyt liczni. Aby pomóc mi zażegnać niebezpieczeństwo, musisz najpierw nauczyć się bronić siebie. Dziecka wybrać nie mogę! Nie mogę wystawić go na podobne zagrożenie. Ono nie umie się bronić!

- Ale potrzebuje kogoś, kto by je chronił - powiedziała Molly. Spojrzała na Binnesmana, potem na Dziennika. Przypominała spłoszoną fretkę czającą się w rogu kuchni i wypatrującą drogi ucieczki.

- Prosisz, abym gdy twój syn dorośnie, przyjął go w szereg moich rycerzy - odezwał się przez ściśnięte gardło Gaborn. - Wątpię, czy pożyję tak długo! Nadciągają mroczne czasy, najcięższe lata w historii tego świata. Jeszcze tylko kilka miesięcy, może rok, a przyjdzie nam się z nimi zmierzyć. Twój syn nie zdoła stanąć do tej walki.

- Ale wybierz go i tak, panie - poprosiła Molly. - Przynajmniej będziesz wiedział, że znalazł się w niebezpieczeństwie.

Gaborn spojrzał na nią z przerażeniem. Tydzień temu stracił w Longmot kilka wybranych wcześniej osób: własnego ojca, ojca Chemoise, króla Sylvarrestę. Gdy umierali, dreszcz przeszywał go do szpiku kości. Nie próbował wyjaśniać sobie tego zjawiska, nikomu o nim nie wspominał, wszelako czuł się wtedy, jakby... jakby każdy z tych ludzi zapuścił w niego korzenie, a śmierć wyrwała je, zostawiając bolesną pustkę, której nic nie zdoła zapełnić. Jakby tracił własne, niezastąpione kończyny, na dodatek każde takie odejście było równoznaczne osobistej klęsce. Podobnie mógłby się czuć ojciec, który przez zaniedbanie pozwolił dziecku utonąć w studni. Gaborn zwilżył usta.

- Aż tak silny nie jestem. Nie wiesz, o co mnie prosisz.

- Ale jego nie ma kto bronić! - jęknęła Molly. - Nie ma ojca, nie ma przyjaciół. Tylko mnie. To dopiero małe dziecko! - Odwinęła śpiącego chłopca, uniosła go jeszcze wyżej i podeszła tuż do Gaborna. Dziecko było szczupłe, niemniej spało mocno, wcale chyba nie głodne. Jego oddech pachniał mlekiem.

- Daj spokój - powiedział Binnesman tonem perswazji. - Skoro jego wysokość mówi, że nie może wybrać dziecka, znaczy to, że nie może. - Wziął Molly łagodnie za łokieć, jakby chciał ją skierować ku miastu.

- No to co mam z nim zrobić?! - krzyknęła Molly, wywijając się czarnoksiężnikowi. - Roztrzaskać mu główkę o kamień, żeby był spokojny?! Niech szlag trafi małego bękarta?! Tego właśnie chcesz?!

Gaborn poczuł niesmak. Tego nie oczekiwał. Spojrzał niespokojnie na Dziennika. Cóż bracia napiszą o jego dzisiejszym wyborze? Poszukał pomocy u Binnesmana.

- Co mogę zrobić?

Strażnik Ziemi przyjrzał się dziecku i zmarszczył brwi. Ledwo dostrzegalnie pokręcił głową.

- Obawiam się, że masz rację. Niemądrze byłoby wybierać dziecko. Niemądrze i niemiłosiernie.

Molly, wstrząśnięta, otworzyła usta i odsunęła się gwałtownie, jakby nagle odkryła, że Binnesman, stary przyjaciel, okazał się jej wrogiem.

- Molly - zaczął wyjaśniać czarnoksiężnik - Gaborn został wybrany przez ziemię, by ocalić nasienie ludzkości, by ochronić, kogo tylko będzie mógł, podczas mrocznych czasów, które niebawem nadejdą. Ale nawet to wszystko może nie wystarczyć. Zdarzało się już, że jakaś rasa zniknęła z powierzchni ziemi, tak było z tothami, ze śniadymi... Ludzie mogą być następnymi.

Binnesman nie przesadzał. Gdy ziemia objawiła się pod postacią niezwykłego męża w jego ogrodzie, powiedziała prawie to samo, na dodatek o wiele brutalniej. Strażnik Ziemi raczej oszczędzał Molly, kryjąc przed nią całą prawdę.

- Ziemia obiecała chronić Gaborna, a on przysiągł chronić ciebie, na ile zdoła. Ale twoje dziecko najlepiej ty sama ochronisz.

Tak właśnie Gaborn zamierzał uratować swój lud: wybierając rycerzy i możnowładców, by ci z kolei dbali o swoich poddanych. Przed polowaniem wybrał ponad sto tysięcy ludzi w całym Heredonie, wybrał tylu, ilu mógł, starych i młodych, z rycerstwa i pospólstwa. W dowolnej chwili mógł powiedzieć, gdzie który z nich jest i czy coś mu grozi. Jednak było ich tak wielu! Zaczął więc wybierać rycerzy i panów w ten sposób, by chronić poszczególne regiony. Ze wszystkich sił starał się wybierać mądrze, nie odrzucając nikogo tylko dlatego, że był słabowity, głuchy, ślepy, młody czy nie dość bystry. Nie śmiał oceniać podobnych ludzi niżej niż pozostałych; nie wybierał ich przecież dla własnej chwały, ale z konieczności. Czyniąc możnowładcą czy ojca albo matkę odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo tych, którzy byli pod ich opieką, miał wrażenie, że ujmuje nieco brzemia z własnych barków. I w znacznej mierze naprawdę tak było. Korzystał ze swoich mocy, by przygotować poddanych do wojny. Niech szykują broń i pancerze.

Molly zbladła na myśl, że miałaby się stać do tego stopnia odpowiedzialna za swoje małe dziecko. Wyglądała na tak wstrząśniętą, że aż Gaborn zaczął się obawiać, czy nie zemdleje. Słusznie przypuszczała, że sama nie potrafi obronić niemowlaka.

- Pomogę ci - zaproponował Binnesman. Wymruczał coś pod nosem, zwilżył palec śliną i przyklęknął, by obtoczyć palec w ziemi. Wstał i zaczął malować na czole dziecka runę ochrony.

Molly jednak uważała, że to nie wystarczy. Drżała cała z przerażenia, lzy ciekły jej po policzkach.

- Gdyby było twoje, wasza wysokość, czy też byś go nie wybrał? - spytała błagalnie.

Gaborn wiedział, że wówczas postąpiłby inaczej. Molly musiała wyczytać odpowiedź z jego twarzy.

- Więc ci go dam, panie... - rzekła Molly. - Prezent ślubny, jeśli przyjmiesz... Dam ci go, byś wychował go na swojego syna.

Gaborn przymknął oczy. Ton desperacji brzmiącej w głosie Molly uderzył go jak obuchem.

Jakże mógł wybrać to dziecko? Byłoby to okrucieństwo, nieledwie szaleństwo. Gdybym to zrobił, myślał, ile jeszcze tysięcy matek poprosiłoby o to samo? Dziesięć tysięcy, sto tysięcy? Ale co będzie, jeśli Molly ma rację, a ja nie dokonam wyboru i przez moje zaniechanie skazę chłopca na śmierć?

- Czy ma jakieś imię? - spytał, gdyż w niektórych krajach nieślubne dzieci w ogóle nie otrzymywały imion.

- Nazywam go Verrin - odparła Molly. - Po ojcu.

Gaborn spojrział na dziecko. Poszukał umysłu kryjącego się za słodziutką twarzyczką i gładką skórą. Nie było tam wiele - kilka ogólnych pragnień, życie jeszcze nie przeżyte. Najbardziej ze wszystkiego chłopiec cenił sobie pierś matki, ciepło jej ciała i to, jak kołysała go cicho śpiewem do snu. Nie dostrzegał w niej jeszcze osoby, nie kochał jej też tak jak ona jego.

- Verrinie Drinkham - odezwał się łagodnie Gaborn, tłumiąc łzy i unosząc lewą rękę. - Wybieram cię. Wybieram cię dla ziemi. Niech ziemia cię uzdrawia. Niech cię kryje i chroni. Niech uczyni cię swoim.

Zaraz poczuł, jak więź nabiera mocy.

- Dziękuję, wasza wysokość - powiedziała Molly z oczami mokrymi od łez. Gotowa zaraz wracać pieszo dwieście mil, obróciła się w stronę zamku Groverman.

Gaborna ogarnęło przepotężne wrażenie, że to akurat może być dla niej niebezpieczne. Ziemia ostrzegała, że jeśli dziewczyna ruszy na południe, zginie z ręki bandyty albo i jeszcze inną, bardziej okrutną śmiercią. Chociaż nie wiedział, co to będzie, przeczuwał groźbę równie wyraźnie jak wtedy, gdy umierał jego ojciec.

Na tej drodze czyha śmierć, Molly. Zawróć, idź do zamku Sylvarresta, pomyślał Gaborn.

Dziewczyna zamarła w pół kroku, zdumiona spojrziała błękitnymi oczami na władcę. Przez chwilę wahała się, aż w końcu zawróciła na pięcie i ruszyła ku zamkowi Sylvarresta tak szybko, jakby ją rauben ścigał.

Tym razem Gaborn nie zdołał powstrzymać łez.

- Dobra dziewczyna - szepnął. Bał się, że nie posłucha jego ostrzeżenia albo będzie zwlekać z wybraniem słusznej drogi.

- Ty ją zawróciłeś, wasza wysokość? - spytał Dziennik z grzbietu białego muła i spojrział na oddalającą się Molly.

- Tak.

- Wyczułeś niebezpieczeństwo na południu, panie?

- Owszem - stwierdził Gaborn, który wolał nie ujawniać zbyt wiele ze swych obaw. - W każdym razie ona nie byłaby tam bezpieczna. Nie wiem, czy zdołam dotrzymać słowa - dodał, zwracając się do Binnesmana. - Nie spodziewałem się podobnego obrotu sprawy.

- Nikt nie powiedział, że Króla Ziemi czekają tylko łatwe wybory - stwierdził czarnoksiężnik. - Podobno po bitwie pod Caet Fael na ciele Erdena Geborena nie znaleziono żadnych ran. Mówią, że zmarł, bo serce mu pękło.

- Potrafisz pocieszyć - mruknął półgębkiem Gaborn. - Chcę ocalić to dziecko, ale nie wiem, czy dokonując tego wyboru, postąpiłem słusznie, czy wręcz przeciwnie.

- Być może wszystkie nasze postęпки w ogóle okażą się bez znaczenia - stwierdził Binnesman, jakby w głębi duszy był gotowy uznać, że nawet największe wysiłki mogą nie wystarczyć dla uratowania ludzkości.

- Nie, sądzę że to ma znaczenie - zaprotestował Gaborn. - Muszę wierzyć, że warto się starać. Ale jak mogę uratować wszystkich?

- Chciałbyś ocalić całą ludzkość? To niewykonalne.

- Zatem muszę znaleźć sposób, by ocalić większość ludzi. - Gaborn obejrzał się na Dziennika. Znany mu od dzieciństwa historyk nosił prostą, brunatną szatę uczonego; ze ściągniętej, kościstej twarzy patrzyły bez mrugnięcia przenikliwe oczy. Gdy Gaborn wbił w niego wzrok, odwrócił się, jakby nagle z jakiegoś powodu poczuł się winny.

Gabornowi doskwierało niejasne wrażenie, że gdzieś w pobliżu zawisło niebezpieczeństwo. Był pewien, że gdyby tylko Dziennik mógł mówić, bez wątplenia wyjaśniłby, co to za groźba.

Tyle że Dziennik oddał się w służbę Władcom Czasu i od tamtej pory nie posługiwał się już nawet własnym imieniem i nie mógł z własnej woli niczego ujawniać. Z drugiej wszakże strony, Gaborn słyszał opowieści o takich Dziennikach, którzy krążąc pomiędzy ludźmi, potrafili zapominać o ślubowaniach.

Daleko na północy, w zespole klasztornym leżącym na jednej z wysp za Orwynne, mieszkał drugi Dziennik, który oddał Dziennikowi Gaborna dar umysłu i ten sam dar otrzymał od niego w zamian. W ten sposób dwaj bracia mieli jakby wspólny umysł. Rzadko zdarzało się, by ktoś tworzył podobną więź poza zakonem Bractwa Dni, gdyż zwykle prowadziło to do obłądu.

Dziennik Gaborna stał się w ten sposób „świadkiem”. Władcy Czasu powierzyli mu zadanie obserwowania i słuchania Gaborna. Jego towarzysz, zwany kronikarzem, zapisywał wszystko i miał to czynić aż do śmierci Gaborna, by potem można było wydać całą historię jego życia w formie księgi.

Ponieważ wszyscy kronikarze mieszkali w jednym miejscu, dzielili się informacjami. W praktyce wiedzieli o wszystkim, co dzieje się wśród Władców Runów.

Stąd też Gaborn uważał, że jego Dziennik wie stanowczo za wiele i zdecydowanie zbyt rzadko dzieli się tą wiedzą.

Binnesman dostrzegł oskarżycielskie spojrzenie Gaborna.

- Gdybym miał szyć nasiona, które wysięją wiosną w ogrodzie, nie zachowałbym wszystkich, lecz jedynie najlepsze - powiedział głośno.

2

NOCLEG Z NIEZNAJOMYM

Leżąca pośród monottonnych równin środkowej Mysterrii wioska Stogi nie odznaczała się niczym szczególnym, niemniej była w niej tak pilnie wypatrywana przez Rolanda gospoda.

Wjechał do Stogów po północy, nie budząc nikogo, nawet psów. Niebo na południowym zachodzie gorzało czerwienią. Kilka godzin wcześniej Roland napotkał jednego z królewskich dalekowidzących, mężczyznę z sześcioma darami wzroku, który powiedział, że to znak wybuchu wulkanu. Odległego wulkanu, przez co nie było słychać huku, jednak blask ukazywał wyraźnie kolumnę dymu i popiołu. Wraz ze światłem gwiazd rozjaśniał nienaturalnie całą okolicę.

Na wieś składało się pięć kamiennych domów krytych strzechą. U drzwi gospody spało kilka ryjących tam zazwyczaj świń. Gdy Roland zeskoczył z konia, warchlaki zerwały się z chrząkaniem na równe nogi i zaczęły podejrzliwie węszyć. Roland zastukał do drewnianych drzwi i spojrzał na przybitą obok wejścia, dość już sfatygowaną, figurę Króla Ziemi ubraną w

zielony płaszcz podróżny, z wieńcem dębowych liści na głowie. Ktoś zabrał władcy kij wędrowca i wetknął w to miejsce okryty purpurowymi kwiatami pęd tymianku.

Oberżysta okazał się gruby i odziany w fartuch tak brudny, że ledwie można go było w nim odróżnić od świń sprzed gospody. Roland poprzysiągł sobie w duchu, że na śniadanie pojedzie gdzie indziej, na razie jednak potrzebował snu, zapłacił więc za miejsce.

Pokoje były zapchane uchodźcami z północy, przez co musiał się zadowolić posłaniem, którego część zajmował już potężny gość zalatujący tłuszczem i całkiem sporą dawką piwa. Niemniej w pokoju było sucho (czego nie dawało się powiedzieć o całej okolicy), Roland ułożył się zatem obok mężczyzny, przewrócił go na bok, by przestał chrapać, i spróbował zasnąć.

Nic z tego nie wyszło. Chwilę później gość ułożył się znowu na wznak i zachrapał głośno Rolandowi prosto do ucha, a na dodatek przerzucił jeszcze nogę przez jego biodro i spróbował złapać za biust. Zrobił to na tyle silnie, że bez wątpienia musiał mieć jakieś dary krzepy.

- Przestań - syknął Roland. - Przestań albo utnę ci łapę. Potężny mąż z brodą tak bujną, że wiewiórki mogłyby bawić się w niej w chowanego, zamrugał i spojrzał w mdłym, sączącym się przez okno blasku na Rolanda.

- Och, przepraszam - sapnął. - Myślałem, że to moja żona. - Przetoczył się na drugi bok i momentalnie zachrapał.

Nie jest najgorzej, pomyślał Roland, który słyszał opowieści o całkiem innych finałach podobnych pomyłek. Też się obrócił, by pośladki nieznanego grzały mu krzyże, i zapadł w sen. Niemniej godzinę później tamten znowu zaczął się do niego dobierać i Roland musiał dźgnąć go łokciem w mostek.

- Aleś ty koścista, kobieto! - jęknął gość przez sen i obrócił się do ściany.

Roland obiecał sobie, że następną noc spędzi w wyłącznym towarzystwie polnych kamieni.

Ledwie zdążył to pomyśleć, zaraz zasnął. I znów się obudził. Tym razem nieznanomy obejmował go mocno i całował w czoło. Łapy miał jak kłody, jednak oczu nie otworzył. Oddychał głęboko, widać wciąż spał.

- Proszę o wybaczenie - mruknął Roland, łapiąc gościa za brodę i nieco nim szarpiąc. W końcu zdołał się uwolnić. - Podziwiam mężczyzn, którzy nie zwykli ukrywać swoich uczuć, ale jeszcze chwila tych awansów wobec mnie, a...

Nieznanomy otworzył przekrwione oczy i spojrzał na oczekującego przeprosin Rolanda.

Tamten jednak zbladł dziwnie.

- Borenson?! - wykrzyknął, przytomniejąc w jednej chwili. Przesunął całe trzysta funtów swego cielska gwałtownie pod ścianę i drżący przytulił się do niej. Całkiem jakby obawiał się ataku Rolanda. - Co ty tu robisz?

Teraz było widać, że naprawdę jest rosły, ma ciemne włosy i nitki siwizny w brodzie. Roland go nie poznawał. Ale skoro przespałem ostatnie dwadzieścia jeden lat, pomyślał, to wszystko możliwe.

- Znamy się? - spytał, oczekując, że tamten się przedstawi.

- Czy się znamy? Mało mnie nie zabiłeś, chociaż przyznać muszę, że sobie na to zasłużyłem. Byłem wtedy beznadziejny. Ale wyprostowałem swoje ścieżki, teraz błędę już tylko co drugi raz. Nie poznajesz mnie? Jestem baron Poll!

Roland nigdy nie spotkał tego mężczyzny. Chyba mylił mnie z moim synem, Ivarianem Borensonem, pomyślał. Że ma syna, dowiedział się dopiero niedawno, po przebudzeniu.

- A, baron Poll! - rzucił Roland z entuzjazmem, w nadziei, że towarzysz od łóżka zrozumie swoją pomyłkę. Syn nie mógł być do niego aż tak podobny: Roland miał jasną cerę i rude włosy, a matka Ivariana była raczej ciemna. - Miło cię widzieć.

- I nawzajem, cieszę się, że tak uważasz. To co, co było, a nie jest...? Wybaczasz mi... kradzież twojej sakiewki? Wszystko?

- Nie stracono mnie - poprawił go Roland. - Chociaż zapewne matka mojego syna wołałaby, żeby tak było.

- A tak, to pamiętam. Często życzyła śmierci wszystkim mężczyznom. Mnie też solidnie przekleła - stwierdził baron i okrył się rumieńcem, jakby chodziło o coś wielce dlań kłopotliwego. - Powiniennem się domyślić. Ale wyglądasz za młodo. Chociaż znany mi Borenson ma dary metabolizmu i starzeje się przez to szybciej. Przez ostatnie osiem lat przybyło mu ponad dwadzieścia. Gdybyście stanęli teraz obok siebie, to owszem, wyglądalibyście jak ojciec i syn, ale to jego wzięto by za ojca, a ciebie za syna.

- Teraz sam wszystko rozumiesz. - Roland pokiwał głową.

- Jedziesz, by się z nim zobaczyć? - spytał baron, marszcząc czoło.

- I żeby oddać się w służbę królowi.

- Nie masz darów. Nie jesteś żołnierzem. Nigdy nie zdołasz dotrzeć do Heredonu.

- Może i nie - zgodził się Roland i znów obrócił się ku drzwiom.

- Poczekaj! - wykrzyknął znów Poll. - Jeśli szukasz śmierci, to twoja rzecz, ale nie ułatwiał im sprawy! Weź jakąś broń.

- Dziękuję - powiedział Roland, biorąc sztylet. Nie miał pasa, schował go więc za pazuchę. Baron parsknął zniesmaczony wyborem najłżejszej broni.

- Nie ma za co. Powodzenia.

Wstał i ujął dłoń Rolanda. Chwył miał jak imadło. Roland, choć bez darów, oddał uścisk jak należy. Lata pracy w rzeźni wyrobiły mu mięśnie; nawet po dwóch dekadach snu wciąż jeszcze miał na palcach zgrubienia od tasaka i noża.

Roland zbiegł po schodach. Wspólna sala była pełna. Część stołów obsiedli wieśniacy zbiegli z południa, przy pozostałych widać było giermków podążających wraz ze swoimi panami na północ. Młodzi ludzie ostrzyli żelaza lub nacierali oliwą skórzane pancerze i kolczugi. Kilku szlachetnie urodzonych, wszyscy odziani w tuniki, rajtuzy i pikowane kurty wkładane pod kolczugi, okupowało miejsca przy kontuarze.

Wkoło tak apetycznie pachniało świeżo wypieczonym chlebem i mięsem, że Roland postanowił zjeść jednak coś przed odjazdem. Zajął wolny stółek. Obok dwóch rycerzy kłóciło się zazarcie, jak należy żywić konie przed walką. Jeden z nich skinął na Rolanda, jakby zachęcał go do wzięcia udziału w sporze. Może też mylił go z kimś innym, a może wziął za szlachcica. Roland wiedział, że w nowym płaszczu z niedźwiedziej skóry i równie nowych butach, spodniach i tunice wygląda na kogoś dobrze urodzonego. Rychło też usłyszał, jak jeden z giermków rzucił nazwisko Borenson.

Oberżysta przyniósł mu kubek osłodzonej miodem herbaty, bochenek ryżowego chleba i miskę gęstego sosu z kawałkami wieprzowiny.

Jedząc, Roland zastanawiał się nad wydarzeniami minionego tygodnia. To już drugi raz w ostatnich dniach obudzony został pocałunkiem...

Siedem dni wcześniej poczuł łagodne dotknięcie na policzku, tak jakby pająk próbował na niego wejść... i obudził się z bijącym sercem.

Zdumiony ujrzał, że leży w mrocznym pomieszczeniu o kamiennych ścianach. Pod sobą miał miękki materac wypchany ptasimi piórami i słomą. Poznał to miejsce po unoszącym się w powietrzu zapachu morza i dobiegających z zewnątrz lamentach mew i rybołówek. Wielkie, oceaniczne fale biły o pradawne kamienne fundamenty wieży. Było około południa. Oddawszy niegdyś metabolizm, Roland przespał jako darczyńca ponad dwadzieścia lat, jednak nawet wówczas słyszał, a właściwie wyczuwał, impet szturmujących nieustannie skałę grzywaczy.

Znajdował się w Błękitnej Wieży kilka mil na wschód od stołecznego Tide nad Morzem Carolla.

Mała komnata, w której przebywał, była zdumiewająco skromnie urządzona, bardziej przypominała kryptę grobową: brakło stołu i krzeseł, tapiserii i dywanów, skrzyni lub szafy na ubrania czy choćby haka wbitego w ścianę. To nie był pokój do mieszkania, a tylko schronienie

dla kogoś pogrążonego w wieloletnim śnie. Obecnie jednak znajdowała się w nim jeszcze młoda dziewczyna. Cofnęła się gwałtownie do nóg materaca, gdzie zostawiła wiadro. W przyćmionym świetle wpadającym przez pokryte nalotem soli okno dojrzał jej owalną twarz, bladobłękitne oczy i długie włosy koloru słomy. Na głowie nosiła wianek z małych, suszonych fiołków.

Oblicze dziewczyny okryło się rumieńcem zakłopotania.

- Przepraszam - wykrztusiła. - Pani Hetta kazała mi cię umyć. - Dla podkreślenia dobrych intencji uniosła dłoń ze ściereczką.

Jednak wilgoć na policzku i ustach Rolanda nie miała nic wspólnego z wodą z wiadra. To był ślad dziewczęcego pocałunku. Możliwe, że zajmując się myciem darczyńcy, służąca pozwoliła sobie również na coś bardziej ekscytującego...

- Sprowadzę kogoś do pomocy - powiedziała, ciskając ścierkę do kubła, i odwróciła się częściowo, żeby wstać.

Roland zareagował błyskawicznie, jak mangusta rzucająca się na kobrę. Złapał dziewczynę za nadgarstek. Właśnie dzięki wspaniałemu refleksowi został darczyńcą króla.

- Jak długo spałem? - spytał. W gardle i ustach czuł dotkliwą suchość, każde słowo powodowało ból. - Który rok mamy?

- Rok? - powtórzyła dziewczyna, próbując się uwolnić. Robiła to jednak jakoś bez przekonania, bo trzymał ją lekko. Gdyby chciała, mogłaby odejść, widać jednak wolała zostać. Wyczuwał woń czystych włosów, pachnących lekko lawendą lub suszonymi fiołkami. - Jest dwudziesty drugi rok panowania Mendellasa Drakena Ordena.

Mógł się tego spodziewać, lecz i tak poczuł się nieswojo. Dwadzieścia jeden lat. Minęło dwadzieścia jeden lat, odkąd oddał dar metabolizmu. Dwadzieścia jeden lat spał na tym legowisku obmywany czasem przez służące, karmiony łyżeczkami bulionu i obsłuchiwany, czy jeszcze oddycha.

Oddał swój dar młodemu królewskiemu wojownikowi, sierżantowi imieniem Drayden. Przez te dwadzieścia jeden lat Drayden musiał postarzeć się o lat ponad czterdzieści, podczas gdy śpiący Roland nie zmienił się praktycznie wcale.

Wydawało mu się, że ledwie chwilę temu klęczał przed Draydenem i młodym królem Ordenem. Darmistrzowie zawodzili ptasimi głosami, przyciskając dreny do jego piersi, wywoływali z niego dar. Czuł ból powodowany przez żelaza, wkoło śmierdziało przysmażaną skórą i palonymi włosami, wewnątrz ciała narastało śmiertelne zmęczenie. Krzyknął jeszcze w cierpieniu i cały świat gdzieś odpłynął.

Skoro się teraz obudził, znaczyło to, że Drayden zmarł. Poległ w walce lub zgaśł w łożnicy, niemniej tak czy inaczej, Roland został przez to odrodzonym.

- Pójdę już - odezwała się dziewczyna, znów próbując uwolnić rękę.

Roland wyczuł miękkie włoski rosnące na jej przedramieniu. Na twarzy miała jeszcze kilka pryszczu, ale widać było, że kiedyś wyrosnie na piękną kobietę.

- W ustach mi zaschło - powiedział, nie puszczać jej nadgarstka.

- Przyniosę wody - obiecała i przestała się wyrywać, jakby teraz było już oczywiste, że powinna odejść.

Roland rozluźnił chwyt, ale nie oderwał oczu od twarzy dziewczyny. Był przystojnym młodym mężczyzną, z długimi rudymi włosami związanymi na plecach, wyraźnie zarysowanym podbródkiem, przenikliwymi błękitnymi oczami i smukłym, muskularnym ciałem.

- Gdy całowałaś mnie we śnie, to mnie pragnęłaś czy marzyłaś o innym mężczyźnie? - spytał.

Dziewczyna zadrżała i spojrzała na drewniane drzwi komnaty, jakby chciała się upewnić, że dobrze je zamknęła.

- Ciebie - szepnęła nieśmiało, pochylając głowę.

Roland dalej uważnie przyglądał się jej twarzy. Widział kilka piegów, proste usta, delikatny nos. Miał ochotę pocałować ją z lewej strony, tuż za małym uchem.

Przytłoczona ciszą, dziewczyna zaczęła nagle mówić:

- Myję cię, odkąd skończyłam dziesięć lat. Przez ten czas... dobrze poznałam twoje ciało. Twarz masz piękną, łagodną, a zarazem okrutną i czasem zastanawiałam się, jakim jesteś człowiekiem. Marzyłam, że obudzisz się, zanim wyjdę za mąż. Nazywam się Sera, Sera Crier. Moja matka, ojciec i siostry zginęli w lawinie błotnej, gdy byłam mała, więc służę w warowni.

- Poznałaś moje imię?

- Jesteś Borenson. Roland Borenson. Wszyscy w warowni cię znają. Jesteś ojcem kapitana Gwardii Królewskiej. Twój syn służy jako przyboczny księcia Gaborna.

Roland zamyślił się. Nigdy dotąd nie słyszał o synu. Owszem, oddając dar, miał już żonę, ale nie wiedział, że była brzemienna.

Zastanowiło go, skąd wzięła się fascynacja dziewczyny. Co ją w nim pociągało?

- Wiesz, jak się nazywam - powiedział. - Czy wiesz także, że jestem mordercą?

Dziewczyna aż się cofnęła, zaskoczona.

- Zabiłem człowieka - rzekł Roland, chociaż sam nie wiedział, dlaczego jej to mówi. Niemniej, chociaż tamten nie żył już od ponad dwudziestu lat, dla Rolanda było to nawet nie wczoraj. Dla niego rzecz zdarzyła się kilka godzin temu. Wciąż czuł krew tego mężczyzny na rękach.

- Na pewno miałeś po temu powód.

- Naszedłem go w łóżku z moją żoną. Wypatroszyłem biedaka jak rybę, chociaż do końca nie wierzyłem, żeby to miało sens. Skojarzono nas fatalnie z żoną, kiepska z nas była para. Ja o nią nie dbałem, ona mnie nie cierpiała. Niepotrzebnie go zabiłem. Teraz myślę, że to ją chciałem skrzywdzić. Sam już nie wiem. Przez tyle lat zastanawiałaś się, jakim jestem człowiekiem, Sero. Czy sądzisz, że już wiesz?

Sera Crier przesunęła językiem po wargach.

- Każdy inny straciłby głowę za taki czyn - odpowiedziała drżącym głosem. - Król musiał cię lubić. Może i on dostrzegł ból skryty za twym okrucieństwem.

- Ja dostrzegam tylko bezsens i głupotę.

- I piękno. - Sera pochyliła się, by ucałować wargi Rolanda. Odwrócił lekko głowę.

- Oddałem siebie.

- Kobiecie, która nie dotrzymała ślubu i dawno temu wyszła za kogoś innego... - stwierdziła Sera.

Roland był pewien, że dziewczyna wie, co mówi. Wie, o kim mówi. Posmutniał na te słowa. Tamta, jak i on dziecko rzeźnika, posługiwała się umysłem sprawniej niż jej ojciec nożami. Miała go za głupca, on ją za okrutną.

- Nie - odparł, czując, że Sera nie zrozumiała jego słów. - Nie żonie, ale mojemu królowi.

Roland usiadł na posłaniu i spojrzał na swoje stopy. Miał na sobie tylko tunikę z ognistoczerwonej bawełny, która miała przepuszczać wilgotne powietrze, a nie stare, robocze ubranie sprzed dwudziestu lat. Tamte rzeczy na pewno dawno już zbutwiały.

Sera przyniosła mu spodnie oraz buty z jagnięcej skóry i zaproponowała, że pomoże mu się ubrać, chociaż spokojnie mógł sobie dać radę sam. Nigdy jeszcze nie czuł się tak gruntownie wypoczęty.

Cokolwiek by powiedzieć, z obu niedawnych całowanych przebudzeń to w wykonaniu Sery Crier było dla Rolanda o wiele miłsze. Jadł jeszcze, gdy w drzwiach pojawił się młody rycerz w kolczudze.

- Borenson! - zawołał na powitanie. W tej samej chwili na schodach pokazał się niedawny towarzysz Rolanda z pościeli. - A, i baron Poll! - dodał młodzieniec, nie kryjąc niechęci.

W sali zapanowało nagle niezwykłe zamieszanie. Obaj szlachetnie urodzeni obok Rolanda padli na podłogę, rycerz w progę wyciągnął miecz, a giermkowie zaczęli tłoczyć się w kątach i wykrzykiwać ostrzeżenia przed krwawą jatką, do której ich zdaniem miało tu najwyraźniej zaraz dojść. Ktoś przewrócił nawet stół, by schować się za nim niczym za barykadą. Dziewka służebna cisnęła koszyk z chlebem aż pod powałę i umknęła z piskiem.

- Baron Poll i sir Borenson zeszli się razem w sali! - wrzeszczała, aż oberżysta wybiegł z kuchni. Może miał nadzieję uratować swą interwencją chociaż część sprzętów.

Wszędzie wkoło siebie Roland widział przerażone twarze, tylko baron Poll stał spokojnie na podeście i uśmiechał się tajemniczo.

Roland poczuł się ubawiony nieporozumieniem. Zmarszczył brwi, wyciągnął sztylet i spojrzał groźnie na barona. Potem przeciął bochenek chleba na pół i wbił żelazo w blat, aż stanęło tam, kołyszając się z lekka.

- Mam wrażenie, że miejsce obok mnie właśnie się zwolniło, baronie Poll - powiedział. - Może zechcesz mi towarzyszyć przy śniadaniu?

- Dlaczego nie, chętnie - odparł dwornie baron, podszedł, zajął stołek, wziął drugie pół bochenka i umoczył chleb w misie Rolanda.

Tłum gapił się na nich z niedowierzaniem. Gdybyśmy razem z baronem zmienili się nagle w ropuchy polujące z wywalonymi jęzorami na muszki, to chyba mniej by się zdziwili, pomyślał Roland.

- Ależ... wedle nakazu króla nie wolno wam się zbliżać do siebie bardziej niż na pięćdziesiąt staj! - wykrzyknął nagle młody rycerz, którego wmurowało w podłogę tuż za progiem.

- Święte słowa, tyle że ostatniej nocy zakwaterowano nas przez pomyłkę na tej samej pryczy - wyjaśnił radośnie baron. - I muszę przyznać, że dawno już tak dobrze mi się z nikim nie spało.

- Podzielam zdanie przedmówcy - zauważył Roland. - Niewielu potrafi tak dobrze ogrzać krzyże jak baron Poll. Wielki jak ogier i gorący jak kowalski młot. W razie potrzeby całą wioskę mógłby zapewne uratować przez zamrażaniem. Ryby można by smażyć mu na stopach, a na plecach to nawet cegły wypalać.

Wszyscy wciąż wpatrywali się w nich jak w zjawisko cudami słynące, obaj zajęli się zatem spokojną rozmową o pogodzie. Potem poruszyli jeszcze temat podagry nekającej teściową Poila (i wpływu deszczy na ataki choroby), zastanowili się wspólnie, jak najlepiej przyrządzać dziczyznę, i tak dalej, i tym podobne.

Obecni wciąż jednak czekali, kiedy kruchy rozejm pryśnie i obaj biesiadnicy rzucą się na siebie z nożami.

W końcu Borenson poklepał Poila po plecach i wyszedł z zajazdu na blade światło poranka. Wioska Stogi nie nazywała się tak przypadkiem, gdyż wszędzie wkoło na polach widać było ciemne kopce ze spiętrzonym, późnoletnim pokosem. Pobocze drogi jaśniało od wybujałych żółtych i brązowych teraz traw, które choć wyrosły wysoko, marniały spalone słońcem i suche.

Wieprzki zemknęły już mądrze sprzed zajazdu i tylko kilka czerwonych kur snuło się Rolandowi pod nogami, gdy czekał, aż stajenny podprowadzi jego konia.

Spojrzał w niebo, po którym snuły się pasma porannej mgły zmieszanej z niesionym niczym płatki ciepłego śniegu popiołem.

Baron Poll też wyszedł za próg, stanął na chwilę obok i pogładził brodę.

- Ten wybuch wulkanu to jakaś magiczna sztuczka. Potężne czary - ocenił. - Słyszałem, że Raj Ahten prowadzi ze sobą tkaczy płomieni. Ciekawe, czy to nie ich robota?

Roland nie przypuszczał, by tkacze płomieni mogli mieć coś wspólnego z wulkanem, który wybuchł daleko na południu w chwili, gdy armia Raja Ahtena maszerowała na Carris, setki mil na północy. Niemniej rzeczywiście, znak wyglądał złowieszczo.

- O co chodzi z tym nakazem króla? - spytał Roland. - Dlaczego nie możesz zbliżyć się na mniej niż pięćdziesiąt staj do mojego syna?

- Ach, nic takiego - zachnął się wyraźnie zakłopotany baron. - Stare sprawy. Opowiedziałbym ci, ale niebawem i tak usłyszysz wszystko od jakiegoś minstrela. W większości prawdziwie. - Poll spojrzął na ziemię, potem strzepnął drobinę popiołu ze swojego płaszcza. - Przez ostatnie dziesięć lat żyłem w nieustannym strachu przed twoim chłopakiem.

Roland zastanowił się, co zrobiłby jego syn, gdyby obudził się w objęciach tego człowieka.

- Ale ciężkie czasy nawet wrogów mogą zmienić w przyjaciół, co? - dodał baron. - Poza tym ludzie się zmieniają, prawda? Przekaż synowi parę dobrych słów o mnie, gdy go spotkasz.

Wyraźnie zależało mu na odpuszczeniu i Roland chętnie by zrobił coś w tej sprawie, ale nie mógł mówić za syna.

- Będę pamiętał - obiecał.

Daleko na drodze pojawiło się z pięć dziesiątek rycerzy galopujących na północ. Pod kopytami ich rumaków drżała ziemia.

- Może twoja podróż nie okaże się aż tak niebezpieczna - zauważył Poll na ich widok. - Ale pamiętaj, co ci powiedziałem. Omiń Carris.

- Ty nie jedziesz na północ? Myślałem, że razem wyruszymy.

- Niezbyt - mruknął baron i splunął. - Jadę w przeciwnym kierunku. Mamy letnią posiadłość pod Carris, więc żona kazała mi pojechać tam i zabrać kilka cennych rzeczy, zanim żołdacy Raja Ahtena splądrują okolicę. Teraz pomagam sługom strzec wozu.

Rolandowi zdało się to zalatywać nieco tchórzostwem, ale nic nie powiedział.

- Zgadza się - stwierdził Poll. - Wiem, co myślisz. Ale jakby co, to walczyć będą musieli i tak beze mnie. Do zeszłej jesieni miałem dwa dary metabolizmu, ale potem jeden z moich darczyńców został zabity. Jestem już za stary i zbyt otyły, by naprawdę rwać się do bitki. Zbroja pasuje mi akurat tak samo jak bielizna mojej żony.

Wypowiedział te słowa ze ściśniętym po części gardłem, jakby pragnął, żeby było inaczej. Wyglądał na nie więcej niż czterdzieści lat, ale jeśli nosił dary przez jakieś dziesięć, to naprawdę mógł mieć dwadzieścia. Czyli był jakby rówieśnikiem Rolanda.

- Moglibyśmy wziąć udział w bitwie o Carris, a może i nie tylko - zasugerował Roland. - Dlaczego mimo wszystko nie ruszysz ze mną?

- Ha! - odezwał się baron. - Osiemset mil do Heredonu? Skoro twój i mój los ci obojętny, to zlituj się chociaż nad moim koniem!

- Niech służba zajmie się twoimi skarbami. Nie musisz ich pilnować.

- Może, ale żona by mi potem życie nie dała. To sekutnica! Wolałbym już Ahtena drażnić niż ją!

Z zajazdu wyszła służąca i z wprawą odłowiła jedną z grzebiących w ziemi kur.

- Pójdiesz ze mną - powiedziała do ptaka. - Lord Collinsward oczekuje cię na śniadaniu. - Jednym ruchem skrzyła kurze kark i zaraz, w drodze powrotnej, zaczęła skubać ją z piór.

Parę chwil później rycerze zmierzający z północy zajechali pod stajnię. Wyraźnie chcieli tu odpocząć, nastawić ucha na wieści i pożywić konie.

Gdy stajenny przyprowadził mu wierzchowca, Roland dał chłopakowi drobną monetę i skoczył na siodło. Młoda klacz była wypoczęta i chętna do swawoli. Wielkie zwierzę, całe kasztanowate prócz białych znamion przy kopytach i na czole, aż rwało się do galopu w porannym chłodzie. Roland wyjechał na drogę i ruszył pośród ogarnianych coraz gęstszą mgłą pól.

W powietrzu unosiła się woń popiołu. Gdzieś tam, na północy, krył się Raj Ahten i cała jego armia, w której podobno byli i Niezwyciężeni, i czarownicy, i masa olbrzymów, i groźnych, bojowych psów.

Roland nie mógł powstrzymać się od westchnienia. Jak niesprawiedliwe bywa życie... Ten biedny kurczak, któremu właśnie ukrecono łepkę przed gospodą, nie miał przecież najmniejszych szans. Nikt nie dał mu wyboru, nie ostrzegł...

Chwilę później opadły Rolanda myśli tak czarne, że dopiero narastający tętent kopyt wyrwał go z odrętwienia. Obejrzał się pełen obaw, że może to jakiś rozbójnik albo zabójca. Jechał w gęstej mgle i nie widział dalej niż na sto stóp. Skierował klacz na pobocze i sięgnął po sztylet ledwie na chwilę przed tym, jak we mgle zamajaczył olbrzymi kształt.

- Świetnie, że cię dogoniłem! - zawołał potężny baron Poll, chwiejąc się na koniu. Zwierzę toczyło wkoło przerażonymi ślepiami, uszy położyło jakby w obawie, że jego pan zaraz je za coś skarci.

- Nie jedziesz na południe ze swymi skarbami? - spytał Roland.

- A do licha z nimi. Niech słudzy się nimi zajmą! Nimi i tą moją sekutnicą! - zaśmiał się baron. - Miałeś rację. Lepiej umrzeć młodo, póki krew gorąca, niż gasnąć powoli od otłuszczenia!

- Tego nie powiedziałem.

- Ha! Nie musiałeś. Starczyło ci w oczy spojrzeć. Roland schował sztylet.

- To i dobrze. Skoro spojrzenie mam tak wymowne, to mogę dać odpocząć językowi - stwierdził, zwracając konia prosto w tuman mgły.

3

HOSTENFEST

Myrrima obudziła się wczesnym świtem ze łzami w oczach. Otarła je i leżąc, zaczęła się zastanawiać, skąd biorą się te nachodzące ją od trzech dni poranne napady melancholii. Naprawdę nie wiedziała, dlaczego właściwie płacze.

W zasadzie nie miała po temu powodów. Zaczynał się trzeci dzień Hostenfest, dzień wielkiej uczty, zwykle najszcześniejszy w roku.

Co więcej, przez kilka ostatnich tygodni Myrrima odniosła kilka małych, ale znaczących zwycięstw. Miała sypiać w rodzinnej chacie pod Bannisferre, budziła się we własnej komnacie w Wieży Królewskiej w zamku Sylvarresta. Dopiero co została bliską przyjaciółką młodej królowej Iomy Orden i poślubiła całkiem bogatego rycerza. Jej siostry i matka też zamieszkały w zamku: z całą troską opiekowano się nimi w Warowni Darczyńców.

Powinna być szczęśliwa. A jednak coś ją gnębiło.

Zza okna dobiegało zawodzenie królewskich darmistrzów pracujących w Warowni Darczyńców. W ciągu minionego tygodnia tysiące ludzi zgłosiły gotowość oddania swych darów Królowi Ziemi. Gaborn jednak żadnego dotąd nie przyjął, i to pomimo że wszystkie one chciano mu przekazać z nieprzymuszonej woli, czyli niesprzecznie z jego ślubowaniem, iż nigdy nikogo w podobnej sytuacji niecznie nie wykorzysta. Niektórzy obawiali się nawet, że władca całkiem zrezygnował z dawnego zwyczaju, niemniej Gaborn nie bronił wyposażać się w dary swoim rycerzom.

Zdawał się na dodatek dysponować niewyczerpanymi zapasami drenów. Przez ostatni tydzień główny darmistrz pracował wraz z pomocnikami dzień i noc, przekazując dary

wojownikom, by choć trochę, odbudować zdziesiątkowane siły zbrojne królestwa. Niemniej Warownia Darczyńców była wciąż wypełniona tylko w połowie.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Myrrima przetoczyła się po atlasowych prześcieradłach i zerknęła w okno. Poranny blask ledwie przesączał się przez witraż przedstawiający gołębicę krążącą po błękitnym niebie. Dopiero teraz dziewczyna zorientowała się, że to właśnie pukanie ją obudziło.

- Kto tam? - spytała.

- To ja - rozległ się głos Borensona.

Myrrima odrzuciła przykrycie, zerwała się na równe nogi i podbiegła do drzwi, żeby czym prędzej je otworzyć. Za progiem stał jej wybranek z lampą w dłoni. Wąty ognik drżał w zamkowym przeciagu. W półmroku Borenson wydawał się olbrzymi, ale szczerzył zęby radośnie, jak mały chłopak. Błękitne oczy lśniły, ruda broda zdobiła mu twarz jak sztandar.

- Nie musisz pukać - zaśmiała się Myrrima. Od czterech dni byli już małżeństwem, chociaż ostatnie trzy Borenson spędził na polowaniu. Co gorsza, nie zdążyli jeszcze skonsumować związku, co było dla dziewczyny sporym zaskoczeniem.

Sir Borenson wydawał się dość nią zuroczony, niemniej gdy przyszła pora na noc poślubną, stwierdził po prostu: „Jak mógłbym oddawać się podobnym przyjemnościom w przeddzień polowania w Mrocznej Puszczy?”

Myrrima nie miała bogatego doświadczenia z mężczyznami i nie wiedziała, jak zinterpretować tę odmowę. Może nie powinna czuć się urażona? Może perspektywa polowania rzeczywiście miała prawo tak pochłaniać jej męża, a może to niedawna wojna powstrzymywała go przed okazywaniem uczuć? A jeśli ożenił się z nią tylko dlatego, że tak chciał Gaborn...?

Przez cały czas polowania czekała na Borensona i wciąż nie mogła się odnaleźć. Teraz w końcu wrócił.

- Bałem się, że możesz spać głęboko - powiedział.

Wszedł i ucałował ją lekko, odsuwając lampę jak najdalej na bok. Wzięła ją od niego i odstawiała na ławę.

- Nie tak - mruknęła. - Jesteśmy małżeństwem. - Złapała go za brodę, przyciągnęła do siebie, pocałowała mocno i poprowadziła ku łóżu. Miała nadzieję, że może teraz się uda.

Niemal natychmiast pożałowała swych starań. Borenson był brudny, jego kolczugę oblepiało błoto. Trzeba by po nim zmieniać całą pościel.

- Aha... to będzie musiało poczekać. - Borenson uśmiechnął się. - Nie za długo, oczywiście. Tylko do chwili, aż się umyję.

Myrrima spojrzała mu w twarz. Cała jej niedawna melancholia gdzieś uleciała.

- No to idź się umyć.

- Jeszcze chwila - zachichotał Borenson. - Muszę ci coś pokazać.

- Zabiłeś dla mnie dzika na Hostenfest? - zapytała ze śmiechem.

- W tym roku nie będzie dzików na stole. Upolowaliśmy całkiem niespodziewaną zdobycz.

- No cóż, panowie przy stole zadowolą się pewnie i królikiem - mruknęła ironicznie Myrrima. - Ale ja nie tknę żadnego mniejszego drobiazgu. Nie gustuję w polnych myszach.

Borenson uśmiechnął się tajemniczo.

- Chodźmy szybko. - Podszedł do szafy i wyjął prostą, niebieską suknię.

Myrrima zrzuciła nocny strój, nałożyła suknię i zaczęła sznurować stanik. Borenson patrzył z zachwytem na swą młodą żonę. Wzula jeszcze buty i po chwili pogoniła za mężem, który zbiegał już po stopniach ku wyjściu.

- Polowanie było ciężkie - powiedział, biorąc ją za rękę. - Nie obeszło się bez strat.

To ją zastanowiło. W lasach kręciło się jeszcze sporo nieludów i olbrzymów, ale Raj Ahten uciekł ponad tydzień temu na południe i porzucił tych, którzy nie mieli dość sił na forsowny marsz. Czyżby to maruderzy pozabijali rycerzy?

- Były straty?

Borenson skinął głową, ale nie chciał powiedzieć nic więcej. Po chwili wyszli na bruk dziedzińca. Poranne powietrze było nieprzyjemnie chłodne, oddech Myrrimy od razu zmieniał się w parę.

Borenson poprowadził ją pod broną Bramy Królewskiej, potem Rynkową do bramy miejskiej. Tam, zaraz za mostem i fosą, zebrał się już spory tłum.

Na polach przed zamkiem Sylvarresta wyrosło całe miasto kolorowych namiotów. Przez miniony tydzień zjawilo się tu nadto czterysta tysięcy pospólstwa i rycerstwa z całego Heredonu oraz innych królestw, a wszyscy chcieli ujrzeć Króla Ziemi, Gaborna Val Ordena. Gdziekolwiek spojrzeć, ciągnęły się płócienne dachy, pokrywające nawet pobliskie wzgórza i wypełzające na równiny od południa i zachodu.

Tu i ówdzie ustawili swoje kramy kupcy, w powietrzu unosiła się woń przyrządzanych kiełbas, a ponieważ dzień był świąteczny, setki siedzących pod każdym niemal drzewem minstrelki stroiło lutnie i harfy. Czterech wiejskich chłopaków fałszowało tak szkaradnie przy wtórze lutni i piszczałek, że Myrrima nie potrafiła orzec, czy naprawdę próbują śpiewać, czy tylko się wygłupiają, szycząc z mizernych wysiłków innych. Borenson odsunął kilka osób i odpędził parę mastiffów, tak by mogła dojrzeć, co kryje się pośrodku rosnącej cizby.

Obiekt zainteresowania zrobił na niej wrażenie: na trawie leżała wielka jak wóz masa szarego ciała, bezoki łeb raubena. Wyrostki czuciowe zwisały z tyłu czaszki jak martwe glisty, przerażające rzędy krystalicznych zębów lśniły w blasku porannego słońca. Głowa, ciągnięta za końmi przez wiele mil, była brudna, jednak na pokrytym błotem czole potwora widać było wytatuowane runy siły, które nawet teraz zdawały się gorzeć bladymi płomieniami. W Rofehavanie nawet małe dzieci wiedziały, co to znaczy.

To nie był zwykły rauben, ale samica, mag.

Myrrimie serce zabiło tak gwałtownie, jakby chciało uciec z piersi. Zrobiło się jej słabo, z trudem łapała powietrze. Mimo ciepła tłumu poczuła chłód. Stała tylko i patrzyła, jak machające nerwowo kikutami ogonów mastiffy obwąchują padlinę.

- Mag raubenów? - spytała głucho. Od ponad sześciuset lat nikt nie zabił w Heredonie maga raubenów. Przyjrzała się uważniej masywnej głowie. W razie czego potwór mógłby przegryźć na pół konia, a co dopiero człowieka.

Dorośli chichotali, dzieci wyciągały ręce, by dotknąć szarej skóry.

- Przydybaliśmy ją w Mrocznej Puszczy, w starych sztolniach śniadych. Kryła się tam razem ze swymi samcami i potomstwem. Zabiliśmy wszystkich i zniszczyliśmy jaja.

- Ilu zginęło? - spytała wciąż niezbyt przytomna Myrrima. Borenson nie odpowiedział od razu.

- Czterdziestu jeden dobrych rycerzy - stwierdził w końcu. - Świetnie walczyli, ale bitwa była zażarta. Maga sam zabiłem - dodał na tyle skromnie, na ile zdołał.

Spojrzała na niego z narastającą wściekłością.

- Jak mogłeś?

Zdumiony Borenson nie pojmował za bardzo, o co chodzi.

- Muszę przyznać, że nie było łatwo - mruknął po chwili. - Miałem z nią ciężką przeprawę. Broniała się ze wszystkich sił.

Nagle Myrrima zrozumiała, dlaczego budziła się od paru dni niezmiennie przygnębiona i dlaczego nie mogła sypiać po nocach. I bardzo się przeraziła. Zamierzała poślubić jakiegoś szlachcica dla jego bogactwa, a tu się zakochała. Tymczasem jej małżonka nadstawianie karku w walce zdawało się interesować bardziej niż noc poślubna.

Na sztywnych nogach wyszła z tłumu. Odsuwając gapiów, ruszyła ku bramie. Prawie nic nie widziała przez łzy.

Borenson dogonił ją przy moście. Chwycił wielką dłonią i odwrócił dziewczynę do siebie.

- O co się tak wściekasz?!

Powiedział to tak głośno, że nawet ryby w fosie się spłoszyły. Woda zawirowała, jakby coś dużego zmykało tuż pod powierzchnią. Ciżba kierujących się do zamku ludzi rozstępowała się przed Myrrima i Borensonem, omijając ich niby nurt rzeki wyspę.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy.

- Bo mnie zostawiłeś.

- Oczywiście, ale tylko na parę dni. I nie z własnego wyboru. Borenson musiał zabić króla Sylvarrestę i Myrrima wiedziała, że bardzo wciąż nad tym boleje, chociaż Sylvarresta oddał był swój rozum Rajowi Ahtenowi. Zrobił to wprawdzie pod przymusem, ale podczas podobnie strasznych wojen zawsze do głosu dochodziła okrutna prawda, że nawet przyjaźń czy więzy krwi muszą niekiedy ustąpić przed koniecznością. Oddając dar Wilczemu Władcy, król Sylvarresta uczynił się wrogiem każdego prawego męża i Borenson uznał zabicie starego druha za swój obowiązek.

Ioma, córka króla, nie chciała potem karać Borensona, jednak z drugiej strony nie mogła też lekko mu wybaczyć. Postanowiła zatem, że czyniąc sprawiedliwość, nakaze mu w ramach aktu skruchy udać się daleko za Inkarę, by odszukał legendarnego Daylana Młota, Sumę Wszystkich Ludzi, i sprowadził go do Heredonu, aby pomógł im w walce z Rajem Ahtenem.

Sprawa wydawała się przegrana. Wieść gminna wprawdzie niesła, że Daylan żyje, jednak czy można było traktować ją poważnie po szesnastu stuleciach? Sir Borenson wyraźnie nie miał ochoty wyruszać, zwłaszcza że mógł się przydać jako wojownik na miejscu. Ale cóż, słowo się rzekło, honor zobowiązywał. Niebawem miał się zbierać w drogę.

- Nie chcę tej wyprawy - powiedział. - Ale muszę ją podjąć.

- Do Inkarry daleka droga. Za daleka na samotną wędrowną. Mogłabym pojechać z tobą.

- Nie! Nie możesz. Nigdy nie wróciłabyś żywa.

- A ty jak możesz być pewien, że powrócisz? - spytała Myrrima, chociaż znała odpowiedź. Był kapitanem gwardii, miał dary krzepy, sił życiowych i metabolizmu. Jeśli ktokolwiek mógł bez szwanku przeniknąć na teren przeciwnika, to właśnie Borenson. Inkarra była dziwnym i niebezpiecznym krajem, gdzie nie tolerowano gości z Północy, którym niełatwo było się tam ukryć. Inkarranie mieli skórę jasną jak kość słoniowa i proste, srebrzyste włosy. Ani Borensonowi, ani Myrrimie nie udałooby się zataić swojego pochodzenia pod przebraniem. Poza tym zwykle pracowało się tam i żyło nocą. Za dnia tubylcy siedzieli w domach lub chowali się w cienistych lasach. Nie było szans, żeby wszystkich ich ominąć.

Gdyby Borenson trafił do niewoli, musiałby walczyć na ich mrocznej arenie. Żeby przeżyć, musiał przemykać się samotnie nocami, i to tak czujnie, by nie wpaść na żadnego miejscowego.

- Nie mogę cię zabrać - powiedział. - Spowalniałbyś mnie i oboje byśmy zginęli.

- Nie podoba mi się to - stwierdziła Myrrima. - Nie podoba mi się pomysł, byś wyruszał w pojedynek.

Do mostu zbliżył się sprzedawca z wózkiem i Myrrima odsunęła się, żeby zrobić mu drogę. Pociągnęła Borensona za sobą.

- Mnie też się to nie podoba, ale nijak nie możesz mi pomóc - odparł.

Myrrima pokręciła głową i łza spłynęła jej po policzku.

- Opowiadałam ci o moim ojcu - szepnęła. Był dość bogatym kupcem, który został najprawdopodobniej zamordowany i obrabowany, a jego sklep spalono, by zatrzeć ślady. - Czasem zastanawiam się, czy zdołałabym go uratować. Tamtej nocy, gdy zginął, nie był ani najbogatszym, ani najsłabszym kupcem w Bannisferre. Był tylko sam. Może gdybym z nim została...

- Też byś zginęła.

- Może. Ale czasem myślę, że lepiej było zginąć z nim wtedy, niż żyć dalej ze świadomością, iż mu nie pomogłam.

Borenson spojrzał na nią uważnie.

- Podziwiam twą lojalność, ale najgorszy dzień mego życia nastąpił nie dawniej jak w zeszłym tygodniu, gdy się dowiedziałem, że pojechałaś do Longmot, aby być ze mną. Chcę spać, a nie walczyć u twego boku. Nawet jeśli masz serce wojownika - dodał i pocałował ją czule.

Ich oczy spotkały się na krótką chwilę. Myrrima wyciągnęła błagalnie rękę.

- Jeśli nie mogę jechać z tobą, to aż do twojego powrotu nie zaznam szczęścia.

Borenson uśmiechnął się i pochylił, opierając czoło o czoło żony, po czym pocałował ją w nos.

- Zatem zgadzamy się. Żadne z nas nie będzie szczęśliwe do mego powrotu.

Stali tak przez dłuższą chwilę, a tłum pospólstwa przechodził obok. Myrrima usłyszała nagle paru ludzi rozmawiających gdzieś za jej plecami.

- Wybrał tę kurwę Bonny Cleads. Słowo daję, wybrał ją nawet nie pół godziny temu! Czemu Król Ziemi wybiera kogoś takiego jak ona?

- Mówi, że wybiera tych, którzy najbardziej kochają jego ludzi - odparł ktoś idący obok. - Nie znam nikogo, kto kochałby ich więcej niż ona.

Poczuła, jak Borenson sztywnieje w jej objęciach. Też usłyszał krytyczną wypowiedź o królu, ale zachował spokój, nie zaatakował rozmówców.

Nagle rozległ się krzyk i chłupot, jakby coś wpadło do fosy. Myrrima nie zwróciła na to uwagi, aż Borenson odwrócił głowę, by spojrzeć w tamtą stronę.

Też tam zerknęła. Hałas dobiegał od strony czterech nastoletnich chłopców stojących przy fosie na małym pagórku pod olbrzymią wierzbą.

Słońce jaśniało na czystym niebie, wczesnoporanne mgły unosiły się już znad ciemnych wód. Myrrima ujrzała wielką rybę zbliżającą się do powierzchni wody. Pływała leniwie tu i tam. Jeden z wyrostków cisnął w nią włócznią, ale uniknęła jej, machnąwszy szybciej ogonem, i zniknęła w głębi.

- Ejże tam! - krzyknął niby to gniewnie Borenson. - Co wyrabiacie?!

- Łowimy jesiota na Hostenfest! - odparł jeden z nich, chłopak z jasnymi włosami i nieco trójkątnym obliczem. - Rano wpłynęło do fosy kilka wielkich sztuk!

Gdy to mówił, parę sześcio- lub i ośmiostopowych ryb rzeczywiście pojawiło się w pobliżu mostu. Zaczęły krążyć wedle jakiegoś dziwnego wzoru. Całkiem ignorowały bobrujące w pobliskich trzcinach kaczęta. Nie polowały też najwyraźniej na muchy. Kolejny chłopak uniósł włócznię.

- Przestań! W imię króla! - rozkazał mu Borenson. Myrrima uśmiechnęła się mimowolnie, słysząc, jak jej mąż powołuje się na władcę.

Ten z uniesioną włócznią spojrział na Borensona jak na wariata.

- Ale nigdy jeszcze tak wielka ryba nie wpłynęła do fosy!

- Idź po króla! Natychmiast! - rzucił Borenson. - I powiadomić mi też czarnoksiężnika Binnesmana. Powiedzcie im, że stało się coś dziwnego i niezwykle ryby pojawiły się w fosie. Chłopak spojrział tęsknie na jesiota. Włócznię wciąż trzymał w górze.

- Ruszaj zaraz, bo jak nie, to ci nogi z tyłka powyrywam! - ryknął kapitan gwardii.

Młodzian spojrział raz jeszcze na Borensona i na rybę, po czym rzucił broń i pobiegł do zamku.

Zanim Gaborn dotarł do fosy, na brzegu zgromadził się wielki tłum wieśniaków. Z jednej strony wściekali się na rycerza broniącego wielkich jesiotów pływających ledwie dwadzieścia stóp dalej, z drugiej jednak dość się go bali. Wielu narzekało, że „może ryby starczy na królewski półmisek, ale dla nas już nie”.

Borensonowi starczyło kilka chwil, by zebrać informacje o niezwykłych przybyszach. Dziewięć jesiotów zauważono po raz pierwszy o świcie, gdy wpływały do fosy z rzeki Wye. Teraz krążyły płytko tuż pod murami miejskimi w dziwnym, złowieszczym tańcu.

Wraz z Gabornem nadeszła, trzymając go za rękę, Ioma. Za nimi postępował Binnesman i dwoje Dzienników. Ioma stanęła obok Myrrimy uśmiechnięta. Była rada, że i jej mąż wrócił do domu.

- Świetnie wyglądasz, pani - powiedziała Myrrima. - Rozkwitłaś. I była to święta prawda.

Ioma tylko się uśmiechnęła. Przez kilka ostatnich dni zapraszała Myrrimę na każdy posiłek, jakby dziewczyna była dworką z dawna przywykłą do podobnego życia. Dla Myrrimy było to dziwne; niezbyt dowierzała podobnej serdeczności. Jednak Ioma zdawała się szczerze cieszyć jej towarzystwem.

Przyzwoitka królowej, Chemoise, wyjechała w tym tygodniu na północ, do posiadłości swego wuja. Przez sześć lat były nierozłącznymi przyjaciółkami, ale teraz, gdy Ioma wyszła za mąż, nie potrzebowała już przyzwoitki. Niemniej Myrrima zastanawiała się, czy królowej nie brakuje kobiecego towarzystwa. Dziwnie łatwo się zaprzyjaźniała.

Ioma ucałowała Myrrimę w policzek i uśmiechnęła się na powitanie.

- I ty też ślicznie wyglądasz. Cóż to za poruszenie?

- Chyba chodzi o te wielkie ryby. Mam wrażenie, że nasi panowie i rycerze w głębi serca wciąż są małymi chłopcami.

- W rzeczy samej, nasi mężowie zachowują się dzisiaj dość osobliwie - przyznała Ioma, a Myrrima omal się nie roześmiała, bo przecież obie były zamężne dopiero od paru dni i żadna nie przywykła jeszcze nazbyt do zmiany statusu.

Po chwili ciemnowłosy i błękitnooki król Orden przykleknął na brzegu fosy tuż obok skupiska różowych lilii wodnych. Odziany w szkarłatno-rdzawe szaty Strażnik Ziemi Binnesman poszedł w jego ślady.

Gdy Gaborn dojrzał ryby, nie krył zdumienia. Wstał, podszedł do Borensona i przykucnął przy nim. Nie odrywał spojrzenia od krążących nad głębiną jesiotrów.

- Wodni czarnoksiężnicy? - spytał. - Tutaj, w fosie?

- Na to wygląda - odparł Borenson.

- Jacy wodni czarnoksiężnicy? - spytała Ioma. - To tylko ryby. Strażnik Ziemi spojrzał na Iomę uważnie i pogładził siwą brodę.

- Mylisz się, zakładając, że tylko ludzie zostają czarnoksiężnikami. Żywioty często wybierają zwierzęta. Jelenie, lisy i dziki nierzadko przyswajają sobie nieco magii, by ciszej chodzić po lesie albo lepiej kryć się pod drzewami. A te ryby wyglądają na bardzo potężne.

Gaborn uśmiechnął się promiennie do Iomy.

- Pytałaś mnie niedawno, czy mój ojciec przyprowadził wodnych czarnoksiężników na nasze wesele, a teraz Heredon sam z siebie sprawił mi niespodziankę, przysyłając swoich.

Ioma uśmiechnęła się jak dziecko i ścisnęła dłoń Myrrimy.

Myrrima wpatrywała się osłupiała w jesiotry. Owszem, słyszała plotki o wiekowych rybach żyjących podobno u źródeł rzeki Wye, magicznych rybach, które nie dawały się złowić. Zastanawiała się jednak, co one robią tutaj.

- Ale nawet jeśli żywiły je wybrały, co to ma wspólnego z nami? - spytała Ioma. - Nie umiemy się z nimi porozumieć.

- My zapewne nie - stwierdził Binnesman. - Ale Gaborn może ich wysłuchać.

Król spojrzał zdumiony na Strażnika Ziemi. Chyba nie dowierzał.

- Użyj swego daru wejrzenia - poradził mu Binnesman. - Po to go właśnie masz.

Za nimi zebrał się już tłum dzieci i wszelkich gapiów. Kilku większych chłopców przyniosło nawet sieci rybackie znad rzeki, inni gromadzili włócznie i łuki w nadziei, że jeśli król pozwoli, będą mogli zrobić sobie ucztę z jesiotrów. Wyraźnie woleliby je zjeść, niż tylko podziwiać.

Teraz, gdy słońce wzniosło się trochę wyżej, Myrrima mogła się lepiej przyjrzeć olbrzymim rybom o granatowych grzbietach. Krążyły tuż pod powierzchnią, ich płetwy

grzbietowe wysuwały się co rusz nad wodę, rysując dziwne wzory. Przypadkowy obserwator mógłby pomyśleć, że przygotowują się do tarła na modłę łososi.

- Czy woda w fosie zmieniła się jakoś od ich przyplłynięcia? - spytał głośno Gaborn.

- Jej poziom się podniósł - odparł Binnesman. - Powiedziałbym, że od rana przybyła ze stopa. - Zszedł na skraj fosy i zanurzył palce w wodzie. - Poza tym się oczyściła. Osady zniknęły.

Jedna z ryb zatoczyła leniwie S, zanurkowała głębiej i wypłynęła, by postawić kropkę, a po chwili przecięła rysunek na pół. Gaborn powtórzył jej szlak palcem.

- Popatrz - zwrócił mu uwagę Binnesman, wskazując rybę. - Ten jesiotr kreśli runę ochrony.

- Widzę. To prosty znak wodny, którego ojciec nauczył mnie w dzieciństwie. Jak sądzisz, przed czym szukają tu obrony?

- Nie wiem - mruknął Binnesman, wpatrując się w oczy ryby, jakby chciał wyczytać z nich odpowiedź. - Dlaczego ich nie spytasz?

- Za chwilę - obiecał Gaborn. - Nigdy nie próbowałem mojego daru na zwierzętach. Muszę najpierw zebrać myśli.

Ioma i Myrrima stały nad fosą i trzymając się za ręce, obserwowały, jak jesiotry kreślą runy na powierzchni wody. Obok przemykały ciemnozielone ważki. Dało się zauważyć, że ryby wybierają wodę wolną od trzciny i lilii.

Tymczasem Gaborn i Binnesman rozmawiali o znaczeniu znaków. Jeden z jesiotrów obok wierzby rysował nieustannie runę ochrony. Gaborn stwierdził, że drugi, pływający blisko środka fosy, kreśli znaki czystości, które klarują wodę. Co do trzeciego Binnesman rozpoznał runę uzdrawiania.

Inne ryby krążyły po torach, które nie mówiły nic ani Binnesmanowi, ani Gabornowi, choć młody król wychował się przecież w Tide, wśród wodnych czarnoksiężników. Strażnik Ziemi rzucił w końcu przypuszczenie, że te nieznanne runy schładzają wodę.

- Myślisz, że naprawę jest coraz zimniejsza? - wyszeptła Ioma do Myrrimy.

- Sprawdzę - powiedziała dziewczyna. Zeszła na wielki, płaski głaz i zanurzyła dłoń, chociaż nikt inny na brzegu nie odważył się tego uczynić. Binnesman miał rację. Woda była lodowata, całkiem jak w górskich źródłach. Na dodatek jej poziom naprawdę wyraźnie się podniósł.

- Zamarza! - krzyknęła Myrrima do Iomy.

Gaborn podszedł do Myrrimy. Pochylił się i zaczął na szklistej powierzchni kreślić proste runy ochrony. Naśladował poczynania ryb.

Wielki jesiotr podplynał do jego dłoni. Poruszając rytmicznie skrzelaми, obserwował palce władcy, jakby chodziło o coś jadalnego. Dla Myrrimy taka bliskość olbrzymiej ryby była czymś niezwykłym.

- Owszem. Ochronię was, jeśli zdołam - wyszeptał Gaborn do jesiotra. - Powiedz mi, czego się obawiacie?

Długo wpatrywał się w oczy ryby i rysował znaki, aż w końcu dotarł myślą głębiej, do jej umysłu. Zmarszczył brwi zaskoczony tym, co ujrział.

- Ciemność wśród wód - mruknął. - Ciemność, posmak metalu. Braknie tchu... Woda czerwienieje. - Młody król zamilkł i niemal wstrzymał oddech. Oczy uciekły mu w głaz czaszki.

Myrrima gotowa była złapać Gaborna, gdyby zaczął osuwać się do wody, ale Binnesman zszedł do nich i dotknął ramienia władcy.

- Co? - spytał Gaborn, budząc się z odrętwienia, i usiadł na kamieniu.

- Czego się obawiają? - chciał wiedzieć Binnesman.

- Chyba krwi - stwierdził Gaborn. - Boją się, że rzeka wypełni się krwią.

Binnesman przycisnął swoją łaskę do piersi, zmarszczył brwi i pokręcił w zdumieniu głową.

- Nie do wiary. Żeby wytoczyć rzekę krwi, trzeba naprawdę wielkiej bitwy, a nic nie zwiastuje bliskości wrogiej armii. Raj Ahten jest daleko. Ale coś dziwnego dzieje się i tak - stwierdził. - Poczulem to w nocy. Ziemia cierpi. Dreszczem i ukłuciami dała mi znać o jakichś wydarzeniach w Crowthenie Północnym, a potem jeszcze daleko na południu. Trzęsie się tam i drży. Nawet tutaj, pod naszymi stopami, też z lekka się porusza.

- Niemniej i tak obecność czarnoksiężników w naszej fosie raczej mnie uspokaja - powiedział Gaborn spokojnym tonem. Spojrzał na tłum, a szczególnie na chłopców z włóczniami, łukami i sieciami. - Niech nikt nie waży się łowić w tej fosie ani zanieczyszczać jej wód. Niech nikt nie próbuje w niej pływać. Czarnoksiężnicy zostaną tu jako nasi goście. - Po czym zwrócił się do Binnesmana. - Czy możemy odciąć fosę od rzeki?

Myrrima wiedziała, że to nie powinno być trudne. Fosa była zasilana za pośrednictwem jazu.

- Oczywiście - odparł Strażnik Ziemi i rozejrzał się wkoło. - Wy, Daffyd i Hugh, biegnijcie zamknąć przepływ. I pospieszcie się.

Dwóch rosłych chłopców pobiegło ku strumieniowi, powiewając połami koszul i zdrowo machając łokciami.

Myrrima patrzyła, jak czarnoksiężnik prostuje grzbiet i unosi twarz do porannego słońca. Wstrzymała oddech w oczekiwaniu, co powie.

- Panie - odezwał się Binnesman głosem tak cichym, że nawet większość bliżej stojących nie mogła go słyszeć. - Ziemia przemawia do nas. Przemawia poprzez lot ptaków i poruszenia zwierząt, czasem przez jęk kamienia, jednak cały czas coś nam mówi. Nie wiem, co chce nam przekazać tym razem, ale nie podoba mi się to stwierdzenie o rzekach pełnych krwi.

Gaborn pokiwał głową.

- Co twoim zdaniem powinienem uczynić?

- Raj Ahten zabrał ze sobą potężną tkaczkę płomieni - powiedział w zamyśleniu. - Zabiłeś ją wprawdzie, ale jestem pewien, że ogień wzniesiony przez jej towarzyszy wciąż trawi puszcze naszych krain.

- Bez wątpienia.

- Myślę, że planów, które mają pozostać tajemnicą, lepiej będzie nie rozważać w pełnym blasku dnia ani przy ogniu, nawet gdyby miał to być płomyk świecy. Jeśli będziesz musiał zebrać radę, czyn to przy świetle gwiazd. Albo jeszcze lepiej w ciemnej komnacie kamiennej budowli, by ziemia mogła utajnić wasze rozmowy.

Myrrima słyszała, że tkacze płomieni mogą podobno niekiedy wysłyszeć w syku płomieni to, co inni ludzie mówią przy innym ogniu, ogniu płonącym w innym kraju, odległym czasem i o setki mil. Niemniej sama nigdy nie spotkała czarnoksiężnika, który by to potrafił.

- Dobrze - odparł Gaborn. - Przeniesiemy spotkania do wielkiej sali i przez całą zimę nie będziemy tam palić ognia. Wydaję też rozkaz, by nikt nie ważył się rozprawiać o strategii lub tajemnicach wojskowych w świetle dnia ani przy ogniu.

- To powinno wystarczyć - stwierdził Binnesman.

Potem król, Ioma wraz z Dziennikami i Binnesmanem poszli obejrzeć głowę raubena i wrócili do zamku. Borenson został jeszcze chwilę i wystawił posterunki przy fosie, zobowiązując wartowników, by strzegli spokoju ryb.

Myrrima stała obok niego zadumana. W ciągu ostatniego tygodnia jej życie bardzo się zmieniło na lepsze, jednak ostrzeżenie, które Gaborn przekazał Borensonowi, kazało się obawiać, że temu wszystkiemu może zagrazić coś potwornego. Rzeki krwi. Wkoło miasta Sylvarrestów obozowały teraz takie tłumy, że mogłoby się wydawać, iż cała ludzkość ciągnie do Heredonu ujrzeć Króla Ziemi. Cokolwiek się szykowało, Myrrima znalazła się niebezpiecznie blisko centrum wydarzeń.

Wspięła się na groblę, by spojrzeć na cizbę i na wzniesione przez ostatnie dni miasto namiotów. Na południu i zachodzie widać było tumany kurzu zwiastujące nadciągających drogami kolejnych przybyszów. Poprzedniego wieczoru Myrrima słyszała, że zamożni kupcy nadpływają nawet Lysle.

Tyłu ludzi tu ściągnęło... Król Ziemi władać ma wręcz legendarnymi mocami, ale z drugiej strony, pojawia się tylko w najmroczniejszych czasach. Ktokolwiek pragnie przeżyć, gdziekolwiek by dotąd mieszkał, będzie chciał znaleźć się tutaj. Blisko Mrocznej Puszczy, w której załęgł się raubenowie. I tej fosy z wodnymi czarnoksiężnikami. Niebawem rzeczywiście stawi się tu dość ludzi, by wypełnić swą krwią koryto wielkiej rzeki.

Wobec tej myśli Myrrima poczuła się mała i bezbronna. Lękała się przyszłości. I tego jeszcze, że Borenson miał wyjechać, przez co nie będzie mogła na niego liczyć.

Muszę przygotować się nawet na najgorsze, pomyślała.

Ruszyła wraz z mężem do zamku. Na chwilę jeszcze zatrzymała się na moście, by popatrzeć na kołujące w fosie ryby. Ich obecność dodawała jej ducha. Wodni czarnoksiężnicy zawsze słynęli ze sztuki obrony i uzdrawiania.

Późniejszym rankiem Myrrima kończyła jeść w Wieży Królewskiej śniadanie wraz z królem, królową i ich Dziennikami. Chociaż była już przyjaciółką Iomy, obecność Gaborna wciąż ją onieśmiałała.

Zresztą przy stole przez cały czas panowała kłopotliwa cisza. Ani Gaborn, ani Borenson nie chcieli rozprawiać o niedawnym polowaniu i w ogóle mało co mówili. Gaborn otrzymał na dodatek niepokojące wieści z Mystarrii i zamknął się w sobie, głęboko zamyślony i zasmucony.

Kończyli już prawie, gdy w drzwiach sali jadalnej stanął stary kanclerz Rodderman. Wyglądał nader dostojnie ze starannie uczesaną siwą brodą na tle czarnego płaszcza, oznaki jego urzędu.

- Panie, pani - zaczął. - Diuk Groverman czeka w przedpokoju. Prosi o audiencję.

Ioma spojrzała niespokojnie na Roddermana.

- Czy to ważne? Od trzech dni nie widziałam się z mężem.

- Nie wiem, ale diuk już od pół godziny nic, tylko chodzi z kąta w kąt.

- Naprawdę? - zaśmiała się Ioma. - Nie możemy pozwolić, aby zbyt się zdrzyżył.

Chociaż królową rozbawił dobór słów, Myrrima wyczuła, że Groverman jej w gruncie rzeczy nie obchodzi.

W końcu diuk wszedł do jadalni. Był to niski mężczyzna z przydługimi jakby kończynami, pokrytą zmarszczkami twarzą i tak blisko osadzonymi oczami, że jeśli czegoś miał on w nadmiarze, to na pewno brzydoty. Całkiem nie pasował do towarzystwa rycerzy i innych szlachetnie urodzonych. Myrrima słyszała, że podobno diuka spędził kiedyś jakiś upośledzony stajenny.

W związku ze świętem Groverman nosił pyszną czarną szatę wyszywaną w ciemnozielone liście. Włosy dopiero co uczesał, podobnie jak i gustownie rozdławającą się brodę. Jak na szpetnego i niezgrabnego ubierał się bardzo wytwornie.

- Wasza wysokość - uśmiechnął się i skłonił nisko - mam nadzieję, że nie przeszkadzam w posiłku?

Myrrima pojęła, że Rodderman kazał zaczekać diukowi, aż król i królowa skończą jeść, i zrobił to, nim jeszcze zawiadomił ich o przybyciu gościa.

- Wcale - stwierdził Gaborn. - Miło z twojej strony, że zechciałeś tak cierpliwie poczekać.

- Po prawdzie sprawę mam dość pilną, chociaż niektórzy mogą sądzić inaczej - powiedział diuk. Spojrzał znacząco na Iomę, aż Myrrima zastanowiła się, do czego właściwie gość pije, szczególnie że królowa wyglądała na zakłopotaną. - Proszę wybaczyć mi tę śmiałość, ale przywożem prezent ślubny, wasza wysokość.

Przez kilka ostatnich dni wszyscy możnowładcy królestwa zasypywali nowego króla i królową podarunkami, czasem bardzo kosztownymi, wyraźnie w nadziei wkupienia się w łaski.

Większość przyprowadziła swoich synów lub zaufane sługi, by pomóc w odbudowaniu Gwardii Królewskiej. Chociaż po prawdzie pomoc ta była obustronna. Młodzieńcy służyli jak trzeba, ale z drugiej strony przypominali swą obecnością o ofiarności ojca. Ponadto próbowali zwykle załatwić coś dla niego, a nawet szpiegować na jego rzecz. Niekiedy mogli też szukać dla rodzin okazji do nowych sojuszy z możnymi mieszkającymi w odległych krańcach królestwa albo i poza jego granicami.

W ciągu trzech dni szeregi gwardii zagaściły się na tyle, że mimo poprzednich strat nie zachodziła konieczność przeprowadzenia poboru wśród poddanych. Więcej nawet, pojawił się problem z wyszukiwaniem zadań dla nowych gwardzistów.

- Jaki to prezent, żeś tak pilnie wypatrywał spotkania? - spytała Ioma.

- To sprawa poniekąd delikatnej natury - zaczął Groverman. - Jak wiecie, los nie pobłogosławił mnie synami ni córkami, nie mogę zatem oddać wam mych dzieci na służbę. Przywiozłem jednak coś, co drogie jest memu sercu. - Klasnął w dłonie i spojrzał wyczekująco na drzwi sali jadalnej.

Do środka wszedł chłopiec niosący w każdej z wyciągniętych rąk po szczeniaku. Trzymał je za skórę na karku. Oba psiaki miały żółtą sierść i patrzyły wkoło zagubione wielkimi, brązowymi oczami. Myrrima nie znała tej rasy. Nie były to ogary ani żadne inne psy myśliwskie, które by kiedykolwiek widziała, nie były to też popularne wśród dam z chłodniejszych krajów pieski salonowe. Przypominały zwykle kundle, tyle że oba miały identyczne umaszczenie: krótki włos słomianej barwy na grzbiecie i białe plamy na podgardlu.

Sam chłopiec miał około dziesięciu lat, chodził w grubych skórzanych spodniach i nowym płaszczu, a wszystko było równie czyste i porządne jak u diuka Grovermana. Podał szczeniaki Gabornowi i Iomie.

Psiak Gaborna zaczął zaraz obwąchiwać mu palce, na których został zapach podanych na śniadanie kiełbasek. Wilgotny język zaczął oblizywać dłoń. Gaborn pieszczotliwie potargał szczeniakowi uszy i obrócił na grzbiet, żeby sprawdzić pleć. Był to samczyk. Piesek zamachał energicznie ogonkiem i z pewnym wysiłkiem powrócił do poprzedniej pozycji. Najwyraźniej zamierzał poobgryzać palce Gaborna. Prawdziwy wojownik.

- Dziękuję - powiedział Gaborn, wciąż jeszcze zaskoczony. - Ale nie znam tej rasy. Do czego ich używacie?

Myrrima spojrzała na Iomę ciekawa, jak przyjęła szczeniaka, ale ku swemu wielkiemu zdumieniu ujrzała, że królowa ledwie panuje nad sobą, mało nie wybuchnie.

Diuk też musiał to spostrzec.

- Wysłuchajcie mnie - zwrócił się do Gaborna. - Niełatwo mi się rozstać z tymi szczeniakami, wasza wysokość. Zwykle bierzemy dary od ludzi, jednak ty, najjaśniejszy panie, będąc związany przysięgą, nie palisz się, jak wiem, do korzystania z tej możliwości. Chociaż wiele osób chciało w ostatnich dniach zostać twym darczyńcą, ani ty, wasza królewska mość, ani królowa, nie wzięliście od nich darów. Jednak trzeba nam przygotować się na wszelką ewentualność.

Myrrima słuchała z niedowierzaniem, jak Groverman mówi głośno to, co ona pomyślała skrycie niecałą godzinę wcześniej.

- To trudna decyzja - zgodził się Gaborn ze smutkiem. Myrrima, która przyjęła dary urody i umysłu od siostr i matki, rozumiała go w pełni. Wiedziała, jakie poczucie winy wiąże się nieodwołalnie z podobnym postępkim.

- Nikt lekką ręką nie weźmie drugiemu krzepy, sił życiowych ani rozumu - powiedział król. - Jednak dopuszczam taką możliwość przez wzgląd na dobro królestwa.

- Rozumiem - odparł Groverman. - Proszę was jednak, panie, pani moja, byście rozważyli również możliwość przyjęcia daru od psa.

Ioma wyraźnie zeszywniała.

- Diuku Groverman - syknęła - to obraza!

Diuk rozejrzał się niespokojnie. Teraz dopiero Myrrima skojarzyła, co to za rasa psów. Rzeczywiście, nigdy ich dotąd nie widziała, ale słyszała o nich. Wyhodowano je specjalnie dla pozyskiwania darów. Były to psy o wielkich zasobach sił życiowych i nadzwyczaj czułym węchu.

- Może i obraza, pani ale chyba lepsze to niż odbieranie tego, co najcenniejsze, ludziom - bronił się Groverman. - Powiadają, że jeden pies ma węch pięćdziesięciu ludzi. Sądzę, że moje szczeniaki mają nosy sto razy czulsze niż przeciętny człowiek. Pytam zatem, co jest lepsze: zabrać węch stu ludziom czy jednemu szczeniakowi? Co do sił życiowych te psy słyną z wytrzymałości. Od wielu pokoleń Wilczy Władcy zmuszali je do walk w dołach, tak żeby przetrwały tylko najsilniejsze. Żaden człowiek w pojedynkę nie da tyle co jeden taki pies. Można od nich pozyskiwać też metabolizm i słuch, chociaż obawiam się, że te szczeniaki są jeszcze za małe, by szukać u nich krzepy. Na dodatek człowiek musi ofiarować dar dobrowolnie i nie zawsze udaje się przenieść go w całości, a jeśli zaczniecie karmić te szczeniaki i pobawicie się z nimi przez parę dni, staną się wam tak oddane, że o jakichkolwiek stratach nie będzie mowy. Żadne inne zwierzę nie potrafi kochać tak żarliwie i z takim poświęceniem jak te szczeniaki.

Iomę ogarnęła taka pasja, że po prostu zabrakło jej słów. Przyjmowanie darów od zwierząt uznawano za coś obrzydliwego, nieledwie zboczenie. Niejeden dumny król kazałby cisnąć diuka do fosy za podobną sugestię.

Gaborn był władcą, który związał się ślubowaniem, kimś takim był również ojciec Iomy. Ślubów zezwalał im przyjmować dary tylko od tych wasali, którzy oddawali je dobrowolnie; mężczyzn i kobiet obdarzonych szczególnymi cechami, jak bystry umysł albo wielka odporność, ale nie dość ogólnie sprawnych, by przydać się w walce. Wiedząc, że ta służba jest przed nimi zamknięta, poddawali się oni działaniu drenów, aby jednak coś zrobić dla dobra bliźnich.

Jednak nie wszyscy władcy Rofehavanu wzięli się ślubem. Ojciec Gaborna miał się za „pragmatycznego”, a tacy często kupowali dary. Wielu ludzi godziło się sprzedać swój wzrok czy słuch w zamian za złoto. Ostatecznie niejeden kocha złoto bardziej niż samego siebie. Ioma powiedziała jednak Myrrimie, że ojciec Gaborna porzucił z czasem takie praktyki, gdy pojął, co może wówczas kierować ludźmi. Wieśniak lub nawet szlachcic, gdy zdarzyło mu się popaść w długi, mógł chcieć się w ten sposób ratować, a wówczas miał powody, by targować się do upadłego.

Ojciec Gaborna uznał, że pragmatyczne podejście do sprawy prowadzi do niegodziwości. Bo co, jeśli ktoś sprzedaje swój dar z chciwości? Albo z poczucia beznadziei? Lub ze zwykłej głupoty pozbywa się swego największego skarbu dla kilku marnych sztuk złota?

Myrrima też uważała, że niejeden władca mieni się „pragmatycznym” po to jedynie, by ukryć swą żądzę zagarniania cudzych darów. Tacy ludzie chętnie przyjmowali je w rozliczeniu za zaległe podatki. Ilekroć podwyższali jakieś opłaty, poddani na pewno zastanawiali się, o co tak naprawdę chodzi ich panom.

Niemniej i tak najgorsi byli ci zwani Wilczymi Władcami. Ponieważ nie można było otrzymać daru od wasala wcześniej, nim on sam o tym zdecydował, niektórzy nieustannie szukali sposobów, aby „zachęcić” poddanych do ofiary. Stosowali w tym celu szantaż, fizyczne i psychiczne tortury. Raj Ahten zmusił króla Sylvarrestę do oddania rozumu, grożąc, że uśmierci jego córkę. Potem skłonił Iomę do oddania urody w zamian za obietnicę, że nie podda jej ojca torturom, nie zamorduje jej przyjaciółki Chemoise, nie zabierze królestwa. Wilczy Władcy zwykle tak postępowali i za to przede wszystkim ich nienawidzono.

Określenie „wilczy władca” sugerowało, że owi ludzie są na tyle zachłanni, iż gotowi są brać dary nawet od zwierząt. W dawnych mrocznych czasach ludzie przyjmowali je od psów, i to nie tylko węch, siły życiowe czy metabolizm, ale niekiedy nawet rozum. Powiadano, że tak wyposażony mąż lepiej sprawnia się w walce, bo przybywa mu sprytu i żądzы krwi.

W wyniku tych praktyk sięganie po psie dary stało się jednak w Rofehavanie czymś niegodnym. Wprawdzie Raj Ahten nigdy się do tego nie posunął, ale i tak zwano go Wilczym Władcą. A teraz Groverman ośmielał się obrażać Iomę, prosząc ją, by sama stała się kimś podobnym.

- Póki nie korzysta się z rozumu psa, trudno to uznać za rzecz naganną - ciągnął diuk, jakby zachęcony tym, że nikt nie podjął z nim dysputy. - Pies bez wężu wciąż jest świetnym zwierzęciem domowym. Jeśli tylko ma dobrego opiekuna, nie ma z nim kłopotów. Dalej daje się kochać. Odda powonienie tak samo chętnie, jak chętnie bawi się z dziećmi. Po prawdzie policzyłem nawet, ilu na jednego darczyńcę wypada rolników, garbarzy, murarzy, krawców i tak dalej. Otóż wychodzi, że utrzymanie jednego wymaga pracy dwudziestu czterech rolników i rzemieślników. Ośmiu kolejnych musi pracować na konia darczyńcę. Jednak do dbania o jednego psa darczyńcę starcza tylko jeden człowiek. To naprawdę wielka oszczędność.

Wojującemu władcy dobre psy są równie niezbędne jak broń i pancerz. Raj Ahten ma na swe rozkazy specjalnie szkolone mastiffy z licznymi darami. Jeśli nie pozwolisz, panie, by te psy posłużyły jako darczyńcy twym wojownikom, zastanów się przynajmniej, czy nie mogłyby przekazać darów twoim brytanom bojowym.

- To obraza! To wręcz niesłychane! - zakrzyknęła Ioma i spojrzała błagalnie na Gaborna.

- Ani jedno, ani drugie, wasza wysokość - stwierdził Groverman. - Wspomniałem jedynie, że to mogłoby być praktyczne. Przez pół godziny stałem pod drzwiami, gdy śniadaliście, i co? Wiedzieliście o mojej obecności? Gdybym był zabójcą, mógłbym się na was zasadzić. Jednak mając dar wężu od jednego tylko psa, nie musielibyście widzieć mnie ani słyszeć, żeby wyczuć, jak stoję za progiem.

- Nie chcę, by zwano mnie Wilczycą - zaprotestowała Ioma i postawiła swojego szczeniaka na podłodze. Psiak podszedł do Myrrimy i zaczął obwąchiwać jej nogę. Dziewczyna podrapała go za uchem.

Gaborn nie wyglądał na urażonego. Może pod wpływem ojca? zastanowiła się Myrrima. Stary król uchodził za roztropnego. Tylko czy ktoś związany ślubem może bez szkody dla siebie zostać Wilczym Władcą?

- Wasza wysokość - odezwał się znów Groverman. - Mimo wszystko nalegam, byś rozważył moją propozycję. Raj Ahten na pewno naśle tu zabójców, ich przybycie jest tylko kwestią czasu. Ani ty, ani twa małżonka nie jesteście przygotowani na spotkanie z Niezwyciężonym, rozniosło się już też, że jesteś, panie, związany przysięgą. Nie wiem, jak zamierzasz stawić czoło Ahtenowi, ale panowie heredońscy zaczynają się już z lekka niepokoić. Może się zdarzyć, że staniesz wobec problemu braku darczyńców, skoro nie zamierzasz płacić za ich usługi.

Gaborn pogłaskał w zamyśleniu futrzastego szczeniaka, który zawarczał i złapał go zębami za palec.

- Zabieraj swoje kundle i wynoście się stąd - rzuciła Ioma. - Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Gaborn uśmiechnął się nagle, spojrzał na żonę, na Grovermana i pokręcił głową.

- Ja nie potrzebuję darów od psów - stwierdził. - A ty, skoro nie chcesz być Wilczycą, to przecież nie musisz - powiedział do Iomy. - Ale możemy tak wytresować twój szczeniaka, by czekał na obcych próbujących wejść do twej sypialni. Zostanie twoim strażnikiem. To też może czasem ocalić życie.

- Nie chcę go widzieć - odparła Ioma.

Myrrima podniosła bezpańskiego od tej chwili szczeniaka. Wtulił jej łeb między piersi, potem spojrzał w oczy.

- Zatem co do nas, wszystko już wiadomo - powiedział Gaborn. - Niemniej jeśli chodzi o naszych żołnierzy, to Groverman ma rację. Potrzebuję strażników i zwiadowców z czułymi nosami, by mogli wywąchać każdą zasadzkę. Niech moi ludzie sami uznają, czy miano

Wilczego Władcy jest dla nich zaszczytem, czy przekleństwem. - Skłonił się lekko, dziękując Grovermanowi za jego dar. - Moje wyrazy wdzięczności, panie.

Gaborn spojrział na chłopca, który przyniósł szczeniaki. Myrrima zrozumiała, że dar nie ogranicza się do psów. Chłopiec był ciemnowłosy, smukły, sam przypominał wilczka.

- Powiedz mi, jak się nazywasz - odezwał się doń Gaborn.

- Kaylin - odparł chłopak, opadając na jedno kolano.

- To prześwietne psy. Rozumiem, że jesteś ich opiekunem?

- Pomagałem jeno. - Chłopak nie wyrażał się może nazbyt poprawnie, ale bystre oczy zwiastowały wrodzoną inteligencję.

- Lubisz je? - spytał Gaborn, a chłopak pociągnął nosem i uronił łzę. W końcu pokiwał głową.

- Dlaczego się smucisz?

- Dogałędałem jeich od urodzenia. Nie chcę, żeby coś im się stało, waszwysokość.

Gaborn spojrział na Grovermana. Ich oczy się spotkały. Diuk uśmiechnął się i skinął głową.

- Słuchaj, Kaylin - powiedział Gaborn - czy chciałbyś zostać w moim zamku, żeby dalej się nimi zajmować?

Chłopcu aż szczeka opadła ze zdumienia. Myrrima domyśliła się, że Groverman nie uprzedził go o takiej możliwości. Gaborn uśmiechnął się do diuka.

- Ile takich szceniaków mógłbyś mi dostarczyć?

- Rozmnażam te psy od czterech lat. Czuję, że szykują się kłopoty. Czy tysiąc starczy?

Gaborn aż zęby wyszczerzył. To był isticie królewski dar, i to mimo że Ioma najchętniej skoczyłaby na diuka z pazurami.

- Myślisz, że będziemy je mieli do wiosny? Tysiąc to chyba wiele.

- O wiele wcześniej. Siedem setek czeka już na zewnątrz na wozach. Reszta będzie się nadawała do podróży za kilka tygodni.

Myrrima wiedziała, że jesień nie jest najlepszą porą na szczeniaki. O wiele więcej rodziło się ich wczesną wiosną i na początku lata. Te siedemset musiało przyjść na świat w ciągu ostatnich szesnastu-osiemnastu tygodni.

- Wielkie dzięki - powiedział Gaborn. Postawił swojego szczeniaka na podłodze i wrócił do stołu.

Groverman z Kaylinem wyszli.

Królewski psiak podszedł do Myrrimy i zaczął ją szarpać za stopę. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy dała mu kielbaskę ze swojego talerza.

Ioma wyglądała jednak na tak zirytowaną obecnością psów, że Myrrima postanowiła wziąć je z sali jadalnej i odnieść do pozostałych. Uzyskawszy zgodę królowej, złapała szczeniaki, chwyciła jeszcze talerz kielbasek i wyszła z warowni. Na trawniku spotkała Kaylina spoglądającego ponurawo na wóz pełen zwierzaków.

Nowy doradca Gaborna, Jureem, który jeszcze niedawno służył Rajowi Ahtenowi, stał obok chłopca, plecami do Myrrimy, i udzielał Kaylinowi nauk. Z powodu ujadania psów musiał mówić dość głośno.

- Przyjdzie ci służyć z całych sił, bez wytchnienia - perorował. - Psy muszą być silne, a to będzie zależeć od tego, jak będziesz karmił je i poił, jak często będziesz je kąpał.

Chłopiec energicznie kiwał głową. Myrrima zatrzymała się za Jureemem. Już wcześniej widziała, jak pouczał służbę domową, naprzykrzając się a to pokojówce, a to stajennemu, i ciekawa była, cóż właściwie były niewolnik z odległego kraju może mieć do powiedzenia.

- Dobry sługa poświęca się bez reszty dla swojego pana - ciągnął dobitnie Jureem z wyraźnym taifańskim akcentem. - Nigdy nie poddaje się zmęczeniu, nigdy nie zaniedbuje swoich obowiązków. Zawsze wykonuje co do niego należy najlepiej jak potrafi. Służy swemu panu myślą i uczynkiem, odgaduje jego życzenia, zanim jeszcze zostaną wypowiedziane. Poświęca swe życie, swe marzenia i przyjemności dla jego dobra. Potrafisz to uczynić?

- Ale ja chcę tylko opiekować się psami - powiedział chłopiec.

- Opiekując się nimi, będziesz służył swemu panu. Takie zadanie zostało ci wyznaczone. Ale jeśli znajdziesz dla siebie inne zajęcie, wówczas musisz być gotowy wypełnić jego rozkaz. Rozumiesz?

- Znaczy, że może zabrać mnie od psów? - jęknął Kaylin.

- Pewnego dnia może i tak. Jeśli będziesz się dobrze sprawiał, przyda ci nowych obowiązków. Może kazać ci pracować i poza psiarnią, w stajni na przykład, albo przeznaczyć do tresowania brytanów bojowych. Może cię nawet wcielić do gwardii i dać broń. Przecież psy darczyńcy to też dogodny cel dla zabójców Raja Ahtena. Przydasz się królowi. On całe dnie i noce pracuje dla swego ludu. Ucz się od niego oddania. Wszyscy służymy sobie nawzajem. Człowiek jest niczym bez swego pana. Pan jest niczym bez swoich sług - zakończył Jureem i odszedł szybkim krokiem do jakichś kolejnych powinności.

Chłopiec przez dłuższą chwilę rozważał jego słowa, a potem spojrzął na Myrrimę i odetchnął głęboko. Uśmiechnął się do niej, podobnie jak wszyscy mężczyźni od czasu, gdy otrzymała dar urody.

Postawiła oba szczeniaki u swoich stóp, obok talerza. Zaraz zajęły się kielbaskami. Pogłaskała psiaki. Aż do tej chwili nie wiedziała, co robić. Teraz pojęła, że musi przygotować się na najgorsze, a słowa Jureema tylko ją w tym utwierdziły.

- One cię lubią - mruknął Kaylin.

- Dobrze je znasz? Wiesz, który jest z jakiej suki?

Kaylin skinął głową. Jasne, że wiedział. Właśnie dlatego Groverman odesłał go na służbę do króla Ordena.

- Chcę cztery - powiedziała Myrrima, cicho, żeby nikt nie podsłuchał. Dobrze rozumiała, że biorąc sobie szczeniaki bez wiedzy króla, popełnia kradzież, ale chłopiec nie mógł o tym wiedzieć. Przecież widział dopiero co, jak zasiadała przy jednym stole z królem i królową i mógł przypuszczać, że ta szlachetnie urodzona kobieta ma prawo do szczeniaków. Myrrima miała nadzieję, że jeśli bardzo się postara, naprawdę sobie na nie zasłuży. - Od dwóch będę chciała wziąć siły życiowe, od jednego powonienie i od ostatniego metabolizm. Możesz wybrać mi najlepsze?

Kaylin pokiwał energicznie głową.

Po śniadaniu Ioma i Gaborn wrócili na chwilę do sypialni i zamknęli za sobą drzwi, zostawiając oboje Dzienników w przedpokoju.

Ioma nie czuła się tu najlepiej. Wielkie łóżce z płaskorzeźbami przedstawiającymi błaznów i królów w nogach i ananasy w głowach jeszcze tydzień wcześniej należało do jej rodziców. Na szafce przy wykuszowym oknie, gdzie rankiem było najlepsze światło, stały wciąż perfumy i kosmetyki jej matki, rzeczy jej ojca ciągle jeszcze wisiały w szafach. Gaborn nie przywiózł wiele własnych ubrań, zresztą stroje starego króla całkiem dobrze na niego pasowały.

Jednak to nie przedmioty były najgorsze, ale budzący wspomnienia zapach. Ioma wciąż czuła na poduszce woń włosów matki, ślady jej maści do ciała i perfum.

Czy powinnam mu powiedzieć? zastanawiała się. Była pewna, że nosi w sobie dziecko Gaborna. Pobrali się wprawdzie ledwie cztery dni wcześniej, nie miała żadnych mdłości i zostało jeszcze trochę czasu do jej zwykłej, comiesięcznej pory, ale czuła się dziwnie, jakby jakiś obcy element pojawił się w głębi jej ciała. Na dodatek Myrrima powiedziała jej dzisiaj: „Rozkwitłaś”.

Ale czy to dowód czegośkolwiek? Niekoniecznie. Nie śmiała zdradzać się z tymi nadziejami przed Gabornem.

Siadła na brzegu łóżka, niepewna, czy Gaborn pragnie jej w tej chwili, czy nie, on jednak stanął zamyślony przy oknie i przez dłuższą chwilę patrzył gdzieś na południe.

- Zdecydowałeś już, co zrobić? - spytała. Przed ślubem myślał tylko o tym, jak pokonać Raja Ahtena, usiłował odgadnąć, gdzie Wilk uderzy w następnej kolejności. Jako Król Ziemi

winiem chronić ludzi, więc wzdragał się przed zabijaniem kogokolwiek, nawet wroga. Tego ranka wieści o nowych atakach Ahtena mocno go zaniepokoiły. Ioma zachęcała męża do polowania w nadziei, że porzuciwszy na kilka dni obowiązki, wypogodzi się nieco, a przyczyny jego trosk same się po części rozwiążą.

- Zaczyniesz przyjmować dary? Już tysiące ludzi zgłosiły się na twoich darczyńców.

Gaborn pochylił głowę.

- Nie mogę - stwierdził. - Z każdą chwilą jestem tego coraz bardziej pewien.

Tydzień wcześniej oboje stracili ojców. Zaraz potem Gaborn zamierzał nabrać wiele tysięcy darów, żeby móc zabić Raja Ahtena. Teraz jednak podobne myśli go opuściły. Przyjmowanie darów było ryzykowne. Owszem, darczyńca może być całkiem chętny, ale niebezpieczeństwo pozostawało. Oddawszy krzepę, osłabiałoby się serce, które mogło się okazać za słabe, aby dalej bić. Człowiek gasł wówczas w parę chwil. Inny przestawał być zdolny do normalnego trawienia pokarmów albo zbyt ciężko mu mięśnie klatki piersiowej i zaczynał mieć kłopoty z oddechem. Umierał wówczas z głodu lub też po prostu się dusił. Ktoś bez należytej ilości sił życiowych mógł odejść z tego świata, zaraziwszy się niewinną nawet chorobą.

Tak zatem każdy, kto przyjął dar, narażał się na głębokie poczucie winy. Co gorsza, ponieważ potężny Władca Runów był prawie niezwycięzony, tylko głupiec atakowałby go wprost. O wiele częściej próbowano zabić jego darczyńców, by przerwać łączącą ich z nim magiczną nić i osłabić go tym samym, bardziej upodobnić do innych ludzi.

Borenson uczynił tak z darczyńcami Iomy, co było dla niej ponad miarę bolesne. Zginęło wielu dobrych mężów, sporo zacnych kobiet. Królowa opłakiwała ich przez szereg nocy, gdyż z wieloma łączyła ją przyjaźń. Oni też kochali to królestwo i pragnęli wzmocnić je na miarę swych sił.

Jako Król Ziemi Gaborn szukał sposobów, aby ochronić swój lud. Darczyńców mógł zamknąć w warowniach, mógł ustawić na ich straży najwaleczniejszych rycerzy, przydać im lekarzy dla lepszej opieki, ale to ciągle nie byłoby dość.

Dla Gaborna kwestia była dwuznaczna moralnie, niemniej Ioma i tak się zastanawiała, jak niby wielki Król Ziemi, nadzieja tego świata, ma zamiar wypełnić swe zadanie, jeśli nie robi nic, by utrudnić wrogom zamach na siebie?

- W zeszłym tygodniu złożyłeś mi przysięgę - powiedziała. - Ale czyżbyś całkowicie porzucił myśl o przyjmowaniu darów? Nie rozumiem dlaczego. Jesteś dobrym człowiekiem. Jeśli skorzystasz jedynie z darów wybranych, na pewno użyjesz ich mądrze i rozważnie. Staniesz się dzięki temu lepszym władcą, a ponieważ jesteś Królem Ziemi, zawsze się dowiesz, kiedy twoi darczyńcy znajdują się w niebezpieczeństwie, i będziesz mógł ich ochronić.

- Wiedza o zagrożeniu a możliwość ocalenia kogoś to dwie całkiem różne sprawy - odezwał się ze smutkiem Gaborn. - Nawet przy wszystkich moich zdolnościach mogę nie dać rady ich ocalić.

- A co z Rajem Ahtenem? Co będzie, gdy naśle swoich zabójców? Bo uczyni to na pewno.

- Jeśli wyśle zabójców, wyczuję to i uciekniemy - stwierdził Gaborn. - Ale już nigdy nie stanę do walki z innym człowiekiem, chyba że zostanę do tego zmuszony.

Ioma nie wiedziała, co o tym myśleć. Ceniła życie, przede wszystkim życie swych poddanych, ale nie mogła machnąć ręką na Wilka. Nie mogła odpuścić mu win, przebaczyć, że zamordował jej rodziców. Podobnie jak i rodziców męża.

Gaborn winien nawoływać do zemsty. Przecież w tej właśnie chwili Raj Ahten maszerował przez jego ojczystą Mysterię. Wszyscy doradcy króla zgadzali się, że siły Heredonu są zbyt słabe, by ruszyć na południe, w pościg za Wilczym Władcą. Brakowało i żołnierzy, i koni. Ahten ukradł wszystkie dobre wierzchowce ze stajen Sylvarresty. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie uczynił Gaborn po przybyciu do zamku Sylvarresta, było nakazanie koniuszemu, aby spisał imiona wszystkich zabranych koni i ich darczyńców. Potem wysłał listę

diukowi Grovermanowi, który opiekował się końmi darczyńcami, z poleceniem, by zabił wymienione zwierzęta.

Było to zaiste desperackie posunięcie zmierzające ku spowolnieniu ucieczki Raja Ahtena przez Mystarrię. Jego wojownicy musieli odtąd jechać na zwykłych rumakach. Zapewne dzięki temu właśnie grupy wolnych rycerzy mogły urządzić zasadzki, w których siły Wilka poniosły znaczne straty.

Gaborn dał diukowi Paldane'owi czas potrzebny na zorganizowanie obrony i być może spieszył część armii przeciwnika. Ojczyzna młodego władcy, Mystarria, była największym i najbogatszym królestwem Rofehavanu. Pod komendą Paldane'a, zwanego Łowczym, znajdowała się, jedna trzecia wszystkich zbrojnych Północy.

Ioma jednak wątpiła, czy Łowczy zdoła zatrzymać Raja Ahtena. Miała jedynie nadzieję, że Paldane zdoła jakoś spowolnić marsz Wilka do czasu, aż wszyscy władcy Północy połączą swe armie. Gaborn pchnął posłańców z wezwaniem do wsparcia ku najdalszym zakątkom Rofehavanu.

Niemniej nie wysłał Łowczemu żadnych posiłków z Heredonu.

- Dlaczego?- spytała Ioma.- Dlaczego nie próbujemy powstrzymać Raja Ahtena? Nie musisz tego robić sam. W mieście zjawili się już panowie z całego Heredonu. Masz dość ludzi do walki, Heredończycy pałają żądzą zemsty! Sama gotowa jestem stanąć do boju! Wzdragam się przed tym pytaniem, ale czyżbyś się go bał?

Gaborn pokręcił głową i spojrzał na żonę, jakby liczył, że zrozumie go jednak bez słów.

- Nie boję się go - powiedział w końcu. - Jednak coś mnie powstrzymuje. Coś... co odczuwam całym sobą... ale czego nie potrafię dobrze wyrazić. Właściwie w ogóle nie umiem tego wyrazić, ale... jestem Królem Ziemi. Mam zadbać o zachowanie gatunku ludzkiego w ciężkich czasach. Nie uważam mieszkańców Indhopalu za moich wrogów. Nie pragnę ich śmierci. Nie zamierzam ich zabijać, bo nie oni naprawdę nam zagrażają. Obawiam się, że naszymi rzeczywistymi przeciwnikami są raubenowie.

- Raj Ahten to wróg. Jest równie groźny jak rauben.

- Owszem, ale pomyśl tylko: na każde cztery setki mężczyzn i kobiet przypada jeden mąż zdolny stawić czoło raubenowi. Jego śmierć może oznaczać zagładę dla tych czterystu.

To była straszna perspektywa. Ioma ogarniała problem, gdyż od siedmiu dni nieustannie rozmyślała o tym, ilu ludzi trzeba wystawić na tę kampanię, ilu z nich zginie. Jak wielu żołnierzy mógł poświęcić Gaborn w walce z Rajem Ahtenem? Czyżby nawet jeden to było zbyt dużo?

Gaborn sugerował, że tak właśnie uważa. Mając czterdzieści tysięcy drenów, które jego ojciec przechwycił w Longmot, mógłby wystawić cztery tysiące wyposażonych w dary wojowników. Dziesięć razy więcej, niż miał ich ojciec Iomy, jednak mało w porównaniu z nieprzeliczoną armią Wilka.

No i był jeszcze sam Raj Ahten z tysiącami darów. Gaborn wspominał wcześniej, że mógłby skorzystać z bogactwa drenów, by stanąć do walki z Wilkiem jak równy z równym.

Jednak gdyby tak uczynił, odbierając dary wielu setkom ludzi, mogłoby się to okazać marnotrawstwem. Nie wiedział, kiedy będzie miał sposobność uzupełnić zapasy drenów.

Jureem ostrzegał go, że kopalnie krwawego metalu w Kartishu zostały do cna wyeksploatowane. Te czterdzieści tysięcy drenów to było wszystko, co Gaborn mógł przeciwstawić raubenom.

Ioma pojęła nagle coś jeszcze, co dotąd jej umykało.

- Zaraz, czy to znaczy, że nie chcesz zabić Raja Ahtena? - Aż do tej chwili myślała, że Gaborn zamierza pozostać w Heredonie, w granicach chronionej przez cienie przodków Mroczonej Puszczy. On jednak był niespokojny, coś go gnębiło, coś cisnęło się na usta. Ioma miała wrażenie, że wcale nie pragnie usłyszeć tego, co jej mąż ma do powiedzenia.

Gaborn zerknął na Iomę kątem oka, jakby nie miał odwagi spojrzeć jej prosto w twarz.

- Musisz zrozumieć, kochana, że nie walczę z ludem Indhopalu. Ziemia uczyniła mnie swoim królem i w ten sposób Indhopal też stał się moją domeną. Muszę ratować kogo tylko się da. Również Indhopalczyków.

- Nie możesz udać się do Indhopalu - zaprotestowała Ioma. - Nie powinieneś o tym nawet myśleć. Zabiją cię tam. Poza tym będziesz potrzebny tutaj.

- Zgadza się. Niemniej to Raj Ahten ma obecnie najpotężniejszą armię na świecie. Spośród nas wszystkich to on jest największym Władcą Runów. Jeśli go pokonam, być może wszyscy zginiemy. Jeśli go zignoruję, wystawię się na niebezpieczeństwo. Gdybym próbował przed nim uciekać, dopadłby mnie. Pozostaje mi więc tylko jedno...

- Czyżbyś zamierzał go wybrać?! Po tym wszystkim, co zrobił?! - zakrzyknęła Ioma, nie mogąc opanować gniewu.

- Mam nadzieję doprowadzić do rozejmu - stwierdził Gaborn, a Ioma poznała po jego głosie, że już podjął decyzję. - Długo rozmawiałem o tym z Juremem.

- Raj Ahten nie zgodzi się na rozejm - orzekła zdecydowanie Ioma. - Chyba żebyś zwrócił mu te drewny, za które twój ojciec zapłacił własnym życiem. A to nie byłby już rozejm, tylko kapitulacja!

Gaborn pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Patrzył tylko na żonę..

- Nie rozumiesz? - ciągnęła Ioma. - To nie byłaby nawet honorowa kapitulacja, bo gdybyś zwrócił mu drewny, Raj Ahten wykorzystałby je zaraz przeciwko tobie. Znam mojego kuzyna. Znam go aż za dobrze. Nie zostawi cię w spokoju. To, że ziemia uczyniła cię opiekunem całej ludzkości, nie znaczy jeszcze, by Wilk gotów był uszanować jej decyzję.

Gaborn zacisnął zęby. Przez chwilę miał chyba ochotę się odwrócić. Rysy wyraźnie mu stężyły. Ioma wiedziała, że jej mąż kocha swój lud, że myśli o nim. Tyle że obecnie nie dostrzegł żadnego sposobu, by obronić go trwale przed Rajem Ahtenem.

- I tak muszę go poprosić o rozejm. A jeśli na to nie przystanie... spróbuję wynegocjować honorową kapitulację. Dopiero gdy nie zgodzi się i na to, zostanie nam walka.

- Nie będzie żadnej kapitulacji - powiedziała Ioma. - Mój ojciec poddał mu zamek, a wtedy Ahten przestał przestrzegać jakichkolwiek warunków i zaczął robić co wola i ochota. Nie możesz być równocześnie Królem Ziemi i darczyńcą Raju Ahtena!

- Obawiam się, że masz rację - westchnął Gaborn, usiadł na łożu obok Iomy i wziął ją za rękę. Niezbyt ją jednak tym uspokoił.

- Dlaczego nie możesz go po prostu zabić i zakończyć w ten sposób wojny?

- Raj Ahten ma zapewne jakieś dziesięć tysięcy wojowników z darami. Nawet jeśli go pokonam, tracąc przy tym tylko pięć tysięcy zbrojnych, to czy warto płacić podobną cenę? Pomyśl tylko, to oznacza zagrożenie życia ponad czterech milionów kobiet i dzieci! Czy mogę do tego dopuścić? Na dodatek kto wie, czy na tym się skończy? Czy po śmierci tylu wojowników uda się jeszcze kiedykolwiek powstrzymać raubenów?

Gaborn zamilkł i przycisnął palec do warg, dając znać Iomie, by też się nie odzywała. Podeszedł do starego biurka króla Sylvarresty. Z górnej szuflady wyciągnął małą książeczkę z rozprutą okładką. Wysunął stamtąd jakieś kartki i podał je Iomie.

- W Domu Zrozumienia, w Komnacie Snów, mistrzowie uczą członków Bractwa Dni odróżniać dobro od zła - powiedział cicho.

Ioma zdumiała się, gdyż Władcy Runów nie mieli dostępu do wiedzy wykładanej w tej komnacie. Teraz pojęła, czemu Gaborn szepcze. Dwoje Dzienników siedziało tuż za drzwiami.

Gaborn pokazał jej ten rysunek:

- Każdy człowiek postrzega siebie jako władcę trzech domen: niewidzialnej, społecznej i widzialnej - wyjaśnił. - Wszystkie domeny dzielą się na części. Czas człowieka, przestrzeń osobista, wolna wola należą do domeny niewidzialnej, podczas gdy wszystko, co posiada, wszystko dostrzegalne, mieści się w domenie widzialnej. Ilekroć ktoś naruszy naszą domenę,

czyni zło. Jeśli próbuje zabrać nam ziemię albo współmałżonka, zniszczyć naszą wspólnotę czy pozbawić dobrego imienia, jeśli zabiera nam czas, ogranicza naszą wolną wolę, budzi naszą nienawiść. Kiedy jednak powiększa twoją domenę, zwiesz go dobrym. Gdy zaczyna wychwalać cię przed innymi, zwiększa szacunek, którym cieszysz się w oczach społeczności, wręcz uwielbiasz go za to. Podobnie jak wtedy, gdy obdarza cię zaszczytami lub pieniędzmi. Wiele o tym myślałem, Ioma, i jedno teraz tylko potrafię powiedzieć: życie wszystkich ludzi, ich losy, wszystko to łączy się z moją domeną! - Wskazał na rysunek, szczególnie na kręgi domen społecznej i niewidzialnej.

Ioma spojrzała mu w oczy i wydało się jej, że rozumie. Przez całe życie należała do Władców Runów, dopuszczano ją przez to do niektórych przynajmniej spraw stanu. Przywykła uważać nadzieje, marzenia i problemy swego ludu w dużej części za własne.

- Pojmuję - szepnęła.

- Nie wątpię, że w jakiejś mierze na pewno - westchnął Gaborn. - Ale chyba nie w pełni. Czuję... nadciągający kataklizm. Ziemia mnie ostrzega. Zbliża się niebezpieczeństwo. Nie tylko dla ciebie czy mnie, ale dla wszystkich ludzi, których wybrałem. Muszę uczynić co w mojej mocy, żeby ich ochronić. Nawet gdybym sam miał przegrać. Muszę spróbować zawrzeć sojusz z Rajem Ahtenem.

Ioma wyczuła w jego głosie szczególną żarliwość; wiedziała, że Gaborn nie tyle obwieszcza swą decyzję, ile szuka u niej aprobaty.

- A gdzie ja pasuję do tych kręgów? - spytała, wskazując na leżący na kolanach męża rysunek.

- Wszędzie. Nie rozumiesz? To nie jest tylko moje czy twoje łóżko. To nasze łóżko. - Pokazał na siebie. - To nie jest moje ciało, twoje ciało, ale nasze ciało. Twój los jest moim losem, a mój twoim. Twoje nadzieje to moje nadzieje, moje nadzieje są twoimi. Bez murów czy rozdziałów między tobą a mną. Gdyby jakieś były, nie zostalibyśmy prawdziwym małżeństwem. Nie byłibyśmy naprawdę jednością.

Ioma pokiwała głową. To do niej przemawiało. Widywała już wcześniej pary, które dzieliły ze sobą niemal wszystko, stawały się sobie tak bliskie, że małżonkowie zaczynali nawet przejmować wzajem swoje przyzwyczajenia i poglądy. Tęskniła za podobną jednością.

- Mądrze cytujesz zakazane nauki - powiedziała. - Ale i ja słyszałam coś z Komnaty Snów. Tam właśnie, w Domu Zrozumienia, mawia się, że człowiek rodzi się z płaczem. Płacze, bo chce piersi matki. Płacze, wzywając matkę na pomoc, gdy upadnie. Płacze oczekując ciepła i miłości. Gdy dorasta, uczy się rozróżniać swoje pragnienia. Woła: „Chcę jeść!”, „Chcę ciepła!” „Chcę, by nadszedł jasny dzień”. A gdy matka uspokaja dziecko, mówi: „Chcę, byś był radosny”, i to też jest płacz. Gdy zaczynamy mówić, niemal wszystko, co wypowiadamy, jest coraz dokładniej zdefiniowanym oczekiwaniem. Starczy wsłuchać się w słowa innych ludzi, by dostrzec kryjące się za nimi prośby i błagania: „Pragnę miłości”, „Pragnę bezpieczeństwa”, „Pragnę wolności”.

Ioma zamilkła na chwilę, by przykuć bez reszty uwagę Gaborna. Wreszcie wypowiedziała własną prośbę:

- Nigdy nie poddawaj się Rajowi Ahtenowi. Jeśli kochasz mnie i kochasz swój lud, nigdy nie kapituluj przed złem.

- O ile tylko będę miał wybór - powiedział Gaborn. Wreszcie coś do niego dotarło.

Ioma zepchnęła książkę z kolan Gaborna na podłogę, ujęła go za podbródek, ucałowała mocno i pociągnęła za sobą na łóżko.

Dwie godziny później zdumieni strażnicy na murach podnieśli krzyk. Wszyscy pokazywali na wijącą się wśród zielonych pól rzekę Wye, która stopniowo zmieniała barwę na czerwoną.

Jednak szkarłatny nurt pachniał silnie miedzią i siarką, a nie krwią. Woda niosła tylko muł i osady, wszelako było ich dość, by zapchać skrzelą ryb, podusić wszystko co żywe.

Gaborn wezwał Binnesmana i poszli zbadać sprawę. Czarnoksiężnik wszedł po kolana do rzeki, zaczerpnął dłonią wody i posmakował jej. Skrzywił się.

- To błoto z głębi ziemi - orzekł.

- Jak dostało się do rzeki? - zapytał Gaborn. Stał na brzegu, cierpiąc przykrą woń mętnej rzeki.

- U źródeł. Wye wypływa z głębokich podziemi. Osady pochodzą właśnie stamtąd.

- Czy to może być skutek trzęsienia ziemi? - spytał władca.

- Poruszenia skorupy mogłyby to spowodować, ale obawiam się, że nie tym razem. Źródła rzeki leżą bardzo blisko ruin podziemnego miasta, w którym upolowaliśmy maga raubenów. Przypuszczam, że to oni tam ryją. Możliwe, że nie zabiliśmy wszystkich.

Wokół zamku Sylvarresta zebrało się ostatnio tylu szlachetnie urodzonych, że skompletowanie zacej drużyny nie było problemem. Rychło ruszyli w trzydziestomilową wycieczkę w góry, a po sześciu godzinach, wczesnym popołudniem, całe pięć setek wojowników stanęło przed wejściem do pradawnych ruin miasta śniadych. Gaborn i Binnesman prowadzili.

Ruiny wyglądały tak samo jak dzień wcześniej, gdy je opuścili. Splątane korzenie rosnącego na wzgórzu dębu skrywały wejście. Ludzie zapalili pochodnie i wkroczyli na stare, wyszczerbione schody. W powietrzu unosił się ciężki, mineralny odór. Gaborn nie potrafił orzec, czy powietrze zmieniło się tu jakoś przez ostatnią dobę.

Łuk wejścia tworzył idealny półokrąg o promieniu jakichś dwudziestu stóp. Ściany zbudowano z olbrzymich głazów tak idealnie obrobionych i dopasowanych, że nawet po tysiącach lat wciąż tkwiły pewnie na miejscu.

Przez pierwsze ćwierć mili mijali niezliczone mnóstwo bocznych korytarzy, magazynów i komnat, w których mieszkali niegdyś śniadzi. Teraz zarastała je dziwna, podziemna roślinność o ciemnych, gumowatych liściach wielkości ludzkiego ucha. Pokrywała podłogę, wspinała się na ściany. Wszelkie przedmioty pozostałe po śniadych wybrano stąd już wieki temu i pod pnączami znaleźć można było co najwyżej świecące traszki, ślepe kraby i inne jaskiniowe stwory.

Potem dotarli do kręconych schodów, ale zeszli nimi tylko z pół mili i musieli się zatrzymać.

Szlak został niedawno zniszczony. Tam, gdzie winny ciągnąć się całymi milami schody prowadzące w głąb ziemi, do Morza Idymeńskiego, pojawił się biegnący w poprzek szeroki tunel.

Binnesman wszedł na ostatni ocalały stopień, ale skała zatrzeszczała mu pod nogami i czym prędzej się wycofał. Uniósł wysoko latarnię, by zajrzeć do tajemniczego przejścia.

Tunel miał przekrój kołowy, szeroki był na jakieś dwieście jardów i został wryty w zbitej ziemi. Jego dno zaścielały rozrzucone w szlamie kamienie. Z pewnością nie wydrążyli go ludzie, niemniej nie wydawał się również dziełem raubenów.

Binnesman spojrział w dół i pogładził się po brodzie, w końcu uniósł kamień i cisnął go w otchłań.

- Wyczuwam, że coś porusza się tam głęboko, pod moimi stopami - powiedział. - Ziemia cierpi.

Nagle z mroku tunelu wyleciała chmara małych, ciemnych stworzeń, które widać nie cierpiały światła, bo zaskrzeczały oślepienie blaskiem latarni i umknęły.

- Cóż mogło wykopać taki tunel? - spytał nagle zaniepokojony Borenson.

- Tylko jedno - stwierdził Binnesman. - W moim bestiariuszu podziemi widnieje opis tego stworzenia, chociaż dotąd widziano je tylko raz, więc uważa się je za istotę mityczną. Taki tunel mógł wyryć jedynie hujmoth, wielki czerw.

- Jeździec Averan, jesteś potrzebna - rzucił mistrz zwierząt Brand.

Averan obróciła ku niemu głowę, ale nie od razu. W godzinie przedświtku prawie go nie widziała, niemal tylko po krokach poznała, że do gniazda graaka ktoś wchodzi. Karmiła właśnie świeżo opierzone osobniki i nie śmiała całkiem spuścić ich z oczu. Nawet młody graak, stojąc, mierzył czternaście stóp do nasady skrzydeł i bez trudu mógłby połknąć w całości takie dziecko jak Averan. Chociaż graaki uwielbiały ją, gdyż karmiła wszystkie od dnia, gdy wydrapawszy sobie pazurami drogę na świat, wyszły ze skórzastych jaj, to głodne łapały często co popadło. Nierzadko próbowały też wyrwać jej długimi skrzydłowymi szponami kęsy mięsa z dłoni. Averan wolałaby nie stracić ręki, jak zdarzyło się to dawno temu Brandowi.

Nazwał mnie jeźdźcem, pomyślała. Jeźdźcem, a nie gniazdową, czyli opiekunką gniazda. Dziewięcioletnia Averan była już za duża na jeźdźca. Od dwóch lat nie pozwalano jej latać.

Brand stanął przy wejściu. Po chwili mdły poblask poranka pozwolił dostrzec, że u pasa wisi mu uwiązany liną jagnięcy udziec, przynęta na graaki. Mężczyzna zmrużył oczy i pogładził lewą dłonią siwą brodę.

Averan zastanowiła się, czy Brand nie nadużył przypadkiem wina wieczorem i nie zapomniał z tego powodu, ile ona naprawdę ma lat.

- Czy jesteś...

- Pewien? Tak - mruknął Brand nieswoim głosem. Dopiero teraz Averan pojęła, że jest roztrzęsiony. - Musimy się pospieszyć - dodał i skierował się na poddasze.

Averan wspięła za nim po wyciosanych w kamieniu schodach. Na górze śmierdziało dorosłymi graakami. Odór przypominał węzowy; po wiekach używania gniazda wniknęła trwale między kamienie. Averan dawno już do niego przywykła, podobnie jak innych przestaje razieć smród końskiego potu czy psie wonie.

Schody prowadziły do przestronnego pomieszczenia z pojedynczym wąskim wylotem przebitym we wschodnim zboczu wzgórza. Mimo półmroku Averan dojrzała, że gniazdo jest puste. Graaki wyleciały na poranne polowanie. Jesienny chłód sprawiał, że stawały się niespokojne i ciągle głodne.

Poszła za Bradem na taras ładowiska. Mężczyzna stanął tam, odwiązał jagnięcy udziec od pasa, sprawdził, czy lina ciasno obejmuje kość, i zaczął kołysać przynętą. Tylko rosły mąż mógł wabić graaki w ten sposób.

- Skórzak! - zawołał. - Skórzak!

Graaki były nauczone reagować na swe imiona, a udziec miał służyć jako nagroda za posłuszeństwo.

Averan rozejrzała się po bladym niebie. Było puste, gad musiał polecieć gdzieś dalej. Skórzak był starym i wielkim osobnikiem, silnym i wytrzymałym, ale niezbyt szybkim. Rzadko go już dosiadało. Od zeszłego lata podczas polowań zapuszczał się regularnie coraz dalej.

Na zachodzie wznosiły się białe od nocnej śnieżycy góry Heist. Na zboczu poniżej gniazda przycupnęła warownia Haberd, pięć kamiennych wież z murami przegradzającymi przełęcz wiodącą w góry. Jacyś ludzie biegali wzdłuż umocnień i coś krzyčili. Niektórzy mieli pochodnie. Na górę dobiegały tylko przytłumione, niewyraźne głosy. Na murawie stały wozy, na które wchodziły kobiety z dziećmi. Wyglądało to na ucieczkę.

Dopiero wtedy Averan pojęła, że dzieje się coś bardzo niedobrego.

- Co jest? - spytała.

Brand opuścił udziec na kamienie i zmierzył dziewczynkę zmęczonym spojrzeniem.

- Chwilę temu zjawił się giermek z wiadomościami ze wzgórz Morenshire. Zeszłej nocy w górach Alcair wybuchł wulkan. Dymi i wyrzuca popiół. Pod jego osłoną pojawiła się wielka armia raubenów. Ocenia się, że maszeruje wśród nich jakieś osiemdziesiąt tysięcy zbrojnych, do tego jeszcze z tysiąc pomniejszych magów z co najmniej jednym wielkim magiem. Nad nimi niebo czernieje od chmury grisów. Musisz zawiadomić o tym diuka Paldane'a w Carris.

Averan wyteżyła umysł, by pojąć, co oznaczają te wieści. Morenshire leżało na najdalszym zachodzie Mystarrii i graniczyło z przełęczami pomiędzy górami Heist i Alcair. Najbliższa tym terenom stara warownia Haberd należała do potężniejszych, ale służyła głównie jako schronienie dla podróżnych, a tutejsza załoga zajmowała się od lat jedynie zwalczaniem rozbójników, pojedynczych raubenów i innego paskudztwa. Nie miała szans oprzeć się potędze, o której wspominał Brand. Raubenowie mogli zburzyć jej mury w godzinę, a ci przeciwnicy nigdy nie brali jeńców.

Diuk Paldane był strategiem króla. Jeśli ktokolwiek mógłby odeprzeć raubenów, to właśnie on. Niemniej obecnie Paldane miał pełne ręce roboty. Wojska Raja Ahtena opanowały lub zburzyły kilka zamków na granicach i wszyscy, szlachta i chłopci, solidarnie uchodzili przez nim z północy.

- Nasz pan myśli, że to wybuch wulkanu wypędził raubenów z podziemnych legowisk - ciągnął Brand. - Zdarzyło się już tak kiedyś, w czasach mojego dziadka. Wulkaniczna lava zaczęła zalewać ich korytarze i potwory rzuciły się do ucieczki. Jednak tym razem jest gorzej. Okazało się, że raubenowie od lat mnożyli się pod tamtejszymi wzgórzami i nikt o tym nie wiedział - mruknął i przeciągnął palcami po wąsach.

- A ty? - zapytała Averan. - Co zrobisz?

- Nie martw się o mnie. Jakby co, to jedną ręką też można walczyć. - Zaśmiał się i pomachał kikutem.

Dziewczynka dostrzegła jednak błysk przerażenia w jego oczach.

- Tak czy owak, nie martw się o mnie - powiedział. - Bierz starego Skórzaka i leć. Żeby było lżej, obejdiesz się bez siodła, wody i jedzenia.

- A Derwin? - spytała dziewczynka. - To chyba on powinien zanieść wiadomość diukowi?

- Derwin był młodszy, miał pięć lat. Obecnie służył jako etatowy jeździec warowni Haberd.

- Zeszłej nocy wysłałem go z innym zadaniem - odparł Brand, wypatrując graaka na południowym nieboskłonie. - Naszemu panu rozum czasem odejmuje - mruknął z goryczą w głosie. - Każę graakom nosić liściki do kochanki.

Averan pamiętała, o co chodzi. Ileś lat wcześniej też często latała z listami i różami dla lady Chetham w Arrowshire. Z powrotem przywoziła Haberdowi liściki z dołączonym puklem włosów albo perfumowanymi chusteczkami. Tutejszy pan uważał widocznie, że wykorzystując dzieci, łatwiej ukryje cudzołożny romans przed otoczeniem, niż gdyby wybierał żołnierzy na posłańców.

Mgła okrywająca żyzne równiny na wschodzie zaróżowiła się od promieni wyglądającego zza horyzontu słońca. Tu i ówdzie wyrastały z niej zielone wyspy wzgórz. Averan spojrzała ku dolinom w poszukiwaniu śladu graaka. Skórzak powinien gdzieś tam być. Pewnie wypatrywał jeszcze jakiejś dość powolnej i tłustej zdobyczy.

- Jak szybko dotrą tu raubenowie? - spytała.

- Mamy góra dwie godziny.

Za mało czasu, by przygotować obronę. Najbliższa warownia była o cały dzień jazdy i nawet wojownicy na wyposażonych w dary rumakach nie mieli szansy dotrzeć tu wcześniej. Czy Haberd utrzyma się aż tyle?

Brand przytknął dłoń do ust i zawołał raz jeszcze. W dali wychynął z mgły skrzydlaty kształt. Piaskowe ciało graaka jaśniało w promieniach słońca. Skórzak usłuchał wezwania.

- On jest już stary - przypomniał Brand. - Będziesz musiała często lądować, by odpoczął. Averan pokiwała głową.

- Skieruj się ponad lasami na północ, potem przeleć nad graniami gór Brace. To tylko dwieście czterdzieści mil, niezbyt daleko. Przed zmrokiem będziesz w Carris.

- Czy te postoje mnie nie opóźnią? Może powinnam raczej polecieć jednym ciągiem?

- Tak będzie bezpieczniej. Lepiej, żebyś nie straciła graaka przez zbyt ni pośpiech.

O co mu chodzi? zdumiała się Averan. Przecież powinna się pospieszyć, śmierć wierzchowca nie miała znaczenia wobec zagrożenia dla życia tylu ludzi... Nagle pojęła. Warownia Haberd leży na uboczu. Jakkolwiek poleci, nie będzie to miało znaczenia, byle dotarła do celu. Żadna, najszybsza nawet pomoc nie może ocalić tutejszej załogi. Haberd wysłał już zapewne gońców na szybkich koniach, którzy w tej kwestii sprawią się zapewne lepiej niż ona. Na graaku mogła przelecieć w godzinę najwyżej czterdzieści mil, na dodatek lecąc na północ, będzie musiała zmagać się o tej porze roku z przeciwnymi wiatrami. Szybki koń z darami metabolizmu, krzepy i sił życiowych mógł w godzinę bez trudu pokonać i osiemdziesiąt mil.

- Nie wysyłasz mnie wcale w roli posłańca - wykrztusiła Averan, czując, że serce tłucze jej się w piersi.

Brand uśmiechnął się do niej.

- Oczywiście, że nie. Chcę ci uratować życie, dziecko. Oczywiście możesz przekazać wieści diukowi. Zawsze istnieje ryzyko, że jeźdźcy nie dojadą. - Pochylił się ku dziewczynce. - Ale jeśli jesteś skłonna posłuchać mojej rady, to nie zostawaj tam - wyszeptał. - Pałac w Carris to śmiertelna pułapka. Jeśli raubenowie będą dalej szli w tym samym kierunku, to następnej nocy ogarną również Carris. A ponieważ nie ma gwarancji, że Paldane pozwoli ci odlecieć na twoim graaku, powiedz mu, iż otrzymałaś instrukcje, aby ponieść ostrzeżenie jeszcze dalej na północ, do ciotecznej kuzyna naszego pana. Tego, który mieszka w Montalfer. Wtedy Paldane nie będzie śmiał cię zatrzymać.

Skórzak pracowicie bił skrzydłami, aby wznieść się na poziom gniazda. W dziobie trzymał owieczkę podebraną najpewniej z pola ku rozpaczycy jakiegoś pasterza. Rozglądał się bacznie wkoło małymi złotymi ślepiami, wyglądał na wypoczętego i chętnego do lotu.

Machając wielkimi skrzydłami, przymierzył się do lądowania. Gwałtowny podmuch wzburzył włosy Averan. Skórzak przycupnął tymczasem na kamieniach i niczym przerośnięty kot wracający do domu z myszą, podarunkiem dla swoich, złożył ciało owcy u stóp Branda. Dysząc tak ciężko, że aż skóra na gardle mu łopotąła, pochylił się i obwąchał pierś mężczyzny.

Brand uśmiechnął się i poklepał gada po nozdrzach, po czym wydlubał kawał mięsa, który utkwiał między szablasytymi zębami graaka.

- Będzie mi ciebie brakować, stary - powiedział i rzucił udziec najwyżej jak mógł. Skórzak chwycił kasek, zanim ten zdążył spaść na kamienie. - Latałem na nim w młodości, czterdzieści lat temu - mruknął Brand do dziewczynki. - Podobnie jak król Orden. Dostał ci się królewski wierzchowiec.

Skórzak był jednym z najstarszych graaków w gnieździe i nie jego wybrałaby dziś do lotu. Otrzymał jednak staranną tresurę, a Brand miał doń wyraźną słabość.

- Będę o niego dbała - obiecała Averan.

Brand wysunął zaciśniętą w pięść dłoń, a graak przykucnął, by Averan mogła mu wskoczyć na grzbiet. Zrobiła to w dwóch ruchach. Jak wszyscy jeźdźcy, miała dary sił życiowych i krzepy, przez co była mocniejsza i bardziej wytrzymała niż zwykły człowiek, a przy niewielkich rozmiarach bez trudu mogła się wdrapać na gada i utrzymać na nim podczas lotu. Ponadto miała też jeden dar rozumu, dzięki czemu potrafiła powtórzyć dosłownie adresatowi każdą niemal wiadomość, jaką jej przekazano. Choć liczyła dopiero dziewięć lat, wiele się już nauczyła. Niestety, wszystko to odsuwało ją od innych dzieci.

Usadowiła się na pierwszej tarczy rogowej na karku zwierzęcia. Podrapała skórzasty bok graaka.

- Obyś nigdy nie spadła - powiedział Brand. Była to pierwsza zasada przekazywana dziecku szkolonemu na jeźdźca, a zarazem i pożegnanie popularne wśród tych, którzy dosiadali graaków, rodzaj inwokacji na początek podróży.

- Nie spadnę - odparła Averan.

Brand rzucił jej małą torbę, która zadźwięczała monetami. Oszczędności jego życia, pomyślała.

Ścisnęła kark graaka nogami i poczuła, jak jego mięśnie napinają się w oczekiwaniu komendy.

Żałowała, że nie zostało jej więcej czasu na pożegnanie z Brandem. Nie do końca wierzyła w ten zalew raubenów. Warownia wyglądała tak samo jak każdego innego jesiennego ranka. Na lądowisku, wysoko ponad zamkiem, na skałach kwitły paprocie i purpurowe kwiaty bluszczu. Było bezwietrznie, przez co aż tutaj wyczuwało się zapachy dolatujące z kuchni warowni.

W gruncie rzeczy nie chciała odlatywać. Normalnie nakarmiłaby uczciwie graaka przed tak długą podróżą. Tyle że najedzony, z pełnym brzuchem, Skórzak zapewne nie zdołałby jej unieść.

W gardle jej zaschło, łzy napłynęły do oczu. Pociągnęła nosem.

- A ty, Brand? - spytała po raz ostatni. - Co ty zrobisz? Opuścisz warownię? Obiecasz, że się ukryjesz? Jeśli nie dla swego dobra, to chociaż dla mnie?

- Nie da się uciec przez raubenami. Przegryzłyby mnie na pół jak serdelek. Obawiam się też, że w moim obecnym stanie marny byłby ze mnie łucznik.

- Więc się ukryj - poprosiła Averan. Brand był dla niej wszystkim: ojcem, bratem, przyjacielem. Nie miała rodziny. Ojciec poległ w potyczce z raubenami, nim się narodziła. Matka zginęła, spadłszy z krzesła. Zapalała lampę w warowni i spadła z krzesła tak fatalnie, że zmarła. Averan widziała to, ale nigdy nie potrafiła się pogodzić z tym, że ktoś może stracić życie skutkiem tak niegroźnego na pozór zdarzenia. Sama spadła kiedyś z ponad piętnastu stóp, gdy graak strząsnął ją przy lądowaniu, ale nic się jej nie stało.

- Obiecuję, że się ukryję, ale nie wiem, czy to coś da - rzekł Brand.

Spojrzała mu w oczy, chcąc sprawdzić, czy nie kłamie, ale zawsze miała problemy z odczytywaniem tego, co kryło się za cudzym spojrzeniem. Musiała zatem zadowolić się wiarą, że Brand spróbuje jednak jakoś ujść raubenom.

Mężczyzna odwzajemnił spojrzenie, ale nagle zerknął na coś w dali i wstrzymał oddech.

Obróciła się. Na jednym z odległych wzniesień dojrzała nadciągającą falę sześcionogich raubenów. Skórzaste boki szarzały w świetle poranka, ale z tej odległości nie dało się powiedzieć, ile miały tam wytatuowanych runów. Widać było tylko błyski odbijające się od ich broni i zębów. Z daleka przypominały wypełzające spod kamienia robactwo, ale Averan wiedziała, że każdy z tych potworów jest trzykrotnie wyższy od człowieka.

Nad nimi sunęła ciemna, przerażająco wielka chmura grisów. Były mniejsze niż nietoperze i większe niż chrabąszcze. Normalnie żyły w jaskiniach i rzadko stamtąd wylatywały. Averan nigdy jeszcze nie widziała ich aż tyle, by przesłoniły niebo.

- Ruszaj już! - krzyknął Brand. Raubenowie nie dali im dwóch godzin. W tym tempie pierwsze stwory mogły dotrzeć do murów za parę chwil.

- W górę! - zawołała Averan.

Graak skoczył nad krawędzią urwiska i Averan poczuła krótki przyływ mdłości. Spojrzała nad jego szyją na piętrzące się setki stóp w dole poszarpane skały.

Na chwilę zapomniała o raubenach. Wielu młodych jeźdźców zginęło przez stulecia na tych skałach. W zeszłym roku Averan sama widziała śmierć Kyllis. Słyszała jej ostami krzyk. Przez chwilę obawiała się, że Skórzak nie da rady jej udźwignąć, że razem runą na turnie.

W końcu jednak graak przestał spadać, skrzydła spełniły swe zadanie i z wolna zaczęli nabierać wysokości.

Obejrzała się. Brand machał jej z lądowiska. Słońce opromieniało jego twarz. W końcu wycofał się do gniazda.

Averan zdało się, że góra połknęła jej przyjaciela. Kusiło ją, by pokrażyć trochę nad warownią i zobaczyć, co zrobią raubenowie, ale pomyślała, że może lepiej oszczędzić sobie upiornych wspomnień, które mogłyby ją nękać przez długie lata.

Ruchami nóg i rzuconymi przez wiatr komendami skierowała Skórzaka na północ, ponad tuman pofalowanej niczym morze mgły. Ocierając łzy, odlatywała coraz dalej.

DZIK I NIEDŹWIEDZIE

- No i wtedy twój syn cisnął, proszę ja ciebie, włócznią w tego starego odyńca, a że uważał się już za świetnego myśliwego, mierzył między oczy. - Baron Poll zachichotał. - Tyle że zwierz musiał mieć czaszkę grubszą niż królewski błazen, bo grot tylko ją zadrasnął i odbił się od łba!

Baron uśmiechnął się do wspomnienia, a Roland spojrzął na drogę. Od Carris dzieliło ich jeszcze pół dnia podróży, ale też nie jechali zbyt szybko, ciesząc się popołudniem i pozwalając, by wierzchowce odetchnęły.

- I tak odyniec wpadł w szal. Krew ściekała mu po szablach, gdy opuścił łeb i zaczął grzebać racicami w ziemi. Wiesz, że dziki z Mrocznej Puszczy wyrastają prawie do wysokości konia i kudłate są niczym jaki. A twój syn, który miał wtedy tylko trzynaście lat, chociaż widział, co się szykuje, nie zrobił tego, co każdy inny uczyniłby na jego miejscu.

- Znaczy czego? - spytał Roland, który nigdy nie polował na dziki w Mrocznej Puszczy.

- No, nie zawrócił konia i nie uciekł! - wykrzyknął Poll. - Nie, proszę ja ciebie, twój syn tkwił tam i patrzył na zwierza, jakby chciał mu ułatwić przycelowanie. Inna sprawa, że najpewniej zmoczył już wtedy spodnie. W końcu dzik zaszarżował i trafił konia dokładnie pod brzuch, wypatroszył go jednym machnięciem łba, a twojego syna posłał jakie cztery stopy w górę. Wspominałem ci już, że z godzinę wcześniej ogary nam się rozbiegły. Słyszeliśmy, jak szczekają po wzgórzach, i jechaliśmy, żeby je pozbierać. A tu widzimy, jak twój potomek zbiera się jakoś z zewłoku konia i kulejąc trochę, odchodzi w bok. Dzik też go zobaczył, a wtedy mały jak nie ruszy biegiem! Przysięgam, że mało co, a wzbilby się w powietrze!

Baron promieniał cały z przyjemności, jaką sprawiało mu snucie tej opowieści. Musiał ją już chyba wielokrotnie powtarzać, bo wyraźnie smakował kolejne fragmenty.

- W końcu giermek Borenson usłyszał naszczekiwanie ogarów i pomyślał, jak się potem dowiedzieliśmy, żeby pobiec do psów, bo one go obronią! Pognał więc przez zarośla, a dzik za nim, depcząc mu po piętach. W owym czasie twój syn miał dwa dary metabolizmu, więc możesz sobie wyobrazić, że potrafił biec naprawdę szybko. Przebierał nogami, że konia by przegonił, a do tego wrzeszczał: „Ratunku! Mordują!” Ile razy zwalniał, czuł za sobą sapanie bestii. Przebiegł tak z pół mili, cały czas pod górę, aż pomyślałem sobie, że chyba pora by była ratować jego młode życie. Pogoniłem więc mojego wierzchowca za nim i za dzikiem, ale gnali za szybko i na dodatek na oślep, ja zaś musiałem ciągle kluczyć, omijając gęste zarośla, i nijak nie mogłem dojść tego odyńca. W końcu twój syn dotarł do wielkiej jarzębiny, pod którą siedziały psy. Wszystkie z wywieszonymi językami i wszystkie wyły, jakby oczekiwanie im się dłużyło i chciały jakoś zabić czas, w każdym razie twój syn tak pomyślał. I zaraz wspiał się na drzewo, by przeczekać zamieszanie, i licząc, że teraz psy go obronią. Jak pomyślał, tak zrobił, a psy zerwały się, machając kikutami ogonów i patrząc na niego, jak wspina się na jakieś dwadzieścia stóp. I wtedy dzik, proszę ja ciebie, skoczył w sam środek sfory. Zaraz wyszło, że psy lubi mniej więcej tak samo jak twojego syna. Ogary zgłupiały, widząc nagle między sobą odyńca, co to na oko miał z półtora tysiąca funtów. Ten zaś skorzystał z okazji, opuścił szablę i rozpruł pierwszego z brzegu, wyrzucając go w górę na czterdzieści stóp, a zaraz potem załatwił jeszcze dwa. Reszta sfory, która nie była akurat liczna, góra sześć ogarów, uznała, że pora się ratować, podkuliła więc kikuty ogonów i dała dyla gdzie pieprz rośnie. Giermek zaś zaczął się drzeć: „Pomóż mi, sukinsynu! Pomóż mi!” Pomyślałem sobie, że to trochę niegrzeczna forma prośnienia o przysługę, widząc więc, że chłopak siedzi bezpiecznie na drzewie, zwolniłem, jakbym chciał dać trochę wytchnienia wierzchowcowi. Ale zaraz usłyszałem najdziwniejszy odgłos, jaki dobiegł kiedykolwiek do moich uszu, i spojrzałem w górę, żeby sprawdzić,

dlaczego twój syn tak się wydziera. I co zobaczyłem, proszę ja ciebie? Otóż na tym drzewie siedziały prócz niego jeszcze trzy niedźwiedzie! Trzy wielkie misie! Ogary je tam zagoniły!

Baron Poll zaniósł się tak gromkim śmiechem, że mało brakowało, by popłakał się z uciechy.

- Gdy twój syn do nich dołączył, misiaczki jakoś wcale się nie ucieszyły. Dzik dalej krążył pod drzewem, ja zaś, gdy dotarło do mnie to wszystko, tak się rozrechotałem, że mały figiel, a spadłbym z siodła. Chłopak tymczasem oklinał mnie głośno i zasypywał stanowczymi rozkazami, abym go ratował. Miałem wtedy piętnaście lat, on trzynaście, i pomyśl, by ktokolwiek dwa lata młodszy miał mi cokolwiek rozkazywać, burzył we mnie krew. Nie zbliżając się zatem zanadto do drzewa, krzyknąłem: „Czy to ty nazwałeś mnie sukinsynem?!” Twój syn odwrzasnął, że owszem. Przypadkiem prawdę powiedział, ale w tamtej sytuacji nie miało to znaczenia. Nie podobało mi się, że jakiś smarkacz tak mnie traktuje, więc krzyknąłem mu: „Poproś ładnie albo sam sobie radź!”

Baron Poll zamilkł nagle, jakby się zamyślił.

- I co było dalej? - spytał Roland.

- Twój syn aż pociemniał na twarzy z wściekłości. Nie byliśmy przyjaciółmi, ale do głowy mi wtedy nie przyszło, że może mnie nienawidzić. Bo widzisz, już wcześniej wyżywałem się na nim, wyżywałem od bękartów, on zaś uważał, że skoro jestem z lewego łoża, powinienem traktować go lepiej niż inni chłopcy, a nie gorzej. Zasłużyłem więc sobie, że tak powiem, na jego nienawiść, ale nie wiedziałem, że aż na taką! Odkrzyknął mi: „Gdy padniesz z honorem, to nazwę cię sir, ale ani moment wcześniej!” Po czym wyciągnął nóż - dodał z powagą baron - i ze śmiechem zaczął się wspinać po konarach ku tym niedźwiedziom.

- Tylko z nożem?

- Tylko. Miał wprawdzie dary krzepy i sił życiowych, ale wciąż był tylko chłopcem. Misie usadowiły się na co grubszych gałęziach i nikt zdrowy na umyśle nie próbowałby ich zaczepiać, ale twój chłopak uwziął się, że pokaże, co potrafi. Chyba byłby je wtedy nawet pozabijał, gdyby niedźwiadki nie wyczuły, co się święci. Pierwsze podały tyły i zaczęły zeskakiwać na ziemię. Gdy dzik zobaczył misie sypiące się z drzewa jak ulegalki, dał spokój chłopakowi i czym prędzej potruczał na żołędzie... - Baron znów zachichotał, wspominając zdarzenie. - Wtedy zrozumiałem, że młody giermek Borenson albo zostanie pewnego dnia kapitanem Gwardii Królewskiej, albo zginie przez swą zapalczywość. A może jedno i drugie.

- Jedno i drugie? - spytał Roland, wpatrując się uważnie w oblicze barona, który sam z siebie był niezwykle męskim, ważył bowiem ze trzysta funtów, na które składał się głównie tłuszcz, cały zaś porośnięty był gęstym, czarnym włosiem. Jednak teraz na jego twarzy malowało się coś zastanawiającego.

- Kapitanowie Gwardii Królewskiej rzadko dożywają podeszłego wieku. Wiesz, że przez ostatnie osiem lat dokonano aż trzech zamachów na rodzinę Ordenów?

Trzy próby zabójstwa w ciągu ośmiu lat to było całkiem sporo. Roland nigdy nie słyszał o czymś podobnym. Gdy sam wstąpił na królewską służbę i otrzymał dar metabolizmu, nie wyobrażał sobie nawet, że doczeka takich ponurych czasów. A teraz obudził się i prosił: dawny król nie żył i wróg atakował Mystarrię.

- Nie wiedziałem - powiedział. Przespał masę czasu i nie miał kiedy poznać historii ostatnich dwóch dziesięcioleci. Czyżby Orden wplątał się w jakąś kabałę z sąsiadami? - Kto nasłał tych zabójców?

- Raj Ahten, oczywiście. Nigdy nie zdobyliśmy na to dowodów, ale to jedyne sensowne podejrzenie.

- Powinniście posłać zabójców, żeby to jego ułowili - sapnął wzburzony Roland.

- Wysyłaliśmy ich na tuziny. Wszystkie królestwa Rofehavanu wysłały ich setki, może nawet tysiące. Próbowaliśmy zgładzić jego i jego dziedziców, jego darczyńców i sojuszników. Wolni rycerze też robili co w ich mocy. Niestety, tu nie chodzi o prosty spór graniczny.

Rolanda zdumiało, że Wilczy Władca zdołał odeprzeć tyle ataków i że wedle pogłosek, wciąż jest przepotężny. I nie tylko pogłosek, bo były też dowody. Przez całe popołudnie napotykali uciekających z północy wieśniaków ciągnących wózki z dobytkiem i skromnymi zapasami jedzenia. Na północ zaś zdążyło całe mrowie żołnierzy i rycerstwa Mysterrii.

Roland zamilkł na dłuższą chwilę.

- Oho, a co my tu mamy? - mruknął nagle Poll.

Wyjechali właśnie zza zakrętu na szczycie wzgórza i spojrzawszy w dół, dostrzegli leżącego na drodze konia. Na oko sądząc, musiał mieć złamaną nogę. Uniósł łeb i nieprzytomnie potoczył dokoła wzrokiem. Pod nim leżał jeździec w stroju królewskiego posłańca: skórzanym hełmie, zielonym płaszczu i granatowym kaftanie z wizerunkiem zielonego rycerza na piersi. Ten sam człowiek wyprzedził ich niecałą godzinę wcześniej. Z dała krzyczał, by zjechali mu z drogi. A teraz leżał i wcale się nie ruszał.

Roland i Poll czym prędzej do niego podjechali. Droga była jeszcze gdzieniegdzie błotnista od padających dwa dni temu deszczy, chociaż w zasadzie wyglądała na suchą. Roland wyczytał ze śladów, że wychodząc z zakrętu, koń pośliznął się i przejechał na boku ze sto jardów, łamiąc przy tym nogę. Szybka jazda na koniu z darami może być niebezpieczna. Pokonując zakręt w pełnym cwale, łatwo wylecieć z siodła, a nawet wpaść na drzewo.

Posłaniec bez wątpienia był martwy. Oczy wpatrywały się szkliscie w niebo, głowa leżała wykręcona pod nienaturalnym kątem. Wkoło otwartych ust kręciły się już muchy.

Roland zeskoczył z siodła i sięgnął po pojemnik, który posłaniec wiózł pod płaszczem - długą tubę z zielonej, lakierowanej skóry. Ranny wierzchowiec spojrział na niego i zarżał boleśnie. Roland ledwie raz czy dwa słyszał taki dźwięk wydawany przez konia.

- Okaż mu trochę miłosierdzia - powiedział baron.

Roland wyjął sztylet i poczekał, aż koń odwróci łeb. Zabił zwierzę jednym ciosem.

Potem otworzył tubę i wyjął zwój. Przyjrzał mu się, bo chociaż, umiał napisać i przeczytać tylko kilka słów, miał nadzieję, że rozpozna chociaż pieczęć. Ale nie, nie znał jej.

- Otwórz - rzekł Poll. - Dowiemy się chociaż, gdzie miał to dostarczyć.

Roland złamał woskową pieczęć, rozwinął zwój i spojrział na skreśloną w wyraźnym pośpiechu wiadomość. Rozpoznawał niektóre słowa, głównie zresztą spójniki, ale całości nijak odczytać nie potrafił.

- No, co z tobą? - zapytał zniecierpliwiony baron.

Roland zacisnął zęby. Nie był głupi, ale nikt nigdy nie zadbał o jego edukację. Przekazał zwój baronowi.

- Nie umiem czytać - wyjaśnił.

- Aha - mruknął baron tonem przeprosin. Lektura zabrała mu tylko kilka chwil.

- Na Moce! - wykrzyknął. - Raubenowie ogarnęli o świcie warownię Haberd. Są ich całe tysiące. Posłaniec jechał ostrzec Carris!

- Wątpię, by ta wieść ucieszyła diuka Paldane'a - mruknął Roland.

Baron przygryzł dolną wargę i zamyślił się głęboko. Spojrział na południe, potem na północ. Wyraźnie nie wiedział, któredy należałoby teraz jechać.

- Paldane jest stryjecznym dziadkiem króla - powiedział, jakby sądził, że Roland mógłby zapomnieć o tym przez dwadzieścia lat. - Sprawuje obecnie władzę jako regent, ale jeśli tkwi w obłączonym Carris, co bardzo możliwe, to niewiele będzie mógł działać przeciwko tym raubenom. Ktoś powinien zanieść wiadomość o nich do Tide i przekazać ją kanclerzowi, by ten powiadomił króla.

- Bez wątpienia wysłali więcej jeźdźców niż tylko tego - stwierdził Roland.

- Miejmy nadzieję.

Roland chciał już wskoczyć na siodło, gdy baron chrząknął znacząco i pokazał na martwego posłańca.

- Lepiej zabierz mu też sakiewkę. Szkoda jej na łup dla ścierwojadów.

Rolandowi niedobrze się zrobiło na myśl, że ma obrabować zmarłego, ale baron miał rację. Jeśli oni tego nie zrobią, ktoś rychło i tak na pewno ją weźmie. Roland wytłumaczył sobie dodatkowo, że skoro ma doręczyć wiadomość w zastępstwie posłańca, to należy mu się zapłata.

Odciał sakiewkę, która okazała się cięższa, niż oczekiwał. Nieszczęśnik musiał chyba wieść ze sobą wszystkie oszczędności.

Roland pokręcił głową. Już drugi raz w tym tygodniu wpadał mu w ręce całkiem okazały majątek. Czyżby ta wojna miała okazać się dla niego aż tak łaskawa?

Skoczył na konia.

- Kto będzie szybszy?! - krzyknął do barona i wraził pięty w boki wierzchowca.

Ruszyli jak burza. Poll miał śmiglejszego rumaka, ale Roland wiedział, że przy takiej masie jeźdźca szansę rychło się wyrównają.

Na stoku wzgórza tuzin mil na północ od miejsca, gdzie Roland i baron znaleźli martwego posłańca, rósł wysoki, biały dąb. W rozwidleniu jego konarów stał dalekowiedzący imieniem Akhoular. Opierając głowę o gałąź, obserwował dwóch mężczyzn gnających konno po błotnistym szlaku na północ.

Wiedział, że nie są to wieśniacy uciekający przed bliską już bitwą pod Carris. Nie byli to też konni rycerze zdążający na wojnę. Nie wyglądali również na królewskich posłańców, gdyż nie nosili stosownych strojów, ale Akhoular i tak żywił co do nich pewne podejrzenia... Jego ludzie zabili w ostatnim tygodniu kilku posłańców i usunęli ich ciała z drogi. Możliwe, że królewscy nabrali ostrożności i zaczęli podróżować w przebraniu.

Akhoular miał pięć darów wzroku. Nawet z odległości mili widział, że obaj jeźdźcy są skupieni i czymś poruszeni. Młodszy i roślejszy trzymał w dłoni zielony tubus na zwoje. Ten drugi, otyły, był całkiem dobrze uzbrojony.

Tak, królewscy posłańcy nabrali rozumu. Wyruszyli w drogę ubrani jak zwykli podróżni i z żołnierzem w roli eskorty.

Dalekowiedzący zagwizdał ku obozowi rozłożonemu pod drzewem. Zaczynało brakować mu ludzi. Przez tydzień stracił trzech zabójców, niemniej przywołał młodzieńca z Bractwa Milczących.

- Bessehan, zbliża się dwóch jeźdźców. Jeden niesie wiadomość - powiedział, wskazując w stronę drogi, której stojący na dole zabójca nie mógł widzieć. - Zdążają co koń wyskoczy do Carris. Musisz ich zabić.

- Nie dotrą do Carris - obiecał Bessehan, skoczył na konia i naciągnął brunatny kaptur na głowę. Jedną ręką sięgnął za siodło, sprawdził, czy łuk jest na miejscu, i pogonił konia w dół zbocza.

Myrrima patrzyła, jak jej strzała wzbija się łukiem w powietrze i uderza w odległą o osiemdziesiąt jardów tarczę. Chybiła wprawdzie o stopę, ale to był już trzeci strzał, w którym lokowała pocisk w obrębie przypiętego do słomianej beli czerwonego płóciennego koła. Słuszny powód do dumy.

- Dobrze, moja pani - stwierdził sir Hoswell. - Gdy powtórzysz to dziesięć tysięcy razy, osiągniesz biegłość pozwalającą ci strzelać celnie na taką co najmniej odległość. Z czasem nauczysz się trafiać i w odleglejsze cele, aż w końcu wyrobisz sobie właściwe odruchy i będziesz puszczać strzały, nie myśląc nawet, jak to czynisz.

- Ale będę musiała jeszcze poprawić celność - mruknęła Myrrima. Perspektywa oddania dziesięciu tysięcy strzałów nieco ją przeraziła. Już teraz palce i ramiona miała całe obolałe. - Taki strzał nie zatrzymałby Niezwycięzonego.

- Ba! - zachnął się sir Hoswell. - Może byś go nie zabiła, ale na pewno wyszedłby z tego starcia eunuchem. Jeśli twoim zamiarem byłoby powstrzymanie go od gwałtu, niezbędną po temu część ciała musiałby składać z kawałków.

Myrrima spojrzała na niego z ukosa. Sir Hoswell uśmiechał się szeroko. Był żylastym mężczyzną o bujnych włosach, rzadkiej brodzie i ciężkich powiekach, przez które kojarzył się z przysypiającym na nagrzanym kamieniu jaszczurem. Uśmiech miałby nawet miły, gdyby nie koszmarnie krzywe zęby.

Stał blisko, za blisko. Dla Myrrimy było to dość kłopotliwe. Strzelnicę urządzili sobie w osłoniętej dolince niedaleko od namiotów pomniejszej szlachty Heredonu. Poprzedniego dnia ćwiczyły tu z łukami setki młodych chłopców, dziś jednak było święto. Pięćdziesiąt jardów z każdej strony ciągnęły się ściany lasu i Myrrima mimowolnie czuła się bardzo nie na miejscu. Owszem, znała sir Hoswella prawie od zawsze, bo też był z Bannisferre, jednak w tej chwili z jakiejś przyczyny mu nie ufała. Zrobiło się już późne popołudnie i zaczęła się zastanawiać, czy pora wrócić do zamku.

Dęby na wzgórzach tworzyły naturalną zasłonę, która nie pozwalała nikomu dojrzeć, co dzieje się w głębi dolinki. Nikt nie widział, co tu robią, a przecież mężatka nie powinna przebywać nigdy sam na sam z innym mężczyzną. W zasadzie pachniało to skandalem, niemniej skoro Myrrima postanowiła już przygotować się jakoś do nadciągającej wojny, wołała nie zdradzać się z tym przed Borensonem. Gdyby dowiedział się o podobnych zamierzeniach, zapewne przeraziłby się i zabronił ćwiczeń. A przecież potrzebowała nauczyciela.

Lord Hoswell był przyjacielem jej ojca i świetnym łucznikiem. Gdy znalazła go tutaj szlifującego formę, zaraz poprosiła o kilka lekcji. Zgodził się i tego samego popołudnia zaczęli. Myrrima odkryła szybko, że dzięki otrzymanemu dwa tygodnie wcześniej od matki darowi rozumu uczy się podstaw łucznictwa o wiele szybciej, niżby się kiedykolwiek spodziewała.

- Spróbuj raz jeszcze - zachęcił ją sir Hoswell. - Tym razem napnij łuk silniej. Strzała musi wbić się głęboko w napastnika.

Myrrima wyciągnęła strzałę z kołczanu i szybko ją sprawdziła. Jedna z gęsich lotek nie została porządnie przyklejona i opleciona. Dziewczyna zwilżyła ją językiem i przycisnęła kciukiem na miejsce, potem chwyciła strzałę pewnie między palce, nałożyła na cięciwę i napięła łuk jak mogła najsilniej.

- Poczekaj - powiedział sir Hoswell. - Musisz pamiętać o właściwej postawie.

Zbliżył się do niej od tyłu i stanął tak blisko, że poczuła ciepło jego ciała i oddech na karku.

- Wyprostuj plecy, tułów obróć lekko na bok, o tak... - Wyciągnął rękę i objął jej lewą pierś, poprawiając ustawienie o pół cala. Potem wcale jej nie puścił, chociaż wyraźnie nogi mu się trzęsły.

Myrrima poczuła, że oblewa się rumieńcem zakłopotania, niemniej w głowie usłyszała głos Gaborna, głos Króla Ziemi, podpowiadający: „Uciekaj. Jesteś w niebezpieczeństwie.

Uciekaj”. - Ogarnęło ją przerażenie tak wielkie, że aż upuściła strzałę. Jednak sir Hoswell nie zdjął dłoni z jej biustu.

Najszybciej jak potrafiła obróciła się i wraziła mężczyźnie kolano w krocze. Zaskoczyła go i nawet dary metabolizmu nie pomogły mu uniknąć ciosu.

Sir Hoswell prawie że upadł, ale przytrzymał się bluzki Myrrimy. Próbował pociągnąć ją za sobą.

W jej głowie ponownie rozległ się głos Gaborna: „Uciekaj!”

Uderzyła Hoswella w jabłko Adama. Cofnął się odruchowo i puścił przy tym materię bluzki, tak że dziewczyna wreszcie się uwolniła i spróbowała uciec.

Hoswell złapał ją jednak za kostkę i przewrócił.

- Gwałca! - wrzasnęła Myrrima, padając na ziemię. Zdażyła jeszcze kopnąć napastnika, ale zaraz i tak miała go na sobie.

- Cholerna dziwko! - syknął, uderzając ją dłonią w twarz. - Zaniknij się albo uciszę cię na dobre!

Cofnął rękę i nasadą dłoni gwałtownie pchnął podbródek, aż wygięta do tyłu szyja zabolala ją nieznośnie. Zakrył dziewczynie usta i sięgnawszy palcami do jej nosa, ścisnął nozdrza, tak że całkiem pozbawił ją tchu. Przygniaciona do ziemi nie mogła uciec, ale spróbowała walczyć: wraziła mu kciuk w prawe oko tak mocno, że aż pojawiła się krew.

- Dziwka! - sapnął Hoswell. - Teraz już będę musiał cię zabić!

Uderzenie w brzuch wyparło z Myrrimy całe powietrze, dławiąca gęła wezbrała jej w gardle. Przez dłuższą chwilę zmagali się w ciszy, przy czym dziewczyna walczyła wyłącznie o odzyskanie tchu, a Hoswell wolną ręką mocował się z pasem. Płuca Myrrimy coraz boleśniej domagały się powietrza, w oczach jej poczerwieniało, w głowie zaczęło się kręcić, jakby miała zemdleć.

Nagle usłyszała głucho uderzenie i powietrze uszło tym razem z sir Hoswella. Stoczył się z niej gwałtownie.

Ktoś go kopnął, i to tak mocno, że chyba połamał mu zębra.

Myrrima wciągnęła łapczywie powietrze, raz, drugi i trzeci. Długo nie mogła się naoddychać.

- A cóż tu się dzieje? - usłyszała. Głos należał do kobiety, która mówiła po rofehawańsku, ale z tak dziwnym akcentem, że Myrrima dopiero po chwili zrozumiała pytanie.

Uniosła głowę. Stojąca nad nią kobieta miała zielone oczy i bujne, czarne włosy, które opadały jej kędziorami na ramiona. Wyglądała na jakieś dwadzieścia lat. Szerokie ramiona świadczyły o krzepie, której nie powstydziliby się nawet tragarz. Nosila prostą, brązową tunikę narzuconą na kolczugę, w dłoni trzymała ciężki topór. Za nią stała myszowata kobieta w szacie uczonej. Dziennik.

Myrrima spojrzała na sir Hoswella. Trochę się bała, że nieznajoma mogła go zabić tym uderzeniem. Kobieta nie była byle kim, ale jedną z konnych siostr Fleeds, wojowniczką z tyłoma darami krzepy i sprawności, że bez trudu mogłaby równać się z sir Hoswellem w walce.

Szlachcic przeżył. Zgięty w pół trzymał się za pierś, krew ciekła mu po twarzy.

- Trzymaj się od tego z daleka, dziwko z Fleeds - warczał niewyraźnie.

- Na twoim miejscu nie zwracałabym się tak do damy, szczególnie jeśli stoi nad tobą z toporem, a ty nie zostałeś jej należycie przedstawiony - stwierdziła kobieta i uśmiechnęła się dwornie, ale i szydlerczo. Wyraźnie nie lubiła Hoswella.

Ten przyjrzał się jej uważnie i zmarszczył brwi.

- Jeśli Heredon nie rodzi lepszych mężów niż ten tutaj, to chyba nigdy z nikim nie zlegnę - mruknęła nieznajoma.

Przerażona tym wszystkim Myrrima nie mogła wykrztusić słowa. Zrozumiała jednak, że kobieta żartowała. Chociaż nie do końca.

We Fleeds od wielu pokoleń hodowano konie, tak je dobierając do rozplodu, aby uzyskać rasy o szczególnej sile, pięknie i inteligencji. W podobny sposób tamtejsze kobiety szukały ojców dla swoich dzieci. Bywało, że dobrze urodzona dama w ciągu całego życia zatrudniała do tej roli i z tuzin mężczyzn. Czasem mogła nawet kogoś poślubić, ale nigdy nie było tak, aby mąż rządził tam żoną. Wszystkie tytuły i dobra dziedziczone zawsze w linii żeńskiej, kierując się popularnym we Fleeds przysłowiem: „Tylko matka zawsze jest pewna”. Tamtejsze kobiety śmiały się, słysząc od obcoziemców, że to mężczyźni powinni rządzić. We Fleeds tytuł króla oznaczał tylko męża królowej. Jeśli władczyni postanowiła odprawić małżonka i poszukać sobie nowego, dotychczasowy tracił to miano.

- Ja... - zaczęła Myrrima i umilkła, bo Hoswell złapał się za pokrzwione czoło i padł bez sił na murawę.

- Co ja? - spytała kobieta.

- Przepraszam. Poprosiłam go tylko, żeby nauczył mnie strzelać z łuku.

Kobieta splunęła na Hoswella.

- I dobrze. Biorąc pod uwagę, jak Raj Ahten burzy ostatnio zamki na północy, tamtejsi panowie winni sami pomyśleć, żeby nauczyć kobiety wojaczki.

Myrrima ani myślała się spierać. Przyklękła przy Hoswellu, który rozkaszał się tymczasem i niemrawo próbował odpełznąć. Chciała pomóc mu wstać, ale odepchnął jej rękę.

- Zostaw mnie, mystarriańska kurwo! Powiniennem się domyślić, że tylko kłopotów mi narobisz. - Dźwignął się na kolana, potem wstał chwiejnie i odszedł niepewnym krokiem.

Myrrima nie wiedziała, co myśleć. Określenie „mystarriańska kurwa” bardzo ją zabolowało. Urodziła się i wychowała tutaj, w Heredonie, i Hoswell świetnie o tym wiedział. Czyżby miał ją za kurwę, bo poślubiła mężczyznę z Mystarrii?

- Nie przejmuj się nim - powiedziała nieznajoma. - Znam takich. Przy obiedzie będzie opowiadał wszystkim, że zrobił z tobą, co chciał, a głębiej pokieraszował sobie, bo upadł na kamienie.

- Powinniśmy się nim zająć. Nie wiem, czy dojdzie sam do obozu.

- Jeśli będziemy się przy nim teraz kręcić, to tylko burda z tego wyniknie. Chyba że chcesz się zemścić. Jeśli tak, to najlepiej wpakuj mu teraz strzałę w plecy.

- Nie.

- No to go zostaw.

Myrrima zmarszczyła brwi. Nie miała się za ucieleśnienie cnót wszelakich, ale żeby tak zostawiać rannego na łasce losu? Z drugiej strony... Przecież powinnam być na niego wściekła, pomyślała i zacisnęła zęby. Jeśli wyruszy na wojnę, zobaczy gorsze sceny niż tylko sponiewierany rycerz z urażoną ambicją.

- Dziękuję - powiedziała do nieznajomej. - Moje szczęście, że byłeś przypadkiem w pobliżu.

- Wcale nie przypadkiem. Ćwiczyłam po drugiej stronie wzgórza, gdy Król Ziemi mi powiedział, że ktoś potrzebuje tu pomocy.

Myrrima jedynie westchnęła ze zdumienia. Nieznajoma przyjrzała się jej otwarcie.

- Ładniutka jesteś. Jakie masz dary?

- Dwa urody i jeden rozumu.

- Kim jesteś? Szlachcianką czy bogatą kurwą? Chociaż po prawdzie nie widzę wielkiej różnicy między jednym a drugim.

- Szlachcianką... - powiedziała Myrrima i zawahała się, bo przecież to nie była prawda. - Poniekąd. Nazywam się Myrrima. Mój mąż służy w gwardii.

- No to niech on nauczy cię władać hakiem - stwierdziła kobieta, nie kryjąc, że irytuje ją głupota mieszkańców Północy. Odwróciła się, żeby odejść między drzewa.

- Poczekaj! - zawołała Myrrima. Kobieta odwróciła się.

- Z kim miałam zaszczyt rozmawiać? - spytała Myrrima, chociaż zauważyła już, że nieznajoma nie ma raczej upodobania do dwornych manier.

- Jestem Erin. Erin z klanu Connal.

To znaczyło, że była księżniczką, córką królowej, Herin Rudej.

- Przykro mi z powodu twojego ojca - powiedziała Myrrima z braku innego konceptu. Kilka dni wcześniej przysłała do Heredonu wieść, że Raj Ahten pojmał króla klanu Connal i rzucił go żywcem olbrzymom na pożarcie.

Lady Connal skinęła tylko głową, jednak w zielonych oczach zapłonęły ognie. Mogłaby odżegnać się od ojca, odmówić mu miana dzielnego wojownika, skoro spotkał go tak niegodny koniec. Wśród jej ludu czasem tak postępowano. Mogłaby okazać jakoś, że go kochała, tak jak córka kochać może ojca, ale nie zrobiła ani jednego, ani drugiego.

- Wielu wojowników poległo - stwierdziła jedynie. - I mężów, i kobiet. Martwi mogą zwać się szczęśliwymi. Są losy o wiele gorsze od śmierci. - Sięgnęła po łuk Myrrimy. Nałożyła strzałę i naciągnęła cięciwę aż po ucho. Strzała utkwiała w samym środku tarczy.

Daje mi do zrozumienia, że oczekuje po mnie szacunku, pomyślała Myrrima, która nagle pojęła, co czuje Erin Connal. Była dumna z ojca, że wolał zginąć, niż zdradzić.

Trzydzieści tysięcy zbrojnych z Fleeds przyłączyło się do armii Raja Ahtena. Wilczy Władca oczarował ich swym głosem i urokiem.

Jeszcze chwilę temu Myrrima nie pomyślałaby, żeby poprosić o cokolwiek tę szlachetnie urodzoną wojowniczkę. Jednak skoro dumna pani okazała uczucia, nagle stała się w oczach Myrrimy przede wszystkim kobietą. W gruncie rzeczy wcale się nie różnimy, pomyślała dziewczyna.

- Księżniczko, czy zechcesz mnie szkolić? - spytała.

- O ile dasz się czegoś nauczyć. Ale przede wszystkim przestań tytułować mnie księżniczką. Takie dworskie tytuły pasują raczej ulubionym zwierzakom. W moim kraju każda przywódczyni klanu musi zasłużyć na swoją pozycję. Możesz mówić mi Connal, a jeśli wolisz bardziej oficjalne formy, to mów mi „konna siostra” albo po prostu „siostra”.

Zaskoczona Myrrima tylko pokiwała głową. Sir Hoswell zniknął już za zakrętem wijącej się wśród drzew ścieżki.

- Chodźmy stąd, zanim ten szczur wróci ze swymi kompanami - powiedziała siostra Connal.

Myrrima wzięła swój łuk i strzały, a Connal poprowadziła ją między drzewami. Dziennik siostry szła dyskretnie za nimi. Murawa na polanach była sucha, szeleszcząca, ale w lesie dwa dni deszczu zmieniły trawę i opadłe liście w miękką, wilgotną dywan.

Wspięły się na porośnięte dębami zbocze. Siostra zerkała krytycznie kątem oka na Myrrimę.

- Musisz popracować nad postawą - powiedziała. - Piersi przeszkadzają w naciąganiu cięciwy. A ty masz biust większy niż inne kobiety. Powinnaś albo go obwiązać, albo zacząć nosić skórzaną kamizelkę.

Myrrima skrzywiła się. Była dumna ze swojego biustu i pomysł ściskania go lub zakrywania wcale jej się nie spodobał.

Doszły na szczyt wzgórza i przystanęły tam na chwilę. Obok starej drogi do wzgórz Durkin rozłożyła się obozem pomniejsza szlachta. Dalej, na polach wkoło miasta, ciągnęło się całe morze brezentu i jedwabiu, ale tutaj, przy szlaku, zatrzymali się ci, którzy tytułem szlacheckim mogli się wykazać góra od dwóch pokoleń, synowie i wnukowie wieśniaków, tyle że wyniesionych dla swych zasług ponad pospólstwo. Dobrze urodzony szlachcic jednak dziedziczył klejnot rycerski i po mieczu, i po kądzieli, przy czym zaszczyt ów wywalczony przez odległych przodków kolejne pokolenia czyniły tym bardziej zasłużonym. Niemniej Myrrima nie uznawała nadania szlachectwa za nazbyt wartościowe. Ostatecznie każdy cham mógł go pewnego dnia dostąpić, i to li tylko dzięki umiejętności władania bronią połączoną z

nieopanowanym temperamentem i brakiem skrupułów. Na przykład zamieszkujący w najbliższym namiocie „sir” Gylmichal z rodzinnego miasta Myrrimy, z Bannisferre, został splotzony przez ordynarnego pijaka, któremu udało się znaleźć w butelce źródło zarówno dzikiego, acz słusznego gniewu, jak i wielkiej odwagi. Ile razy zdarzyło się temu człowiekowi usłyszeć, że jakiś bandyta napadł podróżnego, upijał się po nocy i pędzony ślepą furją, brał sforę i ruszał zamordować złoczyńcę we śnie. Tylko z tego powodu wszyscy wieśniacy mieli kłaniać się jego potomkom i zamiatać przed nimi podłogę czapkami jeszcze przez wiele pokoleń.

Gylmichal nosił zatem tytuł, jednak brakło mu i powiązań, i pozycji pozwalającej być za pan brat ze znacznie szerszymi panami. Wielkie i zdobne namioty tych ostatnich pyszniły się na wschód od zamku Sylvarresta.

Od zachodu pod murami miejskimi rozłożyli się wieśniacy. Niektórzy z lichymi, burymi namiotami, inni spali po prostu pod gołym niebem. Jeszcze dalej na zachód jaśniały jedwabne namioty kupców z Indhopalu.

Siostra Connal ogarnęła spojrzeniem obóz.

- Tam stoi mój namiot - powiedziała, wskazując na proste schronienie z poplamionego płótna. Namiot Connal, inaczej niż heredońskie: czworokątne, z licznymi masztami podtrzymującymi materię, okazał się okrągły, wsparty na jednym tylko, centralnym maszcie. Nie był zbyt elegancki, ale Władcy Koni nigdy nie używali innych.

Na wprost Myrrimy rozciągało się pomiędzy namiotami błotniste pole turniejowe odgródzone od publiczności. Część szranków obwieszono barwną materią mającą ochronić wykwintne stroje widzów przed rozpryskami błota. W tłumie kręcili się hałaśliwi sprzedawcy pasztecików i prażonych orzechów.

Zbocza wzgórza, na którym stały Myrrima i Connal, były tak strome, kamieniste i krzaczaste, że nikomu nie chciało się na nie wdrapywać, chociaż widok z góry był wręcz idealny, a i dźwięki docierały tu zdumiewająco dobrze. Myrrima oparła się o szorstki pień dębu i razem z oboma towarzyszkami spojrzała na kłębiący się z osiemdziesiąt stóp niżej tłum i na stojących w szranki.

Turniej rozgrywano na użytek rofehawańskich młodzieńców, którzy wciąż jeszcze wprawiali się do wojaczki i nie przyjęli darów. Władcy Runów byli zazwyczaj nazbyt krzepcy, żeby ryzykować stawanie do pozorowanej walki. Nawet lekki cios w ich wykonaniu mógł przynieść fatalne skutki, toteż zwykłą koleją rzeczy w życiu każdego wojownika przychodziła taka chwila, gdy porzucał turniejowe zabawy.

Na polu pojawiło się dwóch młodych jeźdźców w pełnych zbrojach płytowych. Ten z zachodniego krańca wyglądał na zwykłe chłopskie dziecko. Nosił turniejowy rynsztunek złożony z wyjątkowo ciężkiego hełmu i napierśnika, który jak zwykle, był o wiele grubszy z prawej strony, tam gdzie najczęściej trafiała kopia. Resztę blach musiał chyba popożyczać od innych, którym zbywały zapasowe części. Jedyne hełm zdobił ufarbowany na purpurowo koński ogon, na kopii zaś żółciła się jedwabna szarfa od damy jego serca. Myrrima od razu uznała, że to jemu właśnie będzie życzyć zwycięstwa.

Chłopak z przeciwnej strony pola turniejowego był o wiele bogatszy. Miał nową zbroję, ale wyraźnie nie stawał po raz pierwszy. Blachy były robione na niego, pokryte patynowanym srebrem, na którym wymalowano czerwienią trzy walczące mastiffy. Nosił też pelerynę ze złotogłowiu i hełm z pobielonymi pawimi piórami.

Mistrz turnieju, baron Wellensby, zasiadał w specjalnym, przeznaczonym dlań namiocie rozstawionym z dłuższego boku pola. Towarzyszyły mu trzy grube córki i niecodziennych rozmiarów żona. Sam baron odział się w pocieszną jasnopurpurową szatę z tak obszernymi rękawami, że dzieci mogłyby się w nich chować. Do tego dobrał biały kapelusz z szerokim rondem ocieniającym mu całą twarz, najpewniej po to, by nikt nie zauważył, kiedy mistrz turnieju zażywa drzemki podczas walk. Jego nie zważająca chyba na modę żona włożyła

szmaragdową suknię z bogato wyszywanymi, luźnymi rękawami. Ręce trzymała w wycięciach prowadzących do obszernej kieszeni, głaszcząc trzymanego tam małego pieska, który co pewien czas wystawiał pyszczek pomiędzy fałdów materii, by obszczezać szarżujących młodzianów. Czasem, gdy tłum milkł na chwilę, słychać było wydawane przez tę okazałą niewiastę okrzyki mające zachęcić zawodników do walki. Niemal niczym nie różniły się one od psiego poszczekiwania.

Młodzieńcy bez wątpienia zaczęli starcie już chwilę temu i wtedy też ogłoszono ich imiona oraz podano, czyjego honoru bronią i na jakich warunkach stają do walki.

Baron Wellensby machnął ceremonialną włócznią i na ten znak obaj jeźdźcy opuścili kopie i z krzykiem wrazili pięty w boki wierzchowców.

Rumaki potrząsnęły łbami i ruszyły żywo przed siebie. Zadzwończyły zbroje, zadudniły rozpryskujące rzadkie błoto kopyta. Młodzieniec w pelerynie ze złotogłowi przywiązał do grzywy i ogona swojego konia liczne srebrne dzwoneczki, tak że wierzchowiec dodatkowo muzykował w biegu.

Za namiotem barona Wellensby'ego ustawiła się grupa minstrelów, która odegrała teraz krótką melodię na rogi i piszczałki mającą stanowić przejmujący podkład do cwału wierzchowców, chociaż mała była szansa, by ten skończył się czymkolwiek więcej ponad głuchy trzask kruszonych kopii. Ich drzewca były specjalnie wydrążone, aby pękały przy lada uderzeniu, jeźdźcy więc zazwyczaj nie robili sobie krzywdy. Mogli jednak nimi zepchnąć przeciwnika z konia, a huk, jaki przy tym powstawał, słychać było na mile wokoło. Publiczność musiała być zadowolona.

Myrrima wszelako i tak dała się porwać uniesieniu. Dla niej to była bitwa, gdyż uczestniczący w niej mężowie nie zawsze wychodzili bez szwanku. Nawet słaby cios kopią mógł posiniaczyć, a złe uchwycenie broni podczas jego zadawania prowadziło niekiedy do zerwania ścięgna. W razie trafienia w zasłonę hełmu, skruszone ostre drzewce mogło wbić się głęboko w mózg, a niezgrabny upadek kończył się co jakiś czas skruceniem karku. Zdarzało się też, że padający koń miażdżył jeźdźca. Rzadko podczas turnieju przynajmniej kilku zawodników nie padło trupem, co zresztą zwiększało atrakcyjność rozgrywek, bo przecież wszyscy oni byli zwykle świetnie znani publiczności. Ludzie kochali ich lub nienawidzili, podziwiali albo lekceważyli.

Myrrima wstrzymała oddech. Rogi grały, warczały bębny, kopyta dudniły, a dzwonki brzęczały coraz głośniejsze... Wierzchowce miały dary metabolizmu i zbliżały się do siebie z oszalałą prędkością. Nogi rumaków poruszały się tak szybko, że nie można było nadążyć za nimi wzrokiem. Myrrimie dreszcz przebiegł po plecach.

- Wygra ten biedak z lewej - rzuciła obojętnie Connal. - Lepiej trzyma się w siodle.

Myrrima wątpiała, by szybko do tego doszło. Zazwyczaj stający w szranki musieli wykonać dwadzieścia lub trzydzieści najazdów, nim udało się wyłonić zwycięzcę. Ci tutaj młodzieńcy wyglądali na zmęczonych, znać było po śladach błota, że kilka razy już na siebie szarżowali.

Spotkali się na środku pola. Trzasnęły rozgłośnie kopie, zarżały konie. Bogaty dostał cios w podbródek zbroi. Głowa poleciała mu do tyłu, odchylił się cały daleko ku zadowi konia. Próbował jeszcze przytrzymać się wodzy, ale trzasnęły pod jego ciężarem i runął na ziemię.

Publiczność uradowała się głośno, chociaż ci, którzy stawiali w zakładach na zwycięstwo bogatego, nie szczędzili mu obelg.

- Pobrudzi sobie biedaczek te białe pawie pióra - szydziła Myrrima.

- Bez młota i szczypiec nie zdejmą mu hełmu - zachichotała siostra Connal.

Chłopak jednak szybko pozbiierał się i skłonił publiczności, by zapewnić wszystkich, że żyje, i utykając, zszedł z pola. Giermkowie rzucili się zaraz zdejmować z niego zbroję. Składali ją w zgrabny stos, który miał przypaść w nagrodę zwycięzcy. Myrrima cieszyła się, że ubogiemu wojownikowi dopisało szczęście.

Dolatująca z dołu woń świeżo prażonych w maśle i cynamonie orzechów zachęcała, by coś przegryźć. Myrrima poczuła się głodna i chętnie dołączyłaby do reszty publiczności.

- Dałabyś radę pobić tego rycerza? - spytała, gdy zwycięzca okrążał pole z ułamkiem kopii w dłoni.

- Jasne - odparła siostra Connal. - Ale po co komu taki nierówny pojedynek?

Myrrima zadumała się na chwilę. Panie z Fleeds ceniły kunszt wojenny wyżej niż pochodzenie. Siostra Connal bez wątpienia należała do najlepszych wojowniczek swego plemienia i miała dość darów, by stawić czoło dowolnemu rycerzowi.

Gdy ranny zniknął im z oczu, heroldowie ogłosili imiona następnych zawodników. Gdy pojawił się pierwszy, tłum podniósł taki krzyk, że Myrrima nie dosłyszała zapowiedzi, szybko jednak pojęła, iż to nie będzie zwykła walka, bo herold, który stanął na przeciwległym końcu pola, nie był młodzieniaszkiem, tylko weteranem o twarzy poznaczonej licznymi a szpetnymi bliznami. Nie nosił barw królewskich ani znaku pana, któremu by służył, Myrrima uznała więc, że musi być wolnym rycerzem, który ślubował zwalczać zło we wszelkiej postaci.

Obok niego pojawił się mąż na wielkim karym koniu, prawdziwym potworze z tak wieloma darami, że trudno byłoby zwać go istotą z krwi i kości. Poruszał się pewnie i dostojnie niczym ożywiony cudownie żelazny posąg.

Ten, który siedział w siodle, robił nie mniejsze wrażenie. Myrrima nigdy jeszcze nie widziała kogoś tak wysokiego, gotowa była sądzić, iż w żyłach tego rycerza musi płynąć krew olbrzymów.

Ciemnowłosa i chmurny wojownik nosił tarczę wolnego rycerza, jednak zbroję miał całkiem cudzoziemskiego wzoru. Tarcza była kształtu orła z rozpostartymi skrzydłami, z oczu ptaka sterczały szpikulce. Hełm był rogaty, podobny do używanych w Internooku, a nadzwyczaj długa kolczuga sięgała aż do kostek. Podobnie też rękawy płaszcza spływały do samych nadgarstków.

I to było wszystko. Dziwił brak zbroi płytowej, gdyż kolczuga, najlepszej nawet roboty, nie jest żadną ochroną przez kopią. Grot przechodzi przez nią równie łatwo, jak igła przebija sukno.

To nie miał być zwykły pojedynek.

Każdy cios dosiadającego mocarnego rumaka Władcy Runów musiał zgruchotać kości przeciwnika lub zmienić jego wnętrzności w miazgę. Nie było takiego pancerza, który ochroniłby przed podobnym uderzeniem i zarazem nie krępował zbyt ruchów. Tak zatem pomiędzy potężnymi Władcami Runów wykształcił się inny typ pojedynku. Nie mogli brać ciosów na pancerze, najważniejsze były zatem podczas ich rywalizacji zwinność, szybkość i refleks pozwalające uniknąć broni przeciwnika. To była ich cała ochrona i mało który Władca Runów nosił jakąkolwiek zbroję. Nie przydając się na nic, tylko mu krępowała ruchy. Owszem, wkładali kolczugi, czasem też karaceny, zawsze na grube skórzane i płócienne odzienie, które nieco osłabiało mniej celne ciosy. Podczas turniejów ich pojedynki zapierały dech w piersiach, szczególnie gdy wierzchowce przechodziły w cwał, gnając i trzykroć szybciej niż zwykły koń. Zderzali się z hukiem, czasem zeskakiwali z siodła, by uniknąć ciosu, albo chowali się pod brzuchem konia. Niektórzy stosowali jeszcze wymyślniejsze sztuczki i zabawa zawsze była przednia, godna zaiste królewskich rozgrywek.

Z drugiej strony, była zawsze śmiertelnie niebezpieczna. Ten, kto wychodził na pole turniejowe bez zbroi, nie walczył bowiem o sławę ani o bogactwo. Walczył o życie. Swoje lub cudze.

- No proszę, co my tu mamy? - mruknęła Connal. - Zapowiada się interesująco.

- Kto to jest? - spytała Myrrima. - Kto walczy?

- Marszałek wielki Skalbairn.

- Marszałek jest tutaj, w Heredonie? - zdumiała się Myrrima. Nigdy wcześniej go nie widziała, nie słyszała także, by kiedykolwiek przekroczył granicę. Na dodatek zimy spędzał zwykle w Beldinooku, trzy królestwa dalej na wschód.

Ale oczywiście, że przyjechał, pomyślała. Usłyszał o Królu Ziemi i przyjechał. Cały świat ciągnął do Heredonu. Przyjechał tak szybko, że żaden wysłannik nie miał szans go poprzedzić.

I teraz tu był: przywódca wszystkich wolnych rycerzy. Myrrimę zawsze to zastanawiało. Wśród wolnych rycerzy nie było lepszych czy gorszych. Zwykły chłopak, który wstąpił w ich szeregi, mógł zyskać sławę równie szybko jak najznamienitszy książę. Ważne było tylko jedno: wierność przysiędze, że wszędzie i zawsze będzie zwalczał Wilczych Władców i bandytów, zawsze będzie bronił sprawiedliwości.

Żaden z wolnych rycerzy nie obnosił się z tytułem szlacheckim, ale szarże były w użyciu. Spotykało się giermków, rycerzy i marszałków. Marszałek wielki Skalbairn był wodzem ich wszystkich.

Na swój sposób był władcą równie potężnym jak którykolwiek z królów Rofehavanu. Na dodatek osiągnął swoją pozycję, bez rozlewu krwi, co nie było częste. Niemniej niektórzy i tak mieli go za szaleńca, który traci w walce panowanie nad sobą, całkiem jakby szukał śmierci. Myrrima nie znała go i nie wiedziała, co o tym sądzić. Poznała jednak przysadzistego mężczyznę, który pojawił się na bliższym jej końcu pola turniejowego. Ubrany w najlepsze szaty opuścił tylnym wyjściem główny namiot, obszedł go i uniósł ręce, by uciszyć tłum.

- Diuk Mardon - wyszeptała zdumiona. Skoro to on został heroldem obu rycerzy, musiało chodzić o coś naprawdę poważnego. Może nawet jakiś król stanie w szranki? Myrrima pomyślała przelomie o Gabornie...

Ale skoro chodziło o wysoko urodzonych, to dlaczego tutaj? Prawdziwa szlachta stawała zwykle na zanikowej łące. Chyba że znamienitym panom nie zależało na rozgłosie, bo chcieli rozstrzygnąć jakiś spór w pojedynku, nim ktoś z dworu dowie się o tym i król każe im zejść z pola.

- Panie i panowie - zaczął diuk Mardon donośnym głosem, ale zagłuszył go przedwczesny aplauz i Myrrima nic nie słyszała aż do chwili, gdy herold jeszcze bardziej wyteżył płuca. - ...zabił dopiero wczoraj maga raubenów w Mroczonej Puszczy... sir Borenson Królobójca!

Serce zabiło Myrrimie tak głośno, że wydawało się jej, iż Connal musi to usłyszeć.

Krzyki i wiwaty urosły do ogłuszającej wrzawy. Jedni pozdrawiali jej męża, inni chcieli jego śmierci. Pospólstwo wywrzaskiwało wściekle: „Głupiec! Bękart! Skurwysyn! Królobójca!” Z bliższych i dalszych namiotów nadbiegali zaalarmowani zgłębkiem kolejni widzowie. Tłum gęstniał niepokojąco.

Myrrima zaczęła z wolna pojmować, dlaczego pojedynek został zorganizowany właśnie tutaj. Zaraz po bitwie o Longmot jej mąż zabił króla Sylvarrestę. Uczynił to na rozkaz króla Ordena. Niemniej, chociaż król Sylvarresta oddał pod przymusem dar umysłu Rajowi Ahtenowi i stał się tym samym narzędziem w ręku wroga, wcześniej był dobrym władcą i lud go kochał. Ioma Sylvarresta ukarała Borensona, nakazując mu dokonanie aktu skruchy, ale dla marszałka wielkiego było to widać za mało. Chciał, aby Borenson zapłacił krwią, i wyzwiał go. Młody król Gaborn Val Orden nigdy nie zezwoliłby na ten pojedynek. Zniósł nawet turnieje na dziedzińcu zamkowym i tym sposobem zmusił szlachetnie urodzonych, by potykali się pośród drobnej szlachty, w tym samym niemal miejscu, gdzie na co dzień odbywały się walki kogutów i szczucie psów na niedźwiedzie.

- Na Moce - mruknęła siostra Connal. - Toż to jedyny mężczyzna w tym królestwie, którego chciałabym mieć między nogami, a oni tu gotowi go zabić!

Myrrima spojrzała uważnie na twarz siostry. Skąd ta obelga? Dopiero po chwili zrozumiała, że wręcz przeciwnie, był to najwyższy komplement, na dodatek Connal nie wiedziała przecież, czyją Myrrima jest żoną.

Tymczasem Borenson wjechał w szranki od zachodniej strony. Siedział na siwym rumaku, prócz zbroi miał okrągłą tarczę z zakrytym herbem. Długie rude włosy spływały mu na plecy, niebieskie oczy promieniały uśmiechem. Przyjrzał się przeciwnikowi, szacując rozmiary jego barków i całej osoby.

Rycerz w barwach Sylvarrestów podał Borensonowi hełm. Tymczasem Myrrima nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia, że jej mąż nie powiedział jej wcześniej ani słowa o mającej nastąpić walce.

Zjawili się kolejni rycerze, by podać stającym w szranki kopie. Nie były to różnokolorowe, łatwo kruszące się kopie turniejowe, ale prawdziwe, bojowe, z polerowanego jesionu, okute i zakończone stalą. Groty zostały poczernione smołą, by nie ześlizgiwały się po tarczach czy pancerzach, ale wbijały mocno we wszystko, co napotkają. Taka kopia ważyła nawet do stu pięćdziesięciu funtów i mierzyła w przekroju u podstawy osiem cali. Gdy wbiła się w człowieka, rozdzierała po równo ciało i kości, zostawiając wielką ranę gotową powalić nawet kogoś o wielu darach sił życiowych. Prawdziwie mordercza broń. Kopia marszałka wielkiego była czarna na znak zemsty, Borenson miał czerwoną, co symbolizowało niewinność. Na drzewcu jaśniała szkarłatem chusta Myrrimy.

Minstrele zaczęli zawodzić hałaśliwie na znak, że zaraz się zacznie.

- Muszę iść - wykrztusiła Myrrima, czując, jak żołądek skręca jej się w supeł. Rozejrzała się rozpaczliwie w poszukiwaniu drogi, którą mogłaby zejść. Kamienista stromizna nie dawała pewnego oparcia, tylko tu i ówdzie wyrastał pomiędzy głązów mały dąb.

- Dokąd? - spytała siostra Connal.

- Tam - jęknęła Myrrima. - To mój mąż!

Nieco jej ulżyło, gdy ujrzała, że na twarzy siostry Connal maluje się zdumienie - już zaczęła ją uważać za wyzbytą uczuć. Poza tym tego dnia spotkało ją tyle wstrząsów, że czuła się słaba i bezbronna.

Odwróciła się i jak mogła najszybciej pobiegła w dół. Zanim przeszła drogę, wokół pola zebrał się gęsty tłum.

Próbowała przepchnąć się bliżej, ale bez powodzenia. Nagle u jej boku stanęła siostra Connal. Huknęła na ludzi, by się odsunęli, i dziewczyna mogła ruszyć dalej.

Myrrima obejrzała się na nią, żeby podziękować. Siostra Connal odezwała się pierwsza.

- Nie wiedziałam, że to twój mąż - powiedziała po prostu, miast przeprosin.

Zanim dotarli do szranków, walka już się zaczęła. Konie ruszyły.

To nie miało być zwykłe starcie młodzików na dwadzieścia pięć najazdów i kilkanaście siniaków.

Tłum huczał ogłuszająco. Myrrima spojrzała na twarze kilku co bliżej stojących osób. Wszyscy wyraźnie łaknęli krwi.

Obaj wojownicy wybrali osobliwe pozycje do walki. Sir Borenson uniósł się w strzemionach i wychylił mocno w prawo. Tylko mąż z wieloma darami krzepy mógł zdobyć się na coś takiego. Na dodatek kopii nie trzymał pod pachą, ale uniósł ją wysoko nad głowę, jakby to był oszczep.

Marszałek wielki przytulił się niemal do karku swego czarnego wierzchowca, aby stanowić jak najmniejszy cel. Widząc poczynania Borensona, odsunął kopię od ciała i przytrzymał ją w wyciągniętej ręce. Myrrima nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziała. W drugiej ręce nie trzymał tarczy, ale krótki miecz.

Wydawało się, że Borenson zamierza uderzyć z góry w zasłonę hełmu marszałka, ten zaś zamyśla przesyć grotem kopii bark przeciwnika.

Spotkali się na środku pola. Do ostatniej chwili próbowali się czymś zaskoczyć. Szybkimi, ledwo uchwytnymi dla oka poruszeniami zmieniali pozycje. Borenson uniósł się jeszcze, potem opadł na siodło, zamiótł tarczą, by odbić kopię marszałka.

Myrrima, patrząc na męża, nie śledziła zbyt uważnie poczynania Skalbairna, ale dostrzegła, jak odchylił się w prawo, może nawet dotknął na moment ziemi, unikając kopii Borensona, po czym znów usiadł pewnie w siodle.

A potem się zwarli.

Stal uderzyła z łomotem o stal. Ktoś krzyknął z bólu. Publiczność ryknęła, zagrały rogi. Tarcza Borensona poleciała do góry zahaczona mieczem marszałka. Zaraz za nią błysnął spadający hełm. Sir Borenson zachwiał się w siodle.

Przez dłużącą się niczym wieczność chwilę Myrrima myślała, że marszałek uciął jej mężowi głowę. Widząc srebrzysty hełm lecący na ziemię, krzyknęła ze strachu. Muzycy triumfalnie zadęli w trąby na znak, że ktoś zginął, tłum wiwatował radośnie.

Myrrimie zrobiło się słabo i wsparła się na ramieniu siostry Connal.

Jednak moment później ujrzała, że obaj rycerze spadli z koni. I że obaj żyją!

Miotali się niczym błyskawice po błotnistym polu, z krzykiem wpadali na siebie z opancerzonymi pięściami.

Borenson pozbiierał się pierwszy i odskoczył to tyłu. Nawet w zbroi poruszał się lekko, ale miał siedem darów krzepy, dysponował siłą ośmiu ludzi. Krew płynęła mu po twarzy. Publiczność zawyła, tymczasem wojownik sięgnął do pasa po morgenstern. Zamachał nim z wprawą, aż kolczaste kule zamigotały na końcu łańcuchów. Obchodząc przeciwnika bokiem, zmierzał ku miejscu, gdzie leżała jego tarcza.

W powietrzu unosił się odór błota i krwi.

Olbrzymi Skalbairn wstał równie łatwo i pognął przez pole do swojego konia, by wyciągnąć wiszący obok siodła olbrzymi topór. Wymachując ciężką bronią, runął na sir Borensona. Był odeń o półtorej stopy wyższy i od razu zyskał przewagę.

Dopiero teraz tłum ucichł na dość długo, by Myrrima mogła usłyszeć słowa wykrzykiwane przez walczących. Jej mąż śmiał się, jak zawsze, gdy znalazł się w ogniu walki.

Zawinał morgensternem, mierząc w głowę marszałka, by potworny przeciwnik choć trochę się odsunął. Skalbairn zrobił unik w prawo i pochylił się, a chwilę później obaj zasypali się takim gradem ciosów, że Myrrima nie potrafiła wychwycić poszczególnych uderzeń ani orzec, czy ktoś zyskuje w walce przewagę. Gdy w końcu Borenson odstąpił dla nabrania oddechu, ujrzała, że z łuku brwiowego cieknie mu krew.

Znów na siebie skoczyli. Marszałek zamachnął się potężnie toporem. Borenson zasłonił się tarczą, jednak żeleźce przebiło się przez zewnętrzną warstwę stali i rozłupało drewnianą konstrukcję nośną. Tarcza rozpadła się w chwili, gdy Borenson sięgnął morgensternem głowy przeciwnika. Kolce drasnęły policzek marszałka, ale solidny hełm osłonił go przed ciosem.

Z chrzęstem zbroi Borenson skoczył wysoko w górę i uderzył jak najsilniej, pragnąc szybko rozstrzygnąć pojedynek. Wobec braku tarczy było to rozsądne posunięcie.

Raz jeszcze rycerze zaczęli poruszać się tak błyskawicznie, że zwykłe oko nie mogło za nimi nadążyć. Myrrima bardziej wyczuła, niż zobaczyła, jak marszałek, uniknąwszy ciosu, unosi topór i jak łańcuchy morgensterna owijają się wkoło rękoności.

Zaraz potem podciął Borensonowi nogi. Wojownik upadł i chociaż zaraz spróbował się podnieść, nie zdążył. Skalbairn wyrzucił go pięścią w twarz.

Ogłuszony Borenson padł na wznak. Stracił przytomność.

Skalbairn wyciągnął sztylet i przytknął sztych do szyi Borensona. Myrrima spróbowała wdrapać się na ogrodzenie, bała się, że marszałek wrazi sztylet w gardło jej męża, ale Connal złapała ją za ramię.

- Nie wtrącaj się! - krzyknęła jej do ucha.

- Poddajesz się?! Poddajesz się?! - wrzeszczał raz za razem olbrzym.

Tłum zaczął wiwatować na jego cześć. Ci i owi obrzucali go przekleństwami, inni darli się tylko: „Zabij go!”, „Zabij tego skurwysyna!”, „Zabij królobójcę!”

Takie słowa zachowywano zwykle tylko dla najgorszych tchórzy albo zdrajców. Myrrima była wstrząśnięta. Jej mąż dopiero co zabił maga raubenów, przytasczył jego łeb do bram miasta. Winni pozdrawiać go jak bohatera.

Ci ludzie jednak pamiętali przede wszystkim, że Borenson zgładził króla Sylvarrestę. Nie mieli zamiaru mu tego ani zapomnieć, ani wybaczyć. Hoswell nazwał ją mystarriańska kurwą, tłum okrzyknął jej męża królobójcą. Raz jeszcze spojrzała na boki. Ujrzała oblicza czerwone i wściekłe, oblicza ludzi wyczekujących radośnie śmierci Borensona.

Ledwie słyszała grających przez cały ten czas minstreli, jednak teraz bębny zadudniły donośnie, róg podjął wysoką nutę, wezwanie do ostatniego ciosu. Myrrime zrobiło się niedobrze. On jest lepszy niż wy! chciała krzyknąć. Lepszy niż wy wszyscy razem wzięci!

Tłum ucichł. Ludzie chcieli usłyszeć odpowiedź Borensona.

Chociaż olbrzym wciąż przyciskał mu sztych do pulsującej pod skórą tętnicy, sir Borenson odpowiedział gromkim, serdecznym śmiechem. Myrrima zastanowiła się, czy cała ta walka nie była przypadkiem ukartowana dla uciechy pomniejszej szlachty. Może naprawdę nie zmagali się na śmierć i życie. Zdarzało się tak czasem, że dwóch wytrawnych wojowników zmagowało się, żeby dostarczyć rozrywki tłumowi.

- Poddajesz się?! - ryknął znów marszałek wielki, a ton jego głosu nie zostawiał miejsca na wątpliwości: to nie był żart.

- Poddaję się! - zawołał ze śmiechem Borenson i spróbował wstać. - Ma Moce, nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo, kto by mnie tak załatwił.

Ale marszałek warknął gniewnie i wcisnąwszy głowę przeciwnika z powrotem w błoto, znów zagroził mu sztyletem.

Zgodnie ze zwyczajowymi regułami podobnych walk poddanie się oznaczało, że Borenson powierza swe życie Skalbairnowi, który może go zabić lub puścić wolno. Tyle że na tym polu rycerskie kodeksy nie były traktowane zbyt poważnie. Pokonany rycerz mógł zostać zmuszony do zapłacenia okupu, oddania broni i zbroi, czasem nawet ziemi, ale nigdy nie był zabijany.

- Nie wywiniesz się tak łatwo! - zakrzyknął rozsierzony marszałek. - Twoje życie należy do mnie, ty zawszony bękarcie, i zamierzam ci je zabrać!

Sir Borenson leżał w bezruchu. Wybuch wściekłości marszałka zupełnie go zaskoczył.

Ktoś inny mógłby próbować walki dla ocalenia skóry, ale Borenson pamiętał dobrze, co przed chwilę powiedział.

- Podałem się. Jeśli chcesz mnie zabić, twoje prawo - stwierdził.

Marszałek uśmiechnął się dziko i pochylił jeszcze niżej, jakby zaraz miał wbić sztylet w ciało.

- Najpierw jednak chcę cię o coś spytać - oznajmił. - Musisz odpowiedzieć mi szczerze, inaczej zginiesz na pewno.

Sir Borenson skinął głową, ale jego spojrzenie nabrało kamiennej wręcz stanowczości.

- Powiedz mi - krzyknął gromko Skalbairn - czy Gaborn Val Orden naprawdę jest Królem Ziemi?!

Teraz Myrrima zrozumiała, że marszałek wcale nie chciał zabić jej męża, pożądał jedynie informacji. Pożądał jej tak bardzo, że gotów był nawet ryzykować życie, by ją zdobyć. Rycerz powalony na polu walki musiał pod słowem honoru mówić prawdę i tylko prawdę. Chyba żeby miało to równać się zdradzie jego pana.

Tłum był pod wrażeniem i ucichł zaraz, by usłyszeć odpowiedź.

- Tak. Naprawdę jest Królem Ziemi - odparł Borenson tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Ciekawe... - powiedział marszałek. - W Crowthenie Południowym słyszałem pogłoski o tym, że twój król studiował kiedyś w Domu Zrozumienia zarówno w Komnacie Twarzy, jak i w Komnacie Serca, gdzie uczą, jak można oszukiwać innych ludzi. Gdy zaś ogłosił się Królem Ziemi, tego samego dnia nader widowiskowo przegnał Raja Ahtena ze swej krainy! Niektórzy mają to za dziwny zbieg okoliczności, że młody Orden „został” Królem Ziemi właśnie wtedy,

gdy Heredon najbardziej go potrzebował. Wydaje im się to nieco za piękne, nazbyt pasujące na opowieść mającą rozbudzić nadzieję w sercach ludu. Pytam cię zatem raz jeszcze: czy to prawdziwy Król Ziemi, czy samozwańczy sztukmistrz?

- Honorem i życiem zaświadczam, że jest Królem Ziemi!

- Niektórzy nazywają go kundlem bez ludzkich uczuć - warknął marszałek. - Zastanawiają się, dlaczego uciekł z Longmot, skazując ojca i jego ludzi na śmierć z ręki Raja Ahtena. Przecież jeśli jest Królem Ziemi, winien być zdolny stawić czoło nawet Ahtenowi. Ale ty znałeś go od zawsze, byłeś przy nim od dzieciaka. Co ci powiedział?

- Pchnij mnie, zbójcu, bo nie zamierzam słuchać jadowitych kłamstw rozsiewanych przez tego głupca króla Andersa! - krzyknął Borenson głosem pełnym gniewu.

Tłum zaszemrał i wiele osób spojrzało na przeciwny koniec pola, gdzie przy bramie, którą wjechał niedawno sir Skalbairn, stał wysoki i wytwornie odziany mężczyzna o jasnych włosach i zaciętym wyrazie twarzy. Wyglądał na trzydzieści lat, ale jeśli miał dar metabolizmu, mógł być młodszy. Myrrima nigdy go wcześniej nie widziała, nie zwróciłaby na niego uwagi w tłumie, ale ludzie wkoło zaczęli szeptać: „Księżę Celinor, syn Andersa”.

Olbrzym uśmiechnął się ponuro i spojrział na księcia Celinora, jakby czekał na jego znak. Księżę kiwnął głową, widać mu to wystarczało.

A więc to młody Anders stał za całą sprawą, pomyślała Myrrima. Ale... czy chciał wiedzieć, jak to jest z Królem Ziemi, bo naprawdę pożałował tej informacji, czy może pragnął jedynie zasiać wątpliwości wśród ludu? Jeśli chodziło o to drugie, nie mógł lepiej wybrać miejsca na to osobliwe widowisko.

Marszałek wielki schował sztylet i podał przeciwnikowi rękę.

- Wstań, sir Borensonie. Sam będę chciał ujrzyć tego młodego króla.

W jednej chwili tłum wtargnął na pole. Wszyscy biegli ku marszałkowi, rycerzowi, który pokonał sir Borensona. Ktoś podniósł jego kopię, inny przyprowadził konia. Borenson wstał cały drżący. Nikt nie zjawił się pogratulować mu dobrej walki. Sam poszukał szczątków swojej kopii i przyklęknął, by odwiązać czerwoną chustę Myrrimy.

Myrrima przeszła przez ogrodzenie i stanęła po kostki w gęstym błocie. Poszukała spojrzeniem jakiegoś dogodniejszego dojścia do męża, ale bez rezultatu. Brnąc w brei, dotarła w końcu do niego roztrzęsiona i z pustką w głowie. Nie wiedziała, co mu powiedzieć.

Stał tyłem do niej i próbował zawiązać sobie chustę na szyi, ale w pancernych rękawicach szło mu niesporo. Myrrima obeszła go, stanęła naprzeciwko i zawiązała oporny materiał, chociaż i ona miała kłopoty z opanowaniem drżących palców. Spojrzała mu w twarz. Włosy miał pozlepiane błotem, nad prawym okiem krzepła wypływająca z rany krew.

- Widziałaś? - spytał.

Myrrima pokiwała w milczeniu głową i dokończyła robotę z chustą. Prawie nic nie widziała przez łzy.

- Myślałam, że ozdobią nią twojego trupa. Borenson roześmiał się krótko, nerwowo.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? Czy tak mało dla ciebie znaczą? - Pomyślała, że być może zależało mu, aby nic nie widziała.

- Próbowałem cię odszukać - wyjaśnił. - Nie było cię ani przy królewskim stole, ani w całym zamku. Nikt nie widział cię od rana, a sir Skalbairn wyzwał mnie, żądając walki przed zachodem słońca. To była sprawa honoru!

Myrrima przytaknęła w duchu. Rzeczywiście nie mógł jej znaleźć. Bardzo się starała, żeby nikt nie wiedział, gdzie i po co idzie.

- Mogłeś poczekać. Czyżbyś kochał swój honor bardziej niż mnie?

Nigdy wcześniej nie rozmawiali o miłości. Ich małżeństwo zaaranżował Gaborn, oni się tylko zgodzili. W gruncie rzeczy знаła Borensona mniej niż tydzień. Niemniej poślubiła tego mężczyznę pewna, że go kocha. Chciała usłyszeć od niego, że on czuje to samo.

- Oczywiście, że nie - odparł. - Ale czymże jest życie bez honoru? Nigdy już nie mogłabyś być ze mnie dumna, gdybym nie zachował się jak mężczyzna.

Borenson zerknął jej przez ramię i Myrrima obejrzała się, żeby sprawdzić, cóż on takiego tam widzi. Od ogrodzenia nadchodziła konna siostra z łukiem i kołczanem Myrrimy, która porzuciła je na wzgórzu ponad polem. Borenson uśmiechnął się do kobiety.

- Pani - powiedziała siostra Connal. - Przynoszę, co zostawiłaś.

Myrrima wzięła jedną ręką i łuk, i kołczan.

- Erin Connal! - zawołał ucieszony Borenson. - Miło cię widzieć! Nie wiedziałem, że też tu jesteś.

- Przybyłam wczoraj - powiedziała siostra. - Jak dotąd jedyną ciekawą rzeczą, jaką zdarzyło mi się tu wiedzieć, był ten łeb raubena, który przytaszczyłeś o świcie.

- Wy się znacie? - spytała Myrrima.

- Spotkaliśmy się już parę razy - odparł ostrożnie Borenson. - Stary król Orden przyjaźnił się z matką Erin, więc podróżując przez Fleeds, zwykle zatrzymywaliśmy się w ich zamku.

- Też miło mi cię spotkać - powiedziała Connal, skłaniając głowę niczym nieśmiała dworka.

Myrrimie wcale się to nie spodobało. Nie dość, że się znali, to jeszcze Connal wyraźnie zagięła parol na jej mężczyznę.

- Wiesz, że ona chciała, żebyś był ojcem jej dzieci? - spytała wprost męża.

Borenson parsknął dziwnie i poczerwieniał.

- No jasne, która konna siostra by mnie nie chciała? - rzucił, ale zaraz zreflektował się, że taka kwestia dobra byłaby przy kuflu piwa, w stosownym do picia towarzystwie, nie teraz. Musiał zatrzeć jakoś niekorzystne wrażenie. - Ale przecież nie oddamy jej żadnego z naszych bezcennych maleństw, prawda kochanie?

Myrrima uśmiechnęła się wymuszenie. Jakoś wcale jej to nie uspokoiło.

7

MARSZAŁEK WIELKI

Borenson odwrócił się, pragnąc uciec przed swoją żoną. Nie śmiał jej zapytać, co robiła z łukiem ani jak to się stało, że pojawiła się w towarzystwie Erin Connal.

Szczęśliwie musiał pozbierać z pola turniejowego swój oręż, by nie wadził przy następnej walce. Poszedł po swego konia. Razem z wierzchowcem i oboma kobietami zbliżył się do marszałka.

Skalbairn rozmawiał akurat z księciem. Obaj mówili szeptem, ale Borenson miał dwa dary słuchu i bez trudu zorientował się, czego dotyczy konwersacja.

- Powiedz ojcu, że może zatrzymać sobie te przeklęte pieniądze - szepnął marszałek wielki. - Jeśli ten chłopak naprawdę jest Królem Ziemi, to nie odeślę moich zbrojnych na zimę do Crowthenu. Skieruję ich tam, gdzie będą potrzebni.

- Oczywiście, oczywiście - odparł książę przymilnym tonem. Potem podniósł głowę i ujrzał nadchodzącego Borensona.

- Książę Celinorze, sir Skalbairnie, pozwólcie, że przedstawię wam moją żonę - zawołał tenże z uśmiechem, gdy był już blisko.

Marszałek skłonił głowę, ale książę jedynie omiótł Myrrimę spojrzeniem od stóp do głów.

- Pójdę po mojego konia - powiedział zaraz i czym prędzej zaczął przepychać się przez tłum ku północnemu krańcowi pola. Gdy przechodził obok Borensona, rycerz wyczuł bijącą od niego woń alkoholu.

- Po co było to wszystko? - zwrócił się Borenson do marszałka, patrząc mu prosto w oczy. Przeciwnik górował nad nim niczym niedźwiedź. - O co chodzi z tym zimowaniem w Crowthenie?

Skalbairn przyjrzał się Borensonowi, jakby rozważał, ile mu powiedzieć. Król Anders z Crowthenu Południowego wołałby na pewno, żeby pewne sprawy nie dotarły do zbyt wielu uszu, ale z drugiej strony marszałek kierował się zwykle własnym zdaniem i nie zwracał uwagi na reperkusje swoich wypowiedzi.

- Jakieś cztery dni temu usłyszałem w Beldinooku o ataku Raja Ahtena, ale równocześnie odnaleźli mnie wysłannicy króla Andersa z prośbą, bym przyprowadził do Crowthenu Południowego armię wolnych rycerzy. Przywieźli mi też zapłatę, ale dwa razy większą, niżby należało. Zapachniało mi próbą przekupstwa.

- Chciał przekupić wolnych rycerzy?

- Rozumiem jego niepokój - ciągnął marszałek. - Który król nie chciałby w takiej chwili gościć silnego oddziału wolnych rycerzy? Pomyślałem, że to logiczne. Niemniej zrobiliśmy po swojemu. Udało nam się zmusić Raja Ahtena do odwrotu w góry. Kazałem moim ludziom go ścigać, a sam pojechałem do Crowthenu. Gdy dotarłem tam zeszłej nocy, okazało się, że Anders dalej nas tam chce i nic go nie obchodzi o wiele większe zagrożenie, które zawisło nad Mysterrią. Jego syn wciąż naciska, bym dał się przekonać, przynajmniej na jakiś czas.

- I co zrobisz?

- Anders się wścieknie. Odsyłam mu jego złoto, w każdym razie większość.

- Co za tchórz z tego Andersa - mruknął Borenson.

- Nie lekceważ go - powiedział marszałek i coś niepokojąco błysnęło mu w oczach. - To może być ktoś o wiele gorszy niż tchórz.

- Co masz na myśli?

- Bardzo zależy mu na moich oddziałach. Tchórz chciałby ich dla ochrony, ale po drodze do Crowthenu natknąłem się na coś, co kazało mi się zastanowić, kogo on właściwie się boi: Raja Ahtena czy Króla Ziemi?

- Gaborna? - spytał z niedowierzaniem Borenson.

- Wystawił posterunki na granicach. Zawracają wieśniaków i kupców zmierzających do Heredonu i gardłują przy tym, że Gaborn to oszust i nie ma co marnować czasu na pielgrzymki, które na pewno nie przyniosą niczego dobrego, a królestwu Andersa mogą wręcz zaszkodzić.

- Jeśli Anders nie ma ochoty sam poznać prawdy, to jego sprawa - powiedział Borenson. - Ale zabraniać innym? To bardzo nie w porządku.

- Nie z jego punktu widzenia. Dwa tysiące lat temu Erden Geboren był jedynym i niekwestionowanym królem całego Rofehavenu. Potem kraj został podzielony i pośledniejsi panowie też ogłosili się, królami. Pomyśl, co stanie się z Andersem, jeśli lud zbuntuje się przeciwko niemu i zwróci ku rodowi Ordenu? Uważasz, że pogodzi się z pozycją zwykłego szlachcica? Zacznie czapkować i klękać przed nowym władcą jak zwykły wieśniak? Ty czy ja możemy się cieszyć, że mamy Króla Ziemi, ale zapamiętaj moje słowa: gdyby Anders mógł

zabić chłopaka, uczyniłby to bez zwłoki. I nie jest jedynym władcą Rofehavanu, który tak myśli.

- Cholera ciężka - szepnął Borenson. Obejrzał się. Myrrima i konna siostra stały dość blisko, by słyszeć słowa marszałka.

- Moja matka mawiała zawsze, że w naszych czasach tylko ród Ordenu mógłby wydać nowego Króla Ziemi - powiedziała Erin Connal. - Kazała mi sprawdzić, czy prawdą jest to, co słyszałyśmy. Jeśli Gaborn okaże się Królem Ziemi, mam złożyć mu hołd w imieniu wszystkich klanów.

- I ja postąpię tak samo - stwierdził marszałek. - O ile on rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje.

- Jest - zapewniła z naciskiem Myrrima. - Dziesięć tysięcy ludzi widziało pod Longmot, jak duch Erdena Geborena nałożył mu koronę na skronie. A ja słyszałam, jak przemawiał do mnie w myślach.

- Spotkałam go dziś rano - odezwała się Erin. - Poznałam prawdę. Poprę go całym sercem.

- Niemniej król Anders ma opowieść o jego koronacji za zwykłą bujdę rozgłaszaną przez oszukanych mirażem ludzi - zauważył marszałek. - Zwraca uwagę na to, że jednym z obecnych pod Longmot był Strażnik Ziemi Binnesman, którzy mógł przyłożyć rękę do oszustwa.

- To podłość tak mówić - zaprotestowała Myrrima.

- Jednak Anders rzeczywiście tak myśli. Dodaje jeszcze, że jego ród jest pod każdym względem równy Ordenowemu i że to on winien wydać Króla Ziemi.

- Chciałby zrobić nim księcia Celinora?! - zakrzyknęła Connal. - Tego pijaka?! Zbyt wiele przykrych rzeczy o nim słyszałam.

- Oczywiście, że nie - szepnął Skalbairn. - Dlaczego miałby wywyższać syna, skoro to siebie kocha najbardziej na świecie?

Borenson roześmiał się pogardliwie.

- Myślę - odezwał się marszałek - że jego syn jest w tym wypadku tylko narzędziem. Przybył na pozór po to, żeby razem z innymi synami pomniejszych władców zaciągnąć się do Gwardii Królewskiej, ale naprawdę ma szpiegować dla ojca. Poczekaście tylko, aż wróci, i posłuchajcie go trochę!

- Niemniej powiedz mi jedno - rzekł Borenson. - Gdyby Król Ziemi wezwał cię w potrzebie, ilu ludzi mógłbyś rzucić do walki?

Marszałek chrząknął i w jego nieprzeniknionych oczach znów coś błysnęło.

- Gdybym zebrał wszystkich? Ubyło nas. Obecnie armia liczy mniej więcej tysiąc konnych, osiem tysięcy łuczników, sześć tysięcy pikinierów i pięćuset artylerzystów. Nie licząc z pięćdziesięciu tysięcy giermków i czeladzi obozowej.

Podając suche liczby, marszałek nie musiał dodawać, jacy to są żołnierze. Tysięczny oddział jego jazdy wart był więcej niż dziesięć tysięcy konnych dowolnego innego władcy, sporo zaś z jego „łuczników” było tak naprawdę biegłymi zabójcami zdolnymi na wrogim terytorium wciągnąć w pułapkę całe armie.

- Sza... - szepnęła Myrrima.

Książę Celinor zbliżył się z wierzchowcem na wodzy i Dziennikiem idącym za nim krok w krok. Konia wyposażono w liczne dary, ale uszy miał opuszczone i wypatrywał chyba już królewskiej stajni i solidnej porcji obroku; nic dziwnego, skoro przebiegł dzisiaj sto pięćdziesiąt mil.

Jego właściciel uśmiechnął się niewinnie.

- Idziemy? - spytał.

Borenson poprowadził ich przez tłum. Zbliżał się wieczór i ulice pełne były ludzi krążących w poszukiwaniu stołu i rozrywek. Celinor szedł z uniesioną głową, ale nogi mu się plątały. Musiał wychylić już sporo kubków.

Nikt nie kwapił się do rozmowy, książę więc sam wypełniał kłopotliwą ciszę, co przychodziło mu zresztą bardzo łatwo, choć niekoniecznie zgrabnie.

- Ale to niewiarygodne. No bo znałem Gaborna. Byłem z nim w Domu Zrozumienia, chociaż niewiele rozmawialiśmy. Rzadko go widywałem. Zwykle omijał piwiarnie...

- Anibyśmy oczekiwali po tobie, że mógłbyś zaprzyjaźnić się z kimś, kto nie siedzi całymi dniami w piwiarniach - zauważyła Connal.

Celinor zignorował zaczepkę.

- Chcę tylko powiedzieć, że to dziwny chłopak. Studiował w Komnacie Twarzy i Komnacie Serc, sztuką wojenną nie zajmował się wcale, więc nie miałem okazji lepiej go poznać.

- Powiedz od razu, że mu zazdrościsz, zamiast wbijać szpile - znów odezwała się Connal.

- Zazdroszczę? I tak nie miałbym szans, żeby zostać Królem Ziemi. Nie, żebym nie szanował Gaborna, ale gdy byłem dzieckiem, marzyłem czasem, że Król Ziemi objawi się jeszcze za mojego życia. Zawsze wyobrażałem go sobie jako kogoś starszego niż ja, roślejszego, ze spojrzeniem mędrca i siłą całej armii w jednej potężnej pierśi, chodzącą legendę. A tu proszę, co mamy? Gaborna Val Ordena!

Myrrima zastanowiła się nad jego słowami. Niby tak sobie tylko gadał, co mu ślina na język przyniosła, ale czy rzeczywiście? Wszystko, co mówił, wydawało się obliczone na zasianie w umysłach słuchaczy takich czy innych wątpliwości.

- Gaborn służy swemu ludowi - rzekł Borenson. - Jest mu oddany bardziej niż ktokolwiek, kogo znam. Może właśnie dlatego ziemia wybrała go na naszego głównego obrońcę.

- Może - rzucił Celinor, uśmiechając się chłodno, jakby i tak wiedział lepiej, i przechylił głowę na bok, co miało zapewne sugerować, że jest głęboko zamyślony.

Gdy Borenson wprowadził księcia Celinora, marszałka wielkiego Skalbairna i Erin Connal do wielkiej sali, całe tuziny lordów i baronów ucztowały już przy ustawionych tam kółkach stołach. Pośrodku siedzieli na poduszkach grający z cicha minstrele, między salą a kuchnią i spiżarnią biegały dzieci. Nieustannie donosiły jedzenie i picie i zbierały puste nakrycia.

Siedzący na przeciwległym krańcu sali Gaborn uśmiechnął się i wstał, by powitać przybyłych.

- Sir Borenson, pani Borenson, książę Celinorze i księżniczko Connal, zapraszam. Niech służący przyniosą wam krzesła i talerze. - Potem spojrzał na marszałka i spytał: - I kogóż tu mamy?

Minstrele opuścili lutnie i tamburyny, odsunęli dłonie od bębnow. Gaborn patrzył na Skalbairna.

- Wasza wysokość, niech mi wolno będzie przedstawić marszałka wielkiego Skalbairna, mistrza wolnych rycerzy.

Borenson oczekiwał, że marszałek skłoni się dwornie i przyjrzy się Gabornowi z daleka, ten jednak, nie marnując czasu, przeszedł do działania.

- Panie, niektórzy powiadają, że jesteś Królem Ziemi. Czy to prawda? - spytał, nie dbając o formy.

Pytanie zdumiało Borensona, który uznał już marszałka za przekonanego. Po chwili pojał jednak, w czym rzecz: Skalbairn uwierzył na razie tylko w to, że Borenson szczerze ma Gaborna za Króla Ziemi.

- Tak. Jestem nim - odparł Gaborn.

- Podobno Erden Geboren potrafił czytać w człowieczych sercach i wiązać z sobą niektórych ludzi ślubem ochrony. Jeśli i ty masz tę moc, proszę cię unieźmie, byś wejrzał w moje serce i wybrał mnie, gdyż pragnę służyć Królowi Ziemi. Przyproceedziłem ze sobą armię wolnych rycerzy, tysiące wojowników gotowych walczyć u mego boku. - Wyciągnął miecz i postąpił ku królowi, po czym przyklęknął przed nim i oparł miecz na podłódze, dłonie zaś ułożył na rękojeści.

Borenson poczuł się dość niezręcznie. Nie godziło się żądać niczego publicznie od Króla Ziemi. Gaborn jednak nie wyglądał na urażonego brakiem manier marszałka.

Dostojne towarzystwo zaczęło szemrać, ci i owi napomykali nawet coś o gburach, niemniej marszałek był znanym i szanowanym rycerzem, jednym z największych wojowników Rofehavanu i wszyscy wiedzieli, że naprawdę, może zasilić armię Króla Ziemi wieloma tysiącami zbrojnych. To byłby wielki dar, nikt więc nie powążył się otwarcie krytykować Skalbairna.

Co więcej, żaden marszałek wielki nie składał nigdy hołdu żadnemu królowi.

Aż do teraz.

Gaborn pochylał się nad stołem, dłonie wsparł na blacie po obu stronach srebrnego talerza i wpatrzył się na dłuższą chwilę w czarne jak obsydian oczy marszałka.

Skalbairn odważemnił spojrzenie.

Twarz Gaborna rozluźniła się, jak zawsze, gdy przygotowywał się do wybierania. Uniósł lewą rękę na znak, że zaraz...

I nagle ręka opadła, a Gaborn zatrzęsł się z oburzenia.

- Precz! - krzyknął, blednąc gwałtownie. - Precz, ty... ohydo! Wynoś się z mojego zamku! Precz z mojej ziemi!

Borenson niczego nie pojmował. Pamiętał, że przez ostatni tydzień Gaborn wybierał bardzo różnych ludzi, wśród nich i skończonych głupców, i kobiety, które nawet we własnej obronie nie uniosłyby nawet noża, o mieczu nie mówiąc. A teraz odpędzał od siebie największego wojownika ostatnich czasów!

Marszałek uśmiechnął się smutno, ale poniekąd triumfalnie.

- Czemuż, mój panie? - spytał całkiem spokojnie. - Dlaczego każesz mi odejść?

- Muszę mówić? Nosisz w sercu brzemień winy. Mam ujawnić twój grzech i okryć cię hańbą na wieki?

- Zrób to, proszę - odparł marszałek. - Ujawnij mój grzech, a będę wiedział, żeś naprawdę Królem Ziemi.

- Nie uczynię tego - stwierdził Gaborn takim tonem, jakby cała sprawa napawała go obrzydzeniem. - Tu są kobiety, trwa uczta. Nie powiem nic teraz, a zapewne i nigdy. Nie przyjmę twych usług. Odejdź.

- Tylko prawdziwy Król Ziemi może wiedzieć, że nie jestem godzien chodzić po ziemi. I tylko prawdziwie szlachetny mąż nie zechce wyjawić głośno przyczyny. Moja propozycja wciąż jest w mocy. Oddaję się na twą służbę.

- A ja niezmiennie odmawiam.

- Skoro nie mogę życia pędzić pod twym sztandarem - powiedział Skalbairn - to może chociaż uda mi się zginąć w twojej sprawie.

- Kto wie, może tak będzie najlepiej - odparł Gaborn. Marszałek wielki wstał i schował miecz do pochwy.

- Wiesz oczywiście, że Raj Ahten zmierza właśnie na południe, ku sercu twojego królestwa, Mystarii. Niebawem będziesz musiał stawić mu czoło. Twój wrogowie woleliby, aby to on pokonał ciebie.

- Wiem.

- Armia wolnych rycerzy zmierza na południe. Mimo twojej nienawiści ruszę z nimi.

Pośród całkowitej ciszy Skalbairn odwrócił się i wyszedł.

Borenson spojrział na Celinora. Księżę przechylił głowę na bok, a sądząc po wyrazie twarzy, musiał się chyba pilnie nad czymś zastanawiać. Cokolwiek to było, nie spróbował nawet pójść w ślady marszałka.

ZIELONA KOBIETA

Averan leciała, oglądając się wciąż na fortecę, gdzie został Brand. Oczekiwała, że w każdej chwili może stamtąd buchnąć dymem, że usłyszy może huk sypiących się kamieni, jednak białe wieże jaśniały wciąż tak samo w porannym słońcu i widok nie zmienił się aż do chwili, gdy cała budowla zniknęła w snującej się nad horyzontem mgle. Opary uniosły się w końcu tak wysoko, że nawet gdyby Averan była dalekowidząca, też nic by nie dostrzegła.

Lot zajął długie godziny, podczas których świat przesunął się powoli pod skrzydłami graaka, zimne powietrze smagało twarz Averan, a słońce grzało ją w bok i plecy. Chmury rozbudowywały się coraz wyżej, aż niektóre urosły na kształt monstrualnych rzeźb z pary i niebezpiecznych kryształków lodu. Averan wiedziała, że nie należy w nie wlatywać, i omijała je jak mogła. Po części z uwagi na kłuszący w ich pobliżu mróz, po części z obawy przed nieprzewidywalnymi prądami powietrznymi. Żałowała, że nie ma swoich dawnych ciepłych rękawic jeźdźca.

Przytuliła się do szyi graaka, by choć trochę się ogrzać, i trwała tak wsłuchana w rytm jego oddechu. Dzięki temu mogła szybciej poznać, jak bardzo się zmęczył.

Dwukroć w ciągu dnia Skórzak nurkował w mgłę i przysiadł na ziemi, by trochę odpocząć. Graak był już stary i łatwo się męczył. Averan bała się, że jeśli zbyt go przeciąży, serce stworzenia może nie wytrzymać.

Góry Alcair niknęły stopniowo za horyzontem, aż mgła zakryła je całkowicie, za to po lewej wynurzyły się z oparów góry Brace. Najdalsze ich szczyty rysowały się prosto przed Averan. Dziewczynka знаła je wszystkie z nazwy i pamiętała, że zaraz za odległą jeszcze o siedemdziesiąt mil siodlastą granią trafi na Carris. Nie było większych szans, by doleciała tam przed zmrokiem, liczyła jednak, że mgła zrzędzie trochę i pozwoli dojrzeć jej z góry światła miasta.

Było więc blisko zmroku, a Averan wciąż leciała, chociaż żołądek skurczył się jej z głodu i w ustach zaschło z pragnienia, jednak nie chciała obciążać dodatkowo graaka żadnym jedzeniem czy napitkiem. Leżąc na karku zwierzęcia, słuchała jego oddechu i miarowego, lecz szybkiego pulsu, zaczynając się zastanawiać, czy nie zezwolić mu na kolejny odpoczynek.

I całkiem nagle zaszło coś, co okazało się potem najważniejszą chwilą w jej życiu. Niczym kometa spadła z bezchmurnego nieba zielona kobieta.

Averan usłyszała najpierw nieartykułowany krzyk, a właściwie przeszywające zawodzenie, i uniosła głowę.

Niebo nad jej głową było błękitne jak jajo drozda, a zielona kobieta spadała na łeb, na szyję i była akurat jakieś dwieście jardów wyżej niż Averan. Dość wysoka i smukła, naga, z żebrami rysującymi się wyraźnie poniżej małych piersi. Jej włosy, tak na głowie, jak i łonowe, były barwy sosnowych szpilek, skóra zaś znacznie jaśniejsza, prawie w cielistej tonacji.

Averan nie zdążyła zauważyć wiele więcej, bo spojrzała jeszcze wyżej, chcąc dojrzeć, skąd to mogła spaść owa kobieta. Tkacze płomieni używali czasem balonów na ogrzane powietrze, a Władcy Niebios latali podobno w statkach z chmur. Podobno, bo Averan nigdy niczego takiego nie widziała.

Jednak na niebie nie było ani balonu, ani nawet najmniejszego obłoczku.

Averan przebiegł nagły dreszcz. Widziała, co się dzieje, słyszała krzyk. I coś w niej pękło. Pamiętała, jak jej matka spadła z krzesła i rozbiła sobie głowę o kamienne płyty przed kominkiem. Potem na jej oczach pięcioletnia przyjaciółka, mała Kylis, runęła z gniazda na głazy u stóp urwiska.

Nie mogła beczynn timer patrzeć, jak ktoś jeszcze ginie w ten sposób!

Nie myśląc o swojej misji, wyprostowała się, ścisnęła graaka nogami i zawołała:

- W dół! Szybko!

Graak zwinął skrzydła i zanurkował w ślad za zieloną kobietą niczym jastrzęb, który wypatrzył mysz.

Kobieta spojrzała przelotnie na Averan. Ręce miała wyciągnięte, jakby błagała o pomoc, usta otwarte w krzyku przerażenia. Widać było potężne zęby i szponiaste, zielone paznokcie.

To nie jest człowiek, uzmysłowiła sobie Averan. Ale to nieważne, pomyślała zaraz. Kobieta była niemal ludzka. Po chwili zniknęła we mgle. Averan podążyła za nią. Kropelki wilgoci zaczęły jej zaraz osiadać na skórze, Skórzak zaś zamachał skrzydłami i zwolnił. Nie chciał wlatywać na oślep w opar. Z dołu dobiegł trzask drzewa i krzyk kobiety ucichł.

Gdy wielki gad zszedł tuż nad samą ziemię, Averan zaraz ujrzała, gdzie spadła zielona kobieta. Trafiła na sad, a dokładnie na trzy rosnące blisko siebie dzikie jabłonie. Jedna z nich złamała się i bielą świeżymi ranami po utraconych konarach.

Graak podszedł do lądowania. Averan popędzała go jak mogła. Ledwie dotknął ziemi, zeskoczyła z jego grzbietu.

Po chwili była już przy kobiecie, która leżała trochę przekrzywiona, z prawą ręką nad głową i rozrzuconymi nogami. Spadła z taką siłą, że aż wbiła się częściowo w ziemię.

Averan nie dojrzała śladu złamań, żadna kość nie wyglądała przez rozdartą skórę, niemniej widać było krew. Pokrywała lewą pierś kobiety i była tak gęsta i ciemnozielona, że wydawała się prawie czarna.

Dziewczynka rzadko widywała dotąd nagie kobiety, a takiej jak ta jeszcze nigdy. Zielona nie była po prostu urodziwa, ale wręcz przepiękna. Nieziemsko piękna. Całkiem jak Władczyni Runów z tak wieloma darami urody, że zwykle niewiasty mogły tylko ją podziwiać i rozpaczać nad swą szpetotą.

Niemniej te perfekcyjne rysy twarzy i wspaniałe ciało w żadnym razie nie należały do człowieka. Długie palce kończyły się szponami przypominającymi haczyki na ryby, a widoczne w zakrwawionych ustach kły przypominały psie, ale większe były niż u niedźwiedzia. Uszy zaś... chociaż zgrabne i delikatne, miały w sobie coś dziwnego. Wychylone lekko do przodu kojarzyły się raczej z uszami łani.

Zielona kobieta nie oddychała. Averan przyłożyła ucho do jej piersi w poszukiwaniu odgłosu bicia serca. Usłyszała je: biło powoli i miarowo, jakby ta istota pogrążona była we śnie.

Averan obejrzała jej ręce i nogi, poszukując ran, otarła nieco zielonej krwi z szyi i trafiła na szramę, którą nieszczęsna uczyniła sobie chyba sama paznokciami. Usuwając krew z warg, zajrzała do ust.

Kobieta przygryzła sobie język przy upadku i obecnie ta rana krwawiła najbardziej. Averan przekreśliła jej głowę na bok, by krew mogła spływać na zewnątrz, miast w głąb gardła, co groziło zaduszeniem.

Zielona jęknęła glucho, prawie jak ogar dręczony snami o polowaniu.

Averan odskoczyła. Po raz pierwszy przeraziła się, że to może być tylko jakieś dziwne zwierzę. Może niegdyś domowe, ale obecnie zdziżałe i śmiertelnie niebezpieczne.

Gdzieś w pobliżu zaczął ujadać pies. Dziewczynka rozejrzała się. Całkiem niedaleko wznosiły się zabudowania jakiegoś gospodarstwa, w tym kryta strzechą chata z polnych kamieni. Przy ogrodzeniu rzucał się i ujadał rosły wilczur. Nie miał dość odwagi, by zbliżyć się do graaka, tym bardziej że Skórzak patrzył na niego łakomie, jakby w nadziei, że przekąska jednak się zbliży.

Zielona kobieta uniosła odrobinę powieki i złapała Averan za gardło. Dziewczynka chciała krzyknąć, ale nie mogła dobrać głosu.

9

RATUNEK

Roland i baron Poll jechali przez cały dzień, narzuciwszy wierzchowcom tempo tak forsowne, że żaden normalny koń by go nie wytrzymał. Zatrzymali się dopiero na rozbrzmiewające w pobliżu głośnie warczenie i skowyt psa, którym towarzyszył krzyk dziecka.

Okrażali właśnie wioskę leżącą u stóp gór Brace i zdyszany koń Rolanda trochę zwolnił. Niebo było zaniezione chmurami, cienie gęstniały przed wieczorem, a u podnóża gór panowała już prawie noc. Hałasy dobiegały z terenu małego gospodarstwa, a dokładnie sadu z dzikimi jabłoniąmi i gruszami.

Rolandowi starczyło jedno spojrzenie, by dostrzec między drzewami graaka szczerzącego zęby na rosnącego owczarka. Obok, w cieniu jabłoni, krzyczała jakaś przerażona dziewczynka.

- Na Moce, to dziki graak! - zawołał baron i powściągnął konia. W górskiej okolicy dzikie graaki często napadały na zwierzęta gospodarskie, chociaż rzadko atakowały ludzi.

Rolandowi serce załomotało w piersi, a baron sięgnął za siebie i złapał wiszący u siodła topór. Pogonił obok domu, wystraszył stadko kręcących się przy drzwiach kacząt i zmusił konia do skoku przez ogrodzenie sadu. Jego obecność dodała widać wilczurowi odwagi, bo pies też ruszył za nim w stronę potwora.

Trwało chwilę, nim Roland się zorientował, że całkiem odruchowo pognął do ataku w ślad za baronem. Jego koń zdążył już przeskoczyć płot. Z braku innego pomysłu jeździec sięgnął za pazuchę po sztylet, chociaż wątpił, aby taka broń mogła się tu do czegokolwiek przydać.

Czas nagle jakby zwolnił. Roland słyszał płaczące dziecko, widział wielką bestię unoszącą tułów i rozpościerającą skrzydła. Rumak barona stanął dęba i zamachał przednimi nogami.

Jaszczur był stary i całkiem pokaźny. Zęby miał jak sztylety, złote oczy lśniły złowrogo. Wilczur skoczył na niego, a graak tylko raz machnął przypominającą dziób paszczą i już trzymał psa między szczękami. Gwałtownie potrząsnął ofiarą, łamiąc jej kości.

Poll skorzystał z tego, że bestia zajęta jest psem, i uniósłszy topór oburącz, dzielił graaka z całej siły dokładnie między oczy.

- A masz, podły stworze! - krzyknął przy tym, jakby dokonał właśnie czynu na miarę legendarnych bohaterów.

Graak cofnął gwałtownie łeb. Zrazu wyglądał na bardziej zaskoczonego niż zranionego, ale po chwili krew buchnęła ze strasznej rany, skrzydła zadrgały spazmatycznie i jaszczur runął na bok.

Niemniej dziecko wciąż zawodziło.

Dopiero teraz, gdy cielsko graaka zległo na ziemi, Roland mógł się przyjrzeć dziewczynce. Liczyła jakieś siedem lub osiem lat i kłęczała pod drzewem na wpół obrócona ku przybyszom. Miała przenikliwe, zielone oczy, a jej kręcone włosy były równie rude jak włosy Rolanda.

Nosiła ciemnogrnatowy płaszcz z kapturem i znakiem królewskim - podobizną zielonego męża z twarzą okoloną wieńcem dębowych liści. Powyżej widniał czerwony wizerunek skrzydlatego gada.

To jeździec graaka, pomyślał Roland i krew odpłynęła mu z twarzy. Zabiliśmy wierzchowca królewskiej wysłanniczki. Całe moje złoto nie wystarczy na odszkodowanie dla nowego króla...

Dziecko znów krzyknęło i dopiero teraz Roland zauważył, że dzika jabłoni obok jest złamana, jakby uderzył w nią piorun, a w wysokiej, zbrązowiałej trawie poniżej leży coś zielonego. Na dodatek to coś miało szpony. Jeden z nich zahaczył o płaszcz dziewczynki.

Graak nie był dla niej żadnym zagrożeniem. Coś całkiem innego zagięło na nią pazur.
- Poomooocy! - zajęczało dziecko.

Roland podjechał bliżej, by lepiej widzieć. Nagle zrobił się ostrożny. W końcu dojrzał zieloną kobietę leżącą w kałuży ciemnozielonej krwi.

Nigdy jeszcze nie spotkał podobnego monstrum. Kobieta była piękna i całkiem niesamowita zarazem. Przytrzymała materię płaszcza dziewczynki i wpatrywała się jak zahipnotyzowana w kolorowe nitki tworzące wizerunek zielonego męża. Mimowolnie przesuwając przy tym dziewczynkę to w jedną, to w drugą stronę.

Rolanda całkiem zbiło to z tropu.

- Odejdź od niej, dziecko - szepnął. - Nie krzycz. Niech sobie weźmie twój płaszcz.

Dziewczynka spojrzała na niego. Twarz miała białą jak kreda. Pojękując z cicha, zaczęła wyplątywać się z płaszcza. Tymczasem baron Poll zsiadł z konia, odzyskał swój topór i sapiąc z irytacji, zbliżył się do jabłoni.

Roland też zsunął się z siodła. Sztylet na wszelki wypadek trzymał w gotowości.

Zielona kobieta jakby wcale ich nie zauważała. Dopiero gdy dziewczynka próbowała się cofnąć i istota złapała ją za przedramię, Roland uznał, że pora się odezwać.

- Puść ją! - krzyknął, podchodząc bliżej i unosząc sztylet. Baron postąpił za nim.

Zielona obróciła na nich ciemnozielone jak jej krew oczy. Niby patrzyła na Rolanda, ale jakby wcale go nie widziała. Odrzuciła dziecko niczym szmacianą lalkę, przykucnęła i zaczęła niuchać jak zwierzę. Jej małe piersi kołysały się, gdy obracała się na boki. W końcu złapała woń i wbiła spojrzenie w barona Poila.

Roland zamarł ze zgrozy.

- Zgadza się - mruknął baron. - To mnie szukasz. Mnie chcesz. Czujesz krew? Chcesz trochę? To chodź i sobie weź.

Kobieta skoczyła na barona. W trzech susach pokonała sześćdziesiąt stóp. Roland przygotował się na jej atak, ustawił się do walki i uniósł rękę w chwili odpowiedniej, by zgrabnym pchnięciem wbić tej istocie sztylet w szyję.

Zamachnął się z wrzaskiem w tym samym momencie, gdy kobieta dotarła do Poila. Z całej siły opuścił ostrze na jej kark, ale żelazo odskoczyło tak gwałtownie, jakby trafiło na kamień. Odskoczyło i ukaśliło Rolanda w lewy nadgarstek. Zabolało podwójnie, bo i prawą rękę przeszył przykry skurcz.

Zielona tymczasem była już nad baronem, który runął zaskoczony na plecy. Nie próbował się nawet bronić. Istota przykucnęła i złapała za rękojeść jego topora. Baron spróbował wyrwać jej broń, ale nawet ze swoimi darami krzepy nie mógł nic zdziałać.

Kobieta wzięła topór, przyjrzała mu się, obwąchała pokrywającą żelazce krew graaka i liznęła ją na próbę długim językiem.

Roland aż cofnął się ze zdumienia, gdy zobaczył, jak zielona mruży oczy, smakując posokę.

Dziewczynka wciąż pojękiwała. Rolandowi krew szumiała w uszach, przód odzienia pociemniał mu cały od potu. Wyglądało na to, że zielona kobieta potrzebuje krwi. Potrzebuje jej tak bardzo jak tonący oddechu.

- Na Moce, zdejmijcie ją ze mnie! - wrzasnął przerażony baron. Wciąż jeszcze próbował wyrwać zielonej topór, ale ona nie zwracała uwagi na jego wysiłki, tylko wylizywała ostrze.

Roland nigdy jeszcze niczego takiego nie widział, nie słyszał nawet o podobnym stworzeniu. Musiało zostać przez kogoś wezwane, może z podziemi. Mogło być groźne. Z kilku małych ran wciąż płynęła ciemnozielona krew. Zielona, pomyślał Roland, zielona jak płomień.

- Chodźmy stąd, mała - odezwał się cicho do dziewczynki. - Powoli. Nie biegnij. - Sam też cofnął się powoli, wiedząc, że w żaden sposób nie zdoła pomóc baronowi.

Zielona przestała oblizywać ostrze, obróciła się i spojrzała na Rolanda, a potem powtórzyła jego słowa:

- Chodźmy stąd, mała. Powoli. Nie biegnij. - Świetnie naśladowała i ton głosu, i modulację.

Roland nie wiedział, czy stworzenie próbuje mu rozkazywać, czy tylko powtarza, co usłyszało. Cofnął się krok za krokiem, sucha zbrązowiała trawa szeleściła mu pod stopami. Trzasnęła przygnieciona obcasem gałązka.

Kobieta znów oblizwała ostrze i znów się odezwała, tym razem do barona:

- To mnie szukasz. Mnie chcesz. Czujesz krew? Chcesz trochę? To chodź i sobie weź.

Baron pokiwał głową i puścił w końcu rękojeść topora. Zielona mogła wreszcie wylizać żelazce do czysta.

- Krew - szepnął Poll. - Krew.

Zielona znieruchomiała i spojrzała na niego.

- Krew - powtórzyła, przesuwając językiem po żelazce. - Krew.

Roland odszedł już o kilkanaście kroków. Wahał się przyspieszyć; wiedział, że nie należy uciekać przed psem czy niedźwiedziem, gdyż szybkie ruchy nóg tylko rozdrażniają zwierzęta. Uznał, że z zieloną kobietą może być podobnie.

Cofnął się jeszcze trochę i odwrócił. Dziwna istota jednym skokiem znalazła się za nim.

- Krew! - krzyknęła, łapiąc go i unosząc. Obwąchała jego nadgarstek w miejscu, gdzie zranił się ledwie chwilę temu. Łapczywie wciągnęła woń krwi.

- Nie! - krzyknął, gdy położyła go na ziemi i obróciła na bok. Ziemia wcisnęła mu się do ust. Pachniała marchwią i pleśnią rozrastającą się na resztkach rosnącego wkoło dzikiego jęczmienia.

Zapieкло boleśnie, gdy kobieta wraziła mu pazur w nadgarstek. Zaczął się szarpać, żeby uciec, próbował kopnąć ją w twarz, ale trzymała go mocno i przesuwała już palcem po ranie, zbierając krew.

Kopnął ją w kostkę. Chociaż nogi miała na oko delikatne jak u baletnicy, każdy ich mięsień wydawał się zrobiony ze stali. Szamotanina nic mu nie dała, co gorsza zielona przyciskała go coraz mocniej. Jeszcze chwila, a ręka mogła nie wytrzymać.

Zwijał się z bólu, kobieta tymczasem wessała się w ranę. Krzyknął, walcząc o życie. Co będzie, jeśli sięgnie mu do gardła?

- Pomocy! - wrzasnął, patrząc na barona, ale zwalisty rycerz siedział tylko roztrzęsiony i przerażony, niezdolny do działania.

Na Moce, pomyślał Roland, po to spałem dwadzieścia lat, by w pierwszym tygodniu po przebudzeniu pożarło mnie to nie wiadomo co?

Całkiem nagle dziewczynka zerwała się, podbiegła do barona, złapała jego topór i skoczyła na zieloną.

- Nie! Nie! - krzyknął Roland, ale dziewczynka zamachnęła się ciężkim żelazem i uderzyła istotę, aż zadudniło.

Zielona połuźniła nieco chwyt i spojrzała na dziecko.

- Nie! Nie! - powtórzyła i puściła Rolanda, który spróbował się jakoś pozbierać, ale po ledwie trzech krokach przewrócił się w trawę.

Zielona spojrzała na niego łakomie.

- Nie! - odezwała się dziewczynka. - Nie jego. - Uderzyła po raz drugi, tym razem trafiając zieloną w czaszkę, aż tamta przykucnęła.

- Nie! - powtórzyła za małą, a ta opuściła topór. Na skórze kobiety został tylko mały ślad, z którego sączyła się zielona krew.

Dziewczynka pogłaskała ją po włosach nad czołem. Kobieta wygięła szyję, jakby pieszczota sprawiła jej wielką przyjemność.

- Tresując dzikie zwierzę, trzeba zawsze nagradzać je za dobre zachowania, a karać za złe - powiedziała dziewczynka cicho do obu mężczyzn.

Oczywiście, ona była jeźdźcom, wiedziała, jak tresuje się graaki, umiała się z nimi obchodzić. Roland pokiwał głową. W dzieciństwie, gdy przyuczał się do zawodu rzeźnika, nosił kości i okrawki, które mistrz Hamrickson wykorzystywał w psiarni do tresowania królewskich brytanów. Chyba już wiedział, co trzeba zrobić.

Wycofał się powoli i kulejąc, podszedł do martwego graaka.

- Nie, ja to zrobię - powiedziała dziewczynka. - Ona ma mnie za swą panią.

Szybko okrążyła jaszczura. Spojrzała na niego tylko przelotnie, ale widać było, jak bardzo bolesny to dla niej obraz. Pochyliła się i wyszarpnęła mu z paszczy psią padlinę. Kąsek był całkiem spory, wilczur musiał ważyć ze sto funtów, lecz mała uniosła go bez trudu. Ale ze mnie głupiec, pomyślał Roland. Skoro jest jeźdźcem graaka, to ma co najmniej jeden dar krzepy. Mimo niewielkiego wzrostu jest o wiele silniejsza niż ja. Myślałem, że spieszę jej na ratunek, a tymczasem to ona uratowała mnie.

Dziewczynka położyła martwego psa u stóp kobiety.

- Krew - szepnęła. - Dla ciebie.

Zielona obwąchała ciało i zaczęła zlizywać krew z sierści. Gdy poczuła się pewnie i uznała chyba, że nikt nie zabierze jej zdobyczy, złapała zewłok za przednie i tylne łapy i rozdarła na dwoje.

- Dobra dziewczynka - powiedziało dziecko. - Bardzo dobra. Zielona kobieta spojrzała na małą. Usta miała czerwone od krwi.

- Dobra dziewczynka - powtórzyła.
- Jesteś całkiem bystra - mruknęła dziewczynka. Wskazała na siebie i szepnęła: - Averan, Averan.

Zielona powtórzyła jej imię. Dziewczynka wskazała na Rolanda, który zaraz się przedstawił. Baron też podszedł w końcu bliżej i wypowiedział swoje imię. Na koniec Averan pokazała na zieloną kobietę.

Istota przestała jeść i popatrzyła zagubiona na dziewczynkę.

10

WIECZÓR

Averan, patrząc na martwego graaka, prawie nic nie widziała przez łyzy bólu i wściekłości. Nie chciała, by uznali ją za dziecko, i wolała zachowywać się jak dorosła, ale w tych okolicznościach nie potrafiła pozostać całkiem obojętna.

Tak zatem, gdy Roland i baron Poll już się przedstawili, zajęła się raną tego pierwszego, ale cały czas miała wrażenie, że to jakiś osobliwy sen. Najpierw zielona kobieta spada z nieba, potem ku jej przerażeniu ginie Skórzak... i jeszcze to, co zdarzyło się w warowni Haberd... Nieszczęście goniło nieszczęście. Averan bardzo chciało się płakać.

Przygryzła jednak wargi i pracowała dalej.

Rana Rolanda była głęboka, poszarpana i krwawiła paskudnie. Jej umycie musiało być bolesne niczym ukąszenie szerszenia, ale poszła do studni przy chacie po wiadro wody i wylała ją na zranienie. Roland stłumił krzyk, a zielona kobieta przysunęła się skwapliwie niczym pies węszący za resztkami ze stołu.

- Nie! - ostrzegła ją Averan. - To nie dla ciebie.

Baron chwycił za topór i potrząsnął nim ostrzegawczo. Istota cofnęła się.

- Dzięki, dziecko, że nie rzuciłaś mnie swojej pieszczoszce na pożarcie - zaśmiał się słabo Roland.

Averan kończyła czyścić ranę, która przy każdym dotknięciu znów się otwierała. Oddarty od płaszcza pas materii posłużył za bandaż.

- Ona nie jest moja - powiedziała walcząca wciąż ze łzami dziewczynka.

- Jej to powiedz - mruknął baron. - Za pół godziny będzie wszędzie truchtać za tobą, a wieczorem spróbuje wpakować ci się do łóżka.

Averan wiedziała, że gruby rycerz ma rację. Zielona uznała ją za swoją panią już w chwili przebudzenia. Na swój sposób przypominała ledwie wyklutego graaka. Niemniej, chociaż baron miał rację, Averan i tak go nie lubiła. Przecież ten ciołek zabił Skórzaka...

A tymczasem zielona kobieta myśli, że jestem jej matką, podsumowała sprawę i pokręciła głową. Nie miała pojęcia, co począć z taką podopieczną.

- Ty ją przyzywałaś? - spytał baron.

- Przyzywałam?

- Normalnie się przecież nie urodziła, nieprawdaż? - stwierdził Poll, zerkając czujnym okiem na zieloną. - Nigdy nie słyszałem o podobnej istocie. Ktoś musiał ją przyzwać.

Dziewczynka wzruszyła ramionami. O magii wiedziała tylko tyle, ile można usłyszeć czasem od wędrownych czarodziejów. Warownia Haberd rzadko gościła kogoś potężniejszego i baron nie mógł liczyć na odpowiedź.

- Jest zielona jak ogień - mruknął równie słabo zorientowany w tych sprawach Roland. - Płomienie bywają czasem zielone. Masz jakąś władzę nad ogniem?

Zielona kobieta wstała, podeszła do Skórzakowego zewłoka i znów zaczęła się pożywiać. Averan skrzywiła się i odwróciła głowę.

- Nie - odparła odruchowo. - Czasem rozpalałam ogień w palenisku naszego gniazda, ale to wszystko. Nie jestem tkaczką płomieni. - Otarła skrawkiem płaszcza resztę krwi z okolic rany. - Ziemia też może być zielona, prawda? Tak jak woda. - Zamrugnęła powieką, by przepędzić łzę z oka.

- Masz rację, dziewczyno - odparł baron w zastępstwie Rolanda. - Ale przyzywanie to szuka praktykowana przez tkaczy płomieni, a nie magów ziemi czy wodnych czarnoksiężników.

- Niemniej ona spadła z nieba - powiedziała Averan. - Sama widziałam. Przeleciała tuż przede mną. Byłam nad chmurami. Może to istota powietrzna.

- Została przyzwana - mruknął baron z całkowitą pewnością siebie i spojrzął w zamyśleniu na dziewczynkę.

Averan zmarszczyła czoło. Posiadała dar rozumu, więc szybko się uczyła, ale miała dopiero dziewięć lat i nigdy nie studiowała magii.

- Myślisz, że to moja robota? We łbie ci się pomieszało.

- Może tak, może nie - mruknął Roland, dla którego znacznie starszy baron był w pewnej mierze autorytetem. - Słyszałem, że Moce nie czynią nigdy niczego bez powodu. Może i nie przyzywałaś jej, może została przysłana - zasugerował, chociaż nie miał nic na poparcie swojego domysłu.

Rana w końcu przestała mu krwawić. Teraz nie wyglądała nawet tak paskudnie.

Averan zauważyła, że na palcach zostało jej trochę posoki zielonej kobiety. Spróbowała zmyć ją w wiadrze, ale nieregularne plamy wżarły się jej w skórę niczym atrament. Może zejdzie z czasem, pomyślała dziewczynka.

- Przykro mi z powodu twojego graaka - powiedział baron. - Wybaczysz mi?

Averan przełknęła kilka gorzkich łez. Skórzak nie był moim graakiem, powiedziała sobie w duchu. O wiele bardziej należał do króla czy do Branda. Niemniej to ona karmiła go od lat, ona go czyściła, skrobała mu zęby i skracała pilnikiem pazury. Kochała tego jaszczura, chociaż wiedziała, że był już stary. Wytrzymałby jeszcze rok, może dwa. Nie powinna też winić barona. Brand mawiał zawsze: „Pamiętaj, by nie karać nigdy zwierzaka za dobre serce. Ani wtedy, gdy ugryzie cię przez pomyłkę, bo to akurat zdarzyć się może nawet najprzyjaźniejszemu graakowi”. Z ludźmi pewnie jest tak samo, pomyślała. Ten stary grubas chciał dobrze, chociaż mógłby wcześniej trochę się zastanowić... Łzy znów napłynęły jej do oczu.

- Już wybaczone, panie Brzuchaty - powiedziała, siląc się na żartobliwy ton. Za wszelką cenę chciała ukryć ból.

- Ulżyj sobie, dziecino. Jeśli wymyślanie mi może ci pomóc... - rzucił stary rycerz. - Nie stać cię na nic więcej?

Averan wolałaby miarkować język, szczególnie wobec szlachetnie urodzonego, ale było jej nazbyt przykro.

- Jak pan sobie życzy, panie Kałdunie. Proszę bardzo, panie Baryło. Czemu nie, panie Pęczak...

- Tak już lepiej - mruknął ponuro Poll.

- Tyle że on jest baronem - wtrącił się Roland. - Zatem poprawnie powinnaś zwracać się do niego „baronie Pęczaku”.

Averan uśmiechnęła się słabo, pociągnęła nosem i otarła łzy. Przezywanie pomogło jej trochę, przynajmniej chwilowo.

- Gdzie zmierzasz? - spytał Poll. - Niesiesz jakąś ważną wiadomość?

Averan zastanowiła się. Niosła najważniejszą możliwą wiadomość: miała uprzedzić o nagłej inwazji.

- Owszem, ale Paldane na pewno i tak już to wie - odparła z przekonaniem. - Raubenowie z gór podeszli pod twierdzę Haberd. Do teraz warownia musiała już upaść. Miałam dotrzeć do diuka Paldane'a, ale prócz mnie wysłano też konnych. Mistrz Brand kazał mi lecieć tylko po to, żebym uszła z życiem.

- Jednego z tych konnych zdarzyło nam się spotkać - mruknął baron. - I to całkiem niedawno. Upadł fatalnie i obawiam się, że Paldane nic jeszcze nie wie. Gorzkie to wieści. Nie dość, że król zginął i Raj Ahten idzie na Carris, to teraz jeszcze raubenowie!

- Jedziemy na północ, do Heredonu - powiedział Roland, siadając. - Przekażemy twoją wiadomość Paldane'owi w Carris, a potem i samemu królowi.

- Możemy podrzucić cię do Carris - zaproponował baron. Averan przypomniała sobie ostrzeżenie Branda, by kierować się raczej na północ, bo tam będzie bardziej bezpieczna.

- Nie chcę do Carris - powiedziała. - Chcę jechać z wami do Heredonu.

- Do Heredonu? - zdumiał się Poll. - To chyba nie jest najlepszy pomysł, jeśli zważyć na postępy Raja Ahtena. Nie musisz tam jechać. Zawieziemy wiadomość.

- Znam drogę do Heredonu - podsunęła na zachętę. - Znam drogi w górach, na których dobry koń oszczędzi sporo czasu. Mogę was poprowadzić.

- Latałaś tamtędy? - spytał baron.

- Dwa razy - skłamała Averan, która jednak widziała mapy i pamiętała ukształtowanie terenu. W rzeczywistości nigdy nie latała dalej niż do Fleeds.

Mężczyźni spojrzeli na siebie w zamyśleniu. Przewodnik by się przydał.

- Niestety, mamy tylko dwa konie - powiedział w końcu Roland. - Odstawimy cię tylko w jakieś bezpieczne miejsce.

- Mogę jechać z tobą - stwierdziła Averan, zwracając się do Rolanda. Baron i tak miał już towarzystwo własnego brzucha. - Jestem mała, a do tego mam dary krzepy i sił życiowych. Jeśli koń się zmęczy, mogę zsiąść i biec.

Z jakiegoś powodu to było bardzo ważne: musiała dostać się do Heredonu. Czowała, że nie ma wyboru. Wiadomość dla Paldane'a była istotna, ale nie aż tak. Dziewczynka drżała z przejęcia i wiedziała nawet, gdzie chce dotrzeć w samym Heredonie. Zamknęła oczy i przywołała widok mapy: w samym środku kraju, prawie dziewięćset mil na północ stąd, za wzgórzami Durkin, leżał zamek Sylvarresta. Tam właśnie ujrzała oczami wyobraźni coś na kształt jaśniejącej sylwetki zielonego męża.

- Masz rodzinę w Heredonie? - spytał baron.

- Nie - przyznała szczerze. - Niedokładnie - dodała na wszelki wypadek. Musiała tam jechać.

- No to dlaczego chcesz tam jechać? - spytał Roland.

Averan wiedziała, że przez jej małe rozmiary i młody wiek ludzie skłonni są oczekiwać po niej dziecinnego zachowania, skłonności do napadów złego humoru i emocjonalnych wyborów. Jednak Averan nie była taka jak inne dzieci. Po prawdzie nigdy nie była zwykłym dzieckiem. Brand wyznał kiedyś, że wybrał ją spośród sierot, ponieważ spojrzawszy bardzo małej dziewczynce w oczy, ujrzał tam dojrzałą kobietę. Podczas swojego krótkiego życia zaznała więcej niż niejeden dorosły.

- Bo tam się właśnie kierowałam - skłamała. - Miałam tam lecieć po przekazaniu wiadomości diukowi Paldane'owi. Mój mistrz Brand ma siostrę w zamku Sylvarresta. Miał nadzieję, że mnie przyjmie. Dał mi do niej list i pieniądze na utrzymanie. - Zadzwoiła przywiązana do pasa sakiewką.

Roland nie poprosił ją o list. Pisane słowo nic dla niego nie znaczyło. Baron zaś był nazbyt leniwy, żeby trudzić się czytaniem czegokolwiek. Averan miała nadzieję, że obaj skuszą się chociaż na pieniądze.

- A co z twoją podopieczną? - spytał baron, spoglądając na zieloną kobietę. - Jak myślisz, podąży za nami?

- Zostawimy ją - odparła Averan, chociaż coś przestrzegało ją przed takim rozwiązaniem. A jeśli baron ma rację? Może naprawdę któraś z Mocy zesłała tu to stworzenie specjalnie dla niej? Marnotrawstwem byłoby zostawiać taki dar. To mogło być nawet groźne... Niemniej Averan i tak nie widziała powodu, by zabrać zieloną.

Baron zadumał się głęboko.

- Nie możemy cię wziąć aż tak daleko - powiedział w końcu tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Zostawimy cię w jakimś bezpiecznym miejscu, może być na północ od Carris, jeśli chcesz. Mam kuzyna w małym miasteczku w tamtej okolicy. Może znajdzie dla ciebie jakiś kątek.

Averan już kiedyś nauczyła się, jak rozmawiać ze szlachetnie urodzonymi. Wiedziała, że często mają siano we łbie i nie lubią, gdy wytykać im błędy. Ton barona Poila ostrzegał, że po starym rycerzu nie należy oczekiwać niczego lepszego. Niemniej w głębi ducha dziewczynka poprzysięgła sobie, że jeśli ją zostawią, to i tak ruszy za nimi, choćby na piechotę.

Averan pobiegła po srokatą klaczkę Rolanda oraz ciemnego ogiera barona i zaczęli przygotowywać się do odjazdu. Słońce już prawie zaszło, ale właściciel chaty jeszcze się nie pokazał. Mimo to baron zerwał trochę gruszek, potem podebrał z ogródka nieco rzepy i cebuli. Nie ruszył natomiast chudych, ośmiotygodniowych kacząt, które kręciły się po obejściu.

Averan zastanawiała się, kto tu może mieszkać. Wymyśliła, że chyba jakiś stary drwal, bo sad był za mały, żeby nawet jedna osoba mogła długo dzięki niemu przeżyć, a lasów na wzgórzach był dostatek. I co ten ktoś pomyśli, gdy wróci i zastanie tylko szczątki psa i martwego graaka za domem? Otworzyła otrzymaną od Branda sakiewkę i odkryła w środku nie tylko monety będące w obiegu na Północy, ale i kilka złotych pierścieni używanych przez kupców z Indhopalu. Pierścienie były równiejszej miary niż jakiegokolwiek monety i miały na obwodzie wybity znak Muyyatinu. Można je było nosić na palcach rąk albo stóp, albo też na lince zawiązanej na szyi, toteż nie ginęły tak łatwo jak monety.

Averan wybrała dwie sztuki srebra i położyła je na truchle psa.

Potem siadła na konia przed Rolandem, po czym wyjechali z wioski i ruszyli krętą drogą ku lasom porastającym góry Brace.

Gdy wyruszali, zielona kobieta wciąż pożywiała się na szczątkach Skórzaka. Nie podniosła nawet głowy, tylko raz rzuciła obojętnie okiem za Averan.

Milę dalej droga zaczęła stromo piąć się pod górę. Ocinające ją olchy okryły się już żółcią na powitanie jesieni. Wyżej zieleniało też trochę sosen.

Nie napotkali nikogo, aż wyjechali na nagie, smagane wiatrami zbocze. W paru miejscach spadające z góry głazy zablokowały częściowo drogę i trzeba było przeprowadzać konie naokoło. Kiedyś zadbany szlak od ponad dziesięciu lat niszczał w zapomnieniu, gdyż królewscy

nie uważali za sensowne dbać o drogę, przebiegającą przez teren opanowany przez rozbójników.

Bessahan jechał forsownie przez całe popołudnie, żeby przechwycić królewskich wysłanników, ale jego koń zgubił podkowę w lesie i trzeba było zatrzymać się i podkuć go na nowo. Trwało to blisko godzinę, toteż na graaka Bessahan natknął się sporo po zachodzie słońca.

Padlinę spostrzegł czystym przypadkiem i tylko dzięki poobijanej latarni trzymanej przez zwalistaną kobietę, która stała akurat w niewielkim sadzie obok chaty przy drodze i gapiła się na martwego gada. Latarnia była okryta ceramicznym kapturkiem, który nie przepuszczał wiele światła i kobieta wzięła w ciemności Bessahana za kogoś innego.

- Ejże, to ty, Koby?

Zabójca niezbyt dobrze władał rofehawańskim. Nie chciał, by usłyszała jego akcent, więc tylko odmruknął coś w odpowiedzi.

- Widzisz to? Ktoś zabił tu graaka, rozwalił mu łeb. I są jeszcze ślady dwóch koni. Ty to może zrobiłeś?

Bessahan pokręcił przecząco głową.

- A wcześniej ten potwór zabił jeszcze mojego psa. - Kobieta też pokręciła głową, tyle że z niesmakiem. Była stara, miała skołtunione włosy. Nosiła brudny fartuch, który zalatywał ługiem. Bessahan miał dary węchu od dwóch psów i wyczuwał to nawet na pięćdziesiąt kroków. Brudna kobieta zalatująca ługiem musiała być praczką. Prała cudze rzeczy.

- Ten, co go zabił, wcale mi się nie przysłużył - lamentowała stara. - Gdyby mnie spytali: „Kitty, chcesz, żebyśmy zabili tego potwora, co siedzi za twoim domem?”, powiedziałabym: „Nie. Zostawcie go w spokoju. Nie ożywiecie przez to mojego psa. Że pożre mi kaczki? Co z tego, i tak nic z nich nie mam”. Ale czy ktoś mnie tu słucha? Nie!

Bessahan stracił resztki szacunku do kobiety. Nie dość, że była tłusta i brudna, to jeszcze gadała jak głupia.

- No ale cóż - sapnęła. - Pomożesz mi usunąć to ścierwo? Jeszcze trochę, a przyciągnie wilki. Jeden już chyba nawet tu ucztował. Cały bok rozdarty.

Bessahan spojrzał na drogę. Wysłannicy odjechali zapewne ku górcom, jednak było już ciemno, więc wątpliwe, by ryzykowali przeprawę po skalnych ścieżkach po nocy. Mądrzej z ich strony byłoby zostać tu do świtu, rozbić się obozem w sadzie albo na pobliskim wzgórzu. Na dodatek wiatr niósł zapach deszczu. Jeśli jednak podążyli dalej, trudno będzie wyczuć ich woń na szlaku.

Podjechał do starej. Spojrzała na niego spod ciężkich powiek. Nagle nabrała czujności.

- Ejże, ty nie jesteś Koby! - warknęła.

- Nie, przykro mi - odparł zabójca z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. - Nie jestem twój Koby. Nazywam się Bessahan.

- I co ty tu robisz? - spytała, cofając się o krok.

- Szukam ludzi, którzy zabili graaka.

- Po co? - rzuciła kobieta, gdy zabójca znów postąpił w jej stronę. - Bessahan, mówisz? Co to za imię? - spytała, mocno już wystraszona.

Stara wyraźnie nie widziała tamtych, nie było szansy, że przyda się na cokolwiek, wyjawiał jej więc prawdę.

- To nie jest imię, ale tytuł. W moim kraju znaczy „łowca ludzi”.

Kobieta zakryła usta dłonią, by powstrzymać się od krzyku. Bessahan pochylił się błyskawicznie, prawą ręką złapał ją za włosy, lewą zaś zamachnął się kindzalem tak mocno, że żelazo przeszło przez kość. Ciało potoczyło się po trawie, a Bessahan odciął jeszcze lewe ucho i cisnął głowę obok tułowia. Wszystko odbyło się niemal całkiem bezgłośnie.

Zabójca schował ucho do sakiewki, zeskoczył z konia i sięgnął po latarnię. Oczyszczył kindzał i okrążył padlinę graaka. Pochwycił w nozdrza zapach młodzińca w bawelnianym

plaszczu i starego mężczyzny, którego pot śmierdział jak u dzika. Zawsze uważał, że wszyscy ludzie z Północy są za grubi i żłopiają za dużo piwa. Ich skóra zalatywała Bessahanowi zepsutym mlekiem. I do tego byli brudni.

Po chwili wyczuł jednak coś jeszcze: woń młodej dziewczyny. Najsilniejsza była przy karku graaka. Nagle pojął, że to nie dziki jaszczur. Przysunął latarnię do grzbietu i dojrzał łuski wyszlizgane na gładko od dotyku młodych nóg. Ta bestia miała jeździć!

Dziewczynka musiała przyłączyć się do królewskich posłańców.

Odciski podków na ziemi poświadczały, że konie naprawdę były dwa i że skierowały się na północ.

Bessahan zdjął kapturek z latarni, zdmuchnął płomień i postawił ją w trawie. Nie chciał, by ktokolwiek znalazł ciało starej przed porankiem.

W ciemności przeciągnął grzbiet i spojrzał w górę. Postrzępiona dziura w chmurach ukazała rozjaśnione tysiącem gwiazd niebo. Noc była przepiękna, chociaż chłodna. W domu wzięłby w podobny wieczór ze dwie dziewczyny do sypialni, żeby go grzały. Od nazbyt dawna musiał obywać się bez kobiety.

Zrzucił kaptur z głowy, potrząsnął długimi, ciemnymi włosami i raz jeszcze wciągnął głęboko powietrze przez nos.

Tym razem poczuł coś jeszcze... Coś dziwnego, niepodobnego do wszystkiego, co dotąd napotkał. Bogata woń... świeżo odwróconej pługiem skiby... albo mchu... Ale słodsza.

Jestem w lasach Północy, upomniał sam siebie, daleko od domu. Oczywiście, że muszą tu rosnać rośliny, których nigdy przedtem nie wąchałem.

Jednak coś go niepokoiło. Jakkolwiek próbował, nie udawało mu się znaleźć źródła nowej woni. Całkiem jakby jakieś zwierzę tu przechodziło i znikło.

W końcu Bessahan wskoczył na konia i odjechał w noc.

11

KAMIEŃ JASNOWIDZENIA

Ioma i Gaborn stali na szczycie Warowni Króla i spoglądali na pola wokół warownego miasta Sylvarresta. Zapadł ostatni wieczór święta Hostenfest i wielka uczta dobiegła już końca, chociaż Gaborn przez cały dzień nie zjadł nawet kąska. Teraz, zgodnie z tradycją, nadeszła pora na pieśni.

Od ponad tysiąca lat całe rodziny zbierały się pod koniec Hostenfest przy ogniu i śpiewały na chwałę wyczekiwanego Króla Ziemi, rzucając w płomień garście wonnych suszonych ziół i płatków róż, jaśminu, lawendy albo liści mięty.

Każdy z dwustu tysięcy namiotów stojących wokoło miasta jarzył się już łagodnie od wewnątrz złotym, srebrnym, błękitnym lub zielonym blaskiem. Co więcej, Heredończycy stali przed wejściami do swoich namiotów, trzymając w dłoniach małe oliwne lampki, których blask rozjaśniał im twarze, a powietrze wypełniała woń kwiatów.

Na polach nie zabrakło nikogo: byli dumni panowie i ich damy we wspaniałych strojach, były tysiączne zastępy odzianych w oliwkowe szarości wieśniaków, byli uczeni i skończeni głupcy, minstrele i robotnicy, kurwy i uzdrowiciele, kupcy i myśliwi. Chorzy i zdrowi, kulawi, nawet umierający. Niektórzy wierzyli święcie w magię Hostenfest, ci i owi nie kryli sceptycyzmu, inni jeszcze po prostu się bawili, wszyscy jednak byli do pewnego stopnia zagubieni lub nawet przerażeni. Gdzieś w cieniu wielkiego święta kryła się nieokreślona groza, narastał lęk przed przyszłością.

Niebawem rozległ się pradawny hymn:

Włodarzu puszcz i polnych stron,
Kto żyw ci hołd i serce niesie,

Radości wielkiej idzie czas,
Gdy zapanujesz, zbierzem plon.
Razem staniemy w mroczne dni,
Jednym szeregiem u murów, bram,
Ja będę mieczem, tarczą ty,
Włodarzu puszcz i polnych stron.

Ioma słuchała i patrzyła z fascynacją na fosę, która sama z siebie zaczęła jaśnieć nagle dziwnym, szafirowym blaskiem. Wielkie jesiotry uwijały się w wodzie, kreśląc nieustannie runy ochrony, jakby i one chciały zaofiarować swą pomoc Królowi Ziemi.

Gdy pieśń dobiegła końca, z murów zagrały rogi, a w dole setki tysięcy gardeł zakrzyknęły: „Niech żyje Król Ziemi! Niech żyje Król Ziemi!”

Głosy powracały odbite echem od wzgórz, huczały wśród murów zamku. Mężczyźni, kobiety i dzieci unieśli zaciśnięte pięści, powtarzając pozdrowienie raz za razem, aż rozmaite zwierzaki zaczęły umykać przerażone z obozowiska, tłum zaś ruszył w kierunku zamku, by przykleknąć tam i oddać hołd Gabornowi. Rogi ciągle grały, a chłopcy na blankach jak szaleni machali sztandarami.

Iomie dreszcz przebiegł po grzbiecie. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś takiego, a przecież to był dopiero początek. Ludzie pamiętali, że wedle legend każdy, kto pragnie zachować życie, winien oddać się na służbę Królowi Ziemi i poszukać u niego obrony.

Te pięćset tysięcy ludzi było tylko forpoczta wielu milionów, które miały dopiero nadciągnąć. Jeszcze trochę, a cały świat zbierze się pod zamkiem Sylvarresta.

Gaborn Val Orden stał nieporuszony w godzinie triumfu. Patrzył gdzieś na południe i nastawiał ucha, jakby łowił zew odległych trąb.

Ioma też spojrzała na skraj puszczy, ale pod drzewami zalegał tylko nieprzenikniony mrok. Niemniej Gaborn zdrzął nagle.

- Co się dzieje? - spytała Ioma. Gaborn wciągnął ciężko powietrze.

- Czuje, że ziemia mnie ostrzega. Silniej niż kiedykolwiek. Widzę poczerńnięte pola.

Nadciąga moja zguba! Bliska jest śmierć nas wszystkich!

- O czym mówisz, panie?

- Musimy przygotować się do ucieczki - powiedział Gaborn, i miał wyjaśnić cokolwiek więcej, złapał żonę za rękę i pociągnął ją do schodów prowadzących na wieżę. Zbiegli po nich aż do leżących sześć kondygnacji niżej piwnic, w których za pamięci Iomy nikt nigdy nie mieszkał.

Dzienniki obojga mało nóg nie pogubili, żeby za nimi nadażyć.

Ioma słyszała, że Binnesman, którego tkacze płomieni pozbawili domku w Ogrodzie Czarnoksiężnika, zamienił zaniedbane podziemia w swoją siedzibę, ale nie była przygotowana na to, co ujrzała, gdy Gaborn otworzył drzwi.

Strażnik Ziemi stał pośrodku piwnicy pełnej duszących oparów siarki oraz woni zgnilizny i popiołu. Gdyby nie uwiązane pod sklepieniem pęki ziół, trudno byłoby tu oddychać. Brakło świec czy lamp, jedynym źródłem światła był zagrzebany częściowo w klepisku Kamień Jasnowidzenia, wielki, okrągły i wypolerowany na gładź agat najczystszej białej barwy. Wkoło leżały kręgiem mniejsze od kamienia kryształy, a na ziemi widać było wyrysowane przez Binnesmana magiczne runy.

Oparty na lasce czarnoksiężnik stał wpatrzony w jaśniejący kamień. Ioma podążyła za jego spojrzeniem i dojrzała obraz czterech gór wypływających dym i popiół. Usłyszała odległe grzmoty, poczuła nagle drżenie ziemi pod stopami. Pomyślała, że kamień ukazuje wybuchy wulkanów, ale zaraz zrozumiała, o co naprawdę chodzi. To nie były naturalne erupcje, gdyż poza lawą z ognistych czeluści wyłaniały się dziesiątki tysięcy raubenów.

Prócz obrazu Kamień Jasnowidzenia przekazywał także zapach i ciepło. To przez niego cuchnęło w piwnicy siarką i popiołem, a powietrze było gorące niczym w chlebowym piecu. Wizja była przez to tak realistyczna, jakby widziało się te wulkany na własne oczy, i to z niezbyt daleka.

Ioma patrzyła na to wszystko ze zdumieniem. Nigdy nie słyszała, aby Binnesman parał się magią ożywiającą Kamienie Jasnowidzenia. W rozmowie z Rajem Ahtenem stwierdził wprost, że tego nie czynił.

- Raubenowie wychodzą z podziemi w Crowthenie Północnym - powiedział rzeczowo czarnoksiężnik. - Inni pojawiają się bardziej na południe, wzdłuż gór Alcair. Warownia Haberd padła, ale wojska Raja Ahtena broniące Kartishu nie radzą sobie wcale lepiej.

Gdy to mówił, cały zamek Sylvarresta zdrzął nagle jak w febrze. Ioma pomyślała, że ten wstrząs przekazał Kamień Jasnowidzenia, ale Strażnik Ziemi zerknął z troską na ściany.

- To tylko pomniejszy wstrząs - wyjaśnił. - Ziemia cierpi. Ioma obejrzała się na parę Dzienników, która schroniła się w ciemnym kącie za jej plecami. Związani umysłami ze swymi odpowiednikami na północy, musieli wiedzieć o tym kataklizmie więcej nawet niż Binnesman. Nie mogli powiedzieć ani słowa, ale widać było, że oboje są przerażeni. Ioma pomyślała, że to naprawdę zły znak.

- Czemuż Raj Ahten zaatakował mnie właśnie w takiej chwili? - mruknął Gaborn. - Nie wiedział o zagrożeniu?

- Przypuszczam, że nawet teraz nie zdaje sobie z niego sprawy - odparł czarnoksiężnik. - Gdy widziałem go ostatnio, podążał wciąż na Carris. To było ledwie kilka godzin temu.

- A gdzie jest teraz?

Binnesman skłonił głowę i zamknął oczy, jakby był nazbyt zmęczony, żeby dojrzeć cokolwiek więcej. Od kiedy stracił swoją dziką, wciąż czuł się osłabiony.

Wtarł sobie nieco świeżej ziemi w dłoń i twarz, po czym powoli i uważnie zaczął przemieszczać kryształy wokół kamienia. Zabrało to kilka chwil, gdyż najpierw musiał uzyskać ogólny obraz wojsk Raja Ahtena, by potem powiększyć wybrany fragment.

Gdy Ioma ujrzała wreszcie wynik jego starań, włosy stanęły jej dęba. Oddziały wroga skupiły się wkoło jakiejś wioski, która liczyła może ze sto krytych strzechą kamiennych domów. Otaczał ją niewysoki kamienny mur. Rycerz na dobrym koniu z darami przeskoczyłby go bez kłopotu. Nigdzie nie było widać ani śladu obrońców, w samej wsi zaś nie szczekał ani jeden pies. Osada wydawała się całkiem nieświadoma zagrożenia.

- Znam to miejsce - powiedział Gaborn. - Ta wioska nazywa się Twynhaven.

Większość olbrzymów Ahtena uniosła nozdrza i zaczęła węszyć łakomie, jakby w nadziei na krwawą ucztę. Wojownicy trzymali broń w pogotowiu, ale po chwili na czoło wystąpili tkacze płomieni.

Trójka czarnoksiężników ustawiła się w szereg tuż pod murem wioski i zaczęła z cicha zawodzić piskliwymi głosami. Ioma słyszała ich wyraźnie. Nie potrafiła rozróżnić słów pieśni, ale wyczuwała w niej płomienisty głód i trzask trawionych ogniem bierwion.

Trawa i krzewy wkoło tkaczy płomieni gwałtownie się zajęły. W niebo strzeliły zielone ognie, spowijając trzy postacie, które ruszyły przez kamienny mur ku wiosce.

Psy wyczuły ich w końcu, a może i zobaczyły, bo kilka zanosło się ujadaniem. Gdzieś zarżał spłoszony koń, niemniej wciąż nie było słychać ludzi.

Za plecami magów ogień urósł wysoko i Ioma widziała ich teraz jakby przez płomienistą zasłonę. Późnojesienne słońce wysuszyło trawę wokół domów, gdy więc tkacz ze skraja uniosł lewą rękę i z jego palców strzeliła płomienista macka, ogień zaczął się rozprzestrzeniać wzdłuż muru w tempie galopu dobrego konia. Mag z przeciwnej strony uczynił to samo prawą ręką i po chwili dwa strumienie ognia spotkały się po przeciwnej stronie wioski. Otoczywszy ją, zaczęły postępować ku środkowi.

Jakaś kobieta z krzykiem wybiegła z chaty obok muru. Po chwili dołączyli do niej mieszkańcy innych domostw. Kilka rżących dziko koni otworzyło kopnięciami zagrody i zaczęło ganiać na oślep uliczkami.

Tkacze zbliżyli się do domów. Coraz gwałtowniejsze piekło płomieni podsycalo ich siły. Jeden wskazał ręką na wielką stodołę, której strzecha zaraz nie tyle zajęła się ogniem, ile nim buchnęła. Chwilę później drugi mag posłał zieloną błyskawicę ku pobliskiej chacie. Słomiany dach i krokwie zajęły się w jednej chwili, a gorąco pożaru poczuła nawet Ioma.

Z domu dobiegły wrzaski. W drzwiach pojawił się krępy gospodarz z płonącymi włosami i ubraniem. Za nim wybiegła kobieta z synem. Chłopiec niósł tarczę. Płomienie odbijały się w metalu, migotały w oczach ludzi. Wkoło zrobiło się całkiem jasno. Dym doleciał aż do Iomy.

Nagle cała wioska buchnęła piekielnym ogniem. Kolumna płomieni wystrzeliła na ponad dwieście jardów wysoko, a tkacze nasilili swe zawodzenia i weszli w pożogę, zmieniając się błyskawicznie w jaśniejące oślepiająco potwory, które wyginały się i tańczyły obok umierających ludzi.

- Ofiarowują życie mieszkańców wioski żywiołowi, któremu służą - powiedział przerażony Binnesman i odwrócił spojrzenie od kamienia. - Szykują się do aktu czarnej magii: mrocznego przywołania.

- Tego właśnie się obawiałem - szepnął Gaborn. Płomienie trawiące wioskę pozieleniały z wolna, a szalejące w niej pożary zlały się w jeden dywan ognia. Po chwili nawet kamienne ściany domów i murki ogrodzeń zaczęły się stapiać w jedną bezkształtną masę. Niebawem cała osada została zrównana z ziemią, tylko gdzieniegdzie płomienie lizały jeszcze obrane do czysta kości ludzi i zwierząt.

Ioma nie mogła się nadziwić, jak szybko to poszło. W normalnych okolicznościach przywołanie wymagało całych godzin przygotowań. Może tym razem ofiara z ludzi dodała mocy zakłębionym tkaczy, którzy śpiewali teraz i tańczyli tak, jakby sami byli żywym ogniem.

Nim minęła godzina, w ziemi rozwarł się jaśniejący otwór. Tkacze stanęli nad nim, ale choć wzywali i nawoływali, nic się z niego nie wyłoniło. W końcu jeden z magów wszedł weń i zniknął na chwilę w podziemnym świecie.

Niemal natychmiast pożar wygasł do cna i tylko tu i ówdzie pośród czarnego pogorzelska widać było pojedyncze żarzące się węgle.

Ioma wstrzymała oddech. Miała nadzieję, że ten tkacz płomieni zginie, że nie wróci już nigdy z otchłani... Nagle pośród popiołów zamajaczyły dwie sylwetki zwijające się jakby w walce. Chociaż nie, pomyślała Ioma, tak poruszają się ludzie stawiający ostatnie kroki po śmiertelnie wyczerpującej wędrówce. W jednej z postaci rozpoznała tkacza płomieni. Znów przybrał ludzki kształt, w połowie pokrywały go popioły.

Obok stał ktoś znacznie większy, jakby rosły mężczyzna o bujnych, długich włosach. Tyle że od tej postaci bił czysty błękitny blask, jakby z kryształu była, a nie z ciała. Płomienie tańczyły na jej skórze.

Istota pozbierała się na równe nogi i szeroko rozpostarła oślepiająco jasne skrzydła. Czoło też jej zabłyszczało, oczy rozgorzały ogniem błyskawic. Nawet najbardziej zaprawieni w bojach żołnierze Raja Ahtena jęknęli zdumieni, a warczące wściekle psy wycofały się byle dalej.

- Na Moce! - rzekł Gaborn. - Wezwali glory'ego!

Ale jakiego glory'ego? zastanowiła się Ioma. Powiada się, że w stoczonych w pradawnych czasach bitwie o wąwóz Vaderlee Król Ziemi Erden Geboren walczył wraz z dwoma glorymi, którzy osłaniali go z obu boków. Podobno byli niepokonani. Zawsze dotąd miała te istoty za sprzymierzeńców ludzkości.

Jednak temu glory'emu źle z oczu patrzyło. Owinął skrzydła wkoło ramion, a bijący od niego blask poczerniał złowroźnie.

- Nie daj się zwieść - powiedział Binnesman. - Ten glory nie ma nic wspólnego z postaciami z dawnych legend. To czarny glory. Nie będzie chronić Króla Ziemi. Przybył, aby go zabić.

- Kiedy spróbuje? - spytał Gaborn. - Ile czasu mi zostało?

Binnesman podszedł do małego stolika i wrócił z iluminowanym manuskrypcem opisującym rozmaite stwory pojawiające się na ziemi. Przekartkował bestiariusz, aż dotarł do stron poświęconych gościom z podziemnych otchłani. O czarnym glorym było tam tylko kilka zdań, brakło nawet prostego szkicu potwora. Widać i mędrcy mieli go za stworzenie prawie mityczne.

- „Rodzi się z powietrza i ciemności” - przeczytał Binnesman. - „Przybędzie niczym wielki ptak i poczeka z atakiem do nocy”. Sądzę, że jest za daleko, aby zdążyć przed świtem, ale jutro lub pojutrze zjawi się tu na pewno.

- Co powinienem zrobić? - zapytał Gaborn.

Binnesman nie odezwał się. Zmarszczył tylko brwi, odczytując resztę informacji z bestiariusza. Ioma pojęła, że Strażnik Ziemi nie zna odpowiedzi.

- Co za głupiec z tego Raja Ahtena - mruknął w końcu czarnoksiężnik. - Uwolnić teraz takiego potwora... - Przyklęknął przy kryształach, przesunął jeden o włos, by lepiej widzieć armię Wilka. Przez długą chwilę wpatrywał się w obraz. - Nie widzę go tutaj - mruknął. - Gdzie on może być?

Gaborn też spojrział w kamień.

- Dość tam ciemno. Może kryje się gdzieś na tyłach?

- Nie. Gdyby tu był, wyszedłby przed wszystkich, by powitać swojego nowego wysłannika. Wychodzi na to, że odłączył się z jakiegoś powodu od głównych sił.

- Ale po co? Możesz go znaleźć? Binnesman pokręcił głową i zmarszczył brwi.

- Wątpię. Armie czy wulkan łatwo jest odszukać, ale jeźdźca podążającego samotnie przez noc? To może potrwać całe dni, a ja jestem już u kresu sił.

Binnesman odwrócił się od kamienia i obraz pociemniał. Ułożone wkoło kryształy wciąż jaśniały, ale ich blask był o wiele słabszy. W ich poświacie Binnesman wyglądał wręcz na chorego. Ledwie tydzień temu nosił szaty w barwach soczystej zieleni pełni lata, ale przywołując dziką, znacznie uszczuplił swe siły. Co gorsza, dzika gdzieś się zapodziała, co jeszcze przysporzyło czarnoksiężnikowi zmartwień.

- Przyglądałem się tym wulkanom nie bez celu - powiedział ponurym głosem. - Próbowałem odgadnąć plan ataku raubenów. Niestety, muszę przyznać, że niewiele mi się nasunęło. Raubenowie wychodzą na powierzchnię w miejscach dość od siebie odległych, przy czym większość z nich leży z dala od ludzkich siedzib. Jedno wszakże rzuciło mi się w oczy. Wszędzie tam są w pobliżu albo wulkany, albo gorące źródła czy gejzery.

- Co z tego wynika? - spytał Gaborn.

- Głęboko w sercu ziemi rozciąga się sfera ognia. Sam mogłeś się o tym przekonać, gdy dotarliśmy nad Morze Idymeńskie. Sądzę, że w niektórych miejscach zbliża się ona do powierzchni. Tam właśnie biją gorące źródła, wyrastają wulkany. Zaczynam się zastanawiać, czy to nie gorąco wypędza raubenów na świat.

- W tej chwili ważniejszym zagrożeniem jest Raj Ahten - powiedział Gaborn, zmieniając temat. - Muszę zwołać moich wodzów na naradę.

- Zamierzasz wojować z Ahtenem? - spytał Binnesman. - Mimo zalewu raubenów? Jesteś pewien, że to mądry krok?

Gaborn westchnął ciężko.

- Nie. Ale jeśli nie dam mu do zrozumienia, że jestem gotów z nim walczyć, na pewno wyrządzi jeszcze więcej szkód. Mogę mieć tylko nadzieję, że gdy dowie się o tym, co zagraża jego własnemu krajowi, wycofa się do Indhopalu i pomyśli o obronie. Wtedy może uda się nawet wynegocjować z nim rozejm.

Czarnoksiężnik spojrział w zamyśleniu na Gaborna.

- Jeśli chcesz, to próbuj pozyskać go dla sprawy, ale nie wiem, czy nawet ty masz szansę tego dokonać. Pamiętaj, że przekląłem go tydzień temu. Takie klątwy działają powoli i trzeba czasu, by w pełni ukazały się ich skutki, ale obawiam się, że nikt, włącznie z Królem Ziemi, nie może mu już pomóc.

- Ze względu na dobro mojego ludu muszę jednak spróbować. Binnesman zmierzył go wzrokiem spod krzaczastych brwi.

- A ja z tego samego powodu muszę cię ostrzec: Raj Ahten nie będzie skłonny przyjąć rady od wroga. Stając przed nim, narazisz się na niebezpieczeństwo. Możliwe, że on właśnie próbuje wyciągnąć cię z zamku Sylvarresta, chce skłonić cię do przyjęcia bitwy gdzieś daleko. Wie, że tutaj nie może cię zaatakować. Za blisko Mroczonej Puszczy i duchów, które obiecały cię chronić.

- Wiem - wykrztusił Gaborn. - Pojedziesz ze mną?

- Wiesz przecież, że brak mi sił na wojaczkę. Możliwe jednak, że ruszę dzień lub dwa za tobą, żeby pomóc na miarę moich możliwości. Teraz jednak muszę przygotować się do spotkania z czarnym glorym. Przyjdzie mi stawić mu czoło sam na sam.

- Jak to?! - zakrzyknął Gaborn. - Sam, bez dzikiej?! Mogę przydać ci pięćdziesiąt tysięcy zbrojnych gotowych stanąć u twego boku.

- Nic by nie osiągnęli. Polegliby i tyle - mruknął Binnesman.

- Z czym na niego pójdiesz?

- Jeszcze nie wiem. Coś pewnie wymyślę. Ty zaś zwołuj swoją radę. Twoi wodzowie wiedzą o wojnie więcej niż ja. O świcie ostrzeż ludzi i powiedz im, by uciekali z zamku Sylvarresta. Bez wątplenia sam też czujesz nadciągające niebezpieczeństwo. A na razie to ja trochę sobie odpocznę.

Nie wyjaśniając nic więcej, czarnoksiężnik podszedł chwiejnie do kąta i ułożył się na legowisku z gliny. Ioma pomyślała, że to dziwne łoże musi tu być chyba od niedawna i że jest dziełem samego Binnesmana. W ogóle było tu dużo ziemi. Na klepisku leżało tylko kilka kamiennych płyt. Tak, to musiało być dzieło Strażnika Ziemi. Podobni mu uzdrowiciele często ordynowali chorym kontakt z glebą o leczniczych właściwościach. Jakby na potwierdzenie jej domysłów, czarnoksiężnik zgarnął na siebie kilka garści ziemi i po chwili spał już spokojnie.

Ioma rozejrzała się wkoło. Teraz w całej piwnicy pachniało jedynie pleśnią i świeżymi ziołami. Wyczuwała wkoło intensywną moc ziemi. Tego samego doznawała w bliskim kontakcie z Gabornem czy Binnesmanem, tyle że ziemia promieniowała mocniej. Pamięć podsunęła stare pozdrowienie, które nie raz usłyszała już od Gaborna: „Niech ziemia cię chroni. Niech cię uzdrawia. Niech uczyni cię swoją”. Ta komnata była pod opieką ziemi.

- Chodźmy - powiedział Gaborn.

NARADA WOJENNA

Sir Borenson położył rękę na ramieniu żony i potrząsnął nią łagodnie. Gdy usiadła rozbudzona, szepnął, że Gaborn chce, aby się zjawiała na naradzie.

- Jesteś pewien, że chodzi o mnie? - spytała zaskoczona Myrrima. Położyła się na chwilę po obiedzie i zasnęła w ubraniu.

- Całkowicie.

- Jeśli chce usłyszeć, jakie jesienne kwiaty pasują najlepiej do wielkiej sali, to proszę bardzo, ale na wojnie się nie znam.

- Gaborn cię lubi - stwierdził Borenson, chociaż sam niezbyt wiedział, co o tym myśleć. Przypuszczał, że Myrrima została zaproszona tylko przez wzgląd na niego. Ostatecznie niebawem miał wyruszyć do Inkarry i każda godzina spędzona z młodą żoną była dlań na wagę złota. Nie chciał jednak sprawiać jej przykrości sugestią, że to tylko uprzejmość. - Czy już przy pierwszym spotkaniu nie powiedział ci, że chętnie widziałby cię na dworze? Liczy się z twoim zdaniem.

- Ale... Nie czuję się kompetentna.

- Jestem pewien, że król ma ten sam problem. Jeszcze niedawno jego największym zmartwieniem było dobranie piórka do czapki, w której miał ruszyć w konkury do Iomy, a teraz jego ojciec nie żyje, a on sam musi szykować się na wojnę. A Ioma? Tydzień temu głowiła się co najwyżej, jakiego koloru nici wziąć do haftu! Też będzie obecna.

- To co? Całe królestwo zaprosił na tę naradę?

- Nie całe. Kanclerza Roddermana, Jureema, Erin Connal, króla Orwynne'a, marszałka wielkiego Skalbairna i lorda Ingrisa z Lysle.

Myrrima wstała w zamyśleniu, spojrzała w lustro i zaczęła rozczesywać swoje długie czarne włosy.

Borenson nie wiedział, jaka rola przypadnie mu na naradzie. Koniec końców był teraz rycerzem bez herbu, pokutnikiem. Kilka dni temu postanowił, że da sobie góra dwa tygodnie na

przygotowania do wyprawy. Chciał się spokojnie pożegnać z ojczyzną i żoną i myślał, że nic mu w tym nie przeszkodzi. Tymczasem Raj Ahten wcale nie uciekł na zimę do Indhopalu, ale od razu ruszył na Mystarrię. Nie dał Gabornowi ani chwili wytchnienia, a na dodatek odciął go w Heredonie, z dala od własnego królestwa i doradców.

Wobec tych wydarzeń Borenson uznał, że nie godzi się zostawiać przyjaciela w potrzebie. Nikt by mu złego słowa nie powiedział, był przecież wolnym rycerzem i mógł w każdej chwili jechać gdzie oczy poniosą, ale postanowił na razie zostać. Wiedział też, że jeśli Gaborn wybierze się do Mystarrii, na pewno pojedzie u jego boku, a gdy już raz opuści Heredon i żonę, nie wróci tu, póki nie wywiąże się z zadania.

- A zielarz Binnesman? Nie zjawi się na naradzie? - spytała Myrrima.

- Binnesman śpi i nie można mu przeszkadzać - odparł Borenson. Brak zielarza zdumiewał go najbardziej. Zaproponował, że jeśli trzeba, zejdzie do piwnicy i wykopie czarnoksiężnika z łóżka, ale Gaborn nie uznał tego za dobry pomysł.

- A co z księciem Celinorem i innymi kupieckimi magnatami z Lysle? - dociekała dalej Myrrima.

Borenson zmarszczył brwi. Wszyscy obecni ostatnio na dworze słyszeli, jak to owi magnaci wezwali Gaborna do obozowiska, które rozbili pod miastem, i zażądali, by ich wybrał. Całkiem jakby nie był Królem Ziemi, ale ich unizonym sługą.

Borenson najchętniej by ich przeklął, ale ku powszechnemu zdumieniu Gaborn postąpił inaczej. Poszedł i wybrał kilkunastu spośród tych zarozumiałców.

- Podejrzewam, że król nie darzy Celinora przesadnym zaufaniem. Zaprosił wprawdzie Ingrisa, ale reszta tego towarzystwa wydaje mu się chyba równie przydatna co stado rozgęganych gęsi.

- Powinni już zjechać wszyscy ważni władcy - mruknęła Myrrima. - Również ci z Crowthenu Północnego i z Beldinooku.

- Z Crowthenu Północnego nie ma na razie żywej duszy. Żelazny Król nigdy nie lubił Sylvarresty, a jego kuzyn, król Anders, zdaje się nie patrzeć przychylnie na Króla Ziemi. Zresztą może ma własne kłopoty. Dziś w nocy zaczęli tam spod ziemi wychodzić raubenowie. Gaborn pchnął już posłańców z propozycją udzielenia pomocy. Co zaś się tyczy Beldinooku, król Lowicker jest słaby... - Borenson nie wiedział, co jeszcze może powiedzieć. Lowicker był zawsze przyjacielem domu Ordenów, ale Borenson mu nie ufał. Uważał, że władca ów wykorzystuje swą słabość militarną jako wymówkę, by nie podejmować żadnych działań, gdy nie jest mu to na rękę. Gaborn widział to inaczej. - Lowicker musi borykać się z Rajem Ahtenem maszerującym przez jego ziemie do Mystarrii - stwierdził ostatecznie Borenson, powtarzając opinię króla. - Nic dziwnego, że dotąd nikogo nie przysłał.

Myrrima rozczesała włosy i przyjrzała się uważnie swojemu odbiciu w lustrze. Wyglądała przepięknie, wręcz kusząco.

Borenson podał jej ramię i poprowadził na dół, do wielkiej sali. Tam ujrzeli Gaborna siedzącego po ciemku przy stole, plecami do ściany. W pomieszczeniu nie paliła się ani jedna lampa czy świeca, brakło miło grzejącego ognia w kominku. Zamknięto też szczelnie i zasłonięto wszystkie okna prócz jednego, które wpuszczało trochę blasku gwiazd.

Po lewicy Gaborna spoczął król Orwynne, Ioma zaś siedziała z tyłu, z dala od stołu. Po prawej ujrzeli wytwornego jak zwykle lorda Ingrisa, dostojnie starzejącego się modnisią, tym razem w trójgraniastym kasztanowatym kapeluszu przyozdobionym ogromnym farbowanym strusim piórem. Jego koszula jaśniała perłowo w mroku, a pierścienie, naszyjniki i spinki połyskiwały w mdłym świetle gwiazd. Nawet siedzący dalej Jureem nie mógł się pochwalić równie pysznym strojem, chociaż ubierał się wciąż zgodnie z miłującą przepych modą Południa. Po raz pierwszy od przybycia na Północ ktoś go przelicytował.

Gaborn wskazał Borensonowi miejsce obok Jureema, Myrrima zaś podeszła do ściany i siadła obok Iomy. Zaraz wzięła królową za rękę. Ioma energicznie ujęła podaną dłoń, jakby

szukała wsparcia. Borenson dojrzał ze swojego miejsca, że jej twarz jest dziwnie ściągnięta. Ioma bardzo się czegoś bała.

Popatrzył z kolei na Gaborna. W poświacie gwiazd dojrzał występujący mu na czoło pot. Zrozumiał, że oboje są przerażeni... To chyba jednak nie będzie zwyczajna narada.

Kilka chwil później weszła do sali Erin Connal. Siadła na drugim końcu stołu, obok kanclerza Roddermana. Grupa Dzienników stanęła rzędem pod ścianą, za plecami swoich władców.

- Przeszukaliśmy obóz w poszukiwaniu marszałka wielkiego - powiedział Rodderman - ale nie ma po nim śladu. Już odjechał.

- Obawiałem się, że tak będzie - westchnął Gaborn.

- Nie zostawiłeś mu wielkiego wyboru - rzucił Borenson, nie próbując nawet skrywać tonu wymówki. Uważał, że Gaborn źle postąpił, odrzucając ofertę marszałka, i chociaż nikt wokoło nie śmiał krytykować Króla Ziemi, Borenson ani myślał kryć się ze swoim zdaniem.

- Czy mamy rozmawiać po ciemku? - spytał trochę zniewieściałym głosem lord Ingris, żeby zmienić temat. Wolałby uniknąć sporu.

- Tak - odparł Gaborn. - Musimy trzymać się z dala od najmniejszego płomienia. Kazałem sługom zalać nawet węgle w palenisku. Nikomu nie wolno powtarzać tego, co tutaj usłyszysz, w świetle dnia czy przy ogniu.

Gaborn zaczerpnął głęboko powietrza.

- Czekaj nas bitwa. Ziemia ostrzegła mnie, że znaleźliśmy się w wielkim niebezpieczeństwie, a dziś wieczór czarnoksiężnik Binnesman użył Kamienia Jasnowidzenia, by pokazać mi naszych wrogów. Crowthen Południowy został dotknięty inwazją wychodzących spod ziemi raubenów.

- Co? - spytał lord Ingris. - Kiedy wyruszamy?

- My nie. W każdym razie nie przeciw raubenom. Żelazny Król nie raczył odpowiedzieć na mój list i nie wiem, czy nawet teraz chętnie widziałby nasze oddziały w swoich granicach. Nie sądzę też, by król Anders zezwolił nam na przemarsz przez jego ziemie. Tak więc pół godziny temu wysłałem diuka Mardona na północ, do Donyeis, by stanął tam ze swoją armią na wypadek, gdyby raubenowie ruszyli się ku nam. Pchnąłem też posłańców z propozycjami pomocy do króla Andersa i Żelaznego Króla. Na razie to tyle.

- Czy to znaczy, że nie uważasz inwazji raubenów za wielkie zagrożenie? - spytał lord Ingris.

- Wręcz przeciwnie - stwierdził Gaborn. - Zniszczyli warownię Haberd w Mysterii. Inna ich grupa opanowuje Kartish. Mogą się też pojawić w innych miejscach.

Obecni spojrzeli po sobie. Jedna fala raubenów na północy mogła być poważnym powodem do niepokoju, ale skoro pojawili się w tym samym czasie również i na południu... To przerażało i nie było raczej dziełem przypadku. Już prędzej zapowiedzią wielkiego najazdu...

Borenson dowiedział się o tym chwilę przed spotkaniem i nie potrafił wyobrazić sobie gorszych wieści. Za jego pamięci raubenowie z rzadka pojawiali się na powierzchni ziemi, ale pradawne opowieści ostrzegały, że kiedyś bywało inaczej. Tak samo jak inni bał się powrotu tych czasów, gdy raubenów liczyło się na dziesiątki tysięcy.

- Groźba jest zatem poważna i na razie nic na to nie poradzimy - ciągnął Gaborn. - Jednak to nie wszystko. W tym samym czasie, gdy raubenowie naruszają nasze granice, Raj Ahten próbuje uderzyć w sam środek kraju. Przez ostatni tydzień Wilk uciekał na południe.

Zmęczenie i ataki wolnych rycerzy bardzo uszczupliły jego siły. Fleeds opuścił z armią czterdziestu tysięcy ludzi, a obecnie zwiadowcy diuka Paldane'a meldują, że nie prowadzi więcej niż cztery tysiące zbrojnych. Tylko połowę z nich stanowią Niezwyciężeni. Ponadto towarzyszą mu jeszcze nieliczni łucznicy, garstka olbrzymów i brytanów oraz magowie.

- Wygląda na to, że jego siły poszły w rozsypkę - powiedział z nadzieją w głosie lord Ingris. - Nie wytrzymają już długo.

- Owszem, jego ludzie są wyczerpani, a zabrane z Fleeds rumaki mają się coraz gorzej - przyznał Gaborn. - Szlak jego przemarszu znaczą ciała padłych olbrzymów, psów i zwykłych żołnierzy, którzy nie mogli już dotrzymać kroku. Niemniej i tak ma szansę nam ujść. Zostawił te cztery tysiące osiemdziesiąt mil na północ od Carris, a sam ruszył dalej, zapewne na spotkanie z siłami z fortecy Tal Dur. Tak przynajmniej sugeruje kanclerz Rodderman po przestudiowaniu map. Możliwe jednak, że kieruje się ku zamkom Crayden albo Fells.

- Do Fells nie - powiedziała Erin Connal. - Przed godziną dostałam wiadomość od jednego ze zwiadowców, że oddziały Ahtena opuściły Fells. Większość skierowała się chyba do Carris. To ponad sto tysięcy ludzi, głównie zwykli żołnierze. Niebawem spotka się z nimi, a wtedy twój „Łowczy” Paldane sam może zostać zwierzyną!

Borenson już wcześniej ostrzegał Gaborna przed podobną możliwością. Nie wyobrażał sobie, aby Raj Ahten skłonny był porzucić tak kuszący cel jak potężne Carris na rzecz górskiej twierdzy w rodzaju Tal Duru.

- Moja matka nakazała klanowi Bayburn odbić Fells - oznajmiła Connal.

Zaskoczony Gaborn aż wciągnął głośno powietrze.

- Dobra robota! - zakrzyknął król Orwynne, a lord Ignis zaklaskał głośno.

Oczami wyobraźni Borenson ujrzął plan przegrupowania wojsk Ahtena. Carris było najpotężniejszą fortecą zachodniej Mystarii, niemniej równie mocarny Longmot padł porażony siłą głosu Ahtena. Borenson mógł tylko mieć nadzieję, że Wilk nie powtórzy swojej sztuczki.

- Jeśli Ahtenowi powiedzie się z Carris, przed końcem zimy stracimy połowę Mystarii - ostrzegł głośno. - Musimy go powstrzymać.

Jureem oparł łokcie na stole, złożył pulchny podbródek na pięściach i spojrzał na Gaborna.

- Borenson ma rację - powiedział z wyraźnym taifańskim akcentem. - Jednak byłbym ostrożny, o wielki. Raj Ahten spróbuje niczym wilk uderzyć w twoje miękkie podbrzusze, a tym właśnie jest Mystaria. Liczy, że uda mu się sprowokować Króla Ziemi do bitwy, że zmusi cię do opuszczenia Mroczej Puszczy. Z całą pewnością zaatakuje Carris.

- Wiem i bardzo mnie to martwi. Jednak tego wieczoru Binnesman ukazał mi jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Tkacze płomieni Ahtena przywołali z podziemi potwora zwanego czarnym glorym.

Lord Ingris nie zdołał powstrzymać okrzyku, reszta przyjęła wiadomość w milczeniu. Borenson nie wiedział, co o tym myśleć. Słyszał oczywiście o glorych, dobrych istotach światła, które przemieszkiwały w podziemnym świecie. Kojarzył też mgliście, że miały one wrogów, władające magią stwory ciemności, ale na tym jego znajomość sprawy się kończyła.

- Obawialiśmy się zabójców... - powiedział Rodderman. - Było oczywiste i nieuniknione, że Raj Ahten spróbuje w końcu osiągnąć Króla Ziemi. Czy ów czarny glory zjawi się tutaj?

- Nie - wtrącił się Jureem. - Myślę, że Wilk wykorzysta go w Mystarii, przeciwko Paldane'owi i Carris.

- Mylisz się - rzekł Gaborn. - Ten czarny glory już tu podąża. Ziemia mnie ostrzegła.

- Więc musi tak być - mruknął Jureem, kiwając głową. - Jeszcze tydzień temu znałem plany Ahtena od podszewki, ale teraz zasady gry się zmieniły.

- Musimy zatem znaleźć sposób, żeby pokonać tę istotę - stwierdził król Orwynne.

Gaborn pokręcił głową.

- Nie. Przede wszystkim muszę umożliwić ludziom ucieczkę.

- Zaraz zawiadomię ich o niebezpieczeństwie - zaproponował Orwynne.

- Jeszcze raz nie - zaprotestował Gaborn. - Jest ciemno. Jeśli choć słowo dotrze do nich po nocy, wybuchnie panika. Za dużo ludzi, koni, wołów i dzieci, które zginą zdeptane w pierwszej kolejności. Na dodatek połowa przybyszów leży w namiotach pijana po Hostenfest. Wiem, trudno czekać beczynn timer, jednak ostrzegę ich dopiero o pierwszym brzasku. Zagrożenie jest poważne, ale wciąż jeszcze odległe.

- Wasza wysokość - wyrwała się nagle Connal - czy masz pewność, że ten czarny glory na pewno ciebie szuka? Może ma uderzyć gdzie indziej, na przykład na Fleeds?

Borenson pomyślał z szacunkiem o rozwadze Erin, która zawsze chyba pamiętała przede wszystkim o swoim kraju.

- Po tym, jak wybrałem mojego ojca - powiedział Gaborn - wyczułem wkoło niego aurę zagrożenia podobną duszącej czarnej chmurze. Zginął w przeciągu paru godzin. Od ostatniego poranka taką samą aurę dostrzegam wokół wszystkich w tej sali, wokół każdego mieszkańca zamku Sylvarresta. Obawialiśmy się, że Raj Ahten przyśle tu zabójcę, a teraz sędzę, że ten zabójca już nadciąga, tyle że jest to ktoś o wiele groźniejszy niż jakiś Niezwyciężony. Tym, których wybrałem w Longmot i po drodze na północ, mało co zagraża, ale my wszyscy musimy się pilnie strzec.

- Skoro wyczuwasz, że coś nam zagraża, to czy nie możesz wyczuć, co grozi Mystarrii czy Lysle? - spytał Ingris. - Może potrafiłbyś powiedzieć, gdzie Raj Ahten uderzy najpierw?

Gaborn pokręcił ze smutkiem głową.

- Póki kogoś nie spotkam, nie mogę go wybrać. Na dodatek dla mnie to ciągle nowość. Poza kilkoma wysłannikami, których pchnąłem do Carris i Tide, nie wybrałem jeszcze nikogo z Mystarrii i Lysle, nie wiem więc, co tam się szykuje. Pozostaje nam poszukać sposobu obrony przed Rajem Ahtenem.

- Winienesz wiedzieć, że inni władcy podjęli już pewne działania przeciwko niemu - powiedział Ingris. - Na pierwszą wieść o inwazji na Mystarrię wzięliśmy się do dzieła. I nie jesteśmy sami.

- Jakże to? - spytał król Orwynne.

- Wy bronicie się orężem, w Lysle zaś temu samemu służy bogactwo. Najęliśmy zbrojnych, by obsadzić granice, złożyliśmy daninę sąsiadom, a potem przekazaliśmy pewnym możnym w Inkarrze, że opłacimy zabicie darczyńców Raja Ahtena skrytych we Wschodnich Prowincjach. Tego na pewno nikt się nie spodziewa.

- Dobra robota! - zakrzyknął król Orwynne. - Mam tysiąc rycerzy z darami, którzy mogą uderzyć od północy!

Ingris uśmiechnął się szeroko.

- Z tego, co słyszałem, wodzowie z Toom i tak mogą was do tego zmusić...

Sir Borenson słuchał tego z rosnącą niechęcią. Sam wymordował darczyńców z zamku Sylvarresta, zakradłszy się do stojącej ledwie dwieście jardów dalej warowni. Powtarzał sobie wprawdzie, że wypełniał tylko rozkazy i że było to konieczne, ale wolałby nie mieć już nigdy nic wspólnego z podobnymi rzeziąmi.

Właśnie miał się odezwać, gdy Gaborn zawołał:

- Nie! Odrzucam ten plan!

- Dlaczego? - spytał Ingris. Wyciągnął z kieszeni jedwabną chusteczkę, wytarł nos i cisnął ją na podłogę.

- Zbyt wysoka cena - wyjaśnił Gaborn. - Zrozumcie, walczę nie tyle z Rajem Ahtenem, ile o przetrwanie ludzkości. Wyrzynając się nawzajem, trwonimy swe siły!

- Strzały już lecą do celu - stwierdził rzeczowo Ingris. - Może się okazać, że nie zdołasz uchronić Ahtena przed jego przeznaczeniem.

Borenson pomyślał, że lord przecenia chyba swoje szansę. Inni już od dawna ślali bezskutecznie zabójców na Południe. Niemniej Gaborn i tak wyglądał na zaniepokojonego.

- Powiedz mi, kiedy postanowiliście wynająć zabójców w Inkarrze? - spytał.

- Jakiś tydzień temu - odparł po namyśle Ingris. - Po południu tego dnia, w którym zginął twój ojciec.

Gaborn popatrzył przenikliwie na lorda.

- Tego właśnie popołudnia czarnoksiężnik Binnesman przeklął Raja Ahtena, wróżąc mu śmierć. Podobnie jak ty, i on obawia się, że nie da się tej klątwy cofnąć. Zdumiewa mnie ta

zbieżność. Ta sama pora, podobna treść... Możliwe, że staliście się narzędziem wykonującym wolę ziemi.

Lord Ingris zachichotał, jakby miał to za niezasłużony komplement.

- Wątpię. Jeśli Raj Ahten umrze, będziemy to zawdzięczać mojemu złotu podarowanemu inkarrańskim cheiwcóm, a nie kłątwie jakiegoś Strażnika Ziemi.

- A skąd wzięło się twoje złoto, jeśli nie z głębi ziemi? - spytała Ioma.

W ciszy, która nagle zapadła, Borenson zastanawiał się, czy paru zabójców może w ogóle zadać aż tak poważne straty, by przyprowadzić Wilka o zgubę. Bardzo w to wątpił. Raj Ahten miał wielu darczyńców, i to rozrzuconych po całym królestwie, a wszyscy byli dobrze strzeżeni.

Nawet poważnie osłabionego Wilka wciąż trudno byłoby zabić.

Najpierw musiałby stracić najważniejsze dary, na przykład sił życiowych. Chociaż wciąż byłby mocarny, silny cios mógłby go powalić. Albo gdyby tak stracił dary metabolizmu... jego reakcje zwolniłyby na tyle, że nawet zwykły wojownik miałby szansę skrócić go o głowę...

Tak, gdyby to dobrze przeprowadzić, starczyłaby garstka zabójców.

Gaborn jednak pokręcił głową.

- Nie mogę z czystym sumieniem życzyć nikomu śmierci, a już z całą pewnością nie chcę się przyczynić do zabójstwa niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy zawinili tylko tym, że zgodzili się zostać darczyńcami Raja Ahtena. Stanę przeciwko niemu, jeśli będę musiał, ale na razie wolałbym go tylko powstrzymać od czynienia dalszych szkód. A najchętniej zrobiłbym z niego swojego sojusznika.

- Do cholery z takim ckliwym gadaniem - sapnął król Orwynne i aż poniósł się nieco z krzesła. - Spodziewałem się, że to powiesz!

- Kwestionujesz mądrość naszego pana? - spytał Jureem. Oblicze Orwynne'a wyraźnie stężało.

- Wybacz mi, wasza wysokość - powiedział, starając się zapanować nad gniewem. - Nie można tak. Nazbyt ryzykujesz, sprzeciwiając się zabiciu Wilka. To więcej niż nierozsądne. To szaleństwo.

- Nie czynię tego z wyrachowania czy dla podstępów - odparł Gaborn. - Po prostu czuję, że tak właśnie należy postąpić.

- Jesteś młody, nie wyrosłeś jeszcze z wierności szlacheckim zasadom, zyskałeś władzę nad mocami ziemi - rzekł Ingris. - Dobrze zatem. Skoro uważasz, że masz szansę przeciągnąć Wilka na naszą stronę, to czy można wiedzieć, jak zamierzasz tego dokonać?

- Z pomocą czterdziestu tysięcy drenów, które przechwyciliśmy w Longmot - stwierdził bez wstępów Gaborn.

Król Orwynne, lord Ingris i Erin Connal zamarli z otwartymi ustami.

- Zużyłem już pięć tysięcy z nich, żeby wzmocnić siły Heredonu i odbudować tutejszą konnicę. Reszta starczyłaby albo na wyposażenie małej armii, albo na stworzenie jednego wojownika równie potężnego jak Raj Ahten. Zaraz po bitwie o Longmot zamyślałem uczynić się dzięki nim godnym przeciwnikiem Wilka, a potem go pokonać. Tak jak wy, też chciałem walczyć. Ale obecnie nie śmiem nawet jego zwać wrogiem, chociaż najechał mój kraj. Zamierzam zaproponować mu rozejm.

Król Orwynne wyglądał na wstrząśniętego.

- Przecież przyniósł wojnę w nasze granice - powiedział nieco głośniejszym głosem. - Nie możemy go tak po prostu zostawić w spokoju.

- Król Orwynne ma rację - stwierdził Jureem. - Mój dawny pan nie zgodzi się na rozejm, chyba że przekażesz mu, wasza wysokość, jakiś dar. Zażyczy sobie twojego rozumu, krzepy albo czegoś innego, bez czego nigdy już nie powstałbyś przeciwko niemu.

- Może i tak, ale ja proponuję mu niemal to samo - rzekł Gaborn. - Wyślę mu następujące posłanie: „Chociaż nienawidzę mego kuzyna, jego wróg jest moim wrogiem”. Zanim wiadomość dotrze do niego, usłyszy już najpewniej o upadku warowni Haberd i o

kłopotach, jakie ma w Kartishu. Przypomnę mu o zagrożeniu ze strony raubenów i poinformuję, że przez moje małżeństwo jesteście teraz kuzynami. Dla przypieczerowania pokoju nie proponuję mu daru, ale dwadzieścia tysięcy drenów. Wie, że bez nich moje siły drastycznie stopnieją. Dam mu jednak te dreny tylko pod warunkiem, że opuści Rofehavan.

Borenson zwilżył wargi językiem. Rzeczowe argumenty nie dotrą zapewne do Ahtena, pomyślał, ale z drugiej strony wątpliwie, aby wzgardził dwudziestoma tysiącami drenów.

- Byli już tacy, którzy składali podobne propozycje, wasza wysokość - ostrzegł Jureem. - Wilk jednak nie jest skłonny kupować tego, co wedle swego przekonania może zabrać siłą. Przypuszczam, że nie posłucha, może nawet zabić posłańca.

- Możliwe - zgodził się Gaborn. - Ale jeśli wiadomość przekaże mu ktoś bliski, ktoś, kogo kocha i kogo wolałby nie tracić? - Gaborn pochylił się i spojrzał przenikliwie na Jureema. - Kilka dni temu powiedziałaś mi, że Raj Ahten ma setki żon i konkubin ukrytych w Pałacu Kobiet w Obranie. Wedle twoich słów, pod karą śmierci nie może tam wejść żaden mężczyzna. Która z nich jest jego ulubioną? Czy wysłucha mojej prośby? Czy przekaże posłanie?

- Nazywa się Saffira, panie - powiedział Jureem, głaszcząc kozia bródkę. - To córka emira Owatta z Tuulistanu. Jest ozdobą haremu.

- Wiele dobrego słyszałem o jej ojcu. Emir to dobry człowiek - przypomniał sobie Gaborn. - Jego córka musiała z pewnością odziedziczyć coś ze szlachetności serca i wytrwałości ojca.

- Kto wie - mruknął Jureem. - Nigdy jej nie widziałem. Gdy żona Wilka raz wejdzie do tego pałacu, nigdy już stamtąd nie wychodzi.

- Raj Ahten jest próżny - powiedziała Ioma. - Sądzę, że tylko z jednego powodu ktoś może izolować swój harem od świata. Iłoma darami urody obsypał swoją ulubioną żonę?

- Mądry domysł, pani - stwierdził Jureem po chwili zastanowienia. - Istnieje zwyczaj, by wzbogacać małżonkę o dar urody po każdym zlegnięciu z nią, tak by przy następnej wizycie ukazała się mężowi jeszcze piękniejsza. Saffira jest jego faworytką już od pięciu lat i musiała zgromadzić ponad trzysta takich darów.

Borensona aż zatkało. Już kobieta z dwunastoma darami urody przyprawia mężczyzn o nagłe zawroty głowy i napady pożądania. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak podziałyby na niego widok kobiety z wdziękiem pomnożonym kilkaset razy. Może to jednak nie taki głupi pomysł? Chociaż...

- Niezbyt mi się chce wierzyć, by nikt nie próbował jej dotąd wykorzystać przeciwko Ahtenowi - powiedział.

- Byłem najbardziej zaufanym sługą mego byłego pana - wyjął Jureem. - Do moich obowiązków należało dostarczanie jego żonom i konkubinom błyskotek, zabawek oraz wszystkiego, czego mogły zapragnąć. Poza dwoma jeszcze czy trzema mężczyznami nikt inny nie miał prawa wiedzieć, co dzieje się w haremie.

Gaborn spojrzał kolejno po zebranych.

- I co powiecie? Proponuję przesłać wiadomość Saffirze i niech ona zanieś ją Ahtenowi.

- Może to i zadziała, wasza wysokość - mruknął wciąż nie przekonany Jureem. - Nie wiem jednak, czy Wilk wysłucha jej słów. Ostatecznie to tylko żona.

Borenson przypomniał sobie, że w wielu rejonach Indhopalu mężczyźni nie godzi się przyjmować rady od kobiety.

- To może się udać - powiedziała z nadzieją Ioma. - Binnesman sugeruje, że Raj Ahten oszalał, wsłuchawszy się w piękne brzmienie swego głosu. Ona mogłaby go przekonać.

- A gdybym tak dodał jej jeszcze tysiąc darów urody i głosu? - spytał Gaborn. - Na znak dobrej woli i po to, aby Raj Ahten nie mógł się jej oprzeć?

- W Obranie nie brak darmistrzów biegłych w przekazywaniu takich darów - podsunął Jureem.

- No tak, a my mamy niezbędne do tego dreny - wtrącił Rodderman. - Jednak potrawa parę dni, nim znajdziemy kobiety skłonne oddać takie dary.

- Ja oddam urodę - powiedziała Myrrima i zerknęła zaraz niespokojnie na męża. Nie wiedziała, jak zareaguje, w końcu poniekąd wykorzystwała swe dary, by go zachęcić do małżeństwa, a teraz chce je oddać... Jednak Borenson był tym bardziej skłonny podziwiać ją za tę propozycję.

- W Obranie jest wiele kobiet - rzekł Jureem. - Chociażby inne konkubiny Raja Ahtena. Wszystkie mają dary urody albo głosu. Niektóre ucierpiały bardzo skutkiem nieustannych wojen. Tęsknią za pokojem i przypuszczam, że przynajmniej niektóre z nich skłonne byłyby posłużyć za pośredniczki...

- Ryzykujecie ponad miarę - powiedział król Orwynne. - Nie znamy tej kobiety, nie wiemy, jak podziela na nią podobny przyływ darów. A co będzie, jeśli i ona zwróci się przeciwko wam?

- Musimy spróbować - stwierdził Gaborn. - Raj Ahten nie jest największym z naszych wrogów. Potrzebuję jego siły. Chcę, żeby zwrócił się przeciwko raubenom.

Małe szanse, pomyślał Borenson. Ja raczej bym na to nie liczył.

- Może to i zrobi - powiedziała Erin Connal. - Musimy jednak poruszać się ostrożnie jak łania. Mówisz, że wyczuwasz wkoło nas aurę zagrożenia. Nawet jeśli pchniesz wysłanników jeszcze dzisiaj, to i tak potrwa kilka dni, nim dojadą do Indhopalu...

- Nie, jeśli wezmą dobre konie - sprzeciwił się Jureem. - Forteca Obran leży w północnych prowincjach, na południe od Deyazzu, ledwie siedemset mil stąd.

- Nigdy nie słyszałem o Obranie - wtrącił się Borenson. - Ale jeśli leży tak blisko, to na królewskim rumaku i przy odrobinie szczęścia mogę tam być jutro po południu. Pojechałbym przez Fleeds i dalej Kruczą Przełęczą. Jeśli Saffira się zgodzi, Raj Ahten dostałby wiadomość przed następnym wieczorem.

Powiedział to bez głębszego zastanowienia. Cała sprawa wyglądała na z góry skazaną na porażkę i sam nie wiedział, czemu właściwie chce jechać. Może dlatego, że to było zadanie w sam raz dla niego. W przeszłości odbył wiele niebezpiecznych misji. Ponadto mógłby przy tej okazji rozpoznać organizację obrony Indhopalu, sprawdzić rozlokowanie wojsk nad granicą i ruszyć później dalej na południe, do Inkarry, by zrobić to, do czego zobowiązała go Ioma. Coś w głębi ducha podszeptywało mu, że tak naprawdę pragnie przede wszystkim odkupienia.

Lord Ingris i król Orwynne dość beztrwako wspominali o zabiciu darczyńców, ale mieściło się to w tradycji rozgrywek pomiędzy Władcami Runów. Uciekano się do tego od wieków, gdyż przynosiło ogromne korzyści.

Jednak Borenson miał już tego dość. Plan Gaborna, chociaż oparty na zbyt wielu niewiadomych, dawał cię szansy na rozejm pomiędzy Indhopalem a Rofehawanem. Rozejm, który zakończyłby szaleństwo wzajemnego mordowania.

Ponadto był to jedyny plan, jaki udało się do tej pory ułożyć.

Borenson miał na rękach krew ponad dwóch tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Może gdyby sprawił się w tej misji, znów byłyby czyste.

- Wolałbym nie pokładać całej nadziei w czymś równie niepewnym jak rzut kośćmi - powiedział Orwynne. - Musisz pomyśleć też o własnej obronie. Saffira może nie być chętna do współpracy, może nie będzie mogła nam pomóc. Nie zwołałbyś przecież tej rady, gdybyś nie zamierzał ruszyć na pomoc Mystarrii. Może nawet przyjdzie ci osobiście stawić czoło Ahtenowi. Winienesz być do tego gotów, a przynajmniej kogoś wyznaczyć. Mam akurat walecznego krewniaka, prawdziwy lew w ludzkiej skórze, nazywa się sir Langley. Jest tutaj, w obozie.

- Dobrze byłoby posłać kogoś takiego - włączyła się Connal. - Nie powinieneś pozwolić, by Herdon czy Orwynne walczyły samotnie. Raj Ahten może bać się diuka Paldane'a, ale jeśli ty nadjedziesz z północy, ciebie będzie bał się bardziej. Poza tym każdy wojownik tych krajów stanie u twego boku. Nasze klany też się ruszą.

Gaborn zadumał się nad propozycjami sprzymierzeńców.

Oto przesiąknięty ideałami chłopak, który próbuje zrealizować swój cel bez podejmowania walki z Rajem Ahtenem, pomyślał Borenson. Obawiał się jednak, że Gabornowi nic z tego nie wyjdzie. Czy ktoś tego chciał, czy nie, wojna z Wilkiem zbliżała się szybkimi krokami.

- Co zrobisz, panie? - spytał swego przyjaciela. Gaborn ocknął się w końcu z zamyślenia i pokiwał głową.

- Los świata zależy od naszej decyzji. Nie chciałbym podejmować jej w pośpiechu, a w ostatnim tygodniu nie miałem wiele czasu, by się zastanowić. Niemniej mój lud nie zdoła się ukryć przed Rajem Ahtenem, a ja nie zdołam go odpędzić. Jeśli będę musiał z nim walczyć, być może wygramy, ale ja w to nie wierzę. Pozostaje mi nadzieja, nawet tak nikła, że zdołam przekonać Wilka. - Gaborn spojrzał na Borensona. - Weź mego konia i ruszaj, nim upłynie godzina.

Borenson uderzył pięścią w stół i wstał chętny do podróży, ale został jeszcze chwilę, jakby z uprzejmości wobec zebranych.

- Spotkam się z sir Langleyem - powiedział Gaborn do króla Orwynne'a. - Doceniam jego szlachetne serce. Dam ci dwa tysiące drenów, byś wyposażył go tak, jak zapragnie.

- Szczodryś - odparł Orwynne, zdumiony wyraźnie, że Król Ziemi przychylił się do jego sugestii. Nawet dziesięć lat wcześniej, gdy krwawy metal był łatwo dostępny, przez okrągły rok nie zbierałoby się w całym Orwynne aż tylu drenów.

Gaborn zwrócił się do Connal.

- Masz rację. Jeśli pomaszeruję na czele naszych armii, Raj Ahten nie będzie mógł mnie zignorować. Pojadę na południe, a Fleeds też dostanie dwa tysiące drenów.

Connal chrząknęła zaskoczona. Jej biedny kraj nie zgromadziłby tylu drenów nawet przez pięć lat, i to nawet w lepszych czasach.

Narada dobiegła końca. Zebrani odsunęli krzesła i zaczęli wstawać. Gaborn sięgnął do kieszeni kamizelki, wyciągnął klucze od królewskiego skarbcza i rzucił je Borensonowi.

- Panie, czy mogę zasugerować, abyś kazał mu wziąć siedemset drenów służących do przekazywania urody i trzysta drenów od głosu? - spytał Jureem.

- Słyszałeś - powiedział Gaborn do Borensona.

Rycerz wyszedł z sali i skierował się do skarbcza w Warowni Darczyńców. Myrrima poszła za nim, a ledwo wyszli, po kilku krokach zrównała się z mężem.

- Poczekaj! - zawołała, łapiąc go za rękę.

Obrócił się i spojrzał na jej oświetloną blaskiem gwiazd twarz. Noc była trochę chłodna, ale bez przesady. Myrrima nawet w mroku nocy wyglądała wspaniale. Chociaż z jej oczu wycierał niepokój, krągłość bioder i lśniące włosy kusily nieodparcie.

- Nie wrócisz prędko, prawda? Borenson pokręcił głową.

- Nie. Carris leży dziewięćset mil na południe. Do granicy Inkarry jest stamtąd już tylko trzysta mil. Ruszam od razu.

Myrrima przyjrzała mu się uważnie.

- Nie zamierzasz się pożegnać?

Borenson pojął, że żona nie ułatwi mu wyjazdu. Chętnie by ją objął, pocałował, został z nią. Jednak powinność wzywała go gdzie indziej, a obowiązki zawsze były dlań najważniejsze.

- Nie ma czasu - powiedział.

- Miałeś cały tydzień. Dlaczego pozostałeś tak długo w Heredonie, jeśli nie po to, aby się pożegnać?

Oczywiście miała rację. Po to właśnie został. Chciał się z nią pożegnać. Z nią, z Rofehavanem, może z całym dotychczasowym życiem. Jednak nie czuł się na siłach, aby o tym mówić. Z czułością ucałował żonę w usta.

- Do widzenia - wyszeptał i chciał się odwrócić, ale znów złapała go za rękę.

- Naprawdę mnie kochasz? - spytała.

- Najlepiej jak potrafię.

- To dlaczego nie chcesz ze mną zlegnąć? Chciałeś mnie. Widziałam to w twoich oczach. Borenson wolałby nie poruszać tego tematu, ale zmusił się do szczerzej odpowiedzi:

- Bo to groziłoby poczęciem dziecka...

- A ty nie chcesz, bym urodziła twoje dziecko?

- Sprowadzenie dziecka na świat wiąże się z odpowiedzialnością.

- Uważasz, że nie jestem gotowa jej przyjąć?! - spytała Myrrima podniesionym głosem.

- Mogę zginąć, a nie chcę, żeby mój syn nosił miano bękarta! - krzyknął wściekły już

Borenson. - Nie chcę, by zwano go synem królobójcy albo i gorzej! - Twarz podbiegła mu krwią, Borenson aż trząsał się ze złości, jednak mimo to zdolny był w tym samym czasie spojrzeć na siebie jakby z zewnątrz i zastanowić się nad przeszłością i teraźniejszością. Dziwne, jak stare rany mogą boleć, pomyślał. Oto stał się i królobójcą, i pogromcą raubena, gwardzistą króla, jednym z największych rycerzy Rofehavanu, a jednak w głębi duszy wciąż był dzieckiem biegającym po alejach miasta na wyspie Thwynn. Tym samym, którego inni chłopcy obrzucali wyzwiskami, kamieniami i błotem.

Zawsze uważał, że musi udowodniać, ile jest wart. Dzięki temu właśnie został, kim został. Obecnie nie musiał obawiać się praktycznie nikogo. Ciągłe jednak czuł, że to żyjące w nim dziecko boi się zranienia. Bał się szyderstw z dzieciństwa i nie umiał sobie z tym poradzić.

- Kochaj mnie! - zażądała Myrrima i spróbowała przyciągnąć go jak najbliżej.

- Więcej odpowiedzialności! - powiedział z naciskiem Borenson, unosząc znacząco palec.

- Kochaj mnie! - jęknęła błagalnie jego żona. Strząsnął jej dłoń z rękawa.

- Nie rozumiesz? - powiedział. - Tak trzeba. A jeśli zginę... Odziedziczysz po mnie nazwisko i majątek...

- Słyszałam, że podobno jesteś chutliwy - rzuciła Myrrima. - Nigdy nie miałeś kobiety?

Borenson spróbował opanować złość. Nie potrafił wyrazić słowami obrzydzenia, które budziły w nim obecnie erotyczne przygody z przeszłości.

- Jeśli tak, to przez pomyłkę, bo nigdy nie myślałem, że spotkam kogoś takiego jak ty.

- To nie poczucie odpowiedzialności każe ci trzymać się z dala od mego łóża - stwierdziła oskarżycielsko Myrrima. - Chcesz się ukarać i myślisz, że ci się udaje, ale postępując tak, karzesz także mnie, a ja nijak na to nie zasłużyłam!

Była tak pewna swego, że Borenson nie wiedział, co odpowiedzieć. Wierzył jednak, że działa również w jej najlepiej pojętym interesie.

Ścisnął jej dłoń i odszedł.

Myrrima patrzyła za nim i narastało w niej przekonanie, że została oszukana.

Podzwanianie zbroi Borensona odbijało się echem wśród murów. W końcu zniknął w cieniu pod bramą Wieży Darczyńców. Myrrima stała jeszcze chwilę, przyglądając się oświetlonemu blaskiem gwiazd brukowi uliczki.

Wiedziała, że Borenson jest przekonany o słuszności swoich argumentów. Kochać kogoś znaczy brać na siebie odpowiedzialność za tę osobę. Po chwili jednak się zreflektowała.

Borenson nie dopuścił, by ta odpowiedzialność była obopólna.

Gdy po dłuższej chwili wyszedł z warowni ze skórzanym worem pełnym drenów, skreślił ku stajni, jakby chciał ominąć Myrrimę.

- Chciałabym cię zapytać, dlaczego tak wiele mówisz o swojej odpowiedzialności wobec mnie, a nie zauważasz, że to tylko połowa sprawy?! - krzyknęła.

Borenson zatrzymał się i spojrzał na nią przelotnie.

- Nie jedziesz ze mną - stwierdził.

- Myślisz, że jestem mniej zdolna do miłości niż ty?

- Jesteś mniej zdolna przetrwać.

- Ale...

- A nawet gdyby było inaczej, nie ma w Heredonie konia, który dotrzymałby kroku temu wierzchowcowi, którego dosiądę dziś w nocy. - Spojrzał w stronę stajni.

Myrrima pomyślała, że teraz mąż już sobie pójdzie, ale ku jej zdumieniu podszedł, objął olbrzymią dłonią jej kark i pocałował ją namiętnie. A potem stał długo, przyciskając czoło do czoła żony, i patrzył jej w oczy. Spod jego powiek wyzierała tylko czern, nawet blask gwiazd nie miał tam przystępu.

Jednak wyczuwała w nim wolę walki, wolę przeżycia i powrotu. To właśnie, a nie co innego, przekazywały jej te wielkie dłonie.

- Gdy wrócę - powiedział spokojnie - będę kochać cię, jak tylko zapragniesz. Tak, jak jesteś tego warta.

Potem odwrócił się i odszedł pospiesznie. Miał tyle darów metabolizmu, że nie mogła się z nim równać w marszu, stała więc jeszcze przez kilka chwil, wciąż czując jego zapach, smakując ślad dotknięcia jego ust. Pomyślała, żeby może pójść przez murawę do stajni, ale nim się namyśliła i zrobiła kilka kroków, Borenson osiodłał rumaka Gaborna i wypadł galopem z Warowni Króla. Już z daleka krzyczał na strażników, by otworzyli mu bramę.

Myrrimie zrobiło się zimno i objęła się ramionami. Patrzyła za Borensonem, aż zniknął, a potem wyszukała sobie latarnię i poszła do psiarni, gdzie Kaylin trzymał jej szczeniaki. Przez cały dzień zajrzała do nich tylko dwa razy, ale ledwo wyczuły jej woń, zaraz zaczęły piskliwie poszczekiwać, machając ogonami, i wkrótce z tuzin psiaków domagał się głośno jej uwagi.

Kaylin spał w głębi psiarni. Leżał na słomianym posłaniu w towarzystwie jakichś dwudziestu szczeniaków zastępujących mu ciepły koc.

Myrrima nakryła go swoim płaszczem i podeszła do klatki z jej szczeniakami. Otworzyła ją i podała zwierzakom kilka okrawków, które podebrała ze stołu. Przemawiała przy tym kojąco, aż uspokoiły się dość, by mogła wziąć je na ręce.

- Tak, malutkie - szepnęła. - Dziś będziecie spać ze mną. Uniosła po dwa szczeniaki na każdej ręce. Podeszła do drzwi i po dłuższych, niezgrabnych manipulacjach zdołała je otworzyć.

Po drugiej stronie stała Ioma Sylvarresta w towarzystwie służącego i Dziennik. Ledwie było ich widać w mdłym świetle gwiazd.

Myrrima pomyślała, że Ioma chciała ją przyłapać na kradzieży szczeniaków.

- Ale... Wasza wysokość! Nie spodziewałam się...

Ioma spojrzała na psiaki, potem na warownię, jakby sama była równie zdumiona swoją obecnością w tym miejscu. Miała dziwnie ściągniętą twarz.

- Ten chłopiec, Kaylin, śpi w środku? - spytała. Szczeniaki wybiegły i otoczyły królową. Szarpiąc za obrąbek sukni, domagały się od niej pieczyoty.

- Tak, jest tu - odparła Myrrima.

Ioma nie zamierzała tłumaczyć się ze swego postanowienia. Jeszcze jako księżniczka przysięgła, że nigdy już nie przyjmie cudzego daru, nie narazi ludzkiego życia na szwank.

- Też będę kilka potrzebowała - powiedziała. - Nie da się inaczej, jeśli mam być pomocna.

Późną nocą, gdy już został sam, Gaborn wszedł do starego gabinetu Sylvarresty na czwartej kondygnacji Warowni Króla. Okna wychodziły tu na wzgórze ciągnące się ku południowemu zachodowi, podłoga została świeżo wysłana suszoną tawułą. Idąc po deskach, rozgniatał butami kruche, złociste płatki, które wypełniały komnatę miłym zapachem.

Borenson wyjechał prawie trzy godziny wcześniej, Ioma udała się do sypialni godzinę temu, chociaż Gaborn nie przypuszczał, by chciała już spać. Koniec końców byli świeżo po ślubie. Pewnie leży tam tylko, myślał, i martwi się, tak jak on.

Chociaż może i nie. Może jednak zdołała usnąć. Gdy Borenson zabił niedawno tutejszych darczyńców, Ioma straciła wszystkie swoje dary sił życiowych. Teraz potrzebowała snu nie mniej niż zwykły człowiek. Gaborn jednak miał wciąż wszystko, w co go wyposażono, a na dodatek w cięższych chwilach sen go dziwnie nie kusił. Wołał czuwać, czasem jedynie pozwalał sobie na płytką drzemkę.

Lepiej, żeby Ioma na niego nie czekała. Tej nocy chciał samotności.

Przez otwarte okno napływało chłodne, świeże powietrze. Z Ogrodu Królowej dobiegał rechot dwóch żab siedzących w odbijającym gwiazdy stawie. Przypominająca szczura freta zbliżyła się do wody, wypła kilka łyków i rozejrzała się wkoło. Żaby zaraz umilkły.

Obozowisko za murami było pogrążone w mroku. Gaborn wciąż czuł niebezpieczeństwo zagrażające ludziom śpiącym w namiotach. Całkiem jakby to była pętla zaciskająca się z wolna na jego własnej szyi. Z południa nieubłaganie nadlatywał czarny glory.

Pół miliona śpiących i nieświadomych niczego ludzi, a wszyscy szukają u mnie obrony, pomyślał. I jeszcze ich konie i bydło...

- Niech ziemia was chroni, niech was uzdrowi, niech uczyni was swymi - wyszeptał słowa pradawnego błogosławieństwa.

Lękał się tego, co musiał zrobić. O świcie zostawi swój lud i ruszy na południe, na wojnę. Mógł tylko łudzić się nadzieją, że ci ludzie umkną jakoś przed gniewem potwora.

Tyle żywotów zależało od niego, a on chciał ocalić je wszystkie. Chciał zrobić wszystko, co w jego mocy. Jednak chociaż był Królem Ziemi, wciąż nie wiedział dokładnie, na co naprawdę go stać. Ciągłe jeszcze rósł w siłę i na razie czuł się jak chłopak, który dopiero uczy się szermierki i macha mieczem jak cepem.

Jeśli uda mi się przetrwać te mroczne czasy, będę musiał żyć z pamięcią o tych, których zawiodłem. Niech dla spokoju mego sumienia będzie ich jak najmniej.

Przez dłuższą chwilę myślał nad słowami, które wyczytał w książeczce spisanej przez Owatta, emira Tuulistanu. Nie te utajnione, ale prościutki wiersz o wyborze drogi życia. Nie doczytał go do końca, w głowie utkwiły mu tylko cztery wersy.

Może czas kochanków nie będzie trwał wiecznie
ale i tak kocham.

Może serce mnie zdradzi, może przegram bitwę
ale nie ustąpię.

Tak jak emir, Gaborn uważał, że nie należy się uchylać od walki. Wszechświat był potężnym wrogiem, a śmierć zabierała z czasem każdego bez wyjątku, ale póki życia, póty można wybierać, jakim człowiekiem chce się być. Gaborn szczęśliwie dotąd tak kierował swoimi krokami, że wciąż mógł ze sobą wytrzymać.

Pomyślał o emirze Tuulistanu, który przesłał królowi Sylvarreście tę intrygującą książeczkę. Bez wątplenia był ozdobą rodzaju ludzkiego. Oby jego córka nie zawiodła pokładanych w niej nadziei...

Na wzgórzu na skraju Mrocznej Puszczy zamigotał bladoszary ognik. Duch. Siedział pod drzewami na widmowym koniu i patrzył z siodła na zamek i zgromadzoną pod nim ludzką rzeszę. Czuwa nad moim ludem, pomyślał Gaborn. Tak jak nakazałem. Niczym pasterz strzegący stad po nocy.

Z tak daleka Gaborn nie widział, czyj to duch. Może jego ojca, może samego Erdena Geborena. Ojca... Gabornowi bardzo brakowało teraz jego rad.

Zastanowił się, czy duchy mogłyby odeprzeć czarnego glory'ego. Uznał, że chyba nie. Widma potrafiły zabić śmiertelnika, ale znikwały w blasku dnia. Zwykle ognisko mogło je odegnać, o blasku słońca nie mówiąc. Glory przybył z podziemnej krainy ognia i bez wątplenia panował nad tym żywiołem.

W głębi komnaty rozległ się słaby kaszel Dziennika.

Gaborn obrócił się i spojrział na stojącego w półmroku mężczyznę. Ciekawe, co on może wiedzieć?

- Powiedz mi - odezwał się od niechcienia Gaborn - co sądzisz o naszych planach. Dobrze czy źle dziś zdecydowałem?

- Tego nie mogę powiedzieć - odparł Dziennik tonem tak nijakim, że zupełnie nic nie dawało się z niego wyczytać.

- Gdybym tonął w głębokiej wodzie, stopę od brzegu, czy podałbyś mi rękę? - spytał Gaborn, chociaż i tak znał odpowiedź.

- Odnutowałbym precyzyjnie chwilę, w której zniknąłbyś pod wodą - stwierdził Dziennik i uśmiechnął się. On też wiedział, że Gaborn wie.

- A gdyby rodzaj ludzki tonął razem ze mną?

- To byłby smutny dzień dla ksiąg - powiedział poważnie Dziennik.

- Gdzie jest Raj Ahten? Co zamierza?

- Wszystko w swoim czasie, wasza wysokość. Dowiesz się tego szybciej, niż myślisz.

Czyżby Wilk ruszył z powrotem na północ? zastanowił się Gaborn. Przybywa razem z glorym? A może przedsięwziął coś jeszcze groźniejszego?

- Wasza wysokość, czy raz to ja mogę zadać pytanie? - odezwał się Dziennik.

- Oczywiście.

- Czy zastanawiałeś się nad losem Bractwa Dni? Czy rozważałeś kiedyś taką ewentualność, by wybrać mnie albo kogokolwiek z moich?

Korzystając ze sposobności, Gaborn wejrzał głęboko w oczy Dziennika. Szukał skrytych nadziei i marzeń.

Docierał już wcześniej na dno serca innych ludzi. Widział czystość intencji swego ojca, widział ledwo zarysowane, proste potrzeby dziecka Molly Drinkham. Wszyscy, nawet niemowlę, żywili jakieś pragnienia, do czegoś dążyli. Z Dziennikiem było całkiem inaczej.

W nim nie dojrzał tego co zwykle. Napotkał dwoje ludzi: mężczyznę, który stał przed nim, i kobietę o jasnych jak zboże włosach i szmaragdowych oczach. W dłoni ścisnęła pióro, przed nią leżał arkusz pergaminu.

Nigdy by się nie domyślił, że osoba spisująca gdzieś daleko dzieje jego życia może być kobietą. Ale była, na dodatek widział wyraźnie, że tych dwoje darzy się miłością, a wspólnota umysłu jest dla nich źródłem niewysłowionej radości i zbliża ich bardziej, niż Gaborn potrafiłby kiedykolwiek pojąć.

Wejrzał jeszcze głębiej i odkrył, że dzielą coś jeszcze: umiłowanie do starych opowieści i pieśni. Czerpali dziecięcą radość ze śledzenia rozwoju wydarzeń. Byli w tym jak ogrodnik chłonący widok pierwszych wiosennych krokusów tuż przed kwitnieniem, jak rolnik patrzący na wschodzące zielenią pole. Dla nich studiowanie historii było czystą, nieustającą przyjemnością.

Żadne nie pragnęło niczego więcej. Nie marzyli o lepszym świecie, nie dążyli do umniejszenia sumy cierpienia. Przyglądanie się starczało za wszystko, obca była im myśl, żeby włączyć się w nurt życia.

Gaborn nie wyobrażał sobie, że tak można. Serca historyków zupełnie go zaskoczyły.

Zastanowił się nad tym, co powiedział kiedyś Iomie: że pragnie w związku z nią pełnej jedności, we władzy i w życiu, że pragnie się z nią zrosnąć. Jednak dopóki byli dwoma odrębnymi istotami, szansę na to były raczej niewielkie. Bractwo Dni wszelako potrafiło tak jednoczyć ludzi, że stawali się jednym umysłem i jednym sercem. To mógł być dobry przykład.

Gaborn zawsze im zazdrościł. Chętnie zaraz porozmawiałby o tym z Iomą, ale było już za późno. Zdarzyło się jej przekazać dar urody pośredniczce Ahtena, a to można zrobić tylko raz w życiu. To, że pośredniczka zginęła i dar powrócił do Iomy, nic w tej materii nie zmieniało.

Nigdy nie zjednoczą się w pełni.

- Zastanowię się nad tym - powiedział Gaborn, odpowiadając na pytanie Dziennika.

- Dziękuję, wasza wysokość.

Gaborn znów wystawił twarz na podmuchy nocnego wiatru, zasłuchał się w kumkanie żab. Siedział potem przez długie godziny, odpoczywając, a właściwie śpiąc z otwartymi oczami i wędrując po krainie snów.

Widział siebie jako młodzieńca, który jedzie na ogierze wąską górską ścieżką biegnącą skrajem ciemnej przepaści. Kiedyś był tam już z ojcem, znał to miejsce.

Kilka dni wcześniej spytał Dziennika, dlaczego członkowie Bractwa Dni zwani byli niegdyś Strażnikami Snów. Usłyszał, że w duszy każdego człowieka jest takie miejsce, gdzie skupiają się wszystkie jego lęki. Dziennik zapowiedział, że i Gaborn rychło tam dotrze, musi tylko dobrze poszukać.

We śnie był sam, a drogę zagradzały mu pajęczyny mocne jak stal. W szczelinach pod skałami jarzyły się ślepia większych niż kraby pajaków. Gaborn spojrzął w zasnutą pajęczynami przepaść i serce załomotało mu w piersi, pot wystąpił na czoło. Wyciągnął miecz i zaczął przecinać nici. Pękały niczym struny lutni. Pogonił konia.

Jedna z pękających pajęczyn uderzyła go w czoło. Krew pociekła Gabornowi z rany u nasady nosa. Czuł jej ciepło na zaciśniętych wargach.

Oto kraina lęków, pomyślał. Oto, gdzie mieszka mój strach. Chciał jak najszybciej się z nim zmierzyć, pochylił się więc nad końskim karkiem i popędził w górę wąską rozpadliną. Bał się, że u jej końca spotka swą śmierć, chociaż najbardziej chciałby ujrzeć ojca, matkę albo cokolwiek, co uwolniłoby go od strachu.

Rozpadlina wiła się, aż przeszła w szeroki wąwóz, w którym pełgała blada poświata.

Przed nim, nieco wyżej, siedział na czarnym koniu jego Dziennik. Na szczycie spiczastej czaszki rosły krótko przycięte, ale i tak potargane Włosy, kronikarz wyglądał prawie jak szkielet obleczony sztuką sukna. Na jego dłoni migotało zielonkawe światło, całkiem jak płomień latarni. Tyle że Dziennik nie miał latarni.

- Czekałem na ciebie - powiedział mężczyzna, unosząc światełko, jakby chciał je przekazać Gabornowi.

- Wiem. Spróbuję cię nie zawieść. Co to jest? - spytał Gaborn, dotykając jego dłoni.

- Oto nadzieja całego świata i wszystkie jego marzenia - odparł Dziennik, uśmiechając się widmowo.

Gaborn zdrzął, widząc, jak lichy to ogienek. Dłoń trzęsła mu się tak bardzo, że płomyk wypadł z dłoni prosto na kamienie...

Mimo porywistego wiatru Bessahan bez trudu wyczuwał dym z rozpalonego trzy mile dalej ogniska posłańca. Dotarł już wysoko, jechał gęstym sosnowym lasem porastającym góry Brace. Chmury, które nadciągnęły tuż po zachodzie słońca, groziły deszczem i nie musiał czekać długo, by na ziemię spadły pierwsze krople. Błysnęła błyskawica, wiatr zakotłosał wielkimi sosnami, na drogę posypały się utracone gałązki. Wierzchowiec zaczął się wzdragać przed dalszą drogą pośród ciemności i zabójca musiał się zatrzymać pod drzewem. Godzinę później burza dawała znać o sobie już tylko rzadkimi rozbłyskami nad północnym horyzontem, ale deszcz padał dalej.

Bessahan zbliżał się cicho do źródła dymu. Szedł z nisko pochyloną głową, aż poczuł, że woń palonego drewna, dotąd intensywniejsza, staje się słabsza. Wbrew temu, co oczekiwał, podróżni okazali się ostrożni i nie obozowali tuż przy drodze. Skręcili w boczną ścieżkę wijącą się w górę zbocza ku jakiejś osłoniętej polance. Nikt nie mógłby dojrzeć ich ogniska ze szlaku.

Zabójca uwiązał konia do drzewa i nałożył cięciwę na łuk. Potem wyciągnął i sprawdził kindżał. Oczyścił go już po zabiciu starej, a teraz poświęcił jeszcze chwilę, by przesunąć parę razy klingą po oselce. Pracował w całkowitej ciemności, tylko na wycucie.

Gdy wszystko było już gotowe, zdjął buty i boso ruszył po zimnym błocie pod górę.

Dla mistrza Bractwa Bezgłośnych taka wspinaczka pomiędzy krzakami nie była żadnym wyzwaniem, chociaż chłód dawał się we znaki, a niewidoczne gałązki raniły stopy. Szedł więc powoli. Szczęśliwie dla niego trochę dalej trafił na zwartą pokrywę mchu i gaj sięgających mu do piersi paproci. Drzewa wkoło musiały liczyć ze trzysta lat i nie zrzucały zbyt wiele gałęzi. Te nieliczne, na które nastąpił, były mokre i przegniłe, nie trzaskały przy złamaniu. Paprocie i padający deszcz tłumili resztę odgłosów.

Raz tylko zdarzył się nieprzewidziany wypadek. Pełznąć po mchach, trafił nadgarstkiem na coś twardego, zapewne odłamek pozostawionej przez wilka kości. Ostra krawędź zraniła go, ale lekko. Nie bolało specjalnie i szybko przestało krwawić.

Po półgodzinie dotarł na szczyt wzgórza, podkradł się do grani i wyjrzał na drugą stronę. Pod wielkim, liczącym w obwodzie co najmniej dwanaście łokci pniem powalonej sosny, która oparła się o zbocze, płonęło niewielkie ognisko z wilgotnych kawałków kory. Obok leżeli na kocach podróżnicy: potężny rycerz, rosły rudowłosy posłaniec i mała dziewczynka.

- Przestań jęczeć - powiedział posłaniec. - Nie zaśniesz, jak będziesz tak się zamartwiał.

- Ale od godziny już jej nie słychać. A jeśli się zgubiła? - spytało dziecko.

- Baba z wozu, koniom lżej - mruknął gruby rycerz.

- To twój ogień ją tak przestraszył - pisała oskarżycielsko dziewczynka. - Bardzo się go boi.

Bessahan zamarł z bijącym sercem. Myślał, że poluje na troje ludzi, ale wychodziło, że jest tu jeszcze ktoś czwarty. Jego pan płacił mu od ucha, zatem dodatkowa osoba oznaczała wyższe wynagrodzenie. Postanowił poczekać. Jeśli ta nieznaną kobietą ich szukała, to pewnie niebawem się pojawi. Nawet ktoś bez wilczego nosa mógł wyczuć ten mokry dym z daleka. Bessahan cofnął się nieco.

Gdy pełzł do tyłu, nagle uderzył nogami o coś twardego. Uniósł głowę, obejrzał się. Ujrzał nagą kobietę o ciemnej skórze. Uśmiechała się bezmyślnie. Oto moje czwarte ucho, pomyślał.

- Witaj - szepnął w nadziei, że powstrzyma ją tym od podniesienia alarmu.

- Witaj - powtórzyła.

Głupia czy co? przemknęło mu przez głowę. Kobieta przykucnęła i zaczęła mu się przyglądać. Ledwo ją widział w odbitym od liści poblasku ogniska, ale poznał, że jest długowłosa i bardzo kształtna.

Od tak dawna był bez kobiety, że nie mógł nie wpaść na pomysł, by zabawić się jeszcze, nim ją zabije. Szybkim ruchem przycisnął dłoń do jej ust i spróbował pociągnąć na ziemię.

Jednak kobieta okazała się o wiele silniejsza, niż mógł oczekiwać. Zamiast przewrócić się na niego, złapała tylko jego przedramię i zaczęła obwachiwać nadgarstek. Na jej twarzy pojawił się ekstatyczny wyraz, jakby ktoś podsunął jej pod nos bukiet wonnych kwiatów.

- Krew - powiedziała tęsknie, badając ranę. Wgryzła się w nadgarstek zabójcy, jednym ruchem szczęk przegryzając ścięgna i żyły. Trysnęła fontanna krwi z zerwanej tętnicy.

Chciał się wyrwać, ale kobieta trzymała mocno. Mimo trzech darów krzepy nic nie wskórał, połamał tylko sobie wszystkie kości przedramienia. Ujrzawszy przelotnie dłoń kobiety, pojął, że to, co brał za długie paznokcie, było w istocie pazurami lub szponami. Nie miał do czynienia z istotą ludzką!

Kobieta szeroko otworzyła usta i z zachwytem wpatrywała się w tryskającą krew.

Bessahan machnął potężnie kindżałem, żeby poderznąć jej gardło, ale stal odbiła się, nie zostawiając prawie śladu na skórze.

Krew oblewała mu twarz i dłonie. Kobieta uklękła przy nim, jakby chciała ją zlizać.

Przesunęła mu szorstkim językiem po twarzy. Wciąż wrywał się w milczeniu. Po chwili nadgryzła mu podbródek. Niezdarnie, jak mały kociak, który dopiero uczy się rozprawiać z myszą. Wyteżył wszystkie siły i szarpał się tak, póki nie sięgnęła zębami do gardła. Wtedy zaniechał oporu, chociaż jego nogi kopały ziemię jeszcze długo po tym, gdy przestał cokolwiek czuć.

Zielona kobieta zjawiała się w obozowisku tuż przed świtem. Roland ocknął się nagle, czując że ktoś kładzie się obok niego.

Leżeli przytuleni jak łyżeczki w pudelku. Przed sobą miał Averan, kobieta zaś próbowała przycisnąć się do jego pleców. Trzęsła się z zimna, ale też po ognisku zostały tylko dymiące lekko popioły, a prócz deszczu zaczął padać również śnieg.

Roland spał pod kocem, na który narzucił płaszcz z niedźwiedziego futra. Na wpół obudzony otulił nim zieloną kobietę, a potem zachęcił szeptem i gestem, by wsunęła się pod koc pomiędzy niego a dziewczynkę. Posłuchała, chociaż dopiero po chwili, jakby nie za bardzo wiedziała, o co mu chodzi. W końcu jednak znalazła się na miejscu. Roland objął ją ręką i nogą, by jak najszybciej ogrzać nieboraczkę. W końcu przestała drzeć jak w febrze i zaczęła chłonąć ciepło.

W blasku przedświt Roland przyjrzał się jej rysom. Była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widział, a dziwny odcień skóry i warg wcale jej nie szpecił.

Leżąc, spoglądała wciąż z przerażeniem na resztki ogniska.

- Nie bój się - szepnął Roland. - Nic ci nie zrobi. Złapała jego ranną dłoń i obwachała bandaż.

- Krew nie! - powiedziała łagodnie.

- Zgadza się. Krew nie. Bystra jesteś. I posłuszna. Te dwie cechy najwyżej cenię w kobietach. Chociaż po prawdzie trudno powiedzieć, kim jesteś.

- Bystra jesteś - powtórzyła. - I posłuszna. Te dwie cechy najwyżej cenię w kobietach. Chociaż po prawdzie trudno powiedzieć, kim jesteś.

Roland powąchał jej włosy. Dziwnie pachniały... jakby mchem i słodką bazylią. Wyczuł też metaliczną woń krwi. Kobieta była, równie wysoka co on, ale bardziej muskularna.

- Kciuk, kciuk - powiedział, ujmując jej dłoń i pokazując ów palec.

Powtórzyła słowo i w kwadrans nauczył ją, jak nazywają się inne części ciała, po czym przeszedł do drzew, jesiennych liści i nieba.

W końcu zmęczony się i przytulony mocno do zielonej, zapadł w stan na pograniczu snu i jawy. Zastanawiał się, skąd ta istota mogła przybyć i czy czuje się samotna. Podobnie jak Roland i Averan, nie miała tu nikogo. Wszyscy troje byli całkiem obcy na tym świecie.

Powinienem się tym zająć, pomyślał. Mógłbym poprosić Paldane'a, by został opiekunem Averan. Świat jest pełen sierot, ale ona ma mój kolor włosów, ludzie łatwo uwierzą, że jestem jej ojcem. Obiecał sobie, że jutro porozmawia o tym z dziewczynką.

Może dlatego, że trzymał zieloną w objęciach, może dlatego, że brakowało mu kobiecego towarzystwa, a może i przez wciąż żywą pamięć żony, która odrzuciła go dwadzieścia lat temu, pomyślał o dziewczynie imieniem Sera Crier i poczuciu obowiązku, które skłoniło go do podróży na północ zaraz po tym, jak przebudził się siedem dni wcześniej...

- Wiele lat temu oddałem mój dar mężowi zwanemu Drayden - powiedział wtedy do Sery, wciągając zbyt duże spodnie. - Był sierżantem gwardii. Znasz go?

- Lorda Draydena? Król kilka lat temu pozwolił mu wycofać się z życia publicznego. Osiadł w swoim majątku. Jest już dość stary, chyba nie tylko ty oddałeś mu metabolizm. Ale co roku jeździ do Heredonu na polowanie.

Roland pokiwał głową. Lord Drayden spadł najpewniej z siodła. Albo i natknął się na starego i wyjątkowo przebiegłego odyńca. Dziki z Mroczonej Puszczy dorastały do rozmiarów konia i zabiły już wielu myśliwych.

Jeszcze nie przemyślał sobie tego, gdy w kamiennych salach i korytarzach Warowni Darczyńców podniósł się wielki krzyk.

- Król nie żyje! Mendellas Draken Orden poległ! - dobiegło z jednej strony. - Sir Beaufort zginął! - krzyknął ktoś inny. - Marris nie żyje! - odezwała się jakaś kobieta.

Roland zdumiał się: coś mogło sprawić, że tylu szlachetnie urodzonych odeszło w jednej chwili? To musiało być coś więcej niż prosty zbieg okoliczności czy nieszczęśliwy wypadek.

- Lord Drayden też zginął! - krzyknął, skończywszy wzuwać bury. W głębi Błękitnej Wieży co rusz nowy głos obwieszczał o czyjejś śmierci. Imion zmarłych było zbyt wiele, by wszystkie pamiętać.

Dziki w żadnym razie nie dałyby rady zabić aż tylu ludzi naraz, pomyślał. Musiało dojść do jakiejś bitwy... Chociaż nie, to nie bitwa. Liczba poległych bardziej zdawała się sugerować nieopanowaną rzeź.

Roland wypadł na wąski korytarz i odkrył, że jego izdebka mieściła się u szczytu schodów. Z pokoju obok wykuśtykała jakaś kobieta; masowała sobie dłonie. Widać dopiero co odzyskała zwinność. Na drugim końcu korytarza jakiś mężczyzna kręcił głową i oszołomiony rozglądał się wkoło. Kiedyś oddał wzrok...

Sera Crier wybiegła za nim. W całej Błękitnej Wieży rozbrzmiewały pełne żalu krzyki, ludzie zbiegali po schodach ku wielkiej sali. Błękitna Wieża była pradawną budowlą. Legenda powiadała, że nie wzniesli jej ludzie, myśl bowiem, że to oni ciosali i układali głazy tak wielkie jak te tkwiące u fundamentów, była absurdalna. Wielu sądziło, że musiała to zrobić jakaś wymarła i zapomniana ze szczętem rasa olbrzymów.

Wieża wyrastała na trzydzieści pięter i kryła dziesiątki tysięcy pomieszczeń. Obszerna niczym całe miasto, co najmniej od trzech tysiącleci służyła za schronienie darczyńcom Mysterrii.

Roland okrążył stojącą mu na drodze grupę ludzi, przepchnął się obok blokującej przejście grubej kobiety. Sera biegła tuż za nim. Ujął ją za rękę i torując drogę przez zatłoczone korytarze, doprowadził ją w końcu na galerię nad wielką salą, w której zebrały się już tysiące darczyńców i ich sług.

W olbrzymim pomieszczeniu panował nieopisany zgiełk. Ci i owi domagali się wyjaśnień, inni oplakiwali głośno zmarłego króla. Jakaś stara kobieta rozpaczała, jakby ktoś właśnie dziecko wydarł jej z ramion i roztrzaskał o kamienie.

- To stara Laras. Jest kucharką. Jej chłopcy odeszli w orszaku króla. Pewnie też nie żyją! - wyjaśniła Sera, potwierdzając domysły Rolanda.

W tłumie na dole wybucha nagle bijatyka, gdy jeden krzepki mężczyzna zaczął okładać pięściami drugiego. Po chwili dołączyli następni. Wrzask urósł jeszcze potężniejszy, mury odbijały go gromkim echem. Kopuła nad wielką salą wznosiła się na ponad siedemdziesiąt stóp, a galerie otaczały salę pierścieniami na pięciu poziomach. Ze wszystkich wejść i klatek schodowych wylewały się wciąż strumienie byłych darczyńców. Ci na galeriach opierali się ostrożnie o dębowe poręcze i spoglądali w dół. Łącznie musiało ich już tu być ponad trzy tysiące, co całkowicie zbiło Rolanda z pantafelów. Tylu naraz ożyło? Iluż zatem dzielnych rycerzy musiało zginąć, i to niemal równocześnie?

Siedmiu mężczyzn w różnym wieku zajęło miejsca wkoło olbrzymiego dębowego stołu. Ktoś uderzył kilka razy w blat wielkim mosiężnym kandelabrem.

- Cisza! Cisza! - krzyknął. - Posłuchajmy, co mają do opowiedzenia mądrzy króla! Oni wiedzą najwięcej!

Tych siedmiu to byli właśnie mądrzy króla, jak zwano ludzi przekazujących władcy swój rozum i pamięć. Gromadzili przez to w swoich głowach jego wspomnienia i chociaż król umarł, fragmenty jego myśli przetrwały. W przyszłości niektórzy z wskrzeszonych mądrych mieli szansę zostać nieocenionymi doradcami nowego króla.

Po chwili wyprowadzono szlochającą kobietę, inni łkający ucichli z wolna. Sera Crier przycisnęła się do pleców Rolanda, niemal wspierała mu się na ramiona, by lepiej widzieć. Tłum wstrzymał oddech w oczekiwaniu na relację z bitwy.

Mądrzy zaczęli mówić. Najpierw odezwał się najstarszy, siwobrody starzec imieniem Jerimas. Roland ledwie go poznał, choć przecież widywał tego człowieka, gdy sam był dzieckiem.

- Król bez wątpienia poległ w bitwie. Widział swego zabójcę. Był to mąż o ciemnym obliczu odziany w zbroję południowej roboty. Na tarczy miał czerwonego trzygłowego wilka.

- To Raj Ahten - powiedziało jednocześnie dwóch innych mądrych. - Nasz pan walczył z Rajem Ahtenem, Wilczym Władcą.

- Ale nie zginął z jego ręki - dodał czwarty mądry. - Spadł z wieży. Pamiętam jego upadek.

- Był częścią węzowego pierścienia - powiedział Jerimas. - Pamiętam pieczenie w miejscu, gdzie dren zetknął się z ciałem.

- Oddał metabolizm - odezwał się chrapliwie kolejny, który miał chyba kłopoty z gardłem.

- Wszyscy oddali metabolizm. Widziałem dwudziestu mężów w jednej komnacie. Wszyscy krzyczeli z bólu spowici mackami blasku bijącymi z drenów.

- Tak, utworzyli pierścień. Węzowy pierścień, który miał im pomóc pokonać Raja Ahtena - zgodził się jeszcze inny mądry.

- A potem chciał uratować syna - powiedział Jerimas. - Tak, teraz pamiętam. Książę Orden wyruszył po posiłki... Wiódł właśnie swą armię na Longmot. Król Orden był ranny i nie mógł już walczyć, poświęcił więc życie, by przerwać pierścień i uratować tym syna.

Większość pozostałych mądrych pokiwała głowami. Kiedyś, w dzieciństwie, Roland chadzał z przyjaciółmi zwiedzać stare ruiny pewnego dworu. Na podłodze jednej z sal znaleźli ułożoną wieki wcześniej mozaikę. Zaciekawilo ich, co właściwie przedstawiała, i pewnego ranka siedli, by poukładać na nowo luźne i pokruszone fragmenty. W końcu ujrzeli scenę walki toczoną w głębinach oceanu: wodny czarnoksiężnik w towarzystwie delfinów zmagający się z lewiatanem. Teraz mądrzy króla próbowali tak samo odtworzyć z urywków pamięci spójny obraz zdarzeń.

- W Longmot został ukryty olbrzymi skarb - odezwał się kolejny i aż pokręcił głową ze zdumienia. - Wszyscy królowie Północy będą o nim marzyć.

- Cicho! - syknęło paru jego towarzyszy. - Nie wspominaj o tym publicznie!

- Orden walczył o wolny Heredon! - krzyknął siedzący obok na tego, który wspomniał o skarbie. - Nie chciał bogactw! Walczył o kraj i ludzi, których ukochał!

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Mądrzy próbowali zebrać myśli. Żaden z nich nie wiedział wszystkiego - ot, obraz tu, słowo tam, urwana myśl. Strzępy. Nawet bardzo się starając, nie mieli szansy złożyć tego w kompletną całość. Wiele istotnych fragmentów przepadło na zawsze wraz z królem.

Roland zastanowił się, co w takim razie najbardziej godzi mu się czynić. Król zginął. Jego własny syn służył u boku nowego króla Heredonu.

- A co z księciem Ordenem?! - spytał głośno. - Czy ktokolwiek z was był darczyńcą księcia?! - Roland został darczyńcą tydzień przed ślubem Ordena i nigdy nie widział następcy tronu. O jego istnieniu dowiedział się od Sery Crier.

Czekał w napięciu, ale nikt mu nie odpowiedział. Żaden z darczyńców księcia nie został wskrzeszony.

Roland odwrócił się i odsunął Serę. Zaczął przepychać się przez tłum, by opuścić warownię, poszukać łodzi i jak najszybciej odpłynąć z Błękitnej Wieży. Mądrzy mogli tak snuć smutną opowieść całymi godzinami, jednak niejeden wskrzeszony wpadnie rychło na ten sam pomysł co on. Będą chcieli wrócić na kontynent, by ujrzeć bliskich. Roland zamierzał ich uprzedzić.

Sera złapała go za rękaw.

- Gdzie idziesz? - spytała. - Wrócisz?

Obejrzał się na tłum, na nią. Krew odpłynęła dziewczynie ze stężałej nagle twarzy. Wiedział, że choćby nawet starał się być najbardziej delikatny, odpowiedź i tak sprawi jej ból.

- Nie wiem gdzie - stwierdził więc wprost. - Najpierw... muszę się stąd wydostać. I już tu nie wrócę.

- Ale...

Dotknął palcem jej warg.

- Dobrze służyłaś mi przez wiele lat - powiedział. Roland wiedział, że opiekunowie darczyńców zwykle darzą ich szczerym uczuciem. Sera dbała o niego naprawdę długo, pokochała go śpiącego i pewnie marzyła o tym, co może się stać, gdy jej podopieczny się obudzi.

Do służby w warowniach darczyńców brano zwykle małe dzieci, które pracowały w zamian za wikt i schronienie. Jeśli Sera miałaby tu zostać, czekało ją najpewniej małżeństwo z jakimś młodym człowiekiem robiącym to samo co ona. Założą rodzinę i będą tak żyć w cieniu Błękitnej Wieży. Nigdy nie zejdzie na zielone i zalane słońcem pola, już zawsze będzie dudnił jej w uszach niezmienny szum przyboju zmieszany z krzykami mew. Sera Crier wyraźnie miała nadzieję na coś więcej, ale Roland nie mógł jej na razie niczego zaoferować.

- Dziękuję ci za tę służbę - dodał, obejmując dziewczynę. - I tę dla mnie, i tę dla króla. Ale ja nie jestem już darczyńcą i nic tu po mnie.

- Ja... mogłabym wyruszyć z tobą - zaproponowała. - Tylu ludzi się obudziło... nikt nie zauważy, że mnie brakuje.

Jestem dobrym sługą, pomyślał Roland. Oddaję, co mam, swemu panu. Ty winnaś czynić tak samo.

Zerknął ku najbliższym drzwiom. W przejściu tłoczyło się już mrowie ludzi. Będzie musiał się przepychać... W odróżnieniu od wielu spośród nich, on nie miał do kogo wracać. Jego król zginął, matka i stryj Jemin mieli swoje lata już wtedy, gdy kładł się spać dwadzieścia lat temu. Najpewniej nie żyli i nigdy ich już nie zobaczy. Tak, obudził się, ale do czego? Jedno mógł tylko zrobić: odszukać syna.

- Sero - szepnął - dbaj o siebie. Możliwe, że pewnego dnia znów się spotkamy. - Odwrócił się i wyszedł pospiesznie. Do małej przystani pod wieżą dotarł pierwszy...

Uśmiechnął się z nosem wtulonym we włosy zielonej kobiety i zadumał, czy ujrzy jeszcze kiedyś Serę Crier.

- Dzieńdoberek wszystkim! - odezwał się baron, budząc towarzystwo.

Roland uniósł głowę. Słońce wyjrzało już znad wzgórza, a baron patrzył na niego z uśmiechem na gębie. W dłoniach ścisnął czerstwy chleb. Właśnie wydarł z niego kawałek i wziął się radośnie do przeżuwania pieczywa.

Averan też się obudziła, tyle że w ramionach zielonej kobiety. Obróciła się i spojrzała na nią.

- Co ona jadła? - spytała.

Roland uniósł się nieco. Wcześniej nie dojrzał krwawych śladów na podbródku kobiety.

- Musiała coś złapać - zasugerował.

- Szczęśliwie nie dobrała się do naszych koni - odetchnęła Averan.

Wierzchowce stały spokojnie w niszy pod powalonym pniem.

- Złapała, ale nie coś, lecz kogoś - mruknął baron, nie kryjąc zadowolenia. - Sami zobaczcie, co z niego zostało.

- Dopadła jakiegoś podróżnego?! - zakrzyknęła przerażona dziewczynka.

Poll nie odpowiedział, tylko odwrócił się i poprowadził ich w dół zbocza. Roland zerwał się na równe nogi i pobiegł za nim. Zielona nie została w tyle, wyraźnie ciekawa, skąd to poruszenie.

- Jak go znalazłeś? - spytała Averan.

- Szukałem ustronnego miejsca, by ulżyć pęcherzowi - odparł otwarcie baron. - Prawie na to wlażłem.

Dotarli do małego zagłębienia. To, co Roland w nim ujrział, miało już na zawsze pozostać mu w pamięci.

Averan nie krzyknęła z przerażenia, jak zrobiłaby większość dzieci. Podeszła blisko i zaczęła oglądać znalezisko z zachłanną fascynacją.

- Powiedziałbym, że skradał się do nas - orzekł baron. - Wpadła na niego od tyłu.

Widzicie? Miał strzałę z haczykowatym grotem i długi nóż. Proszę... złamany.

Roland był rzeźnikiem i znał się na nożach. Kiedyś kupił na targu taki sam, jaki teraz pokazał mu Poll.

- To nie jest zwykły nóż, ale kindżał - poprawił go. Zabity nosił pod spodem czarny bawełniany burnus. Na szyi wciąż miał zerwany rzemień ze złotymi pierścieniami używanymi przez kupców jako środek płatniczy. - Zabójca? Od Raja Ahtena?

- Miał sakiewkę pełną ludzkich uszu, a nie wygląda mi na cyrulika - potwierdził baron.

Roland pochylił się, zsunął pierścienie i schował je do kieszeni. Spojrzał na barona, a ten wyszczerzył zęby.

- Widzę, że się uczysz. Ścierwojadom nie trzeba złota.

- Krew - powiedziała zielona kobieta. - Krew nie.

- Krew tak! - zakrzyknęła na to radośnie Averan i pokazała na zwłoki. - Dobra krew!

Mniam... Krew tak!

Zielona kobieta patrzyła na nią i chyba coś zaczęło świtać jej w głowie. Podeszła do trupa, powąchała go.

- Krew tak - powtórzyła, jednak nie ruszyła szczątków.

- Nie lubi zakrzepłej zupki - mruknął Roland.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - spytał Poll. - Chcesz ją uczyć zabijania ludzi?

- Wcale nie - odparła Averan. - Nie chcę tylko, aby czuła się winna przez to, co zrobiła.

Nie chciała źle, a poza tym nas uratowała.

- Co prawda, to prawda - przyznał baron. - Na razie zaspokoili swoje krwawe żądze i na trochę jej starczy. A jak znów zgłodnieje, to złapie sobie kogoś na drodze...

- Nie złapie! Jest bardzo mądra. Na pewno rozumie więcej, niż wam się zdaje - stwierdziła Averan i pogłaskała zieloną po głowie tak samo, jak głaszcze się psy.

- Prawdziwa panna mądralińska - prychnął Poll. - Rozumiem, że jak król podniesie podatki, to ona mi je obliczy?

Averan spojrzała na barona ze złością.

- Baronie Beczułka, a nie przyszło panu do głowy, że ona może się nam przydać? A jeśli zabiła tego człowieka, bo wiedziała, że on nam zagraża? Da pan głowę, że nie spotkamy takich więcej? Ona może nas obronić. Ma chyba dobry węch, a oni wszyscy pachną imbirem i curry. Będzie umiała ich wyczuć. A co pan o tym myśli, szlachetny panie Rolandzie?

Roland tylko wzruszył ramionami.

- Curry nawet lubię - stwierdził baron. - Byle bez przesady, bo potem wątpia się nicują. A co do niej, to wcale nie jest mądra. Wrony tak samo potrafią powtarzać różne słowa.

Roland był skłonny uznać, że Averan przecenia możliwości zielonej, ale sam widział, jak łatwo poszła jej poranna nauka. Jeszcze parę dni, a zrozumie, na kogo należy polować.

Niemniej i tak nie za bardzo wiedział, co zrobić z tą dziwną istotą. Na razie była pod opieką Averan, ale co dalej? Zabić się nie dała, zostawiona w tyle dogoniła ich bez trudu i biegła za końmi, pokrzykując co pewien czas, że chce krwi. Cokolwiek by nie powiedzieć, kłopotliwa osoba. Można było tylko mieć nadzieję, że król albo jego doradcy coś wymyślą.

Świt zastał Borensona z dala od Heredonu. Większość nocy spędził, gnając na południe ku Fleeds, a potem do Kruczej Przełęczy.

Teraz galopował na kasztance Gaborna przez rudawe pogórze ponad Deyazzem. W lewej ręce ścisnął proporzec posła z wizerunkiem zielonej flagi rozejmu ponad dzikiem Sylvarrestów.

Jureem opisał mu dokładnie drogę, niemniej Borenson nie był pewien, dokąd właściwie zmierza. Nazwa Obran była zbitką dwóch słów z mowy Indhopalu: obir - „starzec się”, i ran - „miasto króla”. Najlepszym jej tłumaczeniem było „Miasto pradawnego króla”, co pasowało do stolicy prowincji, jednak Borenson nigdy nie słyszał o niczym podobnym, a wskazówki Jureema miały doprowadzić go tylko do granicy Wielkiej Słonej Pustyni, ojczyzny muttayskich nomadów. Skąd pałac na pustyni?

Jureem stwierdził, że dalej nie da rady jechać bez przewodnika, i to bezwarunkowo dobrze urodzonego, by znał drogę do pałacu.

Poranne powietrze mile orzeźwiało, para unosiła się z ust Borensona, blachy jego zbroi podzwaniały przy każdym uderzeniu kopyta wierzchowca. Koń odpoczywał z rzadka, biegł już na tyle długo, że jego płuca pracowały jak miechy. Droga była wąska i zdradliwa, chociaż nie z powodu błota, jak bywało zwykle w Mystarrii, Nie dość, że w wielu miejscach leżały na niej kamienie, to jeszcze kręciło się mnóstwo jasnobrunatnych wiewiórek ziemnych, którego z jakiegoś powodu w ogóle nie uznawały grzmiącego huku kopyt za zapowiedź niebezpieczeństwa.

Mimo to Borenson tak rozpędzał chwilami rumaka, jakby gnał po równym nizinym trakcie.

Poniżej rozpościerała się sawanna oznaczona ciemnozielonymi kropkami drzew oliwnych. Trawa była koloru piasku, a gdzieniegdzie przebijała spod niej czerwona, gliniasta gleba. Tuż poniżej linii horyzontu widać srebrystą nitkę rzeki, nad którą ciągnęły się osiedla namiotów i budynków z suszonej cegły, rozrastały się liczne gaje pomarańczowe i kępy drzew migdałowych. Borenson od dawna nie widział najmniejszej nawet wioski, ale w Deyazie ludzie zamieszkiwali tylko nad brzegami wielkich rzek.

Góry pokonał w nocy, przy czym poszło mu to zdumiewająco łatwo. Często napotykał małe karawany kupieckie kierujące się na północ. Pora była o wiele za późna na świąteczne jarmarki, zatem musieli to być uciekinierzy z Indhopalu jadący ujrzyć Króla Ziemi.

Raz przyszło mu okrążyć wielką armię biwakującą na przełęczy. Chociaż niósł wyraźnie widoczny na drzewcu proporzec posła, i tak trzykrotnie przyszło mu umykać przed zabójcami. Szczęśliwie jechał na królewskim rumaku, który dostał w tym tygodniu dwa dodatkowe dary metabolizmu i dwa wzroku, tak że biegł szybko i nawet przy blasku gwiazd pewnie wybierał drogę. Bez trudu zostawiał w tyle każdego prześladowcę i tylko raz zdarzyło się, że grot strzały zadzwonił o zbroję Borensona.

Ucieczka przed gnębiącymi go wątpliwościami nie była taka łatwa.

Wyrzucał sobie, że zbyt nieczule pożegnał się z Myrrima. Mogła mieć rację, mówiąc, że pragnie ukarać się za dokonane morderstwa. I że ją tym samym również karze.

Podróż do Inkarry i misja w Obranie też napawały go obawami, najbardziej lękał się jednak o Gaborna, który naiwnie łudził się nadzieją pokoju i liczył na to, że uda mu się przekupić Raja Ahtena. Król Orwynne miał rację: o wiele lepiej byłoby wykorzystać te dreny na potrzeby nieuchronnej wojny.

Borenson wyobrażał sobie zawsze, że gdy się pojawi Król Ziemi, będzie to ktoś o monarszej postawie i wiekowej mądrości. Potężny jak góra, o mięśniach twardych i wytrzymałych niczym korzenie wielkich drzew, a do tego jeszcze powszechnie szanowany i obdarzony nieugiętą wolą.

Gaborn nijak nie przypominał tego wyśnionego wizerunku. Nie był ani mędrce nad mędrkami, ani niedościgłym wodzem. Ot, niedoświadczony chłopak, który ukochał swój lud.

Wszelako miał jedną zaletę, którą Borenson rzadko dotąd zauważał. Wspomnił słowa ojca Gaborna rzucone podczas dysputy o możliwej wojnie z pewnym diukiem z Beldinooku, który uporczywie sprawiał kłopoty. Król powiedział wówczas: „Z Trevorem sobie poradzę, ale jego żona i sierzant Arrants niezmiernie mnie przerażają”.

Borenson roześmiał się, słysząc, że król może się bać kobiety i zwykłego sierżanta, ale władca przywołał go do porządku: „Jego żona jest błyskotliwym taktykiem, a sierzant Arrants to zapewne najlepszy artylerzysta, jakiego zdarzyło mi się spotkać. Ze zwykłego wozu drabiniastego zbuduje maszynę miotającą, która zburzy mur zamku, albo z czterystu jardów wpakuje człowiekowi żelazną kulę pomiędzy oczy”.

Potem udzielił Borensonowi nauki: „Pamiętaj, władca nigdy nie działa sam. Jest sumą swych podanych. Gdy walczysz z kimś takim, nie oceniaj go, póki się nie dowiesz, ile jest wart każdy z jego podkomendnych”.

Jakich ludzi miał za sobą Gaborn? Mystarria obfitowała w tysięczne zastępy szlachty, nad które wyrastało niemało wybitnych mężów w rodzaju przenikliwego Paldane'a, prawująca Gaborna. Niektórzy byli żeglarzami, inni budowniczymi, urzędnikami królewskimi, wielu uprawiało rolę, inni jeszcze hodowali konie albo parali się szlachetnym rzemiosłem, jak płatnerstwo. No tak, o sile narodu nie decydują przecież wyłącznie wojownicy, pomyślał Borenson.

Gdyby mierzyć potęgę Gaborna możliwościami jego ludu, ziemia nie mogła uczynić lepszego wyboru. Naród Mystarrii był największy i najbogatszy w całym Rofehavanie. Może zresztą to właśnie zaważyło o decyzji ziemi...

Jeśli tak, ziemia musiała brać pod uwagę i to, że może liczyć na Borensona, którego powinnością było chronić Króla Ziemi... Ten wniosek niemile zaskoczył rycerza: oznaczał, że Borenson jest być może ściślej związany z całą sprawą, niż dotąd sądził. Winien dać z siebie wszystko, chroniąc swego pana. Kto wie, czy nawet nie przed nim samym...

Tutaj faktycznie potrzeba było męża gotowego stawić czoło wychodzącym z głębokich jaskiń raubenom, kogoś znającego słabości Gaborna i nie patrzącego nań z góry tylko dlatego, że władca jest jeszcze młodzikiem, a nie pełnym charyzmy, posagowym Królem Ziemi.

Takie to myśli chodziły Borensonowi po głowie, gdy wjeżdżał wąskimi, górskimi ścieżkami do Deyazzu. Za jednym z kolejnych zakrętów ujrzał podrywające się z drogi stado wron. Chwilę potem zza następnego wychyła chorągiew jazdy w sile około stu ludzi.

Po prawej wyrastało zbocze zbyt strome, by na nie wjechać, z lewej miał prawie pionowe urwisko. Koń sam miał dość rozumu, aby stanąć, zanim jeszcze Borenson ściągnął wodze.

Niemniej wierzchowiec został przyuczony, by reagować agresywnie na barwy oddziałów Raja Ahtena. Uniósł przednią nogę, tupnął znacząco i zarżał bojowo, widząc takie mnóstwo złocistych płaszczy z karmazynowym znakiem przedstawiającym trzy wilcze łby.

Oddziałem dowodził Niezwycięzony, wielki mężczyzna z haczykowatym nosem i żywymi czarnymi oczami w krostowatej twarzy. Uniósł długą maczugę, jaką posługiwała się jazda, a kilku jego podwładnych z pierwszych szeregów sięgnęło czym prędzej po łuki.

Nagle również za Borensonem rozległ się tętent kopyt. Obejrzał się. Z tyłu nadciągał kolejny oddział jeźdźców. Musieli chyba zjechać skądś z góry, chociaż nie widział wcześniej żadnych ich zwiadowców.

Wpadł w pułapkę.

- Dokąd to, rudowłoso?! - zakrzyknął Niezwycięzony.

- Niosę wiadomość od Króla Ziemi. Przybywam pod znakiem posła.

- Ale wiesz chyba, że Raja Ahtena nie ma w Indhopalu - stwierdził rosty mąż. - Przebywa w Mystarrii. Mniej by cię kosztowała podróż do własnego kraju.

Borenson z powagą skinął głową i przymrużył oczy, co było tu wyrazem szacunku dla rozmówcy.

- Ta wiadomość nie jest przeznaczona dla Raja Ahtena - powiedział. - Jadę do Pałacu Kobiet w Obranie, do pani Saffiry, córki emira Tuulistanu.

Niezwycięzony przechylił głowę. Na to wyraźnie nie był przygotowany. Od tyłu podjechał do niego starzec w kosztownym burnusie z szarego jedwabiu, pochylił się i wyszeptał dowódcy do ucha:

- Sabbis Etolo! Yerissa oan.

Znaczyło to: „Zabij go! On szuka zakazanego owocu”.

Borenson skupił spojrzenie na starcu. Bez dwóch zdań nie był ani żołnierzem, ani kupcem czy przypadkowym podróżnym. Wyglądał na jednego z doradców Wilka, któregoś z kaifów, czyli „starszych”. Co najważniejsze, wydawał się wrogo nastawiony do Borensona.

- Zakazaniem jest oglądać cudze żony i konkubiny - powiedział Borenson. - Nie słyszałem, by ktokolwiek zabraniał przekazywać im wiadomości.

Stary spojrział spode łba, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie będzie się sprzeczał z kimś znacznie podlegszego stanu.

- To prawda - odezwał się Niezwycięzony. - Chociaż zdumiewa mnie, że słyszałeś w ogóle o pałacu w Obranie. Wśród naszej setki tylko wielki kaif i ja wiemy o jego istnieniu.

- Zatem mogę doręczyć wiadomość?

- A po co posłowi broń i zbroja? - rzucił Niezwycięzony.

- Górskie ścieżki nie należą do bezpiecznych. Wasi zabójcy nie honorują barw rozejmu.

- Jesteś pewny, że to byli nasi zabójcy? - spytał tamten, jakby urażony słowami Borensona.

- Te góry pełne są rozbójników i gorszego jeszcze tałatajstwa - dodał, chociaż musiał wiedzieć doskonale, ilu ludzi rozesał po przełęczach. Spojrzął znacząco na topór i tarczę Borensona.

Wojownik rzucił ją na ziemię. Zaraz potem cisnął obok broń, a następnie hełm i zbroję.

- Zadowolony? - spytał dowódcę.

- Posłaniec nie potrzebuje także darów. Ściągnij koszulę, bym widział, z kim mam do czynienia.

Borenson posłuchał, ukazując trzydzieści dwie białe blizny po rozpalonych drenach. Siły życiowe, krzepa, zwinność, metabolizm, rozum. Wszystko, co trzeba.

Niezwycięzony chrząknął.

- Mówisz, że jesteś posłańcem króla, ale nosisz tarczę z pustym polem, jak wolni rycerze, którzy nieraz już przybywali zabijać darczyńców mojego pana. Ale czy wolny rycerz byłby na tyle głupi, by podróżować tak jawnie? Z drugiej strony mało który wolny rycerz ma aż tyle darów.

- Nazywam się Borenson. Kiedyś służyłem w Gwardii Królewskiej. Teraz noszę tarczę bez znaku i sam jestem sobie panem. Zgodziłem się posłować, by zanieść propozycję zawarcia pokoju - wyrzucił z siebie i czekał, oddychając ciężko, co będzie dalej. Bez broni i pancerza nie miał szans nawet z tym jednym Niezwycięzonym, o innych nie wspominając. Znalazł się na ich łasce.

- To zabójca - mruknął któryś z podwładnych i zmierzył Borensona nienawistnym spojrzeniem. - W przepaść z nim. Niech nauczy się latać.

- Ciekawe rzeczy opowiadasz - odezwał się jednak wielki kaif. - Trudne do udowodnienia i równie trudne do obalenia. Wiesz o Pałacu Kobiet, chociaż nikt z twego kraju nie mógł nigdy o nim słyszeć. Nie przypominam sobie Saffiry, ale pamiętam, że emir miał wiele córek. - Sugerował jednoznacznie, że gdyby to była znaczniejsza żona Raja Ahtena, to bez wątpienia musiałby o niej wiedzieć.

- W twoim kraju nie wolno wypowiadać głośno jej imienia - wyjaśnił Borenson. - Ja usłyszałem je od kogoś, kto służył kiedyś radą samemu Wielkiemu. Od Jureema, który zasiada teraz u boku Króla Ziemi i jemu doradza. - Wielki kaif musiał znać Jureema, który doszedł u Wilka do wielkich zaszczytów.

- Jak brzmi ta wiadomość? - spytał kaif. - Powiedz mi, a może przekażę ją adresatce.

Mieszkańcy Deyazzu potrafili kontaktować się w mgnieniu oka, przy czym nie wiązało się z tym żadne ryzyko ani fatyga tak dla wysyłającego wiadomość, jak i dla jej odbiorcy. Jednak Borenson wiedział, że jedno przynajmniej musi załatwić osobiście.

- Poza wiadomością niosę też podarunek dla Saffiry - powiedział.

- Pokaż mi go - nakazał kaif. Monarchowie nierzadko dołączali do prośby o przysługę jakiś prezent: ozdobę ze złota albo pachnidła, ale Borenson wiozł coś o wiele cenniejszego i nie wiedział, czy podobna fortuna nie skusi tych żołnierzy, którzy wyraźnie już teraz byli poruszeni niezwykłością spotkania.

Sięgnął do juków i wziął tyle drenów, ile mieściło mu się w dłoni, może z siedemdziesiąt.

- To dar piękna. Siedemset drenów urody, trzysta drenów głosu. Żołnierze zagadali z podnieceniem. Dreny były warte o wiele więcej niż ich waga w złocie.

- Cisza! - krzyknął na podwładnych Niezwyciężony i spojrzał przenikliwie na Borensona. - Chcę wiedzieć, co to za wiadomość.

- Mam jej powiedzieć: „Chociaż nienawidzę mego kuzyna, jego wróg jest moim wrogiem”. Potem mam poprosić ją, by przekazała te słowa Rajowi Ahtenowi i zaznaczyła, że wypowiedział je Król Ziemi.

- Zabij go - szepnął wielki kaif.

Niektórzy żołnierze domagali się tego samego. Ich wierzchowce przestępowały z nogi na nogę. Wyczuwały narastające wokół napięcie.

Borenson przygotował się na przyjęcie śmiertelnego ciosu. Nie miał wątpliwości, że jeśli wielki kaif nakazał jego egzekucję, to tak też się stanie. Jednak Niezwyciężony tylko przechylił głowę i znów zamyślił się na chwilę. Zignorował rozkaz. Wciąż miał się za dowódcę.

- I sądzisz, że Światło Indhopalu wysłucha waszej prośby? - spytał w końcu.

- Nie wiem, ale jest nadzieja, że tak - odparł Borenson. - Po niedawnym ożenku Król Ziemi jest obecnie kuzynem Raja Ahtena. Słyszeliśmy też o raubenach atakujących Kartish i południową Mystarrię. Król Ziemi pragnąłby zażegnać ten konflikt, by wspólnie stawić czoło większemu niebezpieczeństwu.

- To naprawdę brzmi jak przesłanie Króla Ziemi - stwierdził Niezwyciężony i pokiwał głową. - Wezwanie o pokój. Mój dziad mawiał zawsze, że jeśli nowy Król Ziemi nam nastanie, będzie „wielkim wojownikiem i jeszcze większym orędownikiem pokoju”.

Spojrzał na wielkiego kaifa, który nie krył złości, że kapitan nie zabił jeszcze posłańca.

- Przekażesz tę wiadomość adresatce - powiedział Niezwyciężony. - Jednak pod jednym warunkiem: przebywając w granicach naszego kraju, będziesz nosił okowy. Musisz też przysiąc, że nie złamiesz naszych praw. Nie będzie ci wolno wejść do pałacu ani spojrzeć na żonę Światła Indhopalu. Przez cały ten czas będę ci towarzyszyć. Zgadzasz się?

Borenson skinął głową.

Chwilę później jeden z żołnierzy przyniósł wspomniane okowy: wielkie żelaza z łańcuchami wykonane specjalnie do zakuwania męzów z darami krzepy. Zatrzasnął je na nadgarstkach Borensona, który od tej chwili nie mógł unieść rąk. Ku jego zdumieniu, żołnierz nie wręczył kapitanowi żadnego klucza. Wziął tylko wodze wierzchowca Borensona i prowadził go za sobą.

- Nie masz klucza od tych łańcuchów? - spytał poseł. Niezwyciężony pokręcił głową.

- Nie potrzebuję go. Kowal ci je usunie. O ile okaże się to właściwe, oczywiście.

Borensonowi wcale się to nie spodobało. Znów ogarnął go lęk. Raj Ahten rzadko kogokolwiek zabijał. Miast pozbawiać życia, odbierał dary.

Ktoś w rodzaju Borensona byłby nie lada zdobyczą.

Niezwyciężony uśmiechnął się chłodno, gdy ujrzał, że Borenson pojął, w jakim znalazł się położeniu.

Całkiem bez walki trafił w niewolę.

15

ZAMIESZANIE

Ioma spała niespokojnie, a rano obudził ją dźwięczący w głowie głos: „Wstawajcie, wszyscy wybrani, którzy przebywacie w mieście Sylvarresta. Nadchodzi czarny glory. Nie

zostało już wiele czasu i musicie się przygotować do ucieczki w Mroczną Puszcę. Wstawajcie”.

Skutki były zaskakujące. Ioma nigdy jeszcze nie czuła się podobnie zdominowana przez cudzą wolę. Głos huczał jej w głowie niczym dzwon i cała aż drżała z pragnienia, by posłuchać polecenia. Prawie nad sobą nie panowała. Serce biło jak szalone, każdy oddech wymagał sporego wysiłku. Zerwała się z łóżka i narzuciła kołdrę na ramiona. Śpiące wciąż szczeniaki poleciały na wszystkie strony.

Dobrze, wstałam już, pomyślała gorączkowo. I co teraz?

Uciekać! podpowiedział ślepy strach. Czarny glory nadciąga.

I wybiegłaby z zamku otulona jedynie kołdrą, gdyby się w porę nie zreflektowała, że to chyba nie dość skromny strój. Skoczyła ku szafie, z której wyciągnęła koszulę, spódnice, pelerynę podróżną i buty do konnej jazdy. Pięć szczeniaków krążyło teraz wkoło niej, popiskując, merdając ogonkami, podskakując i zastanawiając się pewnie, co to za nowa zabawa się szykuje. Ioma zaś myślała tylko o tym, którądy najszybciej dobiegnie do stajni, w której czeka jej wierzchowiec. Już miała pognać na oślep, gdy coś ją powstrzymało.

Chwilę, pomyślała zdyszana, Binnesman powiedział, że ten czarny glory nie pojawi się przed dzisiejszym wieczorem, a to znaczy, że mam cały dzień. Zresztą Król Ziemi, który ostrzegał nie tylko ją, ale wszystkich wkoło, wyraźnie powiedział, że nie mają uciekać od razu, ale przygotować się do ucieczki.

Ale i to nie będzie łatwe, zreflektowała się Ioma. Trzeba było zwinąć namioty, zgonić zwierzęta, zebrać bagaże, załadować na wozy. Co gorsza, wielu wciąż podążało do Sylvarresty ze wszystkich stron Heredonu i spoza kraju. Dotąd miasto nigdy nie gościło naraz więcej niż siedemset tysięcy ludzi, a obecnie na polach wkoło obozowało ich siedem razy tyle. Jeśli wszyscy oni zerwą się jednocześnie do ucieczki, drogi wiodące do stolicy zupełnie się zatkają.

Gaborn postanowił ostrzec ich teraz, by dać czas na spakowanie i zastanowienie, jak uciekać. Tak zatem, miast wskoczyć na siodło i pognać do puszczy, Ioma opanowała odruch ucieczki i dała sobie chwilę na wygłaskanie i uspokojenie szczeniaków. Za oknem słychać było krzyki niezliczonych głosów, a z pół wkoło miasta dobiegał głuchy, ale coraz głośniejszy poszum tłumu, który wbrew sugestiom Gaborna wpadł chyba w panikę. Zostawiwszy szczeniaki zamknięte w pokoju, Ioma pobiegła na szczyt Warowni Króla.

Tam znalazła Gaborna. Patrzył na pogrążone w chaosie miasto.

Tysiące krzyczących i zawodzących ludzi gnało na łeb, na szyję ku Mrocznej Puszczy. Wielu rzuciło wszystko i umykało w jednej koszuli na grzbiecie. Inni próbowali jak najszybciej zwinąć namioty.

Spłoszone konie wierzgały i wrywały się właścicielom. Jednak nie wszyscy poddali się panice. W obozie było też wielu takich, których Gaborn nie wybrał. Oni nie słyszeli jego głosu w myślach i teraz podążali tłumie do zamku, by dowiedzieć się wprost, o co chodzi, lub może stanąć do obrony fortecy. Niektórzy uznali najwyraźniej, że lepiej będzie uciekać na północ, byle dalej od Mrocznej Puszczy, i kierowali się do miasta Eels leżącego jakieś dwie i pół mili od Sylvarresty.

Na skraju obozowiska widać było z pięciuset gotowych do ruszenia na południe konnych pod wodzą króla Orwynne'a. Wkoło nich zebrało się już około tysiąca wojowników z Heredonu, w tym wszyscy podwładni Gaborna, którzy mogli dosiadać rumaków z darami.

Nie była to wielka siła w porównaniu z armią Raja Ahtena, ale i tak przedstawiała wielką wartość, gdyż jeźdźcy w komplecie dosiadali koni zdolnych przebyć dwieście mil dziennie. Wyglądało na to, że Wojownicy palą się do czynu. Niecierpliwie czekali na Gaborna, ale wielu oglądało się nieustannie na obozowisko.

Niemniej Król Ziemi wciąż stał na wieży zdumiony, wręcz wstrząśnięty skutkami jego ostrzeżenia i szaleństwem, które mimowolnie wywołał. Miał na sobie prostą kolczugę i

pelerynę oraz buty do konnej jazdy. Hełmu jeszcze nie włożył, tak że długie ciemne włosy spływały mu na ramiona.

- Co ty wyrabiasz! - zakrzyknęła Ioma. - Wystraszyłeś mnie śmiertelnie! Wszystkich nas wystraszyłeś. - Przycisnęła dłoń do piersi, czekając, aż serce przestanie jej kołatać i oddech się uspokoi.

- Przepraszam - powiedział Gaborn. - Nie myślałem, że tak wyjdzie. Przez całą noc powtarzałem sobie, że jeszcze nie pora. Chciałem dać im dość czasu, ale nie śmiałem ich zrywać w ciemności, gdyż w panice wielu by zginęło.

Mówił tonem tak skruszonym, że Ioma od razu zrozumiała, co miał na myśli. Chodziło mu tylko o dobro jego ludu.

Nagle w głowie znów rozbrzmiał jej ten sam głos: „Uspokójcie się. Macie cały dzień. Pracujcie razem. Chronicie starych, chorych i dzieci. Ważne, abyście o zmroku byli jak najdalej od zamku”.

Gorączkowa bieganina nie ustała od razu, ale wielu rozejrzało się spokojniej dokoła i spróbowało posłuchać nowego nakazu.

Gaborn wskazał na kotłowaninę w dole.

- Widzisz, do czego doszło? Ci obozujący nad rzeką przybyli głównie z zachodniego Heredonu. Jeszcze chwila, a stratowaliby wszystkich na swej drodze, byle jak najszybciej wyruszyć w drogę do domu. A tam, obok tego czerwonego pawilonu siedzi kilkoro zapłakanych dzieci. Ich matka i ojciec uciekli bez nich! Doceniam ich posłuszeństwo, ale liczyłem na bardziej wyważoną reakcję. Niemniej w namiocie obok śpią inni, których też wybrałem, a którzy do tej pory chyba nie podnieśli się z posłań! Może zresztą wciąż się pakują, ale co by było, gdyby niebezpieczeństwo groziło nam już teraz? Winieniem zatem pochwalić ich za spokój? A jeśli któregoś dnia przez to zginą? Popatrz jeszcze tam, dalej. Wielu dobiegło już do skraju Mrocznej Puszczy i teraz kręcą się między drzewami niepewni, co właściwie mają dalej robić. A niektórzy, głusi nagle na mój głos, nie przerwą biegu, aż padną z wyczerpania. I kto spośród nich postępuje właściwie? Ci, którzy dosłownie wykonują moje rozkazy, czy może drudzy, nadgorliwi? A widzisz tę staruszkę, która żywo przebiera nogami? Musi mieć z dziewięćdziesiąt lat. Pewnie z trudem przechodzi ledwie dwie mile dziennie. Myślisz, że ktokolwiek jej pomógł?

Coraz bardziej przerażony Gaborn obserwował z otwartymi ustami sceny rozgrywające się w przypominającym kocioł czarownic tłumie.

Ioma pojmowała, że Gaborn wciąż nie potrafi się sprawnie posługiwać nabytymi niedawno zdolnościami i bardzo go to martwi. Te moce były jego najważniejszym orężem, a broń użyteczna jest tylko wtedy, gdy pozwala parować ataki i zadawać ciosy. Gaborn ze wszystkich sił starał się tego nauczyć. Od jego umiejętności zależało, czy cały ten tłum ma szansę przeżyć czy nie.

Niestety, chociaż mógł ostrzegać swój lud, nie było sposobu, aby skłonić poszczególnych ludzi do posłuszeństwa. To naprawdę groźne, pomyślała Ioma. W ten sposób wielu może zacząć działać przeciwko sobie.

Tyle dobrego, że po wydaniu drugiego rozkazu sytuacja zaczęła się z wolna uspokajać. Widząc to, Gaborn odezwał się trzeci raz, prosząc ludzi, by przestali się miotać i zajęli potrzebującymi. Masa głów podniosła się ku wieży, niezliczone oczy poszukały sylwetki Gaborna. Namioty wciąż znikały z pola ze zdumiewającą szybkością, ale rodzice przypomnieli sobie wreszcie o dzieciach, zajęto się starszymi i niedołącznymi. Ioma odetchnęła, że teraz już nie zatratują się nawzajem.

Gaborn pokiwał aprobująco głową, obrócił się ku Iomie i uściskał ją.

- Wyruszasz od razu? - spytała. Wcale nie chciała, by odchodził.

- Tak. Król Orwynne i inni czekają w siodłach. Czeka nas daleka droga. Mało który koń dotrzyma nam kroku. Wysłałem już umyślonych do królowej Herin Rudej i do Beldinooku.

Poprosiłem ich, by ugościli nasz oddział w marszu. Nie zabieramy ze sobą kucharzy ani żadnych oboźników.

Ioma wiedziała, jak trudno będzie poradzić sobie bez służby zajmującej się gotowaniem, praniem czy namiotami, bez giermków dbających o oręż i konie. Ale jeśli mieli galopować co koń wyskoczy, to musieli ich wszystkich zostawić. Szczęśliwie w tak ciężkich czasach żaden władca nie odważyłby się odmówić gościny oddziałowi Króla Ziemi. Wdzięczni będą za ochronę i chętnie się zrewanżują żywnością i schronieniem.

- Pojedziesz ze mną? - spytał całkiem niespodziewanie Gaborn. Nie było w zwyczaju, żeby zabierać żonę na wojnę, ale z drugiej strony, zostawianie właśnie poślubionej małżonki na całe sześć miesięcy również nie było czymś codziennym. Ioma przypuszczała, że zadanie tego pytania nie przyszło Gabornowi łatwo.

- Teraz, od razu? Gdybyś spytał mnie wieczorem, byłabym już gotowa do drogi.

- Myślałem o tym wieczorem, ale widziałem, jak źle spałaś. Nie masz daru sił życiowych, nie dałabyś rady przepędzić całego dnia w siodle po zarwanej nocy. Przyszło mi do głowy, że mogłabyś wyruszyć później, z Juremem. Poprosiłem go, by pokręcił się po mieście, poczynił nieco obserwacji i notatek, bym w razie następnej ewakuacji miasta lepiej wiedział, co czynić. Ma wyruszyć za mną przed południem. Macie na tyle dobre konie, że bez trudu nas dogonicie.

- Czy mogę wziąć Myrrimę? - spytała Ioma. - Będzie chciała jechać, a ja potrzebowałabym towarzyszki.

Gaborn zamyślił się. Wolałby nie zabierać więcej kobiet w podróż, która mogła się okazać niebezpieczna, ale rozumiał, że jego żona musi zadbać o zachowanie form.

- Oczywiście - odparł, chociaż sądząc po głosie, wciąż nie był tak całkiem przekonany do tego pomysłu. Spojrzał uważnie na Iomę.

- Widziałem, że wzięłaś kilka szczeniaków do łóżka.

- Kto miał mnie ogrzać, gdy ciebie nie było? - odparła tonem wyrzutu.

- To noce zrobiły się już aż tak zimne?

- „W Heredonie tylko chłopaki są gorące” - odparła Ioma, cytując słowa pewnej frywolnej piosenki, której nikt nigdy nie odważył się zaśpiewać otwarcie w jej obecności.

Gaborn wybuchnął śmiechem i lekko się zarumienił.

- Zatem moja żona chce zostać wędrowną wilczycą, co popija piwo po zajazdach, nuci radosne przyśpiewki i pokazuje gawiedzi nogi! - powiedział. - Królowa gościńców! Ludzie orzekną, że trafiłem w złe towarzystwo.

- Nie podoba ci się to?

- Wręcz przeciwnie - odparł z uśmiechem Gaborn. - A co do reszty... Gdybym nie miał już swych darów, też pewnie zabrałbym parę szczeniaków na noc. Wiesz... ulżyło mi, że przyjęłaś podarunek diuka Grovermana. Ucieszy się wielce, że ci się przysłużył. Powiem skarbnikowi, by odłożył dla ciebie nieco drenów - dodał po chwili. - Sto powinno wystarczyć.

- Zadbam zatem, żeby Jurem wziął też kilka szczeniaków dla ciebie - powiedziała Ioma. - Już niebawem czeka cię walka.

Wiedziona impulsem objęła męża i niespodziewanie dla samej siebie zaczęła całować go na samym szczycie wieży, gdzie musiały ich widzieć tysiące oczu. Odsunęła się zakłopotana.

- Przepraszam - szepnęła. - Patrzą na nas.

- Widzieli już, jak całowaliśmy się na weselu - stwierdził Gaborn. - Niektórzy nawet wiwatowali. - Teraz on ją pocałował. - Zatem do popołudnia?

- Dziękuję - odpowiedziała.

Gaborn przygryzł wargę i uśmiechnął się nerwowo.

- Nigdy nie dziękuj mężczyźnie, że bierze cię na wojnę, póki ta wojna się nie skończy.

Odwrócił się i zbiegł po schodach. Chwilę później dojrzała, jak wychodzi pewnym krokiem z warowni i rusza brukowaną ulicą ku Bramie Królewskiej. Straciła go z oczu za rogiem Rynkowej, gdzie tydzień wcześniej zabił tkaczkę płomieni. Murarze pracowali co sił, by

naprawić budynki, które ucierpiały w wywołanym przez tkaczkę pożarze, ale oczyszczenie wszystkich okolicznych fasad musiało zabrać jeszcze całe miesiące albo i lata, przez co miejscowi już teraz zaczęli zwać ten fragment ulicy Czarnym Rogiem. Ioma wyobrażała sobie, jak za czterysta lat pytający o drogę obcy nie raz i nie dwa usłyszą, że „sklep jubilera jest zaraz za Czarnym Rogiem, blisko bramy”, a każdy zrozumie, o co chodzi.

Oczywiście jeśli będziemy mieli dość szczęścia, by przeżyć to wszystko, dodała w myślach.

W końcu wzięła się do pracy. Spakowała swe rzeczy, a potem wezwała paru służących i sir Donnora z zamku Donyeis, rycerza, który miał być teraz jej osobistym opiekunem, i wraz z nimi poszła do skarbcza, by zająć się wywozem w bezpieczne miejsce całego złota, drenów, broni i cennych przypraw.

Gaborn zabrał ze sobą na południe dwadzieścia tysięcy drenów, które w razie powodzenia rozmów miały wrócić do Raja Ahtena, niemniej w skarbcu zostało ich wciąż ponad dziesięć tysięcy. Prócz nich spoczywały tam też liczne prezenty od władców Heredonu, w tym i zrobiona dla Gaborna płytowa zbroja, a do tego ladry na jego konia, przywiezione przez diuka Mardona. Gaborn nie wziął ich tym razem ze sobą ze względu na znaczną wagę. Nie brakło też złota i przypraw oddanych w ramach rozliczeń podatkowych w okresie święta Hostenfest. Łącznie było tego kilka tysięcy funtów drogocенności. Ioma nakazała służącym przenieść to czym prędzej do grobowca jej pradziadków i sama zamknęła pieczęłowicie kryptę.

Uwinąwszy się z zadaniem w dwie godziny, pomyślała, że należałoby poszukać Binnesmana i spytać go, czy nie potrzebuje jakiejś pomocy, i to teraz, zaraz, zanim wszyscy służący opuszczą miasto.

Zajrzała do piwnic Warowni Króla, ale zielarza tam nie było, chociaż ogień płonął żywo w starym palenisku, a w powietrzu unosiła się intensywna, lekko cytrynowa i świeża niczym blask słońca woń werbeny, zioła używanego często do przyrządzania pachnidła. Ioma pokręciła się jeszcze tu i ówdzie, aż w spiżarni trafiła na córkę kanclerza Roddermana, bystrooką ośmioletnią dziewczynkę, która czekała w warowni, aż jej ojciec zakończy ewakuację miasta. Powiedziała, że Binnesman poszedł o świcie do ogrodów na przedmieściach, żeby zebrać trochę złocieńców, cykorii i kruczki.

Wobec takiego obrotu rzeczy Ioma skierowała się ku Warowni Darczyńców, aby sprawdzić, jak przebiega ich ewakuacja.

W ostatnich dniach Warownia Darczyńców bardzo się zmieniła, głównie za sprawą sir Borensona, który wykonał rozkaz ojca Gaborna i zabił wszystkich jej lokatorów. Był to czyn straszny i krwawy i chociaż Ioma po części przyznawała, że słuszny, a nawet w jakiejś mierze była wdzięczna Borensonowi, że odważył się go dokonać, to jednak smutek i gorycz wciąż jeszcze jej nie opuściły. Większość tych darczyńców rekrutowała się spośród sług króla Sylvarresty, których jedyną winą było ukochanie władcy. Niemniej skoro ostatecznie ich poświęcenie obróciło się na korzyść Raja Ahtena, pozostała tylko jedna możliwość, gdyż zabicie samego Wilka nie wchodziło w grę. Borensonowi przypadło w udziale zadanie nader ponure, gdyż musiał zamordować ludzi zbyt słabych nawet, by się osłonić przed ciosem. Zapłacił za to sporą cenę: do dziś nie uwolnił się od poczucia winy i nijak nie przypominał już tego serdecznego i wesołego męża, którego nie tak dawno poznała.

Ioma też nie potrafiła usunąć z pamięci wspomnień wiążących się z Warownią Darczyńców. Idąc dziedzińcem, poczuła, że robi się jej duszno. Zbyt wiele zła nagromadziło się w tych murach.

Na dziedzińcu rosło tylko kilka drzew, wszystkie karłowate z braku światła. Tydzień wcześniej pod tymi samymi drzewami spoczywały nosze z ciałem zamordowanej przez Wilka matki Iomy, która spędziła tu cały dzień, doglądając swojego zniedołężniatego po oddaniu darów ojca. Nawet jej nie poznawał... Nie tylko dlatego, że nie był już sobą, ale i dlatego, że Ioma zbrzydła gwałtownie po przekazaniu urody...

Do samej warowni nie miała odwagi wejść. Zbyt wielu przyjaciół w niej straciła i bała się, że ujrzy pozostałe na podłodze i posłaniach rdzawe plamy. Wprawdzie zapewniono ją, że materace zostały spalone, a podłogi, ściany oraz sufity (sufity, na Moce!) dokładnie wyszorowane, ale i tak aż wzdragała się myśleć, jak tu mogło wyglądać po rzezi...

W końcu wysłała do środka sir Donnora, by odszukał Myrrimę, a sama poczekała ze swoją Dziennik na dziedzińcu.

Obok stało kilka wozów. Strażnicy wyprowadzali i sadzali na nie ślepych i niedołącznych. Wszyscy oni zgodzili się na okaleczanie, ale i tak przedstawiali smutny widok.

Sir Donnor wrócił po chwili z wiadomością, że Myrrima zadbała już o to, by wywieziono jej siostry i matkę, po czym wróciła do siebie, żeby dokończyć pakowania.

Ioma kazała sir Donnorowi pójść do stajni i przygotować wierzchowce, sama zaś udała się do Myrrimy, aby poinformować ją, że wyjeżdżają razem w ślad za Gabornem na południe. Wcale jej nie zdumiał widok dziewczyny obłożonej przez szczeniaki ani leżący na łóżku łuk z kołczanem pełnym strzał i rdzawą opaską na przedramię. Zaskoczyło ją jednak, że Myrrima zawzięcie próbowała wbić się właśnie w starą kamizelkę, która ostatnimi laty musiała służyć chyba do szorowania podłóg.

- Myślisz, pani, że dość spłaszcza mi piersi? - spytała, widząc królową.

- Do spłaszczania piersi lepiej nadają się kamienie - odparła odruchowo Ioma.

Myrrima skrzywiła się.

- Ja mówię poważnie - powiedziała.

- Dobrze, ale po co ci płaski biust?

- Żeby nie przeszkadzał w strzelaniu z łuku!

Ioma nigdy nie ćwiczyła się w strzelaniu z łuku, ale знаła damy zażywające tej rozrywki i w końcu zrozumiała, o co właściwie chodzi Myrrimie.

- Mam w garderobie skórzaną kamizelkę do konnej jazdy, która nada ci się o wiele lepiej - zaproponowała, a potem powiadomiła o wspólnym wyjeździe. Myrrima wyglądała zarówno na zaskoczoną, jak i szczerze ucieszoną perspektywą towarzyszenia mężczyznom na wojnie.

Godzinę później zjadły suto śniadanie w towarzystwie Dziennik Iomy i sir Donnora. Około dziesiątej okazało się, że Binnesman wciąż jeszcze nie wrócił, poszły więc do stajni po konie, jako że zrobiły już właściwie wszystko, co było do zrobienia. Na samym końcu Ioma zaprowadziła jeszcze swoje szczeniaki do kuchni.

Przyszła pora porozmawiać z Juremem, co skutkiem ogólnego zamieszania nie było wcześniej możliwe. Ioma znalazła go u bramy miejskiej. Krzyczał na kręcących się pod murami ludzi.

Dotąd myślała, że wszyscy opuścili już zamek Sylvarresta, ale okazało się, że nie. Nie dość, że drogi wiodące na południe i na zachód, które prowadziły przez Mroczną Puszcze, zapchane były wozami, wózkami, wołami, końmi, mieszczanami i wieśniakami, którzy chyba stracili serce do podróży, bo dreptali w miejscu, tamując ruch, to jeszcze blisko czwarta część namiotów na polach stała jak gdyby nigdy nic, a ich mieszkańcy nie zdradzali ochoty, by gdziekolwiek się wybrać.

Jureem miał ręce pełne roboty. Był wprawdzie wzorowym sługą, najlepszym zapewne, jakiego Ioma dotąd spotkała, ale nie potrafił dokonywać cudów, a chyba tylko cud mógłby dać mu szansę na załatwienie wszystkiego jak należy. Przed bramą tłoczyło się z pięć tysięcy pomniejszej szlachty, rycerzy i wieśniaków z łukami, a wszyscy domagali się głośno, żeby ich wpuścić do miasta. Strażnicy miejscy, obecnie już tylko cztery dziesiątki ludzi, twardo odmawiali im wstępu.

- Co tu się dzieje? - spytała Ioma.

- Wasza wysokość, ci ludzie uznali, że ich zadaniem jest bronić murów zamku - wyjaśnił Jureem.

- Ale... - Iomie na chwilę zabrakło słów. - Gaborn powiedział, że wszyscy mają uciekać.

- Wiem! - zakrzyknął Jureem. - Tyle że oni nie chcą słuchać.

Zdumiało Iomę, że jakiś wasal może nie posłuchać rozkazu króla. Spojrzała na sir Donnora, jakby u niego właśnie szukała wyjaśnienia sytuacji, ale jasnowłosy młodzian tylko spoglądał z potępieniem na wicherzycieli.

- To prawda?! - spytała głośno. - Czy nie ma wśród was wybranych?! Nie słyszeliście komendy?!

Większość, zawstydzona, opuściła oczy. Jureem był dla nich tylko pomniejszym przedstawicielem władzy i łatwo było go zignorować. Co innego królowa...

- A wiecie chociaż, czym jest czarny glory? - powiedziała. - Naprawdę macie nadzieję mu się przeciwstawić?

Przed tłum wystąpił szlachcic, w którym poznała sir Barrowsa.

- Wszyscy słyszeliśmy o jasnych glorych - powiedział. - Jeśli stare opowieści nie kłamią, to mogą oni zginąć w walce tak samo jak ludzie. Myślimy zatem, że jeśli staniemy na murach z machinami oblężniczymi, z balistami, katapultami i stalowymi łukami, to zdołamy zabić go, zanim jeszcze wyląduje.

- Głupi jesteście?! - krzyknęła krańcowo zdumiona Ioma. - Wiem, żeście dzielni, ale nie myślałam, że pomyleni! Nie słyszeliście rozkazu waszego króla?! Nakazał wam uciekać!

- Oczywiście, że słyszeliśmy, wasza wysokość - odrzekł sir Barrows. - Ale przecież ten rozkaz dotyczył na pewno przede wszystkim kobiet i niedorostków. Nie nas, silnych mężów!

Na te słowa zebrani potrząsnęli wojowniczo pikami i toporami, unieśli tarcze i wrzasnęli jednym głosem, aż echo odbiło się od wzgórz.

Ioma własnym oczom nie wierzyła. Ci ludzie słyszeli rozkaz, ale i tak postanowili postąpić po swojemu. Obróciła się do kapitana gwardii.

- Ustaw dwustu łuczników na murach. Każ szyc do każdego, kto podejdzie w zasięg strzału.

- Ależ moja pani! - zawołał sir Barrows tonem skargi.

- Nie jestem twoją panią - odparła mu ognście Ioma. - Jeśli nie zamierzasz słuchać słów mego męża, to nie jesteś godny mienić się jego sługą, zatem śmierć tobie, śmierć wam wszystkim! Cenię wasz zapal, ale pogardzam waszą głupotą i w razie potrzeby gotowa jestem was za nią ukarać!

- Wasza wysokość! - jęknął sir Barrows, opadając na kolana, jakby od niej teraz oczekiwał rozkazów. Chwilę później pozostali poszli w jego ślady, chociaż ten i ów z wyraźnymi oporami.

Ioma spojrzała na Jureema.

- Co robią ci ludzie guzdrzący się na drodze? - spytała.

- Niektórzy są wolniejsi niż reszta - wyjaśnił doradca. - Wiele wozów zostało załadowanych ponad miarę, niektóre połamały osie albo zgubiły koła, więc wszyscy muszą je omijać.

Ioma zwróciła znowu twarz na klęczących.

- Sir Barrowsie, wyślij po tysiącu swoich ludzi na każdą z dróg. Niech usuną zawalidrogi z traktów. Niech pomogą naprawić osie i koła. Co do tych, którzy wciąż siedzą na polach, idź ich wypytać, dlaczego nie ruszają w drogę. Jeśli mają po temu ważne powody, to chcę wiedzieć, jakie to powody. Jeśli ich nie mają, to powiedz, że otrzymałeś rozkaz zabicia każdego, kto po godzinie będzie jeszcze o pięć mil od zamku.

- Mamy ich naprawdę zabijać, wasza wysokość?

Iomę ponownie zatkało. Naprawdę nie spodziewała się takiej głupoty. Potem przypomniała sobie jednak słowa Gaborna, że nie należy winić nikogo za jego głupotę, gdyż ktoś taki jest w gruncie rzeczy bezradny i przez całe życie pozostaje na łasce bardziej rozgarniętych.

- Nie, tego wam nie wolno - ostrzegła. - Czarny glory zrobi to za was.

Sir Barrows otworzył szeroko usta. Chyba nagle pojął, w czym rzecz.

- Będzie, jak każesz, pani. - Odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy.

Pulchny Jureem skłonił się nisko i zamiótł pył drogi złocistymi jedwabiami.

- Dziękuję, wasza wysokość. Nie mogłem ich przekonać, a nie śmiałem ci przeszkadzać.

- Następnym razem nie wahaj się tak długo.

- Niemniej to jeszcze nie wszystko - powiedział Jureem.

- Mianowicie?

- Mamy setki ludzi zbyt chorych, aby uciekać. Niektórzy są za starzy, inni mają matki, którym pisane jest rodzić za kilka godzin. Jest paru wojowników rannych po wczorajszym turnieju. Proszę o pozwolenie, by mogli schronić się w zamku. Kazałem umieścić ich w gospodach, by czekali tam, aż zdecydujemy, co z nimi zrobić.

- Możemy załadować ich na wozy?

- Kazałem lekarzom porozmawiać z nimi, ale niektórzy nawet mówić nie mogą. Kto nadawał się do transportu, już pojechał. Paru lekarzy zaoferowało się, że zostanie zaopiekuje się resztą.

Ioma zwilżyła suche wargi i poczuła, jak narasta w niej rozpacz. Miała świadomość, że zawsze znajdują się tacy chorzy, których nie można po prostu ruszyć. Którzy nie wytrzymają pięciu mil drogi, o pięćdziesięciu, które byłyby wskazane, nie mówiąc.

- Niech zostaną - powiedziała. - Trzeba ich będzie dobrze ukryć.

Zastanowiła się, czy nie kazać jednak lekarzom, by porzucili swych podopiecznych, gdyż nie chciała tracić wprawnych medyków, ale nie mogła przecież pozbawiać chorych i umierających opieki.

Gdy tak się biła z myślami, przez tłum przepchnął się wracający do miasta Binnesman. Na plecach niósł worek wypchany liśćmi złocieńca. Mimo wczesnego poranka czarnoksiężnik wyglądał na zmęczonego.

- Właśnie, niech zostaną, wasza wysokość! - zakrzyknął. - Ale nie w pokojach zajazdów, tylko w najgłębszych piwnicach. Nakreślę na ich drzwiach maskujące runy i dam zioła, które pomogą im przetrwać.

Iomie spadł kamień z serca na widok Binnesmana. Gdy podszedł bliżej, zrozumiała, skąd ta radosna ulga, większa, niżby można było oczekiwać. Często odczuwała w jego obecności wpływ skupionej w nim niepokojącej lekko mocy ziemi, mocy rodzenia i wzrostu, która wypełniała ją twórczymi tęsknotami. Tego ranka zielarz musiał jednak częstować tych i owych szczególnie życiodajnymi, ochronnymi zaklęciami, gdyż Ioma poczuła się nagle tak, jak może się poczuć zdrożony jeździec, gdy umknąwszy nieprzyjacielowi, dotrze do zbawczych murów przyjaznego zamku.

To nie złudzenie, pomyślała. W jego obecności czuję się bezpieczna.

- Wyglądasz na wyczerpanego - powiedziała. - Mogę ci jakoś pomóc?

- Owszem. Mniej bym się o ciebie niepokoił, wasza wysokość, gdybyś opuściła miasto wraz z innymi.

Ioma spojrzała na pola.

- Nie wszyscy uciekli, a ja nie mogę odjechać, dopóki nie zrobię co w mojej mocy, by uratować mych poddanych.

Binnesman chrząknął znacząco.

- Mówisz zupełnie jak twój mąż - mruknął, wszelako nie było w jego tonie ani cienia dezaprobaty. Przyjrzał się przelotnie Myrrimie i zwrócił wzrok na Iomę. - Jest coś ważnego, pani, co mogłabyś zrobić, chociaż nie wiem, czy mogę cię o to prosić.

- Mów, o co chodzi.

- Masz jakiś czysty opał, który mogłabyś mi przekazać? - spytał w sposób sugerujący, że królowa nie ujrzy już więcej tego kamienia.

- Moja matka miała naszyjnik z opalami. I parę kolczyków.

- Przy użyciu stosownych zaklęć mogą się stać potężną bronią przeciwko stworom ciemności - stwierdził zielarz.

- Zatem dam ci je. Jeśli tylko uda mi się je wyrwać z oprawy.

- Lepiej nie próbuj, pani. Im kamień piękniejszy i jaśniejszy, tym solidniej jest zwykle mocowany, a opale łatwo się kruszą.

- Zaraz po nie pójde - powiedziała Ioma, uświadamiając sobie, że nawet jeszcze nie przeniosła biżuterii matki do skarbcza. Wciąż leżała w szkatule ukrytej za biurkiem w jej komnacie.

- Znajdziesz mnie, pani, w którejś z gospod - oznajmił Binnesman. - Niewiele czasu zostało.

Ioma i Myrrima wróciły do Warowni Króla i wspięły się do komnat na samej górze. Sir Donnor i Dziennik Iomy nie śmieli wejść do jej sypialni i przysiedli w przedpokoju.

Szkatuła z biżuterią zawierała ceremonialną koronę matki Iomy (prostą, ale elegancką, całą ze srebra i wysadzaną diamentami) oraz dziesiątki kolczyków, brosz, bransolet i naszyjników.

Ioma znalazła w końcu wspomniany naszyjnik, srebrny, z dwudziestoma świetnie dobranymi białymi opalami. Jeden większy kamień umocowano pośrodku na srebrnym łańcuszku.

Matka powiedziała kiedyś Iomie, że naszyjnik dostała od jej ojca, który kupił go, gdy przyjechał do Indopalu prosić ją o rękę. Ioma zadumała się. Ojciec przebył pół świata, by znaleźć sobie kobietę. Daleka, romantyczna podróż. Chociaż... dla niej Gaborn nie zrobił wcale mniej, tyle że romantyzmu ujmowało ich historii to, iż ojcowie obojga byli starymi przyjaciółmi i od dawna zależało im na unii. Wychodząc za Gaborna, Ioma czuła się trochę tak, jakby poślubiła chłopaka z sąsiedztwa. I nieważne, że poznała go dopiero dziesięć dni temu.

Przeglądając zawartość skrzynki, Ioma znalazła jeszcze inne opale. Szkatuła służyła królowym rodu Sylvarrestów od pokoleń i wielu skarbów, które kryła, matka Iomy nigdy nie wkładała. W tym i broszy z ognistymi opalami osadzonymi jako oczka trzech ryb z pokrytej śniedzią miedzi oraz wisiorka w kształcie łzy z opalem mieniącym się odcieniami żywej zieleni.

Wzięła i te ozdoby, gdyż kamienie w nich były największe, i podała wszystko Myrrimie, która wdziała na podróż strój z kieszeniami.

- Miejmy nadzieję, że tyle wystarczy - powiedziała, odłożyła resztę biżuterii do szkatuły, a samą skrzynkę wepchnęła pod łóżko.

Gdy skończyła, spojrzała przez okno na miasto.

Ulice były puste i ciche. Po raz pierwszy za jej życia z żadnego komina nie unosił się dym. Na polach za murami miejskimi ostami goście zwijali pospiesznie namioty. Teraz, gdy zagrożono im żelazem, nikt nie marudził już z ucieczką.

Nagle widok ten wydał się jej znajomy.

- Śniłam to - powiedziała.

- Co śniłaś? - spytała Myrrima.

- Takie miasto. W zeszłym tygodniu, gdy jechałam z Gabornem do Longmot. Takie albo bardzo podobne. Pamiętam, że czekaliśmy w tym śnie na atak Raja Ahtena i nagle wszyscy w całym mieście zmienili się w nasiona dmuchawca i ulecieli z wiatrem poza zasięg Wilka.

Uciekający we wszystkich kierunkach ludzie rzeczywiście mogli kojarzyć się z rozganiem przez wiatr kwietnym puchem.

- Tyle że w moim śnie Gaborn i ja ulecieliśmy ostatni. I wiedziałam też, że nigdy już tu nie wrócimy. - Ta myśl ją przeraziła. Jak mogłaby nie wrócić już do miasta, w którym się wychowała...

Legendy podpowiadały, że ziemia zawsze zwraca się do ludzi poprzez znaki i zsyłane nocą sny. Ci, którzy je rozumieli, zostawali władcami i królami. Ioma wywodziła się właśnie od takich przodków.

- To tylko sen - powiedziała Myrrima. - Gdyby miał być prawdziwy, to Gaborn stałby teraz obok ciebie.

- I chyba jest ze mną. Myślę, że noszę jego dziecko - odparła Ioma i spojrzała na Myrrimę, która pochodząc z pospolitego rodu, była też bardziej niż ona przesądna.

- Och, pani - szepnęła dziewczyna. - Gratulacje! - Nieśmiało objęła Iomę.

- Niebawem i ty się doczekasz - zapewniła ją królowa. - Nie można przebywać tak blisko Króla Ziemi, nie ulegając jego twórczym mocom.

- Mam nadzieję - mruknęła Myrrima.

Po namyśle Ioma wyciągnęła jednak szkatułę spod łóżka i wyjęła z niej koronę matki oraz wszystkie szczególnie cenne sztuki biżuterii, które dojrzała. Ot tak, na wszelki wypadek, powiedziała sobie. Zapakowała wszystko w poszewkę od poduszki; pakunek powinien bez kłopotów zmieścić się w jukach.

Gdy skończyła, na dziedzińcu przed zamkiem rozległ się krzyk jakiejś dziewczynki.

- Hej! Czy jest tam kto?!

Myrrima otworzyła okno i Ioma przechyliła się przez parapet. Spojrzała na nią dwunastoletnia służka w brunatnej sukience.

- Pomocy! - zawołała, widząc Iomę. - Szukałam kogoś z gwardii, wasza wysokość, ale... Pani Opinsher zamknęła się w swoich pokojach i nie chce wyjść!

Lady Opinsher była wiekową damą dworu, która mieszkała w najdawniejszej i najbogatszej części miasta. Ioma dobrze ją знаła i wiedziała na pewno, że Gaborn wybrał starszą panią, ledwie pojawiła się na weselu. Musiała słyszeć ostrzeżenie Króla Ziemi.

- Zaraz tam będę - rzuciła Ioma, zastanawiając się, czy to nie zapowiedź kolejnych kłopotów.

Razem z Myrrimą, sir Donnorem i Dziennik zbiegła po schodach na dziedziniec. Dziewczynka wspięła się lekko na wierzchołek królowej i pognali przez Bramę Królewską wąskimi uliczkami do domu pani Opinsher.

Po drodze Iomie mignęła w jakimś oknie twarz dziecka. Słońce stało już wysoko, a wciąż jeszcze nie wszyscy usłuchali wezwania, pomyślała.

Dotarwszy do rezydencji pani Opinsher, zwolnili przed bramą i wjechali na zamknięty podwórzec okolony wspartym na kolumnach dachem. Przy frontowych drzwiach stało dwóch uzbrojonych strażników w kolorowo malowanych zbrojach.

- Co to ma znaczyć? - spytała Myrrima. - Nie powinniście już być daleko stąd?

- Prosimy o wybaczenie - odparł jeden ze strażników, starszy mężczyzna o czystobłękitnych oczach i sumiastych, siwych wąsach. - Ale służymy u lady Opinsher, a ona kazała nam zostać na posterunku. Dlatego właśnie posłaliśmy dziewczynkę.

- Czy możemy przejść? - spytał groźnie sir Donnor, jakby wolał się upewnić, jakie jeszcze rozkazy dostali ci dwaj od swej pani. Jeśli kobieta postradała zmysły, mogła nawet żądać zabijania intruzów.

- Oczywiście - odrzekł strażnik i odsunął się na bok.

Ioma zeskoczyła z siodła i pospieszyła do domu. Dziewczynka pokazywała drogę.

Siedziba lady Opinsher nie była tak stara jak Warownia Króla, którą wzniesiono ponad dwa tysiące lat temu na użytek władcy i jego rycerstwa. Ten dom liczył nie więcej niż osiemset lat i wyraźnie postawiono go w czasie pokoju i dostatku. Obecnie też był urządzone bogato, wręcz z przepychem, Iomie kojarzył się wręcz z pałacem w Tide. Nad wejściem wprawiono okna z czystego szkła, przez które blask słońca zalewał dużą komnatę z wielkim srebrnym żyrandolem pod sufitem oraz mozaikową podłogą. Ściany wyłożono boazerią, pod nimi stały wysokie stojaki z lampami.

Służący poprowadził przybyszów po schodach. Ioma czuła się nader nie ma miejscu. Wciąż była w stroju do konnej jazdy, a przecież w tych wnętrzach jej wędrownice korytarzami winien towarzyszyć raczej szelest jedwabnych sukien.

Na piętrze służący wskazał bezradnie na wielkie dębowe drzwi ozdobione herbem Opinsherów.

Ioma próbowała je otworzyć, ale były zamknięte na klucz. Załomotała więc w nie pięściami.

- Otwierać w imię królowej! - zawołała.

Gdy nic się nie zdarzyło, sir Donnor zabębnił znacznie mocniej. Ioma słyszała dobiegający z drugiej strony szelest stóp przesuujących się po posadzce, ale starsza pani ciągle nie otwierała.

- Przynieś topór, to porąbię te drzwi - powiedziała głośno Ioma do sir Donnora.

- Proszę, wasza wysokość, tylko nie to - rozległo się przytłumione błaganie lady Opinsher.

Oddalający się sir Donnor stanął w pół kroku, gdy starsza pani uchyliła nieznacznie drzwi. Widać było po niej wiek, twarz miała pomarszczoną, ale była młodzieńczo szczupła. Dzięki darowi urody wciąż wyglądała efektownie, jednak przez ostatnie trzy lata prawie nie wychodziła z domu, co było po niej znać.

- Czym mogę służyć, wasza wysokość? - spytała z wymuszoną uprzejmością.

- Słyszałaś ostrzeżenie Króla Ziemi? - rzuciła jej Ioma.

- Tak.

- I co?

- Błagam, aby pozwolono mi zostać - powiedziała lady Opinsher.

Ioma ze zdumienia pokręciła głową.

- A to dlaczego?

- Stara już jestem. Mój mąż nie żyje, synowie zginęli w służbie waszego dziada. Nie mam po co żyć i nie chcę już opuszczać mojego domu.

- To piękny dom - przyznała Ioma. - Będzie czekał na twój powrót.

- Moja rodzina mieszka tu od ośmiuset lat - powiedziała starsza pani. - Nie chcę odchodzić. Nie zrobię tego ani dla ciebie, pani, ani dla nikogo.

- Nawet dla siebie? - spytała Ioma. - Nawet dla króla?

- Już postanowiłam - stwierdziła stanowczo lady Opinsher.

Ioma mogłaby rozkazać sir Donnorowi, aby unieszkodliwił strażników posiadłości i usunął kobietę siłą. Niemłodzi strażnicy nie byłiby zapewne dla niego żadnymi przeciwnikami. Borenson walczył z nim i sam promował na kapitana Gwardii Królewskiej.

- Życie tak czy tak ma swój cel - powiedziała Ioma. - Nie żyjemy tylko dla siebie. Możesz mieć swoje lata, ale wciąż jesteś zdolna służyć innym. Jeśli zostało w tobie jeszcze trochę mądrości, poświęcenia albo życzliwości, możesz im bardzo pomóc.

- Nie - sapnęła lady Opinsher. - Obawiam się, że nie.

- Gaborn wejrzał w twoje serce. Widział, co się w tobie kryje. - Lady Opinsher znana była z tego, że pomagała potrzebującym, i Ioma sądziła, iż właśnie dlatego Gaborn ją wybrał. - Znalazł w tobie i odwagę, i gotowość do poświęceń.

- Dziś rano przeszły mi jak ręką odjął - zachichotała sucho starsza pani. - Jeśli moja służąca zdoła kupić ich trochę na targu, to nawet zapłacę. Niech mi je zostawi pod drzwiami. A na razie mówię nie! Nie wyjadę!

I zamknęła drzwi.

Ioma czuła się zniesmaczona. Może i pani Opinsher nie zmieniła się wcale, ale straciła chyba wiarę, że jutro może być lepsze niż dziś albo że jej życie jest jeszcze coś warte, że ma cokolwiek do ofiarowania innym. Ioma mogła się tylko domyślać motywów jej postępowania.

- Zostań zatem - powiedziała do drzwi. Nie rozkaże, by ktokolwiek wywlekał wyrwijając się staruszkę z jej własnego domu. - Ale zwolnisz służbę. Nie możesz skazywać ich na śmierć. Muszą uciec.

- Jak sobie życzysz, wasza wysokość - odparła lady Opinsher.

- Nawet twój mąż nie zdoła uratować nikogo, kto nie chce zostać uratowany - mruknęła Myrrima. - To nie twoja ani nie nasza wina.

- Sir Donnorze, poszukaj dowódcy Straży Miejskiej i nakaż, by jego ludzie przeszukali całe miasto dom po domu. Niech sprawdzą, ilu jeszcze jest takich jak ona. Niech ostrzegą ich w moim imieniu, że najwyższa pora wyjeżdżać.

- Niezwłocznie się tym zajmę, pani - odrzekł sir Donnor i pospiesznie odszedł.

- To potrwa całe godziny - stwierdziła Myrrima, gdy gwardzista zniknął im z oczu.

Ioma wyczuła w jej głosie nie wypowiedziany wyrzut: „W ten sposób nigdy nie wyjedziemy”. Przygryzła wargę i spojrzała na swoją Dziennik, jakby szukała u niej podpowiedzi, ale starsza kobieta jak zwykle milczała.

- Mamy szybkie konie - powiedziała Ioma. - W godzinę przejedziemy więcej, niż pieszy przebędzie przez cały dzień.

Binnesmana rzeczywiście znalazła w gospodzie, Pod Dzikim, w najstarszym zajeździe w mieście, którego piwnice tworzyły prawdziwy labirynt. Pod ścianami stały tam wielkie, roztaczające woń słodu beczki, spod powały zwisały się pęki suszonych ziół, a wszędzie przemykały na wpół zdziczałe koty, które chyba jednak mało się starały, bo po kątach zalatywało także myszami. Ioma, Myrrima, sir Donnor i Dziennik kluczyli pomiędzy stosami pustych bukłaków i koszami z rzepą, cebulą i porem, mijali prasy do winogron, beczułki solonych śledzi i węgorzy, wilgotne mieszki z serami i worki mąki.

W najdalszym zakątku piwnic, gdzie od zawsze stały kadzie z fermentującym piwem, ułożono kilkudziesięciu chorych. Byli przy nich lekarze, no i sam Binnesman, pracujący w mdłym świetle samotnej świecy. Układał przed wielkimi dębowymi drzwiami liście złocieńca oraz pędy kruczki i malował na drzwiach jakieś runy.

Gdy Myrrima podała mu wyjęte z kieszeni klejnoty, oderwał się od swojego zajęcia i zamknął drzwi prowadzące do tymczasowego lazaretu.

Chwycił niecierpliwie opale i ułożył je na ciemnych, oblepionych wiekowym brudem deskach podłogi między wysokimi beczkami z oliwą, które sięgały powały i zasłaniały prawie całe światło. Potem, w kurzu narysował dokoła opali kilka znaków runicznych, uklęknął obok i zaczął poruszać koliście palcami, nucąc przy tym:

Kiedyś blask słońca miło grzał ziemi grzbiet,
A wyście go chłonęły
Jak kot przy kominku.

Kiedyś gwiazdny rój w górze stał nieporuszony,
Aż zapadł wam w kamienną pamięć
I trwa tam każdą iskrą.

- Przebudźcie się i uwolnijcie swój blask - szepnął w końcu. Przestał poruszać dłońmi, wstał i spojrzał wyczekująco na kamienie, które jak dotąd niczym się nie wyróżniły.

Ioma ujrzała nagle, że w głębi opali zaczyna rozpalać się osobliwy blask. Przypomniała sobie, jak bawiła się nimi w dzieciństwie, podnosząc do światła i patrząc na migoczącą w nich złocistą zieleń, ale teraz kamienie jaśniały własnym blaskiem. Pomieszczenie wypełniło się czystymi i jaśniejszymi niż ogień karmazynowymi, szmaragdowymi, szafirowymi i białymi błyskami. Ioma odwróciła oczy w obawie, że osłepnie.

Stojąca za nią Myrrima aż cofnęła się przerażona, ale po chwili zaczęła rozglądać się wkoło, podziwiając wspinającą iluminację.

Binnesman przyglądał się opalom z uwagą. Niektóre jaśniały silniej niż pozostałe, a po długiej chwili większość zaczęła przygasać na podobieństwo stygnących węgli. Zielarz odsunął palcem ogniste opale na lewo. Ich rudawy blask zanikł.

W końcu Binnesman uniósł wisior z największym, zielonym opalem. Choć wszystkie kamienie już pociemniały, ten jeden wciąż jaśniał tak mocno, że dawało się wyczuć bijące od niego ciepło.

Zawsze dotąd Ioma miała Binnesmana za miłego starszego pana, ale teraz ujrzała w nim kogoś całkiem innego. Prawie przerażał ją, gdy stał tak skąpany w niezwykłym świetle. Gdy schował wisior do kieszeni, jego blask dawał się dostrzec nawet przez materiał.

- Dziękuję, wasza wysokość - powiedział czarnoksiężnik. - Na coś takiego właśnie liczyłem. Reszta kamieni na nic mi się nie przyda. Jak sama będziesz mogła się przekonać, zmatowiały trochę, ale starczy je na kilka dni wystawić na słońce, a odzyskają dawny wygląd, a może nawet będą ładniejsze.

Starannie ułożył wisior przed progiem zamkniętego pomieszczenia z chorymi i oddał resztę klejnotów Myrrimie.

- Zdziałała? - spytała wciąż oszołomiona Ioma. - Zabijesz czarnego glory'ego tym kamieniem?

- Zabić go? Nawet o tym nie pomyślałem - stwierdził Binnesman. - Mogę jedynie liczyć na to, że uda mi się go schwytać.

16

KŁĘBY MGŁY

Podróż z gór Brace do Carris wydawała się Rolandowi podejrzenie spokojna. Na dodatek jechali całkiem szybko, gdyż górskie drogi były puste, i to właśnie napawało Rolanda największym niepokojem. Z tego, co wiedział, Paldane powinien przebywać właśnie w Carris. Łowczy był najważniejszym doradcą króla i wybitnym strategiem, należało więc oczekiwać, że drogi pełne będą wojsk wychodzących na pozycje przed bliską już bitwą.

Gdy jechali w dół pomiędzy sosnami i paprociami, Roland wykorzystał krótki popas na porębie, by przyjrzeć się kamienistym równinom w dole. Szukał śladów maszerujących oddziałów, ale dojrzał głównie kłęby mgły zalegającej koryta strumieni. Opar był tak gęsty, że mogłaby się w nim schować niejedna armia. W dali widniały jeszcze inne miejsca mogące służyć za kryjówki dla zbrojnych, jak porośnięte lasami wzgórza i głęboka dolina wciśnięta

między dwie odnogi pasma górskiego daleko na zachodzie. Wszędzie wyrastały miasta i wioski.

Na północy ciągnął się pomiędzy dwoma wysokimi wzgórzami długi na osiem mil Mur Pustkowi oddzielający Mysterrię od Muttayi. Oba królestwa przez wieki nieraz walczyły o te tereny. Mysterria nie zawsze wygrywała, o czym świadczyła architektura: w każdym mieście było wiele domostw z zamkniętymi podwórcami, tu i ówdzie przeblyskiwały oczka stawów, a ulice były szersze nawet niż w Tide, gdzie Roland się wychował.

Nazwy wiosek też nawiązywały do niezliczonych bitew, które nawiedzały tę ziemię: Zasadzka, Upadek Gillena, Odwrót. Miasta zaś zwały się z cudzoziemska, jak Aswander, Pastek, Kishku.

Patrząc na rozległą okolicę, Roland doszedł do wniosku, że Paldane naprawdę musi być utalentowanym dowódcą, skoro ten właśnie teren wybrał na pole bitewne. Kilka silnych fortec mogło posłużyć za punkty zborne. Wyobrażał sobie, że za kamiennymi murami z pewnością kryją się zastępy łuczników, a na dziedzińcach czeka konnica.

Niemniej na otwartym terenie nie dojrzał ani śladu jakichkolwiek wojsk. Brakło dymów obozów, barwnych namiotów dowódców czy odbłyśków od pancerzy, w porannym słońcu zawsze nieuniknionych.

Co gorsza, widoczna z góry, cała ta ziemia wydawała się jakby wymarła. Cała czwórka przez kwadrans stała na pagórku, wypatrując oczy. Widzieli setki gospodarstw i stogów, pola zboża, winnice i zagony chmielu na wzgórzach, kamienne mury otaczające osady. Nawet z góry widać było, że czego jak czego, ale kamienia tu nie brakuje. Starczało go na fortece, mury i ogrodzenia, a i tak jeszcze rolnicy musieli tu i ówdzie sypać z niego całe pagórki. Na szczytach wielu wzgórz widać było pradawne kopce słońca - koliste kamienne miejsca palenia zwłok przypominające półkulę zachodzącego słońca. Wszystkie były niewiarygodnie stare i oznaczały miejsca zapomnianych bitew.

Carris było starożytną krainą. Podobno gdy Erden Geboren przybył jej bronić, to nie dość, że te fortece już istniały, ale nawet nikt nie pamiętał, kiedy je wzniesiono. Na wielu spośród kopców słońca przez stulecia porzucano ciała poległych przeciwników, tak że obecnie widma nawiedzały je setkami.

Wczesnym rankiem widm jednak nie było. Samo Carris ledwo zaznaczało się na horyzoncie. Wznosiło się dwadzieścia mil dalej, na półwyspie nad głębokim jeziorem. Nad wodą wisiała mgła, jednak granitowe mury fortecy i wysokie wieże pobłyskiwały w słońcu złotem, a w niebo wznosiły się smużki dymu z kuchennych palenisk.

Z zamku wyleciał graak. Ktoś go dosiadał. Aweran westchnęła, jakby nagle zatęskniła za podobną jazdą. Jednak nigdzie bliżej nie było widać żadnego ruchu: ani śladu dymu, choć było bezwietrznie, ani żadnych zwierząt pasących się na polach.

Cała równina Carris robiła wrażenie wymarłej, jeśli nie liczyć krążących tu i ówdzie paru stad gęsi. Wszędzie trwała dziwna cisza, której nie mąciło nawet wołanie sójek czy szelest krzątających się wiewiórek.

- Nie podoba mi się to - powiedział Roland. - Jest za cicho.

- Właśnie - przyznał baron Poll. - Urodziłem się tutaj. Jako chłopak wszędzie wtykałem nos, ale nigdy niczego podobnego nie widziałem. - Wskazał na odległe o dwie mile pola po lewej. Zieleniały tuż obok sadów przeciętych aleją dębów. - O tej porze roku zawsze przylatywały tu z północy stada wron, i to tyle, że można było z ich pomocą wyznaczać strony świata. Ale dziś nie ma żadnej. Ani jednej. Wrony i kruki to bystre ptaki. Wyczuwają niebezpieczeństwo lepiej niż ludzie. Wiedzą, że szykuje się bitwa, poleciały więc za żołnierzami z nadzieją na bogatą ucztę. A popatrz jeszcze tam, gdzie mgła zalega grubo nad pagórkami. - Pokazał niemal dokładnie przed siebie, na podstawie wznoszącego się pięć mil na północ wzgórze. - Widzisz to stadko gęsi? Przelatują akurat nad polami zacnego owsa, a pod tą mgłą jest wiele stawów. Każda normalna gęś zaraz by tam siadła, ale te krążą po niebie, jakby

chciały się najpierw upewnić, że w dole jest bezpiecznie. Latają od jednego tumanu do drugiego i żaden nie budzi ich zaufania na tyle, by zanurkować.

- Dlaczego? - spytała Averan.

- Boją się. W tej mgle musi się kryć masa ludzi.

Averan spojrzała koso na barona, pewna, że szlachcic chce ją tylko wystraszyć. Roland pomyślał, że wygląda na przemęczoną albo wręcz chorą. Oczy miała przekrwione, otuliła się płaszczem, jakby trzęsły nią dreszcze.

- Mówię poważnie - powiedział baron. - Widzisz ten spłacheć mgły na lewo? Zaległ całe dwieście stóp wyżej niż pozostałe i ma trochę za ciemny kolor. Na dodatek wędruje z wolna w dół stoku, chociaż w porannym słońcu winien się nagrzewać i unosić. Założę się, że to oddział Raja Ahtena, a ta mgła to robota tkaczy płomieni. Zwiadowcy donieśli, że przez Heredon przeszedł, kryjąc całą armię w kłębach mgły. Gdybyś wstąpiła w taki opar, zaraz natknęłabyś się na tłum Niezwyciężonych, psów i olbrzymów. Tak, w ten dalszy, gęsty i ciemnoniebieski. Albo ten z lewej. To trzecia kolumna wojsk.

Roland patrzył z otwartymi ustami. Baron Poll miał chyba rację. Trzy gęste pasma mgły wyraźnie przemieszczały się w jednym kierunku, chociaż brakło wiatru, który mógłby je przeganiać.

- A tam, nad rzeką w pobliżu Carris, to głowę bym dał, że wodni czarnoksiężnicy się usadzili i czarują na całego. Widzisz, ile tam mgły?

- Sądząc po kolorze, powiedziałbym, że to naturalna mgła - zaproponował Roland.

Baron Poll uniósł brwi.

- Może, ale unosi się znad rzeki tylko w tym jednym miejscu. Wodni, ani chybi. Ich mgła zawsze będzie lepsza, bardziej naturalna niż te dymy tkaczy płomieni. Myślę, że kryje posiłki, które Paldane otrzymał z Cherlance. - Baron poprawił portki takim samym ruchem jak zabierający się do pracy wieśniak. - Musimy uważać. Drogi wyglądają na puste, ale to może być złudzenie.

Zielona kobieta wskazała na tuman nad wzgórzami.

- Mgła? - spytała.

- Tak, mgła - odparł Roland, pomagając jej dodać nowy wyraz do słownika.

- Mgła? - spytała istota, ponownie wskazując w górę, na obłoki.

- Chmury - powiedział, żeby poznała różnicę. Potem zmrużył oczy i pokazał na słońce. - A tam jest słońce. Słońce.

- Słońce nie - rzuciła zielona, zerkając lękliwie na jasny krąg. Otuliła się mocniej niedźwiedzią skórą.

- A mówiłam im, że nie zrodziłaś się z ognia - powiedziała Averan. Podeszła do kobiety i nałożyła jej kaptur na głowę. - Ona nie lubi słońca tak samo, jak nie podobało jej się nasze ognisko.

- Chyba masz rację - mruknął baron. - Zostaje mi przeprosić naszą zieloniutką jak szczypiorek wiosną amatorkę świeżych flaczków za niecne posądzenie.

Roland prychnął śmiechem. Averan ledwie spojrzała na barona.

- I powiem wam jeszcze... - zaczęła i wciągnęła głęboko powietrze, jakby zamierzała wygłosić coś wiekopomnego, ale zbladła nagle i bez słowa otuliła się płaszczem. Czyżby też chciała schować się przed słońcem?

Spojrzenie miała dziwnie nieobecne. Roland pojął po chwili, że to nie dreszcze, ale strach. Nie przed reakcją barona, ale przed własnymi myślami.

- No powiedz... - mruknął Poll.

- Baronie - odezwała się tak trochę do barona, trochę do nikogo - co zrobimy z zieloną kobietą?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł baron. - Chociaż z pewnością wolałbym, żeby przestała za nami łązić.

- A jeśli dojdzie z nami do Carris, to co zrobi z nią Paldane? Baron Poll zerknął niepewnie na zieloną.

- Nie wiem, dziecko. Przypuszczam, że zechce ją uwięzić. Jest bardzo silna i niebezpieczna, nie da się orzec, skąd przybyła i co zamierza.

- A jeśli stawi mu opór? Jeśli spróbuje się bronić?

- Jeśli zrobi krzywdę któremuś z poddanych jego królewskiej mości, to na pewno trafi do lochu.

- A jeśli kogoś zabije?

- Wiesz, co się wtedy robi - stwierdził baron.

- Skaże ją na śmierć, prawda? - spytała Averan.

- Tak przypuszczam - mruknął baron, starając się zabarwić te słowa współczuciem, chociaż wcale go nie odczuwał.

- Nie możemy na to pozwolić - orzekła Averan. - Nie możemy zabrać jej do Carris.

- Mamy wiadomość do przekazania - przypomniał jej Poll. - Wedle wszelkich zasad winniśmy w nocy gnać do Carris, nie zważając na burzę, tyle że nie miałem ochoty wpaść po ciemku na wojska Raja Ahtena. Niemniej taki obowiązek to nie w kij dmuchał, a i ty, podniebny gońcu Averan, ślubowałaś to i owo.

- Czego się obawiasz? - spytał wprost Roland, widząc, że lęk dziewczynki narasta z każdą chwilą.

- Nikt z mojej rodziny nigdy nie miał wizji - wykrztusiła Averan.

- A tobie właśnie się zdarzyło? - domyślił się Roland. Dziewczynka przycisnęła pięści do żołądka. Drżała cała z przejęcia.

- Widziałam zieloną kobietę martwą. Tkwiła nasadzona na pal przed murami miasta.

Rolandowi brakowało wykształcenia, ale każde dziecko w Mystarrii wiedziało, że przychodzące nagle wizje należy traktować poważnie.

- Jeśli widzenie było prawdziwe, to przede wszystkim miało ostrzec. Dać ci szansę zapobieżenia najgorszemu.

Baron skrzywił się i przyklęknął przy dziewczynce.

- Chcesz ominąć Carris? Pewnie by się i dało, ale przynajmniej jedno z nas musi wejść do miasta. - Zastanowił się. - Chociaż nie, boczne drogi nie będą bezpieczne! Już lepiej zostanmy razem. Jestem dość pewien, że zdołam doprowadzić naszą kompanię do Carris, ale niczego więcej nie odważę się obiecać.

Roland wiedział, że Poll nie przesadza: na całej równinie pełno było wojsk, a Raj Ahten na pewno obsadził wszystkie drogi.

- No to zostawcie mnie gdzieś w ukryciu i sami przekazcie wiadomość - poprosiła Averan.

- Zielona podąża za mną, nie za wami. Gdziekolwiek się schowam, przycupnie obok mnie. Potem po nas wróćcie.

Baron podrapał się po brodzie. Próba przedarcia się do Carris sama w sobie będzie niebezpieczna, a dzieciak prosił go, by jeszcze bardziej zaryzykował. Niemniej jeśli chodzi o los zielonej kobiety, to zapewne Averan miała rację. Baron spojrzał na Rolanda, jakby chwilowo nie wiedział, co czynić.

- To zbyt niebezpieczne - oznajmił w końcu, zamykając dyskusję. - Nie pozwolę na to.

- Wcześniej mówiłaś, że nie zabierzesz mnie na północ, do Heredonu, a teraz, że mnie tu nie zostawisz! - prychnęła Averan. - Czy naprawdę nie mam w tej kwestii nic do powiedzenia?

- Nie - stwierdził zdecydowanie baron. - Mogę być stary i gruby, ale jestem szlachetnie urodzonym rycerzem. Ty nie. Mamy wojnę i to moja sprawa orzekać, co jest dla ciebie dobre.

- Nie tyle dla mnie, co dla ciebie! - krzyknęła dziewczynka. - Ja się nie liczę!

- Nieprawda. Tyle że ja myślę przede wszystkim o ludziach, a nie o zielonych stworach - powiedział, wskazując na kobietę.

- Sama wiem, co dla mnie najlepsze!

- Naprawdę? Zeszłej nocy narzekałaś, bo chciałaś do Heredonu. Teraz masz pretensje, bo chcesz zostać. Czego więc chcesz?

- Każdy ma prawo zmienić zdanie! - stwierdziła Averan podniesionym głosem.

- To prawda - przyznał baron. - Ale mojego nie zmienisz. Złapał dziewczynkę za ramię i podprowadził ją do swojego wierzchowca. Averan krzyknęła, a Poll uderzył ją w plecy.

- A niech cię, mała, jeśli ściągniesz nam tymi wrzaskami ludzi Ahtena na kark, to słowo daję, że poderżnę ci gardło, nawet gdyby miała to być ostatnia czynność w moim życiu.

Baron, mimo swej wagi, całkiem zgrabnie wskoczył na siodło i spróbował wciągnąć Averan za sobą.

- Poczekaj! - powstrzymał go Roland. - Niech jedzie ze mną. Nie będziesz musiał jej bić ani grozić poderżnięciem gardła.

- A co cię to obchodzi? - spytał Poll i spojrzał na niego zdziwiony. Averan zresztą też. Roland nie był stanu rycerskiego, nie był nawet wojownikiem, który mógłby równać się z baronem w walce, a jednak przemawiał z ogromną pewnością siebie.

- A obchodzi - powiedział Roland, spoglądając na dziewczynkę. - Myślałem o tym trochę w nocy i wyszło mi, że mógłbym poprosić Paldane'a, aby pozwolił mi zostać jej opiekunem, jej... ojcem.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy, aż w końcu Averan pojęła, że Roland niczego nie przesądza, tylko proponuje.

- Tak! - zawołała, rzucając się ku niemu.

Roland wsiadł na konia i usadził Averan na siodle przed sobą. Po chwili galopowali już w dół zbocza. Zielona sadziła wielkimi susami za nimi. Gdy zbliżyli się do równiny, baron skręcił nagle z drogi i pognął między drzewami. Zielona kobieta musiała dobrze wyciągać nogi, żeby nie zostać za daleko w tyle. Roland nie mógł się nadziwić, jakim cudem w ogóle może tak szybko biec, na dodatek z gracją i łatwością, która ludziom zwykle nie bywa dostępna.

Baron nie ufał już najwyraźniej drodze i chyba zaraził tym lękiem nawet Averan, która zrobiła się nagle dziwnie małomówna. Znów zjeżdżali z kolejnego zbocza i Roland odchylił się w siodle. Przytrzymał też dziewczynkę, niepewny, czy popręg wytrzyma dodatkowe obciążenie przy forsownej jeździe po tak niewdzięcznym terenie. Niemniej baron nie zwalniał ani trochę.

Wkrótce dotarli do starej drogi drwali. Przez chwilę się jej trzymali, potem przejechali z pluskiem przez strumień, konie przeskoczyły ogrodzenie jakiegoś gospodarstwa i pognały na przełaj przez pastwiska.

Przebyli tak kilka mil, przy czym nieustannie zbaczały z drogi na jedną lub drugą stronę. Zielona niezmordowanie biegła za nimi.

Przemknęli przez wioskę i dopiero gdy wyjechali spomiędzy zabudowań, przystanęli na moment, by dać odetchnąć koniom. Dalej ciągnęła się droga obsadzona orzechami, które zaczynały właśnie wyglądać z zielonych skorup. Averan spojrzała na nie tęsknie.

- Będziemy dzisiaj coś jedli? - spytała.

- Może w zamku dadzą nam jakiś obiad - powiedział baron.

- Wczorajem za cały posiłek mieliśmy twe pocieszające słowa, a dziś na śniadanie nawet ich zabrakło. W zamku jadają rano, a potem dopiero wieczorem, ja zaś poszczę od przedwczoraj.

- Cóż, przynajmniej utrzymasz linię - mruknął baron.

- I kto to mówi! - prychnęła Averan. - Może sam tak popróbujesz? Koń będzie ci niewysłowienie wdzięczny.

Poll spojrzał ostrzegawczo na dziewczynkę. Owszem, miała dar krzepy, ale tylko jeden. Obdarzony paroma baron łatwo dałby jej radę.

Roland pomyślał, że jego towarzysz musi być bez serca, skoro może tak patrzeć na dziecko.

- Poszukam ci orzechów - powiedział do Averan i zeskokczył z siodła.

Zielona kobieta dołączyła do nich po paru chwilach. Stała obok i cała spocona i zdyszana.

Baron musiał się chyba obawiać, że Averan spróbuje ucieczki, bo podjechał do niej i przesadził na własne siodło.

Koń Rolanda też był mokry od potu, płuca pracowały mu jak miechy. Stali na północnym krańcu wsi, obok małego skupiska chat, ale na poletkach wkoło nie było zbyt wiele paszy dla koni. Owce wyjadły wszystko niemal do samej drogi. Roland rozejrzył się. Owiec też nie było nigdzie widać, pewnie zagnano je do zamku. Wierzchowiec Rolanda podszedł do okna najbliższego domu i z braku czegoś lepszego zaczął pożerać coś rosnącego w skrzynce pod oknem, zapewne geranium. Jadł tak szybko, jak zdarza się to tylko koniom z darami metabolizmu.

Roland tymczasem nie znalazł na ziemi żadnych orzechów, tylko ślady świńskiego rycia. W końcu wspiął się na drzewo.

- Muszę sobie ulżyć - powiedziała Averan, wierząc się w siodle.

- Poczekaj jeszcze z godzinę - nakazał baron. - Dziewczynka z darem krzepy może utrzymać pełny pęcherz nawet przez cały dzień.

- Ale ja go tak utrzymuję od wczorajszego wieczora - zaprotestowała dziewczynka.

Baron uniósł oczy do nieba.

- No to idź. Za domem powinna być wygódka.

Averan zeskoczyła z konia i odbiegła. Zielona podążyła za nią niczym wierny pies.

Roland wdrapał się na konar orzecha i zaczął sobie napychać kieszenie. Spojrzył na drogę wiodącą na południe, skąd przybyli.

Unosił się nad nią kurz. Na razie odległy był jeszcze o parę mil, więc drzewa i domy go zasłaniały, niemniej jeśli to jazda na koniach z darami, mogła tu być w parę chwil.

- Konni. Szybko tu jadą - ostrzegł barona. Serce waliło mu jak oszalałe. Gdyby nie szukał orzechów na drzewie, nigdy nie dostrzegłby zagrożenia.

- Jakie barwy noszą? Rolandowi mignęło coś żółto.

- Raja Ahtena. Są naprawdę blisko.

Roland zeskoczył z drzewa. Wylądował twardo, aż kostki go zabolaly.

- Averan! - krzyknął baron. - Dość sikania! Wracaj tu zaraz! - Przeklinając głośno, popędził konia za chatę.

Roland skoczył na siodło i też tam ruszył. Ujrzał barona kapiącego ze złością sfatygowany wychodek. W środku nikogo nie było.

- Uciekła, cholera jedna! - krzyknął Poll.

Roland przygryzł wargę. Czuł, że ogarnia go panika. Nie chciał, żeby małej coś się stało ani żeby się gdzieś zawieruszyła. Bardzo chciał jej pomóc, ale rozumiał obawy dziewczynki i podzielał jej pragnienie, by zrobić to, co samemu uznaje się za słuszne.

Obok ciągnęły się pola i ogrody poprzedzielane kamiennymi murkami. Roland rozejrzył się niespokojnie, ale nie dojrzał ani śladu Averan i zielonej kobiety,

- Nie mogły odejść daleko - stwierdził, ale wiedział, że to i tak bez znaczenia. Nawet jeśli mała skryła się tuż obok, nie mieli czasu jej szukać.

- Nieważne! - rzucił baron. - Chce zostać, niech zostaje!

Poll zawrócił konia, ale Roland jeszcze się ociągał. Bał się zostawiać Averan i zieloną w tej wiosce. Stały mu się obie bliższe, niż był skłonny przyznać.

Stanął w strzemionach i raz jeszcze rozejrzył się po okolicy w daremnej nadziei, że cokolwiek wypatrzy. Baron już umknął, a chwilę później dały się słyszeć głucho uderzenia kopyt koni wjeżdżających do wsi z przeciwnej strony.

- Powodzenia! - krzyknął Roland, licząc na to, że schowana w pobliżu Averan go usłyszy.

- Wróć po ciebie, córko! - obiecał i pognał w kierunku Carris.

Cztery gospodarstwa dalej skulona pod krzakiem bzu Averan patrzyła, jak baron i Roland odjeżdżają na północ. Kobieta siedziała obok. Dziewczynka zdjęła jej niedźwiedzie futro z ramion, tak że teraz zielona sylwetka wtapiała się w listowie. Averan obejmowała ją i jak mogła uspokajała, by dziwna istota się nie ruszała.

Nie umiała wyjaśnić Rolandowi ani Pollowi, dlaczego właściwie chce zostać. Pewnych rzeczy mężczyźni nigdy nie rozumieją. Niemniej Averan od poprzedniego dnia była z każdą chwilą coraz bardziej pewna, że tak właśnie powinna postąpić.

Już to ognisko w nocy napełniło ją niepokojem, a poranne słońce po prostu przyprawiło o piekący ból oczu. Kiedy przykłęka obok szczątków zabójcy, nasza ją nagła ochota na ludzką krew...

Z każdą chwilą coraz lepiej rozumiała, czego właściwie potrzebuje zielona. Pojmowała to zapewne lepiej niż ona sama.

Jej konieczna była ziemia. Odradzająca siła ziemi.

Averan przeczekala więc przekleństwa barona, i nie wyszła z ukrycia nawet wtedy, gdy Roland obiecał powrócić. Omal się nie popłakała.

Zdumiało ją, że Roland gotów jest zostać jej ojcem. Zdumiało, ale i ucieszyło wielce. Bardzo chciała, by ktoś się o nią zatroszczył, obdarował przyjaźnią. Jednak na razie musiała wszystko to odłożyć na bok.

- Wróc po mnie, ojczy, gdy tylko będziesz mógł - wyszeptala niemal bezgłośnie.

Chwilę później obok przemknęło z hukiem kopyt dwudziestu podzwaniających pancerzami Niezwycięzonych Raja Ahtena.

Wtulona w Averan zielona ani drgnęła. Dopiero gdy żołnierze przejechali, uniosła głowę i zaczęła węszyć niczym ogar.

- Krew tak? - spytała.

- Krew tak - obiecała Averan, zadowolona, że kobieta rozpoznała zapach wojaków Wilka. - Ale nie teraz. Teraz musisz odpocząć. Wiem, czego ci trzeba.

Averan to również widziała w wizji. Nie rozumiała, o co w tym chodzi, ale czuła, że to słuszne. Zielona była istotą ziemi i potrzebowała objąć swej rodzicielki.

Niemniej Averan wciąż bała się poruszyć. Poranny powiew wiatru przemknął przez wioskę i zakotłował bzem. Zielona spojrzała na gałazki, jakby widziała w tym skutek działania jakiejś podejrzanej siły.

- To nic - szepnęła dziewczynka. - Tylko wiatr. Wiatr. Uniosła dłoń kobiety, aż ta poczuła wietrzyk owiewający palce.

Jednak zielona zaraz cofnęła dłoń.

- Wiatr nie! - powiedziała. Rozejrzała się wkoło, jakby za wszelką cenę chciała się ukryć.

Niezwycięzeni są już chyba daleko i nie wrócą, uznała w końcu Averan. Poprowadziła kobietę do ogrodzonego murem ogrodu. Ziemia była tam żyzna i zadbana. Właściciel uciekł, ale wcześniej wykopał całą marchew i rzepę.

Averan posmakowała żyznej gleby i uznała, że będzie dobra. W szopie wyszukała motykę i w kilka chwil wykopała płytki dół.

Zielona weszła doń bez zachęcania. Położyła się tam naga z wyraźnym zadowoleniem.

Averan stanęła nad nią, gotowa zasypać ją ziemią, ale nagle sama odczuła coś jakby dziwne swędzenie. Słońce paliło ją boleśnie w kark, a gdy uniosła głowę, oczy zapiekły jak nigdy dotąd.

Ubranie wydało się jej zbyt cienką ochroną przed jego promieniami. Spojrzała na swój nadgarstek, gdzie skapnęło jej wczoraj trochę krwi zielonej, gdy Averan próbowała doprowadzić ją do ładu po upadku.

Ciemnozielona plama nie zniknęła. Nie zesza nawet przy próbach mycia i szorowania, a wręcz przeciwnie, zaczęła wnikać jakby coraz głębiej w skórę. Teraz wyglądała jak

wytatuowana. Zapewne nigdy nie zniknie, pomyślała Averan. Będzie wrastać i wrastać, aż pewnego dnia dojdzie może do kości.

- Teraz płynię w nas ta sama krew - powiedziała dziewczynka. - Nie wiem nawet, kim jesteś, ale teraz jesteśmy jednością.

Averan zdjęła ubranie i ułożyła się w dole obok kobiety. Zaczęła nagarniać rękami ziemię, by ukryć swą skórę przed słońcem, ale niesporo jej to szło.

W nagłym przypływie natchnienia mocno objęła zieloną i nakazała ziemi:

- Nakryj mnie.

Ziemia posłuchała. Ogarnęła je obie niczym fala przypływu.

Averan zastanowiła się, co zrobią Niezwycięzeni, jeśli wrócą tu i ujrzą poruszoną ziemię. Spróbują je wykopać? Roland też?

Nie, uświadomiła sobie. Nie znajdą nas. Jesteśmy bezpieczne. Przynajmniej na trochę, do zmroku, nie zagrozi nam ani słońce, ani ogień.

17

KURZ

Nad drogą do wzgórz Durkin unosiły się tumany kurzu, całkiem inaczej niż kilka dni temu, gdy było tuż po deszczach, od których zrobiło się wprawdzie ślisko, ale pył nie wzbijał się w powietrze. Poza tym wtedy Erin Connal jechała sama.

Teraz, po paru dniach upału, droga na południe była sucha niczym w środku lata. Na dodatek przez miniony tydzień przemierzyły ją tysiące wozów i ich koła, razem z kopytami niezliczonych koni i bydła, zmieniły zaschłe błoto we wzlatujący przy każdym poruszeniu kurz. Erin najchętniej zjechałaby na bok i pogalopowała równoległe do drogi, pod drzewami Mrocznej Puszczy, ale niestety, pobocze porastała gęsta płatanina krzewów. Poza tym na nierównych leśnych ścieżkach oddział poruszałby się o wiele wolniej, a obecnie bardzo zależało im na pośpiechu.

Erin podążała na wojnę w przedniej straży armii. Razem z nią jechali obaj królowie, Gaborn Val Orden i Orwynne, gromada pomniejszych władców oraz oczywiście przypisani do nich wszyscy Dziennikowie.

Kilkudziesięciu gwardzistów i zwiadowców wypuściło się sporo naprzód, ale wzbity przez nich kurz wciąż wisiał nad drogą. Zgrzytał w zębach, palił w oczach, wciskał się do zatok, oblepiał namaszczone oliwą rzemienie zbroi, osiadał grubą warstwą na ubraniach. Jechali dopiero pół dnia, ale Erin była przekonana, że dopiero tygodniowy pobyt w łaźni pozwoli jej dojść ze sobą do ładu.

W tej chwili były to jednak tylko marzenia. I tak dziękowała losowi, że nie musi jechać w dalszym miejscu kolumny. Bliżej jej końca kurz musiał dławić ludzi w gardle.

Wielu rycerzy z otoczenia Gaborna nosiło przyłbice, opuścili więc ich zasłony, aby choć trochę uchronić się od pyłu. Erin szczerze im zazdrościła. Była pewna, że nawet gorąco w nagranych od słońca hełmach nie jest tak dokuczliwe jak ten pył.

Sama nosiła tylko prosty hełm jeźdźca z osłonami uszu. Nie miał nawet nosala, tylko ufarbowany na królewski błękit koński ogon na szczycie.

W końcu przycisnęła do twarzy kłęb materii.

Z tyłu doleciał ją tętent konia. Podjeżdżający skrajem drogi mężczyzna spojrzął przelotnie na Erin, po czym zauważył Gaborna i wstrzymał swego wierzchowca. Na twarzy jeźdźca malowało się skrajne zdumienie i zaskoczenie. Erin pomyślała, że widać ten człowiek po raz pierwszy ujrzał Króla Ziemi z tak bliska. Chociaż po prawdzie obecnie obaj brudni jak nieszczęście królowie niewiele różnili się na oko od prostych żołnierzy.

- Wasza wysokość - zwrócił się żołnierz do Gaborna - oddziały na tyłach błagają o pozwolenie na zwiększenie dystansu. Kurz odbiera oddech koniom.

Erin o mało się nie roześmiała. Widać wojownicy Heredonu potrafią oddychać ziemią i tylko ich rumaki cierpią, pomyślała.

- Niech zwolnią - zgodził się Gaborn. - Jak długo nie dotrzemy o zmroku do zamku Groverman, tak długo zwarty szyk nie będzie konieczny.

- Dziękuję, panie - odparł żołnierz, kiwając głową, jednak nie zawrócił od razu, by przekazać rozkaz. Podjechał bliżej Gaborna, jakby o coś jeszcze chciał go poprosić.

- Tak? - zagadnął go król.

- Przepraszam za śmiałość, panie, ale skoro jesteś Królem Ziemi, to czy nie mógłbyś zrobić czegoś z tym kurzem?

- Chcielibyście, abym go usunął? - spytał trochę nieprzytomnie Gaborn.

- To byłoby wielce stosowne - stwierdził wojak takim tonem, jakby z góry dziękował za cud.

Gaborn roześmiał się, ale Erin nie potrafiła orzec, czy władca śmieje się z pomysłu żołnierza, czy ogólnie zrobiło mu się tak wesoło.

- Jestem Królem Ziemi - odrzekł po chwili - ale uwierz mi, moja władza ma swoje granice. Nie lubię smaku kurzu wcale bardziej niż wy. Gdybym potrafił go wytrącić z powietrza, dawno bym już to zrobił. Rozluźnić szyk. Dostosować szybkość do możliwości koni. Ci na najszybszych pierwsi dojadą do Groverman.

Żołnierz przyjrzał się Gabornowi, aż dotarło doń, że Króla Ziemi pokrywa równie gruba warstwa kurzu jak wszystkich.

- Tak, panie - powiedział, zawrócił konia i rychło zaczął wykrzykiwać rozkazy, aby zmienić szyk.

Obaj królowie, którzy dotąd powstrzymywali konie, by dostosować szybkość do możliwości zwykłych rumaków, teraz wyrwali się z wawo do przodu. Erin razem z nimi. Po kilku chwilach wyprzedzili zwiadowców.

Erin uniosła się w strzemionach, by wiatr porwał trochę kurzu z jej ubrania, przecesał włosy. Galopujący obok Celinor zrobił tak samo. Obejrzała się i dostrzegła, że książę się jej przygląda. Zauważywszy jej badawcze spojrzenie, odwrócił wzrok.

Erin nie miała daru urody, by okraszał jej twarz. Fleeds było ubogą krainą i nawet królowe nie otrzymywały podobnych prezentów. Nikt nie był skłonny marnować tam bezcennego metalu na cele tak banalne jak przydawanie kobietom uroku. Zbyt wiele ważniejszych rzeczy można było dzięki niemu uzyskać.

Niemniej nawet bez daru urody Erin bywała niekiedy uznawana za atrakcyjną. Tyle że obecnie nie pojmowała, czemu właśnie książę Celinor miałby ją tak widzieć. Sam miał co najmniej dwa dary urody, przez co prezentował się wręcz wspaniale. Platynowe, niemal białe

włosy, szczupła, ale wyraźnie zarysowana twarz, oczy lśniące jak ciemne szafiry, wysoki. Bardzo przystojny, pomyślała Connal. Nie miała jednak jakoś ochoty z nim zlec, gdyż we Fleeds nikt od dawna nie miał już żadnych złudzeń co do reputacji księcia.

Dziennik Celinora nie przypominał go w niczym, poza wzrostem.

Nie, Erin nie była zainteresowana podobnymi osobnikami. Mówiono, że gdy zeszłego roku podczas święta Tolfest Celinor wyjechał na ulice miasta Crowthen z wozem pełnym jałmużny dla ubogich mieszkańców, pijany jak wieprz rozrzucił jedzenie, ubrania i monety, a gdy te się skończyły, zdjął własne portki ze złotogłowi i też cisnął je w tłum. Wzbudził tym zgorszenie, szczególnie matek z dziećmi, a wieść niosła, że okazało się wówczas, iż nie tylko poddani, ale także natura hojnie go obdarowała.

Pijał podobno tyle, że zaiste nikt nie potrafił orzec, kiedy właściwie mości księżę zdołał nauczyć się konnej jazdy, szczególnie że chyba więcej razy spadł z siodła, niż mil w życiu przejechał.

Jego lud zwał go Wściekłym Psem, a to od piany piwa, która nagminnie gościła na jego wargach.

W godzinę cała kompania dotarła do wioski Hayworth nad rzeką Dwindell. Tutaj wszyscy zatrzymali się i podjechali do nurtu na wschód od mostu, by konie mogły ugasić pragnienie. Podczas gdy zwierzęta piły, Erin zeskoczyła z siodła i posmakowała wody. Dwindell była szeroka i głęboka, jej czysty nurt pełen był wirów. Na niebie snuły się chmury, ale słońce było już na tyle wysoko, że pozwoliło dostrzec kręcącego się pod powierzchnią olbrzymiego pstrąga, a nawet kilka łososi.

Erin zdjęła płótno, którym obwiązała sobie twarz, uklękła na brzegu, zmoczyła materię i otarła nią czoło. Najchętniej zdjęłaby zbroję i trochę popływała, ale nie było na to czasu.

Księżę Celinor też zsiadł z konia i zsunął hełm pokryty polerowanym srebrem. Dwakroć napelniał go wodą, by opłukać, potem napelnił po raz trzeci i napił się zeń niczym z pucharu. Gdy skończył, podał zaimprovizowane naczynie Erin, a sam wziął się do mycia twarzy. Erin wypila kilka głębokich łyków. Nigdy jeszcze zwykła woda aż tak bardzo jej nie smakowała.

Król Gaborn wyglądał na zbyt zmęczonego, by zsiadać, chociaż też był cały pokryty pyłem.

Celinor spojrzał na niego. Twarz króla kapłała się akurat w pełnym blasku słońca.

- Teraz jest Królem Ziemi jak się patrzy. Nosi swe królestwo na sobie - powiedział Celinor i zachichotał rozbawiony własnym żartem.

- I nikt nie podołałby temu lepiej - odparła Erin, która sama nigdy nie wygłosiłaby czegoś równie dwuznacznego.

- Nie znaczy to, żebym go nie szanował - stwierdził Celinor tonem, w którym pobrzmiwała chyba nawet szczerza skrucha.

Erin wcisnęła mu zdecydowanym gestem hełm w dłoń. Celinor napelnił go ponownie i zaniósł Gabornowi. Potem zmoczył płótno i też mu je podał. Król otarł sobie twarz i serdecznie podziękował księciu, Erin zaś zastanowiła się, czy te uprzejmości Celinor przedsięwziął naprawdę z własnej, szczerzej chęci, czy może tylko dla zatarcia niemiłego wrażenia spowodowanego niestosownym żartem.

Gdy wierzchowiec Gaborna się napił, obaj królowie czym prędzej przejechali przez most i skierowali się do zajazdu Dwindell w Hayworth, gdzie z dawna podawano podróżnym napoje o wiele lepiej odświeżające gardło niż najczystsza nawet woda. Erin pomyślała, że przy takiej masie wojska podążającej gościńcem oberżysta zarobi dziś chyba krocie.

Umyła się, skoczyła na siodło i podążyła za władcami. Nie umknęło jej uwagi, że Celinor z uporem jedzie z nią strzemień w strzemień.

Jednak przed zajazdem pozostał w siodle i tylko popatrywał na Erin, która stanęła w cieniu na ganku i obejrzała się na niego. Wkoło unosił się mocny, słodowy zapach piwa. Przez wieki podłogi gospody przesiąkły nim chyba na wskroś.

- Wchodzisz? - spytała.

Książę z poważną miną pokręcił głową.

- Pojadę z wolna naprzód - powiedział tonem przeprosin. - Dam koniowi trochę odetchnąć.

Erin weszła do gospody, Dziennik podążyła za nią. Usiadły przy osobnym stole, a po chwili zjawiała się młoda, obsługująca gości dziewczyna.

- Czego sobie panie życzą?

Z Ordenem siedział brzuchaty właściciel zajazdu, swobodnie z nim rozmawiając. Słysząc było, jak gratuluje królowi niedawnego małżeństwa.

- Ja wezmę piwo - powiedziała Erin i dziewczyna odeszła. Oberżysta ruszył się od stołu i zbiegł do piwnicy, by pomóc przynieść kilka beczulek piwa.

- Wydaje mi się, że książę Celinor z jakiegoś powodu lęka się do nas dołączyć - powiedział wysokim, czystym głosem król Orwynne, zwracając się do Gaborna.

- I dobrze - odparł młody król. - Mam nadzieję, że zostało mu dość charakteru, by dziś tu nie zaglądać.

- I myślisz, że to wystarczy? - spytał Orwynne. - Nie wierzę, by nawet wszystkie moce Króla Ziemi zdołały go choć na tydzień oderwać od trunków. Stawiam dziesięć sztuk złota, że najpóźniej jutro o zachodzie spadnie z konia.

- Mam nadzieję, że nie - mruknął Gaborn, ale nie przyjął zakładu.

- Wasza wysokość - odezwała się Erin - rozmawiałeś z księciem Celinorem?

Król Orwynne spojrzał na nią pogardliwie. Jak wielu innych władców, nie szanował kobiet z Fleeds, jednak odezwał się pierwszy, przed Gabornem.

- Rano, zanim jeszcze wyjechaliśmy, ten drań miał śmiałość przedstawić się Królowi Ziemi. Chciał oddać w jego służbę swój miecz. Król Ziemi odmówił mu, oczywiście.

Gaborn spuścił wzrok na swoje dłonie złożone na stole.

- Nie osądzaj go zbyt surowo - powiedział. - On ma dobre serce, ale nie potrafiłbym z czystym sumieniem wybrać kogoś, kto piwo ukochał bardziej niż siebie i swoich towarzyszy.

- Odprawileś go więc? - spytała Erin.

- Nie odprawiłem - wyjaśnił Gaborn. - Poprosiłem, by okazał chęć poprawy i porzucił to, co dotąd sprawiało mu największą uciechy. Jeśli zachowa trzeźwość, ja w zamian go wybiorę.

Erin nie słyszała dotąd, by Król Ziemi zawierał podobne umowy. Ją wybrał od razu i bez pytania o cokolwiek. Spodobało jej się jednak, że chce kogoś nakłonić do poprawy, oferując mu nagrodę.

Gdy przyniesiono jej piwo, upiła tylko mały łyk i wyszła z kuflem przed gospodę, gdzie stał uwiązany jej wierzchowiec. Wylała trochę piwa na dłoń i podała koniowi. Wypił, łaskocząc jej dłoń włoskami rosnącymi wkoło nozdrzy. Trochę mocniejszego napoju powinno dodać mu sił potrzebnych, aby dorównał pozostałym rumakom. Miał wprawdzie po jednym darze krzepy, metabolizmu i sprawności, ale ustępował znacznie wierzchowcowi Gaborna i jego towarzyszy.

Erin zastanowiła się nad słowami króla. Stwierdził, że książę ma „dobre serce”, ale co to właściwie miało znaczyć? Wczoraj Celinor otwarcie kwestionował monarsze przymioty Gaborna. Marszałek wielki dał do zrozumienia, że książę może być nawet szpiegiem nasłanym na Gaborna, by go doprowadzić do zguby, jakim więc cudem Orden dojrzał dobro w jego sercu?

Trudno było dopatrzeć się w tym sensu. Chyba że Gabornowi wątpliwości Celinora z jakiegoś powodu nie przeszkadzały.

Gdy napiła wierzchowca piwem, Erin odniosła szklany kufel do środka, rzuciła miedziaka na stół i wyszła razem z Dziennik. Niespiesznie wyjechały z wioski.

Celinora i jego Dziennika znalazła na łące nakrapianej żółtymi mleciami i białymi kwiatami czosnku. Książę szcztokował pasącego się konia.

Erin wzięła się do tego samego. Sprawdziła pęciny i kopyta wierzchowca. Z jednej z podków wypadły dwa gwoździe, ale poza tym wszystko było w porządku.

Celinor nie spuszczał z niej wzroku.

- Dziwi mnie, że nie siedzisz z innymi - powiedział w końcu. - Do Bannisferre nie spotkamy zbyt wielu podobnych przybytków.

Erin nie śmiała tego wyjaśnić, ale jej kodeks honorowy nakazywał stawać u boku każdego, kto toczy walkę. Nawet jeśli jest to walka z własną słabością.

- Skoro nie musimy jechać zwartym szykiem, to pomyślałam, że dobrze będzie, jeśli wyprawię się trochę wcześniej - stwierdziła. - Niech dla odmiany inni poddychają teraz wzbitym przeze mnie kurzem.

- Jestem pewien, że będzie im miło pachniał - zachichotał Celinor.

Erin tylko się uśmiechnęła i pomyślała, że księżę chyba rzeczywiście nie zamierzał szydzić z króla. Widać ma po prostu prześmiewczą naturę.

- Uznałeś więc w końcu, że Gaborn jest Królem Ziemi? - rzekła. - Słyszałam, że ukląkłes przed nim.

- Po tym, jak odprawił marszałka wielkiego - odparł księżę - uznałem, że albo jest wariatem, albo pomazańcem. Na obłąkanego jednak nie wygląda. Mnie zresztą też odesłał, ale byłbym naiwny, gdybym oczekiwał czego innego.

- Nie odesłał. Słyszałam, że odroczył tylko decyzję.

- Istotnie. - Celinor uśmiechnął się, przechylając głowę. - Mam nadzieję, że któregoś dnia okaże się wart jego błogosławieństwa. Na razie wytrzymałem już dwadzieścia godzin bez napitku.

Erin szukała właśnie w myślach jakiejś budującej kwestii, która zagrzałaby go do walki z trunkiem, gdy nagle się zdziwiła. Dwadzieścia godzin? Z Gabornem rozmawiał rano, a wszystkie gospody w mieście były przecież przez całą noc pełne gości świętujących koniec Hostenfest! Tradycja nakazywała pożegnać ten dzień toastem. Czyżby księżę nie skorzystał z okazji?

- Dwadzieścia godzin? - spytała. - Ale na służbę chciałeś mu się oddać dziś rano.

- Już wczoraj ślubowałem, że zrywam z piciem. Spojrzała na niego zaintrygowana.

- Wiem, że mną gardzisz - stwierdził. - I słusznie. Musiałem w końcu przyznać ci rację: brak mi innych przyjaciół, jak tylko bywalcy piwiarń. Wolałbym, żeby było inaczej i żeby nie musiał odnajdywać w twoich oczach wyłącznie obrzydzenia.

Erin uśmiechnęła się, słysząc, że przyczyniła się do tego, iż podjął decyzję o poprawie. Jednak nie uwierzyła księciu bez reszty.

- Pojedziesz ze mną? - spytała.

- Z chęcią skorzystam z zaproszenia - odparł Celinor. Skoczyli na siodła i odjechali strzemię w strzemię.

ZŁY DZIEŃ DLA KSIĄG

Król Orwynne wdał się w długi monolog na kilka tematów naraz, jednak Gaborn nie słuchał. Nazbyt pochłaniało go co innego. Już od rana czuł w głębi piersi narastający ucisk, przeczucie nadciągającego niebezpieczeństwa.

Jego obawy o ludzi z miasta Sylvarresta zmały wyraźnie, chociaż nie wszyscy jeszcze je opuścili. Sporo pozostawało ciągle w obrębie murów. Gaborn wyczuwał także obecność Iomy i Myrrimy.

Jakimiż mocami może władać ten czarny glory, skoro stwarza tak silne poczucie zagrożenia? Narastało z każdą chwilą i Gaborn obiecał sobie, że nie będzie czekał zbyt długo z ostrzeżeniem innych. Kiwał zatem tylko głową co kilka zdań rozmówcy, ale prawie nie śmiał się ruszyć, przygnieciony obawami. W tym i o samego Orwynne'a.

Źle byłoby go stracić, pomyślał. Muszę się o niego dobrze zatroszczyć. Król Orwynne był naprawdę lojalnym sojusznikiem, a o takich coraz trudniej. Jego żołnierze z darami będą bardzo potrzebni podczas przejazdu na południe.

Od stołu wstali dobrze po pierwszej po południu. Do Hayworth wlewały się wciąż całe tłumy wojska łaknącego krótkiego wypoczynku. Oberżysta wyniósł beczki z piwem na ganek i służąca napełniała podawane jej kufle, których było stanowczo za mało wobec liczby spragnionych. Nie miała nawet kiedy ich umyć. Zbierała tylko podsuwane wraz z naczyniami miedziaki i zwijała się jak w ukropie.

Królowie musieli przepchnąć się przez tłum, żeby dojść do swoich koni. Gaborn odwiązał wodze od żerdzi. Czasu mieli coraz mniej.

Nagle ktoś trącił go w ramię. Dziennik. Gaborn odwrócił się i spojrzał uczonemu w oczy. Odziany w brązy mężczyzna wyglądał na wstrząśniętego.

- Wasza wysokość... - zaczął i rozłożył bezradnie ręce, jakby chciał powiedzieć: „Nie wiem, jak wyrazić mój smutek”.

- Co? - spytał Gaborn.

- Przykro mi, wasza wysokość - pociągnął Dziennik. - To będzie bardzo zły dzień dla ksiąg. Naprawdę mi przykro. - Otaczająca Gaborna aura śmierci robiła wrażenie nawet na nim.

- Zły dzień dla ksiąg? - wykrztusił wystraszony nie na żarty Gaborn. Oto stanął nad przepaścią. Ale jeśli to atak, to gdzie napastnik? - Co? Co się dzieje? - spytał podniesionym głosem.

Król Orwynne też to usłyszał i patrzył teraz ze zmarszczonymi brwiami to na Gaborna, to na jego Dziennika.

- Wasza wysokość?

Gaborn zerknął na zaniesione ołowianymi chmurami niebo i wysłał Iomie i pozostałym w mieście Sylvarresta ostrzeżenie: „Uciekajcie!”

Wsunął stopę w strzemiono i chciał wskoczyć na siodło, gdy nagle świat wkoło zawirował. Skręcające bólem mdłości prawie go sparaliżowały. Przez chwilę stał oparty o siodło.

Zaatakował mnie niewidzialny wróg, pomyślał.

- Wasza wysokość! - krzyknął król Orwynne. - Dobrze się czujesz?!

Mdłości wróciły jeszcze silniejsze. Gaborn stracił na chwilę orientację.

W końcu pokręcił głową i przysiadł roztrzęsiony na ganku gospody. Było tu brudno, ale i ciepło. Ludzie odsunęli się na bok, by dać mu odetchnąć świeżym powietrzem.

- Chyba go otruto! - zakrzyknął król Orwynne.

- Nie. To darczyńcy umierają - powiedział słabym głosem Gaborn. - Raj Ahten jest w Błękitnej Wieży.

W BŁĘKITNEJ WIEŻY

Tego ranka nad morzem zalegała gęsta mgła, w której niosły się tylko krzyki mew i nieustanny szum szturmujących skały fal.

Raj Ahten ominął w mlecznym oparze strzegące wybrzeża okręty i wiosłował tak długo, aż znalazł się u podstawy Błękitnej Wieży.

Ramiona bolały go od pracy wiosłami. Król Mendellas Orden kopnął go mocno podczas bitwy o Longmot i połamał wszystkie kości w okolicy prawego obojczyka. Dzięki tysiącom darów sił życiowych nie mogło to zagrozić życiu Wilka, ale przez miniony tydzień chirurdzy wiele razy musieli rozcinać mu ciało i łamać ponownie te same kości, żeby je wyprostować. Wszystkie rany goiły się w kilka chwil, niemniej ból był porażający, a ramię wciąż nie sprawiało się wiele lepiej. Cholerni Mystarrianie, pomyślał Ahten. I król Orden, i jego syn.

W ciągu kilku dni Wilk zdołał zebrać tyle darów, że jego metabolizm wrócił do poprzedniej szybkości. Znow był gotów do wojny. A teraz dotarł do wyrastającej z mgły Błękitnej Wieży, pradawnej i olbrzymiej budowli, która kryła większość darczyńców Mystarrii.

Raj Ahten stanął na dziobie zgrabnej łódki z obciążonej brezentem wikliny i dobył z głębi gardła niski dźwięk. Nie był to krzyk, raczej pomruk czy głuchy łomot, zaśpiew tak nastrojony, by przenikał jak najgłębiej, mroził powietrze i zmuszał kamienie do podjęcia własnej pieśni.

Wilk przekonał się już, że głośny krzyk mu nie służy, toteż poszukał brzmienia cichszego, ale działającego równie skutecznie. Utrzymał je przez długą chwilę, nasłuchując odpowiedzi skał, aż dobiegł go trzask pękających kamieni i krzyk przerażenia ludzi z wieży. Nie były wiele głośniejsze od zawodzenia mew. W końcu wielkie bryły murarki zaczęły odpadać spod blanków. Jeden za drugim niktęły w pianie przyboju.

Ahten wciąż śpiewał i zapadły się piętra wieży. Ci i owi próbowali ujść przed zagładą, skacząc z okien.

Nie ustawał, gdy wieżyczki załamywały się jedna po drugiej, a gargulce odpadały od murów niczym upiorne parodie tragicznych ludzkich postaci. Śpiewał jeszcze, kiedy Błękitna Wieża przechyliła się powoli w lewo i runęła do morza.

Pośród mgły podniósł się z podstaw rumowiska tuman dymu i pyłu. Okręty, które miały strzec wieży, dopiero teraz postawiły żagle i ruszyły w jej pobliże.

Ale Błękitnej Wieży już nie było. Legła w gruzach, podobnie jak upaść miała teraz cała Mystarria. Darczyńcy zginęli wraz ze swymi opiekunami i strażnikami.

Raj Ahten zawrócił łódź i mocniej pociągnął za wiosła. Bez trudu zszedł z drogi powoli nadpływającym okrętom. Grzbiet bolał go niemiłosiernie, ale ulgę przynosiła mu myśl, że Gaborn Val Orden cierpi teraz nieporównanie bardziej.

20

BOLEŚĆ KRÓLA ZIEMI

Gaborn nigdy jeszcze nie przeżył śmierci darczyńcy. Mówiono mu, że powoduje to konwulsje i mdłości, że człowiek czuje się wtedy, jakby tracił wydzieraną tajemniczą siłą część siebie.

Teraz wiedział już, jak to jest. Z mdłościami ubyło mu sił i zbroja zaciążyła nieznośnie na barkach, a trzy nie przespane noce, które wcześniej dzięki darom sił życiowych w ogóle mu nie doskwierały, teraz upomniały się o swoje wszechogarniającym zmęczeniem.

Król Orwynne patrzył przerażony na Gaborna, który zgiął się w pół jak uderzony w żołądek. Wyglądał na załamanego, prawie umierającego.

Jednak nie myślał w tej chwili tylko o swoim bólu. Błękitna Wieża była schronieniem dla większości darczyńców Mystarrii, a zbrojni tej krainy stanowili blisko trzecią część zbrojnych Rofehavanu.

Podkomendni diuka Paldane'a mieli być od tej chwili zwykłymi ludźmi lub rycerzami o zakłóconych proporcjach darów: silnymi może, ale powolnymi, mądrymi, ale słabymi. I kogóż Łowczy pchnie teraz przeciwko oddziałom ostrzącym już najpewniej miecze do rzezi?

Gaborn zastanawiał się wieczorem, gdzie podział się Raj Ahten. I oto się dowiedział.

Mystarrię czekała teraz najpewniej zagłada. Może nawet cała Północ upadnie wraz z nią. Jak mogło dojść do takiej katastrofy? Paldane musiał przecież wzmocnić ochronę wieży, wystawić podwójne, a może i poczwórne straże. Gaborn wyobraził sobie wielką budowlę chylącą się ku morzu i głązy spadające w pienistą toń.

Miał wrażenie, że sam też rozpada się na kawałki. Stracił trzy dary krzepy i czuł się słaby jak dziecko. Obraz przed oczami okrył się jakby mgłą - to był znak śmierci tych ślepców, którzy trwali w wieży, oddawszy mu wzrok.

Przez lata dumny był z tego, czego nauczył się w Domu Zrozumienia, ale teraz większość z tej wiedzy uleciała. Nie potrafił nawet przywołać obrazu Iomy. Brzmiące dotąd wyraźnie w uszach śpiewy krążących nad miastem ptaków też raptownie znikły.

Gdy wszystko to już się dokonało, ogarnęła go wściekłość.

- Ty draniu! - krzyknął na swojego Dziennika. - Ty tchórzliwy draniu! Jak mogłeś mnie nie ostrzec? - Ale jego głos brzmiał słabo, skoro i gromada niemych na jego służbie odeszła. - Zły dzień dla ksiąg, zaiste!

- Przykro mi - powtórzył Dziennik w daremnej próbie przeprosin.

Król Orwynne usiadł na deskach obok Gaborna i objął go z troską.

- Odpocznij - powiedział starszy znacznie władca. - Odpocznij. Wszystkich darczyńców zabił?

Gaborn wciąż zmagał się z pokusą, by poddać się zmęczeniu, porzucić nadzieję, pogodzić z nieuniknionym.

- Nie żyją! - powiedział. - Błękitna Wieża legła w gruzach.

- Wyglądasz prawie jak trup, wasza wysokość - stwierdził Orwynne. - I co teraz mamy zrobić? Gdzie się udać? Czy chcesz, żebyśmy poszukali darmistrza, by zapewnił ci nowe dary przed wyruszeniem na południe?

Gaborn wiózł ze sobą dwadzieścia tysięcy drenów. To była spora pokusa, jednak nie chciał już zwracać do zamku Sylvarresta.

- Nie, musimy jechać dalej - powiedział. Chciał dotrzeć do zamku Groverman przed zmrokiem, a tam powinien być jakiś darmistrz. - Mam tyle sił co każdy. I wciąż jestem Królem Ziemi. - Pozbierał się z desek i wdrapał na siodło.

Cokolwiek jednak zamyślał o sobie, nie mógł dłużej ignorować niebezpieczeństwa, które zawisło nad jego ludźmi.

- Uważajcie - przekazał wybranym wojownikom. - Śmierć czai się blisko.

CENA POCZĘSTUNKU

Wczesnym popołudniem Borenson stracił swoje dary. Siedząc w siodle, poczuł, jak zwalnia jego metabolizm. Czas znowu zaczął płynąć dlań jak dla zwykłego człowieka.

W pierwszej chwili, gdy ogarnęły go mdłości, myślał, że to jakaś przypadłość żołądka, ale potem wszystko poszło tak gwałtownie, że nie potrafił nawet powiedzieć, co stracił w pierwszej, a co w drugiej kolejności. Kilka uderzeń serca i już był całkiem pusty.

Równocześnie ogarnął go smutek i wielki żal po tych wiejskich chłopakach, w których oczy spoglądał niegdyś, lata temu, gdy oddawali mu krzepę. Wszystko młodzi, obiecujący ludzie, a poświęcili się dla niego.

Właściwsze byłyby im teraz figle z dojarkami, a nie nagła śmierć w Błękitnej Wieży, pomyślał Borenson i przypomniał sobie jeszcze starą Tamarę Thane. Gdy był dzieckiem, przynosiła mu ciepłe jęczmienne placki, a potem oddała w potrzebie własny metabolizm. Kto tylko ją poznał, zawsze potem za nią tęsknił.

Na równi, a może jeszcze bardziej, żałował siebie, szczególnie że śmierć jego darczyńców przypomniła mu o tym, co sam zmuszony był zrobić minionego tygodnia w zamku Sylvarresta, o najgorszym z koszmarów.

Przez większość poranka konwojujący Borensona Niezwyciężony jechał w milczeniu. Niczym wichura przemknęli przez Deyazz, krainę słońca świecącego jaśniej niż w jakimkolwiek innym znanym Borensonowi zakątku świata. Było tu naprawdę pięknie, a na dodatek, chociaż odjechali ledwie pięćset mil na południe od Heredonu, pogoda zmieniła się radykalnie, ledwie przekroczyli góry Heist.

Deyazz leżało na północ od Wielkiej Słonej Pustyni, najgorętszego miejsca w samym sercu Indhopalu, skąd suche wiatry regularnie przywiewały pustynny żar, i chociaż nie należało

do krain tropikalnych, nawet w środku zimy rzadko można tu było natknąć się na zamrzniętą wodę.

Wzdłuż koryta rzeki Anshwavi aż kipiało zielenią. Na zalanych ryżowych polach widać było wielu chłopców w płóciennych przepaskach biodrowych, pracujących obok swoich matek i sióstr. Pomędzy nimi brodziły czaple polujące na drobne rybki.

Borenson przejeżdżał przez miasta wzniesione z pobielanej suszonej cegły, w których okoliczni władcy pobudowali sobie majestatyczne pałace z okładanymi złotem kopułami. Pomędzy strzelistymi kolumnami krążyły ciemnowłose kobiety w jedwabnych sukniach. Inne jeszcze, ze złotymi pierścieniami noszonymi w uszach lub nosach, przesiadywały nad czystymi, odbijającymi niebo stawami.

Wszędzie widywał szerokie, zalane słońcem aleje, które żadną miarą nie przypominały wąskich uliczek warownych miast Heredonu. Miasta Deyazzu pachniały wręcz czystością, no ale też mniej było w nich ludzi i zwierząt niż na Północy.

Tylko znaki wojny tak samo rzucały się w oczy. Co rusz mijały ich kolumny wojska, a zamki wzdłuż granicy był wręcz przepełnione zbrojnymi. Ludzie na ulicach patrzyli na jadącego w towarzystwie Niezwycięzonego Borensona z wielką nieufnością, mali chłopcy obrzucali go figami, a ich matki nie żałowały przekleństw.

Tylko parę razy usłyszał od starszych kobiet czy mężczyzn napawające niejaką nadzieją pytanie: „Czy widziałeś Króla Ziemi?”

Gdy utracił dary i siły go opuściły, musiał owinąć łańcuchy kajdan wokół łęku siodła, by nie spaść. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Pomocy! - zawołał. Nie spał od wielu dni i nie jadł nic od późnego wieczora. Dotąd zmęczenie ani senność mu nie dokuczały, ale obecnie przestał prawie cokolwiek widzieć przez zasłonę ciemności, a żołądek ścisnął mu się z głodu.

Jego strażnik spojrzał ponuro, jakby oczekiwał, że to jakiś podstęp gościa z Północy. Jechali właśnie główną, targową ulicą jednego z miast. Stragany kupców pachniały silnie imbirem, kminkiem i anyżkiem, papryką i ostrym pieprzem. Starzy i bezzębni mężczyźni w turbanach siedzieli pod parasolami chroniącymi ich przed południowym słońcem, uśmiechali się do Niezwycięzonego i zapraszali go do skosztowania towaru. Podsuwali ryż gotowany na parze w bambusowych koszykach ustawianych ponad mosiężnymi kociołkami, zachęcali do sięgania po przyprawy i różne sosy curry czekające w małych miseczkach. Inni sprzedawali nadziane wciąż na patyki, pieczone nad ogniem gołębie unurzane w sosie ze śliwek. Widać też było marynowane jaja szpaków i wielkie beczki z karczochami, a wszędzie leżały stopy owoców: mandarynek, pomarańczy, melonów, fig, kandyzowanych daktyli i suszonych kokosów.

- Zatrzymaj się! - krzyknął znów błagalnie Borenson. - Twój pan dostał się do Błękitnej Wieży w Mystarii.

Pochylił się w siodle, ze wszystkich sił starając się nie zasnąć. Przytępione zmysły odmawiały posłuszeństwa, zdało mu się, że zaczyna widzieć majaki. Zmęczenie nie dawało się już oszukać.

Niezwyciężony spojrzał na niego kątem oka.

- Błękitna Wieża to dobry cel. Sam zachęciłbym mojego pana do złożenia tam wizyty. - Przyjrzał się Borensonowi podejrzliwie, chociaż przecież targ byłby chyba najgorszym możliwym miejscem na jakiegokolwiek sztuczki. - Czy mogę dla ciebie cokolwiek uczynić? - spytał w końcu.

- Nie - odparł Borenson, bo przecież nic nie mogło złagodzić bólu i żalu związanego z utratą darczyńców. Nikt nie przywróci mu wspomnień ani nie uwolni od coraz silniej ogarniającego go odrętwienia. - Tyle że nagle poczułem wielkie zmęczenie i głód. Nie wiem, czy nie zasnę za chwilę. Od wielu dni nie miałem okazji zmrużyć oka.

- Więc to prawda, co powiadają - mruknął Niezwyciężony. - Wojownik bez darów to żaden wojownik.

Jakiś straganiarz skorzystał z tego, że przystanęli, i podbiegł do Niezwyciężonego z kaskiem krokodylowego mięsa przyrządzonego na słodko z pieprzem. Po chwili pojawili się też właściciele innych straganów, ale wszyscy ignorowali rudowłosego przybysza z Mystarrii.

Apetyczna woń podsuwanych potraw sprawiła, że żołądek zawiązał się Borensonowi w supeł.

- Może zatrzymalibyśmy się, żeby coś zjeść? - zaproponował.

- Myślałem, że ci się spieszy - odparł Niezwyciężony niewyraźnie, bo mówił z pełnymi ustami.

- Owszem, ale jestem też głodny.

- Co jest ważniejsze? Pośpiech czy głód? Czuję, że zależy ci na czasie, i nie robiłem postojów. Poza tym nie można być niewolnikiem swego żołądka. To żołądek winien służyć człowiekowi. Wam, grubasom z Północy, nie zawadziłoby czasem o tym pamiętać.

Borenson był rośli i potężny, ale nigdy nie miał się za grubego. Chociaż, z drugiej strony, musiał przyznać, że nie widywało się w Deyazie mężczyzn równie ciężkich jak on.

- Chcę tylko trochę jedzenia. Nie musimy zatrzymywać się na długo.

- A jak mi zapłacisz? - spytał Niezwyciężony.

Borenson spojrzał na stragany. Był jeńcem, co pozbawiało go jakiegokolwiek wyboru. Tutaj, na Południu, władcy rzadko żywili swoich więźniów. Zwykle oczekiwano, że zajmą się tym ich rodziny lub przyjaciele. Oni też mieli więźnia ubierać i leczyć.

Poza tym jako jeńiec nie miał sam prawa niczego kupować.

- Mam złoto w sakiewce - powiedział, zastanawiając się, na jak długo starczy mu pieniędzy, by płacić strażnikom za jedzenie. Był przekonany, że Niezwyciężeni ustalą maksymalną stawkę dla pewności, by dozorczy więzienni przypadkiem się nie obłowili.

Wojownik roześmiał się i spojrzał na Borensona z czystym rozbawieniem.

- Jesteś w okowach, przyjacielu. Jeśli zechcę, zabiorę ci sakiewkę, czy będziesz tego chciał, czy nie. Musisz znaleźć lepszy sposób zapłaty.

- Powiedz jaki - rzekł Borenson, zbyt zmęczony, by dyskutować.

- Zastanowię się nad tym - rzucił Niezwyciężony, przechylając głowę, i kupił nieco pieczonej kaczki z ryżem oraz dwie limony. Stary sprzedawca podał mu też dwie tanie gliniane miski, aby mieli z czego jeść.

Wyjechali szybko z miasta i zatrzymali się przy tysiącletnich chyba ruinach starego pałacu w zakolu rzeki Anshwavi.

Puścili konie luzem, by mogły się napić i popaść. Niezwyciężony podprowadził też Borensona do wody, żeby mógł się umyć przed jedzeniem. Potem siedli na obalonej marmurowej kolumnie i sięgnęli po jedzenie. Żyłkowy zielono kamień był wygładzony, widać podróżni często siadali na nim, by spożyć posiłek.

Niezwyciężony rozciął zakrzywionym ostrzem limony i wycisnął ich sok na delikatnie przyprawione mięso i ryż. Widząc to, Borenson nie wytrzymał i sięgnął po miskę, ale Niezwyciężony tylko się uśmiechnął, jakby chciał się z nim podrażnić.

- Najpierw zapłata - powiedział.

Borenson popatrzył na niego wyczekująco. Czego tamten zażąda? Pierwszorzędnego łuku? A może zbroi?

- Opowiedz mi o Królu Ziemi - polecił Niezwyciężony. - Opowiedz, jaki jest. I mów prawdę.

Trwało chwilę, nim Borenson zebrał myśli.

- Co chcesz wiedzieć? - spytał.

- Podobno mój pan uciekł przed nim z pola bitwy. Czy to prawda?

- Tak.

- Musi być zatem strasznym wojownikiem. Raj Ahten rzadko podaje tyły.

- Niezupełnie. - Borenson nie chciał wyjawiać całej prawdy. Uznał, że niemądrze byłoby zdradzać, jak bardzo Gaborn nie cierpi przyjmować darów i że nie może równać się pod względem ich liczby z Wilkiem.

- Ale jest wysoki i silny?

Borenson prychnął śmiechem. Wiedział już, o co chodzi temu człowiekowi, który też musiał marzyć niekiedy o nadejściu przepotężnego Króla Ziemi.

- Nie, nie jest wysoki - powiedział Borenson, chociaż wiedział, że w pewnych rejonach Indhopalu słuszny wzrost uchodzi za wielką zaletę, a wszędzie oczekuje się po królach i wodzach, że sięgną głową nieba. - Jest niższy od ciebie o dłoń.

- Ale mimo to na pewno przystojny? Tak jak mój pan, Raj Ahten.

- Nie ma żadnych darów urody - wyjaśnił Borenson. - Raj Ahten jest porażająco piękny, podczas gdy mój pan przypomina raczej strzelającą w mrok iskrę z ogniska.

- Aha - mruknął Niezwyciężony, jakby teraz dopiero zrozumiał, co słyszy. - Zatem prawdę gadają, że Król Ziemi jest brzydki i niski!

- Owszem. Jest niższy i o wiele brzydszy niż Raj Ahten.

- Ale mądry. Przebiegły do tego i sprytny.

- Jest całkiem młody i nie zdążył nabyć wielkiej mądrości. A gdyby ktoś nazwał go przebiegłym albo sprytnym, poczułby się urażony.

- Przecież podszedł mojego pana w walce! Pchnął bydło i kobiety przez równinę, a mój pan pomyślał, że to armia, i uległ obawom.

- W tej sprawie chyba po prostu miał sporo szczęścia - powiedział Borenson. - Po prawdzie to nie był nawet jego pomysł. Żona mu go podsunęła.

- Więc do tego wszystkiego przyjmuje jeszcze rady od kobiet! - W Indhopalu sugestia, że ktoś radzi się kobiet, bywała niekiedy równoznaczna daniu do zrozumienia, iż jest głupi albo że żaden z niego mężczyzna.

- Słucha tak mężczyzn, jak i kobiet - stwierdził dobitnie Borenson.

Niezwyciężony uśmiechnął się z wyższością. W blasku słońca dzioby na jego ciemnej twarzy były o wiele lepiej widoczne.

- Widziałeś mojego pana, Raja Ahtena? - spytał.

- Widziałem.

- Nie ma nikogo wspanialszego. Nikogo przystojniejszego ani straszniejszego w walce. Wrogowie słusznie przed nim drżą, a lud słucha go bez szemrania.

Borenson wyczuł w tonie rozmówcy coś dziwnego. Nutę prowokacji? Chęć wysondowania?

- W tym jesteśmy zgodni. Jest najsilniejszy, najsprytniejszy, najprzystojniejszy i budzi największy lęk.

- Dlaczego więc służysz Królowi Ziemi?

- Nie ma nikogo przystojniejszego niż twój pan, ale trudno by też znaleźć kogoś równie przesiąkniętego złem. Czy dobrze zrozumiałem, że jego własny lud boi się go nie mniej niż wrogowie waszego kraju?

- W Indhopalu takie słowa kosztują życie! - ostrzegł go Niezwyciężony. Z płonącym wrokiem położył odruchowo rękę na szabli i wyciągnął ją do połowy z pochwy.

- Karzecie tu śmiercią za mówienie prawdy? Przypomnę ci, że sam nakazałeś mi szczerość. Czy mam zapłacić życiem za posiłek?

Niezwyciężony nie odezwał się.

- Ale nie odpowiedziałem ci jeszcze na pytanie. Służę Królowi Ziemi, bo jest dobrego serca. Kocha swój lud. Kocha nawet wrogów i próbuje ich ratować. Służę Królowi Ziemi,

ponieważ ziemia go wybrała i dała mu swą moc, a tego Raj Ahten nigdy nie uzyska, choćby zebrał jeszcze większe armie niż dotąd i był jeszcze piękniejszy!

Niezwyciężony wybuchnął rubasznym śmiechem.

- Zarobiłeś na michę, przyjacielu! Mówiłeś szczerze i dziękuję ci za to. Nazywam się Pashtuk - dodał, ściskając dłoń Borensona.

Potem podał mu miskę z kaczką i ryżem. Borenson nie mógł się nadziwić, że Pashtuk nazwał go przyjacielem. W Indhopalu nie nadużywano podobnych określeń. Uznał więc, że może zadać jeszcze jedno pytanie.

- Czy w dzieciństwie marzyłeś czasem o przybyciu Króla Ziemi, Pashtuk? Wyobrażałeś sobie, że trafisz do jego orszaku? Czyżbyś i teraz pragnął mu służyć?

Niezwyciężony spojrział w zamyśleniu na łyżkę ryżu, którą unosił do ust.

- Nigdy nie sądziłem, że będzie niski i szpetny i że zechce słuchać kobiet. Nie myślałem też, że objawi się w krainie wroga...

Borenson nie pytał już więcej, tylko zajął się jedzeniem. Porcja nie była duża, ledwie zaspokoila głód, ale żołądek przestał dokuczać i rycerz zaraz poczuł się lepiej.

Zastanowił się nad skutkami śmierci mieszkańców Błękitnej Wieży. Skoro on stracił swoje dary, to samo musiało spotkać tysiące innych. Wprawdzie wielu władców wołało samodzielnie chronić swoich darczyńców, ale w wieży było ich najwięcej. Stała od tysięcy lat i tylko raz, czterysta lat temu, król Tison Śmiały zdołał jej zagrozić. Władcy Mystarrii wpadli więc najpewniej w panikę, a co gorsza, Gaborn też musiał ucierpieć.

Raj Ahten nie miał szans dopaść Gaborna w Heredonie. Nie mógł ryzykować posyłania armii na północ, w okolice opanowane przez służące Rofehawanowi duchy Mrocznej Puszczy. Szukał sposobu, by wywabić Ordna na korzystny dla siebie teren. Gaborn miał nadzieję, że Paldane zapobiegnie podobnym próbom, że sam odeprze ataki na Mystarrię. Łowczy był stary, mądry i waleczny, stoczył niegdyś dziesiątki kampanii przeciwko pomniejszym tyranom, długo zwalczał pospolitych zbrodniarzy. Nikomu nie można było ufać bardziej niż jemu. Tyle że nawet Paldane nie mógł walczyć ze związanymi rękami, a Raj Ahten właśnie mu je spętał.

Mimo zmęczenia i strapienia Borenson świetnie rozumiał, co się dzieje. Raj Ahten oczekiwał, że teraz Gaborn przestanie się wahać i ulegnie pokusie, by stanąć do walki. Trudno o dotkliwszy szantaż niż zagrożenie bytowi narodu i życiu wszystkich, których Gaborn znał i kochał.

Borenson żałował, że nie może porozmawiać teraz ze swoim królem, chociaż nie był pewien, czy coś dobrego by z tego wynikło. Gaborn musiał ruszyć na południe. Jeśli tego nie zrobi, Raj Ahten niechybnie zniszczy Mystarrię.

CZARNY GLORY

Erin i Celinor, odsądziwszy się na sporą odległość od pozostałych, jechali przez wzgórza dwadzieścia mil na południe od Hayworth, gdy odebrali ostrzeżenie Gaborna.

Erin serce zabiło jak szalone i zaraz wstrzymała konia. Rozejrzała się wkoło w poszukiwaniu źródła niebezpieczeństwa.

- Co się dzieje? - spytał Celinor, tak samo kręcąc głową. Erin ogarnęła spojrzeniem stalowoszare chmury. Znad horyzontu gnała ku nim plama ciemności.

- Łuk - szepnęła, walcząc ze ściśniętym gardłem. Myślała jeszcze, że starczy jej czasu i że oręż na coś się przyda.

Zeskoczyła z siodła i złapała za łuk. Drżącymi dłońmi spróbowała nałożyć cięciwę. Celinor też sięgnął po swój łuk, ale cały czas wpatrywał się w nadciągający zwiastun nocy. Wyglądało to, jakby tuż nad zwykłą powłoką chmur unosiła się wielka drapieżna ryba czekająca w ukryciu, aby wynurzyć się na świat i zaatakować.

Nie boję się, powiedziała sobie Erin. Jestem wojowniczką z jeździeckiego plemienia. Kobiety z Fleeds nie poddają się lękom.

Jednak mimo że często uczestniczyła w turniejach, a niekiedy i w pomniejszych potyczkach, Connal nigdy jeszcze nie stanęła twarzą w twarz z podobnym niebezpieczeństwem. Nigdy nie czuła się tak bezradna.

Nałożyła wreszcie cięciwę, ale w tej samej chwili Gaborn odezwał się ponownie: „Uciekaj, Erin. Ukryj się!”

Cisnęła broń na ziemię i wskoczyła na siodło. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że Celinor nie został wybrany i nie słyszy poleceń Gaborna. Stał ciągle obok swojego konia i zmagał się z hakiem.

- Nie ma czasu! - krzyknęła. - W las! Szybciej!

Celinor uporał się z cięciwą i spojrział na nią ze zdumieniem. Erin wskazywała na porośnięty olchami szczyt pobliskiego wzgórza. Wiele drzew nie straciło jeszcze liści i mieli szansę się pod nimi ukryć.

Nieprzenikniona dla ludzkiego oka kula skondensowanej nocy zaczęła spływać przez chmury ku ziemi. Za nią podążał, jakby połączony pępowiną, wir ognia wysysający zewsząd wszelkie światło. Niebo powyżej ogarniała coraz szerzej ciemność.

Ogniste tornado owinęło się wkoło mrocznego tworu i całość runęła na jeźdźców.

- Uciekaj! - krzyknęła Erin.

Celinor, z hakiem w dłoni, skoczył na siodło i oboje zjechali z drogi.

Masa ciemności nurkowała prosto na trakt i była coraz niżej.

Z tyłu rozległ się krzyk przerażonych Dzienników Erin i Celinora. Też rzucili się do ucieczki i ze wszystkich sił próbowali nie zostać w tyle za jadącymi na szybszych koniach władcami.

Erin mknęła w kierunku lasu. Jej koń jak wichura przemykał obok z rzadka jeszcze rosnących drzew, przeskakiwał krzewy i skały. Obejrzała się przelotnie. Wielka na pół mili kula ciemności dotknęła gruntu. Wkoło zerwała się wichura tak silna, że rosnące na wzgórzu drzewa, prawdziwi patriarchowie puszczy, zaczęły się chylić i łamać jedno po drugim. Protestowały przy tym trzaskiem i hukiem, ale wiatr nie ustawał i zawodził coraz głośniejszym dzikim zwierzę. W powietrzu fruwały suche liście i gałązki. Erin nie widziała wszystkiego i nie od razu poczuła, że wiatr zmienił kierunek. Pognał wzdłuż drogi i uderzył w wierzchowca Dziennik Erin tak silnie, że zwierzę zachwiało się, przewróciło na bok i przetoczyło raz i drugi.

Wichura porwała zaraz i konia, i Dziennik, unosząc ich nad ziemią.

Erin wspomniała wyczytany niegdyś w starej księdze opis walki stoczonej przez jednego z glorych: „Wraz z nim pojawił się blask słońca i wiatr porywisty, który porwał maszty okrętom w Waysend i uniósł kadłuby z wody, i cisnął je w głębinę”.

Zawsze myślała, że to przesadzona relacja. Widywała walki wielkich graaków, ale ich potężne skrzydła nigdy nie wywoływały niczego podobnego. Jednak teraz mogła się przekonać, że glory z łatwością panuje nad wiatrem. Powietrze słuchało go tak, jakby było przedłużeniem jego istoty.

Przez wycie wichury przebił się wrzask Dziennik i Erin ujrzała, jak obłupiony z wszystkich konarów i gałęzi pień drzewa uderza w kobietę niczym wielki pał i przebija ją na wylot. Trysnęła krew i wnętrzności, a wir porwał zaraz ciało, konia i pień wysoko w górę, aż ciskane we wszystkie strony, zniknęły w kuli nieprzeniknionej ciemności.

Erin nigdy nie lubiła swojej Dziennik i nie była z nią zżyta. Nie siliła się też wobec niej na uprzejmość, co najwyżej czasem robiła jej herbatę, gdy Dziennik się przeziębila. Jednak ta okrutna śmierć naprawdę przeraziła Erin.

Dziennik Celinora dotarł już na pobocze, gdy koń stracił równowagę i jego zad uniósł się nagle, poderwany podmuchem. Wierzchowiec zarżał i już leciał. Erin odwróciła oczy, gdy zwierzę i jeździec znikali w kotłowaniu mroku.

Wiatr siedział już Erin na karku, gdy jej koń wylądował ciężko na piaszczystym dnie płytkiej rozpadliny, która okazała się korytem wyschniętego potoku. Celinor gnał krętym zagłębieniem ku dającym nadzieję schronienia zastępom wysokich i mrocznych sosen.

Liście i trawa znów zawirowały wkoło Erin. Wraziła pięty w boki wierzchowca. Wiatr szarpnął jej płaszczem i spojrziała za siebie.

Z tuzin jardów za nią otwierała się czarna studnia, z której dobiegało potępięcze wycie wichury. Była jak wielka paszcza, szykująca się, by ją pożreć. Drzewa padały teraz po obu stronach strumienia, a z ciemności wypadł długi konar, który uderzył w zbroję Erin i pękł.

Impet pchnął ją gwałtownie do przodu, zdołała jednak dotrzeć do sosen. Celinor zatrzymał już konia przed zwałowiskiem pni, które niósł tu nurt strumienia.

„Kryj się!” - usłyszała w myślach krzyk Gaborna i pchana wiatrem, skoczyła ku Celinorowi. Ściągnęła go z siodła i razem potoczyli się pod jeden ze zwałonych pni.

Z tyłu dobiegł ją kwik przerażonych koni, ale tym razem nie obróciła głowy, tylko wpełzła głębiej pod kłody. Wiatr huczał ogłuszająco, z góry sypało konarami i gałęziami, jakieś drzewo runęło z trzaskiem na barykadę, jakby czarny glory chciał teraz dla odmiany zmiażdżyć uciekinierów. Jednak pachnąca żywicą korona drzewa osłoniła ich przed coraz bliższym jądrem ciemności i szalejącą wkoło burzą. Nawet tutaj, przy ziemi, wiatr był tak silny, że zdierał całe pasy kory i ciskał kamieniami.

Celinor objął Erin, próbując osłonić ją własnym ciałem. Prawie ją przy tym udusił, ale bała się od niego odsunąć.

- Nie ruszaj się! - krzyknął na wszelki wypadek, a ona zrozumiała, dlaczego Gaborn ich ostrzegał. Czarny potwór był zaiste przepotężny. Żadna strzała nie miała szans dolecieć doń w takiej wichurze, żaden, nawet najodważniejszy jeździec nie zdołałaby sięgnąć go kopią. Walka z glorym była z góry skazana na przegraną i Erin nie wiedziała nawet, czy uda im się przed nim ukryć.

Huknął grom i suche kłody na górze zwałowiska buchnęły iskrami.

W świetle błyskawicy Erin dojrzała pomiędzy gałęziami jarzącą się skrzydlatą postać ludzką, która pochylona skradała się powoli w stronę ich kryjówek. Otaczała ją aura migotliwych płomieni - wyglądało to tak, jakby czarny glory nie tylko był źródłem ognia, ale i się nim żywił. Naelektryzowane powietrze zgęstniało, włosy stanęły Connal na głowie. Drżała ze strachu, że zaraz kolejny piorun położy kres jej życiu.

Potwór był już tuż obok. Zapadła całkowita ciemność, wiatr ucichł raptownie. Erin nie śmiała się ruszyć: wiedziała, że tkwi w oku cyklonu.

Suche krzewy i drzewa na górze zajęły się ogniem, a czarny glory wzbił się w powietrze i machając skrzydłami, zaczął podsycać płomienie. Zachwycony zawył nieludzko głosem, który mroził do kości i zachwycał niczym najpiękniejszy śpiew dusz potępionych.

Dym zaczął dusić Erin, kawałki żarzących się gałązek i skrawki kory padały wkoło niej coraz gęstszym deszczem. Nagle jakaś kłoda obsunęła się na plecy Celinora, a na dłoń Erin padła płonąca drzazga.

Strzepnęła ją i pobliska trawa zajęła się ogniem. W mdłym świetle płomieni Erin dojrzała po lewej jamę wyplukaną widać niegdyś przez wody strumienia. Pomyślała, że może uda im się skryć pod nawisem i ziemia ochroni ich przed piekłem pożaru.

Pchnęła Celinora w tę stronę, ale on się nie poruszył. Dopiero teraz Erin zauważyła, że księżę stracił przytomność. Spadająca kłoda musiała go uderzyć mocniej, niż jej się zdawało, ogłuszyła, a może i gorzej...

Erin wysunęła się spod niego i złapawszy za kołnierz kolczugi, zaczęła z mozołem wyciągać ciało spod płonącego stosu i wlec je w bezpieczniejsze miejsce.

Rozpalona gałąź uderzyła go głucho w grzbiet. Celinor krzyknął z bólu, uniósł na chwilę pokrytą potem i krwią twarz i znów zemdlął.

Erin nie ustawała w wysiłkach. Jedne kłody pokonywała górą, przepętała dołem pod innymi, aż nagle zauważyła, że coś się zmieniło. Ciemność zniknęła, wkoło panował jasny dzień.

Ożyła w niej nadzieja. Rozejrzała się, niepewna jeszcze, czy zdoła wydostać się spod płonącego stosu, nim zapadnie się on w płomieniach pod własnym ciężarem.

Czarny glory odszedł.

Erin pomyślała, że może to krzyk Celinora ich ocalił. Potwór mógł uznać to za ostatni, przedśmiertny charkot. Obróciła księcia na plecy, by sprawdzić, czy bestia przypadkiem nie miała racji.

DZIELNI WŁADCY

Gaborn mógł tylko patrzeć z niemym zdumieniem, jak czarny glory ogarnia ciemnością niebios a i zasysa światło w otoczone koroną ognia jądro ciemności.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak wyczerpany, nie potrafił skupić na niczym spojrzenia, nie był w stanie nawet zebrać myśli. Utracił dary po wielu nie przespanych nocach i problemem było samo podtrzymywanie opadającej na pierś głowy.

Bestia zbliżała się z upiornym wyciem wiatru. Leciwała nisko nad pylistą drogą, tak jak sowa, polując na myszy, potrafi szybować wzdłuż tropu odcisniętego w śniegu.

Wichura wyrywała drzewa, unosiła wielkie kamienie. Ludzie pierzchali przed nią jak mogli, ale nie zawsze czynili to dość szybko.

Czarna chmura strzeliła błyskawicami, które na podobieństwo żelaznych strzał z balisty przebijały ludzi, wypruwały wnętrza koniom. Grom huczał za gromem, mieszając się z trzaskiem pękających pni i krzykami ginących.

W pewnej chwili wiatr poderwał masy pyłu z drogi i tuman kurzu skrył całe zamieszanie.

- Do mnie! - zawołał król Orwynne, wciąż jeszcze stojący u boku Gaborna. - Za Orwynne i Mysterię!

Ten stary głupiec ludzi się, że zdoła mnie uratować, pomyślał Gaborn. Bez darów jestem dla niego nikim. Jednak nie doceniłem tego czarnego glory'ego. Nie sądziłem, że zjawi się tak szybko. Powiniennem bardziej poganiać mój lud.

Jechał na czele armii, główna masa wojska została daleko w tyle, ale wysłał wybranym wojownikom ostrzeżenie: „Kryjcie się! Nie próbujcie podejmować walki!”

Jednak jego przesłanie nie zrobiło na królu Orwynne żadnego wrażenia. Masywny mąż opuścił kopię do ataku, ścisnął drzewce pod pachą i pogonił wierzchowca ku szalejącej burzy.

Jego najstarszy syn, Barnell, miał ledwie szesnaście lat, ale nie brakło mu odwagi. Złapał młot bojowy i ruszył po prawicy ojca. Sir Draecon, jeden z najbardziej zaufanych gwardzistów króla, zajął miejsce z lewej strony.

Ze stu rycerstwa i żołnierzy pognało zaraz, by osłonić atakującego władcę. Niektórzy ciskali z dala włóczniami, łucznicy zaś posyłali w jądro ciemności chmurę strzał.

Niczego nie wskórali. Wiatr unosił wszystkie pociski, spychał je na boki. Niektóre wracały nawet ku atakującym.

Podczas gdy rycerze próbowali chronić Orwynne'a, król z dwoma bocznymi nie tracili odwagi i nie przerywali szarży.

- Panie, tędy! - krzyknął ktoś za plecami Gaborna. Ktoś inny podbiegł i chwycił wodze jego wierzchowca.

Młody król wciąż czuł się tak słaby i zagubiony, że pozwolił, by się nim zajęto. Z trudem trzymał się w siodle, nie potrafił zebrać myśli, nie pamiętał nawet imion większości wybranych. Ciało i umysł odmówiły mu posłuszeństwa.

Jego Dziennik jechał tuż obok. Mimo wszystko Gaborn rozpoznał młodego rycerza, który wiódł jego konia. To był sir Langley, paladyn Orwynne'a. Dobrze, że najlepszy z wojowników bratniego króla jest na tyle bystry, by szukać ocalenia, pomyślał Gaborn. Reszta pognała za swym wodzem na spotkanie śmierci...

Uciekali w kierunku skupiska olch, których szarobiałe pnie jaśniały dostojnie na tle barwnych, jesiennych liści. Gaborn obejrzał się. Wierzchowce króla Orwynne'a i jego ludzi nabierały szybkości, ich grzywy łopotały na wietrze.

Nagła nadzieja wstąpiła w serce Gaborna, że tamtym uda się jednak pokonać potwora, chociaż wszystkie moce ziemi ostrzegały, że to niewykonalne.

Z ciemnej otchłani strzeliła kolejna błyskawica. Jeden ze świetlistych węży ugodził w sir Draecona, drugi wypalił dziurę w korpusie młodego Barnella.

Samotny teraz król Orwynne krzyknął potężnie, pogonił wierzchowca na spotkanie z burzą i wydawało się już, że Theovald Orwynne przeniknie zasłonę ciemności, gdy potężny wichur poderwał go wraz z koniem i skrzył niczym szmacianą lalkę.

Król miał kilkanaście darów głosu i jego śmiertelny wrzask zabrzmiał wręcz ogłuszająco. Był tak przejmujący, że niejednen świadek tych wydarzeń przez długie tygodnie nie mógł potem uwolnić się od koszmarów nocnych, podczas których przeżywał całe starcie na nowo.

Zbroja władcy pękła wraz z jego kośćmi, a przez szczeliny i rozdarcia polała się krew. Brzuch wierzchowca Orwynne'a rozerwał się jak melon rzucony na ziemię i cała płatanina szczątków została uniesiona wysoko w powietrze, jakby na pokaz.

- Niech nas Jasne Moce chronią! - wykrzyknął jadący u boku Gaborna sir Langley.

Wraz z Dziennikiem Gaborna wpadli wreszcie pomiędzy olchy i zatrzymali się na pagórku. Ich konie prychały i rżały przerażone. Gaborn obejrzał się akurat w chwili, gdy szczątki króla Orwynne'a spadły na ziemię jakieś ćwierć mili dalej.

Młody władca nie miał już sił ani ochoty dalej uciekać. Zrozumiał, że jego zmęczenie nie wynika tylko z utraty darów - towarzyszyło mu dojmujące znużenie. Poprzez ostatnie wybory związał swoje życie z losem tysięcy ludzi. Nieustannie czuwał nad nimi, rozpoznając zawisające nad wybranymi zagrożenia i ostrzegając ich, by mogli się ratować. To było o wiele za dużo jak na jednego, zwykłego człowieka.

Jednak mimo utrudzenia bał się zasypiać. Przecież wówczas nie mógłby używać swoich mocy. Poddani straciliby jego wsparcie. Raz jeszcze przekazał wszystkim słabo: „Kryjcie się!”

Z zagajnika mógł ogarnąć prawie dwie mile drogi. Ludzie uciekali poboczami, próbowali chować się w lasach.

Czarny glory ryknął rozczarowany ich rejteradą i popędził za najbliższym widocznym celem, rycerzem, który akurat spadł z konia. Czarna kula zatańczyła nad nim, ale tym razem nie huknął grom, nie zerwał się wiatr. Ciemność opadła wirem prosto na zakutą w blachy postać i jedynie krzyki nieszczęśnika pozwalały się domyślić, że musiał go spotkać wyjątkowy okrutny koniec. Potem czarny wir uniósł się i rozrzucając szczątki, skierował się z wolna ku Gabornowi.

- Ruszajmy - powiedział sir Langley, znów wziął wodze wierzchowca Gaborna i pogonił naprzód.

Nie wyjeżdżali spod osłony drzew. Galopując w dół stoku, co pewien czas musieli przeskakiwać powalone wichurą pnie.

- Jeśli masz moc, aby nas uratować, wasza wysokość, to najwyższa pora jej użyć - zauważył w pewnej chwili Langley, jakby chodziło o coś całkiem zwyczajnego.

Gaborn czuł, że niebezpieczeństwo wcale nie minęło. Nawet gorzej...

- W lewo! - zawołał w pewnej chwili, nakazując Langleyowi i Dziennikowi skrócić między olchy, z których opadło już sporo złocistych liści, grubą warstwą leżących teraz na ziemi. Wydawać by się mogło, że to błąd tak wystawiać się na widok...

Czarny glory nadleciał z szumem tuż nad wierzchołkami drzew. Zanurkował na jeźdźców i zaraz wszystkie opadłe liście uniosły się ogromną, barwną chmurą. Huknął grom i błyskawica trafiła w drzewo obok Gaborna.

- Znowu w lewo! - krzyknął młody król i pogalopowali z wiatrem na wyścigi.

Nagle stało się jasne, dlaczego ziemia podpowiadała takie, a nie inne manewry. Wśród poderwanych wiatrem liści czarny glory widział równie mało jak każda inna istota. Skryty za nimi Gaborn miał szansę zmylić potwora.

- Teraz ostro w prawo! - krzyknął i Langley posłuchał. Dziennik Gaborna trzymał się cały czas tuż za nimi.

Chwilę później gnali co koń wyskoczy przecinką biegnącą równoległe do drogi ku wzgórzom Durkin, a czarny glory ryczał za nimi z daremnej wściekłości.

Czym prędzej podjechali do kilku ciemnych sosen i skryli się pod ich rozłożystymi gałęziami. I dobrze, że trafili na jakieś schronienie, bo wierzchowce już robiły bokami.

Po chwili czarny glory wynurzył się spośród olch i poleciał na północ, by zapolować na tych nielicznych mało rozgarniętych rycerzy, którzy zostali jeszcze na drodze.

- Zgubił nas - szepnął Langley. - Mieliśmy szczęście.

Gaborn pokręcił głową. Zwykle szczęście nic by tu nie pomogło. Niecały tydzień wcześniej, w ogrodzie Binnesmana, ziemia nakreśliła mu na czole runę mającą chronić go przed najpotężniejszymi sługami żywiołu ognia.

Młodzieniec uśmiechnął się ponuro. Zielarz twierdził, że czarny glory to istota powietrza i ciemności, która raczej pożera światło, niż mu służy. Zapewne w ogóle nie wiedziała o obecności Gaborna w tej okolicy. Możliwe, że w ogóle nie była zdolna go dostrzec, a w pościg ruszyła zwabiona widokiem sir Langleya i Dziennika.

„Kryjcie się!” - ostrzegał ponownie Gaborn swych wybranych. Niemal natychmiast, jakby w odpowiedzi na to przesłanie, czarny glory wzbił się wysoko w powietrze. Przerwał atak. Korona ognia wkoło kuli ciemności napuchła, ścigając światło z najdalszych stron nieboskłonu. Może bestia zrobiła się głodna po polowaniu. Przypomina kota, pomyślał Gaborn. Zaatakował nas, bo byliśmy łatwą zdobyczą. Jemu nie chodzi o nas, tylko o przyjemność związaną z zabijaniem.

Potem czarny glory niespodzianie odleciał z szybkością tak wielką, że żaden koń nie mógłby się z nim równać, i po paru chwilach przepadł za horyzontem. Kierował się do zamku Sylvarresta. Gaborn poczuł całun śmierci owijający się skrycie wokół lomy. Dlaczego jeszcze nie opuściła miasta? „Uciekaj!” - zawołał raz jeszcze w myślach. „Ratuj się!”

Kolejne ostrzeżenia do cna go wyczerpały. Świat zaczął wirować wokół niego barwną, liściastą tęczą. Uchwycił się łęku siodła, ale zmęczenie przemogło wolę i zsunął się na miękką ściółkę.

24

CZEKAJĄC NA CIEMNOŚĆ

Myrrima miała rację, uprzedzając Iome, że dokładne przeszukanie miasta potrwa kilka godzin, ale królowa nie mogła postąpić inaczej. Szczeniaki zamknęła na wewnętrznym dziedzińcu zaniku, sama zaś ruszyła z oddziałem Straży Miejskiej na wędrowkę po zakamarkach miasta.

Wokół zamku stały tysiące domów, większość bardzo stara. Niektóre bogate, jak siedziba starej pani Opinsker, niektóre chylące się prawie nad handlowymi uliczkami w pobliżu rynku.

Gdziekolwiek zaglądali, natykali się na ludzi. Strażnicy schwytali nawet paru rabusiów plądrujących po równi majątne i ubogie domy.

Ioma sprzeciwiła się ich natychmiastowej egzekucji, ale nie chciała też zostawiać tych ludzi w mieście czy zamykać w więzieniu, gdzie po przybyciu potwora nie mieliby żadnych szans. Zresztą większość z nich nie była zła z natury. Ci najbardziej wiekowi, o słabujących ze starości umysłach, zajęli się rabunkiem z głupoty, a najubożsi nie mogli się po prostu oprzeć pokusie tak wielu pustych domów. Ostatecznie kazała odebrać wszystkim łupy i wyprowadzić ich za mury. I dodała jeszcze, by na przyszłość bardziej baczylili na to, co robią.

Niemniej wśród pojmanych były i kaprawe typy, których Ioma nigdy nie chciałaby spotkać w ciemnej uliczce. Bała się takich przebiegłych i okrutnych ludzi, którzy z rabunku i zbrodni uczynili swój zawód, chociaż nic ich do tego nie zmuszało. Sama oddała się czemuś wręcz przeciwnemu i nigdy nie pomyślałaby, żeby odebrać komuś życie, ale tych niegodziwców kazała odstawić strażnikom do lochów.

Poza złodziejami trafiali też na osoby, które zostały w mieście skutkiem niebotycznej głupoty, jak jeden stary dziwak, który orzekł autorytatywnie, że „król robi wiele hałasu o nic”.

I tak wędrowali po uliczkach. Ioma postanowiła zrobić wszystko, by jej sen się spełnił i jej poddanych wywiało z miasta jak dmuchawce.

Wiatr zaś wiał naprawdę, wciąż tak samo silnie i ciągle z południa. Niósł zwiastujące deszcz stalowoszare chmury, które zwieszały się nisko nad okolicznymi wzgórzami i sprawiały, że robiło się coraz zimniej. Myrrimie na przedramionach wystąpiła gęsia skórka. Z niepokojem myślała o matce i siostrach, którym przyszło podróżować w taką pogodę.

Ioma wciąż nie zamierzała uciekać, chociaż już wcześniej kazała tym strażnikom, którzy nie mieli koni z darami, czym prędzej ruszać do Mrocznej Puszczy.

Binnesman przez cały dzień krążył po Warowni Króla, rozrzucając zioła i kreśląc runy nad bramami. O drugiej po południu znów usłyszał Gaborna. Tym razem głos był silniejszy niż kiedykolwiek. Błagał, by uciekali. Binnesman czym prędzej zbiegł z wieży.

- Pani! - zawołał do Myrrimy, gdyż Ioma uwikłała się akurat w dłuższą dysputę z sukiennikiem, który nie chciał zostawiać swojego sklepu. Barwił właśnie wełnę na szkarłatno i dowodził, że jeśli zbyt wcześnie wyciągnie ją z kotła, to wyjdzie różowa, a jeśli zostawi ją zbyt długo, to straci splot i będzie do niczego, nie obracana zaś zabarwi się nierówno...

- Pani! - krzyknął ponownie Binnesman. - Musicie natychmiast uciekać! Ty i jej wysokość! Król Ziemi znów przemówił. Nie można dłużej czekać!

- Ja jestem tylko służką jej wysokości - odparła Myrrima. - Nie mogę jej niczego nakazać.

Binnesman wyciągnął z kieszeni garść ziół owiniętych w koronkową chusteczkę.

- Nie zapomnij podzielić się nimi z Iomą, sir Donnorem i Juremem - powiedział. - To złocieniec, korzeń malwy, liście chryzantemy i kruczki. Powinny choć trochę ochronić przed glorym.

- Dziękuję - szepnęła Myrrima, wiedząc, że zioła zebrane przez Strażnika Ziemi działają silniej niż jakiegokolwiek inne. Nawet szczypta potrafi zdziałać cuda.

Binnesman obrócił się i pospieszył Maślaną do gospody Pod Stadem Dzików, Myrrima zaś podeszła do Iomy.

- Pani, błagam, chodźmy już. Większość miasta została przeszukana i robi się późno.

- Do zachodu słońca zostało kilka godzin - stwierdziła Ioma. - Na pewno jeszcze nie znaleźliśmy wszystkich.

Jurem patrzył na to, stojąc kilka kroków dalej. Ręce skrzyżował pod brodą i wyglądał na mocno wystraszonego.

- Niech Straż Miejska się nimi zajmie - nalegała Myrrima. - Możesz upoważnić ich dowódcę, by czynił sprawiedliwość w twoim imieniu.

Ioma była i zdenerwowana, i zirytowana. Zarumieniła się, na czoło wystąpił jej pot.

- Nie mogę - wyszeptwała, żeby nikt ze strażników jej nie słyszał. - Widzisz, jacy oni są. To surowi stróże prawa. Sama muszę zadbać o mój lud.

Ioma miała rację. Kapitan Straży Miejskiej był najwyraźniej w siódmym niebie, że przez kilka godzin udało mu się ująć tylu złodziei. Po latach tropienia przestępców gotów był na poczekaniu kończyć z każdym pojmanym. Trudno było oczekiwać, że zostawiony sam sobie posłucha w pełni rozkazu królowej.

- Pamiętaj o dziecku! - dodała Myrrima, ale ledwie spojrzała na twarz królowej, pojęła, że poruszyła niewłaściwą strunę. Ioma pamiętała o dziecku i zapewne o nie właśnie najbardziej się martwiła. Jednak tego nie przyznała.

- Trudno, żeby jedno dziecko, nawet moje, było ważniejsze od obowiązków.

- Przepraszam, wasza wysokość.

W tejże chwili na Maślanej pojawił się kapitan z chłopcem wspierającym się na kuli. Dowódca straży nie ciągnął go jak złodzieja, ale pomagał mu iść. Chłopiec wyraźnie cierpiał i włókł za sobą opuchniętą nogę. Już nie dziecko, jeszcze nie dorosły, bał się zapewne prosić o pomoc, a sam uciekać nie mógł.

- Kogo tu mamy? - spytała Ioma.

- To sierota - odpowiedział kapitan.

Myrrima poszła sprawdzić uwiązane w pobliżu konie, ale Jureem wcześniej podciągał już popręgi, uwiązał przy siodłach juki i butle z wodą. Zebrał też szczeniaki i upakował je w dwóch wiklinowych koszach. Zobaczywszy Myrrimę, psiaki zaraz podniosły jazgot i zaczęły machać ogonkami. Obok stał sir Donnor.

- Pani - powiedział - musimy jechać. Ulży mi, gdy opuścisz wreszcie miasto.

- Miałabym zostawić Iome?

- Jest pod opieką Straży Miejskiej i ma szybszego konia niż ty. Dobrze zrobisz, jeśli wyjedziesz z Jureemem naprzód. W razie czego będziecie mogli się skryć między drzewami.

- On ma rację, podjedźmy chociaż na skraj lasu - wtrącił się nerwowo siedzący już w siodle Jureem.

Poganią tak Myrrima bez większych oporów wskoczyła na wierzchowca i zanim zdążyła się obejrzeć, już galopowali po moście, pod którym krążyły wyraźnie zdesperowane jesiotry. Chociaż były tu już ponad dobę, ciągle kreśliły te same runy. Nad polem cała chmara skowronków polatywała to tu, to tam, jakby ptaki przestraszyły się nagle bliskiej zimy i chciały uciekać, ale nie wiedziały dokąd.

Niebo nad nimi ciemniało z wolna przez kilka ostatnich godzin, tak że teraz było brudnoszare. Na dodatek z południowego horyzontu wylaniała się wielka i czarna chmura burzowa.

Prowadzący Jureem skierował się ku wzgórzom i zabarwionym jesienią lasom. Szczeniaki w koszach zawodziły jak ogary, które poczują dzika. Gdy mknęli już pod bezlistnymi niemal gałęziami, Myrrima wsunęła dłoń do kieszeni i zmacała otrzymany od Binnesmana węzełek z ziołami. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie zrobiła tego, o co ją prosił zielarz.

Nasuwająca się od południa czarna chmura sama z siebie wyglądała groźnie, na dodatek... Myrrima przyjrzała się jej uważniej. Tak, chmura nie przemieszczała się jak inne, z wiatrem, ale wyraźnie pod kątem. Błysnęło z niej na dodatek, huknął grom. Czarny glory sam był zwiastunem nocy i nie musiał czekać na zmrok, by zaatakować.

A ja zostawiłam moją panią bez ochrony, pomyślała Myrrima. Wyrwała wodze swego konia z dłoni Jureema, zawróciła i czym prędzej ruszyła z powrotem do miasta.

W WAROWNI KRÓLA

Ioma stała na placu pod bramą miejską i rozmawiała z kulawym chłopcem. Ten opuścił głowę zakłopotany, że przyszło mu spotkać się z samą królową, jednak ją interesowały nie tyle jego rozterki, ile aż nazbyt widoczne kalectwo.

Prawą nogę miał obrzmiałą do tego stopnia, że nie mógł nosić spodni. Chodził przez to w prostej, płóciennej tunice, na którą nie połączczyłby się chyba nawet najbiedniejszy mieszkaniec miasta.

- Ile masz lat? - spytała łagodnie Ioma.

- Dziesięć, wasza... królewskość - wyjąkał chłopak.

Ioma uśmiechnęła się. Mógł zwrócić się do niej typowo, „wasza wysokość” albo „pani”, ale on wolał wymyślić własne określenie.

- Dziesięć lat? I przez cały ten czas mieszkasz w Sylvarreście? - spytała zdziwiona, bo nigdy go wcześniej nie widziała.

- Nie - odparł chłopak, wciąż nie podnosząc głowy. - Jestem z Balliwick.

Wieś Balliwick leżała nad zachodnią granicą Heredonu.

- To daleko, prawie sto mil - powiedziała Ioma. - Masz może jakiś wózek? Kto cię przywiózł?

- Przyszedłem zobaczyć Króla Ziemi. Sam. Dotarłem tu we środe, ale był na polowaniu...

Na wygiętą do środka pod nienaturalnym kątem stopę chłopca nie wszedłby żaden but, owinał ją więc szmatami. Zapewne złamał tę nogę jeszcze w niemowlęctwie i potem zrosła się byle jak, pomyślała Ioma. Ale jak zdołał przejść taki kawał drogi? Chyba ciągnął tę kłodę za sobą, krok po kroku, cały czas w bólu.

- Król Ziemi wyjechał na wojnę - powiedziała. Chłopak wpatrywał się w ziemię i bardzo starał się nie rozplakać. I co z nim zrobić? zastanowiła się Ioma.

Mogłaby odstawić go do gospody, by dołączył do chorych, ale tam też nie byłby bezpieczny. Poza tym przeszedł sto mil, aby zobaczyć jej męża. Był zbyt powolny, aby go

dogonić i uzyskać błogosławieństwo. A w przeciwieństwie do niektórych bogatych kupców, którzy nie raczyli nawet wyjść z namiotów na spotkanie Gaborna, ten chłopak przebył pół Heredonu dla krótkiej audiencji.

Nie mogła go tak zostawić, ale i zabranie go nie było sprawą łatwą.

- Jadę na południe - odezwała się w końcu, podjąwszy decyzję. - Możesz jechać ze mną. Ale najpierw musimy poszukać ci porządnego ubrania.

Chłopiec uniósł wzrok, zdumiony słowami, których nigdy nie spodziewał się usłyszeć. Był przecież tylko biedakiem... Jednak Ioma myślała już o czym innym. Myrrima z Juremem odjechali, wedle słońca było około drugiej po południu, straż przeszukała całą wschodnią część miasta, odesłała wszystkich znalezionych za mury i nie brakowało wiele, by jej sen o dmuchawcach się ziścił.

- Idź do Warowni Króla - powiedziała tymczasem chłopcu. - Na samej górze skreć korytarzem w lewo. Trafisz do moich apartamentów. Na lewo będzie garderoba dla gości. Poszukaj porządnej tuniki i płaszcza podróżnego, potem umyj się jeszcze w poidle na dziedzińcu. Gdy skończysz, wróć tutaj i poczekaj na mnie.

- Tak, wasza królowość - odparł chłopak. Na wpół kulejąc, na wpół skacząc, oddalił się Rynkową.

Ioma przymknęła oczy i wróciła do swoich rozważań. Do przeszukania została jeszcze północna część miasta i niewiele więcej. Jeszcze ze dwie godziny i wszystko...

Nagle dobiegło ją kolejne ostrzeżenie Gaborna: „Kryj się! Już za późno na ucieczkę! Ukryjcie się wszyscy!”

Z placu nie mogła widzieć, co dzieje się poza miastem, ale strażnik na wieży bramnej zawołał:

- Wasza wysokość, coś nadlatuje z południa! Wielki cień ślizga się po chmurach!

Gdy to mówił, błysnęło i piorun uderzył w Mroczną Puszcę. Koń Iomy aż podskoczył przerażony.

Sir Donnor czym prędzej chwycił jego wodze i wsiadł na własnego wierzchowca. Podobnie jak Dziennik Iomy.

- Wasza wysokość! - krzyknął sir Donnor. - Pora na nas!

- Kryjcie się! - rozkazała w odpowiedzi Ioma, zdumiona, że sir Donnor chce uciekać. Przecież Król Ziemi wyraźnie kazał się ukryć...

- Mamy szybkie rumaki - upierał się sir Donnor. - Szybsze niż wszystko, co lata.

Może on i ma rację, pomyślała Ioma. Bystry koń mógłby przegonić potwora... Chociaż co to za mrzonki? Nie ma co ryzykować.

„Kryj się!” - nadbiegło znów polecenie Gaborna.

Ioma wskoczyła na siodło. Sir Donnor ruszył od razu galopem do bramy i nie oglądając się, wyjechał po moście poza mury. Był pewien, że królowa jedzie za nim. Dziennik Iomy najpierw ruszyła za rycerzem, ale że nie od dziś знаła swoją panią, rzuciła okiem za siebie i odkryła, że Ioma nawet nie ruszyła się z miejsca. Dziennik zatrzymała się zaraz, chociaż była błada ze strachu.

- Zabiorę jeszcze chłopca! - krzyknęła Ioma. Nie mogła przecież zostawić go na łasce losu.

Zawróciła konia ku Rynkowej. Podkowy zadzwoniły na bruku. Dziennik galopowała ze sto jardów z tyłu.

Ioma minęła Czarny Róg, przemknęła pod broną Bramy Królewskiej i obejrzała się przelotnie do tyłu, na dolinę. Ujrzała srebrzystą rzekę wijącą się wśród zielonych pól na wschód od miasta, jesienne żółcie i czerwienie Mrocznej Puszczy i poczerniałe od ognia pola na południu.

Przez nie właśnie przemykał sir Donnor. Zorientował się poniewczasie, że królowa została, i wracał do zamku. Ku swojemu przerażeniu nieco bliżej Ioma dojrzała zjeżdżającą ze wzgórz Myrrimę. Na dodatek z zanieśionego chmurami nieba spadła niespodziewanie wielka

czarna kula i zaraz zaczęło robić się ciemno. Ponad owym mrocznym jądrem jaśniał ognisty wir wchłaniający każdy promyk światła do nieznanych głębi.

Skryty wewnątrz kuli czarny glory pożerał blask zupełnie jak tkacze płomieni. To dawało mu siły. Nie trwało długo, a niczym jastrzęb zanurkował w kierunku sir Donnora.

Myrrima galopowała przez pole i co rusz wrażała pięty w boki konia, by zwierzę dało z siebie wszystko. W dłoni ścisnęła węzełek z ziołami i modliła się, aby nie spaść z siodła. Nigdy nie miała własnego wierzchowca, a dosiadać konia nauczyła się tylko dlatego, że chłopcy z Bannisferre proponowali jej niekiedy przejażdżki.

Teraz gnała bez opamiętania z wichrem wzbierającym za plecami. Sir Donnor, który z początku uciekał z miasta, zawrócił nagle i krzyknął coś, czego nie usłyszała.

Gdy czarny glory opadł prawie nad ziemię, wkoło niego zapanowała ciemność głębsza niż w zimową noc. Myrrima zanurkowała w ten mrok i spojrzała ku miastu. Dostrzegła Iomę przemykającą wierzchem do Warowni Króla. Jej płaszcz podróżny łopotał za nią niczym sztandar na wietrze.

Myrrimie wydało się, że czarny glory zwolnił i cichcem podchodzi ją od tyłu. Miała nadzieję, że jednak mu się wymknie. Z każdą chwilą była coraz bliżej miasta, wysokich murów i kamiennych wież, które dawały nadzieję na bezpieczne schronienie.

Wierzchowiec pochylił się na zakręcie drogi i musiała złapać się lęku, by nie spaść. Obejrzała się. Zaraz za nią gnał sir Donnor, ze wszystkich sił próbując ją dogonić. Obrócił się lekko w siodle i wyciągnął topór bojowy. Czyżby zamierzał podjąć walkę?

Kula ciemności zawyła wichurą, która podniosła kurzawę popiołu pozostałego z niedawnego pożaru łąki. Kolejny poryw wiatru podciął nogi wierzchowca sir Donnora i jeździec runął z krzykiem na ziemię.

Myrrima znów pogoniła swojego konia i sięgnęła do juków po łuk i kołczan.

Sir Donnor krzyknął raz jeszcze, ale jego głos zginął zaraz w wyciu wichru. Myrrima zaryzykowała jeszcze jedno spojrzenie. Niestety, rycerz przepadł już gdzieś w ciemności.

Prawie dotarła już do mostu, majaczył przed nią w mroku.

- Skacz! - krzyknęła do wierzchowca w daremnej nadziei, że w ten sposób szybciej znajdzie się w obrębie murów.

Tuż obok strzelił grom i koń zadrżał, stracił rytm w chwili wybicia i poleciał na łeb, na szyję, przed siebie. Myrrima razem z nim.

Ioma nie mogła nigdzie dostrzec chłopca. W końcu podjechała pod Warownię Króla i zeskoczyła z siodła, ledwie rumak zwolnił. Wbiegła na schody.

- Chłopcze?! - krzyknęła. - Jesteś tu?!

- Pani?! - zawołał dzieciak z góry.

Na zewnątrz huknęło, aż szyby zadzwoniły. Wiatr zawył przejmująco w załomach warowni.

- Na dół! - zawołała Ioma. - Czarny glory przyleciał! Chłopiec zaraz posłuchał i stoczywszy się prawie po wysłanych dywanem schodach, stanął przed królową. Wyglądał dość osobliwie, bo włożył najlepszy płaszcz z garderoby króla: pyszną szatę w złoto-fioletowe pasy. Widać nie mógł oprzeć się pokusie, żeby chociaż ją przymierzyć.

Błysnęło i nagle zdało się, że noc spada na miasto. Zawył wiatr, grad zadudnił o okna. Ioma obróciła się ku drzwiom akurat na czas, by ujrzeć kolejną błyskawicę. Jej rumak kwiknął w agonii i przewrócił się z głuchym odgłosem na kamienie dziedzińca. Wiatr uniósł go zaraz, poderwał na dziesięć stóp i zaczął obracać i podrzucać, podobnie jak kot postępuje ze złapaną myszą.

Chłopiec krzyknął przerażony. Ioma obejrzała się na niego z irytacją. Dziennik nie dotarła do warowni i królowa zastanawiała się, gdzie też ta kobieta mogła się podziać. Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, by porzuciła ją choć na chwilę, nawet w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Ioma pobiegła do wyjścia, ale wiatr zatrzasnął jej ciężkie dębowe drzwi tuż przed nosem.

„Kryj się!” - usłyszała w głowie głos Gaborna. „Kryj się, jeśli mnie kochasz!”

- Tędy! - krzyknęła do chłopca, łapiąc go za rękę. Ciemności spowiły zamek. Nie był to zwyczajny nocny mrok, ale całkowity brak światła, jaki bywa tylko w głębokich jaskiniach.

Szczęśliwie Ioma dobrze знаła wszystkie zakamarki warowni. Po omacku znalazła drogę przez sień do spiżarni. Zamierzała ukryć się w najdalszym zakamarku piwnicy na warzywa.

Nagle przypomniała sobie o podziemiu wybranym przez Binnesmana. Wyczuwała tam silną moc napierającej ze wszystkich stron ziemi.

Skreśliła gwałtownie w rzadko używany, niski korytarz i otworzyła drzwi. Chłopiec podążał za nią, jak mógł najszybciej. Wiodące w dół kamienne stopnie były pokruszone i nierówne. Czwartą od wejścia poruszył się pod stopą. Należało uważać, ale ta akurat piwnica nie została nigdy pomyślana na niczyje mieszkanie.

Gdzieś z przodu zamigotało światelko. Ioma zawróciła jeszcze do drzwi na górze schodów, zamknęła je porządnie i zasunęła rygle. Na zewnątrz wichura wyła z każdą chwilą głośniejsze, grom walił za gromem. Nagle wszystkie okna warowni wyleciały z brzękiem od jednego, mocarnego uderzenia wiatru. Ioma skrzywiła się. Witraże w komnacie króla liczyły sobie tysiąc lat i były nie do odtworzenia.

Ogienek w dole był coraz lepiej widoczny, w powietrzu pachniało słodko werbeną, która gotowała się w kociołku nad paleniskiem. Samego Binnesmana Ioma nie widziała już od pół godziny, kiedy to udał się do kolejnej gospody, by zająć się chorymi, jednak przecież mógł wrócić jaką boczną uliczką do warowni... Zamierzał stawić czoło potworowi. Żeby już wrócił...

Pobiegła do piwnicy. Kociołek z werbeną bulgotał na ogniu, węgle w palenisku jarzyły się żółtawo, chłopak też zaraz zjawił się w środku, ale Binnesmana nie było.

Ioma zatrzasnęła drzwi i poszukała rygli, ale nie znalazła nawet zwykłego zamka. Rozejrzała się po kątach za czymś, czym mogłaby je zaprzeć, jednak dostrzegła tylko jakieś głazy obok Kamieni Jasnowidzenia. Były za duże, żeby zdołała je poruszyć.

„Kryj się!” - odezwał się Gaborn. „Idzie po ciebie!”

Ale Binnesman nie miał łóżka, pod które mogłaby wpełznąć. Za miejsce do spania służyła mu sterta spiętrzonej w kącie ziemi.

Myrrima ocknęła się w fosie. Unosiła się twarzą w dół w zimnej wodzie, pomiędzy wodorostami.

Wszystko ją bolało. Mglisto przypomniała sobie upadek z konia. Była prawie pewna, że musiała sobie przy tym połamać parę kości. Potem stoczyła się do wody...

Wokoło panowały całkowite ciemności, ale gdzieś blisko słychać było rzenie i chlapanie konia. Wywoływane przez niego fale kołysały ją jak kawałkiem kory.

Umieram, pomyślała w odrętwieniu. Woda była lodowato zimna i głęboka, a ona taka słaba. Nie mogła się ruszyć, ale walczyła. Spróbowała unieść rękę, by dopłynąć do brzegu, do murów, gdziekolwiek. W ciemności nie wiedziała, gdzie się znajduje.

W górze przemknął powiew wichury. Coś zamachało wielkimi skrzydłami. Myrrima zmagając się milcząco z sobą, aż poczuła, że jeszcze chwila, a utonie.

Chociaż i to nieważne, pomyślała. Nieważne, czy umrę. Nic to nie zmieni, gdy dołączę do duchów Mrocznej Puszczy.

Umierając, uwolniłaby dary otrzymane od siostr i matki. Siostry ucieszyłyby się, że odzyskały swoją urodę, matka znów miałaby rozum. Wróciłyby do chatki pod Bannisferre i mogłyby żyć tam szczęśliwie. Śmierć Myrrimy nie byłaby tragedią.

Mimo starań opadała coraz głębiej.

Nagle tuż obok pojawił się wielki jesiotr. Przesunął się obok jej dłoni i zniknął. Myrrima poczuła prąd poruszonej wody. Wrócił po chwili i zaczął krążyć wokoło niej leniwie, kreśląc w nieustannym tańcu jeden i ten sam wzór.

- Cześć - powiedziała Myrrima bezgłośnie, tylko poruszając ustami. - Umieram.

Zamknęła oczy i znieruchomiała, pozwalając, by zimna woda odebrała jej czucie. Chłód łagodził ból mięśni, odpęczał...

Jak tu wspaniale, pomyślała. Gdyby tak można było czasem wpaść do fosy na herbatkę...

Odrętwienie przeszło w płytki sen. W pewnej chwili Myrrima oprzytomniała zdumiona. Znów robiło się jasno i zaczynała coś widzieć. Leżała w szlamie na dnie fosy.

Jesiotr zatrzymał się przed dziewczyną i spojrzał na nią srebrzystym okiem. Był dłuższy niż ona. Rozchyłał regularnie blade wargi i poruszał do taktu skrzelami. Wielkie wyrostki po bokach paszczy wyglądały niczym wąsy.

Myrrima zdumiała się, że jeszcze żyje. W głowie jej się przejaśniło, a płuca zaczęły boleśnie domagać się powietrza. Tuż obok przemknęły dwa inne jesiotry, które nie ustawały w tańcu.

Oczywiście, kreśliły runy... Teraz pamiętała. Od paru dni nieustannie kreśliły runy ochrony i uzdrawiania. Wielka była moc wodnych czarnoksiężników.

Myrrima pojęła, że nie zginie tutaj, i nagle zaniepokoiła się o los bliskich. Spojrzała w górę. Powierzchnia wody była odległa o jakieś trzydzieści stóp. Część nieba ciągle była ciemna.

Wparła nogi w szlam, pod którym wyczuła twarde skorupy kolonii słodkowodnych małży, odepchnęła się i po chwili wychyliła głowę z fosy.

Najpierw się wykaszła, potem położyła się na wznak na wodzie, jednak ubranie ciągnęło ją w dół, popłynęła więc ku zwisającym z brzegu korzeniom drzew.

Po drodze ujrzała swój łuk i kołczan pływające spokojnie w wodzie. Połowa strzał się wysypała. Mokry strój ciążył niczym kołczuga, ale zabrała broń ze sobą.

W końcu wspięła się na brzeg i siadła ciężko na trawie. Trzęsła się z zimna, a na domiar złego wkoło zaczął padać grad.

Pozbierała się na kolana. Całkiem niedaleko gramolił się z fosy jej koń. Nie pojmowała, jakim cudem przeżył. Była pewna, że trafił go piorun. Chociaż... W Bannisferre знаła pewnego człowieka, który trzy razy stawał na drodze piorunom i wychodził z tego ledwie poparzony i przygłuszony. Albo ten koń również miał tyle szczęścia, albo też wodni czarnoksiężnicy go uzdrowili.

Nieco dalej na polu dojrzała sir Donnora. Leżał martwy w pobliżu swojego wierzchowca. Myrrima nie musiała podchodzić, by sprawdzić co z nim. Szczątki rycerza były rozwłócone na dość znacznym obszarze, a powykręcane i połamane ciało obok tylko z grubsza przypominało konia.

Myrrima wstała z wysiłkiem, nałożyła cięciwę i sięgnęła po strzałę. Jej rumak znalazł wreszcie pewne oparcie dla kopyt, parsknął lekliwie i pogalopował byle dalej od miasta. Kierował się przez dolinę ku wzgórzom, na których ukrył się Jureem. Myrrima odwróciła się i ruszyła w półmroku przez most, a następnie pod górę, do zamku Sylvarresta.

Chłopiec patrzył ze zdumieniem na podwieszane u powały pęczki ziół i splecione za sznura kosze, w których suszyły się nad paleniskiem świeższe zbiory. Ioma pamiętała, że Binnesman poszedł rano na poszukiwania roślin mogących pomóc w dzisiejszej walce, ale które to były? Miała nadzieję, że znajdzie tu może chociaż laskę czarnoksiężnika, jednak nigdzie nie mogła jej dostrzec.

W końcu podeszła do ułożonej na stołku torby. To z nią wybrał się poza miasto. Odwróciła ją, wysypując zawartość. Ujrzała sporo liści złocieńca, trochę korzonków, kory i kwiatnych płatków.

Zebrała wszystko i przycisnęła do piersi. Pochylona, z mocno bijącym sercem, zaczęła nasłuchiwać. Chłopiec jęknął przerażony, widząc, jak płomienie kołyszają się nad paleniskiem. Na zewnątrz szalała wichura.

Na górze mam jeszcze te opale, pomyślała Ioma. Nie były tak wspaniałe jak te, które Binnesman rozjarzył zaklęciami, ale w potrzebie i one mogłyby się przydać.

Na górze rozległy się kroki. Ktoś stąpał ciężko po deskach. Ioma zamarła. Binnesman? Czyżby wrócił do warowni? A może to czarny glory? Ktokolwiek to był, krążył po kondygnacji.

Nie, to nie może być glory, powiedziała sobie Ioma. On raczej wylądowałby na dachu. Zwinąłby skrzydła i siedział tam jak graak. Nie wszedłby do środka jak zwykły człowiek. „Idzie po ciebie” - odezwał się Gaborn.

Więc to jednak ta bestia jej szukała. Teraz Ioma usłyszała skrobanie pazurów po drewnianych drzwiach. I sapanie. Potwór próbował ją wywęszyć.

Drzwi na górze pękły z hukiem. Żelazne okucia i zawiasy potoczyły się z grzechotem po schodach. Czarny glory odgarnął nogą resztki drzwi i znów zaczął węszyć.

Burza osiągnęła apogeum i nagle ucichła. Zapadła cisza, ale powietrze wciąż było ciężkie, zapierało dech w piersiach.

- Wyczuwam cię, kobieto - rozległ się nagle po drugiej stronie dolnych drzwi głęboki, nieludzki szept.

Ioma stłumiła okrzyk i rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni, ale Binnesman nie był wojownikiem i nie trzymał w podziemiu żadnego oręża. Wystarczała mu magia.

Glory obwąchiwał uważnie drzwi.

- Rozumiesz mnie, kobieto? - zapytał.

- Rozumiem i wyczuwam - odparła Ioma. Bestia śmierdziała ostro mokrą sierścią i spalenizną.

Ioma przypomniała sobie, że Strażnicy Ziemi używali często ziemi do zaklęć. Binnesman obsypywał się nawet nią do snu, miast okryć się kocem.

Zgarnęła garść suchej ziemi i rzuciła ją w powietrze.

- Chodź do mnie - odezwał się czarny glory.

- Nie możesz tu wejść! - krzyknęła w nadziei, że to prawda. Moc ziemi była tu wręcz wyczuwalna. Binnesman powiedział, że czarny glory jest istotą powietrza i ciemności. I wyrysował na klepisku runy mające przed nim chronić. A ziemia zawsze była zaporą dla powietrza. Na zewnątrz glory walczył z nią wiatrem, ale tutaj na pewno był o wiele słabszy.

- Nie możesz tu wejść! - powtórzyła znacznie pewniejsza już siebie Ioma.

Czarny glory prychnął jak dzikie zwierzę.

- Ależ mogę. I jeśli będzie trzeba, to wejdę po ciebie. Ioma cisnęła kolejną garść ziemi w kierunku drzwi.

- Chodź do mnie - szepnął znów potwór. - Chodź do mnie, a daruję ci życie.

- Nie! - odkrzyknęła Ioma.

- Oddaj mi królewskiego syna - szepnął glory. - Wyczuwam syna. Bliska paniki Ioma wycofała się do kąta. Chłopiec jęknął głucho.

- On nie jest synem króla - odparła drżącym głosem. - To zwykły chłopak.

- A ja dalej wyczuwam królewskiego syna - syknął glory. - Jest w twoim łonie.

Zdyszana Myrrima biegła z łukiem uliczkami ogarniętego przez noc miasta. Zmierzała do Warowni Króla. Wkoło dudnił grad. Kulki lodu pękały na bruku, dzwoniły na okrytych blachą dachach kupieckich domów.

Nad warownią wykwitła ognista trąba powietrzna, która jednak po chwili zgasła. Myrrima była pewna, że Ioma jest w środku, ledwie przed chwilą widziała przecież, jak królowa tam wbiega.

Wciąż było bardzo ciemno, ale na linii horyzontu zaczęło się ze wszystkich stron przejaśniać. Wreszcie widziała, gdzie stawia stopy, i od razu łatwiej było jej bieć po nierównym bruku.

Po drodze zastanawiała się gorączkowo, czy zdoła ustrzelić tę bestię. Ćwiczyła z łukiem dopiero od dwóch dni, po parę godzin dziennie, i zawsze ustawiała tarczę w odległości osiemdziesięciu jardów. Nie była pewna, czy dobrze wyceluje przy większym dystansie.

Na Moce, pomyślała w panice, po prawdzie to żaden ze mnie łucznik!

Wiedziała jednak, że jeśli tylko zdoła podejść dość blisko, to na pewno spróbuje. Jeśli chybię, to zginę, pomyślała ledwo łapiąc powietrze. Będę miała czas wypuścić tylko jedną strzałę. Nie zdążę sięgnąć po drugą. Załatwi mnie błyskawicą...

Dotarła do Czarnego Rogu. Przed nią ciemniał masyw bramy wiodącej na dziedziniec Warowni Króla. W przejściu, dokładnie pod broną, ujrzała Binnesmana.

Czarnoksiężnik kręcił nad głową laską i wyśpiewywał z cicha jakieś słowa, których nie słyszała. Laska jaśniała zielonkawo, oświetlając zielarza. Wpatrywał się wytrwale w najgłębszą ciemność, która otoczyła warownię szczelną zasłoną.

Nagle zrobiło się dziwnie cicho. Znikły błyskawice, zamarł wiatr. Czarny glory przestał się wściekać.

Jest z Ioma, pomyślała Myrrima i zrobiło jej się słabo z przerażenia. Jednak biegła dalej, tyle że teraz starała się jak najciszej stawiać stopy, aby glory jej nie dosłyszał.

Nagle z jądra ciemności dobiegł nieludzki krzyk. Dłuższą chwilę dudnił echem odbitym od murów zamku.

Binnesman znów zamachał laską i zaintonował triumfalnie:

Bestio skrzydlata ze świata demonów,
preklinam cię, wyklinam i ogłaszam światu,
żeś oto grób znalazła w królewskich kamieniach.

Czarny glory dotknął drzwi piwnicy, w której ukryła się Ioma. Uchyliły się ze skrzypieniem zawiasów.

Skłębiona za bestią ciemność wsunęła się czarną macką do pomieszczenia. Węgłe w palenisku zaczęły przygasać.

- Pani! - jęknął chłopak, przysuwając się do ognia.

Czarny glory warknął i przez piwnicę przemknęła błyskawica. Minęła głowę Iomy i eksplodowała na wyłożonej drewnem ścianie.

Ioma uniosłazymane w dłoni zioła, mając nadzieję, że to odpędzi potwora.

Czarny glory ryknął jak żywcem przypalany.

Nagle warownia zadrżała, jakby targnęło nią trzęsienie ziemi. Ściany się zakołysały, dał się słyszeć trzask pękających belek, sypnęło kamieniami, kosze pospadały z półek. Grube dębowe belki stropowe jęknęły w proteście i runęły.

Pośród całkowitej ciemności warownia zapadła się w sobie.

Przegrupowanie wojsk musiało trochę potrwać i Gaborn skorzystał z okazji. Przysnął, niby na chwilę, jednak gdy spróbowano go obudzić, okazało się, że nie można go wyrwać ze snu.

- Wsadźcie go na konia i niech śpi dalej - powiedział sir Langley, osłuchawszy kłatkę piersiową króla. - Widać tego potrzebuje. Wybatożę każdego, kto spróbuje mu przeszkodzić.

W swoim śnie Gaborn krążył nad wielką i przestronną budowlą.

To może być Błękitna Wieża w Tide, pomyślał. Nigdy w niej nie był.

Chociaż nie, ten gmach był dziwnie ponury i otaczała go złowróżbna aura. Brakło tapiserii i lamp na ścianach, kamienie kruszyły się, a po tynku zostały ledwie ślady. Na dodatek był też zimny niczym loch i przypominał labirynt.

W tym właśnie labiryncie biegały Ioma i Myrrima. Obie miały opaski na oczach i uciekały przed Rajem Ahtenem. Gaborn tkwił w metalowej klatce zawieszanej na potężnym drzewie i obserwował obie kobiety przez dziurę w dachu.

Słyszał człapanie stóp Wilka po kamieniach. Czasem zgrzytnął pazur, czasem mignęła gdzieś potężna, czarna sylwetka. Jednak Ioma i Myrrima zachowywały się, jakby nie zdawały sobie w pełni sprawy z niebezpieczeństwa. Musiał je ostrzec!

„Kryjcie się!” - błagał, ale ile razy próbowały schować się w jakimś kącie, czarny cień znów kierował się w ich stronę.

„Kryj się!” - ostrzegł znowu Iome.

Binnesman dokończył zaklęcie i z jego laski wystrzelił strumień ognia. Zielona niczym letnie słońce w listowiu błyskawica wniknęła w otulinę ciemności, a po chwili rozległo się skrzypienie i huk spadających kamieni.

Ciemność poszarzała i niemal natychmiast słońce wróciło na swoje miejsce. Myrrima przebiegła przez bramę i stanęła obok Binnesmana, który spojrzał na nią triumfalnie.

Myrrima głosu nie mogła wydobyć z przerażenia.

W miejscu, gdzie jeszcze niedawno wznosiła się Warownia Króla, teraz piętrzyło się wysokie na piętnaście stóp rumowisko otoczone gęstą kurzawą pyłu. Tu i ówdzie jaśniały kolorowo fragmenty potraskanych mebli i szczątki tapiserii, a kamienne gargulce, które zdobiły górne kondygnacje gmachu, leżały teraz na szczycie stosu i szczyrzyły szyderczo paszcze.

Binnesman znów spojrzał na osłupiałą Myrrimę.

- Uwięziłem potwora - powiedział zmęczonym głosem. - Zamknąłem go w okowach ziemi. Miejmy nadzieję, że go utrzyma! - dodał, wspierając się na lasce.

Myrrima rozejrzała się po dziedzińcu, Iomy tutaj nie było, podobnie jak i jej konia...

Chociaż nie! Leżał na blankach wieży Warowni Darczyńców, osiemdziesiąt stóp wysoko. Wskazała go Binnesmanowi.

- Ale Ioma była w warowni! Uwięziłeś ich razem!

- Nie! - krzyknął czarnoksiężnik.

W tej samej chwili stos kamieni eksplodował, odrzucony potężną siłą od spodu. Przez otwór wydostała się zaraz burza ognia i znów ciemność ogarnęła niebo. Wydawała się nawet głębsza niż wcześniej.

Binnesman krzyknął ze strachu, a Myrrima odruchowo rzuciła się do ucieczki, by wykonać polecenie Króla Ziemi i gdzieś się ukryć. Dobiegła do Bramy Królewskiej i roztrzęsiona przyłgnęła do muru.

Znów zerwał się wiatr i kamienie zadrzały pod jego uderzeniem. Binnesman jednak stał ciągle, końcem laski rysował na ziemi runy i nie ustawał w rzucaniu zaklęć. Wicher porywał i unosił jego słowa.

Niemniej czar działał i huczący żywioł nie miał dostępu do zielarza. Nawet ubrania na nim nie targał.

Z ciemności wystrzeliła błyskawica i uderzyła w ziemię u jego stóp. Nie dosięgła czarnoksiężnika, który otoczył się przepiękną barierą i bez drżenia wpatrywał się w przeciwnika. W jednej dłoni trzymał jaśniejącą soczystą zielenią laskę, drugą sięgnął do kieszeni i wydobyl opal. Kamień rozjarzył się niespodziewanie i Myrrima pomyślała, że zaczął świecić tak samo jak wcześniej w gospodzie, ale nie. Tym razem opal chłonał światło, i to tak silnie, że ognisty wir potwora wygiął się nagle w stronę kamienia.

Mrok zelżał, przypominając późnowieczorną szarówkę. Dmuchało nadal, ale nie mocniej już niż podczas zwykłej burzy.

Z cienia przy rumowisku rozległ się nagle śmiech. Głęboki i wyraźnie nieludzki.

- Myślisz mnie zagłodzić, mały czarodzieju?! Ten kamień jest na to za mały!

Myrrima zadrzała, ale ujęła mocniej łuk, osadziła strzałę i napięła cięciwę aż do ucha.

Ćwiczyła dopiero dwa dni, ale dorobiła się już zgrubienia skóry na podtrzymujących ją palcach.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, wybiegła z ukrycia i stanęła w świetle bramy...

Na wprost niej stał czarny glory. Wysoki na osiem lub dziewięć stóp, przypominał człowieka porośniętego czarną sierścią. Na plecach wyrastały mu szerokie skrzydła. Całą jego sylwetkę spowijał zimny, biały ogień. Obrzucił Myrrimę pogardliwym spojrzeniem i przestał się nią interesować.

Był za daleko na precyzyjnie mierzony strzał. Z sześćdziesięciu jardów musiała celować po prostu w korpus. To dawało pewną szansę, że w ogóle go trafi.

Nie czekając dłużej, zwolniła cięciwę. Czarny glory rozwinął raptownie skrzydła i wiatr zawył ponownie. Z dłoni potwora strzeliła błyskawica. Trafiła w łuk bramy, obsypując Myrrimę odłamkami kamieni.

Strzała wleciała wysoko i wydawało się z początku, że przeleci nad głową bestii, ale prostując skrzydła, glory uniósł się na stopę i tyle starczyło, by grot przebił mu ramię.

Stwór odrzucił głowę do tyłu, jakby w nagłym paroksyzmie bólu, runął na bruk dziedzińca i zaczął się rzucać i zwijać. Próbował chyba osłonić się skrzydłami przed następną strzałą. Krzyczał przy tym, potwornie przerażony.

Myrrima sięgnęła do kołczana i pobiegła ku potworowi. Myślała tylko o tym, by go zabić, zwyciężyć. Wkoło panował ciągle półmrok: opal Binnesmana nie przestawał wchłaniać blasku dnia.

W głowie usłyszała po raz kolejny głos Gaborna. „Atakuj!” - krzyczał z taką mocą, że nijak nie mogłaby oprzeć się temu poleceniu.

Była już prawie obok stwora, który przywitał ją węzowym sykiem. Spojrzał na nią pomiędzy fałdów skrzydeł. Wciąż gardził napastniczką, ale przede wszystkim się jej bał.

Myrrima napięła łuk i kolejną strzałę posłała prosto w oko potwora.

Raptownie znowu nastał dzień, dzięki czemu dziewczyna oprzytomniała odrobinę i zdała sobie sprawę, że stoi zdyszana nad glorym i obrzuca go wyzwiskami.

- Przeklęta ohydo! Zabiję cię, parszywcu!

Wciąż nie do końca nad sobą panując, podbiegła do wijącej się postaci i zaczęła ją kopać. Glory wyciągnął trój pazurzystą łapę, jakby chciał ją złapać. Dziewczyna odskoczyła, ale nie przestała wrzeszczeć.

- Cofnij się! - krzyknął Binnesman, próbując ją odciągnąć. Potwór wygiął grzbiet, rozpostarł skrzydła i uniósł ciężką rękę.

Syknął chrapliwie i przeciągle, jakby umierał, a potem otworzył szeroko usta i czarny wichur wydarł się z jego wnętrza z taką siłą, że wtłoczył truchło bestii w ziemię. Myrrima chciała się cofnąć i uciekać, ale teraz ledwie mogła się ruszyć.

Pojęła, że zabiła fizyczną powłokę monstrem, ale ożywiający go żywioł pozostał nietknięty.

Mocarna pięść wichury uderzyła w Myrrimę, odrzuciła kilka kroków do tyłu i wydusiła powietrze z płuc. Zabolęło, żebra zatrzeszczały, jakby miały pęknąć, nogi straciły oparcie i wiatr poniósł dziewczynę przez dziedziniec. Wył przy tym i chichotał tysiącem głosów odcieleśnionego ducha.

Na dziedzińcu wyrosła tymczasem trąba powietrzna. Uniosła ciało potwora i wyrwijając kamienie z bruku, grmiąc i błyskając, najpierw obiegła dziedziniec, potem wypuściła się ku północy i uszkodziła mury Warowni Darczyńców, aż w końcu, rozrzuciwszy wkoło deszcz kamieni, ruszyła prosto na Myrrimę.

Najpierw obok dziewczyny uderzyły jedna po drugiej trzy błyskawice, a potem macki wichury zaczęły wciągać ją do wnętrza wiru. Czepiając się palcami bruku, słyszała, jak Binnesman coś krzyczy, ale w końcu wiatr uniósł ją znowu i na moment przytrzymał nieruchomo w górze, jakby zastanawiał się, co zrobić ze zdobyczą.

Wtedy też zobaczyła czarnoksiężnika: wichura rozwiewała mu włosy i targała jego szatami, ale trzymał się na nogach i zdołał nawet wyciągnąć łaskę ku Myrrimie. Złapała wyglądzone od dotyku dłoni drewno i dojrzała kątem oka spadający prosto na nią ogromny głaz, wyrwany chwilę wcześniej z muru Warowni Darczyńców.

Binnesman uniósł rękę i pocisk skreślił w lewo, minimalnie chybiając celu.

- Przypisuję cię ziemi! - zawołał czarnoksiężnik. - Żyj! Żyj dla ziemi!

Wiatr próbował ją oderwać, ale Myrrima ze wszystkich sił trzymała się laski. Binnesman wyciągnął tymczasem z kieszeni garść liści i cisnął je w górę. Wiatr porwał je momentalnie.

- Odejdź, demonie! - krzyknął. - Ona jest moja!

Wiatr osłabł nagle, chociaż trąba powietrzna wyła dalej. Przesunęła się nad Warownię Darczyńców, wyrwała z ruiny kolejne kamienie i zrzuciła je wokół dziewczyny i Binnesmana, nie robiąc im jednak żadnej krzywdy. Potem strzeliła jeszcze z tuzinem piorunów, aż Myrrima na chwilę przestała cokolwiek widzieć, i w końcu oddaliła się na północ. Przebiegła przez nekropole, wyrwała z korzeniami szereg stuletnich czereśni, zeskoczyła z wysokiego urwiska i pognąła, klucząc, przez pola. Po drodze burzyła domy, łamała wozy i płoty, rozrzucała stogi. Po dłuższej chwili została po niej jedynie czarna szrama biegnąca przez krajobraz, opadające powoli drobiny słomy i kurz w powietrzu. Czarny glory został przepędzony.

Roztrzęsiona Myrrima usiadła na ziemi. Żebra ją bolały, nogi i ręce miała całe w ranach zadanych przez odłamki kamieni, ale przede wszystkim nie mogła się nadziwić, że jeszcze żyje.

Binnesman objął ją i przytulił. Akurat na czas, bo żądza krwi zaczęła właśnie ustępować i dziewczyna zadrżała. Krew w uszach zaszumiała Myrrimie tak głośno, że prawie przestała słyszeć. Ledwie pojęła, co zielarz do niej mówi.

- To się nie powinno zdarzyć, moja pani! - stwierdził zdumiony. - Żaden śmiertelnik nie może zabić czarnego glory'ego! A zabić go i przeżyć...

- Że jak? O czym ty mówisz?

On jednak tylko przesunął dłonią po jej ubraniu, jakby coś odkrył.

- Jesteś mokra. Jesteś cała przemoczona!

Myrrimie łzy napłynęły do oczu i wtuliła się w czarnoksiężnika. Spojrzała nad jego ramieniem na ruiny Warowni Króla. Pośrodku widniała wielka, ciemna dziura, przez którą potwór wydostał się z piwnic.

Gdzieś tam leży Ioma, pomyślała dziewczyna. Powinnam poszukać jej ciała. Trzeba ją pochować.

Nie dokończyła jeszcze tej myśli, gdy na skraju wyrwy coś się poruszyło i ponad kamienie wychynęła obsypana pyłem głowa Iomy. Królowa rozejrzała się z wyraźnym zaciekawieniem, a zza jej ramienia pokazała się czupryna kulawego chłopca.

- Ukryliśmy się w twojej komnacie - opowiadała Ioma. - Moc ziemi jest tam największa i czarny glory wolał nie wchodzić do środka. Gdy warownia się zawaliła, skryliśmy się w rogu. Resztki pękniętych belek osłoniły nas przez gruzem.

- Mieliliśmy szczęście! - krzyknął chłopiec. W płaszczu ze złotogłowiu wyglądał jak błazen.

- Królowa miała szczęście!

- Nie, to nie było zwykłe szczęście - stwierdziła Ioma, upominając go spojrzeniem. - Gaborn mnie ostrzegł. Kazał mi się ukryć i skierował w bezpieczne miejsce. Czuł, że tam nic się nam nie stanie.

- Gdy następnym razem spotkasz króla, podziękuj mu za ocalenie - powiedział Binnesman. Ioma spojrzała na pola naznaczone śladem umykającego tornada i wzdrygnęła się.

- Potem, gdy czarny glory wyszedł na górę, pełzaliśmy przez rumowisko, aż udało nam się uwolnić. Wiatr był jeszcze potępieńczo i nie śmiałam wychodzić, aż w końcu usłyszałam, jak rozmawiacie, i już wiedziałam, że jest po wszystkim.

Binnesman puścił w końcu Myrrimę, która trochę się już uspokoiła, chociaż dreszcze nie przeszły jej jeszcze do końca. Dziewczyna zerknęła na ruiny. Wydawało się, że nikt nie mógłby przeżyć pod gruzami.

- Ale jednego ciągle nie rozumiem - powiedział czarnoksiężnik i pokręcił głową. - Zwykła strzała nie powinna nawet zranić tego potwora.

Odszukał na ziemi jeden z pocisków Myrrimy i obejrzał go dokładnie od końca do końca. Grot był żelazny, opierzenie z białych gęsich piór. Przesunął palcami po jednym i drugim i spojrzał z ukosa na Myrrimę.

- Jest mokra - stwierdził podejrzliwie.
- Wpadłam do fosy - wyjaśniła Myrrima.

Binnesman uśmiechnął się, jakby właśnie usłyszał coś szalenie ważnego.

- No tak, oczywiście. Powietrze jest niestałe, a woda jest jego przeciwieństwem. Podobnie jak ziemia. Strzała z drewna i żelaza, zrodzonych z ziemi, nie dosięgłaby czarnego glory'ego, ale zmoczona... Poza tym przez cały czas go osłabiałem.

Myrrima odniosła wrażenie, jakby czarnoksiężnik rościł sobie prawo do udziału w jej wiktorii, choć była całkiem pewna, że uratowała mu życie. Binnesman wydawał się nie do końca o tym przekonany.

Chwilę później na bruku zadzwoniły podkowy i przez bramę wjechał Jureem. Prowadził wierzchowca Myrrimy z wielką białą szramą oparzenia na zadzie. Dziewczyna nie mogła się nadziwić, że zwierzę w ogóle chodzi, ale widać miało dość darów sił życiowych, by przetrzymać coś, czego zwykły koń by nie przeżył.

Jureem zeskoczył z siodła i postawił na ziemi kosze ze szczeniakami. Psiaki podniosły jazgot, a jeden podważył nosem pokrywę, wyskoczył i podbiegł zaraz do Myrrimy, która pochylała się i pogłaskała go odruchowo.

Jureem przyjrzał się kolejno Iomie, Binnesmanowi i Myrrimie, jakby chciał się upewnić, że naprawdę nikogo nie brakuje. Ioma zaśmiała się nerwowo.

- Twój mąż zabił wczoraj maga raubenów, ale ty chyba go dzisiaj przelicytowałaś - powiedziała do Myrrimy. - Co upolujesz następnym razem?

- Większym trofeum byłoby już tylko jedno: głowa Raja Ahtena - odparła dziewczyna.

Po prawdzie Myrrima znalazła się w nieco kłopotliwej sytuacji. Brakło ciała stwora i nijak nie mogłaby dowieść, że naprawdę go zabiła. Niemniej wciąż było duszno jak przed burzą, a dziewczynie zdawało się, że glory ciągle krąży gdzieś w pobliżu i łowi każde jej słowo.

Binnesman rozglądał się gorączkowo i uporczywie wciągał wiatr w nozdrza.

- Zginął, prawda? - spytała go Myrrima. - Już po wszystkim? Zielerz spojrział na nią. Chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Nie tak łatwo go zabić. Owszem, został osłabiony, odarty z ciała, ale nie zabity. Nadal może wyrządzić wiele złego.

Myrrima spojrzała na dolinę. Powietrzny wir szalał w odległości dwóch mil od zamku.

- Ale nie zdoła nas już dosięgnąć, prawda?

- Odpędziłem go - odpowiedział znużonym głosem czarnoksiężnik.

Ioma wpatrzyła się w przestrzeń i westchnęła.

- Czy skończy tak jak zabici tkacze płomieni? Rozproszy się? Binnesman ujął laskę i spojrział w zamyśleniu na odległą trąbę powietrzną, która krążyła chaotycznie i ciskała czym popadło. Całkiem jak dziecko w napadzie złości.

- Niezupełnie - odpowiedział ze smutkiem. - Straci obecną postać, ale chyba nie zniknie tak szybko jak uwolniony z ciała tkacza żywioł ognia. Nie sądzę też, by zechciał dać nam spokój.

W mieście strażnicy zaczęli wychodzić z ukrycia. Zerkali niespokojnie na ruiny warowni. Czterech podeszło aż do Bramy Królewskiej.

Myrrima dojrzała swój łuk leżący pośrodku dziedzińca. Upuściła go w zamieszaniu. Zaczęła się przedzierać przez rumowisko, żeby go odzyskać. Glory poczynił tyle zniszczeń, że strażnicy miejscy mieli prawo powątpiewać, czy ktokolwiek tu przeżył.

Nagle tuż przed sobą ujrzała pozostałość po potworze: oderwaną dłoń z trzema ostrymi niczym brzytwy pazurami. Wciąż jeszcze sączyła się z niej krew, a co gorsza, łapa pulsowała rytmicznie, jakby oddychała.

Dziewczyna odkopnęła paskudztwo, które potoczyło się kilka kroków i jakby szukając schronienia, popęzło po dziedzińcu niczym olbrzymi pajak. Szczeniak pobiegł za nim, głośno ujadając.

Myrrima wzięła w końcu łuk i wróciła do pozostałych. Jureem obserwował z niepokojem myszkujejącą łapę, ale Ioma skupiła uwagę na szczeniaku, który próbował kąsać podejrzany obiekt.

- Broni cię jak może - powiedziała. - Dorósł, żeby ci oddać dar. Myrrima sądziła, że pies jest jeszcze za młody, chociaż z drugiej strony... Diuk Groverman zapewniał, że zwierzaki z jego hodowli szybko przywiązują się do właścicieli, a jakaś nagroda byłaby bardzo na miejscu. Żona Borensona sprawdziła się tam, gdzie tacy mężowie jak sir Donnor zawiedli z kretelem.

Uklękła przed Iomą i złożyła łuk u jej stóp. Chciała zostać wojowniczką i miała nadzieję, że jest tego warta i że otrzyma również zgodę na korzystanie z drenów króla. Normalnie przekazanie daru było koszmarnie drogim przedsięwzięciem, a przy obecnych brakach krwawego metalu nie było nawet szans, by zdobyć jakieś dreny na własną rękę.

- Wasza wysokość - odezwała się dziewczyna - chcę złożyć przysięgę. Tobie oddaję swe życie i broń. Zaszczycem będzie nosić ją w twojej służbie.

Ioma zawahała się, niepewna, co czynić.

- Ma serce wojownika - podpowiedział Binnesman. - A nawet więcej: stawiała dzielnie, gdy rycerze poszukali ukrycia.

Ioma pokiwała głową. Niech tak będzie... Rozejrzała się w poszukiwaniu własnej broni, ale Jureem wyciągnął zaraz swoją szablę i włożył wysadzaną rubinami rękojeść w dłoń królowej, która dotknęła zakrzywioną klingą głowy i ramię Myrrimy.

- Wstań, lady Borenson - rzekła z namaszczeniem. - Z chęcią przyjmujemy twe służby, a za czyny, których dzisiaj dokonałaś, spotka cię nagroda. Otrzymasz dziesięć drenów z moich osobistych zapasów, a twoi darczyńcy przejdą na nasze utrzymanie.

Dziesięć drenów... Myrrimie aż łzy napłynęły do oczu, chociaż pomyślała zaraz, że wojownikowi nie przystoi płakać. Z dziesięcioma drenami mogła godnie przysposobić się do wojaczki. Było to więcej, niż oczekiwała, chociaż uczyniła dla królestwa tyle, że zdaniem Iomy te dziesięć drenów było ledwie godziwą zapłatą. Myrrima szybko sobie uświadomiła, co myśli jej królowa. Wzięła łuk i wstała. W świetle prawa była teraz obrońcą Heredonu, kimś równym pomiędzy rycerzami. Z jakiegoś powodu bardzo jej ulżyło.

Ioma odeszła w kierunku nekropoli, a tymczasem jej Dziennik wyłoniła się wreszcie z kryjówki, wciąż drżąca i biała ze strachu. Binnesman i Jureem zaczęli zdawać jej relację z ubicia czarnego potwora. Myrrima w ogóle nie próbowała się odzywać. Usiadła na ziemi i bawiła się ze szczeniakami. Zaraz wzięły się do pogryzania jej palców i lizania po twarzy.

Jej psy. Klucz do realizacji marzeń. Wieczorem dotrą do zamku Groverman i darmistrz zaintonuje swoją pieśń. Szczeniak, który ruszył bronić swojej pani, był hodowany dla siły życiowej. Myrrima bardzo jej potrzebowała do dalszych ćwiczeń z orężem...

Rano będzie już wilczycą... Podobno ci, którzy przyjmowali dary od psów, stawali się gwałtowniejsi. Dzicy. Ciekawiło ją, czy sama też się zmieni, czy upodobni się z czasem do Raja Ahtena.

Ioma wróciła z grobowców z ponad trzema tuzinami drenów. Uklękła obok Myrrimy.

- Wzięłam więcej, również dla mnie. Nie będziesz jedyną wilczycą Heredonu.

- Gdzieżbym śmiała - stwierdziła dziewczyna.

Wskoczyli na siodła. Jureem oddał królowej własnego wierzchowca i poszedł do stajen wybrać któregoś z rezerwowych koni gwardzistów. Obie kobiety wzięły po koszu szczeniaków, a kaleki chłopiec dołączył do Binnesmana.

Gdy zjeżdżali po bruku Rynkowej, Myrrima co rusz oglądała się za siebie, na zarys zamku. Bez Warowni Króla i wież Warowni Darczyńców wyglądał dość dziwnie.

Dotarli do mostu. Łeb maga raubenów ciągle leżał na błoniach po drugiej stronie fosy. Myrrima zatrzymała konia i spojrzała w wodę. Ryby zniknęły, nie kreśliły już swoich wzorów tuż pod powierzchnią.

W końcu wypatrzyła jednego jesiotra w cieniu pod mostem. Odpoczywał pośród złocistych lilii wodnych. Tak, teraz już mógł odpocząć. Zamek był bezpieczny. Myrrima pomyślała, że wodni czarnoksiężnicy niewątpliwie muszą być w pełni świadomi tego, co się stało. Najpewniej to ich zaklęcia przyczyniły się w największej mierze do pokonania glory'ego.

- Powinniśmy coś dla nich zrobić - powiedziała do Binnesmana. - Musimy im podziękować - dodała z lekkim poczuciem winy.

Jeszcze poprzedniego dnia chętnie spałaszowałyby którąś z tych ryb, a teraz proszę, była ich dłużnikiem.

- Oczywiście - stwierdził czarnoksiężnik. - Rzeka jest już czysta. Otworzymy jaz, niech płyną, gdzie chcą. Same nie poradzą sobie z zamknięciem.

Myrrima spróbowała sobie wyobrazić, jak mogą się czuć takie duże ryby uwięzione w fosie. Na pewno rzeka jest dla nich lepsza, w rzece są żaby, węgorze, młode kaczuszki i inne delikatesy.

Z pomocą Binnesmana i Jureema wyciągnęła deski, które zamykały kanał łączący fosę z rzeką. Ledwie wspięła się na brzeg, ujrzała ciemne sylwetki wodnych czarnoksiężników. Granatowe grzbiety przesunęły się pod powierzchnią, machnęły ogony i jesiotry już były wolne. Zaraz skierowały się w górę nurtu, ku skrytym w Mrocznej Puszczy źródłom Wye.

OBRAN

Borenson przydrzemał trochę podczas jazdy do Pałacu Kobiet, ale wciąż czuł się słaby. Smutek też mu nie minął. Konie gnały cały czas bez wytchnienia i chociaż spać mógł nawet godzinę, wydawało mu się, że ledwie chwila minęła, gdy Pashtuk zaczął trącać go w bok.

- Już jesteśmy - powiedział, wskazując dolinę poniżej. - Pałac Kobiet.

Borenson uniósł głowę, ale to, co ujrzał, nijak nie pasowało do oczekiwań. Myślał, że ujrzy wielką kamienną budowlę w rodzaju krytych złocistymi kopułami pałaców Północy, taką z wielkimi łukami bram i rozległymi podwórcami, a tymczasem jego oczom ukazała się gromada zwykłych, wiekowych domów przytulonych do stóp skalnego urwiska.

Z daleka wyglądały na opuszczone i leżące w ruinie. Dolina wkoło pełna była kamieni, głazów, kolcokrzewu i komosy. Brakło śladów wody i stad bydła, nie było nawet wielbłądów, koni czy kóz. W domach nie płonęły żadne światła, na okalających je murach Borenson nie dostrzegł żadnej straży.

- Jesteś pewien? - spytał Pashtuka. Niezwyciężony tylko pokiwał głową.

- No jasne - uprzytomnił sobie Borenson. - Przecież nie wystawiałby największego skarbu na pokaz. - Pałac skryto za bezimiennymi ruinami straszącymi na pustkowiu. Obran. Borenson sądził dotąd, że znaczy to „miasto pradawnego króla”, ale teraz przyszło mu do głowy inne tłumaczenie tej nazwy: „królewska ruina”.

Pashtuk poprowadził go drogą wiodącą w dolinę.

Nawet gdy wjechali w bramę, nie dało się dostrzec żadnej straży. Zresztą wartownia już wieki wcześniej zmieniła się w bezkształtną kupę kamieni. Z daleka mogły one nawet przypominać pałac, z bliska jednak stało się oczywiste, że służą za mieszkanie jedynie skorpionom i żmijom.

Wszędzie wygrzewały się na słońcu wielkie szare jaszczurki, które ożywały na ich widok i czmychały do swych kryjówek. W powietrzu unosiły się całe chmary żółtokryzych pustynnych jaskółek.

Czyli tu jednak jest woda, pomyślał Borenson. W przeciwnym razie nie widziałbym tylu zwierząt. Niemniej wciąż nie dostrzegł żadnej studni ani bujnie krzewiącej się zieleni.

Dotarli do ruin wielkiej rezydencji, być może nawet monarszego pałacu. Niezwyciężony wjechał pomiędzy nadwerżone przez czas mury.

Dach budowli zapadł się już dawno, ale na ścianach zostały jeszcze ślady fresków przedstawiających pradawnych władców. Wszyscy byli w długich białych szatach i mieli dziwnie kręcone włosy. Większość malowideł zbladła na słońcu, niekiedy ledwie odróżniały się od tła.

Wreszcie Borenson dostrzegł jakiś ślad ludzkiej obecności. W samym końcu wielkiego pomieszczenia, które mogłoby być salą tronową, ktoś przebił niedawno w murze wąski tunel. Z tej strony był całkiem ciemny, ale w głębi, gdzie robił się szerszy, widać było skapaną w blasku słońca skalną rozpadlinę.

Tutaj też pojawili się strażnicy. Dwaj Niezwyciężeni, którzy wyłonili się z cienia i wdali w głośną rozmowę z Pashtukiem. Posługiwali się nie znanym Borensonowi dialektem indhopalskiego. Pashtuk pokazał im drewny i wyjaśnił, jakie zadanie otrzymał rycerz z Północy. Tamci zaraz przeszli na łamany rofehawański i dali upust swojej nienawiści do wroga. Nie zaskoczyli Borensona: przywykł już, że tutejsi zbrojni z dziwną przyjemnością rozprawiają głośno o jego zamordowaniu. Na dodatek przeszedł ostatnio dość, by nie przejmować się nawet perspektywą rychłej śmierci.

Jeden z Niezwycięzonych pobiegł gdzieś tunelem spytać, czy Borenson zostanie przyjęty. Wrócił po kwadransie i zaraz popędził gościa przed sobą.

W przejściu zapachniało Borensonowi świeżo rozkopaną ziemią i bujną roślinnością. Rozpadlina musiała kończyć się w oazie.

Idąc pomiędzy skalnymi ścianami, przyglądał się promieniom słońca ślizgającym się po żółtym piaskowcu. Urwisko wyrastało na jakieś sto stóp i całe światło, jakie docierało aż na sam dół, było blaskiem odbitym od wyższych partii gładkiego zbocza. Borenson skłonny był przypuszczać, że przejście zostało zamknięte tysiące lat temu i dopiero niedawno ktoś odkrył je na nowo.

Dziwne, pomyślał. Tak cenny, pełen wody zakątek pustyni. Skryty na niezliczone wieki. Jak do tego doszło? Jakiż to władca zamaskował dojście do oazy, ukrył ją za murem własnej sali tronowej? I jakim cudem ci ludzie mogli zapomnieć o wodzie?

Rozpadlina wiała się niczym wąż przez wzgórze, aż rozszerzyła się w trójkątną dolinę ogrodzoną od wschodu i zachodu wysokimi urwiskami, które schodziły się trzy mile dalej na południe. Północny kraniec otaczała strzępiasta korona skał i osypisk, których nawet górska kozica żywa by nie przeszła.

I tutaj, w utajonej dolinie, przycupnął nad małym jeziorem pałac. Dokładnie taki, jakiego Borenson oczekiwał. Otaczał go gęsty, palmowy gaj.

Kremowe mury wyrastały na ponad czterdzieści stóp, a rozrzucone nieregularnie wieże strażnicze, wszystkie z miedzianymi dachami, wznosiły się jeszcze na drugie tyle. Budowlę wieńczyła wielka złota kopuła okolona u podstawy krytą dachem kolumnadą. Po ścianach wspinały się pędy dzikiej róży i jaśminu, niebiesciło się jeziorko, trawa cieszyła oczy szmaragdem, palmy soczystą zielenią... Borenson nie widział jeszcze piękniejszego zakątka. Pałac był uroczy w swej prostocie.

Zbliżał się do niego, niosąc pakunek z drenami. Wciąż był w okowach, dreny zaś ważyły sporo i bez darów krzepy Borenson ledwie mógł je udźwignąć. Zanim doszli, zdyszał się mocno i zasapał.

Pashtuk zatrzymał go przed bramą: obłożonymi złotem drewnianymi wrotami osadzonymi w poczerńiałym, kutym żelazie.

Wkoło polatywały dziesiątki kolibrów, spijających nektar z przepaścistych kielichów kwitnących na murach szafranowych i różowych kwiatów. Zza drzwi dobiegał plusk wody.

Stojący w okienku nad bramą strażnik odezwał się wysokim, piskliwym głosem. Mówił po tuulistańsku i Pashtuk musiał tłumaczyć.

- Eunuch mówi, że Saffira przyjmie cię na dziedzińcu. On otworzy bramę, byś mógł z nią porozmawiać, ale nie wolno ci na nią spojrzeć. Gdybyś tak zrobił, zostaniesz zabity, jak rozkazał król. Niemniej - dodał ciszej - jeśli Saffira byłaby skłonna wstawić się za tobą, wyrok zmienią na kastrację, abyś mógł zostać w pałacu jako jej sługa.

Borenson parsknął. Nigdy nie spotkał kobiety z większą liczbą darów urody niż dziesięć i nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak piękna może być Saffira, rozumiał jednak niebezpieczeństwo. Mężczyźni z podobnymi darami nie działali na niego. Widok Raja Ahtena nie wyzwalał w nim pożądania, chociaż Borenson znał mężczyzn, którzy reagowali inaczej.

Niemniej obecność królowej albo innej wysoko urodzonej damy z kilkoma darami urody nie raz i nie dwa powodowały u niego przyływ żądz, które ze wszystkich sił musiał opanowywać. Tak, kobieca uroda robiła na nim nieporównanie większe wrażenie niż męska. Szczęśliwie nigdy nie zapomniał, że te bogate i przecudne damy należały do innego świata i na tyle przerastały go urodzeniem, że były dlań niedotykalne. Niemniej posiadająca setki darów Saffira mogła być zbyt wielką pokusą...

- Dziękuję serdecznie - mruknął. - Czuję się dość przywiązany do moich klejnotów.

- Mnie też jakoś nie kusi - odparł Pashtuk.

Borenson uśmiechnął się, a Niezwyciężony dał znak ręką. Strażnik napał na korbę i otworzył odrzwia.

- Zaciśnij powieki - ostrzegł go Pashtuk, opadając na kolana w zwyczajowym geście powitania. - Mocno, żeby strażnicy mieli pewność, że nie patrzysz. Jesteś z Północy i mogą szukać pretekstu, by cię zabić. W gruncie rzeczy powinni ci zakryć oczy opaską, ale pewnie mają nadzieję, że dasz im okazję.

Borenson posłuchał rady, chociaż nie był pewien, czy dobrze robi, ale co kraj, to obyczaj, pomyślał. Pozycja Saffiry nie była zbyt jasna. Jako jedna z wielu żon i konkubin nie mogła się równać z królowymi Północy. Nie miała swojej Dziennik. Z drugiej strony była ulubioną żoną Raja Ahtena, najpilniej skrywanym skarbem... Ostatecznie Borenson postanowił odnosić się do niej, jakby rzeczywiście była królową. Podobnie jak Pashtuk, opadł na kolana i mimo krepujących ruchy okowów wsparł się na rękach, a głowę opuścił do nagranych przez słońce kamiennych płyt.

Ku jego zdumieniu, gdy Saffira się odezwała, uczyniła to po rofehawańsku. Mówiła prawie bez śladu obcego akcentu.

- Witaj, sir Borensonie - powiedziała. - Nigdy jeszcze nie odwiedził mnie nikt z Rofehawanu. To niezwykle zdarzenie. Cieszę się, że opowieści nie kłamią i że na własne oczy mogę się przekonać, iż są na tym świecie mężczyźni z jasną skórą i ognistymi włosami.

Wsluchał się w jej głos. Był łagodny, zmysłowy, melodyjny i zdumiewająco niski. Sugerował, że Saffira jest wytworną kobietą z tuzinem darów głosu, a skoro opanowała tak doskonale rofehawański, miała też zapewne kilka darów rozumu.

Przysunęła się bliżej, szeleszcząc jedwabiami. Po chwili jej cień padł na Borensona, który ciągle nie odpowiadał. Nie otrzymał pozwolenia, by się odezwać.

- Co to jest? - spytała Saffira. - Co to za brązowe plamki, które masz na głowie? Czy to tatuaże?

Borenson omal się nie roześmiał. Widać sama nauka języka to jeszcze nie wszystko. Teraz, gdy zadała mu pytanie, mógł otworzyć usta.

- To naturalne plamki, wasza wysokość, piegi.

- Piegi? Tak samo jak plamki na skórze łosia?

- Tak nazywa się tylko w północnych królestwach Rofehawanu, wasza wysokość. W Mystarrii i w królestwach południowych mówimy na nie „cętki”.

- Rozumiem - stwierdziła z rozbawieniem Saffira. - Więc nawet u siebie nie doszłście do porozumienia, jak je nazywać.

Borenson usłyszał tupot małych stóp. Na dziedzińcu pojawiły się dzieci. Podchodziły coraz bliżej.

- Sir Borensonie, moje dzieci są ciebie ciekawe. Nigdy jeszcze nie widziały nikogo z Rofehawanu i boją się, ale mój najstarszy żyjący syn pragnie cię dotknąć. Nie masz nic przeciwko temu?

Gdy Borenson poprzedniego dnia przywlekl pod mury miasta głowę maga raubenów, dzieci i starcy zebrali się zaraz wokół i wszyscy dotykali szarej, skórzastej masy, a kobiety krzyczały w udawanym przerażeniu. Teraz te dzieci tak samo podchodziły do niego. Czyżbyśmy naprawdę aż tylu zabójców wysłali, że mają powody się mnie bać? pomyślał.

Niemniej skłonny był się zgodzić. Dzieci się tu urodziły i spędziły tutaj całe życie. Niejeden wolny rycerz uznałby „najstarszego żyjącego syna” za idealny cel. Ciekawe, co stało się z „najstarszym nieżyjącym synem”?

- Twoje dzieci mogą spokojnie mnie dotknąć - odpowiedział. - Chociaż jestem wolnym rycerzem, nie zrobię im krzywdy.

Saffira zwróciła się do chłopca, który jęknął, słysząc, że Borenson jest wolnym rycerzem. Podszedł niepewnie i z wahaniem dotknął niewielkiej łysiny w przerzedzających się włosach

gościa, po czym odbiegł. Natychmiast pojawiło się mniejsze dziecko, a po nim jeszcze młodsze, które mogło mieć może dwa lata. Pogłaskało Borensona, jakby był kociątkiem.

Troje dzieci, pomyślał rycerz. Jureem mówił, że Saffira została pierwszą małżonką Raja Ahtena pięć lat temu, ale dotąd nie przeszło Borensonowi przez głowę, że mogła urodzić mu dziecko. A co dopiero troje...

Najmłodsze cofnęło się na polecenie matki.

- Masz dla mnie wiadomość i prezent, tak? - spytała Saffira.

- Owszem, wasza wysokość - odparł Borenson, świadom otaczającej go wrogości. Wedle zwyczaju nie godziło się wypytywać o cel przyjazdu, nie zaproponowawszy gościowi jadła i napoju. Nawet gdyby miała to być tylko czcza formalność. - Przybywam z Heredonu z posłaniem i darem od Gaborna Val Ordena, Króla Ziemi.

Zapadła cisza. Słysząc było, jak Saffira wciąga gwałtownie powietrze. Chyba nie wiedziała, skryta na tym odludziu, że na Północy pojawił się nowy Król Ziemi.

- Przecież Heredonem rządzi król Sylvarresta! - zakrzyknęła.

- Jesteśmy w stanie wojny - odparł Borenson. - Twój małżonek, pani, zaatakował...

- Nie zabiłby króla Sylvarresty! Zabroniłam mu tego! Sylvarresta był przyjacielem mojego ojca!

Borensonowi dech zaparło, aż z konieczności zakaszał. To prawda, że Raj Ahten okazał Sylvarreście niespotykane względy, nie zabijając go, tylko pozbawiając rozumu, ale nikomu nie przyszło do głowy, że stało się tak za wstawiennictwem tej kobiety.

Rycerz zastanowił się poważnie. Dotąd sądził, że podjął się bezsensownego zadania, które nic nie przyniesie. Pashtuk tylko utwierdził go w tym przekonaniu, orzekając, że tylko głupiec słucha kobiet. Niemniej Saffira zdawała się mieć pewien wpływ na Raja Ahtena...

- Wasza wysokość, twój mąż dotrzymał słowa - powiedział w końcu. - To nie on zabił króla Sylvarrestę.

- Możesz podać imię wojownika, który to uczynił? - spytała Saffira. - Dopilnuję, by został ukarany.

Borenson nie śmiał wyjawiać, że to on zabił Sylvarrestę, nie przeszłoby mu to teraz przez gardło. Mógł mieć tylko nadzieję, że się niczym przed nią nie zdradzi.

- Nie mogę, wasza wysokość - stwierdził krótko. - Wiem niemniej, że Gaborn Val Orden z Heredonu został wybrany przez ziemię na króla.

- Gaborn Val Orden, księżę Mystarrii, twierdzi, że jest Królem Ziemi?

- To prawda, wasza wysokość - powiedział Borenson. - Duch Erdena Geborena pojawił się na czele armii dziesięciu tysięcy widm i ukoronował Gaborna wieńcem z liści.

Saffira obróciła się i wykrzychała kilka zdań do strażników. Mówiła po taifańsku, ale w jej głosie dał się wyczuć wyrzut: „Dlaczego mi nie powiedzieliście?”

Eunuchy zabormotały coś przepaszajaco.

- To ważka nowina - rzekła Saffira do Borensona. - I mówisz, że nowy Król Ziemi przesyła mi wiadomość i prezent?

- Tak, wasza wysokość. - Borenson otworzył torbę z drenami i rozłożył je na ziemi. Ostrożnie, by nie uszkodzić metalu. - Przysyła ci dary urody i głosu.

Saffira westchnęła, widząc tyle drenów. To naprawdę był królewski podarunek.

- Kazał też przekazać, że kilkanaście dni temu ożenił się z Ioma Sylvarrestą i tym samym został kuzynem twojego męża, a niedawno doszły go wieści o raubenach atakujących południe Mystarrii i Kartishu. Król Ziemi pragnąłby zawiesić konflikt z twoim mężem i błaga cię, byś przekazała mu te słowa: „Chociaż nienawidzę mego kuzyna, jego wróg jest moim wrogiem”.

Saffira nie zdołała ukryć zaskoczenia. Znów westchnęła i zamilkła na dłuższą chwilę, jednak nie wydawało się, aby źle przyjęła propozycję, chociaż na pewno wiedziała, o co Gaborn ją prosi. Miała użyć tych drenów i wyprawić się w rejon walk, do Rofehavanu.

- Człowiek, który zabił mojego syna, teraz proponuje rozejm? - spytała nagle, a Borenson zaklął w duchu. Jureem nie wspomniał nic o zamordowaniu syna Saffiry.

- My go proponujemy - odparł, czując się poniekąd odpowiedzialny za śmierć nieznanego mu dziecka.

- Czy jeśli mój mąż się zgodzi, przestaniecie nasylać na nas wolnych rycerzy? Zaniechacie zabijania naszych darczyńców i członków rodziny królewskiej? Czy Król Ziemi może to nakazać?

Borenson zawahał się. W Indhopalu było w zwyczaju targować się za każdym razem, gdy istniała szansa na uzyskanie lepszych warunków transakcji, ale Saffira chciała tylko, żeby jej dzieci były bezpieczne. Całkiem naturalne pragnienie.

Niemniej Gaborn nie chciał wybrać marszałka wolnych rycerzy, chociaż Skalbairn powierzył mu dowództwo nad swoimi oddziałami. Czy młody król zdoła uzyskać posłuch wśród wolnych rycerzy?

Odpowiedź brzmiała zarówno tak, jak i nie. Czy można obiecać Saffirze aż tyle? Czy Gaborn wybierze jednak marszałka, by zagwarantować karność jego podwładnych?

Borenson skłonny był uznać, że w takiej sytuacji nawet najohydniejsze czyny z przeszłości Skalbairna tracą na znaczeniu. Gaborn zrozumie sytuację i mimo wszystko zmieni decyzję. Czyli „tak”.

- Wolni rycerze oddali się pod dowództwo Króla Ziemi - powiedział Borenson, nie wnikając w szczegóły. - Gaborn Val Orden dotrzyma warunków pokoju.

- Gdzie jest teraz mój mąż? - spytała Saffira.

- Ponad dwie godziny temu zabił darczyńców w Błękitnej Wieży Mysterii - odparł. - Sądzę, że zmierza teraz do Carris, by rozprawić się z oddziałami diuka Paldane'a.

Saffira musiała zrozumieć, ile od niej zależy. Cały kraj znalazł się na łasce jej męża. Topór miał opaść zaraz na kark ofiary... Możliwe, że tylko ona mogła go powstrzymać.

- Carris jest daleko - powiedziała. - Muszę przyjąć dary i jechać tam jak najszybciej. Wszyscy musimy się spieszyć.

- O to właśnie proszę - stwierdził Borenson. Westchnęła, jakby z ciężkim sercem podjęła decyzję.

- Mój pan niemal ogołocił pałac - oznajmiła z nutą desperacji. - Nie ma nikogo, kto mógłby mnie eskortować do Carris. Tutaj starczą mi moi osobiści strażnicy, ale w Mysterii będę chyba potrzebowała wojskowej ochrony.

Borenson zadrżał. Wiedział, o co chodzi. Potrzebowała go. Wielki oddział wyjeżdżający z Indhopalu stałby się z pewnością celem ataku wojsk Mysterii. Nawet jeśli Saffira będzie niosła znak rozejmu, żołnierze z pogranicza odniosą się do niej równie podejrzliwie jak napotkany przez Borensona indhopalski patrol.

Wyobrażał sobie, że Saffira wyruszy z wieścią na czele tysięcznych szeregów, a on, przekazawszy wiadomość, będzie wolny. Nic z tego...

- Pashtuku, sir Borensonie, czy przeprowadzicie mnie do Carris? - spytała ze smutkiem. - Znacie cenę wstąpienia na mą służbę?

Borensonowi zrobiło się niedobrze. Bez wątpienia to on właśnie najlepiej nadawał się na przewodnika. Bez niego Saffira może nigdy nie dotrzeć żywa do Carris. Ale cena?

Dopiero co się ożenił. Kochał swoją żonę.

Poświęcić męskość? Sama myśl była odpychająca, osłabiała i napępiała poczuciem niepewetowanej straty. A jeśli nigdy nie zdołam skonsumować mojego małżeństwa?

Czy mogę? Czy powinienem, nawet dla Mysterii?

Pashtuk odpowiedział pierwszy. Nie przyszło mu to łatwo, ale zachował panowanie nad sobą.

- Uczynię, czego zażadasz, wasza wysokość. Borenson gorączkowo szukał jakiegoś trzeciego wyjścia.

- Wasza wysokość - zaczął tonem prośby. - Obawiam się, że nie podołam. W odróżnieniu od Pashtuka nie mam darów sił życiowych ani krzepy. Jeśli zgodzę się na operację, nie zdołam ujechać na koniu nawet sześciu jardów, a tutaj chodzi o sześćset mil!

Pashtuk był Niezwyciężonym. Mógł bez większych konsekwencji skoczyć ze świeżą raną na siodło. Może byłaby dokuczliwa, ale nic więcej. Borenson nie miał szans na podobny wyczyn.

- Oczywiście - powiedziała Saffira. - Wezmę to pod uwagę. Zawiesimy wykonanie koniecznych czynności do czasu, gdy dotrzemy do mojego pana.

Na szybkich koniach powinni osiągnąć Carris o świcie następnego dnia. Wtedy też przyjdzie zapłacić, o ile teraz się zgodzi. Wciąż nie była to zbyt kusząca perspektywa. Borenson czuł się wojownikiem. Jego przeznaczeniem była walka. Tyle że teraz nie miał wyboru.

- Tak, wasza wysokość - odezwał się w końcu, cały dumny, że głos mu nie zadrżał.

- Skoro tak, to Pashtuku, sir Borensonie, otwórzcie oczy i spójrzcie na mnie.

Borenson powoli uniósł powieki. Najpierw ujrzał kamienne płyty dziedzińca, potem dzieci. Tuż przed nim stał ładny chłopiec w wieku jakichś pięciu lat. Miał ostre rysy i ciemne włosy, tak samo jak Ioma Sylvarresta, ale skórę znacznie ciemniejszą. Nosił wyszywaną perłami książęcą szatę z czerwonej bawełny. Patrzył opiekuńczo na trzyletnią siostrę i osiemnastomiesięcznego brata.

Dzieci tuliły się do matki jak wszystkie przerażone maluchy świata. Borenson ledwie zauważył widoczną w tle rzeźbioną fontannę i wysokich Niezwyciężonych stojących czujnie za plecami królowej.

Saffira przykuła całą jego uwagę. Przestał słyszeć łomotanie własnego serca, swój oddech, patrzył już tylko na nią. Była smukła, o ciemnej skórze, delikatnym kośćcu. Wdzięczna jak lania. Gdyby ktoś stwierdził, że jest piękna, dopuściłby się bluźnierstwa. Żaden kwiat nigdy nie przedstawiał się równie uroczo, nie było równie delikatnego. Żadna gwiazda na niebosklonie nie napełniła nigdy nikogo większą tęsknotą co widok tej kobiety. Błask słońca przygasał przy niej. Kto na nią spojrział, przepadał bez szans na ratunek.

Całe ciało Borensona napięło się, zapomniał nawet oddychać. Nie mógł już zamknąć oczu, nie śmiał nawet mrugnąć.

Gdy Saffira znów się odezwała, jej słowa w ogóle do niego nie dotarły. Zebrała dzieci i udała się z nimi do pałacu, by przyjąć dary. Gdy zniknęła, Borenson uniósł się z obolałych kolan i gotów był iść za nią, ale Pashtuk go powstrzymał.

- Nie możesz tam wejść! - niemal krzyknął mu do ucha. - Tam są jeszcze inne kobiety.

Borenson próbował mu się wyrwać, ale brakło mu krzepy: Niezwyciężony był dziesięć razy silniejszy od niego. Przysiadł zatem ciężko na obramowaniu fontanny, wciąż nieco ogłuszony, ale szczęśliwy, że może tu poczekać na powrót królowej. Nie żałował swej decyzji. Skoro raz spojrział na Saffirę, jutro nie było już ważne. Warto tyle zapłacić, pomyślał.

Siedział tak otępiełały, aż po godzinie czekania zasnął, ale wcześniej uświadomił sobie nagle, że nie potrzebuje już okowów. Został więźniem urody Saffiry. Dotarło również do niego, że Saffira wygląda całkiem inaczej, niż oczekiwał.

Raj Ahten miał około trzydziestu pięciu lat, a na dodatek starzał się szybko, jak każdy z darami metabolizmu. Borenson założył więc, że jego ulubiona małżonka będzie dojrzałą kobietą. Jednak ta piękność, matka pięcioletniego syna, sama wciąż przypominała dziecko. Nie wyglądała na więcej niż szesnaście lat.

Ta myśl wstrząsnęła Borensonem. Wiedział, że w Indhopalu kobiety często młodo idą za mężem, wcześniej niż w Mystarrii. Jednak Saffira musiała mieć jakieś jedenaście lat, gdy po raz pierwszy zległa z Ahtenem. Nawet według tutejszych zwyczajów było to dość obsceniczne.

Borensona ogarnęła taka wściekłość, że nawet pałac zaczął widzieć na czerwono i poprzysiął sobie, że niezależnie od wszelkich rozejmów znajdzie sposób, aby wykastrować Raja Ahtena, zanim wyprawi go na tamten świat.

ZAGUBIONY WE MGLE

Majątek dałem za tego konia, a teraz zajeżdżę go na śmierć, pomyślał Roland, gnając do Carris z rycerzami Raja Ahtena na karku.

Klacz zadudniła kopytami na drewnianym moście i pogalopowała dalej wiejską drogą. Dyszała tak, jakby każdy jej oddech miał być ostatni. Uszy położyła płasko, płaty piany spadały jej z pyska. Dzięki darom mknęła jak wichur, ale Niezwycięzeni i tak się zbliżali.

Baron Poll odsądził się na pół mili od Rolanda i zniknął właśnie za wzgórzem. Był na tyle daleko, że nie musiał się przejmować pościgiem.

Roland, który miał w rodzinie szkutników, zaczął się zastanawiać, czy nie ulżyć klaczy, pozbywając się jakiegoś zbędnego balastu, ale nie miał na sobie nic ciężkiego, a juki świeciły pustkami. Niedźwiedzie futro oddał zielonej. Ze znaczniejszych przedmiotów dźwigał jedynie sakiewkę ze złotem, ale chociaż nigdy nie był przesadnie przywiązany do dóbr doczesnych, uznał, że woli zginać bogaty niż biedny. Miał jeszcze otrzymany od Poila spory sztylet, jednak ze zrozumiałych powodów wołał się z nim nie rozstawać. Wbił zatem pięty w boki konia, pochylił się nad jego karkiem i chwycił mocniej wodze.

Odległe o niecałe osiem mil Carris kryło się w gęstej mgle, jednak ponad nią wznosiły się białe wieże warowni.

Obejrzał się. Niezwycięzeni byli dwieście jardów za nim. Dwaj łucznicy kładli strzały na cięciwy. Koń Rolanda wbiegł tymczasem na szczyt wzgórza i pomknął w dół. Nagle zboczył raptownie w lewo, by ominąć koleinę, i to uratowało Rolanda, gdyż w tym samym momencie dwie strzały świsnęły mu tuż obok ramienia. Chybiły o niecałą stopę. Klacz jakby przyspieszyła, galopując ku masywnym dębom o brunatnych, kołyszanych lekkim wiatrem liściach i oplecionych ciemnozielonym bluszczem pniach.

Roland miał nadzieję, że droga zaraz skęci, co dałoby mu pewną osłonę przez kolejnymi strzałami. Obejrzał się przez ramię. Niezwycięzeni zatrzymali się na szczycie wzgórza. Poranne słońce odbijało się w ich nabijanych mosiądzem hełmach, rozjaśniało szafranowe oponcze. Spojrzeli na las i zawrócili.

Może obawiają się zasadzki, pomyślał Roland. Może gdzieś w tych dębach kryją się moi.

- Lub inny patrol Raja Ahtena - mruknął pod nosem. Na wszelki wypadek nie zwalniał, ale w dąbrowie nie dostrzegł żywej duszy.

Gdy wypadł spomiędzy dębów, ujrzał przed sobą dłuższy odcinek drogi, ale barona Poila na niej nie było. Po lewej ciągnęły się żywopłoty, po prawej kamienne murki, dostrzegł jakieś kurhany i małą wioskę, ale barona ani śladu. Zgubiłem go, pomyślał. W lesie minął kilka ścieżek prowadzących w nieznanym kierunku. Może baron skęcił w którąś z nich. W którą jednak? Roland nie mógł się tego dowiedzieć, uznał więc, że nie ma sensu zawracać.

Jechał dalej, aż dotarł do pierwszych pasm mgły. Od Carris dzieliło go już tylko z pięć mil. Jeśli Poll miał rację, w tej mgle winny się kryć oddziały diuka Paldane'a.

Zwolnił na wypadek, gdyby z oparu miała się nagle wyłonić drużyna pikinierów albo łuczników.

Ledwie wjechał na tuzin jardów we mgłę, przyznał Pollowi słuszność: na pewno nie była ona naturalna. Nigdy jeszcze nie widział tak gęstej mgły, nawet w Tide. Można by ją nożem krajać, na dodatek, chociaż był ciepły i jasny poranek, w głębi oparu panowała ciemność i duchota. Niebawem Roland nie mógł dojrzeć własnych stóp.

Obawiając się, że jego strzygący coraz bardziej uszami i prychający koń może się na czymś potknąć, zsiadł w końcu, żeby go poprowadzić. Musiał uklęknąć, by zobaczyć ziemię i trawę przy drodze.

Wcześniej zdawało mu się, że do Carris zostało tylko pięć mil, ale po kilku godzinach wędrówki przez mgłę, kiedy to co rusz zbaczał z drogi albo wpadał w błotniste kałuże, odniósł wrażenie, że wcale nie zbliżył się do miasta. Nie był wcale pewien, czy zmierza we właściwym kierunku.

Każda osada czy wioska spowalniała marsz, gdyż błądził między zabudowaniami. Dwakroć zdarzyło się, że zaczął krążyć w kółko,

Droga wiła się jak miotany konwulsjami wąż i chociaż cały czas starał się trzymać linii pobocza, po trzech godzinach był pewien, że mimo wszystko musiał gdzieś zboczyć. Na pewno przeszedł już więcej niż pięć mil.

Przez cały czas nie napotkał ani jednego żołnierza wojsk Mysterii. Możliwe, że dzięki staraniom wodnych czarnoksiężników w odległości strzału z łuku od drogi kryły się setki tysięcy ludzi, ale Roland żadnego nie dostrzegł.

Na dodatek narastał w nim niepokój o Averan, którą zostawił w jednej z wiosek na południe od Carris. Wiedział, że musiała być ciężko przerażona i przeklinał się za głupotę. Nie powinien jej porzucać.

Nie mniej martwił się o zieloną. Nie zrobiła mu żadnej krzywdy, raz tylko chciała posać krew z rany w jego dłoni. Żywił do niej coś więcej niż tylko zwykłe przywiązanie, ale nie wiedział, jak to nazwać. Była piękna jak Władczyni Runów i co tu dużo mówić, pociągała go, chociaż świetnie wiedział, że żaden z niego przystojniak.

Niemniej bardzo wątpił, czy mógłby się zakochać w kobiecie o kłach jak u drapieżnego zwierzęcia i zielonej skórze.

Nie widział też nic pociągającego w jej charakterze. O ile go miała. Jak dotąd nie zdołał dostrzec u zielonej jakiegokolwiek ludzkiej cechy w rodzaju wierności czy lojalności.

Jednego wszakże był pewien. Przekonał się już o tym w ostatnich dniach: ile razy była w pobliżu, zawsze czuł się... bezpiecznie.

Poza tym miał wrażenie, że ona go potrzebuje. Potrzebuje jego wiedzy i rady. Ktoś musi jej przecież powiedzieć, że niebieski to niebieski, nauczyć, jak chodzić w butach, jak dosiadać konia.

Żadna kobieta nie była taka jak ona: z jednej strony naiwna i prostoduszna, z drugiej straszna, niepokonana. Nie potrafił przeniknąć jej istoty tak samo, jak nie widział niczego w tej mgłę. A tajemnica pociągała.

Obiecał sobie, że gdy tylko przekaze wiadomość Paldane'owi, wróci pod osłoną nocy do tamtej wioski, by odszukać Averan i zieloną panią.

Nie miał złudzeń. Nie wierzył, aby ta dziwna istota mogła go pokochać. Ostatecznie był nikim. Wszyscy mu to powtarzali. Jego żona aż za często. Potem król uznał, że Roland nadaje się jedynie na dawcę metabolizmu. Nie potrafił czytać ani liczyć, nie umiał walczyć. Przypomniawszy sobie o Gabornie i uświadomił sobie, że nigdy, nawet w marzeniach, nie zastanawiał się, jak to będzie, gdy pojawi się nowy Król Ziemi.

Zresztą teraz i to nie było już istotne. Żaden Król Ziemi nie wybierze nigdy kogoś w rodzaju Rolanda Borensona, mężczyzny, który nie ma nic do zaoferowania. To znaczyło, że krótkie i ponure życie byłego darczyńcy pozostanie właśnie takie: krótkie i pełne goryczy.

Gdy wyjechał w końcu z mgły, stwierdził, że zgubił się ze szczętem. Słońce minęło już zenit, a wieże Carris jaśniały ciągle tak samo daleko. Niemniej minął je jakimś cudem, gdyż tym razem miał miasto na południe od siebie.

Zatrzymał się zmęczony. Jego ubranie było mokre od mgły. Musiał je zdjąć i wyżąć. Woda pociekła strumykiem. Potem ubrał się i ruszył z powrotem w tę przeklętą mgłę. Może gdyby miał jakąś pochodnię, lepiej by mu poszło?

Kilka godzin później ponownie wychynął z oparu. Było późne popołudnie, a Carris leżało dla odmiany na zachodzie.

Zazgrzytał zębami i raz jeszcze zawrócił. Szedł powoli, patrząc uważnie pod nogi. Pokonał ze dwie mile, gdy usłyszał dzwon wybijający szóstą. Dźwięk dobiegał gdzieś z lewej. Uświadomił sobie, że nie zdoła dostarczyć wiadomości przed wieczorem. Miał zrobić to wcześniej rano, ale stracił cały dzień na błądzenie we mgle.

Niebawem trafił na drogę wiodącą w lewo, a milę dalej do jego uszu dobiegły odgłosy zwykłej miejskiej krzątanimy: uderzenia młotów, przekleństwa jakiegoś paniczyka domagającego się, by pasterze zapędzili jego stada do miasta, pianie żegnających blask dnia kogutów.

Nad nim rozlegało się krakanie wron, gruchanie gołębi i ostre krzyki mew. Oznaki życia.

Biorąc ucho za przewodnika, trafił na wąski trakt biegnący groblą. Że to grobla, poznał po plusku wody dobiegającym z obu stron drogi. Poza tym mgła zaczęła zalatywać wodorostami.

W końcu dotarł do barbakanu i wielkiej, kamiennej bramy.

Żadna straż go nie okrzyknęła. Mgła była wciąż na tyle gęsta, że nikt nie mógłby go dojrzeć.

- Jest tam kto?! - krzyknął.

Ktoś zaśmiał się na murze ponad bramą.

- Z milion nas tu jest, kolego. A konkretnie to kogo szukasz?

- Mam wiadomość dla diuka Paldane'a - odparł Roland, czując się dość nieswojo.- Od barona Haberda z warowni Haberd.

- Podejdz do bocznej forty, żebym mógł ci się przyjrzeć! Roland skierował się w prawo od zawartych żelaznych odrzwi.

Najpierw znalazł małą wieżę ze szczelinami strzelniczymi. Zajrzał w jedną. W blasku pochodni zobaczył ze dwunastu mężczyzn w pancerzach. Jakiś młodzik o głupawym wyglądzie wycelował w niego piką i krzyknął: „Uuuu!”

Zawrócił więc w lewo, aż trafił na nieduże przejście z opuszczaną kratą, przy którym czekało na niego kilku strażników. Widział tylko ich ciemne sylwetki.

- Przepraszam - powiedział. - Mgła jest tak cholernie gęsta, że własnych stóp nie widzę.

- Przekażę twoje słowa naszym czarnoksiężnikom. Ucieszą się - stwierdził kapitan, wziął od Rolanda pismo i obejrzał je dokładnie. - Pieczęć została złamana.

- Nie jestem posłańcem - odrzekł Roland. - Znalazłem tylko posłańca zabitego na drodze i wziąłem list. Musiałem go otworzyć, żeby zobaczyć, do kogo jest adresowany.

- Masz głowę na karku - stwierdził kapitan, otworzył bramę i poprowadził Rolanda przez zwodzony most do następnego barbakanu, a potem do trzeciego. Każdy następny był potężniejszy i silniej strzeżony. Na dole ulokowała się piechota z młotami i pikami, na górze łucznicy i obsługa katapult.

Mgła wciąż nie pozwalała dostrzec wody pod mostami, słyszać było tylko jej plusk, woń jeziora wypełniała powietrze.

Wędrując wcześniej mila za milą, Roland zaczął się niepokoić, że zamek może nie być wcale broniony. Nie napotkał ani jednego posterunku przy drodze. Dopiero teraz, gdy był już w mieście, pojął, że wszyscy schronili się za jego murami. Rycerze całymi tysiącami biwakowali na dziedzińcach, mury pełne były wojska.

Jednak dopiero w samym mieście pojął, ilu ludzi do niego uciekło. Gdy strażnik w barbakanie stwierdził, że jest ich tu milion, Roland wziął to za żart. Teraz nie był tego taki pewien. Niemniej już z daleka widział, że wyspa Carris jest bardzo rozległa. Mury miejskie były długie, z dziesiątkami wież, a wewnątrz samego miasta wznosiły się liczne warownie i ufortyfikowane rezydencje.

Ulice pełne były kręcącej się pod nogami dzieciarni, poważnie spoglądających zaganianych kobiet oraz mężczyzn przy broni. Na każdym dachu siedziały chmary ptaków. Pod nisko zawieszonym praniem przemykały woniejące niemiło kozy, kurczaki pierzchały w panice

spod stóp, tu i ówdzie, gęgając i posykując, paradowały gęsi, konie rżały w stajniach, jasnobrązowe krowy co rusz blokowały zadami drogę.

Taka masa zwierząt i ludzi pośród zwartej zabudowy nie mogła nie śmierdzieć. Po kwadransie marszu Roland chętnie uciekłby na jakąś wysoką wieżę albo na mury. Albo jeszcze lepiej: z powrotem do tej wioski, w której zostawił Averan i zieloną.

Strażnicy doprowadzili go do Warowni Diuka, masywnej wieży, która wyraźnie górowała nad pozostałymi budowlami miasta.

Wewnątrz nie różniła się urządzeniem od królewskiej siedziby. Drzwi oraz meble lśniły od oliwy, lampy na ścianach miały szklane klosze z Ashoven. Na podłogach zalegały grube dywany, ściany zaś były pokryte freskami przedstawiającymi pola czerwonych maków.

Diuk był mężczyzną o trójkątnej, trochę jakby lisiej twarzy, która kojarzyła się nieodparcie z przebiegłością. Przebywał akurat na najwyższej kondygnacji. Towarzyszyli mu doradcy, w których Roland rozpoznał przebudzeńców z Błękitnej Wieży. Jeszcze tydzień temu służyli rozumem królowi Ordenowi.

- Jeśli Król Ziemi każe nam uciekać, to winniśmy posłuchać go i tyle - mówił właśnie jeden z nich, patrząc znacząco na stojącego obok królewskiego posłańca.

Diuk Paldane uderzył pięścią w stół.

- Za późno! - krzyknął. - Mam pod opieką czterysta tysięcy cywilów, a oddziały Raja Ahtena zamknęły już oblężenie. Nie mogę nakazać bezbronnym ludziom, by uciekali na równinę, gdzie Niezwyciężeni wytną ich w pień dla czystej zabawy.

Stary kanclerz Jerimas pokręcił siwą głową.

- Ani trochę mi się to nie podoba. Skoro król uznał za stosowne nas ostrzec, powinniśmy skorzystać z jego rady, mój diuku.

- A co to za rada? - spytał Paldane. - Kazał uciekać. Dobrze. Ale dokąd? Jak? Kiedy? Przed czym?

- Zachowujesz się, wasza wysokość, jakbyś uważał, że mury Carris nas osłonią - stwierdził Jerimas. - Po tym wszystkim, co stało się ostatnio, panie, ciągle jeszcze pokładasz wiarą w kamiennych umocnieniach. Może bardziej winienesz ufać swemu królowi.

- Ufam memu królowi - odparł Paldane. - Jednak co mam uczynić, gdy otrzymuję od niego sprzeczne rozkazy?

Doradcy wyglądali na zbitych z tropu. Pytania mnożyły się z każdą chwilą, a odpowiedzi od dłuższego czasu nie przybywało. Roland skłonny był uznać, że i argumentów zdążyło im już zabraknąć.

Diuk uniósł głowę, ujrzał gościa i na jego twarzy odmalowało się wielkie zdumienie.

- Sir Borenson! Co ty tu robisz? Przynosisz nowe rozkazy od króla?

- Nie jestem sir Borenson - odezwał się Roland. - Chociaż przyznaję, że łączą mnie z nim więzy pokrewieństwa.

Wręczył diukowi pismo, ale ten jedynie zerknął na rozwinięty pergamin i oddał go Rolandowi z krótkim „dziękuję”.

Raubenowie ogarnęli warownię Haberd, a diuk Paldane zachowywał się, jakby wcale go to nie obchodziło...

- Panie? - spytał zdumiony Roland.

- Już wiem - wyjaśnił diuk. - Baron Poll przekazał mi te wieści kilka godzin temu. Zresztą i tak nie możemy nic zrobić. Wróg nas oblega, a królewski posłaniec każe mi po prostu uciekać!

- Oblega, panie? - Roland, który nie dostrzegł żadnych machin oblężniczych pod murami, znów się zdumiał. Myślał, że wroga armia nie podeszła jeszcze nawet w pobliże miasta.

- Tak, oblega - powtórzył diuk, jakby miał Rolanda za słabującego na rozumie.

- Ale ja chciałbym opuścić zamek, wasza wysokość - powiedział Roland. - Zostawiłem po drodze przyjaciół ukrytych w jednej wiosce. W tym małą dziewczynkę, która bardzo mnie

potrzebuje. - Wcześniej zamierzył sobie poprosić diuka o zgodę na sprawowanie opieki nad Averan, ale uznał że nie pora na prywatne sprawy.

- Nikt nie wyjedzie - odparł Paldane po chwili zastanowienia. - To byłoby zbyt niebezpieczne. Na dodatek po zburzeniu Błękitnej Wieży brak nam sprawnych obrońców.

- Po zburzeniu?! - spytał Roland, niepewny, czy dobrze usłyszał ostatnie zdanie.

- Tak. - Gospodarz pokiwał ponuro głową. - Kamień na kamieniu nie został.

Roland zdławił krzyk. Sam spędził w Błękitnej Wieży dwadzieścia lat i mało brakło, by też zginął podczas snu. Uszedł w ostatniej chwili.

Rozumiał, że pozbawieni darów obrońcy miasta mogą rychło pozazdrościć mieszkańcom Błękitnej Wieży łatwej śmierci.

- Zawaliła się? - spytał w końcu. Paldane wzruszył ramionami.

- Trudno orzec na pewno, ale wiemy, że cztery godziny temu zamknięci w niej darczyńcy umarli. Wszyscy w tej samej chwili - powiedział diuk i przyjrzał się uważnie Rolandowi. - Naprawdę wyglądasz jak Borenson. Znasz się na wojaczce?

- Z zawodu jestem rzeźnikiem, panie. Diuk chrząknął i spojrzał na broń Rolanda.

- Od teraz jesteś żołnierzem. Staniesz na południowym murze, dokładnie między pięćdziesiątą pierwszą a pięćdziesiątą drugą wieżą. Masz wypatroszyć wszystko, co spróbuje się wspiąć na mur od zewnątrz. Rozumiesz? Przed świtem zaczniesz wielkie ćwiartowanie, rzeźnik bardzo się przyda.

Zaskoczonego Rolanda wmurowało w podłogę i długo by tak stał, gdyby po paru chwilach nie zjawił się giermek mający odprowadzić nowego obrońcę miasta na stanowisko.

ANATOMIA SPISKU

Erin Connal dotarła w końcu do rozłożonego nad rzeką Wye zamku Groverman, ale nie uznała tego za powód do radości, pomimo że Gaborn, który obudził się przed godziną, przekazał wszystkim dobrą nowinę: czarny glory został pokonany, stracił cielesną powłokę i nie jest już tak groźny jak wcześniej.

Nie zmieniało to jednak tego, że Erin straciła konia, a księżę Celinor odniósł ranę od spadającego pnia, który go ponadto ciężko poparzył. Cały kark miał w pęcherzach i czarnych strupach. Przetrwał tylko dzięki darowi sił życiowych, jednak czekała go ciężka rekonwalescencja. Gdy Erin wyciągnęła go spod płonących kłód, kwilił z bólu jak dziecko. Krótco potem zemdał. Jeden z ludzi diuka wziął go na swojego wierzchowca i powiózł niczym tobół do zamku, wtedy też Erin straciła go z oczu.

Trzymając się pleców rycerza z Jonnick, Connal wjechała na dziedziniec przed warownią Grovermana i przekonała się, że wcale nie przybyła pierwsza. Wręcz odwrotnie.

Setki rycerstwa i żołnierzy siedziały już tam, uczując, a słudzy roznosili kosze chleba i podawali ciepłe dania wszystkim potrzebującym, kobiety donosiły flaszki piwa. Pod wschodnim murem płonął cały rząd ognisk z nadzianymi w całości na rożen cielakami. Na balkonie warowni grali minstrele, a umyślny nad bramą zapraszał wszystkich przybywających: *Jedźcie do woli, panowie! Najedźcie się do syta!*”

Diuk nie szczędził niczego królewskiej armii, ale Erin nie była jeszcze w nastroju do uczyty.

Najpierw poszła poszukać Celinora. Słudzy Grovermana ułożyli go pod ciemnym murem warowni. Za posłanie miał wyjętą spod siodła derkę. Obok rosły stokrotki, których kielichy otwierały się już na spotkanie nocy i spijających ich nektar ciem. Jakiś pełen dobrych chęci rycerz klęczał akurat przy rannym i próbował wlać mu w gardło nieco mocnego trunku.

- Pij, stary - mówił. - Zaraz ci ulży.

Celinor zacisnął jednak zęby i z oczami pełnymi łez odwracał usilnie głowę. Mimo to zbrojny nie ustawał w wysiłkach, pewien, że ranny nie wie, co czyni.

- Ja się nim zajmę - powiedziała Erin, dając wojakowi znak, żeby już poszedł. - Wywar z maku lepiej mu zrobi.

- Może i tak - mruknął rycerz. - Chociaż na mój rozum gorzałka jest dobra na wszystko.

- Poszukaj lekarza i poproś go o sok makowy - powiedziała Erin, przyklękła przy Celinorze i przyłożyła mu dłoń do czoła. Pocił się obficie, a z jego oczu wyzierał ból.

- Dziękuję - wyszeptał z wysiłkiem.

Król Ziemi kazał mu trzymać się z daleka od silniejszych alkoholi i Celinor wyraźnie wziął to sobie do serca. Pilnował się, i to niezależnie od okoliczności.

- To nic - powiedziała Erin i objęła go lekko.

Po chwili księżę zapadł w niespokojny sen. Mówił coś niewyraźnie, a raz nawet krzyknął i spróbował odepchnąć Erin.

Nie trwało długo, aż się obudził i spojrzał półprzytomnie na swoją opiekunkę.

- Słyszałem, jak ktoś mówił, że Król Ziemi stracił swoje dary - szepnął. - To prawda?

- Tak. Jest jak zwykły człowiek. O ile można tak powiedzieć o Królu Ziemi.

- Zatem teraz można zobaczyć, jak wygląda bez darów urody. Widziałas go już?

Widziała króla śpiącego w drodze do zaniku Groverman. Nawet z darami nie był przesadnie przystojny. Obecnie prezentował się wręcz pospolicie.

- Na własne oczy - odparła przekonana, że rozgorączkowany Celinor nie wie za bardzo, co mówi.

Poklepała go po policzku. Zauważyła przy tym, że księżę nosi na srebrnym łańcuszku owalny medalion, który podjechał mu, gdy rzucił się w malignie, pod samą szyję.

Connal wiedziała, co to jest. Wielu władców szukających partii dla swoich dzieci zamawiało u malarzy miniatury przedstawiające ich córkę lub syna, wysyłane następnie w takim właśnie medalionie potencjalnym małżonkom i ich rodzicom. Niekiedy portreciki wędrowały do bardzo odległych krain. Tam miały dać wyobrażenie o wyglądzie nieznannej całkiem osoby i pomóc w podjęciu decyzji o małżeństwie.

W praktyce nigdy nie można było im wierzyć. Artyści zwykli ignorować wady urody i budowy młodych ludzi, by uczynić ich pięknieszymi, miniatury owe miały więc zwykle mało wspólnego z wyglądem portretowanych.

Niemniej całkiem często stawały się zaczynami romansów. Erin pamiętała, że gdy sama miała dwanaście lat, matka pokazała jej portret młodego księcia z Internooku. Erin nosiła medalion przez wiele miesięcy i długo marzyła o jasnowłosym, męskim młodzieńcu, aż dotarło do niej, że na nim widok jej podobizny nie wywarł chyba podobnego wrażenia.

Celinor nie był już gołowąsem, który mógłby się przywiązać do portretu jakiejś młódki. Miał dwadzieścia pięć lat, winien dawno się ożenić. Tylko jaka prawa dama by zechciała pijaka i jak wieść niesie, ojca tuzinów bękartów? pomyślała Erin.

Erin nie miała wątpliwości, jak nie przymuszona dobrze urodzona kobieta przyjąłaby taką propozycję, mimo perspektywy władzy i bogactwa.

Niemniej fakt pozostawał faktem: Celinor nosił medalion, całkiem jak jakiś przyszczaty chłopaczek. Ciekawe, kto go tak zafascynował, pomyślała Erin. Spojrzała na uśmiechniętego księcia.

Ukradkiem podważyła wieczko medalionu i wstrzymała oddech. W środku krył się portrecik dwunastoletniej dziewczyny z błękitnymi oczami i długimi, czarnymi włosami. Mimo słabego oświetlenia Connal poznała od razu, kogo przedstawia; była to jej podobizna namalowana dziesięć lat wcześniej, gdy wierzyła jeszcze, że takie medaliony coś znaczą.

Zatrzasnęła wieczko. Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, by zjawił się we Fleeds jakiś zalotnik starający się o rękę młodej damy z klanu. Zresztą nie wiedziała nawet, co by zrobiła, gdyby ktoś taki rzeczywiście przybył. Była wojowniczką, a nie dworną dziewczyną wychowywaną, by rodzić mężowi dzieci. Tylko w Internooku zdarzało się czasem, że mężczyźni poszukiwali żon silnych i zdolnych walczyć u ich boku.

A jednak Celinor nosił medalion z jej portretem. I to od całych dziesięciu lat.

Jej matka mogła wprawdzie wysłać miniaturę do Crowthenu Południowego, ale nigdy nie wspominała jej o możliwym mariażu z Celinorem. Nie, Erin znała matkę na tyle, że jednego była pewna: nawet gdyby sam król Anders przybył w imieniu syna w swaty, też zostałby odprawiony.

Ale na szyi księcia wisiała przedstawiająca ją miniatura.

Czyżby Celinor marzył o takim związku? Poniekąd mogło to mieć pewien sens. Crowthen Południowy graniczył z Fleeds. Erin i Celinor mogliby się pobrać dla powiększenia swych królestw, a wówczas różnice tradycji i zwyczajów nie byłyby tak istotne.

Tyle że król Anders nie uznałby tego za dobrą partię. Fleeds było biednym krajem, który nie miał nic do zaoferowania. Wymiana medalionów pomiędzy ich rodzicami pozostałaby kwestią kurtuazji. Naprawdę nie chcieliby tego małżeństwa.

A jednak Celinor nosił ten medalion, zapewne od dziesięciu lat... Wrzód Crowthenu Południowego, jak na niego mówiono...

Spojrzała na jego twarz. Obudził się. Patrzył na nią przymrużonymi, pełnymi bólu oczami. Erin serce zabiło.

- Powiedz mi - odezwał się nagle z zaskakującą natarczywością - czy Orden jest teraz podobny do ciebie?

- Co? - spytała zaskoczona. - Aż tak źle wyglądam?

- Czy jest podobny do ciebie? - powtórzył Celinor. - Czy jesteście podobni jak brat i siostra, jak powiada mój ojciec? Żaden rudy mąż z Fleeds nie mógłby cię obdarzyć ciemnymi włosami.

Erin poczuła wypełzający na twarz rumieniec zakłopotania. Wyobrażała sobie, że on ją kocha, ale teraz zrozumiała prawdę: ojciec Gaborna co roku jeździł do Heredonu na polowania, a po drodze zatrzymywał się we Fleeds i zaprzyjaźnił się z jej matką.

Gdyby matka Erin uważała króla Ordenu za dobrą partię, z pewnością chciałaby z nim zlec. To mogłoby się zdarzyć. Tyle że się nie zdarzyło. Niemniej Erin i Gaborn rzeczywiście mieli czarne włosy, chociaż Connal odziedziczyła budowę ciała po matce, a nie po szerokim w barach Ordenu.

Ale król Anders i tak uważał najwyraźniej, że to Mendellas Draken Orden był jej ojcem, a Gaborn jej młodszym, przyrodnim bratem.

Erin nie śmiała wyznać, kto naprawdę jest jej ojcem. W dniu pierwszego krwawienia Erin matka zaprowadziła córkę do gabinetu i pokazała jej księgę genealogiczną rodu, w której zapisano czyny i lata życia wszystkich przodków, w tym wielu pradawnych bohaterów. Matka nakazała jej przysiąc, że zachowa tradycję i nie zlegnie z nikim niegodnym. Wtedy też poznała imię swego ojca, ale w obecnych okolicznościach ujawnianie go nie byłoby najmądrzejsze.

- Tylko z tego powodu nosisz medalion z moim wizerunkiem? - spytała. - Chcesz porównać moje oblicze z obliczem króla?

Celinor przesunął językiem po wargach i kiwnął lekko głową.

- Mój ojciec... szuka haka na Gaborna... Chce go okrzyknąć oszustem.

Erin zastanowiła się, jakie reperkusje mógłby przynieść dowód, że Gaborn jest jej bratem.

Wedle praw Fleeds powinowactwo z innym rodem królewskim znaczyło tyle co nic. Erin dziedziczyła tytuł monarszy po matce, chociaż i to jeszcze było za mało, aby została uznana za królową. Na to musiała zasłużyć, o czym decydowały mądre klanu.

Niemniej gdyby była córką Ordenu, mogłoby to mieć znaczące konsekwencje dla Mystarrii. Ktoś mógłby zacząć udowadniać, że to ona, jako najstarsza, winna po prawie odziedziczyć tron.

Król Anders zamyslił sobie wykorzystać ją jako narzędzie.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Co twój ojciec chce w ten sposób zyskać? Nigdy nie marzył mi się tron Mystarrii!

- Więc spróbowałby ci go wmusić - szepnął Celinor.

- Natrudziłby się na darmo. Nie mam do niego prawa.

- Znasz prawa sukcesji: nie może zostać ukoronowany ten, kto doszedł do władzy dzięki morderstwu.

Zastanowiła się. Zanim wczoraj spotkała Gaborna, marszałek ostrzegł, że król Anders rozsiewa pogłoski, jakoby Gaborn uciekł z Longmot, zostawiając ojca na pewną śmierć. Coś takiego z formalnego punktu widzenia nie mogłoby zostać uznane za zabójstwo, chociaż miało z nim wiele wspólnego.

Niemniej zaraz po śmierci króla Ordenu gwardzista Borenson, przyboczny Gaborna, zabił króla Sylvarrestę. Przysięgał potem, że wykonał ostatni rozkaz Ordenu, który polecił zabić wszystkich darczyńców Wilka.

Można było próbować dowodzić, że Borenson chciał w ten sposób ukryć prawdę: że zamordował Sylvarrestę, aby jego pan mógł zagarnąć tron Heredonu.

Teraz Gaborn był władcą dwóch królestw. Anders chciał dowiedzieć, że obie korony zawdzięcza przestępstwu.

Gdyby tak było, Gaborn w ogóle nie miałby prawa do żadnego z tronów. Nie byłby prawowitym królem ani tu, ani tam. Jakże wówczas mógłby pozostać Królem Ziemi? A skoro tak, to zgodnie z prawem można by go osądzić jako mordercę...

Erin zrozumiała nagle, że Anders pragnie wojny. Zapewne zmawia się już z pomniejszych władcami. Wiadome było, że zamknął granice i zabronił swoim poddanym pielgrzymek do

Heredonu. Gdyby ujrzeli Gaborna, mogliby go uznać za prawdziwego Króla Ziemi. Anders nie chciał, żeby poznali prawdę.

- Twój ojciec musi być potworem, że tak myśli!

Celinor zaśmiał się ponuro. Skrzywił się z bólu - i tego od oparzelin, i tego, który dręczył mu duszę.

- Niektórzy uważają, że jestem do niego podobny.

- Nie musiałeś zajeżdżać konia, by sprawdzić, czy twój ojciec ma rację. Dlaczego się z nami wybrałeś?

- Ojciec kazał mi szukać sposobów na zdemaskowanie Gaborna, ale ja poznałem prawdę.

W tej chwili obok zjawiała się uzdrowicielka z masą makową i małą fajką służącą do okadzania twarzy chorego dymem opiumowym. Przygotowała fajkę, ugniotła opium w ciemną kulkę, wpakowała ją do cybucha i dorzuciła węgielek z pojemnika z żarem.

Erin cofnęła się, by nie przeszkadzać uzdrowicielce, ale Celinor złapał ją za rąbek płaszcz.

- Proszę, nie wiem, czy zdołam jutro wyruszyć do Fleeds - powiedział. - Musisz powstrzymać mojego ojca. Niech twoja matka oficjalnie ujawni imię twego ojca. Nawet gdyby miała skłamać...

Erin uspokajająco poklepała Celinora po piersi.

- Niebawem wrócę i zajmę się tobą.

Przykryła chorego kocem, a uzdrowicielka zaczęła dmuchać mu dymem w twarz.

Erin przeszła przez bramę i spojrzała w nocne niebo. Słońce zaszło już godzinę temu, wiszące przez cały dzień nad miastem chmury gdzieś zniknęły, tylko hen wysoko snuły się jeszcze weloniaste smugi tłumiące światło gwiazd. Noc miała być ciepła, o tej porze roku nie dokuczały już komary. Celinorowi nic się nie stanie, jeśli poleży chwilę sam.

Rycerze przybywali wciąż całymi setkami. Erin odsunęła się, by przepuścić następnych. Umysłny na wieży przywitał ich swoim „Jedźcie do syta, panowie!”

Spojrzała na leżące w dole miasto, władztwo Grovermana. Przeklęty król Anders, pomyślała. Wciąż niezbyt rozumiała, do czego jest mu potrzebna. Ostatecznie, jeśli chciał udowodnić, że Gaborn nie jest żadnym królem, bo zyskał koronę dzięki morderstwu i oszustwu, starczyłoby udowodnić, że doszło do zbrodni. Nie musiał szukać pretendenci do tronu.

A może boi się, że gdy zabije Gaborna, rycerstwo i lud Mystarii wypowiedzą mu wojnę? Podsuwając kogoś na jego miejsce, mógłby mieć nadzieję na uniknięcie konfliktu.

Ale i to nie pasowało. Po śmierci Gaborna, mordercy albo i nie, władza przypadłaby diukowi Paldane'owi. Łowczemu. Wielkiemu planiście i taktykowi. Prawdziwemu ojcu Erin.

Anders czułby oczywiście przed nim respekt. Paldane bez trudu pokrzyżowałby wszelkie machinacje Andersa i zażądał satysfakcji. Miał reputację kogoś, kto sprawnością umysłu przewyższa wszystkich królów Rofehavanu.

Nie, Anders by nie chciał, żeby królestwo przeszło po śmierci Gaborna w ręce Paldane'a, raczej zaproponowałby Erin jako następczynię starego króla Ordena. Ale co potem?

Mógł mieć nadzieję, że Erin i diuk Paldane skłócą się o sukcesję tronu. To otwierałoby drogę do wojny domowej.

Albo też liczył, że Paldane uderzy na Fleeds i wygubi ubogi naród.

To było całkiem prawdopodobne. Gdyby Gaborn zginął, a Fleeds legło w ruinie, Anders mógłby nawet umyć ręce od całej sprawy, sugerując, że Erin go oszukała.

Cokolwiek zamyślał, czekało go spore zaskoczenie. Prawda miała wyjść na jaw.

Czekało albo i nie czekało. A jeśli Anders domyślił się, kto jest jej ojcem, i zamierza zamordować Paldane'a, by Erin odziedzyczyła tron Mystarii?

Czy śmiałyby go objąć?

Że też moja matka musiała wybrać właśnie Paldane'a, pomyślała Erin. W tamtym czasie nie wydawało się prawdopodobne, by diuk kiedykolwiek znalazł się w kolejce pretendentów do

tronu, a matka Erin miała go za najlepszego męża w Mystarrii, najlepszego z panów Rofehavanu. Jednak teraz, po licznych skrytobójstwach, Erin znalazła się całkiem blisko korony.

Tyle że i polityczna sytuacja w Rofehavanie nie była obecnie stabilna. Zniszczenie Błękitnej Wieży w jednej chwili ujęło połowę potęgi państwa. Tego akurat Anders nie mógł przewidzieć. Chyba że był w zмовie z Rajem Ahtenem.

Nie, uznała Erin. To nonsens.

Wciąż jednak czuła, że czegoś nie dostrzega. Nie dostrzega albo Anders ma coś jeszcze w zanadrzu.

Gdy Erin była dzieckiem, matka kazała jej niekiedy wykonywać pewne dziwne ćwiczenie. Grały razem w szachy z zasłoną zawieszoną w poprzek szachownicy, tak że każda widziała tylko własną połowę. Uczyła się w ten sposób obrony przed atakiem z ciemności i zwalczania wrogów, których nie mogła dostrzec. Wtedy było to tylko zwykłe ćwiczenie...

Pożałowała nagle, że nie może zagrać w szachy z królem Andersem. Na ile ruchów naprzód przewidywał skutki swoich działań? Cztery, osiem, dwanaście? Ona potrafiła w najlepszym razie patrzeć na cztery ruchy naprzód. A na dodatek Anders ukrył się za zasłoną, którą niełatwo było przeniknąć.

Cholera, pomyślała Erin. Musi naradzić się z matką. Gdy królowa Herin dowie się o knowaniach Andersa, na pewno coś wymyśli. Przyjdzie pora na tego chytrego królika!

Erin musiała jak najpilniej zobaczyć się z matką. Gdzie tu zdobyć szybkiego wierzchowca?

Cały zamek Groverman pachniał miło końmi i sianem. Tutaj, na równinach nad rzeką Wye, hodowano większość wierzchowców i bydła rzeźnego Heredonu. Do święta Tolfest, gdy zabijano woły mające dostarczyć zapasów mięsa na zimę, zostało już tylko kilka tygodni. Stada bydła gromadziły się z wolna wkoło miasta i niebawem miały zostać pognane do zamków i wiosek na północy.

Teraz, gdy minęło Hostenfest, koniarze nie mieli wiele pracy. Setki dzikich rumaków znalazły się już w zagrodach, gdzie trzymano też najlepsze z oswojonych. Te oswojone były zwykle ćwiczonymi do walki końmi bojowymi albo gotowymi iść z wiatrem w zawody wierzchowcami dla kurierów.

Wszystkie miały po dwa dary krzepy, sił życiowych albo umysłu i obecnie przechodziły szkołę życia, walcząc z dopiero co przybyłymi o przywództwo stada. Była to ciężka, ale konieczna przeprawa. Gdy tylko dzikie konie uznają przewodnictwo udomowionych, darmistrze Grovermana będą mogli przystąpić do pozyskiwania z nich darów.

Erin wiedziała, że o tej porze i przy takim tłoku w zamku trudno jej będzie znaleźć odpowiedniego wierzchowca. Nawet w dobrych latach nie była to łatwa sprawa.

Skierowała się do stajni leżących na północ od zamku, gdzie napotkała ze stu wielkich panów krążących między boksami i żądających od stajennych, by pokazali im przy świetle pochodni zęby tego czy tamtego konia, i w ogóle przeszkadzających jak rzadko.

Erin poszukała nadzorca stajni. Jeden ze stajennych poznał jej obcy akcent i powiedział, że jest nim tutaj stary mistrz koni z Fleeds imieniem Bullings.

Znalazła go w stajni darczyńców. Mieściła się w wielkim budynku położonym w warownej części miasta i dawała schronienie ponad trzem tysiącom koni, czasem ślepym, czasem głuchym albo zbyt słabym, żeby stać o własnych siłach. Te ostatnie podwieszono na pasach. Inne z kolei trzeba było żywić owsianą papką, a i tak często dostawały wzdęć i wymagały masażu. Tak czy owak, niełatwo było o nie dbać.

- Mości Bullings? Szukam konia na wojnę - powiedziała. - Ty je znasz. Który najlepszy?

- Dla kobiety z Fleeds? - spytał, jakby trochę niepewny. Nigdy go wcześniej nie spotkała, a ze sposobu, w jaki zadał to pytanie, wywnioskowała, że mimo wspólnego pochodzenia, i tak nie będzie skłonny sprzedać jej tego, co sam najwyżej ceni.

Za jej plecami skrzypnęły drzwi. Erin usłyszała ciężkie kroki i szcęk kolczugi. Inni rycerze chcieli na pewno porozmawiać o tym samym co i ona. Wiedziała, że nie zdoła zaanektować nadzorcy na długo.

- Tak, dla kobiety z Fleeds - odpowiedziała. - Ważne, żeby dowiózł mnie jutro do domu, to wystarczy.

- Nie wystarczy - rozległ się za nią głos Króla Ziemi. - Ta kobieta to księżniczka Erin Connal, córka królowej Herin Rudej. Uratowała dziś od śmierci księcia Crowthenu Południowego.

Erin obróciła się. Nie mówiła Gabornowi, co jej się przytrafiło, nikomu o tym nie wspominała, ale widać języki i tak nie próżnowały. Wszyscy widzieli, że ona i Celinor jechali razem.

- Wasza wysokość - powiedział Bullings, opadając na jedno kolano. W stajni było tak czysto, że jego skórzane spodnie nie mogły doznać żadnego uszczerbku.

Gaborn był błądy i słaby. Erin chętnie powiedziała mu, co wykryła w związku z królem Andersem, ale starczyło jedno spojrzenie, by porzuciła ten zamiar. Gaborn wyraźnie dojrzał do dłuższego wycieczku, a podobna wieść mogłaby go przyprawić o godziny bezsenności.

Poza tym, pomyślała Erin, jakoś sobie sama z tym poradzę.

- Który z twoich koni jest najlepszy? - spytał Gaborn. - Najlepszy z najlepszych?

- Nno... - zająknął się Bullings - jest pewien rumak bojowy, wasza wysokość. Wyćwiczony jak trzeba, z dobrym sercem i piętnastoma darami.

- Świetnie. Chyba zgodzisz się ze mną, że będzie jak znalazł dla księżniczki z Fleeds.

- Ależ wasza wysokość... - zaprotestował nadzorca. - Nie mogę go dać. Diuk żywcem by mnie obdarł ze skóry! Ten rumak ma być darem naszego diuka dla waszej wysokości!

- Jeśli to dar serca, to mogę przekazać go, komu chcę.

- Wasza wysokość - odezwała się zakłopotana Erin - nie przyjmę takiego konia! - Stwierdziła to całkiem szczerze, gdyż musiał to być prawdziwie królewski wierzchowiec. Nie śmiałyby wziąć czegoś, co przynależało do Króla Ziemi. - Nie dosiędę go!

Gaborn uśmiechnął się przekornie.

- Skoro tak, to jestem pewien, że pan nadzorca znajdzie coś bardziej stosownego.

- Tak, wasza wysokość - odezwał się z ulgą Bullings. - Mam piękną klacz, tak mądrą, że za mąż bym ją wydał, gdybym mógł! Zaraz ją przyprowadzę. - Zapominając o reszcie obowiązków, pognął do tylnych drzwi stajni.

Erin spojrzała ze zdumieniem na Gaborna.

- Wiedziałaś, że nie zechce sprzedać mi dobrego konia!

- Przepraszam za niego - odparł Gaborn. - Ostatnio brak w Heredonie dobrych koni. Mój ojciec zabił większość rumaków Raja Ahtena i Wilk ukradł, co mógł, ze stajen Sylvarresty. Mamy wprowadzić dość drenów, by uzupełnić braki, ale król Sylvarresta miał tylko kilkaset układanych właśnie koni. Nawet jeśli wykorzystamy je już teraz, a nie w przyszłym roku, i tak uzyskamy tylko cztery albo pięć setek nowych rumaków bojowych. Nic dziwnego zatem, że Groverman nie chce się pozbywać dobrych zwierząt niezależnie od ceny. Po prawdzie, sądzę, że nic byś od niego nie uzyskała.

Erin słyszała już ponure plotki o braku wierzchowców, ale teraz odetchnęła, że Gaborn zajmuje się i tym. Sama nie nawykła do myślenia o tej stronie wojny.

Bez rozbudowanej konnicy Heredon musiałby polegać na piechocie i łucznikach. Przez kilka ostatnich dni widziała pod zamkiem Sylvarresta całe tysiące chłopców ćwiczących z łukami, podczas gdy na zachód od miasta kolejne, nie mniej liczne zastępy uczyły się walki na kije. Nawet przy tutejszej mnogości płatnerzy nie było szans, aby z dnia na dzień wyposażyć tak liczną piechotę w hełmy i pancerze. Na to było potrzeba miesięcy. Niemniej ucieszyła się dzisiaj, słysząc, jak w mijanych warsztatach płatnerskich, a nawet kuźniach, młoty żywo pracowały na kowadłach.

Dotarło też do niej, jak wielka odpowiedzialność spoczywa na barkach Gaborna. Nie będzie mu teraz dodawać trosk opowieściami o możliwej zdradzie. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy sama nie przesadziła z podejrzeniami. A może Anders wcale nie planował zamachu na prawa Gaborna? Koniec końców nie miała żadnych dowodów. Nie miała nic poza wyrażonymi przez Celinora przypuszczeniami.

Potrzebowała zatem dowodów. Ponadto Gaborn lepiej sobie ze wszystkim poradzi, gdy wypocznie.

Nigdy wcześniej nie zastanawiała się naprawdę, ile wysiłku kosztują Króla Ziemi przygotowania do wojny. Wielu świetnych taktyków, bohaterów pól bitewnych, rozkładało bezradnie ręce, gdy przychodziło im zająć się zapewnieniem wojsku żywności, butów, koni czy strzał.

Niemniej Gaborn miał jeszcze więcej obowiązków. Słyszała dziś w głowie jego głos, gdy ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem, i wiedziała, że to samo usłyszały tysiące innych ludzi. Nie był zwykłym monarchą, nieustannie pozostawał w kontakcie ze swoimi poddanymi.

Moce ziemi dawały wielkie możliwości, ale brzemię Gaborna zdawało się przez to jeszcze większe.

- Panie, czy myślałeś o zdobyciu należytej ilości piór na lotki strzał? - spytała, aby go sprawdzić.

- Nakazałem każdemu heredońskiemu panu, aby kobiety na jego włościach, gdy przyjdzie im skubać gęś, kaczkę, pardwę albo gołębia, oddawały pióra ze skrzydeł i ogona na potrzeby królewskiej armii.

- Jakże znajdujesz czas na dowodzenie, skoro zajmujesz się takimi szczegółami?

- Większość panów Heredonu powitała mnie pierwszego dnia, gdy dotarłem do zamku Sylvarresta po bitwie o Longmot - odparł znużonym głosem Gaborn. - Przemówiłem do umysłów wybranych tak samo, jak dziś przemawiałem do ciebie. Powiedziałem im, co mają zrobić dla obrony kraju.

- I kazałeś im zbierać pióra?

- I gwoździe do podków, i jedzenie, i lecznicze zioła, i grube płaszcze kazałem im szykować na zimę... Przypomniałem im o tysiącu spraw.

Teraz dopiero Erin zrozumiała w pełni, dlaczego wszędzie wrzała praca. Młynarze, tkacze nie ustawiali w wysiłku, murarze co tchu naprawiali najmniejsze nawet fortece...

- A co ja mam robić? - spytała. Skoro wszyscy czynili co w ich mocy, jej własna, drobna częśćka wysiłku nabrała nagle znaczenia.

- Słuchaj mnie tak jak dzisiaj. Dzięki temu przeżyłaś. Nadzorca otworzył drzwi i wprowadził piękną czarną klacz o dumnym wyglądzie i dziewięciu darach: krzepy, wdzięku, sił życiowych, wzroku, powonienia i trzech metabolizmu. Erin nie widziała piękniejszego zwierzęcia. Dorównywało niemal królewskim wierzchowcom.

- Będę cię słuchać, wasza królewska mość - obiecała Erin. - Czy jutro możesz pojechać ze mną? Jest coś, co chciałabym z tobą omówić.

- Z przyjemnością. Tyle że muszę cię ostrzec, tak jak innych ostrzegę niebawem, że wyjeżdżam jeszcze nocą. Musimy dotrzeć do Carris przed czasem, jaki sobie wyznaczaliśmy. Masz kilka godzin na wypoczynek, ale gdy wjeździe księżyc, ruszamy z kopyta.

- Kiedy możemy dotrzeć do Carris? - spytała Erin.

- Z tymi końmi mam nadzieję stanąć tam przed jutrzejszym wieczorem.

Ponad sześćset mil. Długa podróż, nawet dla takiej klaczy, jaką przed chwilą ją obdarowano. Na dodatek jazda przy księżycu będzie niebezpieczna. Erin pokiwała głową, ale wątpliwości pozostały. Część rycerzy rzeczywiście dotrze do Carris jutro wieczorem, jednak najpewniej zajeżdżą przy tym konie.

Może i Gaborn radził sobie świetnie z opierzeniem strzał, ale Erin nie była pewna, czy strategia jest mu równie bliska.

PRZEŁĘCZ GOŁĘBIA

W Pałacu Kobiet rozlegał się nieustannie śpiew darmistrzów, ale Borenson go nie słyszał. Wyczerpany całym tym dniem i słaby bez darów, zasnął na słońcu przy fontannie. Ktoś zdjął mu w tym czasie okowy.

Gdy z pomocą Pashtuka i gwardzistów Saffiry wspiął się w końcu na siodło, wpajane od lat odruchy wzięły górę i nie musiał się do niego przywiązywać, by nie spaść, kiedy zmorzy go sen.

Spał w siodle, gdy jechali na północ, do Deyazzu, a potem na zachód, obok świętych ruin w Górach Gołębich.

Tu obudził się na chwilę. Ujrzał górską ścieżkę, białe strome urwiska oraz pradawne ołtarze i świątynie wzniesione nad przepaściami. Podobno były dziełem wiernych, którzy przybyli tu, by spleść swój los z powietrzem.

Jeśli ktoś szczerze składał ślub, żywioł mógł w zamian obdarzyć go umiejętnością latania. Jednak odrzucenie ofiary kończyło się śmiercią w pierwszym skoku z dużej wysokości.

Powiadano, że nawet dzieci mogły sprzymierzyć się z powietrzem. Niemniej góra kości widoczna wciąż u podstawy urwiska w Dolinie Czaszek świadczyła dobitnie, że żywioł nie zawsze brał wiernych w opiekę.

Mało kto był obecnie tak szalony, aby ryzykować podobne próby. Borenson nigdy nie słyszał o nikim, Władców Niebios nie licząc, kto zyskałby władzę nad powietrzem. Niemniej bywali i tacy, którzy potrafili po prostu wyjść z domu i dać się ponieść wiatrowi, który przenosił ich wedle własnego uznania. Tyle że „dmuchawce” albo „latawce”, jak ich czasem nazywano, schodziły koniec końców na złą drogę: parali się kradzieżą albo innym, niegodnym zajęciem, by się utrzymać.

Gwardziści Saffiry, dwaj górale o imionach Ha’Pim i Mahket, jechali obok niej. Dziewczyna zakryła na czas podróży oblicze jedwabnym welonem, by nikt nie dojrzał jej twarzy. Jednak żadna zasłona nie mogła zmienić blasku jej oczu i gładzi skóry. Chociaż nie mówiła ani słowa, sama jej sylwetka, to jak siedziała w siodle, przyciągała spojrzenia wszystkich mijanych. A ona z chwili na chwilę stawała się coraz piękniejsza.

Pałac Kobiet krył setki żon i konkubin Raja Ahtena, przy czym każda miała wiele darów urody. Darczyńcy odbierali im je po kolei, przekazując wszystko pośredniczkom Saffiry, tak że ona sama nie musiała być wcale obecna w pałacu. Magiczna więź łącząca ją z pośredniczkami była tak trwała, że przerwać ją mogła tylko śmierć którejś ze stron.

Saffira robiła dobry użytek z otrzymanych drenów. Podczas spotkania z Rajem Ahtenem miała dysponować nie setkami ledwie, ale tysiącami darów urody.

Pashtuk prowadził ich wiele godzin górkimi ścieżkami. W pobliżu fortecy Mutabayim zjechał z głównego szlaku, by ominąć przemierzające się oddziały Raja Ahtena. Borenson znów zasnął.

Dotarli już prawie do strzeżonej pilnie granicy w górach Heist, gdy Pashtuk zarządził postój i obudził Borensona na obiad. Zapadła już noc, gdy ściągnął go z siodła.

- Masz godzinę snu. Przygotuję obiad dla jej wysokości - oznajmił i rzucił go bezceremonialnie na stos sosnowych igieł.

Rycerz przespałby cały ten czas, gdyby nie poczuł zapachu perfum Saffiry, gdy go mijala. Usiadł i spojrzał na jej wdzięczną sylwetkę. Ha’Pim warknął zaraz ostrzegawczo.

Na pobliskich sosnach nawoływały się gołębie, suche powietrze niesło woń bijącą z koryta pobliskiego strumienia. Borenson spojrzał na zachód.

Nigdy jeszcze nie widział słońca zachodzącego nad indhopalską Wielką Słoną Pustynią. Widok był niezapomniany. Ogromne, ciągnące się pozornie na setki mil pustkowie okryło się na zachodzie fioletem. Wieczne poddmuchy wiatru unosiły tumany kurzu, który zabarwiał tarczę słoneczną na czerwono. Zapadające za horyzont słońce napuchło potężnie i wyglądało jak wielka różana perła.

Niemniej żadne cuda przyrody nie mogły się równać z urodą Saffiry. Borenson otworzył usta z zachwytu, gdy zeszła do kamienistej osłoniętej kotlinki i przyklękła nad stawem otoczonym drobnymi kwiatami, nad którymi uwijały się pszczoły. Zdjęła tkaninę spowijającą jej głowę i ramiona i Borenson ujrzał obraz tak cudowny, że ciało i umysł odmówiły mu posłuszeństwa. To była czysta tortura.

Saffira zerknęła na swoje odbicie w wodzie. Przez kilka ostatnich godzin otrzymała kilkaset, a może nawet tysiąc darów urody i równie wiele darów głosu.

Obejrzała się przez ramię na Borensona. Zobaczyła, że nie śpi i gapi się na nią.

- Sir Borensonie - powiedziała słodkim tonem - chodź tu i usiądź przy mnie.

Borenson wstał na wciąż drżących nogach. Były jak kłody drewna i zaraz odmówiły mu posłuszeństwa. Upadł. Saffira uśmiechnęła się, podeszła doń i dotknęła jego dłoni.

Ha`Pim przysunął się bliżej i położył potężną łapę na rękojeści sztyletu. Był rostry, chmurny i groźny.

- Czy jestem już godna zanieść twe posłanie pokoju? - spytała Saffira.

- O tak - wychrypiął Borenson. - Całkowicie. - Jej głos brzmiał mu w uszach jak muzyka, własny zaś niczym krakanie.

- Powiedz mi: masz żonę?

Borenson musiał się zastanowić. Zamrugał nerwowo.

- Tak... pani.

- Czy jest piękna?

Co miał odpowiedzieć? Dotąd miał Myrrimę za przecudowną, ale w porównaniu z Saffira...

- Nie, pani.

- Jak długo jesteście małżeństwem?

Spróbował sobie przypomnieć, ale nie potrafił teraz policzyć tych dni.

- Parę dni. Dwa, może trzy. - Wiedział, jak to brzmi, ale jak miał temu zaradzić?

- Ale ty nie jesteś już młody. Miałeś wcześniej inną żonę?

- Co? - spytał. - Chyba cztery.

- Cztery żony? - Saffira uniosła brew. - To wiele jak na męża z Rofehavanu. Myślałam, że twoi mają zawsze jedną żonę.

- Nie, cztery dni minęły od naszego ślubu - wykrztusił Borenson. - Jestem pewien, że cztery - dodał, starając się mówić z jak największym przekonaniem.

- I żadnych innych żon?

- Żadnych, wasza wysokość. Byłem... przybocznym gwardzistą mojego pana. Nie miałem czasu na szukanie żony.

- To wstyd. Ile lat ma twoja żona?

- Dwa... dzieci...- odparł z trudem.

Saffira oparła rękę na kamieniu i odchyliła się do tyłu, a przy tej okazji dotknęła palcem kłycki prawej dłoni Borensona. Spojrzał na to miejsce i nie potrafił oderwać od niego oczu.

Chciałby dotknąć Saffiry, pogłaskać jej dłoń, ale wiedział, że to niemożliwe. Ktoś taki jak on nie miał prawa sięgać po podobne cuda. Ich ciała mogły spotkać się tylko przypadkiem. W powietrzu pachniało wciąż jej perfumami.

- Dwadzieścia. Całkiem sporo - powiedziała Saffira. - Słyszałam, że w twoim kraju kobiety czekają często tak długo, że potem są za stare na małżeństwo.

Nie wiedział, co powiedzieć. Saffira wyglądała na szesnaście lat, a była już od dawna żoną, urodziła czworo dzieci. Musiała być chyba jednak starsza, niż się zdawało. Miała może siedemnaście lat, ale nie więcej. Chyba że brała dary urody również od dzieci.

- Mój pan zległ ze mną w moje dwunaste urodziny - stwierdziła z dumą Saffira. - Byłam najmłodszą z jego żon, a on jest najprzystojniejszym mężem, jaki chodził kiedykolwiek po ziemi. Pokochał mnie od samego początku. Niektóre żony czy konkubiny trzymają tylko po to, by na nie patrzeć, inne wyłącznie dla ich śpiewu. Ale mnie kocha najbardziej. Zawsze był dla mnie bardzo dobry, ciągle przynosi mi prezenty. W zeszłym roku przywiódł nam dwa białe słonie z czaprakami i pawilonami wysadzanymi diamentami i perłami.

Borenson widział Raja Ahtena. Wilk miał tysiące darów urody i łatwo było pojąć, dlaczego jego żona tak za nim tęskni.

- Pierwsze dziecko urodziłam mu, zanim skończyłam trzynaście lat - chwaliła się dalej Saffira. - Łącznie urodziłam mu czwórkę - dodała nieco zasmucona.

Borenson zdrzął, obawiając się, że zaraz usłyszy o śmierci jej najstarszego syna, co by go zabolalo. Aż mu w ustach zaschło.

- Hmm... urodzisz mu ich jeszcze więcej? - spytał, modląc się w duchu, by powiedziała, że nie.

- Nie - stwierdziła Saffira, pochylając głowę. - Nie mogę już rodzić.

Borenson chciał spytać dlaczego, ale ona spojrzała na niego błagalnie i zmieniła temat:

- Sądzę, że mężczyźni nie powinni mieć rudych włosów. To nieatrakcyjne.

- Zgolę je dla ciebie, pani.

- Nie. Wtedy musiałabym oglądać twoją bladą skórę i piegi.

- No to je ufarbuję, pani. Słyszałem, że mieszanka liści indygo i henny pozwala zmienić kolor włosów na czarny. - Nie dodał, że tak właśnie postępowali szpiegowie i zabójcy z Północy, gdy wybierali się na Południe.

Saffira uśmiechnęła się zniewalająco.

- Tak, w niektórych rejonach Indhopalu starzy ludzie farbują włosy, gdy zaczynają siwieć. Poślę po barwniki.

Zamilkła.

- Mój mąż - odezwała się po chwili - jest największym człowiekiem na świecie.

Zabrzmiąło to chępliwie. Borenson aż się wzdrygnął. Nigdy wcześniej tak nie myślał, ale teraz, gdy usłyszał słowa Saffiry, natychmiast przyznał jej rację.

- O tak, gwiazdo pustyni - odparł, gdyż nagle wydało mu się, że zwrot „pani” jest zbyt pospolity i należy zachować go raczej na okazje rozmów ze starymi farbowanymi matronami o pomarszczonych twarzach.

- Jest nadzieją tego świata - pouczyła go Saffira z całkowitym przekonaniem. - Zjednoczy rodzaj ludzki i zniszczy raubenów.

Oczywiście, jak mógł wcześniej tego nie dostrzec. Oto był wielki plan. Któż mógł zrealizować go lepiej niż Raj Ahten?

- Wypatruję tego dnia - powiedział.

- I my mu pomożemy. Przyniosę pokój Rofehawanowi, błagając wszystkich, by odłożyli broń, i powstrzymam w ten sposób ataki wolnych rycerzy. Mój ukochany bardzo długo już walczył o pokój, ale teraz jego światło zajaśnieje nad całym światem. Barbarzyńcy z Rofehawanu ukorzą się przed nim i padną na kolana albo zostaną zniszczeni.

Saffira mówiła po części do siebie, jakby słuchała własnego głosu. Pracujący w pałacu darczyńcy co chwila przydawali mu uroku.

- Wahoni miała czterdzieści darów głosu. Teraz są już chyba moje - powiedziała dziewczyna. - Tak pięknie śpiewała. Będzie mi tego brakować, chociaż sama teraz mogę śpiewać piękniej niż ona. - Zanuciła kilka wersów pieśni. Muzyka zdawała się ją spowijać niczym puch kwitnące topole. Borensonowi dreszcz przeszedł po grzbiecie.

Nagle spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie powinienes gapić się tak na mnie z otwartymi ustami. Wyglądasz, jakbyś chciał mnie zjeść. Może w ogóle nie powinienes na mnie patrzeć. Poza tym teraz zamierzam wziąć kąpiel. Nie możesz oglądać mnie nago, rozumiesz?

- Zamknę oczy - obiecał Borenson, ale Ha'Pim dźwignął go na równe nogi, odprowadził kilka jardów dalej i posadziwszy na ziemi, oparł o nagrzaną skałę.

Tam Borenson słuchał z rozkoszą szelestu zsuwanych jedwabi, wyczuwał woń jej ciała, gdy się rozbierała. Zapach jaśminu zyskał nagle na intensywności.

Potem łowił odgłosy kroków dziewczyny, gdy schodziła do kąpielni, usłyszał jej cichy krzyk, gdy się przekonała, jak zimna jest woda w górskim stawie. Cieszył go każdy plusk, ale nie próbował odwrócić głowy. Zacisnął powieki, posłuszny jej poleceniu. Chciał jej słuchać niezależnie od tego, ile by go to kosztowało.

Z wolna jednak zaczęły w nim kiełkować wątpliwości. Saffira kocha Raja Ahtena? Ma go za miłego? Człowieka, który zgładził wszystkich władców wszystkich sąsiednich królestw i chce podporządkować sobie świat?

Borenson miał okazję przekonać się, jaki Wilk jest przebiegły i okrutny. Widział martwe ciała swego brata, sióstr i matki Gaborna. Gdy zabijał darczyńców w zamku Sylvarresta, musiał odebrać życie dzieciom, którym Raj Ahten odebrał dary. Wilk w całości zaprzedał się złu.

Saffirę wziął za żonę, gdy była dzieckiem, i tylko dlatego świata poza nim nie widziała. Borenson chętnie by go za to zabił.

Niemniej i tak się zdumiewał. Saffira wyszła za Wilka dobrowolnie, zauroczona jego głosem i urodą. Kochała go tak bardzo, że teraz obiecała pomóc w pokonaniu narodów Rofehavanu.

W wieku dwunastu lat straciła rodzinę. Nigdy nie widziała tego świata, który jej mąż bezlitośnie pustoszył, który zamierzał podbić. Była krańcowo naiwna. Niedoświadczona. Całe życie spędziła zamknięta w pałacu, gdzie czekała na kolejne dary Raja Ahtena i drżała ze strachu przed wolnymi rycerzami. Wprawdzie Borenson nie widział innych konkubin, ale gotów był sądzić, że są takie same jak Saffira: podobnie naiwne i ogłupiałe.

Już teraz dostrzegął, jak bardzo Gaborn pomylił się w swoich oczekiwaniach. Saffira gotowa była pomóc w zawarciu pokoju pomiędzy Rofehavanem a Indhopalem, ale robiła to wyłącznie z własnych powodów, nie dla Króla Ziemi.

Jeśli nie uda jej się przekonać Wilka, aby zaniechał wojny, użyje swych wdzięków, by rozbroić armie Rofehavanu.

Głos rozsądku podpowiadał cicho Borensonowi, że oto pomógł stworzyć potwora. I że przy pierwszej okazji powinien go zgładzić.

Jednak to ostatnie było niewykonalne. Nawet gdyby miał swoje dary, nawet gdyby mógł pokonać Pashtuka, Ha`Pima i Mahketa, nie byłby zdolny do zabicia Saffiry.

Żaden mężczyzna nigdy by tego nie dokonał.

Zresztą ona nie zasłużyła na śmierć. Jest taka niewinna, pomyślał, nie ma w niej zła.

A nawet gdyby było... I tak nie podniósłby na nią ręki.

NIEWDZIĘCZNY

Ioma dotarła do zamku Groverman dobrze po zmroku. Binnesman i Jureem jechali na rumakach odebranych tydzień wcześniej Rajowi Ahtenowi, a Myrrima dosiadła wierzchowca sir Borensona, najszybszego w całej Mystarrii. Niemniej zabrany z królewskich stajni koń Iomy był zwykłym gwardyjskim zwierzęciem, z trzema tylko darami, co dało o sobie znać po kilkuset milach forsownego biegu. Ioma musiała zwolnić, by w ogóle dotrzeć do Bannisferre i kupić tam świeżego wierzchowca.

Ale i tak wieczór był miły do jazdy. Gwiazdy lśniły jasno, powietrze w Mrocznej Puszczy cieszyło chłodem i świeżością.

Gdy wjechali do zamku, Ioma poszła poszukać Gaborna. Cała reszta, razem z Dziennik i kulawym chłopcem, ruszyła za nią.

Zamieniwszy kilka słów z jednym z kapitanów straży zanikowej, skierowała się do Warowni Diuka, gdzie Gaborn miał wraz z innymi władcami sięść do obiadu.

Weszła do sali audiencyjnej i już miała odsunąć kotary oddzielające ją od wielkiej sali, gdy usłyszała czyjś podniesiony głos. Jakiś mężczyzna przemawiał do jej męża:

- To kpina, wasza wysokość! - perorował. - Nie możesz zawracać ich teraz, zanim jeszcze zaczęli pościg! To świadczy o tchórzostwie!

Poznała ten głos. Należał do sir Gillisa z Tor Insell.

- Wasza wysokość, nie dozwolę, by ten człowiek nazywał tchórzem mnie ani mojego pana! - ryknął ktoś inny. - Żądam przeprosin!

Ioma skinęła na idących za nią, by się zatrzymali. Odrobinę rozchyliła kotary. Diuk Groverman wyprawił przyjęcie co się zowie. Gaborn i trzy tuziny innych władców siedzieli stłoczeni przy stole, który normalnie był przeznaczony dla dwudziestu czterech biesiadników.

Pośrodku sali stał młody człowiek z przyszczatym obliczem. Syn Theovalda Orwynne'a, czternastoletni Agunter. Wieści rozeszły się już po okolicy i Ioma usłyszała po drodze, że król Orwynne i jego syn Barnell zginęli w spotkaniu z czarnym glorym. Agunter był następny w kolejce do tronu. Słyszała też, że Gaborn stracił swoje dary.

Obok chłopaka stał wielki jak niedźwiedź sir Langley. Za nim czekali doradcy.

- Żądam przeprosin za tę potwarz...! - huczał sir Langley na sir Gillisa. - Albo satysfakcji!

Gaborn spojrzał w lewo, gdzie kilka krzeseł dalej siedział sir Gillis.

- I co waść powiesz? - spytał z irytacją, ale i rozbawieniem. - Przeprosisz za zniewagę czy będziemy mieli okazję obejrzeć, jak sir Langley wyrzywa ci język z gęby, gdy już cię położy w szrankach?

Czerwony na twarzy sir Gillis cisnął na stół obgryzaną właśnie nogę łabędzia i wbił oczy w talerz.

- Powtórzę swoje! Orwynne poprzysiągł wierność Królowi Ziemi i jeśli Agunter i jego rycerze postanowili opuścić nas przed bitwą, to wszyscy są tchórzami! Wyrwij mi język, jeśli zdołasz, sir Langleyu. Chociaż legnie na podłodze, dalej świadczyć będzie, że mam rację!

Sir Langley spojrzał pałającym wzrokiem na sir Gillisa i poszukał dłonią sztyletu u pasa, ale nie śmiał dobyć broni w obecności Króla Ziemi.

- Jeśli pozwolisz, wasza królewska mość! - odezwał się głośno do Gaborna jeden z doradców Orwynne'a. - Nie jego wysokość król Agunter wpadł na pomysł powrotu. To ja przekonywałem go przez cały dzień, że tak właśnie powinien uczynić!

- Mów - polecił Gaborn doradcy.

- Rzecz... rzecz w tym, że jego wysokość Agunter ma dopiero czternaście lat, chociaż postawy jest już męskiej i odwagą mierzyć się może z każdym w tej sali. Tyle że nasze królestwo poniosło dziś niepowetowaną stratę. Wraz ze śmiercią króla Orwynne, a i jego najstarszego syna ród królewski narażony został na wygaśnięcie. Młodszy brat Aguntera ma dopiero sześć lat i jeśli zły los sprawi, że mój młody król zginie, ruszywszy na południe, jego brat nie zdoła przejąć władzy. A skoro mamy wojnę, trzeba nam władcy, by poprowadził lud. Z tego i tylko z tego powodu usilnie prosimy cię, byś pozwolił nam wrócić do Orwynne.

Gaborn siedział dotąd w cieniu. Po lewej miał diuka Grovermana, kanclerza Roddermana po prawej. Teraz pochylił się nad stołem.

- Ale czy odjazd jego wysokości Aguntera musi oznaczać, że cały orszak powróci wraz z nim? - spytał sir Gillis. - Czy te pięć setek rycerzy nie może z nami zostać?

Ioma poczuła się zagubiona. Ojciec Aguntera przywiódł pięciuset swoich najlepszych rycerzy. Po dziesiątkowaniu sił Heredonu byli oni na wagę złota. O ile powrót Aguntera miał sens, o tyle przesadą z jego strony było zabieranie wszystkich konnych.

Sir Gillis ma rację, pomyślała. Prośba Aguntera winna zostać wysłuchana. Młody człowiek bał się śmiertelnie i miał po temu powody. Ojciec Gaborna wystąpił przeciw Rajowi Ahtenowi i został zamordowany, zginął też ojciec Iomy. Rodzic Aguntera został rozdarty na strzępy na oczach chłopaka...

- Owszem, chęć zabrania moich ludzi byłaby niestosowna, gdyby nie nowiny, które dotarły do mojego ojca zeszłej nocy - odezwał się drżącym głosem Agunter. - W Crowthenie Północnym i na południu Mystarrii pojawili się raubenowie, coś ryje pod Mroczną Puszcza, aż ziemia drży. Moje królestwo graniczy z górami Heist, gdzie ostatniego lata spostrzeżliśmy wiele znaków świadczących o obecności raubenów. Ile czasu nam zostało, nim przyjdą całą masą?

- Ha! Ja nazwałbym to kradzieżą! - zakrzyknął sir Gillis. - Król Ziemi ratuje cały twój naród, panie, i daje dwa tysiące drenów, by uczynić sir Langleya niezrównanym, a ty chcesz teraz odjechać z tym łupem. Czyżbyśmy mieli zwać od dzisiaj Orwynne niewdzięcznym?

Młodzieniec spojrzał groźnie na Gillisa. O ile jego rycerz bał się obnażyć żelazo przy Królu Ziemi, o tyle Agunter wyraźnie nie miał podobnych oporów. Mógł bać się Raja Ahtena, ale na ludzi w rodzaju sir Gillisa jego lęk się nie rozciągał. Nie był już dzieckiem.

Ioma przygryzła wargę. Skoro już teraz reagował zdecydowanie na podobne obelgi, tym gorzej będzie znosił za parę lat słowa wypowiedane za jego plecami. Byłoby z jego strony nader nierozsądnym posunięciem, gdyby całkiem pozbawił teraz Króla Ziemi swojego wsparcia.

Gaborn wysłał dwa tysiące drenów do Orwynne, by wzmocnić Langleya. Była to znacząca inwestycja, a Ioma, patrząc na rycerza, widziała, że darmistrzowie nie próżnowali. Jego postawa znamionowała nieprzeciętną siłę, poruszał się płynnie i szybko, tak jak ludzie z wieloma darami sprawności i metabolizmu. Rofehawanowi przybywał jeszcze jeden wielki wojownik.

Zabranie go teraz do Orwynne byłoby świadectwem małości. Małości i głupoty. Ioma nie pozwoliłaby na to. Uderzyłaby pięścią w stół i zażądała pomocy Orwynne. Nie wyszła jednak z za zasłony. Chciała zobaczyć, jak jej mąż poradzi sobie z chłopakiem.

Gaborn chrząknął i pochylił się jeszcze bardziej, tak że jego twarz znalazła się w kręgu blasku świecy. Ioma zdumiała się zmianami, które zaszły od rana na jego obliczu. Oczy miał podkrążone i zapadłe, twarz bladą. Wyglądał na chorego lub śmiertelnie strudzonego. Wszystko to było wynikiem utracenia darów.

- Sir Gillisie, winien jesteś młodemu królowi Orwynne przeprosiny - powiedział. - Wejrzałem w jego serce. Kipi nienawiścią do Raja Ahtena. Wiem, że równo trudno będzie mu porzucić tę kampanię, jak tobie z trudem przychodzi pogodzić się z jego odejściem. - Potem spojrzał na młodzieńca. - Agunterze Orwynne, skoro tak trzeba, ruszaj do domu. Masz, wasza wysokość, moje błogosławieństwo. Rofehawan potrzebuje kogoś, kto ochroni go przed wrogami mogącymi nadejść z zachodu, czy będą to raubenowie, czy wojska Raja Ahtena. Weź ciała swego ojca i brata i pochowaj ich godnie. Weź też swych rycerzy i niech Moce was prowadzą.

Ioma własnym uszom nie wierzyła. Gaborn i tak ruszał na wojnę z rozpaczliwie skąpą armią. Nie powinien przychylić się do prośb tchórzy.

- Ależ... - zaczął sir Gillis.

- Proszę cię tylko, wasza wysokość, o jedną przysługę - ciągnął Gaborn. - Pozwól sir Langleyowi stanąć do walki w twoim imieniu. Wierzę, że pomści śmierć twego ojca i wszystkich jego ludzi. Jeśli się zgodzisz, będę ci nieskończenie wdzięczny za to wsparcie.

Ioma zrozumiała nagle, do czego Gaborn dąży. Agunter nie mógł znieść myśli, że miałby stawić czoło Rajowi Ahtenowi. Był tak przerażony, że bał się nawet jechać do domu samotnie.

Uznając chłopaka za dość dzielnego, by mógł skutecznie bronić granic swojego kraju, Gaborn przydawał mu odwagi. Odwoływał się też do tej odrobiny godności, która mu jeszcze pozostała. Żadne dziecko nie zrezygnuje z pomszczenia śmierci ojca. Jeśli Agunter nie zostawi Gabornowi sir Langleya, nie uwolni się nigdy od szyderstw swego ludu. Wyraźnie musiał to pojąć, chociaż gdy się odezwał, głos ciągle mu drżał:

- Zabierz go zatem... Razem z setką rycerzy.

Gaborn pokiwał głową, jakby był zdumiony i pełen podziwu dla szczodrości młodego króla.

Agunter odwrócił się i wyszedł z sali na sztywnych nogach. Doradcy i Dziennik podążyli szybko za nim. Wyraźnie wszyscy pragnęli jak najszybciej znaleźć się z powrotem w Orwynne.

Ioma cofnęła się od kotar, by przepuścić młodzieńca i jego orszak.

Spośród wszystkich ludzi Aguntera w sali pozostał tylko jeden sir Langley. Przez chwilę w zamyśleniu spoglądał za królem. Nikt nie odzywał się aż do chwili, gdy Agunter wyszedł z warowni. Wtedy dopiero sir Langley pokłonił się Gabornowi.

- Dziękuję, wasza wysokość, że pozwoliłeś mojemu młodemu królowi odejść. - Potem skłonił głowę przed sir Gillisem. - A tobie, panie, dziękuję za przypomnienie mu o jego obowiązku.

Gaborn uśmiechnął się z rozbawieniem. Sir Langley chciał stanąć przeciwko Rajowi Ahtenowi. Chciał tego znacznie bardziej niż wielu innych rycerzy i chociaż mógł uparcie bronić dalej honoru swego władcy, widział w nim przede wszystkim niedorostka, którego rzeczywiście należało odesłać do domu.

Rycerz obrócił się, by wyjść z sali.

- Zostań, jeśli chcesz - powiedział Gaborn. - Starczy miejsca przy stole - dodał, chociaż stłoczeni władcy co rusz tręcali się łokciami.

- Dziękuję, wasza wysokość - odparł sir Langley. - Obawiam się jednak, że po odjeździe mojego króla duch w jego rycerzach może upaść, i wolałbym zjeść obiad razem z nimi. To doda im pewności siebie.

- Rozumiem i doceniam - stwierdził Gaborn.

Langley ruszył do wyjścia, ale Król Ziemi jeszcze raz go zatrzymał.

- Sir Langleyu, winieneś wiedzieć, że twój król to dobry chłopak. Lecz choć ma ciało mężczyzny, sercem jeszcze nie dorósł do wieku męskiego. Za rok albo dwa dowiedzie jednak zapewne swej odwagi.

Langley obejrzał się przez ramię.

- Modłę się, aby nie dowiódł jej za późno.

Ioma przepuściła rycerza i weszła do wielkiej sali, a reszta jej świty za nią. Tylko chłopiec został w sali audiencyjnej, aby pobawić się ze szczeniakami.

Gdy Gaborn ją ujrzał, wstał i poprosił, by usiadła obok niego. Ioma pocałowała męża i przyjrzała mu się bliżej. Uznała, że naprawdę wygląda na chorego.

Diuk Groverman odstąpił jej swoje krzesło. Siadając, ścisnęła lewą dłonią prawicę Gaborna. Ledwo to uczyniła, paż obwieścił przybycie wysłannika z Beldinooku. Był to pierwszy oficjalny znak życia z tego królestwa od czasu ukoronowania Gaborna na Króla Ziemi.

Beldinook był drugim pod względem wielkości i bogactwa królestwem Rofehavanu. Co więcej, stary król Lowicker, niepewny siebie i niezdecydowany władca, był starym przyjacielem ojca Gaborna. Królowi Ziemi pilno teraz było poznać jego stanowisko, po części i dlatego, że w drodze do Carris chciał poprowadzić swą małą armię przez Beldinook, a nie miała ona żadnych zapasów, gdyż nazbyt opóźniałyby marsz. Brakło jej też części wyposażenia, które przydałoby się w walce, niemniej Gaborn miał nadzieję znaleźć w Beldinooku co najmniej owies dla koni i prowiant dla wojowników.

Herin Ruda wysłała swoją córkę, by zapewnić o gotowości udzielenia takiej pomocy, wszelako ważniejsza pod tym względem była deklaracja Beldinooku. Gaborn czekał na nią, ale się nie doczekał i musiał wyruszyć mimo niepewności.

Niemniej to nie było wszystko. Prócz zgody na przejazd i aprowizację armii, którą prowadził, liczył jeszcze na pomoc w zaopatrzeniu pomocnej Mysterrii, która utraciła ostatnio wiele warownych zamków.

Paldane bez wątpienia zgromadził w Carris co mógł i szykował się na oblężenie. Należało oczekiwać, że Raj Ahten rzeczywiście obiegnie miasto i że będzie starał się je zdobyć nietknięte, by jego wojska mogły w nim przezimować. A skoro tak, Gabornowi przyszłoby przełamywać oblężenie. W takiej walce potrzeba szczególnie wiele uzbrojenia, którego jego armia nie zabrała w dostatecznej ilości: strzał, kopii, pik i tarcz.

Niewielu rycerzy obciążało też konie ladrami. Niektóre tylko niosły naczółki i napierśniki, ale i one miały boki i karki osłonięte tylko kropierzami. Pełna zbroja końska ważyła zbyt wiele, aby pozwolić na długi i szybki przemarsz. Konie z darami były zaś ostatnimi czasy nazbyt cenne, by posyłać je do walki bez należytej ochrony. Chętnie wyposażyłby je wszystkie w komplet blach, o hełmach i napierśnikach dla rycerzy nie wspominając.

Miał nadzieję dostać to wszystko w Beldinooku.

Gdyby udało mu się zamknąć Raja Ahtena w którejś z fortec, czy to w zamku Crayden, czy to Fells lub Tal Dur, potrzebowałby również narzędzi do budowy machin oblężniczych, a także kowali, kucharzy, górników, cieśli, praczek, saperów, woźniców i tak dalej. Owszem, mógł wezwać swoich poddanych z południa i wschodu Mystarrii, by stawili się do pomocy, ale oni nie dotarliby na północ przed upływem paru tygodni, a obecnie czas liczył się najbardziej.

I tak z konieczności Gaborn musiał poszukać oparcia u starego sojusznika, króla Lowickera, który wedle szeptanych komentarzy był podobno nazbyt ostrożny, by wplątywać się w wojnę, i nie starczało mu ikry, żeby otwarcie głosić sprzeciw wobec Raja Ahtena.

Wysłał do niego list już tydzień temu. Proponował, że zapłaci za wszystko, co będzie mu potrzebne w drodze na południe. Jednak nie otrzymał dotąd odpowiedzi. Może i dlatego, że Raj Ahten przechodził właśnie przez pustkowia na pograniczu Beldinooku i Lowicker myślał przede wszystkim o własnej obronie. Tak czy owak, Ioma dwa dni temu wysłała następnego kuriera.

No i teraz wreszcie ktoś się zjawił. Wysłannik wszedł do sali pokryty kurzem podróżnym. Na piaskowej tunice nosił znak białego łabędzia, godło Bedlinooku. Mężczyzna ów, niski i szczupły, miał opadające aż za policzki Wąsy, ale był bez brody.

Gaborn wstał, żeby porozmawiać z nim na osobności, ale wysłannik skłonił się dwornie i powiedział:

- Jeśli wasza wysokość pozwoli, jeśli wy pozwolicie, władcy Heredonu i Orwynne, król Lowicker nakazał mi, bym przemówił otwarcie do was wszystkich.

Gaborn kiwnął głową.

- Słuchamy zatem.

Posłaniec skłonił się ponownie i rzekł:

- Mój pan kazał mi przekazać pozdrowienia: „Niech żyje Król Ziemi Gaborn Val Orden!” - Uniósł dłoń, a wszyscy przy stole zakrzyknęli: „Niech żyje król!” - Mój pan przeprasza za opóźnienie w przesłaniu odpowiedzi. Przygotował ją już tydzień temu, oferując wszelką przydatną pomoc, ale wedle naszych domysłów kurier, który przynosił list, nie dotarł żywy do miejsca przeznaczenia. Na drogach roiło się wtedy od zabójców Raja Ahtena. I tak mój pan przeprasza, ale i zapewnia, że tak jak kochał twego ojca, tak i zawsze miał ciebie, panie, prawie za swojego syna.

Iomie wcale się to nie podobało. Wiedziała, że Lowicker był uprzejmy wobec króla Ordena, ale skłonna była przypuszczać, iż wynikało to z nadziei na ożenienie dorastającego Gaborna z jedyną córką władcy Beldinooku, dziewczyną nieatrakcyjną, która wszelako odziedziczyć miała całe królestwo.

- Mój pan, król Lowicker, pragnie cię uspokoić - ciągnął posłaniec. - Jest świadom niebezpieczeństwa, które zawisło nad Carris, i zgromadził już oddziały i zapasy, które winny dopomóc w oswoobodzeniu miasta. W tym celu wydzielił pięć tysięcy rycerzy i sto tysięcy piechoty oraz pięćdziesiąt tysięcy łuczników wraz z saperami i niezliczoną rzeszą czeladzi obozowej i ma nadzieję, że razem zdołamy zmieść Raja Ahtena, zanim naprawdę stanie się

niebezpieczny! Wasza wysokość, władcy Heredonu i Orwynne, mój król Lowicker mówi wam, byście rozpogodzili czoła i czym prędzej przyłączyli się do niego, gdyż już niebawem poprowadzi swe wojska na wojnę!

Nagle Ioma zrozumiała naturę propozycji Lowickera. Spodziewał się, że do zagrożonego Carris ściagną na pomoc wojska z południowej i wschodniej Mystarii. Zachodu strzegło Fleeds, tak że nadchodzący wielką siłą z północy Lowicker miał szansę zastać Wilka osaczonego niczym niedźwiedź między ogarami. Dobiłby zwierza.

Ioma skrzywiła się. Nigdy dotąd nie sądziła, że ten stary słabeusz zechce naprawdę ruszyć na wojnę.

Przy stole zaczęto wiwatować i wznosić kielichy w toastach, a Ioma poczuła nieprawdopodobną ulgę. Nigdy dotąd jeszcze się jej nic podobnego nie zdarzyło.

Władcy wypili za zdrowie Lowickera, wypili za Moce, a przy każdej okazji wszyscy ulewali trochę trunku na podłogę. Ofiara dla ziemi.

Ioma przyjrzała się Gabornowi, ciekawa, jak on to przyjął. Wyraz troski zniknął z jego twarzy. Król podziękował wylewnie posłańcowi i zaproponował mu, by zasiadł do stołu. I tak oto straciliśmy większość rycerstwa Orwynne, ale zyskaliśmy kilkaset razy więcej! Serce zabiło jej żywo, poruszone tą nadzieją.

Niemniej jeszcze raz spojrzała uważnie na Gaborna. Nie, nie odprężył się całkowicie. Wciąż wyczuwał niebezpieczeństwo i nie ważył się świętować, póki się z nim nie upora. Niegdyś miał dwa dary urody, które wszelako niewiele mu dawały. Wyglądał raczej przeciętnie. Teraz ujrzała go po raz pierwszy takim, jakim był naprawdę. Nie był może pospolitej urody, ale też mało co go wyróżniało.

Zastanowiła się przelotnie nad konsekwencjami. Zewnętrzna przemiana była zapewne najmniej istotna. Gorzej, że bez darów sił życiowych stał się podatny na choroby i łatwo mógł zginąć w bitwie. Bez krzepy swych darczyńców ustępował dowolnemu wojownikowi, a bez daru wymowy zniknąć mogła bez śladu jego elokwencja.

Co gorsza, mógł też postradać dary rozumu, a to oznaczało zapomnienie wielu istotnych spraw. Źle się działo, jeśli Władca Runów tracił tyle przymiotów naraz. Szczególnie że działo się to w chwili, gdy najbardziej ich potrzebował.

- Myślałam, że będzie gorzej - szepnęła mu do ucha. - Niepokoiliam się o ciebie. Niemniej potrzebujesz odpoczynku. Mam nadzieję, że nie zamierzasz ucztować tu przez całą noc.

Ścisnął jej dłoń, potwierdzając, że słyszy i rozumie, i uniósł palec, jakby dawał znak. Na środku sali pojawił się Jureem z wiklinowym koszem. Jednym z tych, w których wieźli na północ szczenięta.

- Wasza wysokość, diuku Grovermanie, władcy Heredonu - rzekł Jureem. - Nowiny z Beldinooku warte są uczczenia, ale ja przynoszę wam coś, co jeszcze bardziej winno ucieszyć wasze serca i podnieść was na duchu!

Sięgnął upierścienioną dłonią pod pokrywę kosza. Ioma zamarła w oczekiwaniu, jakiego to szczeniaka stamtąd wydobędzie...

On jednak wyciągnął szponiastą łapę czarnego glory'ego. Władcy zakrzyknęli i zaczęli radośnie bębnić pięściami po stołach.

- Dobra robota, Binnesman! - zawołał ktoś, podczas gdy inni sięgnęli po kielichy.

Poruszona jawną niesprawiedliwością Ioma złapała męża za ramię.

- Przecież to nie Binnesman go zabił! - szepnęła z oburzeniem. Gaborn uśmiechnął się do niej i uniósł kielich, by wygłosić toast. Biesiadnicy umilkli.

- Jak wiecie, czarny glory zabił wielu naszych - powiedział. - Wśród nich mego dobrego przyjaciela, króla Orwynne'a, którego wsparcia wielce będzie nam brakowało. Jednak wszyscy, którzy zginęli, poniekąd sami sprowadzili na siebie śmierć, gdyż nie słuchali moich ostrzeżeń. Ziemia nakazała nam uciekać, a oni nie uciekli. Przez cały tydzień czekałem, kiedy ziemia wreszcie zezwoli nam walczyć we własnej obronie, ale ona ciągle kazała nam uciekać. W

końcu dzisiaj wyszukała jedną osobą, której poleciła uderzyć. A ta osoba zaatakowała czarnego glory'ego i pokonała go!

Władcy znów podnieśli radosny raban, ale Gaborn rychło ich uciszył.

- Przekazała swój rozkaz kobiecie, która nie posiada żadnych darów i nie ćwiczyła się nigdy w rzemiośle wojennym. - Pokazał na upiorne trofeum, które Jureem trzymał w dłoni. - Oto ręka czarnego glory'ego, który zginął od strzały wypuszczonej przez żonę sir Borensona, lady Myrrimę Borenson!

Ioma patrzyła z zachwytem, jak zebrany opadają szczęki.

- Ale... ależ sam widziałem, jak ona strzela! - zawołał jeden. - Ona w ogóle nie potrafi strzelać! To nie może być prawda!

- A jednak - odezwała się Ioma. - Jak widać, strzela dość dobrze, by zabić potwora. Ma serce rycerza, a wkrótce zyska i dary, na jakie zasłużyła!

- No to zobaczymy tę bohaterkę! - krzyknął ktoś, a Binnesman skinął na Myrrimę, by wyszła z ciemnego kąta.

Przywitał ją ogłuszający aplauz. Zgiełk długo huczał wśród kamiennych murów, gdyż władcy zagrzewani przez Gaborna postarali się, aby Myrrima mogła jak najdłużej smakować chwilę triumfu.

W końcu Gaborn uniósł ręce, prosząc o ciszę.

- Niech czyn Myrrimy przypomina wam, co można osiągnąć ze wsparciem mocy ziemi - powiedział. - To ona nas chroni, ona daje nam siły. W minionych wiekach nasi przodkowie polegali na niej bez reszty. Dzięki niej właśnie Erden Geboren zdołał odeprzeć mrocznych czarnoksiężników tomów. Teraz my musimy iść w jego ślady. Wczoraj o świcie słyszałem szept ziemi. Nakłaniała mnie do wymarszu na południe. Wyjechaliśmy z zamku Sylvarresta, chociaż wiedzieliśmy, jak niewielką stanowimy kompanię. Niemniej teraz wiemy również, że czasem starczy jednego, by wymierzyć ten decydujący cios. Właśnie dowiedzieliśmy się też, że możemy liczyć na wsparcie wielkiej armii. Ziemia również będzie nas wspierać w boju! Jak wiecie, wysłałem tuzin wybranych posłańców poza granice naszego kraju. Trzech jest teraz w Carris. Pierścień wojsk Raja Ahtena zamyka się z wolna wokół miasta. Wyczuwam niebezpieczeństwo, w którym się znaleźli, a ziemia podpowiada mi: „Pospiesz się! Pospieszaj, by uderzyć!”

Dla większego efektu uderzył pięścią w stół.

- Wiecie też, że zamierzałem wyruszyć jutro o świcie do Fleeds. Teraz jednak czuję, że będę musiał wyjechać wcześniej. Opuszczę zamek o wschodzie księżycy i jutro rano zatrzymam się przelotnie we Fleeds. Wzywam wszystkich, którzy mają dość śmigłe wierzchowce, by się do mnie przyłączyli. Ci, którzy nie nadążą, niech jadą za nami. Mam nadzieję spotkać się z królem Beldinooku w pobliżu Carris nie później niż jutro o zmierzchu. Tam dołączą do nas wolni rycerze oraz władcy z Mystarii i Fleeds. Ruszamy na wojnę!

Gdy zebrani wiwatowali, Gaborn podszedł do Myrrimy, wziął ją pod ramię i poprowadził wraz z Juremem na dziedziniec, by wygłosić podobną mowę do zgromadzonych tam rycerzy.

ZAPACH NOCNEGO WIATRU

Po uroczystej prezentacji Myrrima wzięła dreny i poszła do Warowni Darczyńców uprosić darmistrza diuka, by dokonał tego, co zawsze dotąd uchodziło w jej oczach za coś niegodnego.

Darmistrz był zmęczony, ale zrozumiał, jak pilna to sprawa. Poprosił Myrrimę, by weszła z koszem szczeniaków do komnaty i usiadła na zimnym krześle. Okna wieży były otwarte na blask gwiazd i rześkie, nocne powietrze.

Żółtawy szczeniak wtulił pyszczek w jej dłoń. Poglaskała go, tłumiąc łzy. Brała już dary od swojej matki i sióstr. Same tego zażądały. Matka zaofiarowała rozum, siostry urodę. Chciały, by Myrrima dobrze wyszła za mąż i wzięła na siebie ciężar utrzymania rodziny.

Przyjęła ofiarę, chociaż nappełniło ją to goryczą. Wiedziała, że postępuje źle, jednak teraz szykowała się, by uczynić to ponownie.

Czasem ponowne wyrządzenie zła przychodzi łatwiej niż za pierwszym razem. Jednak nie zawsze. Szczeniak patrzył na nią ufnie wielkimi brązowymi ślepiami, a ona wiedziała, że niebawem będzie musiał znieść wielki ból, i to za jej sprawą. Zostanie ukarany za to, że ją pokochał, że zdolny jest jej służyć. Poglądziła futerko zwierzaka, by choć trochę go uspokoić. Polizał jej dłoń i skubnął rękaw.

Myrrima przyszła sama do Warowni Darczyńców, gdyż Ioma była bardzo zmęczona i wolała położyć się spać. Ponadto, chociaż rycerstwo Heredonu zgotowało jej właśnie gorącą owację, wstydziła się tego, co zamierzała zrobić.

Główny darmistrz diuka, stary i niski mężczyzna o pomarszczonej twarzy, z brodą opadającą prawie do pasa, przyjrzał się uważnie drenowi, który przyniosła. Przypominał narzędzie do wypalania piętna. Jeden koniec służył za uchwyt, drugi uformowany został na kształt znaku runicznego, który określał, jaka to cecha zostanie dzięki niemu przeniesiona z darczyńcy na obdarowanego.

Sztuka przekazywania darów liczyła tysiące lat i chociaż nie wymagała wielkiej znajomości magii, nie można jej było uprawiać bez odebrania wieloletnich nauk. Darmistrz wziął dren sił życiowych i obejrzał go uważnie. Potem usunął małym pilniczkiem drobne nierówności i zadziory na powierzchni krwawego metalu. Czynił to nad tygielkiem, by nie stracić ani skrawka cennego kruszcu, który mógł jeszcze zostać wykorzystany.

- Krwawy metal jest miękki i dreny łatwo uszkodzić - wyjaśnił. - Gdy się je przewozi, należy to czynić z większą ostrożnością.

Myrrima tylko pokiwała głową. Cały skarb Raja Ahtena przewędrował tysiące mil od warsztatu, w którym został wykuty. Nic dziwnego, że to i owo mogło się zarysować. Niemniej wiedziała, że w razie potrzeby darmistrz przetopiłby dren i wykuł go na nowo.

- Niemniej to dobra robota - mruknął mężczyzna. - Dzieło Pimisa Suchareta z Dharmadu. Dzieło mistrza.

Rzadko można było usłyszeć ostatnimi czasy pochwały pod adresem ludzi z Indhopalu. Wojna trwała już zbyt długo.

- Teraz przytrzymaj mocno szczeniaka - powiedział darczyńca. - Tak, żeby się nie ruszał.

Myrrima objęła zwierzę, a darmistrz przytknął dren do jego skóry i zaczął śpiewać. Głos miał nieco piskliwy, jakby ptasi.

W parę chwil dren rozgrzał się do białości, zaleciało paloną sierścią. Szczeniak zawył rozpaczliwie z bólu. Myrrima ścisnęła go mocniej nogami, żeby się nie wyrwał. Drapał ją, a Myrrima szeptała mu cały czas: „Przepraszam, przepraszam”. Dren nagrzewał się coraz bardziej.

Pozostałe trzy szczenięta krążyły po komnacie, obwąchując dywany i szperając z wywieszonymi językami po kątach w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Słyszając pisk, podbiegły do Myrrimy, otoczyły ją kołem i podniosły jazgot. Szczekały na darmistrza, niepewne jednak, czy powinny go zaatakować.

Mężczyzna uniósł dren i przyjrzał mu się uważnie. Zamachał nim, aż w zadymionym powietrzu zawisły wstęgi światła. Patrzył na nie przez dłuższą chwilę, oceniając ich grubość i szerokość.

W końcu, usatysfakcjonowany, dał znak Myrrimie. Podciągnęła nogawkę bryczesów powyżej kolana. Chciała przyjąć dar w miejscu, które rzadko wygląda spod ubrania.

Rozgrzany dren opalił jej skórę, jednak Myrrima nie czuła bólu, tylko niewysłowioną rozkosz. Nagle poczuła, że przybywa jej sił, rośnie jej chęć do życia. Nie przyjmowała wcześniej takiego właśnie daru i nie wyobrażała sobie, jakie to wspaniałe wrażenie. Życie jest jednak rozkoszne, cudowne...

Spojrzała na szczeniaka. Leżał całkiem bezwładnie. Jego ślepie, jeszcze przed chwilą lśniące i pełne ciekawości, teraz zmatowiały, zobojętniały. Gdyby się taki urodził, Myrrima zasugerowałaby, żeby go ktoś utopił i oszczędził w ten sposób cierpień choremu stworzeniu.

- Już po wszystkim. Zabiorę go do psiarni - powiedział darmistrz.

- Nie - zaprotestowała Myrrima, chociaż wiedziała, że to niemądre. - Jeszcze nie. Chcę zostać z nim przez chwilę.

Szczeniak dał jej tak wiele, że pragnęła też mu coś przekazać, miast porzucać go od razu na czyjejs łasce.

- Nie martw się - pocieszył ją stary darmistrz. - Dzieci, które pracują w psiarni, bardzo troszczą się o zwierzaki. Dostanie od nich o wiele więcej niż tylko parę kęsów mięsa. Będą go

kochać, jakby był ich własnym psem, i nie poczuje prawie braku sił życiowych, które ci dzisiaj oddał.

Myrrima miała zamęt w głowie. Teraz będzie mogła dłużej ćwiczyć z hakiem, stanie się lepszym wojownikiem. Będzie szybsza. Popelniła rzecz karygodną, ale miała nadzieję pomóc w ten sposób swoim.

- Potrzynam go jeszcze - powiedziała i przytuliła szczeniaka do podbródka. Przez dłuższą chwilę głaskała miękką sierść.

- Ten, co na mnie szczeka, też jest gotowy - stwierdził darmistrz, wskazując stworzenie krążące u jej stóp. - Bierzymy go teraz?

Zerknęła na wskazanego szczeniaka. Psiak patrzył na nią z nadzieją i machał energicznie ogonem. To był ten ze szczególnie rozwiniętym węchem.

- Tak, nie będziemy czekać.

Gdy Myrrima przyjęła dar węchu, świat zupełnie się odmienił. Odkrył przed nią całkiem nowe oblicze.

Woń palonej sierści stała się tak silna, jak nigdy dotąd. Myrrima poczuła też zapach wosku ze świecy, tynku i mięty rozsypanej przed tygodniem na posadzce komnaty. Czuła nie tylko woń szczeniaka, ale nawet jego ciepło.

Pierwszy dar dodał jej sił i chęci życia, drugi sprawił, że świat otworzył się przed nią na nowo. Poczuła to szczególnie silnie, gdy wyszła z warowni.

Smród bijący ze stajni przyprawił ją niemal o zawrót głowy. Wonie pieczonej wołowiny dobiegające z dziedzińca Warowni Diuka sprawiły, że ślina napłynęła jej do ust.

Jednak największe wrażenie zrobili na niej ludzie. Zostawiwszy szczeniaki darmistrzowi, zeszła na dziedziniec do uczujących, gdzie jeszcze niedawno płonęły ogniska. Gaborn kazał je wygasić, żeby móc mówić otwarcie o planach wojny z Rajem Ahtenem.

Myrrima krążyła w ciemności pomiędzy żołnierzami. Wielu siedziało ze skrzyżowanymi nogami na ziemi i jadło, inni ułożyli się na kocach. Każdy roztaczał wkoło niepowtarzalny zestaw zapachów: naoliwiony metal zbroi, tłustawa wełna, błoto, koński pot, przyprawy, płamy od jedzenia, mydło, krew, mocz...

Każdy z tych zapachów wyczuwała sto razy silniej niż jeszcze przed godziną. Wiele było zupełnie nowych, gdyż ludzki nos ich nie rozpoznawał: woń kościanych guzików, barwników w tkaninach i skórzanych zapieć. Odkryła, że ciemne włosy pachną inaczej niż jasne, a skóra rąk zachowuje wonie potraw, które ktoś jadł poprzedniego dnia. Czekają ją wiele nowych doznań; ludzie wydali się jej nagle o wiele bardziej interesujący niż wcześniej.

Teraz jestem wilczycą, pomyślała. Chodzę przez tłum, a nikt nie wie, że jestem inna. Byłam ślepa, teraz widzę. Byłam ślepa tak jak ci wkoło mnie.

Przy odrobinie wysiłku mogła nauczyć się odróżniać konkretne osoby po ich zapachu. Będzie mogła potem tropić je lub rozpoznawać w ciemności. Dawało jej to zupełnie nowe poczucie władzy. Czuła się teraz o wiele mniej bezbronna niż w chwili, gdy wyruszała na wojnę.

Wspięła się po ciemku na wieżę ponad Warownią Diuka i spojrzała na równinę.

Bardzo chciałaby opowiedzieć komuś o nowych doznaniach. Pomyślała o wędrującym przez krainy Południa Borensonie.

Odjechał tak daleko. Bała się o niego. Na dziedzińcu rycerze, którzy dzięki darom nie potrzebowali snu albo też nazbyt byli pobudzeni, żeby zasnąć, zaintonowali pieśń wojenną. Przrzekali w niej, że zroszą ziemię krwią pokonanych wrogów.

Noc była zimna. Myrrima zatęskniła za objęciami Borensona. Położyła prawą dłoń na łonie i łapiąc zapachy niesione przez wiatr, stanęła na blankach, by poczekać, aż wszędzie księżyc.

ZBIERAJĄ SIĘ KRUKI I WRONY

Roland wspinał się po kręconych schodach ociekającej wilgocią baszty. Mgła była tak gęsta, że zdawała się dławić płomień pochodni. Roland wciąż szukał wież numer pięćdziesiąt jeden i pięćdziesiąt dwa i zdawało mu się, że krąży po okrytych oparem murach już długie godziny.

Po godzinie trafił wreszcie do zbrojowni, gdzie dowiedział się, że tysiące chętnych zjawili się tam przed nim. Nie dostał kolczugi na swoją miarę, nie było nawet żadnego starego pancerza z wyprawionej na twardo skóry. Musiał się zadowolić małą tarczą ze szpikulcem na umbie całkiem niepoważnym mieczykiem i skórzanym hełmem.

Mury Carris wyrastały na dwadzieścia pięter ponad równinę. Miasto było olbrzymie i bardzo stare. W dawnych czasach diuk władający tym państwem zapragnął związku z księżniczką z Muttayi, ale gdy przyszła żona jechała Przełęczą Gołębią, jej muł stracił w pewnym zdradliwym miejscu oparcie dla kopyt i runął z nią w przepaść.

Król Muttayi był doświadczonym władcą i wiedział, co godzi się czynić. Odczekał rok żałoby, a potem wysłał w zastępstwie młodszą siostrę księżniczki.

Jednak przez ten rok diuk zapalał uczuciem do ciemnookiej damy z Seward. Ożenił się z nią, zanim kolejna naręczona przebyła góry. Gdy w końcu się zjawiła, diuk odesłał ją do domu.

Niektórzy jego doradcy utrzymywali potem, że nie wiedział on nic o mającej przyjechać księżniczce i niezręczność wynikała z jego nieznajomości zwyczajów Muttayi. Jednak większość

historyków z Domu Zrozumienia była pewna, że diuk szukał po prostu wymówki i świetnie wiedział, co czyni.

Odprawienie córki wielce wzburzyło króla Muttayi. Miał nadzieję zjednoczyć oba państwa i wydał majątek na posag. Poczul się oszukany, poszedł więc do kaifów swojej krainy i spytał ich, co robić.

Kaifowie odparli, że zgodnie z pradawnym prawem każdy winien kradzieży musi wynagrodzić po trzykroć stratę, którą spowodował. Jeśli tego nie uczyni, powinien stracić prawą dłoń.

I tak król Muttayi znowu wysłał swą ciemnoskórą córkę (i trzech kaifów) za góry, by przedstawili diukowi trzy wyjścia. Mógł wziąć księżniczkę za kolejną żonę i tak zmienić treść wcześniejszego ślubowania, by druga kobieta w jego domu zyskała mimo wszystko status pierwszej żony. Zdaniem króla było to najlepsze i jedyne rozsądne rozwiązanie.

Mógł też zapłacić sumę będącą trzykrotnością wartości posagu, co starczyłoby za przeprosiny, albo też przesłać do Muttayi swoją prawą dłoń, przyznając, że popełnił kradzież.

Sprawa była poważna. Żaden władca Rofehavanu nie śmiałby brać dwóch żon. Diukowi nie godziło się też odsuwać od siebie prawowitej małżonki, która na dodatek była już brzemienna. Nie miał również pieniędzy, aby zapłacić żadaną kwotę. Jednak tego samego popołudnia zdarzyło się, że jeden z młodych gwardzistów diuka stracił dłoń podczas pechowego pojedynku.

Dla zachowania pozorów przed kaifami diuk wezwał do siebie kata. Potem kazał sobie owinać rękę bandażami, jakby naprawdę się okaleczył. W końcu nałożył na dłoń gwardzisty swój sygnet i przekazał ją posłom.

Jego czyn zdumiał i zasmucił kaifów, którzy byli prawie pewni, że albo diuk poślubi piękną i młodą księżniczkę, albo sięgnie do skarbcza. Miast tego przyszło im wracać do Muttayi z obcięta dłonią i niczym więcej.

Król uznał sprawę za zamkniętą, ale oszustwo utrzymało się tylko dwa lata.

Pewnego dnia kupiec z Muttayi spotkał diuka w Tide i zdumiał się niebotycznie widokiem cudownie odrośniętej dłoni. Wynikła z tego wojna zwana Wojną Pięknych Pań. Chodziło oczywiście o księżniczkę i damę z Seward.

Trwała trzysta lat. Czasem przygasała na okres jednego pokolenia, po czym wybuchała z nową siłą. Tuzin razy królowie Muttayi zajmowali zachodnią Mysterrię i zakładali tam własne osiedla. Potem zbierało się pospolite ruszenie i wyrzucało ich stamtąd, parokrotnie dochodziło też do interwencji połączonych wojsk władców Rofehavanu.

Obie strony budowały tam wciąż nowe zamki, które niezmiennie popadały po paru albo parunastu latach w ruinę. W końcu cała kraina zaczęła być zwana od tych gruzowisk Ruiną.

A potem pojawił się lord Carris. Powstrzymując wrogie wojska, przez czterdzieści lat wznosił wielkie warowne miasto, którego wojska Muttayi nigdy nie zdołały zdobyć.

Lord Carris zmarł spokojnie we śnie, dożywszy stu czterech lat. Przez trzy ostatnie wieki żaden okoliczny władca nie miał tyle szczęścia.

Wszystko to zdarzyło się niemal dwa tysiące lat temu, a Carris ciągle stało i było największą fortecą i gwarancją bezpieczeństwa zachodniej Mysterrii.

Mury obronne obejmowały całą wyspę wśród toni jeziora Donnestgree, tak że dotrzeć do nich można było niemal wyłącznie łodzią. Muttaya była królestwem lądowym i jej mieszkańcy nie czuli się dobrze na wodzie, chociaż gdyby nawet tak było, niewiele by to im pomogło. Mury wyrastały prosto z jeziora na sto stóp. Zostały na dodatek otynkowane, by nie dało się w nich znaleźć najmniejszych nawet uchwyty dla dłoni.

Liczne otwory strzelnicze i machikuły na koronie murów pozwalały zasypywać atakujących strzałami i kamieniami zdolnymi zatopić podpływające łodzie. Do tych zadań nie trzeba było rycerzy z darami, dzięki czemu mury można było obsadzić zwykłymi żołnierzami.

Jeśli ktoś nabrałby jednak chęci na zdobycie Carris, miał do wyboru trzy sposoby. Mógł wysłać do miasta dość szpiegów, by opanowali je od wewnątrz, mógł je trzymać w długotrwałym oblężeniu, albo spróbować frontalnego ataku w nadziei, że zdoła wdrzeć się przez trzy kolejne barbakany do wnętrza fortecy.

W całej swej historii Carris upadło tylko cztery razy. W Rofehavanie było wiele warownych miast o grubszych albo wyższych murach, zamków lepiej wyposażonych w balisty i katapulty, ale niewiele równie korzystnie posadowiono.

Roland dotarł na ósmą kondygnację wieży, gdzie strażnik zgrzytnął kluczem i wpuścił go na ostatni fragment schodów, który wiódł na sam szczyt.

Oczekiwał, że mgła będzie na górze równie gęsta i że straci kolejne godziny, szukając wyznaczonego mu posterunku. Jednak okazało się, że tuman zrzedł. Roland ujrzał nawet ostatnie promienie zachodzącego nad wzgórzami słońca.

Wszedł na koronę muru, gdzie musiał torować sobie drogę między żołnierzami. Pod blankami piętrzyły się stosy kamieni i strzał. Tu i ówdzie spali pod cienkimi kocami pospiesznie uzbrojeni wieśniacy.

Roland mijał wieżę za wieżą, aż dotarł do Baszty Piekarskiej, z której unosił się słodki zapach jęczmiennego chleba. Było tu tak ciepło, że na szczycie stłoczyło się szczególnie dużo śpiących. Mimo wieczornego chłodu nie potrzebowali wcale okryć.

Nie sposób było precyzyjnie się między nimi, Roland przeszedł zatem po ludzkich ciałach, puszczając mimo uszu ścigające go krzyki i przekleństwa.

Nieco dalej trafił na posilających się wieśniaków. Mieli pieczone jagnięta, bochny chleba i młody jabłecznik. Dzielili się tym wszystkim z innymi obrońcami. Roland bardzo się starał, by nie poprzewracać im kubków, nie wejść na talerze. Po drodze złapał bochen chleba, rozdarł go na dwoje i przełożył porcją jagnięciny.

Wiatr wiał coraz silniejszy, po niebie krążyły spoglądające łakomie najedzenie Rolanda mewy. Zrobiło się tak zimno, że zatęsknił za oddanym zielonej kobiecie futrem.

Zastanowił się, gdzie ona może teraz być i co porabia. I czy Averan radzi sobie jakoś w tę chłodną noc.

Wreszcie znalazł swoje stanowisko na południowym odcinku murów, a przy tym również barona Poiła. Zresztą nietrudno było go dostrzec. Potężny mąż siedział na występie blanków z nogami zwieszonymi na zewnątrz i prezentował się jak osobliwy gargulec. Tuż pod stopami barona snuły się pasma mgły, a wszędzie wkoło krążyły kruki, wrony i gołębie.

Roland nigdy nie poważyłby się na coś podobnego. Tak się bał wysokości, że już sam widok przyjaciela siedzącego nad przepaścią przyprawiał go o żywsze bicie serca.

Gdy Roland zbliżył się do niego, baron spojrział nań kątem oka i wyraźnie pojaśniał na twarzy.

- Rolandzie, przyjacielu! - rzucił z radosnym uśmiechem. - Jednak żyjesz! A już się obawiałem, że ci barbarzyńcy przerobili ci czerep na kielich!

- Jakoś im nie wyszło. - Roland skrzywił się. - A prawie mnie mieli. Ale widać mam dla nich za mały łeb. Zostawili mnie w lesie zaraz po tym, jak zgubili twój ślad.

- No to gdzie podziewałeś się przez cały dzień?

- Błądziłem we mgle.

Baron spojrział na kłębiący się pod jego nogami opar i splunął za mur.

- Racja. Własnego fajfusa przy sikaniu nie widać. Ja dojechałem jakoś do zamku, ale pół życia tu spędziłem i znam ścieżki.

Roland stanął obok barona i przyjrzał się ptakom.

- Popatrz tylko na nie. Krążą, jakby nie miały gdzie wylądować - powiedział.

- To kruki i wrony - stwierdził Poll. Te czarne ptaszyska zawsze wiedziały, gdzie szukać pokarmu. Wyczuwały nadchodzącą bitwę.

Baron obejrzał się przez ramię na wieżę centralnej fortecy, od której wyżej wyrastała w mieście tylko wieża Warowni Diuka. W gnieździe graaka obozowały obecnie dziesiątki sępów.

Roland wpatrywał się w dywan mgły i zastanawiał się, jakim cudem tak cienka jej warstwa może być równie gęsta. Ułożył tarczę między zębami krenelażu, by posłużyła za talerz, położył na niej chleb z mięsem, obok postawił kubek i wziął się do jedzenia. Kolejne kęsy przełykał z narastającym poczuciem winy: pamiętał, jak rano Averan skarżyła się na głód, i przypuszczał, że wieczorem nie miała szansy poczuć się choć trochę lepiej. Jego własny żołądek skurczył się podczas wędrówki przez mgłę. Całkiem zapomniał o tych orzechach, które zerwał dla dziewczynki. Teraz dopiero sięgnął do kieszeni i wyłożył je na tarczę.

Krajobraz wokół ciemniał z wolna, jednak wciąż widać było pełzające po ziemi błękitnawe chmury podchodzące z wolna pod miasto. Teraz już nie trzy, ale pięć. Najbliższa była odległa o pół mili.

- A co tu się działo? - spytał barona.

- Dobrego niewiele. Resztę sam widzisz. Te tumany mgły wędrowały przez cały dzień w tę i nazad, ani razu się nie zatrzymały. Krążą zupełnie jak strażnicy na koronie muru, tyle że czasem zbliżają się do granicy naszej mgły, a potem się cofają. Myślę, że to grasanci wysłani na wypadek, gdyby Paldane jednak spróbował uderzyć.

- A jeśli w tej ich mgle nie ma żadnego wojska, tylko tkacze płomieni, a żołnierze Raja Ahtena doszli już na sto jardów do miasta?

- Może być i tak - mruknął baron. - Niecałą godzinę temu słyszałem psy szczekające we mgle. Raj Ahten wziął pewnie jakieś ogary. Gdybyś usłyszał, że coś dyszy albo chrząka, wspinając się po murze, to bez zastanowienia poczęstuj to kamieniem. Ale te mury są chyba za gładkie nawet dla Niezwycięzonych.

Roland odmruknął mu, nie przerywając jedzenia. Odrywał kęsy mięsa i dopychał chlebem. Jabłecznik zostawił na koniec.

- To prawda, co mówią o Błękitnej Wieży? - spytał po dłuższej chwili.

Baron pokiwał ponuro głową.

- Prawda. Na tych murach tylko co dziesiąty jest teraz coś wart. Albo i gorzej.

- A ty?

- Ja? Moi darczyńcy są gdzie indziej. Schowani, że lepiej nie sposób. Ciągłe mogą jeść kamienie na śniadanie, choćbym potem miał przez tydzień srać piaskiem.

Dobre i to, pomyślał Roland. Chociaż baron nie miał żadnego daru metabolizmu, silny był i zwinny jak prawdziwy wojownik. Nie dorównywał Niezwycięzonym, ale w razie czego zawsze lepiej mieć przy sobie pół rycerza niż żadnego.

- Czego my tu właściwie bronimy? - spytał Roland, wpatrując się we mgłę. Niezbyt pojmował, w jakim celu usadzono go na murze, po którym i tak nikt nie zdołałby wejść. Może z wyjątkiem żab nadrzewnych.

- W gruncie rzeczy niczego - odparł baron. - Przystanie dla łodzi są po drugiej stronie, bardziej na północ. Raj Ahten może spróbować wdrzeć się tamtędy, ale tutaj nie ma nic.

Roland przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu obok barona. Zimny wiatr zmienił kierunek, teraz wiał ze wschodu. Magiczna mgła zaczęła odpływać na zachód. Niczym długi, poszukujący palec sięgnęła w głąb równiny.

Ten sam wiatr poruszył tumany skrywające Niezwycięzonych Raja Ahtena. Pierwsze sylwetki wrogów wychyły na światło wieczoru i ludzie na murach zaczęli szemrać.

Przed frontem mgły pokazała się para olbrzymów. Mieli po dwadzieścia stóp i nosili wielkie, mosiężne tarcze.

Roland nie widział ich oczywiście zbyt dobrze z tej odległości. Na parę mil nawet olbrzym wydawał mu się drobny, ale inni krzyczeli, że dostrzegają i psy, i Niezwycięzonych skrytych pośród drzew. Jemu nie udawało się wypatrzyć nic mniejszego od tych olbrzymów.

Nie przypominali wcale ludzi, w każdym razie nie bardziej niż kot czy krowa. Mieli złociste, skudłone na ramionach futra, nozdrza większe niż u konia, długie rzędy ostrych zębów i małe, krągłe uszy, które przylegały ciasno do czaszek. Prócz tarcz nosili jeszcze ciemne kolczugi i obwieszane małymi tarczkami pasy. W łapach dzwigali wielkie, okute żelazem kłody, które służyły im za maczugi. Rolandowi najbardziej kojarzyli się z wyrosniętymi szczurami albo fretami. Tyle że uzbrojonymi i odzianymi w pancerze.

W ostatnich promieniach dnia widać było, jak poruszają nozdrzami i spoglądają tęsknie ku zamkowi Carris. Jeden z nich otworzył gębę, a chwilę później dobiegł z oddali jego ryk. Roland pomyślał, że stwory są zapewne głodne i marzy im się ludzkie mięso.

Skończył jeść i przypasał tarczę na plecach, by choć trochę chroniła go przed podmuchami wiatru. Zmarł już solidnie. W miarę jak robiło się ciemno, we mgle na zachodzie rozjarzały się czerwone światła. Ktoś rozpalał tam ogień. Wielki ogień.

- To może być wioska. Albo Zasadzka Gowensa, albo Settekim - mruknął przygnębiony baron.

Roland nie pojmował, po co żołnierze Raja Ahtena mieliby podpalać wioskę, ale inni jakoś się nie dziwili. Było wiadomo, że tkacze płomieni muszą poświęcić coś żywiołowi, któremu służą. Rolanda zbyt wiele to nie obchodziło, po prawdzie żałował nawet, że ogień jest tak daleko i że nie może ogrzać przy nim dłoni.

Po zapadnięciu nocy czerwony kur ogarnął także wioski na północy i na południu. Na zachodzie ogień rozpełzł się po polach. Wyglądało na to, że tkacze płomieni postanowili spustoszyć całą dolinę.

Ze wschodniego brzegu jeziora uniósł się balon zwiadowczy w kształcie graaka. Ciemny, lecz widoczny na tle gwiazd, przeleciał nad miastem tak wysoko, że nikt nie miał szans dosięgnąć go nawet z najpotężniejszego łuku. Wiatr był silny, toteż niebawem wylądował około kilka mil dalej na zachód.

- Coś szykują! - przeszło po szeregach. - Miejcie oczy otwarte! obrońcy miasta słyszeli, że na północy Raj Ahten pozwolił swoim tkaczom płomieni zniszczyć doszczętnie zamek Longmot. Podobno wezwali na pomoc potwory, które spopielili swoim oddechem tysiące ludzi.

W Carris to nie przejdzie, dowodzili ci i owi. Carris otoczone jest wodą, podczas gdy Longmot miał za całą ochronę tylko wryte nad bramą runy.

Niemniej pełen obecnie żołądek Rolanda ścisnął się niepokojąco. Kto wie, co naprawdę potrafią tkacze płomieni? Może palili osady, by przygotować jakieś potężne zaklęcie, przed którym żaden wodny czarnoksiężnik nas nie obroni?

Jednak przez następnych kilka godzin, podczas których stał w dojmującym chłdzie, nic więcej się nie zdarzyło, tyle że ognie na polach i wzgórzach ciągle płonęły i jakoś nie chciały zgasnąć, a balon przeleciał nad miastem jeszcze dwa razy. Ludzie na murach czuwali, opowiadali sobie różne historie, śpiewali, aż całe to nocne czuwanie upodobniło się poniekąd do towarzyskiego przyjęcia.

Podczas trzeciego przelotu balonu Roland siedział już tylko skulony za baronem, trząsał się z zimna i marzył o jakimkolwiek okryciu. Wobec bliskości tkaczy płomieni Paldane zabronił rozpalania ognia na murach, by czarownicy nie mogli wykorzystać go przeciwko obrońcom.

Baron obserwował od niechcenia przekłety balon.

- Też mi wojaczka - prychnął. - Równie dobrze możesz iść spać. Zbudzę cię, gdyby coś się działo.

Drżący Roland położył się na kamieniach i zamknął oczy. Gotów był zasnąć mimo zimna.

Rzeczywiście udało mu się zdrzemnąć, chociaż co pewien czas budziło go albo wycie wiatru, albo przypadkowy kopniak wymierzony przez kogoś wędrującego w ciemności. Przy kolejnej podobnej okazji usłyszał kogoś uderzającego w struny lutni i podśpiewującego przy tym jakąś wesołą balladę.

Na wpeł śpiący nastawił ucha. Pieśń opowiadała o sporze pomiędzy dwoma mężami z Gwardii Królewskiej, którzy co rusz wymyślali nowe sposoby, żeby sobie dokuczyć.

Było tam coś o młodym giermku, który umówił się z dziewczyną nad stawem o wieczorze, ale jego prześladowca zwiedził się o tym i znalazł mu zajęcie w koszarach. Potem sam poszedł nad staw pod osłoną ciemności... Nagle Roland usłyszał imię jednego z bohaterów i momentalnie się dobudził.

Aż giermek nadszedł, by przyłapać sir Polla,
który wcale nie rybki łowił tak z wieczora
ale dziewczkę chciał podejść i wybałamucić,
tyle że go giermek nagle jak nie wrzuci
prosto do wody, aż klasnęło dupsko.
Uhu, didli-didli-do, a tak ładnie wszystko szło!

Teraz dopiero pojął, że sporo musiał opuścić, gdyż w następnej zwrotce giermek Borenson skoczył do stawu i zaczął ścigać barona Poila, tyle że bez poważniejszego skutku, bo „więcej było tam kwakania niż samego polowania”. W końcu jednak osaczył „podłego” prześladowcę i „zaraz wziął się do patroszenia, bo to zawsze człowieka zmienia”.

Niemniej przemieszkująca w stawie topielica „wykurowała potem jak trzeba barona i kazała się przedstawiać jako jego żona”. Każda zwrotka ballady kończyła się chóralnie odśpiewywanym refrenem „Uhu, didli-didli-do, a tak ładnie wszystko szło!”

Roland zerknął na barona, by wy badać jego reakcję. Starszy rycerz przyjmował opowiastkę ze stoickim spokojem. Koniec końców i tak nie mógł nic poradzić. Bardowie byli ludowymi historykami, jeśli śpiewali czasem o żywych osobach, musieli mieć na to zgodę króla. Skoro ta ballada zyskała jego akceptację, można było przypuszczać, że czyny Poila i Borensona zniesmaczyły jego wysokość dość, by uznał za stosowne ukarać ich obu bardowskim obśmianiem.

Roland żałował, że nie obudził się wcześniej i nie słyszał całej ballady. Baron uprzedzał go kiedyś, że i tak usłyszy jego historię z ust bardów, młodzieniec jednak nie wziął tego poważnie. Do pieśni trafiali zazwyczaj tylko najbardziej znienawidzeni wrogowie korony.

Chwilę potem pomyślał jeszcze, że teraz opowieść splotła się z jego życiem i może pewnego dnia jakiś bard ułoży kilka wersów również o nim.

W końcu chłód dokuczył mu na tyle, że postanowił ruszyć do Baszty Piekarzy, która nawet z daleka pachniała ciągle świeżym chlebem. Tymczasem jednak zgromadziła się tam cała masa podobnie zmarzniętego luda i nie było już gdzie szpilki wetknąć. Roland z konieczności wrócił do barona.

- Nie możesz znaleźć ciepłego kąta, by sobie pospać? - spytał Poll.

Roland był zbyt zmęczony, żeby odpowiedzieć, i tylko pokiwał głową.

- Wiem już, co zrobimy - rzucił baron i zaprowadził Rolanda z powrotem do Baszty Piekarzy. - Wstawać, lenie! - rozdarł się na całe gardło. - Wracać na posterunki, psy gnuśne, bo jak nie, to zrzucę was rybom na śniadanie!

Rozdawszy kilka niezbyt dotkliwych kopniaków, w parę chwil spędził ze szczytu wieży kilkudziesięciu zaspalców. Potem skłonił się Rolandowi i niczym szambelan zaprosił go płynnym ruchem ręki do środka.

- Posłanie gotowe, panie. Roland uśmiechnął się na tę sztukę.

Ułożył się tuż przy kominie. Wciąż szczełakał zębami i z początku zdawało mu się, że nie wytrzyma tego gorąca. Baron wrócił na posterunek, a wkoło Rolanda zaczęły układać się cichcem wracające z wygnania śpiochy.

Młodzieniec leżał, czekając, aż rozgrzeje się na tyle, by naprawdę zasnąć, jednak pół godziny później ktoś krzyknął, że płonie miasto na południu. Roland uniósł głowę. Oczy

stojących wkoło jaśniały od odbitego blasku płomieni. Zbyt zmęczony, by się dźwigać, pomyślał, że nawet jeśli ogień runie nawałą na zamek, to tutaj, pod osłoną kamieni, i tak będzie najbezpieczniejszy.

Chwilę potem usłyszał przeciągły, głuchy łomot. Mury miasta zadrżały, wieża się zakołysała. Ludzie krzyknęli z przerażenia. Wiedzieli, że Raj Ahten zburzył Longmot, Tal Rimmon i inne fortece samą potęgą swojego głosu, i pomyśleli, że to samo stanie się zaraz z Carris.

Niemniej łomot ucichł po chwili, a Carris ciągle stało. Roland odetchnął z ulgą, ale jego spokój nie trwał długo. Ludzie na murach podnieśli krzyk: „Zamek Treversworthy legł w gruzach!”, „Raj Ahten nadchodzi!”

Roland pozbiierał się i spojrzał tam gdzie wszyscy. Cztery mile na południe gorzał wielki pożar. Zamek Treversworthy stał na wzgórzu i był niemal tak wysoki jak mury Carris. Nie został obsadzony. Roland widział go już wcześniej, trudno było nie zauważyć mrocznej sylwetki wyrastającej wysoko ponad mgłę. Teraz zbocza wzgórza zmieniły się w płomieniste piekło, wielkie chmury czarnego dymu ulatywały w noc.

W blasku pożaru Roland ujrzał, co zostało z fortecy: stos kamieni, kilka kikutów wież i parę fragmentów murów. Pył jeszcze nie opadł. Gdy patrzył, kolejna baszta pochyliła się niczym pijana i runęła na gruzowisko.

To nie Carris było celem ataku. Jeszcze nie tym razem. Roland pobiegł z powrotem na swój posterunek.

- Widziałeś? - zagadnął go baron. - W końcu pogroził nam palcem.

- Że jak?

- Pomyśl. Wojsko Raja Ahtena przeszło przez ostatnie dwa tygodnie jakieś tysiąc osiemset mil. Wilk wie, że nie da rady pogonić ich dalej. - Baron splunął za mur. - Potrzebuje więc przytulnego miejsca, by przechować się kilka miesięcy. W Mystarrii nie znajdziesz lepszego schronienia niż Carris.

- Chce zdobyć miasto?

- Jasne! Gdyby chciał zburzyć mury, już by to zrobił. Zapamiętaj sobie: nim minie godzina, przedstawi nam warunki kapitulacji.

- Paldane je przyjmie? - spytał Roland. - Mówił mi, że rano zacznie się walka.

- Jeśli nie podda miasta, to nastaw uszu. Jak usłyszysz gromowy krzyk Raja Ahtena, skacz z muru do wody. Odbij się mocno, żeby spaść jak najdalej od brzegu. Jeśli mur się zawali, nie spadnie ci wtedy na głowę, a jeśli nie utoniesz, to może uda ci się ująć z życiem.

Rolandowi mowę odjęło.

Godzina wlekła się bez końca, aż niebo na wschodzie zaczęło blednąć. Nadciągał zimny świt. Roland nie widział, jak Raj Ahten podchodzi pod miasto, ale dojrzał skutki działalności jego tkaczy płomieni.

Coś zajaśniało potężnie pod osłoną mgły, jakby ktoś podpalił wielki stos, tyle że ten blask wędrował krok za krokiem na południe. Słychać było też skrzypienie upręży, czasem uderzenie tarczą o napierśnik, kaszel lub warczenie psa.

Armia Wilka podchodziła pod miasto bez entuzjazmu, wręcz nieufnie. Obrońcy przywitali ją niemal tak samo. Paldane wraz z grupą doradców wspinał się tymczasem po schodach wiodących do wartowni nad bramą. Gdy dotarli na górę, skąd można było spojrzeć ponad mgłą, diuk rozkazał głośno łucznikom i obsłudze machin miotających, by wycelowali broń we wroga.

Jednak Raj Ahten nie posunął się dalej niż do początku grobli. Roland oczekiwał, że Paldane nakaze w tej chwili strzelać, jednak nic takiego się nie stało, za to blask otaczający Wilka zaczął potężnieć, aż mogło się wydawać, że to słońce spadło nagle na ziemię i rozprasza opalowe mgły. Roland uniósł dłoń, by przesłonić oczy. Magiczny opar zniknął na setki jardów wkoło.

Na końcu grobli widać było Raja Ahtena siedzącego na grzbiecie siwego, królewskiego rumaka. Obok niego stali tkacze płomieni, dwie nagie postacie spowite w migotliwy blask, bardziej kolumny żywego ognia niż ludzie.

Wilk miał na sobie prosty hełm piechura i płaszcz ze złotogłowi, spod którego wyglądała czarna karacena. Wyglądał na zmęczonego i ponurego.

Rolandowi oddech przyspieszył, serce zaczęło łomotać w piersi. Raj Ahten był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego zdarzyło mu się widzieć. Był wspanialszy, niż można to było sobie wyobrazić. I inny, niż Roland oczekiwał. Nie przypominał okrutnego i śmiertelnie groźnego potwora. Zdawał się ucieleśniać wszystko, co Roland pragnął widzieć we władcy. Śmiały i dumny, potężny, ale zdolny do ludzkich gestów.

Gdyby tylko otworzył usta, mógłby zburzyć Carris, jak uczynił to w ciągu minionych tygodni z wieloma innymi miastami i fortecami. Jeśli zamierza mnie zabić, pomyślał Roland, niech uczyni to teraz. Niech to się skończy.

Nikt z murów nie strzelił do Wilka.

Za Rajem Ahtenem stała jego armia. Roland widział tylko pierwsze szeregi, które wyszły poza obszar mgły. Dwie dziesiątki mrocznych olbrzymów tkwiły za swoim panem niczym żywy mur. U ich stóp przysiadły mastiffy w czerwonych maskach. Dalej widniały formacje Niezwycięzonych, wielkich mężów w czarnych zbrojach. Ich okrągłe mosiężne tarcze odbijały blask bijący od tkaczy płomieni i wyglądały niczym setki rozpalonych, żółtych oczu.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Jeśli chcesz walczyć, to chodź! - zawołał w końcu zdecydowanym głosem diuk Paldane.
- Jeśli jednak myślisz, że znajdziesz w Carris schronienie, to srodze się pomyliłeś. Nie poddamy się za żadną cenę!

SNY ZIEMI

Ledwie Gaborn doszedł na górę, potknął się w ciemności i upadł na podłogę.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek zdarzyło mu się coś podobnego. Już w dzieciństwie otrzymał od pewnej tancerki dar zręczności, który sprawił, że jego ruchy stały się zgrabniejsze, i wzmocnił poczucie równowagi. Potrafił wyjść bez szwanku z każdego upadku. Potem dostał jeszcze wspomagający mięśnie dar krzepy, dar sił życiowych, pozwalający mu pracować nieustrudzenie dzień i noc, oraz dar wzroku, dzięki któremu najgłębsza ciemność przestała być nieprzenikniona. Na koniec udzielono mu jeszcze daru rozumu, dzięki któremu znał na pamięć każdy stopień i występ w całym zamku.

Wstał z trudem i poszedł do użyczonej przez Grovermana sypialni. U szczytu schodów powiedział dobranoc swojemu Dziennikowi i już chciał wejść do komnaty, gdy ujrzał śpiącego na progu chłopca. Nie miał pojęcia, czyj to sługa. Może Grovermana? Ale nawet jeśli, to dlaczego śpi tutaj? Gaborn przeszedł nad nim ostrożnie.

Ku swemu zdziwieniu w środku zastał Iomę. Spała w otoczeniu pięciu szczeniaków. Jeden spojrzał na niego i szczechnął piskliwie. Obok umywalni płonęła samotna świeczka. Do wody w misce wrzucono płatki róży, na krzesle leżało świeże ubranie. Pokój pachniał mile pieczoną wołowiną - na stole stał srebrny talerz z kawałem mięsiwa. W palenisku pełgał niewielki ogienek.

Młody król ogarnął wnętrze spojrzeniem i dojrzał w tym rękę Jureema. Żaden inny sługa tak się o niego nie troszczył. Korpulentny przybysz z Południa zawsze był gdzieś w pobliżu, chociaż rzadko rzucał się w oczy.

Gaborn nie miał dotąd zbyt wiele czasu, by porozmawiać z Iomą. Chociaż szepnęła mu, że nie wygląda najlepiej, sama też nie przypominała wypoczętej. Dobrze, że usnęła. Potrzebowała tego. Za dwie godziny mieli wyruszyć do Fleeds.

Nie trudził się zdejmowaniem brudnej kolczugi i ubrania, tylko położył się w nich obok żony.

Obróciła się ku niemu, położyła mu dłoń na szyi i obudziła się.

- Kochany - szepnęła. - Czas jechać?

- Jeszcze nie. Odpoczywaj. Mamy dwie godziny.

Ioma jednak nie zamierzała już spać. Wsparła się na łokciu i spojrzała uważnie na męża. Wciąż była blada. Gaborn zamknął oczy.

- Słyszałam o Błękitnej Wieży - powiedziała. - Nie wyśpisz się przez dwie godziny.

Musisz przyjąć kilka darów - dodała z lekkim wahaniem. Wiedziała, jak bardzo Gaborn nie lubi odbierać ich ludziom.

Pokręcił głową.

- Wiąże mnie ślubowanie - jęknął. - Czy nie składałem go tobie? To nie było pytanie retoryczne. Stracił dwa dary rozumu i sporo zapomniał. Potrafił odtworzyć tę chwilę, gdy stał na wieży w zamku Sylvarresta i patrzył na siły Raja Ahtena grupujące się na wzgórzach na południe od miasta, jednak sama chwila ślubowania zachowała się tylko w urywkach. W gruncie rzeczy nie był pewien, co wtedy mówił.

Obawiał się rozmawiać z Iomą. Nie śmiał przyznać, że nie pamięta, jak poprosił ją o rękę, że nie pamięta twarzy swojej matki oraz tysięcy innych zjawisk i zdarzeń.

- Składałeś - powiedziała Ioma. - I pamiętam, jak dowodziłeś, że nie należy brać zbyt wielu darów. Jednak ślubowanie zezwala na przyjęcie daru... w pewnym szczególnym wypadku. Dałabym ci moje szczeniaki, ale one nie przywiążą się do ciebie tak od razu. Tymczasem twój lud potrzebuje cię silnego i zdrowego.

Gaborn spojrzał na nią uważnie.

- Musisz przyjąć parę darów, kochany - powtórzyła Ioma. - Nie możesz tak całkiem ich odrzucić.

Gaborna uczono kiedyś, że władca o wielkiej sile życiowej może tym wytrwalej służyć swojemu ludowi. Silny będzie lepiej go bronił. Właściwie użyty dar jest wielkim dobrem, słyszał.

Jednak mimo to ciągle uważał, że przyjmowanie darów jest naganne.

Między innymi dlatego, że narażało darczyńców na wiele niebezpieczeństw. Ktoś, kto oddał krzepę, mógł tak osłabnąć, że jego serce przestałoby bić. Inny, oddając rozum, mógł zapomnieć nawet, jak jeść czy chodzić. Osoba bez sił życiowych była podatna na wszelkie choroby. Nie miało natomiast groźnych konsekwencji oddanie „pomniejszych” darów, jak metabolizm, słuch, węch, wzrok czy dotyk.

Ponadto darczyńcy często stawali się celem skrytobójczych zamachów. Gaborn widział kałuże krwi pozostałe w Warowni Darczyńców zamku Sylvarresta po wizycie Borensona.

Czuł się zagubiony. Pamiętał, co wyczytał w książeczce emira Tuulistanu. Sekretne nauki z Komnaty Snów głosiły, że człowiek posiada pewne dobra z przyrodzenia. Te dobra to ciało, rodzina oraz imię. I zapewne nie tylko. Chociaż emir nic o tym nie wspomniał, krzepa czy siły życiowe również zaliczały się przecież do tych dóbr.

Odbierając je komuś, czasem na wiele lat życia obdarowanego, a czasem na zawsze, naruszało się jego domenę. Gwałciło jego prywatność. Gaborn uważał, że to jest złe. Na wskroś złe.

Chociaż nie śmiał przyznać tego głośno, poczuł wielką ulgę, gdy utracił dary. Od lat nic go tak nie podniosło na duchu. Po raz pierwszy poczuł, ile kosztuje oddanie daru. Teraz czuł się wolny. Wreszcie wyzbył się poczucia winy.

Po raz pierwszy w życiu był sobą. Owszem, smuciła go śmierć darczyńców i świadomość, że zginęli dla niego, był też słaby i zmęczony, ale teraz już nikogo nie krzywdził.

- Miałem nadzieję porzucić tę praktykę - powiedział. - Jestem Królem Ziemi i to powinno wystarczyć.

- Może by wystarczyło, gdybyś był sam na świecie, ale idąc do boju, nie narażasz wyłącznie swojego życia na szwank. Na szali waży się los nas wszystkich.

- Wiem.

- Masz dreny i masz lud. Możesz sięgnąć po władzę, jaką dają. Ta władza może służyć dobru. Ale może też służyć złu. Jeśli ty tego nie uczynisz, Raj Ahten nie poniecha okazji.

- Nie chcę.

- Musisz - stwierdziła Ioma. - Nie ma władzy bez poczucia winy.

Gaborn wiedział, że jego żona ma rację. W obecnym stanie nie mógł ryzykować podejmowania walki.

- Jutro, przed odjazdem, wezmę dary od moich szczeniaków - powiedziała Ioma. - Długo się wahałam, ale teraz nie poprzestanę tylko na nich! Musimy stawić czoło przyszłości. Przyjmę dość darów metabolizmu, by nie bać się walki.

Jakiej walki? przeraził się Gaborn. Gdyby chciała stać się równa Niezwyciężonym, musiałyby przyjąć z pięć darów metabolizmu, a wtedy zestarzałyby się i umarła w jakieś dziesięć lub dwanaście lat. To było jak powolnie działająca trucizna.

- Iomo! - zakrzyknął, nie wiedząc, jak wyrazić swój ból.

- Nie chcę się z tobą rozstawać - powiedziała. - Dołącz do mnie! Zestarzejmy się razem!

Oczywiście, to było jakieś rozwiązanie. Ludzie, którzy przyjęli wiele darów metabolizmu, natrafiali na wiele kłopotów w kontaktach z innymi, których czas płynął zwykłym trybem, i łatwo popadali w izolację.

Niemniej Ioma ciągle go zastanawiała. Wcześniej nie chciała przyjmować więcej darów niż on, możliwe więc, że ta nagła zmiana postawy była w gruncie rzeczy próbą wymuszenia na mężu, by się zламаł.

- Nie rób tego ze względu na mnie - powiedział. - Jeśli chcesz, żebym przyjął dary, uczynię to. Wiem, że muszę. Ale ty nie. Sam to zrobię.

Ioma ścisnęła mu dłoń i zamknęła oczy, jakby chciała dalej spać. Leżący za progiem chłopak poruszył się we śnie i uderzył nogą w drzwi.

- Co to za dzieciak? - spytał Gaborn, słysząc głucho łupnięcie.

- Zwykły chłopiec - powiedziała Ioma. - Przeszedł sto mil, żeby cię zobaczyć. Chciał, żebyś go wybrał, ale nie starczyło mu śmiałości i nie odezwał się, gdy mijales go wieczorem w sali. Powiedziałam mu więc, by zaczekał tu na ciebie. Myślę, że może przydać się w tutejszej psiarni.

- Dobrze.

- Dobrze? Nie wejrzysz mu w serce, nim go wybierzesz?

- Z tego, co słyszę, nie muszę - mruknął Gaborn, zbyt zmęczony, by wstawać teraz i wybierać chłopca. Nie miał też ochoty na dalszą rozmowę.

- Uratowaliśmy dziś wszystkich z Sylvarresty - powiedziała Ioma. - Wszystkich prócz sir Donnora.

- Wiem. Jureem mi wszystko opowiedział.

- Nie było łatwo... - dodała Ioma, niemal już przez sen.

Choć Gabornowi zamykały się oczy, skorzystał ze swoich zdolności, by sprawdzić, co robią w tej chwili jego poddani.

Sir Borenson dotarł do gór Heist i rozłożył się tam obozem. Chyba na krótko. Podobnie jak Gaborn, czekał na wschód księżyca. Dawało się wyczuć wkoło niego narastające zagrożenie. Rycerz jechał na spotkanie kłopotów.

Poza tym Gaborn musiał martwić się jeszcze o tych, którzy byli z nim. Wprawdzie wisząca nad nimi groźba zagłady rozproszyła się nieco po śmierci czarnego glory'ego, ale śmierć nadal deptała im po piętach. Wszystkim, co do jednego.

Owszem, ziemia nakazała Gabornowi ruszyć na południe, na wojnę. Dozwoliła mu szykować się do bitwy. Jednak z drugiej strony ostrzegła go, by czym prędzej nakazał swoim wybranym uciekać z Carris.

Gaborn dostrzegał w tym sprzeczność. Zarazem ucieczka i atak?

Zaczął się zastanawiać, czy ziemia nie zezwoliła mu na atak tylko dlatego, że sam tego pragnął. A może chciała od niego czegoś, czego nie rozumiał? Może ci ludzie mieli złożyć życie w ofierze dla sprawy, której nie pojmował? Czy prowadził ich na śmierć?

Może nie wszyscy zginą, pomyślał. Na pewno sporo ich polegnie w Carris. Może nawet większość. Niemniej ziemia na to dozwalała. Poprowadź ich do bitwy, powiadała. Wielu zginie.

Zdawało się, że klóci się to ze ślubowaniem, w którym Gaborn przyrzekał chronić wybranych.

Nikommu o tym nie wspomniał, ale młodemu Agunterowi pozwolił odjechać na północ przede wszystkim dlatego, że o niego bał się szczególnie.

Jakże mam uratować ich wszystkich?

Na schodach rozległo się ciężkie stąpanie okutych żelazem butów i chrzęst kolczugi. Jakiś rycerz wspinał się na górę. Gaborn sięgnął do niego myślą i upewnił się, że przybysz nie stanowi niebezpieczeństwa.

Ponieważ sypialnia władcy mieściła się na szczycie wieży i prócz niej nie było tu innych pomieszczeń, Gaborn wiedział, że rycerz idzie do niego. Czekał na stukanie do drzwi, ale tamten stał chwilę przed progiem, a potem usiadł i westchnął ciężko, opierając głowę o ścianę.

Nie śmiał przeszkadzać królowi.

Gaborn wstał z wysiłkiem, wziął świeczkę i otworzył drzwi. Najpierw spojrzał na kulawego chłopca i wniknął w jego serce. Jak wspomniła Ioma, chłopak był z gruntu dobry. Nie mógł się włączyć do wojennego wysiłku, nie umiał walczyć, nie potrafiłby nawet sam siebie obronić, ale Gaborn był zbyt wyczerpany emocjonalnie, by mu odmówić. Wybrał go i spojrzał na dorosłego przybysza, który siedział pod przeciwległą ścianą. Nosił barwy Sylvarrestów, czarną tunikę z wizerunkiem srebrnego dzika. Mundur wskazywał na kapitana. Miał czarne włosy i z lekka obłąkane spojrzenie. Na nie ogolonej twarzy malował się ból i przerażenie.

Gaborn nie widział go nigdy wcześniej, a w każdym razie nie pamiętał, by go widział, co sugerowało, że oficer był podwładnym Grovermana.

- Wasza wysokość - rzekł, podrywając się na równe nogi, i zasalutował.

- Masz dla mnie jakąś wiadomość? - spytał Gaborn. Mówił cicho, by nie obudzić Iomy.

- Nie, wasza wysokość, ja... - zaczął kapitan, opadł na jedno kolano i poruszył niepewnie prawą ręką, jakby nie wiedział, czy godzi się w tej chwili wyciągnąć miecz i podać go królowi, czy nie.

Gaborn wejrzał w jego serce. Oficer miał żonę i dzieci. Bardzo kochał rodzinę. Podwładnych traktował jak rodzonych braci.

- Wybieram cię - powiedział. - Wybieram cię dla ziemi.

- Nie! - jęknął rycerz i uniósł głowę. W oczach miał łzy wzruszenia.

- Tak - odparł Gaborn, zbyt zmęczony, by się spierać. Wiedział, że ten mężczyzna wart jest wybrania, nawet jeśli sam uważa inaczej.

- Nie poznajecie mnie, panie? - spytał kapitan. Gaborn pokręcił głową.

- Nazywam się Tempest. Cedrick Tempest. Byłem kapitanem gwardii w Longmot. Przebywałem w zamku, gdy poległ twój ojciec, panie. Przeżyłem, choć wszyscy zginęli.

Gaborn pamiętał imię, ale nie twarz. Stracił wspomnienie spotkania z tym człowiekiem.

- Rozumiem - powiedział. - A teraz idź spać. Wyglądasz, jakbyś potrzebował tego bardziej nawet niż ja.

- Ale... - zaczął Cedrick i wbił spojrzenie w podłogę. Bez słowa pokręcił głową, jakby w niedowierzaniu. - Nie przybyłem prosić o wybranie. Nie jestem tego godzien. Przybyłem wyznać coś, panie.

- Wyznawaj zatem, skoro uważasz, że musisz.

- Nie jestem godny munduru gwardzisty! Zdradziłem mój lud.

- Jak?

- Gdy Longmot padł, Raj Ahten zebrał ocalałych i powiedział... powiedział, że daruje życie tym, którzy cię zdradzają, wasza wysokość.

- Nie dostrzegam zdrady w twoim sercu. Czego chciał?

- Szukał drenów. Przywiózł ich mnóstwo do Longmot i chciał wiedzieć, gdzie i kiedy zostały wywiezione. Obiecał darować życie temu, kto mu to wyjawia.

- I co mu powiedziałaś?

- Prawdę. Że twój ojciec, panie, wysłał z nimi umyślnych na południe.

Gaborn zwilżył wargi językiem. Ledwie hamował bolesny śmiech.

- Na południe? Wspomniałeś może o Błękitnej Wieży?

- Nie. Powiedziałem mu prawdę, że umyślni skierowali się na południe, ale nie wiedziałem dokąd.

Niemniej Raj Ahten musiał nabrać przekonania, że do Błękitnej Wieży. Niby gdzie indziej król Mystarrii miałby odsyłać swoje dreny? Gdyby Gaborn chciał zrobić z nich użytek, Błękitna Wieża byłaby jedynym miejscem w kraju, które mogłoby pomieścić czterdzieści tysięcy nowych darczyńców.

Jak mogłem tego nie dostrzec? pomyślał. Raj Ahten nie zburzył Błękitnej Wieży, żeby zniszczyć Mystarrię. On chciał złamać mnie osobiście!

Zaśmiał się ponuro. Wilk musi się mnie naprawdę obawiać, stwierdził. Nie wie przecież, że dreny leżą schowane w grobowcach Heredonu.

Cedrik spojrział na niego z wyrzutem. Nie rozumiał, dlaczego młody król się z niego śmieje.

- Nie zdradziłeś mnie - powiedział Gaborn. - Cokolwiek mój ojciec odesłał na południe, to nie były dreny. Zapewne liczył na to, że ktoś przekaże Ahtenowi wiadomość o tym konwoju i skieruje go na fałszywy trop. Mówiąc to, co powiedziałaś, przysłużyłeś się mojemu ojcu.

- Panie...? - wykrztusił Cedrick Tempest z płonąca od wstydu twarzą.

Gaborn pomyślał, że wcześniej powinien się tego domyślić. Jego ojciec był genialnym strategiem. On nie miał szans, żeby kiedykolwiek mu dorównać. Odkąd został Królem Ziemi, polegał przede wszystkim na swoich nowych umiejętnościach, chociaż ojciec zawsze go uczył, że należy używać głowy, myśleć naprzód, przewidywać i planować. Gdyby Gaborn skorzystał z jego rad, wzmocniłby na czas ochronę Błękitnej Wieży. Stukrotnie silniejsze straże zastawiłyby pułapkę na Raja Ahtena.

- Powiedz mi - odezwał się - czy tylko ty jeden gotowy byłeś kupić życie w zamian za jedną beużyteczną informację?

- Nie, panie - odparł Tempest, ponownie opuszczając wzrok. - Inni też.

Gaborn nie śmiał wyjawić mu prawdy: jedno kłamstwo króla Ordenu ściągnęło śmierć na dziesiątki tysięcy ludzi. Setki tysięcy miały zginąć w bliskiej już wojnie. To była zbyt bolesna wiedza, by ją komuś powierzać.

- Zatem gdybyś ty nie powiedział Wilkowi o konwoju, ktoś i tak by to zrobił?

- Tak.

- Czy nie pomyślałeś, jak marnie przysłużyłbyś się swojemu królowi, gdybyś wybrał śmierć?

- To byłoby łatwiejsze niż życie z brzemieniem winy.

- Niewątpliwie - przyznał Gaborn. - Zatem ci, co zginęli, wybrali łatwe rozwiązanie, czy nie tak?

Tempest spojrział niepewnie na władcę.

- Panie, udało mi się ocalić konia. Żona z dziećmi jest tutaj, w zamku Groverman. Mam też zbroję. Jestem niezrównany w robieniu kopią. Chociaż brak mi już darów, błagam cię, weź mnie ze sobą na południe.

- Nie przetrwasz pierwszej szarży.

- Może tak będzie najlepiej - jęknął Tempest.

- Nie przyjmę takiej ofiary - powiedział Gaborn. - Jeśli chcesz odkupienia, musisz mi służyć. Potrzebuję zbrojnych. Zostań tutaj, z żoną i dziećmi, opiekuj się nimi i zajmij się szkoleniem żołnierzy. Potrzebuję tysiąca młodych jeźdźców.

- Tysiąca?

- A nawet więcej, jeśli zdołasz. - Gaborn wiedział, jak niezwykle jest to żądanie. Normalnie rycerz brał na naukę dwóch albo trzech giermków. W ciągu całego życia. - Porozmawiam jeszcze o tym z Grovermanem - dodał z ciężkim sercem. - Znajdą się dreny i psy, by służyły za darczyńców każdemu, kogo weźmiesz pod swoje rozkazy. Skoro jesteś mistrzem w robieniu kopią, naucz ich tego. Tego i trzymania się w szyku. Inni nauczą ich walczyć młotem bojowym i mieczem. Wybieraj tylko najbystrzejszych i najsilniejszych, bo nie masz wiele czasu. Wiosną muszą być gotowi do walki. Wtedy nadejdą raubenowie.

Gaborn sam nie wiedział, skąd mu się wzięło to przekonanie. Wedle wszelkich doniesień raubenowie już teraz wychodzili z legowisk. Z drugiej strony wszyscy wiedzieli, że te potwory źle znoszą chłody. Zwykle żyły głęboko we wnętrzu ziemi, gdzie było wręcz gorąco, a jeśli wyglądały na powierzchnię, to niemal wyłącznie latem, i chowały się przed nadejściem śniegów. Gaborn miał nadzieję, że zima powstrzyma raubenów przed marszem na północ.

- Sześć miesięcy? - spytał Tempest. Nie śmiał powiedzieć, że to niewykonalne, ale ton jego głosu świadczył, że tak właśnie myśli.

- Mam nadzieję, że aż tyle - potwierdził Gaborn.

- Zacznę jeszcze dzisiaj, panie - powiedział kapitan. Wstał, zaszalutował, obrócił się i odmaszerował.

Gaborn został ze świeczką w dłoni. Spojrzał przez otwarte drzwi na Iomę. Łóżko nie wyglądało na szczególnie wygodne. Wydawało mu się zbyt twarde albo zbyt miękkie... jakies nieodpowiednie. Wątpił, czy zdoła w nim zasnąć. Z niewiadomego powodu bardziej ciągnęło go, by zajrzeć do ogrodu diuka. Zapach ziół lepiej mu ukoi niż sen, pomyślał.

Przyświecając sobie w ciemności, zszedł po schodach i odszukał furtę na tyłach warowni, a potem ścieżkę wiodącą do ogrodu.

Ledwie co widział w blasku gwiazd. W kącie ogrodu stała biała rzeźba przedstawiająca jakiegoś władcę na koniu, z kopią uniesioną ku niebu. Wierzby oplatały mu witkami głowę, a w małym strumyku u kopyt rumaka odbijały się gwiazdy. Gaborn zdmuchnął świeczkę.

Pachniało lawendą, cząbrem, anyżkiem i bazylią. Nie był to równie rozległy ni wspaniały ogród jak niegdysiejsze dobra Binnesmana w Sylvarreście, ale i tak Gaborn poczuł się tu o wiele lepiej niż w murach. Jakby po części opuściły go troski.

Ściągnął buty, by poczuć pod stopami ziemię. Była jak chłodny balsam, koła nerwy, wracała siły.

Pomyślał jednak, że to nie starczy. Zdjął kolczugę, po czym zrzucił ubranie i dopiero wtedy pojął, co właściwie czyni.

Rozejrzał się niepewnie, jakby się obawiał, że ktoś zobaczy go nago. Ku swemu zdumieniu ujrzał, że naprawdę nie jest sam. Zza krzaków żółtych róż wyłonił się czarnoksiężnik Binnesman.

- Zastanawiałem się, ile ci to zajmie - mruknął.

- Słucham? - spytał rozkojarzony Gaborn.

- Jesteś sługą ziemi, prawda? Potrzebujesz jej dotyku. Potrzebujesz go tak samo jak powietrza.

- Ale... ja wcale nie zamierzałem się położyć.

- A to dlaczego? - spytał ironicznie zielarz. - Chyba nie brzydzisz się gołej ziemi?

Gaborn nie wiedział, co odpowiedzieć. Mimo zakłopotania czuł, że Binnesman ma rację. Jego skóra pragnęła dotyku ziemi. To dlatego nie mógł spać. Sama drzemka by nie starczyła. Jego zmęczenie wymagało innego leku.

- Powinna cię pociągać - wyjaśnił czarnoksiężnik. - Niech cię ukryje. Niech cię uzdrowi. Niech cię przyjmie. - Uderzył laską w ziemię, a murawa pod stopami Gaborna rozwarła się z przenikliwym odgłosem rozdzielanych korzeni. Pod trawą ciemniała żyzna gleba.

Gaborn pochylił się, wziął ją w palce.

- Dobra - powiedział Binnesman. - Bogata w moc. To dlatego zamek został wzniesiony właśnie tutaj. Gdy stary Heredon Sylvarresta przybył po raz pierwszy do tej krainy, szukał dobrej gleby i budował tam zamki. Godzina snu w jej objęciach da ci więcej niż cała noc w łóżku.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Skoro służyysz ziemi, ona gotowa jest służyć tobie.

Gaborn opanował pragnienie, by natychmiast się położyć. Spojrzał na ledwo widocznego w ciemności Binnesmana. Jego twarz jaśniała lekko, włosy mieniły się srebrzyście w blasku gwiazd. Obliczę zaś miał prawie całkiem zielone i przez to niezbyt przypominał teraz człowieka.

- Muszę ci coś wyznać - powiedział Gaborn.

- Jeśli ci to pomoże...

- Okłamałem mój lud. Powiedziałem, że to ziemia nakazała mi uderzyć na Raja Ahtena... ale to niezupełnie tak.

- A jak? - spytał z powątpiewaniem Binnesman.

- Ziemia ostrzega mnie, że wielu zginie, jeśli nie zdołają uciec. Jednak pozwala mi zaatakować. Nie jestem pewien, czego dokładnie chce.

Binnesman przykucnął, zsuwając palce po lasce.

- Może... dajesz się zwodzić.

- Zwodzić?

- Mówisz, że to ziemia chce, byś zaatakował Ahtena? Jesteś pewien, że to nie jest przede wszystkim twoje własne pragnienie?

- Oczywiście, że chcę go pokonać.

- I tym sposobem w jednej ręce ściskasz proporzec rozejmu, a w drugiej topór. Co zatem naprawdę proponujesz? Wojnę czy pokój? Jak Raj Ahten ma ci zaufać, skoro sam nie wiesz, czego chcesz?

- Myślisz więc, że powinienem zaproponować mu pokój? A co z nakazem ziemi, by jednak walczyć?

- Myślę, że powinieneś wejrzeć głębiej w siebie. Odrzucić iluzje - stwierdził z przekonaniem Binnesman. - To nie Raj Ahten jest twoim największym wrogiem. Zostałeś wybrany, by uratować rodzaj ludzki, a nie do walki z jego przedstawicielami. To właśnie musisz zrozumieć najpierw. Inaczej nie zdołasz pojąć, czego może chcieć od ciebie ziemia. Raubenowie też są odbiciem czegoś innego. Walczysz z niewidzialnymi siłami. Na kogośkolwiek uderzysz, czy to na Wilka, czy na raubenów, zawsze będziesz miał do czynienia tylko z substytutem wroga.

Gaborn pokręcił głową.

- Nie rozumiem.

- Zapewne wszystko stanie się jaśniejsze, gdy dotrzesz do Carris - powiedział Binnesman, próbując dodać mu ducha. - Ziemia zna swoich wrogów, a ty masz dar widzenia. Rozpoznasz ich, gdy ich ujrzysz.

Gaborn zwiesił ciężącą mu głowę. Za nic nie potrafił się w tym rozeznać.

Binnesman spojrział na niego z troską. Dotknął jego ramienia.

- Muszę ci coś powiedzieć, Gabornie. Nie chciałbym cię urazić, ale od dawna o tym myślałem.

- O czym?

- Zdecydowałeś się ruszyć na wojnę. Jutro wyjeżdżasz, prawda?

- Tak. Tak myślę.

- I dlatego zastanawia mnie, czy rozumiesz, kim jest Król Ziemi. Wiesz jaka jest twoja rola?

- Chyba tak. Mam wybierać tych, których będę starał się ratować w mrocznych czasach, które nadejdą.

- To się zgadza - przytaknął czarnoksiężnik. - Ale czy nie pojmujesz, że nie walka jest twoim głównym zadaniem? Zdziwiłbyś się, gdyby stajenny zaczął podawać ci do stołu, prawda? Nie pozwoliłbyś, żeby twój koniuszy zaczął sprawować sądy w twoim imieniu... Król Ziemi nie po to się pojawia, by stawać na czele armii w bitwie. O ile dobrze rozumiem, twoim zadaniem jest unikanie, zażegnwanie konfliktów.

Tyle akurat Gaborn już wiedział. Wiedział, ale trudno było mu się z tym pogodzić.

- Dwa tysiące lat temu Erden Geboren toczył wojny. Walczył i zwyciężał!

- Owszem. Ale tylko wtedy, gdy nie dało się inaczej. Gdy nie miał innego wyjścia. Nie narażał pochopnie swoich ludzi na niebezpieczeństwo.

- Chcesz powiedzieć, że nie wolno mi toczyć wojen? - spytał ciągle zagubiony Gaborn.

- Jesteś Królem Ziemi i masz wybierać tych, którzy odrodzą ludzkość. Ja jestem Strażnikiem Ziemi oraz uzdrowicielem i moją powinnością jest leczyć tych, którzy ucierpią w nadchodzącym starciu. Jeszcze kto inny został przeznaczony na Wojownika Ziemi. Nie możesz przywłaszczać sobie tego tytułu.

- O kim mówisz?

- O dzikiej.

- Dzikiej? - Gaborn znów dał się zaskoczyć. Owszem, Binnesman przekazał część swoich sił dzikiej, istocie zrodzonej z ziemi, aby tej ziemi broniła. Tyle że dzika zaraz po stworzeniu uleciała w przestworza i zniknęła. Ludzie Gaborna przeczesałi w jej poszukiwaniu cały Heredon. Bez skutku.

- Tak, o dzikiej - potwierdził Binnesman. - Stworzyłem ją, aby wojowała w imieniu ziemi, i pewnego dnia tak się stanie. Muszę tylko dokończyć moje dzieło. Ona istnieje tylko po to, by walczyć, i jest potężniejsza, niż ty będziesz kiedykolwiek.

- Jesteś pewien, że ciągle żyje?

- Tak. Przez ostatni tydzień szukałem wskazówek w księgach i teraz wiem już, że żyje i chyba nawet jest świadoma swego istnienia. Najpewniej zgubiła się i błądzi teraz gdzieś po pustkowiach. Jednak dopóki ziemia nie straci mocy uzdrawiania, dopóty dzika pozostanie prawie niezniszczalna.

- Mówisz, że jeszcze nie dokończyłeś dzieła, a przecież ona wyglądała na w pełni ukształtowaną. - Gaborn widział jej zarys, gdy powstała w mroku przy Siedmiu Kamieniach. Ziemia i kamienie, które tworzyły dziką, zespoliły się tak szybko, że niewiele zdołał dojrzeć ponadto. A zaraz potem istota odleciała.

- Ma postać, ale nie została ukończona. Stworzyłem ją, ale muszę ją jeszcze wychować.

- Jakże to?

- Pomyśl o niej jak o dziecku - odparł Binnesman po chwili zastanowienia. - O niebezpiecznym dziecku. Istnieje, ale nic jeszcze nie potrafi, musi zatem pozostawać pod opieką rodzica. Wymaga troski. Muszę nauczyć ją odróżniać dobro od zła, tak jak rodzic wpaja to dziecku. Muszę też nauczyć ją walczyć. Gdy już tego dokonam, będę mógł, że tak powiem, przeciąć pępowinę. Dopiero wtedy, obdarzona wolną wolą, będzie mogła wypełniać swoje zadanie.

- To ona nie ma w tej chwili wolnej woli? - spytał Gaborn. - Jest jak kukielka, którą trzeba poruszać? Skoro tak, to może leżeć gdzieś w krzakach! Nigdy jej nie znajdziemy!

- Nie. Umie się przemieszczać. Tyle że póki nie orzeknę, że jest już dorosła, musi słuchać moich poleceń. Moich albo tego, kto wypowie jej prawdziwe imię. Potem nikt nie zdoła nad nią zapanować.

- Ale twoje polecenia dalej będzie wykonywać? Eldehar stworzył rumaka, którego dosiadał w bitwie.

- Nie mógłby tego uczynić, gdyby rumak był już wolny. - Binnesman pokręcił głową. - Nie ma w ludzkim języku słów, by opisać, czym jest uwolnienie dzikiej. Sama w sobie jest niezależna. Może istnieć tylko tak długo, jak długo żywi się krwią nieprzyjaciół. Odczuwa przez to przymus walki, czy ze mną, czy beze mnie. Nie da się jej powstrzymać. Pod pewnym względem przez cały czas musi taka pozostać. Równie dzika i swobodna jak wataha zajadłych wilków. Nie jest jednak zwierzęciem, ale odzwierciedleniem pewnej idei. Tyle że ta idea nie zrodziła się w ludzkiej głowie i brak nam słów, by ją wyrazić.

Binnesman usiadł na chwilę, zacisnął palce na lasce i spojrzął w gwiazdy.

- Nie szukaj okazji do walki - powiedział, jakby uznał, że nie dość dobitnie podkreślił to wcześniej. - To nie twoje zadanie. Zastanawiam się, czy to nie złość pcha cię do wojny?

- W pragnieniach ziemi nie ma złości - odpowiedział Gaborn z pewnością w głosie. - Ja zaś staram się nie ulegać gniewnym podszeptom. Czuję jednak, że ziemia błaga mnie o pomoc. Błaga, bym uderzył. Bym uczynił to, nim będzie za późno.

- No dobrze - mruknął Binnesman pojednawczym tonem. - Wierzę ci. Wierzę, że ziemia nakłania cię do walki. Proszę cię tylko o jedno: byś mądrze wybierał, gdzie i na kogo uderzysz.

- Jestem Królem Ziemi. Uczynię, jak ona mi nakaze - obiecał Gaborn.

- Świetnie. Na to właśnie liczę. A teraz musisz odpocząć, mój panie.

Gaborn ściągnął tunikę i położył się nagi w brudzie. Ziemia była zdumiewająco ciepła, jakby nie ostygła jeszcze po słonecznym dniu.

Binnesman machnął laską i gleba nakryła Gaborna niczym koc.

Gaborn leżał z zamkniętymi oczami i czuł, jak ustępuje z wolna napięcie wszystkich mięśni.

Z początku obawiał się, czy nie zabraknie mu powietrza, ale po chwili przekonał się, że wcale nie musi oddychać. Nawet płuca odpoczywały, a ciepła i miękka ziemia wciskała mu się do uszu, napierała na pierś i twarz, wpełzała między palce.

Wkrótce zasnął głęboko i przyśniło mu się, że jest zajęczycą kicającą przy drodze do miasta Sylvarresta. Uciekał przed jakimś nieznanym niebezpieczeństwem. W końcu dopadł zbawczej norki i zagłębił się w ciemność pełną miłej woni młodych zajęczków.

Na dnie norki znalazł swoje młode, cztery maleńkie stworzenia, które przyszły na świat poprzedniego dnia. Sutki zajęczycy, jego sutki, nabrzmiały mlekiem. Zdyszana położyła się na boku, by młode mogły się do niej dostać.

Gdy tak leżała, usłyszała czarnoksiężnika Binnesmana, który przejeżdżał wierzchem nad norką i coś mówił. Nastawiła ucha.

- Ziemia do nas przemawia - wyjaśniał Binnesman. - Do ciebie i do mnie.

- I co mówi? - spytał ktoś. Gaborn poznał własny głos.

- Jeszcze nie wiem. Ale tak właśnie zwykle zwraca się do mnie: niespokojnym tańcem królików i myszy, płochliwym lotem stad ptactwa, krzykiem gęsi. Teraz szepcze też do Króla Ziemi. Rośniesz, Gabornie, rośniesz w siłę.

Potem konie oddaliły się. Małe wciąż jadły, a zajęczyca przymknęła oczy i ułożyła długie uszy płasko na grzbiecie. Martwiła się. Pchła na jej przedniej łapie wyraźnie miała zamiar ją ukłuć.

Głupi ludzie, pomyślała. Nie słyszą głosu ziemi.

W kolejnym śnie Gaborn pełził przez poszycie puszczy i był węzem. Czuł, jak gładkie łuski na brzuchu ślizgają się po ziemi. Były tak gładkie, że ziemia nie stawiała większego oporu niż lód.

Wysunął długi, rozdwojony język i posmakował powietrza. Wyczuł w nim woń ciepłej sierści: gdzieś przed nim krył się między liśćmi zając. Przez chwilę wąż leżał nieruchomo, łapiąc ostatnie ciepłe promienie jesiennego słońca.

Nic się nie poruszało. Wyczuwał zająca, ale go nie widział.

Zaczął węszyć pomiędzy opadłymi, dębowymi liśćmi, aż zobaczył wylot nory. Mroczny i zapraszający. Wysunął język. Ze środka dolatywała woń młodych zajączków.

Była pełnia dnia i zające powinny spać. Bezgłośnie zaczął ześlizgiwać się w głąb jamy.

Nad nim rozległy się ciężkie uderzenia kopyt. Usłyszał głos czarnoksiężnika Binnesmana:

- Ziemia do nas przemawia. Do ciebie i do mnie.

- I co mówi? - spytał Gaborn.

- Jeszcze nie wiem. Ale tak właśnie zwykle zwraca się do mnie: niespokojnym tańcem królików i myszy, płochliwym lotem stad ptactwa, krzykiem gęsi. Teraz szepcze też do Króla Ziemi. Rośniesz, Gabornie, rośniesz w siłę.

- Ale ja nie słyszę głosu ziemi - powiedział Gaborn. - A chciałbym.

- Może gdybyś miał dłuższe uszy - odparł czarnoksiężnik we śnie. - Albo gdybyś przyłożył je do ziemi, tobyś usłyszał.

- Tak, oczywiście - ucieszył się Gaborn. - To właśnie zrobię. Wąż leżał u wylotu jamy i nasłuchiwał tak pilnie, jak tylko mógł.

W końcu wysunął na moment język. Z głębi nory pachniało zajączkami.

W swoim śnie Gaborn wędrował świeżo zaoranym polem. Popękane skiby były jeszcze wilgotne, a bruzda głęboka. To była dobra gleba.

Mięśnie bolały go od wielu godzin ciężkiej pracy, a w powietrzu pachniało deszczem, ale nie schodził z pola. Co krok zaostrzonym kijem robił otwór w ziemi i wrzucał weń ciężkie nasiono. Potem przydeptywał dziurę. Pracował, chociaż pot zalewał mu twarz. O niczym nie myślał, tylko powtarzał w nieskończoność jedną i tę samą czynność, aż nagle usłyszał tuż obok siebie jakiś głos.

- Witaj!

Obrócił się i spojrzał na pole i na kamienny murek opleciony kwitnącymi pędami pnącego groszku i powoju. Po drugiej stronie ogrodzenia stała ziemia. Przybrała postać jego ojca, ale chociaż na pozór cielesna, w rzeczywistości była istotą z gliny, piasku, kamieni i liści.

- Witaj! - odparł Gaborn. - Miałem nadzieję, że znów cię zobaczę.

- Zawsze tu jestem - odparła ziemia. - Spójrz pod stopy, a na pewno dojrzysz mnie gdzieś w pobliżu.

Gaborn nie przerwał pracy. Wciąż wyciągał nasiona z kieszeni kurtki i krok po kroku posuwał się coraz dalej.

- Tak więc nie możesz się zdecydować, czy zostać myśliwym, czy ofiarą. Wężem czy zającem.

- A nie jestem jednym i drugim?

- Owszem, jesteś. Tak jak życiem i śmiercią jesteś zarazem. Prześladowcą i zbawcą.

Gaborn obrócił się zakłopotany. Wcześniej ziemia objawiła mu się w ogrodzie Binnesmana, ale wtedy czarnoksiężnik był razem z nim i tłumaczył jej słowa, bo zwykła przemawiać szumem liści, poruszeniem kamieni i sykiem ulatniających się z głębin gazów. Wtedy też przybrała postać niemal ludzką, chociaż cała była z gliny i kamyków. Upodobniła się do wroga, do Raja Ahtena.

Teraz pojawiła się jako przyjaciel, jako ojciec Gaborna, i przemawiała językiem tak zrozumiałym, jakby była sąsiadem zza miedzy.

Ja chyba śnię, pomyślał Gaborn.

Grunt wkoło zadrżał, a liście na pobliskich drzewach zaszeleściły. Rozumiał już, co znaczą ruchy kamieni, co znaczą szum liści.

- A jaka to różnica, sen czy jawa? - spytała ziemia. - Nie rozumiem. Przecież słyszysz. Słuchasz mnie.

Spojrzał na rzeźbioną w glinie podobiznę ojca i pojął. Ziemia naprawdę do niego przemawiała. I to wcale nie głosem myszy.

- Co masz mi do przekazania? - spytał, bo czuł, że rozpaczliwie potrzebuje pomocy ziemi. Zbyt wielu rzeczy nie był pewny: czy powinien uciekać wraz z ludem przed Rajem Ahtenem, czy atakować? Jak ma najlepiej służyć ziemi? Czy ma przyjmować dary?

- Nic - odparła ziemia. - Wezwałeś mnie, więc jestem. Gaborn nie mógł w to uwierzyć. Przecież ziemia na pewno ma mu coś ważnego do powiedzenia.

- Dałaś mi całą tę moc, a ja nie wiem, jak jej używać.

- Nie rozumiem - powiedziała ziemia, trochę jakby zmieszana. - Niczego ci nie dawałam.

- Dałaś mi zdolność wejścia, umiejętność wybierania... Ziemia zamyśliła się.

- Nie, to są moje moce, nie twoje. Nigdy ci ich nie dawałam.

- Ale ich używam - wyjąkał Gaborn.

- To moje moce - powtórzyła ziemia. - Skoro mi służysz, ja służę w zamian tobie. Nic nie masz, korzystasz tylko z tego, co moje.

Gaborn wpatrzył się w podobiznę ojca, dostojnego mężczyzny około czterdziestki, z wydatną szczęką i szerokimi ramionami. Po chwili zmrużył oczy. Chyba już wiedział...

- Tak. Rozumiem - powiedział. - Nie dałaś mi nic, tylko użyczyłaś swoich zdolności.

Ziemia jakby zastanawiała się przez dłuższą chwilę nad znaczeniem słowa „użyczyć” i jego stosownością w tym kontekście. W końcu kiwnęła głową.

- Służ mi, a ja będę służyć tobie.

Poniewczasie Gaborn pomyślał, że chyba jednak i to słowo nie jest najwłaściwsze. Ziemia chciała jego pomocy. Gdy godził się pomagać, odpłacała niezwłocznie wszystkim, co było niezbędne w tym dziele.

- Siejesz nasiona ludzkości - powiedziała. - Co rusz pytasz mnie, jak masz zasiać je wszystkie. Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Chcę uratować wszystkich...

- Widziałeś kiedyś pole jęczmienia? - spytała łagodnie ziemia. - Widziałeś, ile nasion pada w glebę? Czy każde z nich wyrasta? Czy nic nie trafia się myszom i wronom? Żadne nie wysycha na słońcu, nie gnije w deszcz? Czyżbyś chciał zapełnić świat tylko jęczmieniem?

- Nie - westchnął ciężko Gaborn.

- Zatem musisz pogodzić się z tym, że życie i śmierć to jedno. Wielu zginie, niewielu przeżyje. Nastął czas żniwa dusz. Nie leży w naszej mocy ocalenie wszystkich. Możesz wybrać tylko garstkę.

- Wiem. Ale im więcej ocale...

- Skoro tak myślisz, to musimy się rozstać - szepnęła ziemia.

- Nie, to nie tak!

- Przyjrzałeś się tym nasionom, które siejesz? Jakie powierzasz polu? Te żywe czy te martwe?

Gaborn spojrzał na nią zdumiony. Nie zwrócił dotąd uwagi, co sieje. Wziął garść nasion i uniósł je do oczu.

Czuł, jak się poruszają. Były ich całe tuziny. Ale niektóre leżały jak martwe. Otworzył dłoń i spojrzał.

Ujrzał maleńkie zarodki. Były różowe albo brunatne. Przypominały nie do końca uformowane myszki. Niektóre machały rączkami i nóżkami. Można było rozróżnić rysy ich twarzy: ten różowy pośrodku, z czerwonym puszkim na głowie, to będzie Borenson. Ten z boku, piękny, ale martwy i zbrązowiały, to Raj Ahten.

Trzymał je tak i stał z kijem wbitym w pole i zastanawiał się, który powierzyć bogatej glebie.

Gdy uniósł głowę, by poradzić się ziemi, słońce zaszło nagle i zrobiło się całkiem ciemno. Czas siania dobiegł końca.

Gaborn wygrzebał się z płytkiego grobu. Siedział przez chwilę w blasku gwiazd i czekał, aż serce mu się uspokoi. Rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu Binnesmana, ale czarnoksiężnik opuścił już ogród.

Czuł, że ziemia ostrzegała go przed popełnieniem błędu. Ale o jaki błąd chodziło?

Użyczyła mu swoich mocy, aby wybierał. Gaborn przyjął je z wdzięcznością i wykorzystywał, jak umiał najlepiej. Ale czy wybierał nazbyt wielu? Czy wybierał właściwych?

Tydzień temu, w ogrodzie Binnesmana, podjął się wybierania, gdyż kochał swój lud. Ziemia powierzyła mu rolę tego, który wyłoni załążek przyszłej ludzkości. Wybierze wartych ocalenia. Jednak Gaborn rozumiał to inaczej i uważał, że w obliczu wojny winien spróbować ocalić cały swój lud.

Ziemia wydała mu się zimna i surowa. Nieczuła tak bardzo, że wręcz okrutna. Wybieraj, powiadała. Dla mnie to nieważne, gdyż życie i śmierć są jednym.

Wybierz garstkę, a potem ich uratuj. To było jego zadanie. Nic nadto, nic mniej.

Łatwo powiedzieć...

Ale przecież to niemożliwe.

Jak ma zatem wybierać?

Czy ziemia oczekiwała, że pozwoli małemu dziecku umrzeć tylko dlatego, że takie dziecko nie potrafi się jeszcze bronić? Że porzuci słabych i starych? Czy winien przystać na śmierć dobrego człowieka, bo jego zły sąsiad będzie lepszym wojownikiem?

Jak dobrze wybierać?

Skłamałem mojemu ludowi, uświadomił sobie Gaborn. Powiedziałem tak wielu z nich, że zostali wybrani i że będę chronił ich w mroczne dni, lecz choć w głębi serca bardzo chcę ich uratować, nie mam mocy, by to uczynić.

Była to straszna świadomość. Niestety, Gaborn był już pewien, że tak właśnie rzecz się przedstawia. Nie mógł uratować ich wszystkich, nie mógł wszystkich ochronić. Przypuszczał, że w ogniu walki przyjdzie mu wybierać tego jednego na czterech, który musi zginąć, by pozostałych trzech mogło przeżyć.

Ale jak dokonywać podobnych wyborów z czystym sumieniem? Jaką logiką się kierować?

Czy zdołałby dozwoląc kiedykolwiek, by umarła Ioma? Choćby i miał uratować w ten sposób tysiąc swych najlepszych poddanych?

Czy jeśli wybierze ukochaną, ona mu za to podziękuje? Czy może raczej go przeklnie?

Co powiedział Binnesman wczoraj rano? Że Erden Geboren nie zginął z ran, ale serce mu pękło?

Gaborn gotów był w to uwierzyć. Ziemia wybrała go na Króla Ziemi, gdyż miał sumienie. Ale jak będzie mógł żyć w zgodzie ze swym sumieniem, jeśli uczyni to, czego ziemia odeń chce?

Zamyślił się nad wydarzeniami minionego dnia. Wybrał króla Orwynne, ale stary władca go nie posłuchał i ruszył prosto w burzę w daremnej próbie pokonania czarnego glory'ego. Ioma i Jureem omal nie stracili życia, gdyż zostali w zamku Sylvarresta, by ratować tych, którzy wbrew jego poleceniom nie uciekli z miasta.

Mogę ich wybrać, pomyślał, ale to nie znaczy jeszcze, że oni wybiorą mnie. Mogę próbować ich ratować, ale nie wiadomo, czy oni się ratują.

Niech zatem to będzie pierwszym kryterium decydującym o wyborze. Będę ratował tych, którzy posłuchają mojego głosu i sami będą próbowali się ratować. O reszcie muszę zapomnieć.

Rozejrzał się wkoło, aż dostrzegł leżącą w pobliżu kolczugę. Ubranie wisiało na krzaku lawendy.

Wstał, otrzepał się i odział. Gdy wrócił do sypialni, Ioma szykowała się już do drogi. Mimo dziwnego snu czuł się wypoczęty. Nigdy jeszcze krótka drzemka go tak nie pokrzepiła.

Księga 8
DZIEŃ PIERWSZY
MIESIĄCA LIŚCI

DZIEŃ OPUSZCZENIA

34

ANDERS

Lata niepokoju odcisnęły piętno na królu Andersie. Wychudł tak, że skóra wisiała na nim, jakby była o parę rozmiarów za duża.

Jednak gdy leżał w łóżnicy i wpatrywał się w baldachim nad głową, nie odczuwał strachu. Ogarnął go wielki spokój, jakby właśnie napił się świeżej wody z górskiego strumienia. Świat wreszcie miał się zmienić.

Wstał, zrzucił nocne szaty i przez chwilę stał nagi. Jego komnaty mieściły się w najwyższej z wież warowni, a drzwi balkonowe i okna były szeroko otwarte. Chłodne powiewy przebiegały przez sypialnię, poruszając cienkimi, letnimi zasłonami.

Żona Andersa poklepała poduszkę, jakby szukała męża we śnie. Odsunął jej ciemne włosy z prawej skroni i szepnął: „Śpij”. Zaraz się rozluźniła i zapadła w głęboki sen.

Silniejszy podmuch wiatru targnął zasłonami i zaczął krążyć po komnacie. Chociaż to był tylko niewidzialny wiatr, wydawał się wręcz namacalny.

Anders rozpostarł szeroko ramiona i poczuł, jak wiatr przemyka mu pod pachami, bierze go w objęcia. Cudowne wrażenie.

Pozwolił mu się wyprowadzić na galerię okalającą wieżę, do karmazynowych, żółtych i metalicznie zielonych gargulców i porostów znaczących blanki ponad leżącym dwieście stóp niżej dziedzińcem.

Król wskoczył lekko na najbliższy ząb krenelażu. Zachwiał się, ale po chwili złapał równowagę.

Wpatrywał się w nocne niebo tak długo, aż ujrzał nad sobą przemykające kolejno trzy smugi spadających gwiazd.

Uznał to za znak. Nie wiedział wprawdzie, co ów znak wróży, ale i tak poczuł się nim uspokojony, podobnie jak wcześniejszymi podmuchami wiatru.

Tutaj, wysoko ponad miastem, wiatr był silniejszy niż w dole. Uderzał mocno i radośnie, targał włosy i pieścił tak intensywnie, aż sutki twardniały. Przybiegł z odległych równin, by go przywitać.

O tej porze nocy miasto spało. Ulice dzielnicy kupieckiej świeciły pustkami.

Podniecony Anders zaczął okrążyć wieżę po blankach, skacząc lekko z występu na występ. Coś podpowiadało mu, że zachowuje się jak szaleniiec. Jeśli dostrzeże go jakiś strażnik lub mieszczanin, nie opanuje zdumienia na widok króla ryzykującego śmiercią w dziwnej zabawie.

Nic go to jednak nie obchodziło. Kierował się własną logiką. Lubił ryzykować. Nawet do tego stopnia. Przez lata żył przytłoczony lękami, ale w ostatnich miesiącach nauczył się radzić sobie ze strachem.

Biegł coraz szybciej. Miał tyle darów, że w rzeczywistości nie ryzykował zbyt wiele, ale i tak wyczuwał niebezpieczeństwo. Nieustannie trafiał na śliskie porosty, a wielka krzepa powodowała, że co drugie wybitcie było zbyt silne i z trudem zatrzymywał się potem nad samą krawędzią muru. Ach, poszybować myślał sobie wtedy. Znaleźć się w powietrzu!

W pewnej chwili pragnienie wezbrało tak silnie, że nie mógł już mu się oprzeć. Wbiegł na przygarbiony grzbiet gargulca i odbiwszy się potężnie, skoczył z wieży.

Poleciał... Wciąż machał nogami, ręce rozpostarł niczym skrzydła, przymknął oczy z rozkoszy...

A potem dopiero pomyślał, że to niebezpieczne.

Ale co z tego? Nawet jeśli zginie, to ów lot, smak powietrza, wart był takiej ceny.

Spadając, spojrzał na zachód. Na polach poniosła się kurzawa. Gnała w jego kierunku. Zbliżała się z ogromną szybkością. Wyjąc, przemknęła nad dachami domów.

Król Anders zacisnął powieki. Szykował się na spotkanie z ziemią. Żołądek podszedł mu do gardła.

Pięć stóp nad brukiem wiatr złapał go i przytrzymał. Zawirował wkoło, uniósł. Pieszczotliwie potargał włosy.

Anders otworzył oczy i uśmiechnął się dziko.

Spojrzał na wir trąby powietrznej, która z każdą chwilą nabierała wyrazistości. Jednak jej podstawa trwała nieruchomo. Nie ryczała też potężnym głosem, tylko szemrała cicho, jak oddychające spokojnie przez sen dziecko. Wirując tak cicho, podrywała kurz z bruku. U samego szczytu Anders dostrzegł gwiazdy. Mrugały jak oczy. Osobliwy wiatr unosił go coraz wyżej.

Przez ostatnie miesiące król nieustannie śnił o takim locie. Tęsknił za nim, chociaż wiedział, że może się to nigdy nie zdarzyć.

- A jednak się spotkaliśmy! - krzyknął teraz i roześmiał się radośnie.

JEDZENIE, KTÓRE SYCI

Averan rozgarnęła dłońmi ziemię, by wydostać się z płytkiej mogiły. Nad wioską zalegała noc. Dziewczynka była głodna, ale równocześnie poczuła też coś o wiele gorszego.

Jeszcze w wieku trzech lat otrzymała dary krzepy, sił życiowych i rozumu, które miały uczynić z niej dobrego podniebnego jeźdźca. Zawsze była silna, nie znała zmęczenia i wszystko świetnie pamiętała. A teraz ciało jej dziwnie osłabło, w głowie zapanował zamęt.

Jestem jak wszyscy, pomyślała. Ktoś zabił moich darczyńców.

To musiało być straszne. Averan wiele razy przelatywała nad Błękitną Wieżą w drodze do Tide. Wielkie zamczysko usadowione nad brzegiem oceanu wydawało się przepotężne. Nie wyobrażała sobie, jak ktoś mógłby je zdobyć.

Wiedziała jednak, że tak właśnie się stało. Ogarnęło ją przygnębienie i poczucie osamotnienia. Nie czuła się tak źle nawet w chwili, gdy opuszczała Branda i wszystkich, których знаła w warowni Haberd. Teraz jestem tylko małą dziewczynką, pomyślała. Taką jak wszystkie inne dziewczynki świata. Nigdy już nie dosiędę graaka.

Jej życie dobiegło końca, chociaż miała tylko dziewięć lat. Nie wyobrażała sobie, jak ma je dalej pędzić bez darów.

Najchętniej położyłaby się na ziemi i zapłakała, ale przypomniała sobie, co mawiał Brand: "Jazda na grzbiecie graaka to niełatwa sprawa. Jeśli spadniesz, najpierw musisz się upewnić, czy nie połamałaś żadnych kości. Jednak nawet z połamanymi trzeba czasem wspiąć się z powrotem na zwierza, by odlecieć w bezpieczne miejsce. Jeśli brak ci uporu, by tak postąpić, nigdy nie będziesz jeźdźcem".

Averan spadała z graaka dziesiątki razy. Zwykle przy lądowaniu. Zawsze się podnosiła.

Teraz, gdy było gorzej niż kiedykolwiek, też tylko zacisnęła zęby i rozejrzała się wkoło.

W ciemności wioska wyglądała całkiem inaczej. Ciemne sylwetki orzechów przy drodze kojarzyły się Averan z przyczajonymi złoczyńcami. Czy na pewno nikt nie chowa się w ich cieniu? pomyślała. Kryte strzechą chaty z zasłoniętymi oknami przypominały grobowce.

Dziewczynka wstała i otuliła się ubraniem. Chłodny, zalatujący wilgocią wiatr podrywał tumany kurzu.

Zielona kobieta wygramoliła się za nią z zagłębienia i spojrzała tęsknie w niebo.

- Krew? - spytała błagalnie.

- Nie wiem, gdzie tu można dostać świeżą krew, a mojej ci nie dam. Poszukajmy czegoś do jedzenia.

Averan zostawiła kobiecie futro, by nie chodziła całkiem naga. Rozejrzała się po ogrodzie. Przyklękła, powtarzając sobie, że utrata darów to jeszcze nie taka wielka bieda. Przecież i tak miała więcej szczęścia od tych, co zginęli.

Gleba w ogrodzie była pulchna i zadbana. Wprawdzie mieszkańcy wykopali co mogli przed odjazdem, ale się spieszyli. Już wcześniej Averan widziała tu i ówdzie małe marchewki i

rzepy, i oplatającą mur winną latorośl z paroma owocami. Była pewna, że wyszuka we wsi dość jedzenia na parę dni. Może znajdzie też jeszcze trochę spadłych jabłek, gruszek i śliwek.

Rozejrzała się za nacią marchewki, ale gdy zaczęła wędrować na czworakach, stwierdziła, że o wiele lepiej wyczuwa obecność warzyw, niż je widzi. Dotknęła pierzastych liści pierwszej marchewki, ale jakimś sposobem wiedziała już, że nie warto jej wyciągać. Była za mała i łykowata, smakowałaby gorzko.

Chwilę później coś pchnęło ją, by wbić palce w ziemię w miejscu, gdzie nic nie wystawało. Zrobiła to i pochwyciła wielką marchew skrytą całkowicie pod grządką. Ktoś chyba próbował ją wyciągnąć, ale urwał tylko nać i dał spokój. Pogmerawszy trochę w ziemi, Averan uniosła marchew równie długą jak jej przedramię.

Przyjrzała się jej, nie pojmując, jakim cudem ją odkryła.

Zielona kobieta cały czas spoglądała trwożnie w niebo. Przy każdym porywie wiatru oglądała się i kulila, jakby pod dotykiem niewidzialnej ręki.

Averan pokazała jej zdobycz.

- Marchew - powiedziała. - Marchew. Dobra. Smakuje jak krew, ale nie ucieka, gdy chcesz ją złapać.

Poczekala, aż kobieta obejrzy warzywo, a potem ugryzła kęs. Marchew była wciąż brudna, ale resztki ziemi smakowały dziwnie słodko. Pokazała, że zielona też mogłaby spróbować.

Kobieta odgryzła koniuszek i przykucnęła, przeżuwać go tak pilnie, jak szczeniak, który właśnie odkrył, do czego służą buty.

Averan szybko zjadła zdobycz i uznała, że przydałoby się więcej. Zamknęła oczy i popęzła przez grządki, próbując wyczuć, co jest pod spodem.

Wkrótce trafiła na kolejną marchewkę, równie wielką jak pierwsza i też z urwaną nacią. Wyciągnęła ją. Zielona kobieta zbliżyła się, spojrzała na łup i po chwili wyszukała sobie na sąsiedniej grządce własną marchewkę.

Oczywiście, ona też je widzi, pomyślała Averan. Obie jesteście istotami ziemi, a ziemia zawsze wie, gdzie kryją się jej skarby. Wszystkie owoce pól i lasów są nasze.

Działo się coś dziwnego. Utraciła dary, ale zyskała inne, całkiem nowe. Nie jestem wcale taka zwyczajna, uznała. W moich żyłach płynie zielona krew, a to wiele zmienia.

Wyszukała jeszcze trochę pasternaku i poszła pod drzewa rosnące z boku domu, gdzie szybko znalazła w wysokiej trawie sporo fig, a niebawem trafiła też na orzechy laskowe i apetycznie wyglądające grzyby.

Gdy zebrała już dość, zaprowadziła zieloną do wielkiego budynku w środku osady, który musiał być czymś na kształt domu cechowego albo magazynu. Możliwe, że zimą służył za zadaszoną namiastkę targowiska. Albo też za teatr, bo strop był wysoko i głos dobrze by się tu rozchodził. Teraz budynek stał pusty, a wielkie drzwi, zostawiono szeroko otwarte.

Zielona stapała cicho za Averan, aż doszły do tych drzwi. Bez trudu mogłyby przejechać tędy nawet dwa wozy z sianem naraz.

Averan zajrzała do środka. Ciemno. Zaraz jednak usłyszała przerażone piski i gwizdy fret. Po chwili ze dwadzieścia Ciemnych sylwetek, dziwnie podobnych do ludzkich, wybiegło na zewnątrz i rzuciło się na poszukiwanie kryjówek. Nie wiedziały, czy Averan nie będzie chciała ich pozabijać.

Jedna potknęła się o stopę Averan i poleciała na łeb, na szyję, gubiąc po drodze jakieś drobiazgi, które niosła w płóciennym zawiniątku. Averan mogłaby ją kopnąć, ale chociaż nie lubiła fret, to nigdy nie przyszło jej też do głowy, by którąkolwiek zabić.

- Skoro frety się tu rozpanoszyły, to musi być bezpieczne miejsce - powiedziała do zielonej.

- Skoro frety się tu rozpanoszyły, to musi być bezpieczne miejsce - powtórzyła kobieta. Averan wśliznęła się do budynku. Na belkach pod sufitem gruchały gołębie.

- Założę się, że frety próbowały się do nich dobrać - mruknęła dziewczynka. W bladym blasku bijącym od drzwi dostrzegła na podłodze stertę piór. - I jednego chyba nawet dopadły. Zielona przypadła do szczątków i obwąchała je.

- Krew nie? - spytała.

- Ja bym tego nie jadła - zgodziła się Averan. - Krew nie. Zielona spojrzała żałośnie.

Przysiadła na podłodze i zaczęła skubać pasternak.

Averan usiadła obok i rozejrzała się wkoło. Nie wiedziała, co ma zrobić ze swoim życiem, gdzie się zwrócić. Pamiętała tylko, że chciała iść na północ.

Zamknęła oczy i przywołała obraz wielkich map, które wisiały w gnieździe graaków. Wyczuła, że gdzieś tam jest Król Ziemi. Jaśniał niczym zielony klejnot. Spróbowała go zawołać, ale zabrakło jej słów.

- Król Ziemi podąża na południe! - powiedziała tylko. - Przebył już długą drogę!

Spróbowała grzybów. Chociaż były świeże i wonne, nie smakowały jej. Były jakieś suche, mało treściwe. Żołądek domagał się innego pokarmu. Poza suchym chlebem, który dostała wieczorem od barona Baryłki, od dwóch dni nie miała nic w ustach.

Sięgnęła po figę, ale to też nie było to. Gdyby tak gruby i soczysty stek...

Wyciągnęła z sakwy drewniany grzebień i zaczęła wyczesywać sobie ogrodową ziemię z włosów. Zielona patrzyła na nią z nie skrywaną ciekawością. Doprowadziwszy się do ładu, Averan sięgnęła grzebieniem do głowy kobiety.

- Grzebień - powiedziała, wskazując przedmiot. - Zamierzam uczesać twoje włosy.

- Moje włosy - powiedziała zielona. Averan uśmiechnęła się. Kobieta nie tylko powtarzała, ale potrafiła sama coś ułożyć. Na dodatek rozumiała różnicę pomiędzy „moje” a „twoje”.

- Bystra jesteś - mruknęła dziewczynka. - Mistrz zwierząt Brand miał kiedyś krowę, która mówiła. Ale ona tylko powtarzała głupoty i w końcu i tak zdechła. Niech sobie baron Polly-Molly mówi, co chce. Jesteś mądrzejsza niż krowa.

Próbowała rozczesać włosy zielonej, ale ona ciągle kręciła głową, żeby przyjrzeć się grzebieniowi.

- Nie wierć się - powiedziała Averan, przytrzymując na moment głowę kobiety. - Chyba powinnyśmy cię jakoś nazwać - stwierdziła, żeby czymś ją zająć. - Ja nazywam się Averan, Roland ma na imię Roland, a baron Poll to baron Poll, nawet jeśli ja nazywam go inaczej. Każdy ma jakieś imię. Jak chcesz się nazywać?

- Jak... nazywać? - spytała zielona.

Averan zamarała z grzebieniem w dłoni. Czyżby ona naprawdę rozumiała, co się do niej mówi? Wydawałoby się, że to niemożliwe, ale jednak...

- Nie wiem, jak cię nazwać. Masz zieloną skórę, więc pewnie pasowałoby Zielonka.

Na razie nic więcej nie przyszło Averan do głowy. Gdy była mała, bawiła się z pięcioletnią dziewczynką imieniem Jesień. Na nazwisko miała Kasztanowa i mieszkała w warowni Haberd. Miała też białego kota imieniem Bielinek i rudego ogara imieniem Rudy. Włosy Jesieni były brązowe, tak że nazwisko nawet jej pasowało. Jednak Averan uważała, że nadawanie imion od kolorów jest dość głupie.

- Jak ci się podoba Oliwka albo Szmaragd? Znałam raz kobietę, co nazywała się Szmaragd. Jak się przymrużyło oczy, to jej skóra wyglądała na trochę zielonkawą. Ale ty jesteś o wiele bardziej zielona niż ona.

Kobieta słuchała imion i próbowała je powtarzać, ale nie wychodziło jej najlepiej.

- A może Szpinak? - zażartowała Averan.

- Szpinak? - powtórzyła z zastanowieniem zielona.

- To coś w rodzaju sałaty. - Dziewczynka skończyła wyczesywać ziemię i paprochy z włosów kobiety, która ani razu nie jęknęła ani się nie poskarżyła. - Zrobione. Nie martw się, znajdziemy ci jakieś imię.

Zielona złapała dłoń Averan.

- Prawdziwe imię? - spytała dziwnym tonem, jakby coś sobie przypominała. - Prawdziwe imię?

- Tak, prawdziwe imię - potwierdziła dziewczynka. - Moje prawdziwe imię to Averan. A twoje?

Zielona uniosła głowę, chociaż w mroku budynku widać było tylko jej zarys. Nagle odezwała się rozkazującym tonem:

- Powstań z pyłu, mój orędowniku! Okryj się ciałem! Zwę cię Mrocznym Oswobodzicielem! Zwę cię Jasnym Niszczycielem!

Averan odsunęła się. Zielona zachowywała się całkiem nie po swojemu. Na pewno powtarzała dosłownie coś, co kiedyś usłyszała. Już wcześniej Averan podejrzewała, że chociaż ta dziwna istota przypomina kolorowe kobiety z odległych krain za Morzem Carolla, to raczej nie przybyła stamtąd, lecz zrodziła się dzięki magii. Teraz przypuszczenie zmieniło się niemal w pewność.

Nie chciała jednak pokazać po sobie strachu, podeszła więc znowu do zielonej i pogładziła ją po włosach, chociaż wcale jej się nie podobały imiona Mroczny Oswobodziciel i Jasny Niszczyciel.

Jeśli jednak były prawdziwe, to kogo miała oswobadzać, a kogo niszczyć?

- To miłe imiona - powiedziała do zielonej. - Myślę jednak, że dobrze będzie znaleźć coś krótszego. Od dziś będę mówić na ciebie Wiosna. Wiosna - powtórzyła Averan, dotykając zielonej.

Budynek zadrżał od silnego porywu wiatru, a wielkie wrota zakołysały się piskliwie na zawiasach. Averan nie wiedziała, że tu jest komin, ale nagle usłyszała wycie wichury w kamiennym przewodzie.

Zielona skoczyła na równe nogi i krzyknęła ze złości lub przerażenia.

- To tylko wiatr - wyjaśniła Averan. - Nic ci nie zrobi. Chyba nadciąga burza.

- Wiatr? - spytała kobieta. - Wiatr? - Wycofała się pod ścianę. Averan poszła za nią i znalazła podopieczną skuloną w kącie.

- Dobra dziewczynka - powiedziała uspokajającym tonem. - Dobre miejsce. Wiatr nas tu nie znajdzie.

Objęła zieloną. Potężna istota miała mięśnie jak z żelaza, a jednak trzęsła się ze strachu.

Siedziały tak i czekały. Nie miały nic innego do roboty. W końcu Averan przypomniała sobie kołysankę, którą matka śpiewała jej w dzieciństwie:

Wiatr się zerwał dzisiaj w nocy,
rozkołysał drzewa, krzewy,
ale ciebie tu nie znajdzie,
więc się nie martw bez potrzeby
to wiatr tylko, a więc śpij.

Zielona nie zasnęła. Averan była bardziej głodna niż zmęczona, mówiła więc do niej jeszcze długo w noc, opowiadając różne historie, podając nazwy przedmiotów i zjawisk. Próbowała nauczyć kobietę mówić i uspokoić jednocześnie.

Było już blisko świtu, gdy zielona nagle przyłożyła jej dłoń do ust. Chyba chciała ją ostrzec przed czymś, uciszyć. Cała napięta przykłękała na jedno kolano i z uwagą wciągnęła powietrze w nozdrza.

- Krew tak - szepnęła z rozmarzeniem.

Averan serce podeszło do gardła. Pomyślała, że to ludzie Ahtena wrócili do wioski. Że kobieta wyczuła Niezwycięzonych.

Rozejrzała się raz jeszcze wkoło. Wnętrze budynku było puste, nie było się gdzie schować. Tylko gołe ściany, które osłaniały przed wiatrem. Jednak cała konstrukcja wspierała się na

wielkich dębowych słupach, pomiędzy którymi tkwiły co parę stóp poprzeczne belki rozporowe tworzące coś na kształt drabiny wiodącej aż ku więzom dachowym, gdzie siedziały gołębie.

Jeśli frety mogły wspiąć się po nich na górę, to ja też dam radę, pomyślała Averan i podeszła do ściany. Złapała za przebiegającą na wysokości jej piersi belkę, podciągnęła się i ruszyła w górę.

Zdumiała się, jak ciężko jest wdrapywać się gdzieś bez daru krzepy. I jakie to niebezpieczne. Tu i ówdzie trafiała na ulepione z błota gniazda dzikich pszczoł, wszędzie było pełno pajęczyn, a z grubsza tylko ociosane belki wbijały jej drzazgi w dłonie.

Bała się, że pszczoła może ją użądlić, że pajak ją ugryzie, że pokaleczy sobie ręce. Albo, co gorsza, że nie zdoła się utrzymać i spadnie. W parę chwil weszła jednak po ścianie na trzydzieści stóp wysoko. Tutaj nie docierało już żadne światło. Poczula się bezpieczniej w ciemności, chociaż musiała szukać teraz drogi po omacku.

- Wiosno! - szepnęła nagle. - Chodź tutaj!

Zielona, która nie ruszyła się z miejsca, przypominała czającego się do skoku kota. Jeśli nawet zrozumiała, o co Averan ją prosi, to nic z tego nie wynikło. Patrzyła wprost przed siebie, jakby szykowała się do łowów. Averan dreszcz przeszedł po plecach.

Na ile ona naprawdę jest silna? zastanowiła się. Spadła z nieba i przeżyła. Nawet nie poturbowała się specjalnie. Tyle że krwawiła...

Czy dałaby radę Niezwycięzonemu? A jeśli trafi na cały oddział?

Mogła być silna jak Niezwycięzony, ale nie była wojowniczką. Nie miała darów metabolizmu. Szybszy przeciwnik rozprawiłby się z nią w mgnieniu oka.

- Wiosno, proszę - szepnęła dziewczynka. - Ukryj się. Jednak Wiosna wyczuła już zwierzyne.

- Krew tak - warknęła z zapałem.

Averan nagle ślina napłynęła do ust. Już wczoraj miała ochotę spróbować krwi zabitego zabójcy. Teraz, chociaż żołądek wypychały jej marchewki i pasternak, znów za nią zatęskniła. Może zielona kogoś jednak zabije...

Nie, tak nie można, opamiętała się. Nie chcę krwi.

- Wiosno, włącz tu zaraz! - syknęła.

W tej samej chwili usłyszała jednak coś, co zmroziło jej krew w żyłach. Na zewnątrz rozległo się basowe syczenie przypominające trochę głos węża. Ale to nie był wąż. Taki dźwięk wydawało powietrze wydychane pomiędzy chitynowymi płytkami okrywającymi brzuch raubena. Uciekając z warowni Haberd, Averan przeleciała nisko nad tysięcznymi szeregami potworów i dobrze słyszała ten grzechotliwy syk.

Teraz to samo dobiegało z drugiej strony wrót.

Przyszedł za mną z Haberd? pomyślała w pierwszej chwili, ale zaraz się opamiętała. Niemożliwe. Większość drogi przebyłam na starym Skórzaku i nawet raubenowie nie mieli szans mnie wytropić. Nie, to musi być jakiś zwiadowca.

Averan słyszała, że raubenowie często wysyłają pojedyncze osobniki na zwiad. Wiedziała też, że te potwory wolą polować w ciepłe, parne noce, gdyż taka pogoda najbardziej przypomina im to, do czego przywykły w podziemiach. Dziś było wilgotno, ale chłodno. Całkiem nie ich pogoda.

Pamiętała również, że raubenowie kierują się przy polowaniu słuchem i zapachem i widzą tylko to, co się porusza. Jeśli zostanie na gorze, nie odezwie się i arii drgnie, może ocaleje.

Rauben syknął znowu, a zielona uniosła głowę, krzyknęła radośnie i podeszła bliżej drzwi.

Rauben wetknął łeb za próg.

Miał jakieś dwadzieścia stóp w kłębie i Averan, gdyby chciała, a rauben pozwolił, mogłaby zeskoczyć mu na grzbiet bez obawy, że się potłucze.

Skórzasty łeb był wielki jak małżeńskie łożo albo spory wóz, rzędy krystalicznych zębów wypełniały paszczę, brakło jednak oczu, uszu czy nosa. Tylko na potylicy widać było falujące

wyrostki czuciowe, a na czole i ponad wydatną, górną wargą jaśniały srebrzyście własnym, widmowym blaskiem liczne tatuaże. Runy.

Cztery ciemne i cienkie nogi połyskiwały niczym kość. Przednie kończyny potwora były chwytne, z trójpalczastych dłoni wyrastały zakrzywione szpony równie wielkie i ostre jak puginały zabójców z Południa.

Ponadto rauben był jeszcze uzbrojony w olbrzymi, nieco zakrzywiony miecz. Jego klinga wyglądała, jakby została wyrzeźbiona z raubeniej kości. Wraz z kryształową rękojeścią oręż był długi na wzrost trzech ludzi.

Potwór zasyczał i zamachnął się mieczem na zieloną, lecz klinga wbiła się w belkę u powały i zatrzymała się nad głową kobiety.

Zielona krzyknęła znów radośnie i skoczyła na raubena.

- Wiosno, nie! - krzyknęła odruchowo Averan.

Wiosna się jednak nie zatrzymała. Kilкома szybkimi ruchami dłoni nakreśliła w powietrzu jakiś znak runiczny i gołą ręką uderzyła raubena w szczękę.

Efekt był zdumiewający. Huknęło gromowo, a wkoło posypał się cały deszcz krystalicznych zębów. Wiele przebiło nawet policzki raubena.

Averan otworzyła usta ze zdumienia. To przecież niemożliwe... Nie było takiej broni, która pozwoliłaby na coś podobnego. Nawet gdyby władający nią wojownik miał dwadzieścia darów krzepy...

Jednak Averan widziała to na własne oczy.

Rauben syknął z bólu i spróbował się wycofać, ale niezbyt mógł się ruszyć.

Zielona przyskoczyła do niego i znów uderzyła w twarzową część łba. Z podobnym skutkiem. Huk odbił się echem od powały.

Tym razem rauben zadrzał i padł bez życia na ziemię.

Wiosna wspięła się na łeb, wbiła smukłe ramię głęboko w kryształową czaszkę i wyciągnęła pełną garść mózgu.

Z ran raubena lała się obficie posoka.

Powiada się, że te potwory nie mają własnego zapachu, tylko naśladują cudze wonie, jednak wisząca wciąż na belkach Averan pojęła, że zielona jakimś cudem wywęszyła raubena. Na dodatek dziewczynka też poczuła teraz, w zamkniętej przestrzeni, woń rozlewającej się posoki. Dość zresztą apetyczną... Averan nie jadła ostatnio wiele, a co wzięła do ust, niezbyt jej smakowało. Ciągle marzył się jej stek.

Ślina napłynęła jej do ust jak głodującemu, który z rzadka widuje okruszek chleba. Wiedziała już, czego jej trzeba.

Nie mogąc dłużej usiedzieć na belkach, zeszła na dół. Z przerażeniem czuła narastające w niej pragnienie. Wiedziała, że jeszcze chwila, a nie oprze się mu. Choćby miała się zsikać, i tak się nie oprze.

Chodziło o raubenów. Naszedł ją apetyt na raubena. Tyle że w odróżnieniu od zielonej nie miała żadnych szans, by go sobie upolować.

Podbiegła do cielska.

- Mroczny Oswobodzicielu! Jasny Niszczycielu! - wykrzyknęła zielona do siebie.

Teraz Averan wiedziała już, kogo niezwykła istota ma niszczyć, i poniekąd zrozumiała, co stało się z nią samą. Krew zielonej kobiety zakaziła jej żyły i tym samym Averan stała się do niej podobna.

Czym prędzej wdrapała się na łeb raubena i sięgnęła do rozłupanej czaszki. Chciwie zaczęła pochłaniać ciepłą i słodką treść.

Kobieta zamruczała coś z pełnymi ustami.

- Krew tak - powiedziała, przełknąwszy kąsek.

- Krew tak - zgodziła się z nią Averan i sięgnęła po kolejną porcję.

Słyszała trochę o raubenach. Mówiono, że jeśli któryś umrze, jego pobratymcy zjadają ciało, by przejąć wiedzę, siłę i magię zmarłego, przez co najstarsze z potworów, które najczęściej razy tak ucztowały, stają się potężnymi wojownikami i magami.

To było w końcu sycące jedzenie. Krew zaraz zaczęła żywiej krążyć w żyłach Averan. Już pierwsze kęsy poprawiły jej samopoczucie, i nie tylko.

Dziwne, pomyślała. Ludziom nie przybywa niczego od jedzenia raubenów. Co najwyżej chorują. A ja nie jestem raubenem.

Niemniej ponownie napchała sobie usta i podziękowała w myślach ziemi za szczodry dar.

NOCNE STRZELANIE

Gdy straż zadeła w rogi, wzywając armię Gaborna, by przygotowała się do wymarszu, Myrrima zrobiła się niespokojna. Bardzo chciała jechać do Carris, a nocny galop powinien dostarczyć nie lada wrażeń. Była zadowolona, że przyjdzie jej teraz wieść tylko dwa szczeniaki, a nie cztery.

Osiadła zatem swego wierzchowca, a potem zajęła się koniem Iomy. Jej szczeniaki bawiły się tymczasem w stajni, obwąchiwały wszystkie boksy i goniły się, próbując złapać jeden drugiego za ogon.

Włożyła uprząż i derkę na wierzchowca królowej, gdy do stajni wszedł Jureem.

- Nie kłopotz się. - powiedział z taifańskim akcentem. - Jej wysokość nie jedzie tej nocy. Poczekaj do jutra.

- Do świtu? - spytała zaskoczona Myrrima. To oznaczało zmarnowanie sześciu godzin.

- Jeszcze później - wyjaśnił Jureem. - O świcie zamierza zjeść śniadanie i przyjąć dary od swoich szceniaków. Nie chce brać ich na wojnę, a jej koń jest dość szybki, by dogonić główne siły.

Myrrima pomyślała, że mogłaby uczynić tak samo, czyli wziąć rano dary od pozostałych dwóch szceniaków i dopiero potem pojechać. Byłaby jeszcze lepiej wyposażona. Ponadto Ioma rzeczywiście nie mogła ruszyć do Fleeds z psiakami w jukach, gdyż zaraz okrzyknięto by ją wilczycą.

Jednak czekanie było trudne do zniesienia. Poprzedniego dnia omal nie przyplaciła życiem nazbyt długiego wyczekiwania na przyjaciółkę. Z drugiej strony bez królowej jechać nie mogła. Ioma potrzebowała kobiecej eskorty, chociażby dla przyzwoitości. Oczywiście Myrrima miała nadzieję, że to nie jedyny powód, dla którego jest potrzebna.

- Niech będzie i tak - mruknęła i postanowiła, że nie zmarnuje tej nocy. Weźmie łuk i trochę poćwiczy.

Wyciągnęła broń z łubiów, wzięła szczeniaki pod ramię i skierowała się do drzwi. W tej samej chwili w progu stajni stanął Gaborn.

Wyczuła go, zanim jeszcze wszedł. Cuchnął śmiercią i zniszczeniem. Woń była tak paskudna, że przyprawiła Myrrimę o mdłości. Przeraziła tak bardzo, że dziewczynie zbierało się na krzyk. Była wszędzie, nie dawało się przed nią uciec.

Myrrima upuściła szczeniaki i łuk. W oczach jej pociemniało.

- Precz! Idź stąd! - krzyknęła w desperacji.

Szczeniaki też się wystraszyły i uciekły do pustego boksu, gdzie zaczęły wyć i ujadać załośnię.

Myrrima padła na podłogę i zwinęła się niczym płód. Zakryła głowę rękami. Całe ciało zdawało się płonąć bólem.

- Cofnij się, panie! - krzyknęła znowu. - Proszę, cofnij się! Gaborn stał jednak dalej w drzwiach, niecałe czterdzieści kroków od niej, i niczego nie rozumiał, chociaż wyraźnie się zaniepokoił.

- Co? - spytał. - Co takiego zrobiłem? Jesteś chora?

- Proszę! - zawołała Myrrima, rozglądając się za jakąś drogą ucieczki. Jednak to nie była zwykła stajnia. Tutaj trzymano tylko konie z darami, które wymagały szczególnej ochrony, toteż brakło drugiego wyjścia, a i to jedyne było zabezpieczone kratą.

- Nie podchodź! Otacza cię woń śmierci!

Gaborn przez dłuższą chwilę przyglądał się jej uważnie, aż w końcu się uśmiechnął.

- Jesteś teraz wilczycą?

Myrrima tylko pokiwała głową. Serce jej łomotało i nie mogła wykrztusić ani słowa.

Gaborn sięgnął do kieszeni i wyciągnął ciemnozielony podłużny liść.

- To psia kapusta, tojad - wyjaśnił. - Nic gorszego. Rośnie na końcu ulicy.

Teraz, gdy Gaborn wyjął tę potworną roślinę z kieszeni, zapach nasilił się nie do wytrzymania. Myrrimie zdało się, że ktoś przypala jej wnętrze rozgrzanym do białości żelazem. Jęknęła i obróciła się do ściany.

- Proszę, panie... Proszę...

Wiedziała, że to związane z Gabornem moce ziemi sprawiają, iż zapach jednego małego liścia robi na niej aż takie wrażenie. I kojarzyła, czym jest tojad. Tyle że obecnie ta wiedza nie znaczyła wiele. Skoro przyjęła wdech od psa, czuła jak pies i żadne racjonalne myślenie nie mogło tego zmienić.

Gaborn wycofał się krok za krokiem. Gdy tylko opuścił stajnię, Myrrima złapała szczeniaki i skoczyła do drzwi. Ujrzała Gaborna po drugiej stronie ulicy. Kładł przekłety liść na ziemi.

- Wziąłem go, by zabezpieczyć się przed zabójcami i samym Wilkiem! To powinno ich odpędzić! - zawołał. - Przykro mi, że tak wyszło. Nie pomyślałem, jak tojad może podziałać na ciebie albo diuka Grovermana.

- Obawiam się, że na razie odpędzi mnie. I twoją żonę. Gaborn pokiwał głową.

- Dziękuję za ostrzeżenie. Wyrzucę tę szatę i umyję się wodą z wywarem z pietruszki, żeby nie dokuczyć wam następnym razem.

- Dziękuję stokrotnie, wasza wysokość - powiedziała Myrrima przypominając sobie wreszcie o dobrych manierach.

- Za wszystko trzeba płacić - westchnął Gaborn. - Niech ci te dary dobrze służą.

Myrrima wzięła łuk i oddaliła się od króla. Po kwadransie już się tak nie trzęsła. Wyszła na łąkę za wielką salą i odszukała strzelnicę.

Postawiła szczeniaki na trawie. Niech się bawią.

Z północnej strony ciągnął się wysoki wał ziemny, przed którym ustawiono kilka słomianych kukieł.

Odmierzyła osiemdziesiąt kroków od tarcz i przyjrzała się sylwetkom celów. Miała tylko trzy tępe, ćwiczebne strzały. Reszta była ostra, bojowa.

Odruchowo umocowała cięciwę. Ten łuk kupiła ledwie dwa dni wcześniej. Spodobała się jej gładź natluszczonego drewna i jego siła. Nie został wykonany ze słabego jesionu, wiązu czy szcedrzeńca. Jak wszystkie prawdziwe łuki bojowe, był to hak cisowy. Sir Hoswell wyjaśnił jej, że to drewno daje i wystarczającą twardość w środkowej części łączyska, i pożądaną elastyczność na jego krańcach. Gdy ustawiła łuk obok siebie, był o sześć cali wyższy od niej. Niełatwo go było naciągnąć.

Hoswell powiedział jej też, jak chronić drewno od zawilgocenia, a cięciwę od osłabienia skutkiem zbyt długiego naciągania. Należało wcierać olej w słoje drewna kolistymi ruchami, zawsze najpierw w prawo, potem w lewo. Cięciwę ze zwierzęcych jelit konserwowało się pszczelim woskiem.

Myrrima dotknęła jej teraz, by sprawdzić, czy już wyschła po wczorajszej kąpieli w fosie.

Do każdego z ramion łączyska przyklejono u zaczepu cięciwy fragment pustego w środku, krowiego rogu. Użyto kleju będącego mieszanką brzozonej smoły i pyłu węglowego. Rogi te miały zapobiegać zawilgnięciu łuku, gdyby zetknął się z mokrą ziemią, jednak sir Hoswell ostrzegł Myrrimę, że raz albo dwa razy do roku należy je suszyć nad ogniem i smarować olejem lnianym, by same też nie przesiąkły. Powiedział, że na wszelki wypadek nigdy nie powinna opierać haku o ziemię. Sprawdziła teraz, czy oba rogi są suche.

Nałożywszy cięciwę, sięgnęła po ćwiczebną strzałę i sprawdziła jej smukłe drzewce. Hoswell ostrzegł ją, by nie używała strzał zrobionych w ciągu ostatnich paru tygodni.

Heredońscy wytwórcy strzał pracowali dniami i nocami, prostując niewysezonowane drewno, które łatwo się wypaczało. Taka strzała nie leciała prosto i uderzała z mniejszą siłą.

Hoswell opowiedział też o długich grotach bojowych i ostrzegł, by używać tylko tych o błękitnym połysku, wykonanych z najtwardszej stali zdolnej przebić hełmy rycerzy z Indhopalu. Pouczył, żeby ostrzyła każdy grot przed bitwą i pokrywała go smołą, by nie rykoszetował łatwo na blachach zbroi.

Myrrima nasadziła ćwiczebną strzałę, napięła cięciwę aż do ucha, wstrzymała oddech i rozluźniła palce. Strzała poleciała za wysoko i nazbyt w prawo. Za drugim razem dziewczyna ustawiła się lepiej i choć strzała też poszła za wysoko i na prawo, błąd był już mniejszy.

Myrrima przygryzła wargę i westchnęła z irytacją. Miała wrażenie, że nie podoła. Wczoraj strzeliła lepiej. Po cichu żałowała, że nie ma przy sobie Erin Connal w roli nauczycielki.

Za trzecim razem trafiła słomianą kukłę w ramię.

Poszła po strzały. Nie widziała ich, ale kierując się węchem, odszukała wszystkie trzy i jeszcze czwartą, zapomnianą przez kogoś innego. Bez psiego talentu byłaby bezradna, gdyż gwiazdy świeciły za słabo, by wydobyć z mroku białe lotki.

Gdy wróciła na stanowisko, usłyszała róg grający wsiadanego. Zaraz rozległ się szcęk zbroi i głosy ludzi, którzy uspokajali nieco spłoszone konie. Pole nagle pojaśniało - to zza wzgórz na wschodzie wyłonił się blady sierp księżyca.

Chętnie pojechałaby już teraz. Z Gabornem i całym rycerstwem.

- Bardzo dobrze - rozległ się z ciemności jakiś głos. - Widzę, że nie marnujesz czasu.

Obejrzała się przez ramię. Z cienia pod wielką salą wyłonił się sir Hoswell. Szedł ku niej. Nagle zdała sobie sprawę, że jest z nim sam na sam pośród nocy i że nikt ich nie widzi.

- Co tu robisz? - spytała szorstko i sięgnęła do kołczana po bojową strzałę z ostrym grotem. Nałożyła ją szybko i napięła łuk. Celowała w sir Hoswella.

Nadchodzący zatrzymał się i przyjrzał się jej tak otwarcie, że omal nie strzeliła.

- Jutro ruszamy na wojnę, a ja jestem łucznikiem. Najlepszymi łucznikiem - odparł Hoswell bez żenady. - Przyszedłem poćwiczyć. Nie wiedziałem, że tu będziesz. Nie szedłem za tobą.

- Dlaczego ci nie wierzę? - spytała Myrrima.

- Bo nie ma co kryć, nie zasłużyłem na twoje zaufanie. Ani na twój szacunek, ani na przyjaźń. Obawiam się, że nigdy już nie zasłużę.

Myrrima wsłuchiwała się w siebie. Wczoraj, gdy znalazła się w niebezpieczeństwie, Gaborn ostrzegł ją głosem. Teraz nie czuła strachu, niczego nie słyszała.

Niemniej nie ufała Hoswellowi i nie spuszczała go z oka. Serce biło jej mocno. Tamten miał dary metabolizmu i mógł przebyć osiemdziesiąt jardów w jedną chwilę, ale i tyle starczało, żeby zwolnić strzałę. Nawet w słabym księżycowym blasku widziała, że Hoswell wciąż jeszcze ma opuchliznę na twarzy. Ślad po uderzeniu Connal.

- Wynoś się - powiedziała, ustawiając się jak do strzału.

Sir Hoswell uniósł wysoko własny łuk i kołczan i spojrzał spokojnie na dziewczynę. W końcu się uśmiechnął.

- Niełatwo jest strzelić do człowieka, co? - spytał. - Masz dobrą postawę i właściwe odruchy. Wstrzymujesz oddech, ręka ci nie drży. Będziesz dobrym zabójcą.

Myrrima nie odpowiedziała. Komplementy Hoswella nie miały dla niej wartości.

- Liczę do trzech - ostrzegła.

- Strzelając w nocy, zmęczone oko nie ocenia dobrze odległości - odezwał się tamten, jak gdyby naszła go ochota na kuszenie losu. - Celuj trochę niżej albo nigdy mnie nie trafisz.

- Raz! - krzyknęła Myrrima, obniżając jednak nieco punkt celowania.

- Właśnie. Tak dobrze. Sugeruję, byś poćwiczyła szybkie strzelanie. Jeśli nie wypuścisz w bitwie piętnastu strzał na minutę, niewielki będzie z ciebie pożytek.

- Dwa! - rzuciła zimno dziewczyna.

Hoswell spojrział jej przelotnie w oczy. Ciągle trzymał swoją broń w górze. Myrrimie palce się pociały i już postanowiła, że zaraz strzeli, gdy łucznik odwrócił się wreszcie, jakby zamierzał odejść.

- Jesteśmy po tej samej stronie, lady Borenson! - zawołał, nie odwracając głowy. - Nie zrobił jeszcze kroku i Myrrima zastanawiała się, czy jednak go nie przedziurawić. - Jutro możemy walczyć ramię przy ramieniu.

Nie odpowiedziała. Obejrzał się przez ramię.

- Trzy! - rzuciła.

Sir Hoswell ruszył niechętnie. Odprowadzała go spojrzeniem, gdy pod dwudziestu krokach znów się zatrzymał.

- Masz rację, lady Borenson. Szedłem dziś za tobą. Przyszedłem, bo mój honor tego wymaga. Albo i dyshonor. Chcę cię przeprosić. Postąpiłem podle i jest mi przykro.

- Daruj sobie przeprosiny. Boisz się, że powiem mojemu mężowi. Albo królowi.

Sir Hoswell obrócił się ku niej i ponownie uniósł broń wysoko.

- Mów im, co chcesz. Niech mnie nawet i zabiją za to, co zrobiłem. Ty też możesz mnie teraz zabić. Moje życie jest w twoich rękach.

Myrrima nie była gotowa, by zastanawiać się nad przebaczeniem. Aż niedobrze się jej zrobiło na tę myśl. Już prędzej wybaczyłaby Rajowi Ahtenowi.

- Jak mogę ci zaufać? - spytała.

Sir Hoswell wzruszył lekko ramionami. Nie opuszczał broni.

- Nigdy wcześniej nie zrobiłem niczego takiego jak to, czego dopuściłem się dwa dni temu. To było głupie i nieprzemyślane. Prostackie zachowanie. Myślałem, że jesteś chętna i że zechcesz mnie tak, jak ja chciałem ciebie. Myliłem się. Ale mogę to naprawić - dodał z dużą pewnością siebie. - Moje życie należy do ciebie. Jutro, gdy przyjdzie do walki, stanę obok ciebie i przysięgam, że jak długo mojego albo twojego życia, będę cię chronił.

Myrrima znów wsłuchiwała się w siebie. Nadal nie słyszała ostrzegawczego głosu Gaborna. Czuła tylko całkiem naturalny strach przed mężczyzną, który próbował ją zgwałcić.

Przypuszczała, że mówi szczerze, ale nie chciała ani jego przeprosin, ani żadnych przysług.

Właściwie tylko jedno powstrzymywało ją przed zabiciem Hoswella. Myśl, że skoro Gabor mógł wybaczyć Rajowi Ahtenowi, to dlaczego ona nie miałaby oszczędzić tego tu drania.

Sir Hoswell odszedł.

Myrrima stała nieruchomo przez dłuższą chwilę i czekała, aż serce się jej uspokoi.

Potem ćwiczyła aż do jasnego świtu.

PO UCZCIE

Zanim Averan skończyła wyjadać ciepły mózg, skórzasta głowa raubena zrobiła się śliska od posoki. Dziewczynka usadziła się wygodnie na cielsku. Żołądek miała mile zapełniony, powieki same opadały. I dobrze, bo do świtu zostało jeszcze kilka godzin.

Opadły ją sny. Były to właściwie urywki obrazów, ale wszystkie dotyczyły podziemnego świata i były przerażająco wyraźne.

Ujrzała długi szereg raubenów maszerujących ku powierzchni ziemi. Wcale nie pragnęli tam iść, ale gnała ich jakaś wielka potrzeba. Poszukiwali czegoś. Prowadził ich potężny mag, upiorny potwór zwany Jedynym Prawdziwym Mistrzem.

Averan nigdy jeszcze czegoś podobnego nie doświadczyła. Sny nie pojawiały się jako obrazy. Były to raczej zestawy zapachów, wibracje oraz wrażenia powstałe przy odbiorze migotliwej aury otaczającej każdą żywą istotę. Atmosfera panowała w nich ciężka i widmowa, pełne były jakby błękitnawego blasku podobnego wieczornemu światłu odbijającemu się od zimowej, śnieżnej pokrywy. Tyle że ten blask wydawał się nienaturalny, nazbyt czysty. Raubenowie śpiewali przy tym pieśni, prawdziwe arie zapachowe, których ludzkie powonienie nigdy nie zdołałoby docenić.

Gdy dziewczynka się obudziła, przez dłuższą chwilę leżała w odrętwieniu, starając się odtworzyć, czego właściwie szukała we śnie. W końcu sobie przypomniała: chodziło o krew wiernych.

Otworzyła oczy. Wiedziała, że to nie były jej własne sny. Ujrzała wspomnienia maga, którego mózg jadła. Pojęła też, że armia raubenów miała przejść niebawem przez tę wioskę.

Wciąż ocieężała, zaczęła się zastanawiać nad swoją niewesołą sytuacją.

- Musimy się stąd wynosić - powiedziała do zielonej, gdy ta zeszła z cielska. - Wielki mag nadciąga. Możliwe, że już jest za późno. - Zeskoczyła na ziemię i zaczęła się sztykować do drogi.

Ze wszystkich sił próbowała odpędzić od siebie wizje przeszłe na nią od raubena. Potwory nie widziały, tylko wyczuwały drgania i aurę żywych stworzeń, maksymalnie na odległość ćwierć mili.

Wszystko, co było blisko, postrzegały bardzo wyraźnie, obiekty dalsze jawiły im się zwykle jako niewyraźne, rozmyte.

Jak długo więc będą wyprzedzały zwiadowców co najmniej o ćwierć mili, powinny być bezpieczne. Tyle że raubenowie mieli jeszcze czuły węch. Na dodatek zielona zabiła uzbrojonego wojownika, przez co następnii szczególnie uważnie zbadają pobojojwisko i zapamiętają sobie zapach Averan. Będą ją ścigać.

Musiała uciekać, i to szybko. Najlepiej na koniu z darami. Silnym i śmigłym.

Na wierzchowca nie miała jednak co liczyć. Ale ziemia nas ochroni, pomyślała.

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w głos serca. Szmaragdowy płomień rzeczywiście się zbliżał, przebył już prawie dwieście mil, jednak ciągle jeszcze był daleko, w południowym Heredonie.

W tym tempie nie dotrze tu wcześniej niż w nocy albo i jutro. Averan nie miała tyle czasu. Byłe rauben był trzy razy wyższy od konia. Pamiętała, jak szybko te potwory potrafią biegać.

Spojrzała na martwe cielsko.

W pobliżu odbytu rauben miał gruczoły zapachowe, których wydzielina znaczyła szlak jego marszu. Tuż przed śmiercią, gdy zielona uderzyła go w szczękę, bardzo się przeraził i odtąd roztaczała się wkoło niego lekko czosnkowa woń. Godzinę temu Averan w ogóle jej nie czuła. Teraz była bardzo wyraźna. Dziewczynka okrążyła cielsko i zbliżyła się do owych gruczołów. Ludzki nos nie był nawet w przybliżeniu tak czuły jak wyrostki raubenów, ale z

bliska odór prawie ją powalił. Wiedziała też, że niesie wiadomość: „Tu grozi śmierć! Uważajcie!”

Zielona podeszła do Averan i wciągnęła powietrze. Zaraz krzyknęła, cofnęła się i zamachała rękami. Ona też reagowała teraz trochę tak, jakby sama była raubenem, i nie dziwnego, że się przeraziła.

Niebo było częściowo zachmurzone, ale w nikłym blasku gwiazd Averan znalazła w końcu długi kij, który wraziła w odbyt raubena i przytrzymała tak długo, aż śluzowata wydzielina gruczołów oblepiła go grubą warstwą.

- Chodź, Wiosno - powiedziała do zielonej. - Idziemy.

Jednak gdy kobieta poczuła woń śmierci na kiju Averan, szybko się cofnęła, rozejrzała wkoło i zasłoniła twarz. Przez chwilę Averan obawiała się, że zielona ucieknie. Skłonna była przypuszczać, że gdyby raubenowie ją wytropili, w końcu zdołaliby zabić niezwykłą istotę. Owszem, poradziła sobie z jednym raubenem, ale czy dałaby radę całemu tuzinowi? A wobec maga raubenów z pewnością byłaby bezradna.

- Wiosno! - krzyknęła Averan, ale zielona obróciła się i zaczęła uciekać. Machając dziko rękami, pogoniła ku skrytym w ciemności chatom.

Averan spróbowała przyciągnąć z powrotem jej uwagę. Znała tylko jeden sposób, by to uczynić.

- Mroczny Oswobodzicielu! Jasny Niszczycielu! - zawołała. - Chodź za mną!

Skutek był wręcz zdumiewający. Wiosna zatrzymała się, jakby ktoś zarzucił na nią arkan, i z wyraźną niechęcią obejrzała się na Averan. Zawróciła

- Tak, właśnie - powiedziała dziewczynka. - Teraz ja jestem i twoją panią. Chodź ze mną i bądź cicho. Lepiej, żebyś nie ściągnęła nam na kark więcej raubenów.

Wiosna skrzywiła się ponuro, ale poszła posłusznie za Averan.

Pobiegły drogą na północ. Noc była zimna, porywy wiatru targały rosnącymi przy szlaku orzechami. Opadłe liście szeleściły pod nogami, gnające niebem chmury zapowiadały deszcz.

Averan pomyślała, że nie da rady biec dłużej niż kwadrans. Od upadku Błękitnej Wieży była słaba. Jednak ku jej zdziwieniu po ostatnim posiłku miała znacznie więcej sił. Czują to wyraźnie, chociaż oczywiście nie zmiażdżyłaby jednym uderzeniem niczyjej czaszki. To było coś innego niż przyjęcie daru krzepy. Niemniej poczuła się zdecydowanie lepiej. Ciało raubena musiało w jakiś sposób pobudzić jej metabolizm.

Biegła niezmordowanie prawie przez godzinę, i to szybciej niż dziecko w jej wieku. Zielona sadziła susami obok.

Co jakieś dwieście jardów Averan przesuwiała kijem po drodze. Wyobrażała sobie, jak wszystkie te ślady wystraszą nadciągających raubenów. Chcąc nie chcąc, będą musieli zewrzeć szyki i zwolnić tempo marszu.

Nagle się zatrzymała. Ale właściwie to skąd ja jestem taka mądra? pomyślała. Nie przypominała sobie żadnego snu, który wyjaśniałby jej dokładnie, jak reagują raubenowie na sygnał zagrożenia. A jednak wiedziała.

Nie tylko to ją intrygowało. Bo kim był Jedyne Prawdziwy Mistrz? Do czego dążył? Chciał krwi wiernych, jak pamiętała, była też pewna, że chodzi o ludzką krew, ale po co to wszystko?

Nagle ujrzała oczami wyobraźni obraz wielkiego raubena. To był Jedyne Prawdziwy Mistrz. A właściwie Mistrzynie. Siedziała na stosie krystalicznych kości pokonanych konkurentek. Wkoło płonęły święte ognie, a ona usilnie starała się stworzyć znak runiczny, który pozwoliłby jej podporządkować sobie ziemię. Averan wiedziała też, że raubenowie kierują się do Carris i że tam gdzieś właśnie chcą odnaleźć krew wiernych.

Biedny Roland, pomyślała. Mam nadzieję, że rychło zdoła się stamtąd wydostać.

Ona zaś chciała jak najszybciej dołączyć do Króla Ziemi. Uznała, że szybciej tego dokona, jeśli skieruje się ku góróm. Na najbliższych rozstajach skręciła na wschód i pobięła błotnistą drogą ciągnącą się wzdłuż kanału.

Wiedziała, że stając po ziemi, zostawia ślad swojej aury, który raubenowie mogli postrzegać jako widome, jasne plamy. Tyle że ślad ów powinien zniknąć po półgodzinie, a same odciski stóp niewiele dla tych potworów znacząły. Czyli wytropić mogłyby ją jedynie na węch.

Gdy Averan była mała, Brand opowiadał jej, jak pomagał swemu panu oszukiwać lisy podczas polowania.

Diuk Haberd zwykł był płacić myśliwym za schwytane lisy. Podsuwał je potem swoim ogarom, by jak najlepiej zapamiętały zapach zwierzyny. Tak zatem lisy, które chciały przeżyć na jego dobrach, musiały być naprawdę przebiegłe.

Gdy psy się zbliżały, taki lis zrywał się do biegu i tak długo kreślił na ziemi kółka i ósemki, aż pokrył swoimi poplątanymi tropami znaczny obszar. Psy gubiły się wówczas i zaczynały gonić za własnymi ogonami. Lis znajdował wtedy jakiś pagórek i kładł się za krzakiem, skąd obserwował, czy psy nie biegną w jego kierunku.

Raubenowie przypominają trochę ogary, pomyślała Averan. Wyprowadzę więc ich w pole. Pobięła wzdłuż kanału, ale nie prosto. Przez dwie godziny co rusz zbaczła i krążyła po poboczu.

Wciąż znajdowała się na równinie na wschód od Carris, ale widziała niewiele ludzkich osiedli. Znała te okolice z map, wiele razy, też nad nimi przelatowała. Dalej zaczynały się wzgórza i dolinki, zapowiedź gór Heist, gdzie mogła znaleźć schronienie. Nie przypuszczała, by raubenowie chcieli ścigać ją aż na zimne, górskie zbocza.

Gdy ujrzała, że zbliża się do końca kanału, skręciła jeszcze w las. Pokrążyła trochę, w tym również po własnych śladach, wspięła się na kilka drzew, a po każdym przeciągała kijem, zostawiając ostrzegawczy znak.

Gdy z nieba zaczął padać chłodny kapuśniaczek, pobięła z powrotem nad kanał i skoczyła do wody, by przepłynąć na drugi brzeg.

Wiosna poszła w jej ślady. Skoczyła trochę niezgrabnie i zaraz wyszło na jaw, że Averan nie wszystko jednak wzięła pod uwagę.

Zielona nie umiała pływać. Najpierw narobiła masę plusku, a potem poszła pod wodę. Wychynęła po chwili i rozejrzała się przerażona w poszukiwaniu czegoś, czego mogłaby się złapać.

Averan zawróciła do niej, ale bez darów płynęła powoli. Gdy w końcu dotarła do kobiety, zielona od razu się na nią wdrapała i wcisnęła pod powierzchnię.

Dziewczynka próbowała się wyrwać, ale Wiosna była za silna i nie miała najmniejszego zamiaru puścić opiekunki. Averan musiała więc działać sposobem. Zanurkowała aż do błotnistego dna i odbiwszy się od niego, odpłynęła w bok.

Po chwili była wolna. Wyskoczyła na powierzchnię i zaczerpnęła głęboko powietrza. Zielona młóciła wodę tuż obok, co i tak jej nie pomogło, bo po chwili zniknęła. Zapewne po raz ostatni.

- Wiosno! - krzyknęła przerażona dziewczynka. - Wiosno!

Powierzchnia wody z wolna się uspokajała.

Przez parę chwil Averan zastanawiała się, co robić. Potem Wiosna nagle wypłynęła.

Averan zbliżyła się do niej, złapała za poły niedźwiedziego futra i zaczęła holować nieprzytomną kobietę do brzegu. Tam obróciła ją do góry twarzą i wyciągnęła częściowo na błoto.

Zielona rozkaszała się i zapłakała jak dziecko. Gdy wykrztusiła już błotnistą wodę, Averan pomogła jej wspiąć się na przeciwległy brzeg i rozejrzała się w ciemności.

Ratując Wiosnę, straciła swój kij. Wprawdzie prąd w kanale nie był silny, ale przez ten czas zniósł je obie ze ćwierć mili w dół nurtu. Averan chętnie odzyskałaby kij, by dalej znaczyć drogą, ale wątpiła, czy zdoła odszukać go po nocy.

Wstała chwiejnie. Przypuszczała, że musi być jakieś osiem mil na zachód i sześć mil na południe od Carris. Chciała skrócić na północ, ale się bała. Widziała ognie płonące na wzgórzach na południe od miasta.

Zerwał się porywisty wiatr, a chmury zakryły całkiem niebo. Deszcz padał coraz większymi kroplami. Nie było szans na odszukanie kija.

Może będę miała szczęście i ten deszcz zmieni się w burzę, pomyślała. Wszyscy wiedzieli, że raubenowie boją się błyskawic, chociaż nikt nie rozumiał dlaczego. Averan potrafiła obecnie wyjaśnić i tę zagadkę. Nie chodziło o zwykły strach przed burzą. Nagły rozbłysk światła porażał wyrostki czuciowe potworów i sprawiał im fizyczny ból.

Jestem jedynym człowiekiem, który wie tyle o raubenach, pomyślała dziewczynka. Nikt nigdy jeszcze nie dokonał czegoś podobnego: jej pierwszej udało się sztuka przejęcia wspomnień potwora.

Niestety, chociaż deszcz padał coraz silniej, nic nie zagrzmiało.

Zmęczona paroma godzinami biegu Averan pociągnęła na zachód. Wykrzesła dość sił, by potrudzić jeszcze trochę, ale zielona nie wiadomo dlaczego zaczęła po jakimś czasie zostawać z tyłu. Krótco przed świtem usłyszały dziwny hałas dobiegający od strony Carris. Zaraz potem lekko zatrzęsała się ziemia, a obudzone ptaki rozćwierkały się, witając dzień. Averan pokręciła głową. Jak te opierzeńce mogą się radować w tak podłą pogodę?

Robiło się już jasno, gdy zobaczyła zalesione wzgórze wyrastające na północ od drogi i uznała, że pora odegrać rolę lisa do końca.

Zanurkowała w wysokie paprocie między dębami i ułożyła się za wielkim pniem, by poczekać na wschód słońca. Pomyślała, że jeśli raubenowie nie stracili jej śladu, to zdoła wypatrzeć tropiących z odległości co najmniej paru mil.

Wiosna położyła się obok. Averan rozchyliła jej futro. Ciągle było wilgotne, ale gdy dziewczynka wpełzła pod nie i przytuliła się do zielonej, zaraz zrobiło się jej mile ciepło.

ZIMNY WIATR NAD CARRIS

Godzinę przed świtem wiatr dmuchnął mroźnie z północnego wschodu i przyniósł tyle niskich chmur, że zrobiło się jeszcze ciemniej.

Raj Ahten stał na krańcu grobli pomiędzy jasnymi postaciami tkaczy płomieni i kapał się w blasku, który rozpraszał mgłę dookoła. Patrzył na ludzi na murach, a za nim czekała cała jego armia.

Gdy Paldane potraktował go ostrym słowem, obrońcy uderzyli orężem w tarcze na znak, że zgadzają się z wodzem. Ahten zignorował diuka i spojrzał na mury. Rolandowi zdało się, że Wilk wbił oczy prosto w niego. Przez chwilę próbował wytrzymać jego spojrzenie, ale nie mógł. Opuścił głowę. Poczł się mały i słaby, wręcz żalony. Inni musieli odnieść podobne wrażenie, gdyż rychło zapadła cisza.

- Chwalebny gest - powiedział Ahten do diuka. Gdzieś z gęstniejących przed świtem mgieł doleciało granie indhopalskich rogów. Rozgrzmiały też bębny. Olbrzym za Wilkiem spojrzał na południe, a rumaki zaczęły nerwowo przebierać kopytami.

- Grają na odwrót - powiedział zdumiony baron Poll. Coś skłoniło odległe z pięć mil od zamku oddziały Ahtena do ucieczki. Czyżby wolni rycerze? A może zjawili się wreszcie wojownicy z Tide?

Nagła nadzieja wstąpiła w serca obrońców.

- Król Ziemi nadchodzi! - krzyknął ktoś na wyrost. - Strach ich obleciał!

Z mgły wynurzyły się trzy stworzenia przypominające trochę nietoperze. Przemknęły obok głowy Rolanda. Były jednak za małe na gacki i poruszały się o wiele mniej płynnie. Młodzieniec poznał grisy, istoty z podziemi, które rzadko wyglądały na powierzchnię.

- Odejdź! - krzyknął ponownie Paldane do Ahtena. - Nie znajdziesz tu schronienia! Łucznicy!

Wilk uniósł dłoń, rozkazując łucznikom tym gestem, by chwilę się jeszcze wstrzymali. Chociaż inne konie tańczyły zaniepokojone, jego wierzchowiec stał bez ruchu.

- To nie Król Ziemi nadchodzi z południa - powiedział dość głośno, by wszyscy na murach mogli go słyszeć. Rolandowi zdało się, że Wilk wtlacza mu słowa wprost do głowy. Każde budziło coraz większy strach. - Nie są to posiłki dla was ani też dla mnie. Diuk wie, co nadciąga z południa. Posłańcy z wieściami dla niego przejechali przez nasze linie. Raubenowie wychodzą spod ziemi w dziesiątkach tysięcy. Będą tutaj, nim minie godzina.

Rolandowi serce zamarło, poczuł nagłą suchość w ustach. Raubenowie! Przez tysiąc sześćset lat nie doszło do żadnej większej bitwy między ludźmi a tymi potworami. Roland słyszał jedynie opowieści przybyszów z pogranicza Alcairu, gdzie raubenowie zabijali czasem kogoś lub porywali do podziemnych legowisk, by później go pożreć.

Nigdy jednak za nowożytnych czasów nie zaatakowali w masie jakiegokolwiek fortecy. Pierwszy raz zdarzyło się to całkiem niedawno w Haberd.

Roland po dwakroć wołałby już walczyć z Wilkiem niż ze stadem raubenów. Koniec końców, nawet najpotężniejszego wojownika można było rozciągnąć czasem jednym szczęśliwym uderzeniem, podczas gdy rauben był wyższy niż słoń i mało która broń się go miała. Zwykły człowiek nie miał z nim żadnych szans.

Polą wkoło Carris ciągle spowijała gęsta mgła, ale Roland usłyszał dobiegający z oddali sykliwy szum przypominający łoskot fal załamujących się na piaszczystej plaży. Mury miasta zdrząły lekko.

- Nie macie dość prawdziwych wojowników, by obronić wyspę przed raubenami! - zawołał Raj Ahten. - Ale ja mam ich wielu! Ukłękniście przede mną! Oddajcie hołd waszemu panu i władcy! Otwórzcie bramy! Uznajcie mnie, a ja was obronię!

Bez chwili namysłu, nie dokonując żadnego świadomego wyboru, Roland przyklęknął. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłby postąpić inaczej.

Ludzie wiwatowali. Wielu wyciągnęło broń i potrząsając nią w powietrzu, oddawało się pod komendę Wilka.

Paldane stał na szczycie baszty ponad bramą. Dłoń zacisnął na rękojeści miecza. Mały i całkiem bezradny... Wszyscy go porzucili i został sam przeciwko Rajowi Ahtenowi. Czyżby nie dostrzegali, że Wilk ma rację? zastanawiał się Roland. Czyżby był aż taki głupi? Przecież bez pomocy wielkiego wodza wszyscy tu zginiemy.

Młodzieniec przyłączył się do radosnego chóru.

Po chwili szczęknęły łańcuchy i opuszczono most zwodzony. Raj Ahten wjechał do Carris niczym zwycięzca i zaraz wziął się do wydawania rozkazów.

- Obsadzić groble. Rozproszyc mgłę, żebyśmy mogli ich widzieć.

Tkacze płomieni zaczęli kreślić ogniste runy w powietrzu i mgła przerzedziła się wkoło nich, opadła i cofnęła, tak że oddziały wchodzących do miasta olbrzymów brodziły w niej po pas, a jeźdźcom jedynie głowy wystawały ponad opar.

Z dala dobiegały ludzkie krzyki i rzenie przerażonych koni. Rogi grały cały czas do odwrotu. W tle tych wszystkich odgłosów dawało się słyszeć posykiwanie powietrza wypchanego z trzewi raubenów i łomot tysięcy kościanych łap stawianych z impetem na kamieniach.

Raubenowie naprawdę nadchodzili, oddziały Raja Ahtena starały się wyprzedzić ich we mgle. Nadciągały długą kolumną. Na czele widać było ponurych i zmęczonych jeźdźców na dumnych rumakach. Szczęk zbroi i huk kopyt przygłuszył wiwaty.

Roland wyjrzał spoza blanków. Wprawdzie tkacze płomieni robili, co mogli, ale całkowite rozproszenie mgły musiało trochę potrwać. Ziemia była wilgotna, a ranek i tak mglisty, toteż opary snuły się na wiele mil wokoło.

Można było tylko czekać w strachu. Na dodatek w pewnej chwili zaczął padać zimny deszcz, który przemoczył Rolandowi tunikę. Ludzie w pobliżu zaczęli osłaniać głowy tarczami, jakby to nie krople wody były, lecz ulewa strzał. Mały skórzany hełm Rolanda nie miał nakarczka i woda kapała mu za kołnierz.

Nad miastem przemykały kolejne grisy, teraz w stadach liczących nawet setki sztuk. Tkwiącemu pomiędzy przyziemną mgłą i nisko zwieszającymi się chmurami Rolandowi zdało się w pewnej chwili, że to sen, a nie jawa. Wkoło zaczęły łopotać też spłoszone całym zamieszaniem gołębie, kruki, wrony i mewy.

W miarę jak słabł efekt działania potężnego głosu Raja Ahtena, młodzieniec coraz bardziej się trząsał, aż w pewnej chwili pojął, że właśnie oddali miasto bez walki.

- I co teraz? - spytał barona. - Czy to znaczy, że będziemy musieli walczyć z Królem Ziemi, gdy się zjawi?

- Chyba tak - mruknął Poll i splunął we mgłę. Sądząc po flegmatycznej postawie, wielki szlachcic już wcześniej zrozumiał, do czego doszło.

- A ja nie będę z nim walczył - jęknął Roland. - Nie będę walczył z Królem Ziemi!

- Zrobisz, co ci rozkażą - stwierdził baron. - Raj Ahten każe ci przysiąc wierność i nie będziesz miał wyjścia.

No tak. Gdy Wilk już usadowi się w mieście, da żołnierzom prosty wybór: służba albo śmierć.

- Jestem poddanym Ordenu. Nie zostanę zdrajcą! Nie uniosę miecza na mojego króla!

- Nikt cię nie spyta o zdanie! - rzucił baron. - Jeśli masz trochę oleju we łbie, to przysięgniesz Wilkowi co trzeba, a potem jak najszybciej podziękujesz mu za służbę.

- Nigdy nie twierdziłem, że jestem mądry - mruknął Roland. Nie potrafił czytać ani liczyć, nie umiał się nawet dorzecznie odgryzać podczas sprzeczek z byłą żoną, a pod Carris pobłądził tak, że omal nie został tam na zawsze.

Jednak zawsze był lojalny.

- Słuchaj - warknął na niego baron - złóż przysięgę, ale gdy przyjdzie Król Ziemi, nie przesadzaj z wiernością Ahtenowi. Nikt nie powiedział, że masz walczyć z nimi na śmierć i życie. Ot, potrząsniesz mieczem, gdy podejną pod mury i zawołasz, by sobie poszli. A że oni się tobą nie przejmą, to nie twoja wina.

- Już lepiej, żeby Wilk sobie stąd poszedł! - krzyknął Roland, sięgając po broń.

Niemniej gdy wojownicy Wilka pojawili się na murach, Roland nie próbował się wychylać. Skulił się pod murem i kolejny raz zatęsknił za swoim futrem. Zrobiło mu się jeszcze zimniej niż w nocy. Niebawem zdrętwiał cały i zobojeźniał.

Minęło prawie pół godziny, a wojsko Ahtena zjeżdżało się ciągle do zamku i końca nie było widać tego pochodu. U krańca grobli tkacze płomieni wyrysowali w powietrzu ogniste rany i pchnęli wiszące nieruchomo znaki w głąb łądu. Zniknęły, ale granica mgły zaczęła się odsuwać coraz dalej od murów. Niezbyt szybko wprawdzie, bo w tempie porównywalnym do biegu zwykłego człowieka, ale jednak.

Przez cały ten czas posykiwanie raubenów stawało się coraz głośniejsze, a głuchy tętent ich nóg urastał z wolna do gromowej mocy.

Ze dwie mile od zamku zagrały rogi i konie zarżały w panice. Słysząc było liczny oddział galopujący najpierw na południe, potem na zachód. W końcu uciekający skręcili na północ.

- Już po nich! - krzyczeli ludzie na murach. - Zgubili się! Zostali odcięci!

Roland współczuł krążącym we mgle. Wiedział, jak łatwo wpaść wtedy w panikę i zgubić się ostatecznie.

Wstrzymując oddech, czekał, aż mgła cofnie się bardziej i odsłoni coś więcej niż tylko zielone pola, kryte strzechą domy z ogrodami, stogi, sady, pastwiska i malownicze kanały. Przytulona do cembrowiny studni kaczka krzyżówka uniosła łeb do nieba i zamachała skrzydłami cała radosna, że znowu zrobiło się jasno.

Sielski krajobraz nijak nie pasował do dobiegających z dali odgłosów walki i wzmagał jeszcze przerażenie Rolanda. Z murów zagrały rogi, mające wskazać zagubionym indhopalskim wojownikom drogę do miasta. Kto je usłyszał, zaraz zawracał konia we właściwym kierunku, ale co rusz słysząc było, jak jakiś wierzchowiec się potyka i pada w grzechocie zbroi.

Pierwsze oddziały wychyły z mgły, gdy jej granica odsunęła się na jakieś pół mili od murów Carris.

Nie byli to Niezwyciężeni, ale zwykli żołnierze. Łucznicy z wielkimi łukami, wszyscy w białych burnusach i lekkich, skórzanych zbrojach. Potem pojawili się artylerzyści w mosiężnych bębnach, którzy za całe boczne uzbrojenie mieli tylko sztylety. I czeladź obozowa, co zwykła raczej czyścić zbroje, niż je nosić.

Krótko mówiąc, była to tylna straż armii Raja Ahtena, zwykle oddziały wsparcia, które zabrano z Indhopalu po to, by obsadzać nimi zdobyte miasta. Większość maszerowała na własnych nogach i tylko dowódcy mieli konie. Ujrzawszy zamek, zaraz skierowali wierzchowce galopem w jego stronę. Umykając w dzikiej panice, całkiem zapomnieli o podwładnych.

Piechota podniosła wielki krzyk. Przez wioski i pola ruszyła biegiem ku grobli. Były dalej od coraz głośniejszego posapywania przedzierających się przez mgłę raubenów.

W powietrzu zapachniało kurzem i krwią. Wprawdzie wróg pozostawał wciąż niewidoczny, ale wiadomo już było, że gdzieś tam wre bezpardonowa walka o życie.

Zagrały kolejne rogi. Żołnierze na murach zagrzewali ze dwadzieścia tysięcy uciekającej ku miastu piechoty do większego wysiłku.

Wtedy pojawili się raubenowie.

Z mgły wypadł najpierw tylko jeden. Opar ciągnął się za nim, jakby to nie mgła była, ale ogień. Roland patrzył na niego przerażony.

W żaden sposób nie przypominał żadnego stworzenia zrodzonego na powierzchni ziemi. Był to zwykły wojownik, co można było poznać po braku runów na grzbiecie. Biegł na czterech kończynach, dwie przednie zachowując do walki. Najbardziej kojarzył się z gigantycznym krabem. Jego korpus był z wierzchu granitowe szary, od spodu zaś pokrywały go nieco jaśniejsze plamy. Kanciasty łeb miał wielki jak wóz. Na potylicy falowały wyrostki czuciowe, z dołu widać było lśniącą kwarcowymi zębami mordę. Brakło mu oczu, uszu i nozdrzy.

Poza szumem oddechu nie wydawał żadnych odgłosów. Biegł tylko między uciekającymi żołnierzami. Przemieszczał się trzy razy szybciej niż którykolwiek z nich. Przypominał owczarka zamierzającego zagrozić drogę spłoszonemu stadu. Na razie nikogo nie zabijał.

Stanął dopiero blisko murów, gdy doścignął już przednie szeregi umykających. Wtedy się obrócił i wziął się do dzieła.

Uniósł trzymany w łapach młot: sześćset funtów metalu osadzonego na rękojeści z czarnej stali. Ludzie zwali ten oręż „młotem na bohaterów”, gdyż ktokolwiek poden wszedł, zaraz ginął w chwale.

Bestia zamachnęła się orężem tuż na ziemię, nie dotykając wszakże gruntu. Całkiem jak potężny kosiarz pracujący na łące. Pięć ciał wyrzuciło wysoko w powietrze. Nie wszystkie były kompletne. Czyjaś głowa doleciała aż do jeziora i wpadła do niego z pluskiem.

Niektórzy wyciągnęli broń, by wywalczyć sobie przejście, inni rzucili się na ślepo do ucieczki. Ten i ów próbował ukryć się między domami albo w zaroślach.

„Młot na bohaterów” unosił się tylko i opadał. Rauben posługiwał się nim z niekwestionowanym wdziękiem. Rolandowi ledwie mieściło się w głowie, że tak wielka bestia może poruszać się z podobną gracją. W jednej chwili zgładziła z pięćdziesięciu ludzi. A przecież to był dopiero początek...

Roland zamarł ze zgrozy. Ledwo mógł złapać oddech, a serce biło mu tak głośno, że chyba wszyscy musieli to słyszeć. Obejrzał się na boki, czy nie wychodzi przypadkiem na wielkiego tchórza. Młodzieniec stojący obok niego był blady, ale stał twardo, zacisnąwszy szczęki. Dopiero po chwili Roland dostrzegł kałużę rosnącą wkoło jego nóg i strumyk moczu sączący się z prawej nogawki.

Od strony barbakanów rozległ się zgrzytliwy dźwięk i w powietrze wzleciały dwa pociski z balist. Przypominały wielkie strzały, tyle że wykonano je ze stali i ważyły po trzydzieści funtów każda. Upadły za blisko, rażąc uciekających wojowników, a artylerzyści zgrzytnęli kołowrotami, by ponownie załadować maszynię.

- Wstrzymajcie się parę chwil, aż rauben wejdzie w zasięg! - krzyknął do nich celowniczy.

Przez te parę chwil zginęło kilka setek ludzi, a obrońcy na murach zaczęli krzyczeć: „Patrzcie! Patrzcie!”

Na skraju oparu pojawili się kolejni raubenowie. Nie kilku czy kilkuset, ale kilka tysięcy. Wszyscy byli uzbrojeni. Niektórzy nieśli gigantyczne miecze, inni młoty, a inni jeszcze monstrualne włócznie z osadzonymi u grotów hakami. Tu i ówdzie pośród nich widać było magów, tak gęsto pokrytych ognistymi runami, że ich postacie jaśniały niczym oplecione płomieniami. Nieśli kryształowe laski, które świeciły własnym blaskiem.

Mury zadrżały od huku zderzających się chitynowych pancerzy. Rolandowi zadzwoniło w uszach od wrzasków przerażonych obrońców. Nogi zrobiły mu się nagle jak z waty, a po chwili poczuł ciepło rozplywające się po spodniach.

- Na Moce! - krzyknął baron Poll.

Ludzie zaczęli skakać z murów do jeziora. Woleli już utonąć, niż spotkać się z raubenami.

- Błagam was, uspokójcie się! - zawołał stojący w pobliżu mężczyzna obdarzony głosem godnym miejskiego herolda. - Nie załamujcie się! Zachowajcie czujność i nadzieję! - ciągnął, jakby mu rozum odjęło. - Jestem pewien, że wyjdziemy z tego cało!

Roland zastanowił się przelomie, czy mężczyzna naprawdę próbuje dodać im odwagi, czy może zamarzyło mu się stawić czoło śmierci w legendarnym rycerskim stylu, czyli beztrosko i ze swoistym poczuciem humoru.

Zdaniem Rolanda sytuacja dojrzała do tego, by wpaść w panikę. Jednak gdy baron obejrzał się nań w bladym blasku świtu, Roland uznał, że przyjacielowi chyba co innego chodzi po głowie.

- Jeśli ktoś chce sobie jeszcze pooddychać, to niech się spieszy! - krzyknął gruby rycerz. - Ostatnia okazja!

Godzinę po wschodzie słońca na strzelnicy pojawił się chłopak ze zdeformowaną nogą, ale wbrew oczekiwaniom Myrrimy nie przyniósł wiadomości, że pora siadać na koń. Powiedział tylko, że Ioma oczekuje swej przyjaciółki w Warowni Darczyńców.

Pospieszyła do jej wysokości. Zamek Groverman kąpał się w promieniach słońca, idealnie błękitne niebo zapowiadało pogodny dzień. W oddali krążyły rybołowy.

Z dziedzińca warowni roztaczał się szeroki widok na równinę. Srebrzysta nitka Krętej Rzeki wiła się między pełnymi stogów polami i pagórkami, na których przycupnęły gospodarstwa. Wrzosowiska znaczyły punkciki wypasanego bydła i koni.

Przed warownią siedziały całe gromady gołębi. Myrrima spojrzała na piaskowcowe mury, które nie dorastały wysokością do umocnień zamku Sylvarresta. Chociaż tutejsza Warownia Darczyńców była rozległa, z wielkim dziedzińcem, nie została przewidziana na więcej niż kilkuset podopiecznych.

Im bliżej Myrrima podchodziła, tym wyraźniej słyszała coś dziwnego: z wnętrza warowni dobiegała muzyka. Mimo wczesnej godziny wkoło rozlegały się dźwięki piszczałek, bębnów, tamburynów i lutni. Oraz śpiew. Darczyńcy się bawili. Oczywiście nie wszyscy, tylko ci, którzy byli do tego zdolni.

Zaraz pod bramą Myrrima natknęła się na grupkę gapiów, którzy spoglądali na dziedziniec. Gdy ich mijiała, jakaś starsza kobieta wyszeptwała:

- To ta, która zabiła czarnego glory'ego. Teraz nazywają ją Dumą Heredonu.

Myrrima poczuła, że się rumieni.

- Całą noc ćwiczyła z łukiem - dodała inna, młodsza kobieta. - Słyszałam, że z dwustu kroków trafia nurkującego jastrzębia w oko. Teraz ma zabić samego Raję Ahtena!

Jastrzębia w oko! pomyślała Myrrima, pochylając głowę. Zaiste! Na razie mam szczęście, że się we własny łuk nie zaplątałam!

Weszła na dziedziniec i ujrzała ze zdumieniem, że wszyscy darczyńcy wylegli na trawę. Na stołach piętrzyły się stopy placków i ciast, obok stały naczynia z napitkami. Ci, którzy oddali krzepę, zręczność czy metabolizm i niezbyt mogli się poruszać, siedzieli w cieniu wielkiego dębu, inni zaś tańczyli.

Ślepcy poruszali się ostrożnie, by nie przydeptywać innym stóp, głusi i niemi skakali jak umieli, nie zawsze do taktu. Ci bez rozumu szaleli wręcz w galopce.

Myrrima stała dłuższą chwilę, oswajając się z tym widokiem.

- Dlaczego oni tańczą? - spytała siedzącego na ziemi ślepcę, który opychał się ciasteczkami i popijał wino z butelki. Miał pomarszczoną twarz i włosy w strąkach. - Hostenfest skończyło się dwa dni temu.

Ślepiec uśmiechnął się.

- Taka tradycja! - odparł, przepijając winem. - Dziś nasi panowie ruszają na wojnę!

- Tradycja? - powtórzyła Myrrima. - Darczyńcy zawsze bawią się przy takich okazjach?

- No. Napij się.

- Nie, dziękuję - mruknęła Myrrima. Nigdy nie słyszała o podobnym zwyczaju, chociaż nigdy też za jej życia Heredon nie szykował się do wojny.

Spojrzała na warownię i jej wysokie baszty. Gdy ktoś już tu wszedł, tracił kontakt ze wszystkim, co zostawało na zewnątrz. Myrrima nie uświadamiała sobie dotąd, że mieszkający w warowni darczyńcy żyli w całkiem innym świecie. Nie pomyślała nigdy wcześniej, że jest w nim też miejsce na zabawę.

- Cały dzień tak będzie? - spytała.

- No. Aż do bitwy.

- Rozumiem... Jeśli twój pan dziś zginie, odzyskasz wzrok. Jest co świętować.

Ślepiec nastroszył się, jakby ktoś mu nawymyślał.

- Aleś ty prostacka! Świętujemy, bo dziś to my ruszamy do walki! - uderzył się pięścią w mostek. - Dziś mój pan, diuk Groverman, skorzysta z moich oczu. Gdybym mógł, sam chętnie

stanąłbym u jego boku! - Wylał odrobinę wina na ziemię. - Ta libacja jest po to, żeby uprosić ziemię: niech Groverman wraca zwycięski, by kiedyś znów mógł stanąć do walki! Niech żyje diuk Groverman! - Uniósł butlę i pociągnął potężnie za zdrowie diuka.

Myrrima pojęła, że palnęła głupstwo. Uraziła tego mężczyznę, chociaż wcale nie miała takiego zamiaru.

Pod murem, z dala od śpiewaków, ujrzała Iomę stojącą w otoczeniu trzech tuzinów wieśniaków. Trzymali się za ręce i okrążali ją z wolna, a Ioma coś mówiła. Dwóch minstrelów wygrywało cicho na piszczałce i bębnieku pradawny marsz.

Myrrima zrozumiała natychmiast, co się dzieje. Gdy jakiś rycerz potrzebował darów, szedł do darmistrza, który przechowywał listę wszystkich potencjalnych dawców. Wzywał ich wówczas na spotkanie z wojownikiem, a ponieważ akt darowania musiał przebiegać w pełni dobrowolnie, rycerzowi nierzadko przychodziło opowiedzieć najpierw, jaka to potrzeba sprowadziła go do Warowni Darczyńców. Przynależał dobrze wykorzystać dary i opiekować się tymi, którzy zgodzą się mu służyć, oraz ich rodzinami.

Nie było zatem nic dziwnego w tym, co mówiła Ioma:

- Proszę was nie tylko we własnym imieniu. Ziemia przemówiła do mojego męża i ostrzegła go, że wszystkim ludziom grozi zagłada! Jeśli podejmiemy walkę, to nie tylko dla siebie, lecz i dla całego rodzaju ludzkiego!

- Wybacz, wasza wysokość, ale nie jesteś wojownikiem! - zawołał jeden z mężczyzn z kręgu. - Może mój dar bardziej przydałby się rycerzowi?

- Masz rację - odparła Ioma. - Nie jestem wojownikiem, mało co ćwiczyłam poza fechtunkiem i chociaż z darem krzepy mogłabym unieść nawet młot, to jednak nie o tym myślę. Wiem, że brak mi wprawy. Jednak szybkość może czasem wyrównać niedostatki treningu. Dlatego nie o krzepę proszę, ale o metabolizm.

Potencjalni darczyńcy aż sapnęli ze zdumienia.

- Czemuż? Chcesz umrzeć młodo? - spytała starsza kobieta z kręgu.

Myrrimie zrobiło się żal Iomy. Sama nigdy nie uczestniczyła w podobnej ceremonii i powątpiewała, czy byłaby do tego zdolna. Rzadko znajdowała w podobnych chwilach właściwe słowa i zapewne nie zdołałaby przekonać obcych ludzi, by oddali jej to, co mają najcenniejszego.

- Noszę w sobie królewskiego syna - wyjaśniła Ioma. - Wczoraj, gdy czarny glory przybył do zamku Sylvarresta, to jego chciał zabić, a nie mnie. Jeśli wszystko pójdzie jak trzeba, księżę przyjdzie na świat na początku lata. Gdybym przyjęła dość darów metabolizmu, mogłabym skrócić ten czas nawet do sześciu tygodni.

Mądrze, pomyślała Myrrima. Potencjalni darczyńcy mogli teraz pojąć, o co jej chodzi. Chciała zostać wojownikiem i poświęcić swe życie synowi. To mogło ich poruszyć.

Starsza kobieta spojrzała uważnie na królową, wyszła z kręgu, zbliżyła się do Iomy i przyklękła.

- Mój metabolizm należy do ciebie, pani. I do twojego dziecka. Inni jednak krążyli dalej i nie ustawiali w zadawaniu pytań. Ktoś poklepał Myrrimę po plecach. Obróciła się i spojrzała w oczy najroślejшему chyba mężowi, jakiego w życiu spotkała. W jego cieniu mogłoby spocząć co najmniej tuzin ludzi i trudno było wyobrazić sobie konia zdolnego go udźwignąć. Już prędzej on mógłby ponieść rumaka. Sądząc po otaczającym go żywicznym zapachu, musiał być drwalem. Nosił skórzaną kamizelkę bez koszuli pod spodem i widać było, jaki jest muskularny. Wyglądał na trzydzieści kilka lat. Uśmiechnął się spoza brody do Myrrimy.

- Czy to ty, pani? - spytał z wyraźnym szacunkiem.

- A kogo szukasz?

- Czyś to ty zabiła czarnego glory'ego?

Myrrima pokiwała głową. Niezbyt wiedziała, co powiedzieć komuś, kto traktował ją tak czołobitnie.

- Widziałem go - stwierdził wielkolud. - Przefrunął mi jak raz nad głową. Poczernił niebo na mile. Nie myślałem, że ktoś może go zabić.

- Zastrzeliłam go z łuku - odpowiedziała Myrrima i zreflektowała się, że przyciska onże łuk do piersi, jakby chciała się nim zasłonić. - Gdybyś tam był, zrobiłbyś to samo.

- Ha! Za diabła! - Mężczyzna się uśmiechnął. - Ogon bym pod siebie podkulił i do teraz bym uciekał.

Myrrima uznała to za komplement. Zresztą drwał miał rację. Prawie wszyscy mężowie uciekli przed potworem.

- Będziesz, pani, potrzebować nowego haku - powiedział wielkolud, jakby nie starczało mu śmiałości albo rozgarnięcia, by kontynuować poprzedni temat.

Myrrima spojrzała na swoją broń. Czyżby ją uszkodziła?

- Co masz na myśli?

- Będziesz potrzebować stalowego łuku - stwierdził tamten. - Ten to ja jedną ręką na dwoje mogę...

Wtedy zrozumiała. Jej reputacja, jakkolwiek niezasłużona, poprzedziła ją i obrosła w taką legendę, że ten olbrzym gotów był od razu oddać jej dar krzepy. Wielu rycerzy zapłaciłoby za podobny prezent nawet pięćdziesiąt sztuk złota, czyli sumę równą dziesięcioletnim zarobkom kogoś, kto żył z pracy własnych rąk.

- Rozumiem - mruknęła zdumiona Myrrima. Nie śmiała wyjawiać, że we własnym przekonaniu nie jest godna równie wielkiego podziwu. Co więcej, zdawała sobie sprawę, że jeśli przyjmie ten dar, urośnie w oczach olbrzyma na jeszcze większą bohaterkę.

Kilku innych wieśniaków, którzy dotąd chowali się za plecami drwala, podeszło teraz bliżej i Myrrima zrozumiała jeszcze jedno. Ten mały tłumek, który widziała przy bramie, to byli ludzie czekający nie na kogo innego, ale właśnie na nią. Chcieli ofiarować jej swoje dary.

W odróżnieniu od Iomy, „Duma Heredonu” nie musiała nikogo do niczego namawiać.

Świt zastał Gaborna daleko na nizinach Fleeds, pośród pagórków i zwieńczonych skarłatymi sosnami skał, które czuwały przy drodze niczym pradawni wartownicy. Co rusz natykał się na pasterskie szałas i ogrodzone kamiennymi murkami pastwiska. Światło gwiazd kapało okolicę w srebrzystym blasku.

Młodzieniec nie śmiał jechać zbyt szybko po nocy. Nawet zagrożenie Carris nie było warte wystawiania wojska na zbyt wielkie ryzyko w nieznanym terenie. Gaborn przyjął już wprawdzie nowe dary, ale przy upadku z konia mógł skrócić kark równie łatwo jak zwykły człowiek.

Niemniej czuł, że znowu rośnie w siłę. W niecałą godzinę otrzymał w zamku Groverman po jednym darze krzepy, metabolizmu, zręczności i sił życiowych. Potem wyjechał czym prędzej, powierzając darmistrzowi zadanie wyszukania dla niego kolejnych chętnych. Nie owijając w bawelnę, powiedział, że przed zapadnięciem zmroku będzie potrzebował ich ze czterdziestu, a darmistrz obiecał, że zrobi, co do niego należy.

Teraz z każdą mijającą godziną czuł się coraz lepiej. Wracąca mu dawna sprawność.

Wprawdzie niezmiennie uważał, że to, co czyni, jest złe, musiał jednak przyznać, iż zło bywa czasem miłe. W pewnej chwili przyłapał się nawet na myśli, że skoro Raj Ahten zamierza zostać dzięki drenom Sumą Wszystkich Ludzi, to czy i on nie mógłby spróbować tego samego?

Niemniej odpędził szybko ten pomysł. To byłoby niegodne króla.

Obok niego jechał czarnoksiężnik Binnesman, a za nim pięciuset zbrojnych z Orwynne i Heredonu. Gaborn zadbał, żeby jego Dziennik otrzymał rączego konia, tak więc również kronikarz nie zostawał w tyle.

O świcie Gaborn spojrzął ze wzgórza na ciągnącą się przed nim, osnutą porannymi mgłami równinę. Żłociste słońce wyglądało właśnie zza horyzontu.

- Kwadrans postoj! - zawołał, widząc w pobliżu spokojne podłużne jeziorko o brzegach porośniętych dzikim owsem, purpurową wyką i żłocistym nostrzykiem. Lodowata woda była cudownie czysta, widać było krążącego nad kamienistym dnem wielkiego jesiotra.

Żółte skowronki śpiewające na wierzbach przy drodze zerwały się spłoszone przybyciem tylu jeźdźców.

- Napoić i podkarmić konie - polecił Gaborn. - Jeśli dobrze pogonimy, za godzinę będziemy w Tor Doohan. Stamtąd pojedziemy prosto na południe i może sporo przed wieczorem uda nam się dotrzeć do Carris.

- Czy musimy się tak spieszyć, panie? - spytał sir Langley. Carris było za daleko, by jakkolwiek posłaniec mógł przybyć stamtąd przed upływem całego dnia. Gaborn jednak nie potrzebował posłańców.

- Tak. Myślę, że Raj Ahten jest już na murach. Przed chwilą moi wybrani znaleźli się w wielkim niebezpieczeństwie. Potem wrażenie się cofnęło, jednak teraz wraca. Coś ich osacza.

Rycerstwo rozgadało się na takie wieści. Każdy chciał się wypowiedzieć w kwestii strategii. Raj Ahten zasłynął już z błyskawicznego zdobywania fortec, ale niektórzy wierzyli, że Carris utrzyma się chociaż jeden dzień. Gdyby tak było, odpędzenie Wilka przedstawiałoby się o wiele łatwiej.

Nikt jednak się nie łudził, że miasto stawi mu dłuższy opór.

Zgadzano się powszechnie, iż gdyby Gaborn obiegnął Carris, zapewne szybko by je zdobył. Jednak czy da się to przeprowadzić? Mając tyle oddziałów rozlokowanych nad granicami, Wilk nie musiałby długo czekać na posiłki. Kilka dni, góra tydzień. A to znaczyło, że Gaborn musiałby w pewnej chwili wybierać między oblężeniem a odpieraniem oddziałów przybywających Wilkowi na pomoc.

Tak czy owak, szykowała się bitwa wielka i krwawa, niczym w legendzie. Władcy z całego Rofehavanu mieli zebrać się pod sztandarem Gaborna. Już teraz było wiadomo, że na placu boju stawi się rycerstwo Beldinooku, Fleeds, Heredonu i Mystarrii. No i jeszcze wolni rycerze. Z takimi siłami pokonanie Raja Ahtena nie powinno być szczególnie trudne. W gruncie

rzeczy Gaborn liczył po cichu na to, że Wilk zajmie Carris i uwięźnie tam niczym szczur w pułapce.

Niemniej i tak było się czym martwić. Gaborn czuł, jak śmierć próbuje podejść wszystkich, którzy towarzyszyli mu w wyprawie. Przed upływem tygodnia miało dojść do bitwy, jakiej świat od wieków nie oglądał. Obawiał się, że Raj Ahten szykuje jakiś podstęp. Coś uparcie podszeptowało mu, że wówczas nawet pomoc Lowickera i sióstr z Fleeds może nie wystarczyć.

Stanął na brzegu jeziora. Chciał być przez chwilę sam ze swoimi myślami. Spomiędzy skał wyrastały małe, żółte kwiatki. Zerwał jeden i przytrzymał w palcach. W dzieciństwie bardzo je lubił, mimo że były tak pospolite.

Tak jak ludzie, pomyślał. Wszyscy ci mężczyźni, kobiety i dzieci, z których każde było osobnym skarbem, Gaborn zaś miał szansę, uratować tylko nielicznych.

Jego Dziennik zbliżył się do brzegu jeziora i odrzucił kaptur, ukazując jasne, krótko przycięte włosy. Chudą twarz miał ściągniętą niepokojem. Ukląkł, nabrał wody w złożone dłonie i wypił kilka łyków.

- Co się dzieje w Carris? - spytał go Gaborn.

Uczony aż rozlał wodę z zaskoczenia, ale nie obrócił się do króla.

- Wszystko w swoim czasie, wasza wysokość - powiedział.

- Przecież nie da się całkiem beznamietnie pisać o śmierci tylu ludzi. Jakkolwiek byś się starał, coś jednak poczujesz. Wczoraj, gdy padła Błękitna Wieża, widziałem przerażenie na twoim obliczu.

- Jestem Świadkiem Czasów - odparł Dziennik. - Nigdy się nie angażuję.

- Śmierć uderzy na wszystkich w naszym oddziale. Podobnie jak czai się na setki tysięcy ludzi kryjących się w Carris. Będziesz się tylko przyglądał?

- I tak nie mogę mieć na to żadnego wpływu - stwierdził Dziennik i obejrzał się na Gaborna. Poranne słońce ukazało łzy błyszczące w jego oczach.

Co on chce powiedzieć? zastanowił się Gaborn. Że nie zechce czy że nie będzie mógł nic pomóc? Jeśli to drugie, to jaką diaboliczną pułapkę musiał zastawić tam na nas Raj Ahten, że nie można nic zrobić? Gaborn musiał dowiedzieć się czegoś więcej.

- Spytałeś mnie wczoraj, czy mógłbym kiedyś wybrać Dziennika - przypomniał. - Tak, mógłbym. Ale tylko wtedy, gdyby taki Dziennik gotów był pomagać swoim współpracownikom.

- Szukasz sposobu, wasza wysokość, bym przeszedł na twą służbę? - spytał historyk.

- Szukam sposobu, żeby uratować ten świat.

- Możliwe, że to daremne poszukiwania.

- To musi być szalenie wygodne tak przyglądać się i za nic nie być odpowiedzialnym - sapnął Gaborn. - Czynicie ze swojej obojętności wielką cnotę i udajecie przed nami, że nic nie może odmienić przeznaczenia.

- Próbujesz mnie rozzłościć, panie, bym złamał moje śluby? - spytał Dziennik. - Myślałem, że jesteś ponad to. Tracisz w moich oczach, wasza wysokość. Odnotujemy to w księdze twojego życia.

Gaborn pokręcił głową.

- Błaganie, udręka, szyderstwo i szantaż... O cokolwiek cię proszę, nie proszę dla siebie. I ostrzegam cię: nie wybiorę cię. Najpewniej zginiesz przed wieczorem, jeśli nie powiesz mi, co czeka na nas w Carris.

Dziennik zadrżał. Chociaż zacisnął szczęki i odwrócił twarz. Gaborn dowiedział się przynajmniej jednego: w Carris faktycznie działo się coś złego i było na tyle niebezpieczne, że Dziennik uwierzył, iż może zginąć. Jednak i tego może było za mało, by zdecydował się złamać śluby.

Kilka chwil później nad jeziorkiem zjawiała się Erin Connal. Jeszcze wieczorem napomknęła Gabornowi, że chce go przed czymś ostrzec, a teraz usiadła obok niego i powiedziała:

- Wasza wysokość, doszły mnie wieści o spisku przeciw tobie.

W krótkich zdaniach przedstawiła mu zarys planów króla Andersa, by zakwestionować prawo Gaborna do tronu. Młodzieniec nie posiadał się ze zdumienia. Nie bardzo rozumiał, cóż Anders mógłby na tym zyskać. Taki konflikt to przecież czyste marnotrawstwo!

Wcześniej wyobrażał sobie, że jego poddani połączą się we wspólnej radości, iż ziemia wybrała nowego króla. Tymczasem obecnie zdawało mu się, jakby ten kraj obrodził mniej lub bardziej zażartymi wrogami nie mniej bujnie niż brzeg jeziora wonnym kwieciem.

Poindagował jeszcze trochę Erin, która wstała w końcu i posłała po Celinora, aby król mógł bliżej poznać sprawę.

Gaborn kazał usiąść księciu obok siebie i wziął go na spytki.

- Erin wyjawiała mi, że twój ojciec spiskuje przeciwko mnie. Czy uważasz, że to poważne zagrożenie? I czy twoim zdaniem będzie skłonny wszcząć wojnę, czy raczej poprzestanie na wysłaniu zabójców?

- Nie wiem, panie - odparł szczerze Celinor takim tonem, jakby i jego nurtowały te same pytania. - Mój ojciec nigdy dotąd nie, dążył do wojny ani nie planował zabójstwa bratniego władcy Rofehavanu. O niczym takim nawet nie wspominał. Niemniej... ostatnio zaczął zachowywać się dość dziwnie. Trwa to już co najmniej miesiąc. Myślę, że z wolna popada w obłąd.

- Dlaczego tak uważasz?

Celinor rozejrzał się wkoło, sprawdzając, czy nikt niepowołany nie usłyszy jego słów.

- Jakieś trzy tygodnie temu głęboką nocą wszedł do mojej komnaty ze świeczką w dłoni i niczym więcej... Chcę powiedzieć, że był nagi. Uśmiechał się jakoś dziwnie. Nigdy jeszcze nie widziałem podobnego uśmiechu na jego twarzy. Obudził mnie i jakby nieswoim, mocno rozmarzonym głosem obwieścił, że widział znak na niebiesiech i że teraz wie już na pewno, że to on będzie następnym Królem Ziemi.

- Jaki to był znak? - spytała Erin.

- Mówił o trzech gwiazdach, które spadły jednocześnie z nieboskłonu. Były bardzo jasne. Gdy zbliżyły się do horyzontu, zmieniły nagle kierunek, obleciały zamek i ustawiły się w koło, obejmując płomienistą koroną cały Crowthen Południowy.

Gaborn nie przypominał sobie, aby istniała jakaś legenda wiążąca moce ziemi ze spadającymi gwiazdami.

- I uznał, że to znak dany mu przez ziemię? - spytał.

- Tak. Ja pomyślałem, że po prostu wstał, śniąc jeszcze, i stąd ta wizja. I tak mu też powiedziałem, a potem poszedłem porozmawiać z naszym dalekowidzącym, który pełnił służbę na murach, i gwardzistami z nocnej warty. Chciałem przekonać w ten sposób ojca, że to było tylko przewidzenie.

- Co powiedzieli?

- Gwardziści niczego nie widzieli, bo właśnie robili obchód warowni. Stwierdzili przy tym, że zniknęło czterech innych rycerzy. A dalekowidzący z wieży obserwacyjnej był martwy.

- Martwy? - spytała Erin. - W jaki sposób umarł?

- Spadł z wieży. Czy ktoś go zepchnął, czy się pośliznął albo może sam skoczył, tego nie wiem.

- A ci rycerze, którzy zniknęli?

- Ojciec nie chciał powiedzieć, co się z nimi stało. Dał tylko do zrozumienia, że wysłał ich w jakiejś misji. Jak powiedział, „obowiązki wezwały ich gdzie indziej”.

- Myślisz, że twój ojciec zamordował dalekowidzącego i wysłał gdzieś tych czterech? - spytał Gaborn.

- Może. Sam też posłałem ludzi nad granice, by ich poszukali. Po tygodniu trafili na wieśniaka, który opowiedział im, że widział jednego z posłańców, jak galopował na południe. Pozdrowił go, ale rycerz nie odpowiedział. Zachowywał się jak ktoś pogrążony we śnie. Chyba nawet nie zauważył tego wieśniaka. W tej sytuacji zarządziłem drobiazgowe śledztwo i dowiedziałem się, że ci czterej rycerze faktycznie opuścili królestwo. Jeden pojechał na północ, drugi na południe, trzeci na wschód, a ostatni na zachód. Wszyscy ruszyli w drogę bez słowa wyjaśnienia.

- To zalatuje mi magią - mruknął Gaborn i pomyślał, że cała historia bardzo mu się nie podoba. Nie miała nic wspólnego z mocami ziemi, a wiele wskazywało na związki z mrocznymi i niebezpiecznymi siłami.

- Też tak pomyślałem - przytaknął Celinor. - Na wzgórzu pod miastem mieszkała Orzechowa Babcia, zielarka, którą przezwaliliśmy tak, bo zbierała orzechy. Była naszą mądrą i opiekowała się wiewiórkami w puszczy. Poszedłem do niej po radę, by usłyszeć, co się dzieje z ziemią, ale chociaż mieszkała tam podobno od stu lat, ciągle w jednej i tej samej jaskini, okazało się, że nagle zniknęła. A co dziwniejsze, wraz z nią wyniosły się wszystkie wiewiórki z okolicznych lasów.

Erin oblizła nerwowo wargi. Orzechowa Babcia musiała być służką ziemi, tyle że nie tak dostojną i potężną jak Binnesman.

- Pytałeś Binnesmana, co to może znaczyć? Celinor pokręcił głową.

- Po prawdzie nie mam zbyt wielu dowodów na to, że cokolwiek się dzieje. Po tamtej nocy ojciec nie wracał już do tego, chociaż ciągle mam wrażenie, że cokolwiek teraz robi, wiąże się jakoś z owym dziwnym zdarzeniem.

- A dokładniej? - zainteresowała się Erin.

- Zwołał całe rycerstwo i wziął się do wzmacniania obrony.

Podwoił strażę. Samo w sobie nie było to nawet dziwne, bo trzy dni przed Hostenfest gwardziści wybili do nogi oddział zabójców Raja Ahtena. Pomyślałem wtedy, że choć śnił zapewne na jawie, mogą z tego wynikać pewne korzyści. Muszę wyznać, że przez jakiś czas zastanawiałem się nawet, czy to rzeczywiście nie był autentyczny znak. Ale potem, w zeszłym tygodniu, zdarzyło się coś jeszcze. Mój ojciec dowiedział się, że kto inny został koronowany na Króla Ziemi, i wpadł we wściekłość. Krzyczał i rzucał czym popadło. Gołymi rękami zrywał tapiserie, przewrócił nawet swój tron. Pobił sługę, który przyniósł wiadomość. A gdy uspokoił się po kilku godzinach, powiedział, że mógł się tego spodziewać, bo zawsze znajdują się uzurpatorzy chętni odebrać komuś koronę. I zaraz zaczął się doszukiwać w twoim wyniesieniu oszustwa. Perorował na ten temat tak przekonująco, że nawet ja zacząłem się zastanawiać, czy nie jesteś, panie, kłamcą. Tyle że potem zaczął się zmieniać. W jego zachowaniu dało się zauważyć pewne... niezrównoważenie. Mówił o czymś i całkiem nagle zmieniał temat, wydawał sprzeczne rozkazy. I jeszcze poruszał się jakoś dziwnie...

- To chyba szalenciec. Niebezpieczny szalenciec - powiedział Gaborn. - Dlaczego nikogo nie poinformowałeś? Dlaczego tak długo czekałeś?

Celinor założył ręce na piersi i spojrzał przenikliwie na Gaborna.

- Gdy miałem dziesięć lat, mój dziadek oszalał. Cierpiał na nieustanne halucynacje. Rodzice zamknęli go w piwnicach naszej warowni. Musieli to zrobić dla jego własnego bezpieczeństwa. Cela, w której go osadzili, mieściła się pod moją sypialnią i często słyszałem, jak śmieje się po nocy i mówi coś do siebie. Ojciec powiedział mi wtedy, że to przekleństwo naszej rodziny. Starał się zapewnić własnemu ojcu jak najlepsze warunki w ostatnich latach jego życia. Czterech służących oddało mu metabolizm, aby umarł jak najszybciej, podczas gdy my oficjalnie ogłosiliśmy, że to już się stało. Ojciec kazał mi przysiąc, że gdyby kiedykolwiek sam zaczął zdradzać oznaki szaleństwa, postąpię tak samo. Zawsze byłem lojalny. Skoro mój ojciec postradał zmysły, zasługuje na troskę.

- Bez wątpienia - powiedział Gaborn, ale i tak niepokój go nie opuścił. Miał nadzieję znaleźć w Andersie sojusznika, tak jak w królu Orwynne i Lowickerze, a tymczasem okazało się, że tuż za granicą Heredonu objawił się groźny szaleniec.

Chwilę potem dał znak, by siadać na koń. Z nowymi siłami pognali do Tor Doohan. Jasny poranek i suche drogi sprzyjały im na tyle, że podróż nie zajęła wiele czasu, chociaż oddział rozproszył się na szlaku. Ci z szybszymi rumakami odsadzili się na całe mile od reszty.

Godzinę później Gaborn z Binnesmanem i paroma rycerzami wjechał na gościniec Antherpilly, który wiódł już prosto do Tor Doohan. Tamtejszy „pałac” liczył już tyle wieków, że nikt nie pamiętał, kiedy wytyczono pod niego teren. Niezbyt też przypominał pałace budowane w późniejszych epokach. W gruncie rzeczy był to krąg prawie nie obrobionych białych kamieni, w którym stał wielki czerwony namiot.

Głazy te wyglądały, jakby dopiero co wydobyto je z ziemi. Niektóre osadzono na zboczu wzgórza pionowo niczym kolumny. Wyrastały na podobieństwo wielkich zębów na osiemdziesiąt stóp wysoko, a niektóre mierzyły u podstawy nawet czterdzieści stóp szerokości. Część z nich została połączona na górze płaskimi głazami długimi na osiemdziesiąt stóp.

Nikt nie wiedział, kiedy to się stało ani kto i dlaczego to uczynił. W pradawnych opowieściach zwano to miejsce Wzgórzem Białej Klaczy, gdyż wedle legendy pewna rasa olbrzymów ustawiła tak kamienie, by zbudować zagrodę dla Gwiazdzistej Klaczy, która mimo to uciekła potem na nieboskłon.

Prawdziwe musiało być jedno: nikt poza olbrzymami nie zbudowałby niczego podobnego, chociaż nawet dla tych stworów, który żyły ciągle w Inkarrze, nie byłoby to łatwe zadanie.

Niemniej czemu miał służyć ów trud? Na pewno nie chodziło o zagrodę dla olbrzymiego konia. Legenda bez wątpienia wzięła się stąd, że koczowniczemu plemieniu taka budowla musiała się kojarzyć z zagrodą. Gaborn skłonny był przypuszczać, że pochowano w tym miejscu jakiegoś wielkiego, pradawnego króla, chociaż nikt nie wykopał tam nigdy żadnych kości.

Przez blisko trzy tysiące lat siostry z Fleeds zbierały się na wzgórzu na doroczne igrzyska i narady wojenne, aż w końcu postanowiły urządzić tu stałą siedzibę swojej królowej. Ponieważ jednak zazwyczaj krzywiły się, mówiąc o tych narodach, które wybrały osiadły tryb życia, poprzestały na ustawieniu olbrzymiego namiotu, który trwał pośród głazów, choć ze zmienianym pokryciem i konstrukcją nośną, już od trzydziestu pokoleń. Wprawdzie na zachodzie, brzegami rzeki Roan, wyrosły przez ten czas prawdziwe wioski, a w całej dolinie wzniesiono aż osiemnaście fortec, we Fleeds symbolem władzy pozostawał zwykły namiot.

Gaborn odetchnął, gdy po okrążeniu ostatniego wzgórza przy drodze ujrzał przed sobą szkarłatny jedwab wielkiego pawilonu królowej. Przed wejściem ciemniały dwa posągi przedstawiające klacze z wysoko uniesionymi przednimi kopytami.

Na łąkach poza kręgiem widniały setki mniejszych namiotów rozbitych przez głowy poszczególnych klanów, które szykowały się na wojnę. Znaczna siła, chociaż było ich mniej, niż Gaborn oczekiwał. Miał nadzieję, że Herin Ruda odda jakieś oddziały do jego ‘ dyspozycji, ale zbyt wiele mężczyzn i kobiet zginęło ostatnio w walkach z Rajem Ahtenem, sporo też ruszyło wcześniej na południe, żeby odbić zamek Fells.

Fleeds było ubogą krainą i dumna Herin nie miała zbyt wiele wojska do zaoferowania. Gaborn mógł się o tym przekonać na własne oczy.

Niemniej i tak wkoło pałacu galopowały setki jeźdźców, gdyż zgodnie z legendą każdy rycerz, który okrąży królewskie wzgórze po siedmiokroć i zadmie przy tym w róg, zyska szczęście w walce.

Gdy Gaborn i jego oddział zbliżyli się do pałacu, wielu, którzy nigdy jeszcze nie widzieli tego miejsca, nie mogło powstrzymać okrzyków zdziwienia.

Młodzi jeźdźcy zatrzymali się, by popatrzeć na Króla Ziemi. Wiele młodych kobiet zmusiło konie, by stanęły dęba na znak, że gotowe są przejść pod rozkazy Gaborna. On jednak nie ważył się na razie nikogo wybierać. Wcześniej musiał porozmawiać z królową.

Przejechali pod podobiznami rumaków bojowych i zeskoczyli z siodła. Służby podbiegli zaraz, by odprowadzić wierzchowce do królewskiej stajni.

Mało gdzie Gaborn czuł się równie drobny i nieznaczący, jak w cieniu wielkich głązów pałacu. Chłodny, poranny wiatr szarpał jedwab namiotu. Wartowniczkę przed wejściem uniosły poły zasłony.

Goście weszli do wysokiego na osiemdziesiąt stóp przedsionka, a służący pospieszyli powiadomić królową o ich przybyciu. Wzeszło niedawno słońce przeświecało szkarłatnie przez dach, tak że nawet stojące pod ścianami złote urny zabarwiły się na rudawo.

Wielu rycerzy podziwiała z otwartymi ustami zwieszające się po bokach tapiserie, na których wyszyto herb Fleeds: wielką dereszowatą klacz z uniesionymi przednimi nogami i białymi płomieniami bijącymi z nozdrzy. Ukazywały ją na tle zielonych pól oddanych tak dokładnie, że można było rozróżnić każde źdźbło trawy, każdy kwiat mleczu i każdą mrówkę.

Na zewnątrz młodzież wznosiła gonitwę wkoło wzgórza. Ponownie zabrzmiały rogi.

- Nie wiem, jak nam się uda pomówić w tym zgiełku - mruknął sir Langley, ale niepotrzebnie się martwił. Nie mógł wiedzieć, że środek pałacu został już dawno temu porządnie wyciszony. Sam pałac był olbrzymi. Dach, o średnicy pięciuset stóp, tworzyły trzy warstwy materii. Drewniane pomosty, schody i podłogi dzieliły wnętrze na trzy poziomy, a zawieszane na belkach konstrukcji zasłony i kobierce zastępowały ściany. Dzięki temu, chociaż pałac królowej nie był nawet w przybliżeniu tak bezpieczny jak kamienna budowla, zapewniał o wiele więcej wygód niż zwykły namiot.

Królowa rychło zjawiła się w przedsionku. Miała rude włosy i jasną cerę, a do tego oczy tak granatowe, jak guziki przy szatach uczonego z Domu Zrozumienia. Była wysoka i silna. Uśmiechała się, ale brakło jej powodów do radości.

Wie, że przybyłem błagać ją o posiłki, pomyślał Gaborn. I wie, że będzie musiała mi odmówić.

Herin nosiła karacnę, a na niej pas ze srebrną klamrą, na której czerwoną emalią wymalowano herb Fleeds. W dłoni trzymała złote berło w kształcie trzcinki zwieńczone czerwonym końskim ogonem.

- Wasza wysokość - przywitała Gaborna i zrobiła coś, czego nikt się po niej nie spodziewał: opadła przed nim na jedno kolano i skłoniła głowę.

A potem podała mu berło.

Żadna królowa Fleeds nie pokłoniła się nigdy mężczyźnie. Gaborn zamierzał prosić ją o użyczenie garstki rycerstwa i żywność dla swych ludzi i ich koni.

Tymczasem ona oddawała mu swoje królestwo.

ZAPACH NADCIĄGAJĄCEJ BURZY

Późnym rankiem Ioma ruszyła w kierunku Fleeds. Mimo że ostro poganiała konia, wierzchowce towarzyszących jej Myrrimy i sir Hoswella trzymały się tuż za nim, ale słabszy rumak, którego dosiadła Dziennik, rychło został z tyłu.

Ioma otrzymała w zamku Groverman więcej darów, niż się spodziewała, ale nie aż tyle, ile Myrrima. Obecnie miała dwa dary krzepy, po jednym zręczności, rozumu i wzroku oraz cztery dary metabolizmu. Ponadto przyjęła dary od psów: jeden słuchu i po dwa sił życiowych i węchu. Poczowała się do miana wilczycy - była silna, niezmordowana i śmiertelnie groźna. Przyjemnie było zostać kimś takim... Nawet jeśli oznaczało to tym większą odpowiedzialność.

Niemniej Myrrima i tak ją wyprzedziła. Wieśniacy, na których opowieść o zabiciu czarnego glory'ego zrobiła olbrzymie wrażenie, dosłownie zasypali ją darami. Skończyło się na tym, że Ioma uznała za wskazane przekazać Myrrimie więcej drenów z osobistych zapasów. Łącznie potrzeba ich było aż sześćdziesiąt, tak że obecnie jej przyjaciółka dysponowała potencjałem nie mniejszym niż dowolny kapitan gwardii Heredonu.

Zawsze była rosta i piękna, ale dary dodały jej niezwykłego uroku. Troje Władców Runów wybrało się w drogę bez jakiegokolwiek eskorty, ale też żadnej nie potrzebowali. Niemniej Ioma zauważyła, że sir Hoswell trzyma się nieco za oboma kobietami, a i Myrrima jakoś boczy się na rycerza.

Wiatr czesał trawy i pchał Iomę na południe. Chociaż niebo było ciągle idealnie błękitne, w powietrzu pachniało coraz bliższą burzą. Po zeszlotygodniowych deszczach wrzosy zakwitły drobnymi purpurowymi kwiatkami i pola w oddali nabrały szaroniebieskiego odcienia. Wiatr był coraz chłodniejszy, ale wierzchowiec wydawał się cały chętny pójść z nim w zawody. Chociaż gnał już tak, że w godzinę przebiegłby czterdzieści mil, czynił to lekko, jakby dopiero sprawdzał swoje siły.

Dotąd, gdy zdarzało się łomie jechać na koniu z darami, nigdy nie mogła dostrzec ruchów jego kopyt. Poruszały się zbyt szybko.

Obecnie, z czterema darami metabolizmu, widziała wszystko dokładnie. Reszta świata jakby zwolniła. Bijąca skrzydłami wrona zdawała się wisieć w powietrzu. Tętent wierzchowców brzmiał basowo niczym dudnienie olbrzymich bębnow.

Jeszcze trudniej było przyzwyczać się do innego biegu myśli. Wcześniej, bez darów metabolizmu, podobna podróż nie mogłaby się dłużyć. Teraz każdy kwadrans zdawał się trwać tyle, ile godzina.

Ioma rzadko dotąd miewała czas usiąść i pomyśleć nad czymkolwiek. A obecnie... po parudniowej, zdawało się, jeździe czekała ją jeszcze noc, trzynaście godzin ciemności, dla niej rozciągniętych w sześćdziesiąt pięć godzin czuwania. Zimą zdarzało się niekiedy, że rycerze z wieloma darami metabolizmu popadali w melancholię lub szaleństwo przez te długie, nie kończące się noce. Ioma już teraz uzbrajała się w cierpliwość, żeby jakoś je przetrzymać.

Minęła kilka samotnych i prawie bezlistnych dębów z pniami oplecionymi bluszczem. Z przodu ujrzała płytki i bagnisty strumyk wijący się leniwie przez wrzosowiska. Droga schodziła tu stromo w dół, by przeskoczyć strumień wąskim mostem.

Tam właśnie, na jednej z kłód, siedział w skąpym cieniu dębu jakiś człowiek. Jego koń stał obok i gasił pragnienie.

Nawet z odległości pół mili Ioma poznała jego strój. Nosił błękitne barwy posłańca z wizerunkiem zielonego męża, znakiem Mystarii. U pasa zwieszał mu się miecz, w dłoni trzymał stalowy hełm. Zwykły kurier. Niewysoki, z długimi i srebrzystymi, jakby przedwcześnie posiwiałymi włosami.

Ioma uniosła rękę, dając znak pozostałym, by zwolnili. Myrrima też dojrzała posłańca. Widziała już paru Gabornowych kurierów i ten wydał jej się jakiś dziwny. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego.

Mężczyzna spostrzegł ich, wstał z kłody, otrzepał tunikę, dosiadł konia i ruszył stępą w ich kierunku. Nie spuszczał oczu z przybyłych, jakby się obawiał, że może mieć do czynienia z bandytami.

Ioma ściągnęła wodze. Coraz mniej jej się to wszystko podobało. Kurier uśmiechał się, ale nienaturalnie. Jakby próbował coś ukryć.

- Dokąd to waść zmierzasz?! - zawołała, gdy była już dość blisko.

Posłaniec zatrzymał wierzchowca.

- Wiozę wiadomość dla króla.

- Od kogo?

- Gdy ostatnim razem widziałem króla, nie miał cycków - zaśmiał się kurier, dając w mało wyszukany sposób do zrozumienia że nikt obcy nie będzie wypytywał go o sprawy Korony.

Myrrima nie słyszała dotąd nigdy równie grubiańskiej uwagi wygłoszonej w podobnej sytuacji.

- Ale królowa ma je cały czas - odparła Ioma, opanowując gniew.

Uśmiezek zniknął, ale brązowe oczy posłańca dalej zdradzały dziwną wesołość.

- Tyś jest królową? Ioma pokiwała głową. Sądząc z tonu posłańca, musiała go rozczarować. Nie przyjęła darów urody ani głosu i rzeczywiście mogła nie wyglądać na królową. Niemniej i tak uznała, że mężczyzna zasłużył sobie na karę. Nie wiedziała tylko jeszcze, czy każe go obić, czy tylko wydali ze służby.

- Tysięczne przeprosiny, wasza wysokość - powiedział kurier. - Nie poznałem cię. Nigdy się jeszcze nie spotkaliśmy.

Ton jego głosu przeczył każdemu słowu.

- Pokaż mi wiadomość - poleciła Ioma.

- Przepraszam, ale mam ją przekazać królowi do rąk własnych. Ioma poczuła, że krew zaczyna, się w niej burzyć. Prócz złości pojawiła się też podejrzliwość.

Ten mężczyzna mówił dziwnie szybko. Musiał mieć więcej niż jeden dar metabolizmu. Niezwykle jak na posłańca. Wciągnęła powietrze, ale nie wyczuła niczego niezwykłego. Pachniał kurzeni drogi, końskim potem, płótnem, bawełną i jakąś maścią, którą smarował zapewne ranę na nodze wierzchowca.

- Ja zawiozę tę wiadomość - powiedziała Ioma. - Jedziesz w złym kierunku, a twój koń niewątpliwie pada ze zmęczenia. Nigdy nie dotrzesz do króla.

Posłaniec obejrzał się zmieszany na drogę, którą przybył. Gdyby jechał nią od Tor Doohanu, musiałby napotkać Gaborna nad ranem. Skoro stało się inaczej, musiał najpewniej podążać jakimiś bocznymi traktami.

- Gdzie go znajdę? - spytał.

- Daj mi wiadomość - zażądała Ioma.

Mężczyzna wyczuł groźbę w głosie królowej i spojrzał na nią spod uniesionych brwi. Sir Hoswell też pojął, że coś tu jest nie tak, i sięgnął po swój ciężki młot bojowy.

Kurier jednak ani myślał przekazywać pisma.

- To rozkaz - wycedziła Ioma.

- Ja... chciałem ci tylko oszczędzić fatygi, wasza wysokość - powiedział posłaniec. Sięgnął do mieszka, wydobyl pomalowaną na niebiesko skórzaną tubę na zwoje i podał ją Iomie. - Tylko do wiadomości króla - przypomniał.

Królowa wyciągnęła rękę, ale w tej samej chwili w jej głowie rozległ się krzyk Gaborna: „Uważaj!”

Zawahała się i uważniej spojrzała na mężczyznę. Nie próbował się na nią rzucić, nie miał w rękach żadnej broni, ale widziała już, że może być niebezpieczny. Przyjrzała się tubie. Słyszała o przybywających z Południa zabójcach, ich zatrutych igłach i tym podobnych podstępach.

Niemniej z zewnątrz tuba wyglądała całkiem zwyczajnie. Została zapieczętowana woskiem, brakło tylko odcisku sygnetu.

Posłaniec pochylił się i spojrzał Iomie w oczy. Na jego wargach zagościł dziwny uśmiezek. Wciąż wyciągał przed siebie dłoń z pismem...

Zachęca mnie, bym je wzięła, pomyślała Ioma.

Uniosła rękę i złapała, lecz nie tubę, tylko nadgarstek posłańca, któremu oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Krzyknął i zaraz spróbował pogonić konia. Ostrogi wytoczyły krople krwi z

boków zwierzęcia, ale niewiele to zmieniło. Posłaniec nie był wiele roślejszy od Iomy i ustępował królowej w liczbie darów. Jakkolwiek się szarpał, nie mógł uwolnić nadgarstka.

W trakcie szamotaniny Ioma musnęła tubus wierzchem dłoni. Poczowała coś, czego nie potrafiła potem oddać słowami. Tak jakby tysiące niewidzialnych pajaków próbowały rozszarpać jej rękę...

Przeraziła się i odruchowo wzmocniła uchwyt. Chciała, by mężczyzna upuścił tubus na drogę, ale ku jej zdumieniu tamtemu kość trzasnęła jak patyk. Ioma przyjęła dary krzepy ledwie trzy godziny wcześniej i nie nauczyła się jeszcze nimi sprawnie posługiwać.

Tuba upadła na ziemię, a wierzchowiec posłańca zerwał się do biegu. Niemniej Myrrima czuwała. Masywny rumak sir Borensa wpadł z impetem na mniejszego konia kuriera, który odbił się od niego i zgubił krok...

Wyrzucony z siodła posłaniec potoczył się po drodze. Myrrima zachwiała się, ale złapała za lęk i nie spadła.

Ioma podjechała do powalonego. Obawiała się, że będzie się chciał rzucić na Myrrimę. Wprawdzie Gaborn ostrzegł ją, by uważała, ale znacząca przewaga sił dodała jej pewności siebie.

- Kopyta! - krzyknęła do wierzchowca, który stanął na tylnych nogach, przednimi zawisając nad powalonym.

Posłaniec skoczył przerażony na równe nogi i zaśmiał się opętańczo, acz krótko, sir Hoswell krzyknął bowiem, pogonił konia i zamierzył się nań młotem.

Kurier zrozumiał wreszcie, że nie wygra, i całkiem nagle wzbił się w powietrze!

Nie machał ramionami jak ptak, w ogóle nie uczynił żadnego dziwnego ruchu, tylko rozpostarł ręce i uleciał z wiatrem.

Raptowny podmuch owinął go jak kokon, załopotał niebieskim płaszczem. Mężczyzna przemknął nad głową Iomy i chwilę później znalazł się dwieście jardów dalej i sto stóp nad drogą.

Lot zakończył na konarze wielkiego dębu nad strumieniem, gdzie przycupnął niczym osobliwa wrona.

- Na Moce! - krzyknął sir Hoswell, gnając ku drzewu. Sięgnął na plecy po swój stalowy hak i bez większego wysiłku napiął go w siodle. Gotów był zestrzelić latawca pomiędzy rozkołysanych gałęzi.

Posłaniec zaś usadził się wygodnie w rozwidleniu trzech konarów i spojrzął na podjeżdżającą dołem kompanię. Cały czas chichotał jak szaleniec. Ioma zbliżała się ostrożnie, nie pojmując przyczyny przemiany zabójcy w wariata.

- To Władca Niebios! - zawołała Myrrima.

- W żadnym razie - warknął sir Hoswell. - Władca Niebios po prostu odleciałby stąd i tyle. To tylko czarownik z Inkarry.

Teraz, gdy Hoswell to powiedział, obie kobiety były skłonne przyznać, że mężczyzna ma w sobie coś z Inkarranina. Srebrzyste włosy były na Północy dość rzadkie, chociaż z drugiej strony, cerę miał trochę przyciemną. Podobnie dziwić mogły brązowe, a nie szare oczy. Może to i Inkarranin, pomyślała Ioma, ale półkrwi.

Hoswell posłał mu strzałę. Tamten uchylił się bez trudu, może też nagły poryw wiatru zmienił tor lotu pocisku.

- Chcemy porozmawiać! - zawołała Ioma, dając Hoswellowi znak, by nie strzelał więcej.

Przyjrzała się uważnie kurierowi, który ciągle zanosił się chichotem. Teraz, gdy wiedziała już, czego szukać, wyczuwała wkoło niego natężenie mocy. Zawsze była na nie wrażliwa. Ten człowiek nie był wyrachowanym zabójcą. Znajdowała w nim chaos szalonych emocji. Do tego w ogóle się nie bał. Całkiem jak ktoś, kto powierzył swe życie żywiołom. To właśnie od początku jej się w nim nie podobało, budziło podejrzenia. Nawet z daleka.

Spróbowała uśmiechnąć się do niego, by dopasować się jakoś do jego nastroju. Niewiele wiedziała o magii powietrza, które zawsze było nieprzewidywalne, dzikie i niestałe. Ktoś, kto chciał zaprząć je do pracy, musiał nauczyć się wczuwać w jego osobliwe nastroje. Musiał umieć je naśladować.

Bez wątpienia osobnik równie niestały jak wiatr nie nadawał się na zabójcę. Powietrze nie było zresztą najlepszym sojusznikiem. Mogło wyposażyć kogoś dla kaprysu w moc dziesięć razy większą niż oczekiwana, a potem całkiem niespodziewanie porzucić na łasce losu.

Przypomniała sobie czarnego glory'ego i ten wichur, który uleciał po jego śmierci. Czyżby potwór chciał się zemścić? Mógłby zdobyć się na coś równie subtelnego?

- Kto cię przysłał?! - huknął sir Hoswell.

- Kto? Kto? - zakukał tamten i zamachał ramionami, jakby nagle ubzdurało mu się, że jest sową. Złamany nadgarstek nie pozwolił jednak na dłuższą gimnastykę. Mężczyzna spojrział na lewą rękę, skrzywił się i oskarżycielsko wbił oczy w Iomę. - To boli!

- Dlaczego nie zejdziesz? - spytała królowa.

- Zejść?! - krzyknął tamten. - Na ziemię?! Na ziemię?! - zawył przerażony. - Nigdy! Tam gęsi skubane! Tam pajaki z łąki! - Nagle przymknął oczy, jakby coś wpadło mu do głowy. - I dmuchawce! - zawołał. - Dmududuchawce! Czemu w dmuchawca się nie zmienisz i nie odleciez? Przecież możesz! Przecież możesz! Możesz, możesz! Sama śniłaś!

Iomie dreszcz przebiegł po plecach. Rzeczywiście śniła w poprzednim tygodniu, że zmieniła się w puch dmuchawca i uleciała z wiatrem z dala od kłopotów.

Kurier otworzył oczy i pokiwał na nią zdrową ręką.

- Chodź do mnie, niezdarna królowo niebios. Nie trzeba ci pierzastych skrzydeł, aby latać!

On mówi poważnie, pomyślała Ioma. Chce, bym do niego dołączyła.

Potężny podmuch uderzył ją w plecy i prawie wyrwał z siodła. Złapała się łąku.

Wspomniała ostrzeżenie Gaborna i jęknęła w duchu nad własną głupotą. Gdyby się puściła, wiatr poniósłby ją nie wiadomo gdzie. Zawołała o pomoc.

Hoswell zwolnił cięciwę. Strzała świsnęła obok głowy szaleńca i rozproszyła jego uwagę. Wiatr wkoło Iomy ucichł.

Mężczyzna warknął niczym zaatakowany niespodziewanie pies.

- Nie?! - krzyknął. - Nie?! Nie! Nie chcesz! Nie urośniesz, jak syn w tobie rośnie! - odezwał się sykliwie niczym czarny glory. - Oddaj mi królewskiego syna. Wyczuwam go w twoim łonie. Daj mi go albo sam go sobie wezmę!

Złapał tkwiącą w pobliskim konarze strzałę, wyrwał ją i cisnął w sir Hoswella. Pomknęła zdumiewająco szybko, na dodatek myszkując po drodze, czego normalnie wystrzelona strzała żadną miarą nie robi. Uderzyła rycerza w ramię i odbiła się od pancerza.

„Uważaj!” - odezwał się znowu Gaborn.

Ioma pochyliła się w tej samej chwili, gdy strzała śmignęła w jej kierunku. Minęła królową o włos i zniknęła w dali. Gdyby nie dar metabolizmu, Ioma nigdy by jej nie uniknęła.

- Żeby go! - wrzasnęła Hoswell. - Skoro nie można inaczej, wejdę na drzewo i ściągnę go z niego!

- Czekaj - przestrzegła go Ioma. Spojrzała na mężczyznę. Znowu zanosił się śmiechem.

Czuła władające nim moce. Nigdy jeszcze nie spotkała czarnoksiężnika oddanego siłom powietrza, ale zamęt panujący wkoło szaleńca mógł oznaczać tylko jedno. Niedoszły zabójca nie miał własnej woli, zaprzedał się w pełni wiatrowi, ufając, że w razie potrzeby jego pan go ocali. A wiatr poruszał nim jak chciał.

W zasadzie mężczyzna nie był już człowiekiem, zapewne niezbyt wiedział, co robi. Ot, szaleniec pośród wichury. A co gorsza, chciał, by Ioma do niego dołączyła, by stała się taka jak on.

Pamiętała swój sen o dmuchawcach. Tak, to było podczas burzy, gdy wiatr szalał wkoło zamku. Właśnie! To nie szaleniec chciał ją zmienić. To wiatr. Moce powietrza.

Wziąć w niebo, podpowiadały. Daj się unieść.

- Sugerujesz, dobry człowieku, że możesz nauczyć mnie latać? - spytała, próbując odwrócić nieco jego uwagę.

- Latać? Latać. Latać matać? Jako mucha, choć bez ucha? Tako gadać, że psiajucha, czemu mówi, czemu słucha? - zabelkotał szaleniec i złapał zdrową ręką za gałąź. Musiał być bardzo silny, bo zrywał palcami całe płaty kory.

Ioma spokojnie zsunęła się z siodła i podeszła do sir Hoswella. Nasadził już na cięciwę kolejną strzałę, ale wahał się, czy ją wypuścić. Poprzedni strzał o mało nie skończył się dla królowej fatalnie.

Ioma ucałowała grot, drzewce i lotki. Zwilżyła je, pomna na to, jak woda podziałała na oręż Myrrimy, gdy dziewczyna wpadła do fosy.

- Teraz strzelaj - szepnęła.

Szalencie zaskrzeczał w panicznym strachu i rozejrzał się wkoło, gdzie by tu uciec. Widać domysły Iomy były słuszne. Hoswell uniósł łuk.

Mężczyzna skoczył w powietrze i wiatr uniósł go z wyciem, jakby sam też się bał. Błękitna tunika zabójcy zatrzepotała niczym skrzydła.

Hoswell puścił cięciwę. Strzała pomknęła rozmazaną smugą i trafiła szaleńca w ramię. Przekoziółkował kilkanaście razy w powietrzu, które raptownie zostawiło go samemu sobie. Runął jak kamień i z głuchym hukem spadł na ziemię.

Zaraz potem z gardła wyrwało mu się przeciągłe wycie. Uleciało w niebo, okrążyło koronę dębu. Przerazona Ioma spojrzała na ciało czarnoksiężnika. Leżało bez ruchu, ale nie zginął tak całkiem. Jakaś jego część buszowała jęklonie w konarach drzewa.

Hoswell zeskoczył z siodła i podbiegł do trupa, który prawie wcale nie krwawił. Rana w ramieniu nie była dość poważna, by go zabić, ale Inkarranin leżał bez ruchu i nie oddychał, a jego oczy wpatrywały się w nicłość.

To nie my go zabilimy, pomyślała Ioma. On sam postanowił opuścić swoje ciało.

Hoswell zacisnął jedną dłoń na gardle trupa, a drugą zaczął wpychać mu do ust i nosa grudy ziemi. Rozglądał się przy tym trwożnie.

- Słyszałem, że po wypędzeniu Władcy Niebios z ciała należy go jak najszybciej pochować - powiedział. - W ten sposób nie będzie mógł do niego wrócić. Dobrze jest też zaszyć mu usta i nos, ale na chwilę starczy też wypełnić je ziemią.

Ioma niewiele wiedziała o podobnych sprawach. Nigdy dotąd nie brała udziału w walce i do głowy by jej nie przyszło, że w pierwszej potyczce przyjdzie jej zmierzyć się z magią. Czarnego glory'ego tak nie potraktowaliśmy, pomyślała. Czy może zatem wrócić?

Poryw wiatru spadł z nieba prosto na Hoswella i obalił go na ziemię. Ciało czarnoksiężnika poruszyło się spazmatycznie, jakby w przedśmiertnych drgawkach.

Rycerz rzucił garść ziemi w powietrze i magiczny wiatr pierzchnął. W daremnej złości zaczął strącać ostatnie liście z dębu.

- Poczekaj! - krzyknęła Ioma, przerażona, czy cała ta sprawa nie skończy się źle dla Hoswella.

Rycerz spojrzał na nią zdumiony.

- Chcę wiedzieć, o co mu chodziło. Dlaczego nas zaatakował - wyjaśniła.

- Opętany wiatrem i tak nie odpowie nic dorzecznego.

- Przeszukaj ciało - rozkazała.

W sakiewce trupa nie było nic interesującego. W końcu Hoswell zdjął mu prawy but. Stopę i łydkę pokrywały niebieskie tatuaże w inkarrańskim stylu, chociaż nie przedstawiały Drzewa Świata, jak zazwyczaj, ale symbole wiatrów splecione imionami krewnych i przodków czarnoksiężnika. Ioma ledwo знаła południowe ideogramy i nie potrafiła tego odczytać.

Hoswell przyjrzał się tatuażom i podrapał się w brodę.

- To rzeczywiście Inkarranin. Nazywa się Pilwyn. Z linii ojca należy do rodu Zandaros, ale ta suka, co go zrodziła, nazywa się Yassaravine - mruknął znacząco Hoswell i spojrzał na Iomę.

- Yassaravine coly Zandaros? - spytała dla pewności królowa. - Siostra Króla Burz?

Król Burz był zapewne najpotężniejszym władcą w całej Inkarrze. Legenda wywodziła jego ród od Władców Niebios, tyle że podobno jego przodkowie wypadli z łask żywiołu. Hoswell dawał do zrozumienia, że czarnoksiężnik, którego ciało znalazło się obecnie na ich łasce, był potężnym monarchą.

Inkarranie nie zwykli prowadzić wojen. Ich przywódcy rozstrzygali spory we własnym gronie i rzadko w bezpośredniej walce. Najczęściej posługiwali się trucizną albo plotką. Potrafili też przywieść wroga do szaleństwa lub skłonić go do samobójstwa.

Ioma dopiero teraz zrozumiała, z czym przyszło jej się mierzyć. Dla tego człowieka wystąpienie w barwach wroga było najpewniej przednim żartem. Chciał wręczyć królowi pergamin, na którym wypisano wiatrem magiczne runy. „Wiadomość” zdolną go zabić. To dlatego tak boleśnie odczuła kontakt z tubusem.

Co więcej, czarnoksiężnik zdołał jakimś sposobem wniknąć do jej snów. Albo i zesać jej te sny.

- Czy to jest to, czego się obawiam? - mruknęła do Hoswella.

- Chyba tak. Po raz pierwszy w historii Inkarrra wystąpiła przeciwko Rofehawanowi. Zamierzają nauczyć nas całkiem nowego sposobu prowadzenia wojny.

Ioma zacisnęła pięści w bezsilnej złości i spojrzała na niebo. Nie chciała zabijać żadnego władcy, a szczególnie takiego, który miał w swoim kraju liczną i nawykłą do zemsty rodzinę. Ale dlaczego Inkarranie dążą do wojny? Może dałoby się z nimi dogadać?

Wiatr zawodził w wyższych konarach drzewa.

- Pilwynie coly Zandarosie, porozmawiaj ze mną! - zawołała. Wichura umilkła, jakby nasłuchiwała.

- Nie zaatakujemy twojego ludu! - krzyknęła Ioma. - Nie chcemy wojny z Inkarrą! Pragniemy przymierza z wami. Ciężkie czasy idą dla nas wszystkich.

Wiatr nie odpowiedział. Może do tego trzeba ciała, pomyślała Ioma.

- Sir Hoswellu, usuń mu ziemię z ust i nosa.

- Ależ pani...

- Zrób to.

Hoswell posłuchał, ale ciało ani drgnęło. Leżało wciąż tylko i uśmiechało się tajemniczo do drzewa. Ioma spostrzegła jednak, że oczy trupa straciły szklisty wyraz.

Wskoczyła na siodło i odjechała kilkaset jardów od drzewa, aż trafiła na tubus z pergaminem. Nie śmiała go dotknąć, ale narzuciła nań kilka garści ziemi. Dwa wypisane na nim znaki runiczne załopotwały jakby, zadrżały i zniknęły, wsiąkając w kurz.

Dopiero wtedy Ioma otworzyła przesyłkę i przeczytała kilka słów widocznych na żółtawym pergaminie.

Ach, nie zaznam pędu powietrza...
już przenigdy!

Zatem to była klątwa. Miała zadusić jej męża, gdyby tylko poważył się dotknąć zwoju. Ioma przedarła pergamin na dwoje i zmiażdżyła tubus, a potem wróciła pod drzewo.

- Weźmiemy jego konia - powiedziała. - Nie chcę, żeby za nami jechał. Ale zostawimy mu pieniądze i żywność. Niech wraca do domu.

- Darujesz go życiem, pani? - zdumiał się Hoswell. To było ryzyko.

- Król Burz może szykować wojnę, ale my chcemy pokoju. Niech Pilwyn coly Zandaros zanieś tę wiadomość swojemu stryjowi.

Z tymi słowami złapała uzdę inkarrańskiego wierzchowca i zostawiła ciało leżące pod drzewem. Wciąż się nie poruszało. Hoswell nie wyjął mu strzały z ramienia.

Nie ujechali więcej niż ze dwieście jardów, gdy ta sama strzała świsnęła nad głową Iomy.

Królowa obejrzała się. Inkarranin stał pod drzewem, a jego białe włosy rozsypywały się na wietrze. Po ranie nie było śladu.

- Honor każe mi odpłacić za szlachetność, wasza wysokość! - zawołał. - Daruję ci życie, jak ty darowałaś mi moje!

Ioma odpowiedziała powściągliwym, ale dwornym ukłonem.

- Niech pokój zapanuje między nami. Inkarranin pokręcił jednak głową.

- Chociaż Król Ziemi będzie wygrażał nam pięścią i wyzwiska miotał, wiatr przyniesie mu wojnę. Nie ma dla niego nadziei. Moc ziemi słabnie. Ale moja propozycja jest ciągle aktualna, pani. Król Burz przyjmie cię w bezpiecznej przystani... - Wskazał na odległą, rozbudowującą się nad horyzontem, burzową chmurę.

Ioma odwróciła się i odjechała na południe.

WŁADCZYNI PODZIEMNEGO ŚWIATA

Mury Carris zatrzęsły się od huku, z jakim wyłaniała się z mgły cała horda raubenów.

Na polach przed miastem piechota Indhopalu walczyła wciąż o życie, chociaż straż zaczęła już unosić most. Wielu tych, którzy wbiegli na groblę w czasie, gdy brama była jeszcze otwarta, teraz znalazło się w pułapce. Rzucali się do jeziora i podpływali pod barbakany, błagając obsadę murów, by wyciągnęła ich z wody. Do ogólnego hałasu doszedł jeszcze rozgłośny plusk, wołania o pomoc i krzyki tonących.

Ci, którzy nie byli dość szybcy, padali ofiarą polujących raubenów. Ku zdumieniu Rolanda ten i ów próbował w ślepym przerażeniu uciekać na równinę, gdzie czaiło się jeszcze większe niebezpieczeństwo, albo sparaliżowany strachem kładł się po prostu i kulił. Całe tysiące ludzi ginęły w ten sposób, odcięte od miasta.

Roland wbił palce w szczeliny między cegłami. Kruki, wrony i mewy odleciały gdzieś i wkoło krążyły tylko upiorne sylwetki grisów.

Dziewięciu raubenich magów ruszyło ku murom. Głowy trzymali wysoko, laski wysunęli przed siebie. Czyżby przyciągał ich zapach ludzi? Żołnierze na murach krzyknęli z przerażenia.

Tkacze płomieni wbiegli na koronę muru nad bramą. Żołnierze odsunęli się od spowitych tylko w żywy ogień istot. Jedna z nich uniosła rękę i ściągnęła blask słoneczny z nieba. Na chwilę zapanował mrok, za to w jej dłoni rozbłysła ognista kula.

Tkacz nakreślił w powietrzu jakiś znak i oto tuż przed nim pojawiła się zielona tarcza z żywych płomieni. Pchnięta doleciała do końca grobli i zawisała nad drogą dwieście jardów od bramy. Dwoje innych tkaczy zrobiło zaraz to samo, a tymczasem pierwszy zajął się tworzeniem czwartej tarczy.

W miarę jak ogniści magowie skupiali w swoich dłoniach blask słońca, wkoło Carris robiło się coraz zimniej, aż mżawka zmieniła się w deszcz ze śniegiem. Niemniej w kilka chwil później cztery ogniste tarcze zagroziły drogę raubenom i ostatecznie odcięły od zamku tych ludzi, którzy zostali jeszcze żywi na równinie.

Za plecami magów raubenów główne siły podziemnych stworów skierowały się na północ, jakby Carris nic ich nie obchodziło. W Rolanda wstąpiła wątła nadzieja. Nic dla nich nie znaczymy, pomyślał. Cokolwiek zamierzają, nie chodzi im o miasto.

Dziewiątka raubenich magów ustawiła się w klin. Największy zajął miejsce na czele i tak ruszyli dalej przez pole bitwy.

Nie, to nie tak, pojął nagle Roland. Po prostu uznali, że tych dziewięciu, których wysłali przeciwko nam, w zupełności wystarczy.

Prowadzący rauben mierzył ze dwadzieścia stóp w kłębie i całą przednią część ciała miał pokrytą płonącymi tatuazami runów. Unosił dumnie łeb i bez strachu zbliżał się do grobli. Lazurowy blask jego laski zmieniał się przy tym w karmazynowy, a po paru chwilach laska zaczęła dymić.

Balisty szczęknęły metalicznie, wyrzucając pociski. Zaraz dały się słyszeć rozkazy, by ładować na nowo, szczęknęły zapadki kołowrotów.

Z tak małej odległości wszystkie strzały powinny być celne, ale pociski tajemniczym sposobem ominęły raubena. To magia! pomyślał Roland. Nie możemy go trafić. Nie da się go zatrzymać.

Mag zatrzymał się przed zielonymi tarczami. Poruszył łbem na boki, jakby badał zjawisko, a potem wysunął laskę i dotknął jednej z tarcz, jakby na próbę.

Zniszczy je, uznał Roland. Zaraz szczeną wszystkie...

Tarcze eksplodowały z hukiem lawiny. Mury miejskie zadrżały aż do fundamentów. Roland omal nie upadł i musiał przykucnąć, gdy zielone płomienie strzeliły aż pod chmury i od grobli wionęło powietrzem tak gorącym, jakby dobywało się z kowalskiego paleniska. Ludzie znajdujący się co bliżej tego miejsca rzucili się szukać ukrycia.

Pobudzone falą żaru wodne runy chroniące przed pożarem ożyły i spowiły momentalnie miasto w tuman gęstej, lepkiej mgły, która osadzała wszędzie ciężkie krople wody. Roland musiał co rusz ocierać twarz rękawem.

Niewiele widział przez opar, ale gdy uniósł głowę, ujrzał najpiękniejszą tęczę, jaką w życiu widział. Wstał i spróbował rozejrzeć się wkoło. Eksplozja, która wstrząsnęła miastem, obluzowała kamienie. Z obu stron muru odpadły wielkie płyty tynku, wystawiając biały kamień na deszcz i śnieg.

Nagle ci z barbakanów zaczęli wiwatować. Mgła się rozchodziła i po paru chwilach Roland też ujrzał maga. Bestia leżała nieruchomo i wydawała się jeszcze brzydsza. Gorsza niż potwór z najupiorniejszego ze snów.

Zielony dym sączył się z ran uczynionych przez strumienie ognia. Z tyłu zwijali się pozostali raubenowie. Wszyscy doznali jakichś obrażeń. Czterech wycofywało się, włokąc połamane kończyny.

Roland gwizdnął ze zdumienia i odetchnął z ulgą. Czyli jednak możemy ich pokonać, pomyślał. Odparliśmy atak. Ludzie na murach krzyczeli z radości i klaskali.

Tymczasem na równinie dopełniał się los tysięcy okrażonych żołnierzy. Zajmowało się nimi ledwie trzydziestu paru raubenów, którzy spędzili nieszczęśników razem i wyrzynali ich systematycznie. Mimo to kilkuset udało się wymknąć z pułapki i dotrzeć do jeziora.

Roland przez długi czas wpatrywał się w pola. Mgła odpływała coraz dalej i widać było, jak wielka formacja raubenów przesuwa się milę od zamku, maszerując gdzieś na północ.

Trzask i huk ich pancerzy docierał do murów jednostajnym szelestem przypominającym szum morza. Całymi zastępami kwitowali na wszystkich pobliskich wzgórzach.

Roland wiedział, że ludzie zwykli nazywać zbiorczo raubenami ileś różnych rodzajów istot z podziemi, chociaż najczęściej widywali tylko dwa: żołnierzy i dowodzących nimi magów. Ich też zazwyczaj przedstawiali na rozmaitych wizerunkach.

Niemniej raubenowie byli o wiele bardziej różnorodni. Roland po raz pierwszy miał okazję ujrzeć w ich szeregach wielonogie i długie aż na osiemdziesiąt stóp robaki, które ludzie zwali czasem lepniakami, oraz przypominające pająki, żółtawe i o wiele mniejsze „wyjce”, które zawdzięczały to miano przeciągiemu dźwiękowi dobywającemu się co jakiś czas z ich trzewi.

Jedne i drugie nie przypominały zwykłych raubenów, ale wyraźnie wpasowały się w ich społeczność, chociaż nie dawało się orzec, czy były to inteligentne stworzenia, które popadły w niewolę, czy może tylko wytresowane odpowiedniki trzymanyh przez ludzi zwierząt.

W końcu z mgły wyłonił się wódz armii raubenów.

Była to samica, jakiej nie widziano na ziemi od tysięcy lat. Niemal żywa legenda.

- Wielki Mag! - krzyknęli ludzie na murach, widząc setkę zwykłych magów niosących na grzbietach szeroki palankin z królową. Chociaż każdy z nich przerastał słonia, przy niej i tak był karłem. Wysoka na trzydzieści stóp i dłuższa niż normalny rauben, całe ciało miała wytatuowane runami, które jaśniały własnym blaskiem. Siedziała na palankinie pośród stosu kryształów, które Roland wziął w pierwszej chwili za diamenty.

Jednak były to ogryzione z mięsa kości pokonanych przez nią konkurentek.

W łapach trzymała olbrzymią różdżkę płonąca chorobliwie intensywną żółcią.

Ona jest piękna, przyszło Rolandowi do głowy, chociaż przecież raubenowie zawsze go przerażali. Jednak tym razem sam nie wiedział, co myśleć. Spojrzał na stojących wokół w nadziei, że bardziej doświadczeni wojownicy poznają, z czym właściwie mają do czynienia. Baron Poll, który żartował sobie przedtem z pomniejszych magów, był przerażony. Raj Ahten wpatrywał się w maginię szeroko rozwartymi oczami. Nozdrza chodziły mu nerwowo.

Wszelkie nadzieje przeszły Rolandowi jak ręką odjął. Włosy zjeżyły mu się na głowie, ręce pokryły gęsią skórka. Zrozumiał, że widzi prawdziwą władczynię podziemi.

Raubenowie, którzy ocaleli po eksplozji płomienistych tarcz, zebrali się i pogonili ku palankinowi.

- Nie cierpię skarżypytów - mruknął baron Poll.

Może nie zwróci na nas uwagi, pomyślał Roland. Może ma pilniejsze sprawy na głowie.

Czterej magowie dobiegli do palankinu i ku zdumieniu Rolanda zachowali się jak rycerze oddający hołd królowej: złożyli płaskie łby na ziemi. Magini uniosła ogon tak samo, jak czynią to owady, które mają żądło na końcu odwłoka. Ci, którzy nieśli palankin, natychmiast się zatrzymali.

Lśniaca własnym blaskiem w szarawym świetle chmurnego poranka magini obróciła łeb w kierunku Carris i zrobiła coś, czego Roland nigdy jeszcze nie widział: niczym świstak stanęła na tylnych łapach, tak że środkowe i przednie kończyny zwisły bezwładnie, i najeżyła wyrostki czuciowe. Zafalowały jak czułki ukwiałów w poszukiwaniu żywności.

- Chyba nie widzi nas z tej odległości? - spytał Roland w nadziei, że może zostanie przeoczony.

- Czuje nasz zapach - odparł baron. - Wyczuwa wszystkich razem i każdego z osobna.

Magini ujęła różdżkę w obie ręce i zeskoczyła z palankinu. Wielkimi susami ruszyła ku miastu. Za nią postępowała czarnym przypiływem cała armia.

Tkacze płomieni nad bramą zaczęli znowu ściągać blask słońca, by stworzyć kolejne tarcze. Zrobiło się jeszcze zimniej, gdyż czarnoksiężnicy Raja Ahtena łapali teraz każdą dostępną im drobinę ciepła. Zmrozili w ten sposób nawet kamienie w murach. Mokra płatki, które padały do tej pory, zmieniły się w gęsty, lodowy śnieg.

W powietrzu pojawiło się błyskawicznie dziewięć nowych tarcz, ale tkacze płomieni musieli chyba wyczerpać wszystkie swe siły, gdyż ogień spowijający ich ciała zgasł, chociaż śnieg, który padał na ich nagą skórę, wciąż parował z sykiem. Roland widział po ich twarzach, że sami nie wierzą, by ich tarcze powstrzymały maginię.

Wielu biegnących ku murom raubenów zatrzymywało się i brało w paszcze ciała poległych. Nieśli je do grobli niczym dziwaczne koty dostarczające upolowane myszy pod drzwi domu. Nie wszyscy z tych ludzi byli martwi, niektórzy jeszcze żyli i krzyczeli teraz w mowie Indhopalu, błagając o pomoc.

Serce ścisnęło się Rolandowi, ale wiedział, że nikt nie zdoła uratować tych nieszczęśników.

Magini zatrzymała się o czterysta jardów od murów, z dala od zielonych tarcz tkaczy płomieni. Setka pomniejszych, szkarłatnych magów ustawiła się u jej boków. Dziesiątki tysięcy raubenów zamarły z tyłu. Niemal każdy trzymał w pysku ludzkie ciało.

Władczyni uniosła cytrynową różdżkę i zamachała nią ku miastu, jakby zamierzała rzucić jakieś groźne zaklęcie. Ludzie krzyknęli i skryli się za zębami krenelażu.

Teraz pokaże nam, co potrafi! pomyślał Roland.

O LUDZKICH SŁABOŚCIACH

Gaborn nie odpoczął wiele w Tor Doohan. Uważał, że powinien pospieszać ku toczącej się na południu bitwie. Darmistrz w zamku Groverman musiał chyba pracować całą noc, gdy wczesnym rankiem Gaborn poczuł, że ma już wszystkie pięćdziesiąt darów, o które prosił. Mięśnie wezbrały mu pod kolczugą, krew krążyła żywo w tętnicach.

Kazał zatem tylko nakarmić konie i po trzech godzinach dał znak do wymarszu. Przed południem byli już w drodze. Wraz nim galopowało tylko kilkuset zbrojnych obu płci, w tym sto pięćdziesiąt mieczy z Fleeds, niemniej oddział wcale nie był słaby. W jego skład wchodził najlepszy wojownicy z trzech królestw, a na dodatek już niebawem mieli się połączyć z olbrzymią armią Lowickera, zapewne także z wolnymi rycerzami oraz władcami Mystarii.

Gaborn szacował, że docierając do Carris, będzie miał pod swoimi rozkazami z pół miliona ludzi, w tym jednych z najpotężniejszych Władców Runów tego świata.

Nieustannie zdumiewał się, że Lowicker zamierza wziąć udział w walce. Nie spodziewał się aż tyle po starym królu, którego niektórzy nazywali słabym, gdy nie sięgali po mniej wyważone określenia.

Rzeczywiście Lowicker nie należał do najsilniejszych, przy czym była to raczej cecha umysłu niż ciała. Przez ostatnich kilka lat coś wyraźnie zaczęło przyćmiewać mu myśli. Ten i ów dawał do zrozumienia, że król całkiem oszalał. Władac swym państwem mógł zapewne tylko dzięki temu, że przyjął aż trzy dary rozumu.

Z drugiej strony, Lowicker był zawsze wiernym sojusznikiem króla Ordona. Nie dalej niż trzy tygodnie temu, podczas podróży na północ, zgotował mu nader ciepłe przyjęcie.

Gaborn wychwalał na okrągło, bez wątpienia w nadziei, że księżę ożeni się kiedyś z jego córką, pulchną dziewczyną, której brakowało jakichkolwiek zauważalnych atutów, chociaż i wad specjalnych nie zdradzała.

Młodzieniec wspominał, jak siedzieli nocą przy ogniu, a jego ojciec i gospodarz snuli opowieści o dawnych polowaniach. Lowicker przez wiele lat sam wybierał się na łowy, ale trzy jesienie temu spadł z konia i złamał biodro. Potem z rzadka już dosiadał konia, zbyt wielki ból cierpiał. Ojciec Gaborna otwarcie wyrażał żal z tego powodu.

Gaborn wiedział, że Ioma będzie zła na niego, że tak szybko opuścił Tor Doohan, uważał jednak, iż musi się spieszyć. Nie chodziło tylko o narastające poczucie zagrożenia, któremu winien się jak najszybciej przeciwstawić. Przede wszystkim chciał zniechęcić Iomę do podążenia za nim.

Wiedział już, że tego ranka na granicy Heredonu stawiała czoło jakiemuś niebezpieczeństwu. I niech to starczy... Im dłużej jechał, tym bardziej był przekonany, że towarzyszący mu wojownicy mogą wszyscy zginąć przed wieczorem. Nie chciał, aby Ioma znalazła się wśród nich.

Mur Kriskaven przebiegał na długości stu czterestu mil i oddzielał terytorium Fleeds od ziem Beldinooku. Wzniesiony z czarnego kamienia wyrastał na dwadzieścia stóp i tyle samo miał u podstawy. Za nim, u północnego podnóża, wykopano w minionych wiekach rów, którym przez cały rok, z wyjątkiem gorącego lata, płynęła płytka rzeka.

Korona muru była na tyle szeroka, że dwóch konnych mogło jechać nią pierś w pierś, jednak od dwustu lat królowie Beldinooku nie widzieli potrzeby obsadzania umocnień pełną załogą.

Jednak gdy Gaborn zbliżył się do muru wczesnym popołudniem, ujrzał cały gąszcz głów wystających znad blanków Bramy Feymana. Konie galopowały po koronie, tu i ówdzie grały rogi. Oszacował, że tylko tego jednego przejścia musiał strzec jakiś tysiąc zbrojnych. Gdyby Raj Ahten zbłądził w te okolice, mur byłby dla niego nie lada przeszkodą.

Niemniej, im bliżej Gaborn podjeżdżał ze stuosobowym orszakiem, tym dziwniej się czuł. Znał to wrażenie... Ziemia ostrzegała go przed niebezpieczeństwem.

Dwieście jardów przed otwartą bramą dał znak, by się zatrzymać. Przyjrzał się strażnikom. Wszyscy nosili charakterystyczne dla wojsk Beldinooku wysokie, srebrzyste rogatywki i ciężkie napierśniki. Na tarczach widać było herb królestwa: białego łabędzia na piaskowym tle. Niektórzy trzymali charakterystyczne, szerokie haki wyrabiane w Beldinooku, inni powiewali sztandarami ze znajomym znakiem. Kapitan na szczycie bramy zamachał na Gaborna, zapraszając go bliżej.

Jednak coś się nie zgadzało. Brama Feymana stała otworem tak samo jak przez paręset ostatnich lat. Była szeroka na czterdzieści stóp, a nad nią widniały tuziny otworów strzelniczych i machikułów.

Gaborn w myślach ostrzegł wybranych przed zasadzką. Rozległ się szcęk zamykanych przyłbic. Kto żyw sięgnął po tarczę i broń. Rumaki znały te odgłosy i zatańczyły w miejscu. Były gotowe do ataku.

Księżę Celinor jechał obok Erin Connal, dwie długości konia za Gabornem. Rozejrzał się teraz niespokojnie. Nie wiedział, co się dzieje.

- Kto nam staje na drodze?! - krzyknął Gaborn, chociaż nie był pewny, czy ludzie na murach go usłyszą. Przebył długą drogę i nałykał się sporo kurzu, nie przyjął też jak dotąd żadnego daru głosu, a na dodatek północny wiatr właczał mu słowa z powrotem do gardła.

Załoga z muru spozjrzała na niego niepewnie. Wielu sięgnęło po strzały i odsunęło się nieco od blanków.

- Kto śmie stawać na drodze Królowi Ziemi?! - zawołała królowa Herin i jej potężny głos sięgnął o wiele dalej.

Nagle z przeciwnej strony muru dobiegł ich huk kopyt. Z lewej i prawej wyłonili się konni, którzy zablokowali bramę. Gaborn widział tylko pierwsze szeregi, ale był pewien, że łącznie kryje się tam ponad tysiąc rycerzy.

Na czele jechał sam król Lowicker. Miał szczupłą twarz i błękitne oczy, które szarzały mu z wiekiem. Długie jasne włosy opadały warkoczami na ramiona. Nie nosił zbroi, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie uważa Gaborna za godnego siebie przeciwnika.

Skrzywił się, gdy dawne obrażenia dały o sobie znać.

- Wracaj, skąd przybyłeś, Gabornie Val Ordenie! - zawołał. - Dopóki jeszcze możesz, wracaj do Heredonu! Nie jesteś miłym gościem na mojej ziemi! Beldinook zamknął się przed tobą!

- Twój posłaniec co innego opowiadał nam dwa dni temu! - odkrzyknął Gaborn. - Czemu zawdzięczam twój brak gościnności? Długo byliśmy przyjaciółmi! Tak może być nadal! - dodał życzliwym tonem, chociaż krew w nim zawrzała. Czuł się zaskoczony i zdradzony. Lowicker kłamliwie zapowiedział, że go wesprze i naglił do przybycia, by mogli razem ruszyć do walki, a tymczasem umyślił sobie przepędzić go jak psa. Mimo zewnętrznego spokoju Gaborn poprzysiągł sobie, że nie będzie już nigdy żadnej przyjaźni z Lowickerem.

- Twojego ojca i mnie łączyła przyjaźń! - wybuchnął stary król. - Ale ciebie to nie dotyczy! Nie będę służyć królobójcy! - Wskazał na Gaborna palcem, jakby właśnie przyłapał go na przestępstwie. - Zagarnąłeś koronę ojca najszybciej, jak się dało, ale zdała ci się za mała! Teraz ogłosiłeś się Królem Ziemi! Powiesz mi, czy poza tą setką, która z tobą przyjechała, jest jeszcze ktoś na tyle głupi, by ci uwierzyć?!

- Inni przybędą niebawem! - stwierdził Gaborn. Lowicker przyjrzał mu się i pokręcił głową, jakby żałował tych wszystkich, którzy połączyli swój los z losem młodego króla.

- Już gdy zacząłeś naukę w Komnacie Twarzy, nabrałem podejrzeń! Pomyślałem, że nawet jeśli nie chcesz być dobrym królem, mógłbyś chociaż udawać! A teraz widzę, że się puszysz, udając wielkiego monarchę! Ale na mnie to nie działa! Wracaj na północ, młody człowieku, póki jeszcze możesz!

Gaborn wyczuwał narastające zagrożenie. Lowicker nie rzucał grózb na wiatr. Erin i Celinor ostrzegali przez spiskiem króla Andersa. Najwyraźniej coś z tego wyszło. Lowicker zastawił pułapkę i lada chwila miał zamiar nakazać swoim wojskom atak. Gaborn pomyślał, że może uda się jeszcze otworzyć starcowi oczy.

- Oskarżasz mnie o królobójstwo, a sam zamierzasz mnie zamordować?! - spytał, pragnąc ukazać Lowickerowi, jak sam to widzi. - Obawiam się, że jesteś narzędziem w ręku Andersa! Raj Ahten dobrze by się ubawił, gdyby o tym wiedział!

- Nie jest zbrodnią egzekucja królobójcy! - prychnął Lowicker. - Nawet jeśli jest to ktoś, kogo zawsze kochałem jak syna. Może i szkoda, że nie uwierzyłem, żeś Królem Ziemi! - dodał tonem, który nie wydawał się szczery.

- Jestem Królem Ziemi! - rzekł ostrzegawczo Gaborn i spozjrzał twardo na Lowickera. Użył swoich zdolności.

Dojrzał człowieka, który ukochał swoją pozycję, bogactwo i poklask. Ukochał je bardziej niż prawdę. Zazdrościł królowi Ordenowi większych wpływów i dlatego witał go zawsze z wielką pompą. Po cichu zaś szukał sposobu zubożenia Mystarrii. Ożenił się z kobietą, której nie cierpiał, po to tylko, by podbudować swój prestiż.

Gaborn pamiętał, jak lata wcześniej jego ojciec bolał nad śmiercią dobrej żony Lowickera. Teraz jednak ujrzał, że Lowicker tylko udawał miłość i czynił to tak dobrze, że nikt nie wątpił w jego słowa, gdy oznajmił, iż jego małżonka spadła z konia i zginęła podczas polowania, chociaż brakło innych świadków wypadku. On zaś uważał się za mądrego i przebiegłego i gratulował sobie w duchu, że tak sprawnie pozbył się żony.

Był jednak bardzo rozdrażniony, że Gaborn nie poślubił jego jedynej córki. Liczył na to, że młodzieniec tak jak on poślakomi się na bogactwo i pozwoli się wmanewrować w ten mariaż. Potem zamierzał zaaranżować jego śmierć w młodym wieku.

Jakkolwiek Gaborn przetrząsał duszę Lowickera, ciągle miał przyjaźni trafiać na pustkę, a gdzie miało być poczucie dobra i honoru, pojawiały się wyłącznie pozory kryjące potworną chciwość i skąpstwo. Lowicker nie był wcale marionetką Andersa. Działał całkowicie z własnego wyboru.

Gabornowi zrobiło się niedobrze.

- Jeśli jesteś Królem Ziemi, daj mi znak, bym mógł uwierzyć! - zawołał, krzywiąc się, stary król. - Wtedy zostanę twym sługą!

- Jak chcesz! Wiedz, że ci, którzy mi się sprzeciwią, zginą w mrocznym czasie, który czeka nas wszystkich!

- Każdy może to powiedzieć! - prychnął Lowicker. - Zresztą, z tobą czy bez ciebie, i tak wszyscy kiedyś umrzemy! Wciąż nie widzę powodu, bym miał zginąć przed tobą moje artretyczne kolana!

- Skoro tak, to powiem ci coś jeszcze! Wejrzałem w twoje serce i wiem, czego pożądasz! Znam twe sekrety! Zwiesz mnie królobójcą, ale na polowaniu osiem lat temu sam złamałeś swojej żonie kark drzewcem włóczni. Po prawdzie nie żałowałeś jej potem bardziej niż upolowanego dzika.

Uśmiech spelzł na chwilę z twarzy starego króla, jakby po raz pierwszy dopuścił do siebie myśl, że Gaborn może jednak być tym, za kogo się podaje.

- Nikt nie uwierzy w twoje kłamstwa! - powiedział po chwili. - Nic nie znaczysz, Gabornie Val Ordenie! Nie jesteś ani królem, ani nawet dobrym łgarzem! Nie masz chwalebnej przeszłości! Sam pozbawiłeś się przyszłości. Zostawiłeś swój naród na łasce tych, którzy nie znają litości! Łucznicy!

Kilka setek strzelców uniosło łuki. Gaborn stał ponad dwieście jardów od Muru Kriskaven, za daleko, by jakaś strzała mogła mu przebić zbroję, ale mało który koń miał ladry. Deszcz pocisków spowodowałby masakrę wśród zwierząt.

Lowicker chciał utoczyć krwi, ale jeszcze się wahał.

- Czeka! - zawołał Gaborn, unosząc lewą rękę. - Chcę cię jeszcze przestrzec, że tak jak ja służę ziemi, tak ona mi służy! Mam wybrać tych, którzy staną się kiedyś zaczynem ludzkości, ci zaś, którzy pragną mi przeszkodzić, narażają się na wielkie niebezpieczeństwo! Zwracam się do was wszystkich: pozwólcie mi przejechać!

Ludzie Lowickera zaśmiali się szyderczo, a Gaborn zastanowił się, jak łatwo jedna zła dusza może odmienić serca całego tłumu.

- Wracaj! - krzyknął Lowicker, a młodzieniec pojął, że coś bardzo konkretnego musi powstrzymać starca przed użyciem siły. Pomyślał, że skoro już dawno i bardzo sprawnie uśpił w sobie sumienie, jeden tylko zna zapewne rodzaj hamulca: strach.

Gaborn rozejrzał się na boki. Obok niego stał Binnesman, a dalej sir Langley i inni rycerze z Orwynne oraz królowa Herin i Erin Connal z Fleeds. No i księżę Celinor z Crowthenu Południowego...

Ostrzelanie takiego towarzystwa wywołałoby poważne reperkusje. Lowicker napytałby sobie biedy. Najbardziej zapewne obawiał się ewentualnej zemsty króla Andersa za śmierć syna. I rzeczywiście, stary król wpatrywał się intensywnie w Celinora, jakby błagał go: odjedź.

Gaborn omal się nie roześmiał. Ujrzał z całą jasnością, że ziemia wspomaga go nawet w tej chwili.

Zeskoczył z konia.

Pamiętał, jak ledwie tydzień temu Binnesman zniszczył prostym gestem kamienny most nad Przepaścią Krzywdy. Wiedział, że czarnoksiężnik użył tej samej metody, po którą sięgają kamieniarze, gdy przychodzi im ociosywać skałę. Najpierw rysują na niej runę pęknięcia, która sprawia, że dłużej wchodzi w kamień. Zamierzał wziąć z nich wzór. Używając swoich zdolności, wejrzał tym razem nie w umysł króla, ale w Mur Kriskaven, wielką masę kamienia spojonego zaprawą i utrzymywanego w miejscu przez własny ciężar. Im dłużej patrzył, tym więcej pęknięć dostrzegał. Była ich cała siatka, drobniutka, ale też całkiem spore szczyrby spowodowane przez korzenie roślin. Mur był w gruncie rzeczy na tyle słaby, przy stosownym nacisku powinien runąć w gruzy.

- Jeśli znaku wypatrujesz, dostaniesz swój znak! - zawołał do Lowickera. - I to taki, którego nie będziesz mógł zignorować!

Młodzieniec spojrzał na Binnesmana. Czarnoksiężnik wyprostował się w siodle i wyszeptał:

- Co chcesz zrobić, panie?

- Usunę Lowickera i tych, którzy stoją przy nim - odpowiedział Gaborn. - Daj mi swoją laskę.

- Jesteś pewien, że to rozsądne?

- Nie. Ale na pewno sprawiedliwe - powiedział Gaborn, biorąc laskę. Spojrzał na Lowickera, który wciąż siedział na koniu i uśmiechał się szyderczo. Był bardzo pewny swego, niemniej jego Dziennik zaczął powoli cofać konia.

Młodzieniec nakreślił na ziemi runę pęknięcia. Wyglądała jak wpisana w koło modliszka o dwóch głowach i trzech parach kleszczy.

- Dobrze? - spytał dla pewności czarnoksiężnika.

- Dobrze. Ale moce ziemi nie zwykły zabijać - ostrzegł go Binnesman.

- Ale godzą się ze śmiercią. Nawet naszą. Zresztą oszczędzę, kogo tylko zdołam.

Nie wiedział jeszcze, czy obejmie to również króla Lowickera. Chciał chronić swoich, a ziemia nie zabraniała mu zabijać wrogów. Usunięcie Lowickera byłoby zapewne równie dobrym postępkiem jak ucieczka raubena.

Uniósł laskę nad głowę i krzyknął:

- Na imię ziemi, której służę, nakazuję temu murowi: skrusz swe kamienie i obróć się w pył!

Równocześnie sięgnął myślą do tysięcy punktów muru i nakreślił w powietrzu runę pęknięcia. Grunt pod jego nogami drgnął lekko raz i drugi, coś huknęło w głębi i nagle roześmiani łucznicy na koronie muru podnieśli wielki krzyk.

Rozkaz osłabiający konstrukcję wywarł większy skutek, niż wynikałoby to z mocy samej runy, ale też wygłoszony został przez samego Króla Ziemi.

Koń Lowickera zarżał ze strachu i zrzucił jeźdźca. Rycerze ze świty króla Beldinooku złamali szyk, zawrócili i rzucili się do ucieczki. Ci z muru biegli czym prędzej do schodów albo skakali z blanków na ziemię.

Stojący od tysiąca lat Mur Kriskaven zadygotał i poddał się z hukiem siłom ziemi. Dwa półmilowe odcinki na lewo i na prawo od bramy zaczęły falować i sypać luźnymi kamieniami.

Jednak Gabornowi nie zależało na śmierci obrońców. Gdy poczuł, że konstrukcja gotowa jest już runąć, wstrzymał się na chwilę z dziełem zniszczenia, by dać ludziom z góry szansę ratunku.

W końcu nie mógł już dłużej czekać. Mur jęknął niczym dzikie zwierzę i eksplodował. Kamienie wystrzeliły wysoko w powietrze i spadły niczym grad. Kilka zabębniło po hełmie Gaborna. Chmura pyłu zakryła na chwilę widok, aż wiatr zaczął ją spychać na północ.

Łucznicy, którzy zbiegli lub zeskoczyli z muru, gnali byle dalej, osłaniając głowy rękami. Przed sobą widzieli plecy umykającej jazdy.

Gdy pył rozwiął się albo osiadł, okazało się, że cała mila muru leży w gruzach. Nawet w postaci rumowiska wciąż była to godna uwagi przeszkoda. Tam, gdzie stała niedawno Brama Feymana, widać było tylko pokruszone szczątki kamiennego łuku.

Z tego, co Gaborn wyczuwał, jedynie kilka osób połamało ręce lub nogi, skacząc z muru, a kilkudziesięciu rycerzy nabawiło się siniaków, spadając z koni. Wyglądało na to, że nikt nie zginął.

Erin, Celinor i tuzin jeszcze zbrojnych pospieszyło ku leżącemu na ziemi Lowickerowi. Okrążyli go, odcinając ewentualną drogę ucieczki.

Gaborn też się do nich zbliżył. Oblicze starego króla wykrzywił ból, a lewa noga była wykręcona pod nienaturalnym kątem, jakby znowu złamał biodro.

- Przeklęty młokosie! - wykrzyknął, widząc Gaborna. - Mam nadzieję, że pozabijacie się nawzajem z Rajem Ahtenem!

- To całkiem możliwe - stwierdził Gaborn i spojrzał z niepokojem na Lowickera. Nie chciał zabijać potężnego władcy. Z drugiej strony ten człowiek tak bardzo przesiąkł złem, że coś należało z nim uczynić. Ale co?

A może udałoby się jednak nakłonić jego wojska do udziału w wyprawie?

- Dałem ci znak - powiedział Gaborn. - Czy przysięgniesz mi wierność? Gotów jesteś odpokutować za swoje zbrodnie?

Lowicker omal nie roześmiał się szyderczo.

- Oczywiście, panie. Daruj mi życie, a przysięgam na Moce, że nie zaniedbam nigdy wyszorować ci rano nocnika!

- Wolisz zatem umrzeć? Uważasz, że śmierć lepsza jest niż służba w słusznej sprawie?

- Jeśli mam żyć, to jako ten, któremu służę, a nie odwrotnie! - ryknął Lowicker.

Gaborn mógł się spodziewać podobnych słów, ale i tak pokiwał ze smutkiem głową. I co teraz? Mało kto decydował się podnieść rękę na króla, nawet jeśli działo się to w ogniu bitwy. Zawsze istniało ryzyko, że jakiś inny władca zechce go pomścić. Dokonana z zimną krwią egzekucja groziła jeszcze poważniejszymi konsekwencjami. Sojusznicy Lowickera poczuliby się zobowiązani do działania.

Niemniej nie było wyboru. Tylko kto miał się tego podjąć? Gaborn nie chciał zabijać, a trudno, żeby do uśmiercania króla brał się ktoś ustępujący mu rangą. Młodzieniec spojrzał na towarzyszących mu władców.

- Czy ktoś z was zechce się nim zająć?

- Ja - odezwała się zdecydowanym tonem królowa Herin. - Bardzo lubiłam żonę Lowickera. Chętnie ją pomszczę.

- To twoje prawo, pani - powiedział nagle Celinor. - Proszę cię jednak, byś zechciała użyć mojego miecza.

Herin Ruda zeskoczyła z siodła i wzięła broń księcia.

- Nie, proszę! - krzyknął król Lowicker i zaczął pełzać, byle dalej od podchodzącej ku niemu Herin.

Wprawdzie był ranny, ale nie bezbronny. Jako Władca Runów dysponował ciągle wieloma darami i znaczącą siłą. Gdy królowa była już blisko, zwinął się i rzucił na nią z wydobytym spomiędzy fałdów odzieży nożem.

Spróbowała sparować cios, ale nie zdążyła. Ostrze trafiło ją w pierś. Jednak kolczuga wytrzymała, a skórzana kamizela pod spodem zatrzymała czubek noża.

Lowicker zaskrzeczał panicznie, widząc, jak królowa unosi miecz.

We Fleeds zwykłą karą za królobójstwo było obcięcie stóp i dłoni przestępcy. Potem zostawiano go, by się wykrwawił. Lowicker był w o tyle gorszej sytuacji, że miał wiele darów sił życiowych i nie mógł liczyć na szybką śmierć.

Ci, którzy przejeżdżali tamtędy później, przekazali, że męczył się aż do wschodu słońca. Z nadejściem porannego chłodu stężał niczym wąż i jak wąż umarł.

44

PAT

Wielka magini stała przed murami Carris, a jej ogromna cytrynowa różdżka pulsowała światłem. Tatuaze władczyni raubenów świeciły przytłumionym blaskiem. Kierowała wielką lagę płynnymi ruchami to tu, to tam, a Roland drżał ze strachu na myśl, że lada chwila jakieś przerażające zaklęcie położy kres istnieniu barbakanów. Runą w gruzy albo rozpląną się w nie wiadomo co...

Ona jednak obniżyła tylko różdżkę i skierowała ją na bramę, po czym zastygła w tej pozycji.

Roland był dobrym pływakiem i wiedział, że jeśli tylko zdąży zrzucić ubranie, to po skoku z muru zdoła najpewniej dopłynąć do południowego brzegu. Stamtąd mógłby już uciec.

Nagle zrozumiał, na czym zasadza się plan magini.

Nie rzucała zaklęcia.

Spomiędzy szeregów dziesięciu tysięcy raubenów wyłonił się nagle jeden nieszczerólnie rosły, chyba wiekowy, bo pokryty starymi szramami, który ruszył samotnie ku bramie i dziewięciu wiszącym nad groblą tarczom.

Wszyscy na murach zrozumieli, o co chodzi. Kapitan artylerii rozkazał natychmiast strzelać, ale podobnie jak wcześniej, pociski omijały cel. Rauben bez przeszkód zbliżył się do jaśniejszych zielenią tarcz.

Roland nie wiedział, co stało się potem. Schował się za blankami. Poczł tylko, jak mury się zakołysały, coś błysnęło, huknęło i masa kurzu wzbiła się w powietrze. Wszystkie chroniące bramę tarcze zniknęły.

Tkacze płomieni na próżno zużyli resztki energii. Dwóch z nich ruszyło po schodach baszty, jakby chcieli uciec, trzeci wciąż jeszcze wpatrywał się w miejsce eksplozji.

Dokonawszy tego, wielka magini obróciła się i zaczęła odchodzić na północ, jakby miasto przestało ją interesować. Jej intencje były jasne: i tak nikt nie miał szansy uciec z Carris. Oddziały raubenów ruszyły za nią, ale radość Rolanda nie trwała długo. Wkrótce wszyscy się zatrzymali.

Niedaleko na północ od miasta wyrastało niewielkie wzniesienie zwane Kościaną Górą. Wszyscy, którzy próbowali przez wieki zdobyć Carris, staczali o nie walki.

Magini zatrzymała się u stóp wzniesienia, opuściła łeb i szorując nim po ziemi, zaczęła węszyć jak ogar. Powoli okrążyła całą Kościaną Górę, podczas gdy armia czekała w odległości stu jardów.

Po pierwszym obchodzie powtórzyła manewr, tyle że szybciej. Jej wielki, płaski łeb zostawił na ziemi idealnie kolisty ślad. Trzeci raz obieła wzniesienie jeszcze szybciej. Pozostali raubenowie zaczęli syczeć.

Chwilę później wiatr przyniósł woń, z jaką Roland nigdy się jeszcze nie spotkał. Była słodsza niż zapach róży, delikatniejsza przy tym i bardziej egzotyczna. Ze wszystkiego, co zdarzyło się tego dnia, to właśnie było najniezwyklejsze. Wciągnął głęboko powietrze. Wspaniały zapach!

- Co to za woń? - spytał szeptem barona.

- Jakiś wynalazek raubenów - odparł Poll.

- Ale... zawsze slyszalem, że oni w ogóle nie pachną, że nawet psy nie potrafią ich wytropić.

Baron pokręcił powoli głową.

- Widzisz, waść, gdyby najmędrzy spośród ludzi spisał wszystko, co wiemy o raubenach, wyszłaby z tego książeczka gruba na dziesięć stron, która i tak wylądowałaby w wychodku. Jedni mówią, że raubenowie nie mają własnego zapachu, inni - że naśladowują wonie otoczenia, a inni jeszcze - że potrafią wytwarzać dowolną woń. Ale... minęły dwa tysiące lat od chwili, gdy ostatnio walczyliśmy z tymi potworami, i większość wiedzy przepadła. To, co zostało, to przesady wymieszane z półprawdami.

Po szóstym okrążeniu przez maginię wzgórza pojawił się wokół niego głęboki na ponad dwadzieścia stóp rów. Inni raubenowie zebrali krystaliczne czaszki z palankinu i udekorowali nimi szczyt wzgórza, tak że bezokie kościane łby kierowały się we wszystkie strony świata.

Potem magini uniosła różdkę i pomniejsi magowie podeszli do rowu. Zaczęli zrzucać doń zebrane wcześniej ciała poległych i umierających. Krew i wnętrzności rozlały się po dnie zagłębienia.

Chwilę potem w powietrzu pojawił się nowy zapach, mieszanka woni dymu i odoru zgnilizny.

Tymczasem zbrojni raubenowie i wyjce zeszy ze wzgórza i rozpełzli się po całej okolicy. Zaczęli niszczyć wszystkie świadectwa obecności człowieka. Burzyli forteczki i domy, wyrwali drzewa, równali z ziemią sady i ogrody, obalali kamienne murki grodzące tutejsze pola od tysięcy lat. Niczego nie oszczędzali, a pracowali zatrwajająco szybko i skutecznie.

Lepniaki pożerały wszystkie napotkane rośliny, w tym drzewa i strzechy, a potem wypluwały przeżutą treść, która dawała się wyciągać w długie włókna i szybko zastygała. Wyjce ciągnęły te liny aż do Kościanej Góry i owijały je wkoło wzniesienia, aż utworzyły coś na kształt kokonu. Za jego osłoną magowie mogli dalej robić swoje. Widać było, że rozkopują wzgórze i że doły układają się w dziwny, niepokojący wzór.

Dookoła góry zbrojni raubenowie przygotowywali pierścień ziemnych fortyfikacji.

Po upływie godziny resztki nocnej mgły zniknęły bez śladu i Roland mógł rozejrzeć się dobrze po całej krainie. Zaraz tego pożałował. Z południa ciągnął nieprzerwany strumień raubenów podążających od gór w kierunku Carris. Musiało być ich chyba ze dwadzieścia tysięcy. Zatem ci, którzy obiegli miasto, byli tylko strażą przednią wielkiej armii...

Dotąd istniała jeszcze nadzieja, że potwory odejdą na północ, ale teraz trudno już było na to liczyć. Wyraźnie szukały nowego miejsca, by się osiedlić.

Raj Ahten stał na chodniku wieży bramnej i patrzył na południe, gdzie trójkami lub dziewiątkami maszerowali od gór Brace raubenowie. Widok był porażający. Mur zbrojnych potworów odgradzał miasto od łądu, niwecząc wszelkie nadzieje na wypad.

Tkacze płomieni i doradcy Wilka stali obok niego. Dziennik trzymał się z tyłu. Po chwili na wieży zjawił się jeszcze lord Paldane.

- Mój panie - powiedział przypoehlebnie, ale z troską - czy mogę z tobą porozmawiać?

Raj Ahten przyjrzał mu się z zaciekawieniem. Łowczy okazywał unizoność, ale znany był jako człowiek nad wyraz inteligentny, przebiegły i wytrawny strateg. Wilk widział w nim dotąd najgroźniejszego przeciwnika, który w przeciągającej się wojnie mógłby mocno dać mu się we znaki. Dziwne, że przychodził teraz pokorny, niczym pies z podkulonym ogonem.

- Słucham - odezwał się Wilk.

- Rozważałem możliwość opuszczenia miasta - powiedział nieśmiało Paldane. - W północnym murze jest brama wodna.

- Wiem. Siedemset czternaście lat temu, podczas Wojny Gruszek, diuk Bellonsby udał, że ewakuuje miasto. Woził ludzi łodziami noc i dzień. Ale gdy kaif Hariminah wszedł do miasta i jego ludzie upili się głupio z radości, świętując zwycięstwo, oddziały diuka wyszły z piwnic i wszystkich ich zabiły. - Raj Ahten chciał dać Łowczemu do zrozumienia, że wszystko przewidział. - Rozumiem, że macie wiele łodzi?

- Tak. Prawie osiemset skifów. W każdej chwili możemy zacząć ewakuację kobiet i dzieci. Za jednym kursem wszystkie łodzie mogą wziąć do dziesięciu tysięcy ludzi. Sądzę, że wioślarze zdołają obrócić w dwie godziny. To daje ponad sto tysięcy ludzi dziennie. Za pięć albo sześć dni miasto będzie puste. Oczywiście o ile raubenowie nie zaatakują.

Raj Ahten spoglądał uważnie na Paldane'a. Kobiety i dzieci. Dla zniewieściałych ludzi z Północy to zawsze jest najważniejsze. Omal się nie roześmiał. I ci ludzie byli od wieków jego wrogami...

A czy zastanowili się kiedyś, co czynią, wysyłając zabójców przeciwko jego rodzinie? Wygubili tyłu jego najbliższych... Ojca i siostrę, kilka żon i wielu synów. Wojna pomiędzy Rajem Ahtenem a władcami Rofehavanu zawsze była krwawa. On tylko przeniósł osobisty konflikt na wszystkich.

Bez trudu mógłby wykorzystać flotyllę łodzi do ewakuacji swoich Niezwycięzonych. Starczyłby jeden kurs. A ci tutaj niech sobie sami radzą. Gdyby zaczął teraz, do wieczora wszyscy byłiby na drugim brzegu.

- Uważasz, że wschodni brzeg będzie bezpieczny? Skąd możesz to wiedzieć? - spytał. - Nie zdziwiłbym się, gdyby raubenowie wystawili posterunki wkoło całego jeziora.

Donnestgree było wielkie. Z północy na południe mierzyło czterdzieści mil, ze wschodu na zachód prawie trzy i pół mili.

- Możliwe - odpowiedział Paldane. - Ale moi dalekowidzący nie dostrzegli tam jak dotąd żadnych patroli.

Raj Ahten niemal widział, jak wątpliwości legną się w głowie Łowczego. Wskazał na maszerujących raubenów.

- Trudno wykluczyć, że oni wciąż czekają na posiłki albo że za wzgórzami kryją się jeszcze inne oddziały. Myślę, że błędem byłoby nie doceniać wielkiej magini. Głupotą byłoby wysłać kobiety i dzieci na spotkanie jeszcze większego niebezpieczeństwa.

Wiedział, że na wschód od jeziora jest całkiem sporo wiosek, a także kilka pomniejszych fortec, które nadawały się do obrony. Ale brzeg był tam kamienisty, a kraina pofałdowana, toteż zamieszkiwali ją głównie pasterze i drwale. Wilk spojrzał na swojego starego doradcę, Feykaalda.

- Przygotować dwadzieścia łodzi. Obsadzić je naszymi ludźmi i ludźmi Paldane'a. Niech sprawdzą wschodni brzeg na kilka mil głęboko, czy jest bezpieczny, bez raubenów. Gdy wrócą, mają natychmiast meldować.

Feykaald spojrzał na Wilka spod ciężkich powiek i skrył uśmiech. Rozumiał grę swego pana. Chciał wiedzieć jak najwięcej na wypadek, gdyby przyszło ewakuować własne oddziały.

- Tak się stanie, Najwyższy.

Feykaald wezwał natychmiast kilku dowódców i zaczął wyznaczać skład wyprawy.

- Mój panie - odezwał się Paldane - mamy też wiele drewna, belek i desek z domów i ogrodzeń w mieście. Możemy zrobić tratwy. Wtedy zdołalibyśmy zapewne szybko zdwoić liczbę ewakuowanych.

Raj Ahten tylko zerknął na szczupłego i posiwiatego Łowczego. Diuk zachowywał się pokornie, ale spojrzenie granatowych oczu wciąż sugerowało sporą przebiegłość.

- Jeszcze nie - sprzeciwił się Wilk. - Jeśli zaczniemy za wcześnie zbijać tratwy, ludzie skupią myśli na ucieczce, nie na obronie. A obrona jest obecnie najważniejsza.

- Panie mój, biorąc pod uwagę liczbę nadciągających raubenów, uważam, że ucieczka będzie najlepszym wyjściem. Jeśli nie jedynym.

Raj Ahten uśmiechnął się w wystudiowany sposób, który obejmował nie tylko poruszenie wargami. Napiął lekko mięśnie wkoło oczu.

- Możesz odejść - powiedział.

Niebawem po zniknięciu mgły rozeszła się wieść, że Raj Ahten wysłał wodą zwiad na wschodni brzeg i zamierza ewakuować miasto.

Roland zaraz poczuł się lepiej. Po raz pierwszy przyjrzał się teraz samemu miastu. Pod nim rozciągało się morze dachów, a zaraz obok muru rosło w czyimś ogrodzie olbrzymie drzewo migdałowe. Gdyby starczyło mu śmiałości, mógłby skoczyć z blanków prosto na jego gałęzie.

Na placu leżącym trochę na zachód widział tysiące wieśniaków. Konie jazdy Raja Ahtena stały rzędem uwiązane na ulicy.

Pod zachodnim murem przycupnęło ze czterdziestu olbrzymów. Ich żółtawa sierść zmatowiała od deszczu. Patrzyły wkoło srebrzystymi ślepiami i wyglądały na głodne. Stwory te potrzebowały wiele świeżego mięsa i Rolandowi nie podobało się to, jak zerkają na dzieci przyglądające się im z drzwi i okien.

Równie wielką grozę budziły mastiffy Wilka. Miały maski z lakierowanej na czerwono skóry i obroże z wielkimi kolcami. Były to psy z wieloma darami, szkolone specjalnie do walki.

Najbardziej jednak należało się lękać Niezwycięzonych. Każdy miał co najmniej dwadzieścia darów. W bitwie byli najgroźniejszymi żołnierzami świata.

Ponadto w obrębie murów znalazło się jeszcze trzysta tysięcy zwykłej piechoty i jazdy z Mysterrii, Indhopalu i Fleeds. Ludzie tłoczyli się na murach i w basztach, zapełniali ulice.

Tak wielka siła wydawała się wystarczająca do odparcia każdego ataku, ale Roland wiedział, że jeśli raubenowie zaatakują, obrońcy długo ich nie powstrzymają.

Odprowadzając wzrokiem małą flotyllę odpływających na wschód łodzi, życzył im rychłego powrotu. Im szybciej wrócą, tym szybciej będzie można przystąpić do ewakuacji. Zastanowił się, jak najłatwiej mógłby się dostać do wody.

Ziemia wkoło poczerniała od raubenów. Trudno było oszacować, ilu ich obiegło Carris, ale na pewno zebrały się ich już tutaj dziesiątki tysięcy.

Dwie godziny po wschodzie słońca znów zerwał się wiatr i zaczął padać deszcz. Skórzaste boki i chitynowe pancerze raubenów zalśniły od wilgoci. Niskie chmury natchnęły ludzi nadzieją. Gdyby jeszcze pojawiła się burza, może przepłoszyłaby najeźdźców.

Żaden człowiek nie widział dotąd raubenów przy jakiegokolwiek pracy. Nikt nie miał pojęcia, jacy są sprawni i szybcy. Wszędzie szwendające się wyjce budowały umocnienia, kopały doły i rowy, które połączyły następnie z jeziorem, aż powstał z tego cały system fos i kanałów. Zewsząd słychać było szum i szczękanie raubenów, krótkie okrzyki wyjców i mlaskanie towarzyszące robocie lepniaków. Nad okolicą wciąż polatywały skrzekliwe grisy. Rolandowi zdawało się chwilami, że trafił do całkiem innego świata.

Na północy trwała praca przy Kościanej Górze. Całe połacie skały zostały już zamienione w dziwne i niesamowite płaskorzeźby. Magowie spryskiwali je cieczą z gruczołów zapachowych, z czego rodził się ciężki, trupi smród.

Tymczasem na południe od Carris raubenowie zaczęli wznosić dziwną wieżę. Była czarna i powykręcana niczym róg narwala, i do tego jeszcze pochylona w kierunku Kościanej Góry.

Na brzegu jeziora potwory wzniosły ponadto kilka wielkich kopuł ze spojonych lepka wydzieliną kamieni. Jedni utrzymywali, że to pewnie wylęgarnie, inni mówili coś o uprawie nie przywykłych do słońca roślin.

Niemniej żaden rauben nie atakował Carris.

Burzyli stojące od niepamiętnych czasów wsie, plądrowali forteczki i wyrywali z nich kamienie, by użyć ich do własnych celów Niszczyli drogi i ogrody, ale nie atakowali. Tyle że nikt nie mógł uciec łodem z miasta. Dziwne to było zawieszenie broni.

Dzień mijał z wolna i Roland otrząsnął się w końcu z przerażenia wywołanego poranną masakrą. Odżyła w nim nadzieja. Inni musieli czuć się podobnie, bo o ile przez całe przedpołudnie na murach panowała cisza, to potem obrońcy w końcu się rozgadali.

Łodzie zwiadowców nie wracały dziwnie długo. Powinny już być z powrotem. Ale czy można się dziwić, że ktoś nie spieszy się do oblężonego miasta?

Co chwila tysiące oczu spoglądały na wodę, ale choć mijała godzina za godziną, nikt nie nadpływał.

SŁABY KRÓL LOWICKER

Myrrima jeszcze tydzień wcześniej знаła tylko mały kawałek świata. Nigdy nie oddalała się od domu dalej niż na dziesięć mil. Teraz, gdy przyszło jej wybrać się aż do Fleeds, miała wrażenie, że wszystko, co знаła, zostaje coraz bardziej w tyle.

Zostawiała rodzinę i ziemię, na której przyszła na świat. W miarę jak przemieszczali się na południe, zmieniał się krajobraz. Najpierw jechali przez równiny południowego Heredonu, które przeszły w rzeźbione wąwozami pogórze północnego Fleeds. Kolejne równiny, już w innym królestwie, były wyraźnie bardziej żyzne niż na północy, więcej tu było wody i roślinności. Nie wszystkie krzewy i drzewa wyglądały znajomo, podobnie jak ludzie. Pasterze we Fleeds byli zwykle niżsi i ciemniejsi niż w Heredonie, a koniarze rośniejsi i o wiele przystojniejsi. Domy wznoszono tu nie z gliny i sitowia, ale z kamienia. Nawet powietrze pachniało inaczej, chociaż to akurat trudno było Myrrimie orzec do końca, zważywszy na to, że przyjęcie psiego wężu zupełnie zmieniło jej sposób postrzegania świata.

Przede wszystkim jednak żegnała się z dawną sobą. Teraz miała siłę trzech ludzi, zwinność czterech oraz psi węch. I była pięć razy szybsza.

Nigdy jeszcze nie była tak pewna swoich możliwości.

Niemniej pewne sprawy nie uległy zmianie. Wciąż kochała tak samo jak przedtem, co w pewien sposób wydawało się jej niestosowne. I ciągle miała wrażenie, że wobec niejednego pozostaje bezsilna. Nawet jako wilczyca nie pozbyła się pospolitości.

Nie wiedziała, czy mężowi powiodła się podróż na Południe, ale miała nadzieję, że spotkają się przed nocą w Carris. Wtedy pokaże mu, kim się stała, i może małżonek uzna, że

jest godna towarzyszyć mu w wyprawie do Inkarry, chociaż nie zdobyła jeszcze doświadczenia w walce.

Z drugiej strony spotkanie z lordem Pilwynem wstrząsnęło nią niełicho. Jakich jeszcze wrogów może napotkać w Inkarrze? Czy zdoła się z nimi zmierzyć? Same dary to chyba trochę mało, by pokonać Władcę Burz i jego sługi.

Pod Tor Doohan okazało się, że oddział Gaborna rozciągnął się na wiele mil. Ostatni, dogonieni tutaj przez Iomę i Myrrimę rycerze dopiero docierali do celu, podczas gdy król już godzinę wcześniej wyruszył w dalszą drogę na południe.

Z cienia pod wielkimi skałami białego kręgu wyjechał im na spotkanie jakiś rycerz.

- Wasza wysokość, król Orden pospieszył już do Carris, ale zostawił mi ten oto list - powiedział, zwracając się do Iomy.

Królowa przeczytała pismo i na wszelki wypadek je obwąchała, aby się upewnić, że przeszło przez ręce Gaborna. Potem wepchnęła je ze złością do kieszeni.

- Złe wieści, pani? - spytał sir Hoswell. - Może mógłbym jakoś pomóc?

Ioma spojrzała na niego niezbyt przytomnie.

- Nie - odparła w końcu. - Jego królewska mość czym prędzej chce dotrzeć do Carris i nam też nakazuje pośpiech. Nie możemy długo popasać, jeśli chcemy dołączyć do niego przed zmrokiem.

- Czy mądrze będzie tak poganiać konie? - spytał sir Hoswell. - Od wczorajszego świtu, pani, przebyłaś ponad czterysta mil. Nawet tak świetny rumak jak twój może nie znieść podobnej męki.

Ma rację, pomyślała Myrrima. Mój koń stracił przez dwa dni z siedemdziesiąt lub i osiemdziesiąt funtów.

Podczas wymagających znacznego wysiłku wypraw władcy Rofehavanu żywili swoje wierzchowce mieszkanką zwaną miln. Składa się z ziaren owsa i jęczmienia maczanych w melasie i potem podsuszonych, często z dodatkiem lucerny albo nostrzyka. Dla koni był to nie lada przysmak, na dodatek pozwalał rumakowi na całodniowy bieg bez śladu zmęczenia. Wierzchowiec karmiony sianem nie miał najmniejszych szans na podobny wyczyn. Wyszczypana na pastwisku trawa nie dawała nawet w przybliżeniu tyle siły.

Nie znaczyło to wszakże, by żywiony milnem rumak mógł galopować bez końca. Też potrzebował odpoczynku. Choćby krótkiego. Wierzchowiec Myrrimy miał trzy dary metabolizmu, a to oznaczało, że parę godzin oddechu pozwoli mu na regenerację sił w podobnym stopniu co całodniowy postój zwykłego konia.

- Gaborn nie pozwala sobie na zwłokę - zaprotestowała Ioma. Hoswell pokręcił głową.

- Nie jestem od tego, by doradzać cokolwiek Królowi Ziemi - powiedział. - Ale on wie, czym to grozi. Połowa jego rumaków padnie w tej gonitwie.

- Zatrzymamy się na dwie godziny - stwierdziła Ioma. - Nakarmimy konie i weźmiemy zapas milnu na drogę do Beldinooku.

Hoswell spojrzał na własnego wierzchowca. Był w gorszym stanie niż rumaki Iomy i Myrrimy. Chociaż szczuplejszy, musiał dotrzymać kroku silniejszym zwierzętom. Myrrima nie miała wątpliwości, że Hoswell zgłaszał obiekcje przede wszystkim ze względu na niego. Jeśli nawet zdołałby żywy dobiec do Carris, nie przydałby się na nic w bitwie, a w razie konieczności pospiesznego odwrotu odmówiłby rychło posłuszeństwa.

- Niech i tak będzie - sapnął rycerz. Zeskoczył z wierzchowca i odprowadził go do stajni, by zwierzę miało jak najlepsze warunki do odpoczynku. Zabrał też zdobycznego konia, do niedawna własność inkarrańskiego zabójcy.

Myrrima odprowadziła go wzrokiem.

- Dlaczego spoglądasz na niego z taką niechęcią? - spytała Ioma. - Zaszło coś między wami?

- Nic - mruknęła Myrrima. Hoswell przewodniczył Królewskiemu Stowarzyszeniu Łuczników i był prawdziwym mistrzem w swoim fachu. Wiele lat spędził na południu, zgłębiając sekrety tamtejszych rzemieślników, cieszył się nieskalaną reputacją i łaskami króla. Myrrima nie miała ochoty wyjawiać, jak bardzo nim pogardza.

Usiadła prosto w siodle. Najchętniej od razu pogalopowałyby na południe. Ioma musiała chyba to zauważyć.

- Winna ci jestem ostrzeżenie - powiedziała cicho. - W swoim liście Gaborn błagał mnie, bym tu została. Uważa, że droga przed nami nie będzie bezpieczna. Obawia się też, że Carris czeka zagłada, gdyż ziemia po równi namawia go do ucieczki i walki. Nie wie, co innego może to oznaczać.

- Pewnie ma rację - zgodziła się Myrrima, wyczuwając niepewność Iomy. - Pani, jeśli zechcesz tu zostać, zrozumieć... Ale ja pojedę. Nie na wojnę, tylko na spotkanie męża. Muszę jechać na południe...

- Tak... - szepnęła królowa. - Obawiam się, że nigdy mi nie wybacysz.

- Ja miałabym ci wybaczać, pani? - spytała zdumiona lady Borenson.

- To ja wyznaczyłam twojemu mężowi akt skruchy. Gdybym wiedziała, że pojedziesz za nim na południe, nigdy bym tego nie zrobiła. Może powinnam dać spokój całej sprawie... Niedobrze się stało.

- Nie, pani - odparła zdecydowanie Myrrima. - To był szlachetny postępek. Dałaś mu szansę, by zyskał wybaczenie. W Mystarii mawia się: „Wybaczenia nie można otrzymać w darze, trzeba na nie zasłużyć”. Przypuszczam też, że to jedyny sposób, aby mój mąż sam sobie wybaczył...

- Oby mu się udało, choćby i z twoją pomocą. Masz duszę wojownika. Aż się dziwię, że nikt nie zauważył tego wcześniej.

Myrrima ucieszyła się ze zmiany tematu, choć pokręciła głową. Owszem, zawsze miała silną wolę, ale nigdy dotąd nie widziała siebie w żołnierskiej roli. Dopiero niecały tydzień temu coś zaczęło się zmieniać.

- Powiadają, że Król Ziemi Erden Geboren zaczął wybierać swoich wojowników dopiero po koronacji, ale mnie Gaborn wybrał zaraz pierwszego dnia, gdy spotkaliśmy się na rynku w Bannisferre, chociaż ani ja, ani on nie mieliśmy wtedy pojęcia, że zostanie Królem Ziemi. Uznał mnie za osobę dość śmiałą, bym poradziła sobie na dworze, i zaprosił do swojej świty, ale po prawdzie to mnie wybrał. I wiesz, pani, co wtedy myślałam?

- Co takiego? - spytała Ioma.

Myrrima zawahała się, gdyż nikomu jeszcze o tym nie mówiła. Nawet zbytnio tego nie rozpamiętywała.

- Gdy zobaczyłam go przed straganem z garnkami, to chociaż ubrany był jak zwykły syn bogatego kupca, zaraz przyszło mi do głowy, że gotowa byłabym walczyć dla tego człowieka. Mogłabym dla niego nawet umrzeć. Pierwszy raz zdarzyło mi się coś takiego, ale stąd właśnie znalazłam w sobie dość odwagi, by wziąć go za rękę.

- Gaborn opowiadał mi o waszym spotkaniu. - Ioma uśmiechnęła się. - Uznał, że próbujesz go uwieść. Ot, biedna dziewczyna szukająca bogatego męża...

Myrrima istotnie szukała wówczas męża, ale w jej spotkaniu z Gabornem było coś więcej. Niezbyt potrafiła to obecnie wyrazić.

- Może jego wysokość mnie nie wybrał, może raczej wybraliśmy się nawzajem. W zesłym tygodniu sama wspomniałaś, pani, że w jego bliskości nie można nie pragnąć dziecka... ale to coś więcej. Odkąd go poznałam, ciągle przyglądam się ziemi i nie mogę się nadziwić, jaka jest piękna. Jak żółte są kaczęce, jak cudnie pachną mchy, ile barw można znaleźć w cieniu rzucanym przez górski głaz. Czuję, że żyję. I czuję też, że gotowa jestem do walki.

- Można się ciebie przestraszyć, Myrrimo.

- Powiedziałam ci, pani, że zrozumieć, jeśli zechcesz zostać. Wiem, że w Carris będzie niebezpiecznie. Ale ja chcę jechać.

- Żadna z nas nie ma jeszcze dość wprawy, by wziąć udział w bitwie.

- Wiem. Ale to mnie nie wstrzyma. Ioma przygryzła wargę.

- Myślę, że kierują tobą szlachetne pobudki - powiedziała wolno, z zastanowieniem. - Jesteś obecnie Władczynią Runów i nie uchylasz się przed brzemieniem, które z tym się wiąże. Skoro lud służy tobie, ty też mu służysz, najlepiej jak umiesz. Ale i tak się boję. Otrzymałaś bardzo wiele, ale stało się to tak niedawno... Nie chciałabym, żebyś zginęła.

Wierzchowiec Myrimy pochylił łeb ku kępie trawy, która uchowała się jeszcze jakimś cudem na rozjeżdżonym terenie pod Tor Doohan.

- Pojedziemy szybko - obiecała Ioma. - Być może dotrzemy do Carris przed zachodem słońca.

- Dziękuję, pani - powiedziała Myrima i zeskoczył z siodła, by rozprostować trochę nogi.

Dwie godziny później, gdy przysiadły w gospodzie, żeby coś zjeść, kurier przyniósł z południa wieści, których nikt tu nie oczekiwał: Lowicker z Beldinooku próbował zwabić Króla Ziemi w pułapkę i zamknął przed nim granice swego królestwa.

Iomie aż niedobrze się od tego zrobiło.

Lowicker deklarował, że chce zawrzeć przymierze z Gabornem, i obiecał wsparcie swoich rycerzy. Miał ruszyć wraz z nimi na Raja Ahtena. Zapowiedział też, że ugości przechodzącą przez jego ziemie armię.

Co teraz się stanie? Sojusznicy Gaborna znikali jeden po drugim. Dopiero co śmierć zabrała króla Orwynne'a, a teraz król Lowicker okazał się zdrajcą i musiał zginąć. Co zrobi jego córka? Wypowie wojnę czy podda królestwo? Gaborn zbyt się spieszył, by się nią zajmować. Przejedzie po prostu przez jej ziemie, chociaż nie będzie to bezpieczne. Rycerstwo Króla Ziemi gnało co koń wyskoczy i poszczególne grupy rozsiane były obecnie na szlaku. Wątpliwe, by którakolwiek z nich liczyła więcej niż dwunastu ludzi. Idealne cele do napaści ze strony rozwścieczonych mieszkańców Beldinooku. Nie dadzą rady odeprzeć zorganizowanego ataku.

Jednak najpewniej będą musieli próbować. Ioma nie sądziła, aby córka Lowickera poniechała zemsty. Być może już wyruszyła polować na wszystkich, którzy naruszyli granice jej królestwa.

Gaborn miał nadzieję, że Lowicker wzmocni jego armię setkami tysięcy zbrojnych. Teraz nie dość, że nie zyska ich pomocy, to jeszcze będzie musiał walczyć z nimi, by utworzyć sobie drogę.

Ioma westchnęła i spojrzała najpierw na Myrimę, potem na Hoswella.

- Będziemy potrzebowali więcej prowiantu. I obroku.

Myrima nie była przygotowana na to, co ujrzała, gdy dotarli do Muru Kriskaven. Kurier przekazał tylko, że Gaborn pokonał Lowickera, ale nie wspomniał nic o zburzeniu fortyfikacji.

Nie zająknął się też ani słowem o tym, jak potraktowano zdrajcę. Lowicker leżał przyszpilony do ziemi po drugiej stronie rumowiska. Pilnowała go cała drużyna wojowników ze świty Gaborna.

Na przesywającej mu brzuch włóczni uwieszono proporzec z napisem, który głosił, że tu spoczywa królobójca. Odcięte dłonie i stopy Lowickera odrzucono gdzieś daleko. Kadłub z kikutami ubrany był ciągle w przepyszny, monarszy strój.

Słońce paliło go niemiłosiernie, jednak skazaniec miał dość darów sił życiowych, by nie wyzionąć jeszcze ducha. Tak długo stawiać opór śmierci mógł tylko prawdziwy władca albo Niezwyciężony. Krew rozlała się wkoło niego szkarłatną kałużą, nad którą krążyły roje much, ale rany i tak zaczęły się goić.

Myrrima spojrzała zdumiona na okaleczone potwornie ciało, które ciągle czepiało się życia. Jego męka chyba miała się już z wolna ku końcowi. Zapewne i sam Lowicker wypatrywał tej chwili z utęsknieniem...

Niemniej taka właśnie kara należała się za królobójstwo. W pewnej chwili Myrrimie aż słabo się zrobiło, gdy uświadomiła sobie, że przecież jej męża mogło spotkać to samo.

Z bliska odór krwi dławiał w gardle, chociaż komuś z psim węchem wydawał się też dziwnie nęcący.

Król Lowicker uniósł głowę, spojrzał na Iomę i po chwili zaczął się śmiać. Pot spływał mu z czoła.

- Więc i ty przybyłaś, by nacieszyć oczy mą klęską - wykrztusił z wysiłkiem. - Witam pomiot Sylvarrestów...

Ioma pokręciła głową.

- Dajcie mu chociaż pić - rozkazała strażnikom.

- To tylko przedłuży jego agonię, wasza wysokość - sprzeciwił się baron. - Poza tym nie warto.

Królowa spojrzała z przejęciem na skazańca.

- Chcesz wody? - spytała łagodnie.

- Proszę, oto pokaz współczucia dla potępionych! - warknął Lowicker. - Daruj sobie. Jeszcze mniej mi ono potrzebne niż twoja woda.

Myrrima nie mogła uwierzyć, że ktoś w takiej sytuacji może okazywać podobną hardość. Jednak widywała już takich ludzi. Tak samo patrzyli zatwardziali kryminaliści przyłapani przez straż na plądrowaniu domów przed przybyciem czarnego glory'ego do zamku Sylvarresta. Ukrywali się wcześniej przed Królem Ziemi, aby nie miał okazji wejrzeć w ich serca i dowiedzieć się jacy są naprawdę.

Dojrzała, co trawiło Lowickera. Podczas gdy wielu władców gotowych było sprzymierzyć się z Królem Ziemi, by uratować i siebie, i swój lud, byli też tacy jak Lowicker z Beldinooku i Anders z Crowthenu Południowego. Królowie zbyt zepsuci, by dojrzeć możliwość wyboru. Oni widzieli w Gabornie wyłącznie wroga.

Lowicker musiał zdawać sobie sprawę, że zaszedł za daleko, by istniała jeszcze dla niego jakakolwiek nadzieja.

- I tak mi ciebie żal - powiedziała Ioma.

Skazaniec zachichotał szaleńczo, aż łzy popłynęły mu po pokrytej kurzem twarzy. Ból i skwar musiały pomieszać mu w głowie.

To naprawdę zły człowiek, pomyślała Myrrima. Nie zasłużył na współczucie, ale jednak Ioma mu je ofiaruje. Na wodę też nie zasłużył, a mimo to...

- Mam się nim zająć, wasza wysokość? - spytał po dłuższej chwili sir Hoswell. Z jakiegoś powodu wołał nie używać dosadniejszych słów.

Myrrima oczekiwała, że Ioma się zgodzi. Że będzie chciała skrócić cierpienia niegodziwca.

- Nie - odparła królowa tonem, w którym wyczuwało się złość. - On na to właśnie liczy. Pogoniła konia i wyminęła Lowickera. Myrrima odetchnęła z ulgą.

BOHATER Z KONIECZNOŚCI

Raj Ahten stał w oknie zachodniej wieży warowni diuka Paldane'a i przyglądał się dziełom raubenów.

Zaczynał się niecierpliwić. Ludzie, których wysłał na wschodni brzeg jeziora, ciągle nie wracali i nie było wiadomo, czy będzie można uciec z miasta wodą. Niemniej narastające opóźnienie sugerowało, że zwiadowcy zginęli co do jednego.

Wilk był też niemal pewien, że oddziały Gaborańa zdążają na odsiecz Carris. Może nawet sam Król Ziemi maszeruje na ich czele. Jeśli tak, należało oczekiwać zaiste niezwykłej bitwy. Warto będzie popatrzeć.

Za Rajem Ahtenem stał Paldane w towarzystwie niegdysiejszych mądrych króla Ordenu, oraz Feykaald, doradca Wilka. Tkacze płomieni stali przy kominku i wpatrywali się w huczące płomienie. Wchłaniali ich ciepło, ale wciąż byli tak wyczerpani, że nie było co oczekiwać, iż przydadzą się w walce przed jutrzejszym dniem. Ahten zaś nie śmiał stawić czoła raubenom bez swoich magów.

Zaraz o świcie rozkazał wzmocnić obsadę bram, ale napastnicy całkiem to zignorowali. Uparcie ryli w ziemi.

- Do czego oni zmierzają? - spytał głośno. - Dlaczego nie atakują?

- Możliwe, że boją się frontального szturm - odezwał się Paldane. - Ale kopia dobrze.

Mogą podkopać się pod mury.

Tak czy inaczej, raubenowie bez wątplenia przybyli tu w jakimś konkretnym celu i nie chodziło im chyba o miasto, skoro dali mu spokój. Może nawet nie uznali zamkniętych w nim

ludzi za szczególnie groźnych. Raj Ahten skłonny był wręcz sądzić, że napastnicy zapomnieli o warownym grodzie. Wszyscy wydawali się całkowicie pochłonięci własnymi sprawami.

Spojrzał na Kościaną Górę. Wielka magini pracowała w pobliżu wierzchołka. Można było ją poznać po jaśniejących na całym ciele runach. Niekiedy zwracała płaski łeb ku miastu, ale zaraz wracała do pracy.

Musiała czuć się bezpieczna z tyłoma podwładnymi czuwającymi na równinie, która pocięta została tymczasem licznymi kanałami. Wszędzie ciemniały też wyloty głębokich jam. Sama Kościana Góra zniknęła częściowo za murem wzniesionym przez lepniaki.

Raj Ahten zastanawiał się, czy tylko przypadek sprawił, że raubenowie nadciągnęli akurat teraz. I że wybrali to samo miejsce, które on wyznaczył na decydujące spotkanie z Gabornem. A może przygotowywali grunt dla Króla Ziemi?

Chociaż nie. Ich plany nie miały najpewniej nic wspólnego z ludzkimi rozgrywkami. Zdawali się ignorować Raja Ahtena i jego armię, jakby chodziło o coś o marginalnym znaczeniu.

Wilk pokręcił głową. Zaczynał mieć tego dość. Przez ostatnie cztery godziny narastał w nim dziwny niepokój, którego nie potrafił sobie wytłumaczyć.

Nie ma się czym przejmować, tłumaczył sobie. Jestem najpotężniejszym Władcą Runów na ziemi. Od tysięcy lat nie było nikogo podobnego do mnie. Mam dary tysięcy moich poddanych. Nawet cios prosto w serce nie zdoła mnie zabić. Nie powinienem się denerwować.

Powtarzał to raz za razem, ale nie pomagało. Owszem, kilka miesięcy temu zaczął wierzyć, że stał się niezwyciężony i że tylko krótki czas dzieli go od chwili, gdy stanie się Sumą Wszystkich Ludzi i nie będzie już potrzebował drenów, aby przyjmować kolejne dary. Miał nadzieję upodobnić się do żywiołu, stać się bardziej ziemią, ogniem albo wodą niż człowiekiem. O ile legenda nie kłamała, ktoś już kiedyś tego dokonał.

Jeszcze dziesięć dni wcześniej był pewien, że dorówna pradawnemu Daylanowi. A potem coś zaczęło się psuć. Najpierw stary król Mendellas Orden ukradł mu dreny, potem pojawili się raubenowie. Ahten pomyślał jednak, że gdyby tylko te potwory wiedziały, kto stanął im na drodze, musiałyby się złębnać.

Zerknął na wierzchołek Kościanej Góry. Raubenowie rzeźbili go w kształt trudnego do opisanie znaku runicznego. W powietrzu coraz silniej dawał się wyczuć spowijający całą okolicę smród.

To zapach śmierci, pomyślał Raj Ahten. Świadectwo gnicia i rozpadu. Sam widok spustoszonej góry napełniał bólem, skłaniał do odwrócenia oczu. Pod kłębam dymu migotały płomienie przypominające te widmowe ogniki, co czasem zapalają się na bagnach. Sama runa wydawała się gotowa w każdej chwili buchnąć ogniem.

Coś mnie osłabia, pomyślał Ahten. Ta runa na szczycie... To przez nią. Raubenowie poświęcają temu znakowi dziwnie dużo uwagi.

Magowie kłębili się na górze i kopali szerokie rowy, tak że znak znajdował przedłużenie na zboczach. Każde zagłębienie namaszczeni natychmiast swoim odorem. Wilk miał dary węchu od tysięcy ludzi i potrafił poznać, że to nie jest jednorodna woń. Wyczuwał w niej niezliczone odcienie i tonacje gnicia, rozkładu ciała, dymu, potów śmiertelnych... Niesamowita symfonia dopełniających się zapachów. Niemalże godne podziwu dzieło sztuki.

Nie miał już wątpliwości, że raubenowie przybyli pod Carris tylko po to, aby wyryć tę jedną runę.

Jeden z biegających po zboczu magów pośliznął się i zjechał po nim, powodując solidny obwał, który zasypał część znaku. Inni rzucili się zaraz, by go poprawić, utwardzić ziemię i na nowo spryskać ją wydzieliną gruczołów.

Całość dziwnie hipnotyzowała. Zdawała się być tak blisko... Dziecko z młotkiem mogłoby się zamachnąć i ją zniszczyć.

Raj Ahten uderzył nagle opancerzoną dłonią w obramowanie okna. Przymknął oczy i skoncentrował się, by wyczuć jak najwięcej. Szybko odnalazł nowe tony zapachowego arcydzieła. Dziwne tony, bo miast zwykłych skojarzeń, przywoływały czyste emocje.

Nigdy dotąd nie wpadło mu do głowy, że zapachy mogą tak oddziaływać, ale oto dowiedział się, iż nawet zniechęcenie ma swoją woń. Wyczuwał też kwaśny odór potu kogoś śmiertelnie zmęczonego: to była woń rozpacz. Znalazł jeszcze słony zapach łez, odór palonego ciała i gęstą, dławiącą woń gnijącego na polach zboża. To były znaki śmierci. Przed oczami stanął mu obraz rozdętego jak melon, prawie pękającego od nadmiaru gazów trupa.

Ogarnęła go rozpacz. Wraz z nią nadeszło przerażenie pod postacią metalicznego posmaku krwi i woni psujących się wód płodowych. Oto kobieta rodzi martwe niemowlę... I jeszcze zmęczenie. Gorycz starości. Samotność dokuczająca aż do bólu.

Raj Ahten omal się nie roześmiał. Wiedział już, co niesie ten zapach. To była opowieść o ludzkim cierpieniu.

- To zakłęcie - powiedział nagle i aż drgnął zaskoczony, słysząc własny głos.

- Co takiego? - spytał Paldane, wpatrując się w Wilka.

- Ta runa. To zakłęcie wyrażone zapachami. Klątwa rzucana na cały rodzaj ludzki.

Nagle zapragnął unicestwić i znak, i wszystkich jego twórców. I zalać to miejsce oczyszczającą wodą.

Wątpił jednak, czy zdołałby dokonać aż tyle. Raubenowie byli zbyt przebiegli, żeby dopuścić go dość blisko. I zbyt silni. Obrońcy wzgórze wytrwaliby do czasu, aż nadciągnęłyby liczne posiłki. Na dodatek dostęp do runy blokował mur, chociaż zostało w nim przejście przeznaczone dla budowniczych.

Niemniej trzeba było spróbować.

- Pewnie i tak dopną swego - powiedział - ale możemy utrudnić im robotę. Nawet jeśli nie uda mi się zdobyć tego wzniesienia, wyrznię chociaż część z nich.

47

CZEKAJĄC NA SAFFIRE

Wysoko w górach Heist wierzchołek Borensona brnął powoli przez śnieżycę. Za nim wąską ścieżką schodzili strażnicy z Pałacu Kobiet, Pashtuk i Saffira.

Przed nimi rozciągała się niewielka dolina, w której pomiędzy zaspami kulily się słonie. Większość była już martwa i te leżały niczym szarawe, okryte lodem głązy, ale kilka wielkich, starych samców zauważyło nadchodzącą kompanię, uniosło słabo trąby i zahuczało ostrzegawczo.

To były udomowione słonie z obłożonymi miedzią kikutami po obciętych kłach, ale wyglądały na zbyt zagłodzone, aby udało im się wydostać z tej dolinki. Skąd się tu wzięły? Najpewniej Raj Ahten próbował przeprowadzić słonie bojowe przez góry Heist mimo późnej pory roku, i ponieważ się pojawił, że porwał się na rzecz niewykonalną, kazał kornakom porzucić zwierzęta.

Trzy razy tej nocy oddział Borensona mijał pieszych, którzy próbowali przeprowadzić się przez góry. Szli całymi tysiącami, nie tylko łucznicy i zwykła piechota, ale także praczki i wozacy. Borensonowi nawet się nie śniło, że można pędzić tak wielką rzeszę przez góry późną jesienią. Wysoko na przełęczach nie było prawie trawy, krzewy rosły rzadko, aby zaś pić, trzeba było topić śnieg w garnkach nad ledwo pęlgającymi ogniskami rozpalanymi na bawolim nawozie.

Na przebycie tej samej górskiej drogi, którą Borenson pokonał wcześniej w godzinę, oni potrzebowali całego dnia. Podróż z północy na południe, dla niego jedna noc jazdy, dla nich oznaczała tygodnie forsownego marszu. Wiele koni ostatniej z mijanych armii było w

straszonym stanie. Boki miały tak zapadnięte, że musiały wkrótce paść na szlaku. Jeźdźców czekała śmierć pośród śniegów, i to jeszcze przed początkiem zimy. Wielu ludzi skończyć miało jak te słonie.

Raj Ahten rzucił na szalę los setek tysięcy swych poddanych oraz niezliczonych zwierząt. Ale jego to nie obchodzi, pomyślał Borenson. Wilk przywykł ryzykować nie swoim życiem.

Powietrze na tej wysokości było rzadkie, a ostry wiatr przenikał nawet przez grube płaszcze. Borenson otulił się ciaśniej połami i poczekał, aż Saffira do niego dołączy. Miał nadzieję, że gdy dziewczyna ujrzy te wspaniałe słonie, pojmie szaleństwo swego pana. Co rusz napotykali świadectwa jego obłędu. Plotki powiadały, że Raj Ahten przyjął ponad tysiąc darów rozumu, jednak to pozwalało jedynie na zapamiętywanie wszystkiego, cokolwiek zdarzyło się w każdej chwili życia. Nie przydawało zdolności myślenia.

I tak Wilk, chociaż ma tysiąc takich darów, wciąż jest ciemny jak tabaka w rogu, pomyślał Borenson.

Zeszłej nocy, gdy Saffira powiedziała mu, że jej zdaniem Raj Ahten jest największym człowiekiem na świecie i na pewno uratuje ludzi przed raubenami, Borenson uwierzył jej, ale teraz wiedział już, z czego to wynikło. Gdy przestawał patrzeć na dziewczynę, gdy przestawał słyszeć uwodzicielski głos, jej argumenty traciły na znaczeniu. Wspominane na chłodno nie miały już tej mocy.

Nie, Raj Ahten nie był wszechwiedzącym mędrcom. Tylko głupiec wysłałby tylu zwykłych ludzi w góry tak późną jesienią. Głupiec albo desperat, podpowiedział Borensonowi wewnętrzny głos.

Może za długo już Wilk był Władcą Runów. Może zapomniał, jak słaby jest przeciętny człowiek. Ktoś z paroma darami krzepy i metabolizmu może biec przez pole bitwy i niczym kosiarz gasić żywoty tych, którzy nie posiadli żadnych darów. Szaracy tak łatwo umierają... Śnieg zaczął padać w nocy, padał przez całe rano i jeśli się utrzyma, wszyscy oni ugrzęzną tu na dobre. Zwierzęta nie wytrzymają wtedy więcej niż dobę, a pozbawieni opału ludzie zamrzną w parę dni.

Co pozwoliło Wilkowi wierzyć, że pogoda się nie zmieni? Przecież wiedział sporo o Rofehavanie, wiedział, jak bardzo ryzykuje.

Raj Ahten to głupiec, uznał Borenson. A Saffira tego nie dostrzega.

Wiedział, że Indhopal to wielka kraina, na którą składa się wiele królestw. Sam przejechał tylko przez część Deyazzu i Muttayi, nie dotarł dalej na południe, gdzie żyły niezliczone plemiona Kartishu i starego Indhopalu. Podobno przed podbojami Raja Ahtena rozległe dżungle i pola tamtych stron żywiły ponad sto osiemdziesiąt milionów ludzi. W tej chwili Wilk miał pod swoimi rozkazami rzeszę dwu - albo i trzykrotnie liczniejszą, ale przecież nawet jego nie było stać, by lekką ręką poświęcić pół miliona wyćwiczonych żołnierzy.

To naprawdę głupiec. Albo i szaleniec, który zakochał się w swoim pięknym obliczu i precudownym głosie.

A najgorsze, że Saffira nie widziała w swej naiwności żadnych wad tego półboga. Była narzędziem Wilka, uległym wobec jego woli i nie było szans, aby nakłoniła go do czegokolwiek.

Borenson musiał czekać na nią co najmniej kwadrans, a gdy wreszcie nadjechała, stanął po jej nawietrznej, by choć trochę osłonić ją przed kłuszącymi porywami.

- Ach, słonie mego pana - powiedziała dziewczyna, zatrzymując się, by dać wierzchowcowi nieco oddechu. Wyczerpane zwierzę opuściło łeb i zaczęło zgarniać pyskiem śnieg. - Musimy zrobić coś, żeby je uratować.

Borenson spojrział bezradnie na ginące z głodu słonie. W świetle poranka uroda Saffiry gorzała takim pięknem, że nie dawało się na nią patrzeć. Darmistrze w Obranie musieli pracować przez całą noc, przekazując jej pośredniczkom kolejne dary. Teraz były ich już

tysiące. Borenson tylko przełomie zerknął na dziewczynę, ale i tak jej uroda poraziła go niczym gorąco bijące z otwartego pieca. Zaraz poczuł się też niegodny być tak blisko Saffiry.

Z leżącej nie opodal padliny zerwało się kilka sępów.

- Co mamy zrobić, gwiazdo Indhopalu? - spytał błagalnie Borenson. Gdy nie odpowiedziała, spojrzął na Pashtuka i strażników. Nie wiedział, jak uratować słonie, chyba żeby poświęcili kilka dni na przywiezienie im paszy z Mystarrii.

Gdyby Saffira tego właśnie zażądała, najpewniej by posłuchał, chociaż konsekwencje byłyby trudne do przewidzenia. Przede wszystkim miał dowieźć Saffirę do Raja Ahtena, aby pomogła zakończyć tę wyniszczającą wojnę.

- Ja... nie wiem, co możemy dla nich zrobić - odparła.

- Wyjadły już tu wszystko do gołej ziemi, o najjaśniejsza gwiazdo - powiedział Pashtuk. - Może gdybyśmy przeprowadzili je niżej, gdzie jest więcej trawy, zdołałyby wzmocnić się na tyle, żeby przeżyć.

- Świetny pomysł! - ucieszyła się Saffira.

Borenson spojrzął znacząco na Pashtuka, żeby przekazać mu bez słów, co o tym myśli, ale tamten w ogóle nie zareagował. Sądząc po wyrazie twarzy, był tak samo zauroczony Saffirą jak Borenson. Myślał tylko o tym, jak uszczęśliwić dziewczynę.

- O najjaśniejsza - odezwał się Borenson - twój mąż próbował przeprowadzić słonie przez góry w nazbyt późnej porze roku. Nie zdołamy ich uratować.

- To nie mój mąż popełnił błąd. To wina pogody, że mu nie pomagała - prychnęła Saffira. - Przecież teraz powinno być jeszcze ciepło. Zwykle jest cieplej, prawda?

- Owszem - przyznał Borenson i nie dodał nic więcej. Zbyt wiele mocy było w jej głosie. Jasne, pomyślał, o tej porze zwykle jest jeszcze dość ciepło.

- Niemniej i tak mógł wysłać je wcześniej - dodał po chwili.

- Nie próbuj szukać skaz na obrazie mego pana - powiedziała Saffira. - Łatwo jest obwiniać. Mój mąż robi wszystko, co konieczne, aby powstrzymać ataki wolnych rycerzy. Jeśli już ktoś jest za to odpowiedzialny, to twoi pobratymcy.

Borenson poczuł się, jakby ktoś smagnął go batem przez plecy. Skulił się, niezdolny do znalezienia słów. Próbował przypomnieć sobie, co myślał jeszcze chwilę temu, ale skoro Saffira zabroniła mu krytykować Raja Ahtena, musiał jej posłuchać.

Tak więc wraz z Pashtukiem zostawili Saffirę i strażników i ruszyli w dół, do słońi. Stado liczyło pięćdziesiąt sztuk, z których tylko pięć jeszcze żyło. W wąskiej dolince brakło strumyka i Borenson przypuszczał, że zwierzaki zginęły bardziej z pragnienia niż z głodu.

Resztę dnia zajęło im przeganianie ocalałych zwierząt dziesięć mil dalej, w okolice, gdzie rosły już drzewa.

Potem Pashtuk sprowadził je do kolejnej dolinki z wodą i trawą, gdzie nie padał już śnieg, tylko deszcz. Tutaj mogły przeżyć kilka dni, chociaż wątpił, czy nabiorą dość sił, aby bez pomocy ludzi zejść na niziny. Trawa była krucha i rzadka i nie zapewniała dość bogatego pożywienia.

Niemniej uczynił wszystko, co było w jego mocy, i przyszła pora ruszać dalej. Borenson jechał na przedzie, gdyż w tym rejonie mogli już napotkać patrole wysłane przez diuka Paldane'a. Zwiadowcy mieli bez wątpienia dość rozsądku, by nie zaczepiać maszerujących armii, ale mały oddział Saffiry byłby dla nich łakomym kąskiem.

Borenson podążał zatem sto jardów przed główną grupą i rozglądał się bacznie, wypatrując zasadzki. Jednak bez darów nie widział już tak dobrze jak wcześniej, gorzej słyszał, łatwo się męczył. Szczęśliwie dary to nie wszystko, myślał. Nie zapomniał przecież sztuki wojennej, dzięki czemu wiedział, czego wypatrywać. I to było najważniejsze. Lustrował uważnie każdą ciemną kępę drzew, badał długo każdą skałę dość wysoką, by mógł się za nią ukryć koń, zdwajał czujność, przekraczając kolejne granie.

Miał też nadzieję, że w razie czego Gaborn ostrzeże go przed niebezpieczeństwem.

Po południu deszcz rozpadał się na dobre. Borenson zaproponował, żeby mimo to nie przystawać, ale Saffira była odmiennego zdania.

Zjeżdżali właśnie po zalesionym stoku, gdy natknęli się na starą chatę wzniesioną jako schronienie dla zdrożonych wędrowców. Stała na skraju polany i chociaż strzecha na niej była cała w dziurach, przemoknięty Borenson uznał, że zawsze to jakiś dach. Zresztą zwisające powyżej konary pobliskich drzew też trochę ją osłaniały.

- Sir Borensonie, pomóż Mahketowi rozpaścić ogień. Pashtuk i Ha`Pim przygotowują obiad - poleciła Saffira. - Zgłodniałam po drodze.

- O gwiazdo, musimy się spieszyć... - zaczął Borenson, ale Saffira spojrzała na niego karcąco i wojownik zaraz zasłonił oczy dłonią.

Nie próbując się już sprzeciwiać, zajął się ogniem. Potem pomyślał, że krótki postój bardzo przyda się wierzchowcom, które już teraz zaczęły szczypać rosnącą przed chatą trawę. Ludzie zaś przemokli do nitki i musieli się trochę ogrzać. Poza tym był zbyt zmęczony, aby się spierać.

Wszedł do chaty, gdzie znalazł suchy kąt pod ocalałym fragmentem strzechy. Szczęśliwie był to kąt w pobliżu paleniska. Razem z Mahketem zgarnął zaściełające podłogę szyszki i igliwie i niebawem udało im się rozpaścić niewielki ogień.

Wiedząc, że nie znajdzie nigdzie w pobliżu suchego drewna, ściągnął nieco słomy ze strzechy nad drugim końcem chaty i dorzucił ją do ognia. Pashtuk i Ha`Pim gotowali tymczasem wodę na ryż i podgrzewali wziętą jeszcze z pałacu jagnięcinę w mleku kokosowym.

Po obiedzie Saffira kazała im objąć warty. Sama zamierzała się zdrzemnąć, bo jak stwierdziła: „Lepiej nie pokazywać się Najjaśniejszemu z workami pod oczyma”.

Ułożyła się zatem w suchym i ciepłym kącie, a Borenson stanął na straży. Nie było mu wcale do snu. Zmarnowali już prawie cały dzień i Borenson kipiał ze złości. Pojął to, ledwie stracił Saffirę z oczu.

Nie śmiał jej nic mówić, ale irytowały go te ciągłe opóźnienia, których była przyczyną. Zachowywała się tak, jakby wcale nie zależało jej na spotkaniu z Rajem Ahtenem.

Zerknął na śpiącą spokojnie dziewczynę. Wyglądała jak ucieleśnienie spokoju. Zastanowił się, czy potrafiłby ją zabić. Z tyloma darami urody i głosu mogła być niebezpieczna. Na swój sposób równie groźna jak Raj Ahten.

Raz jeszcze spojrzał na jej twarz. Było w niej tyle piękna, tyle niewinności, że zaraz poznał odpowiedź. Równie dobrze mógłby spróbować odebrać życie własnemu dziecku.

Zostawił śpiącą z Ha`Pimem i Mahketem i wyszedł na zewnątrz, by dołączyć do stojącego na pobliskiej skale Pashtuka. Rosnące obok drzewo dawało całkiem dobrą osłonę przed deszczem.

Zeszli już z wysokich gór i okolica była gęsto porośnięta ciemnymi sosnami. Ich równe szeregi całkowicie zasłaniały widok na drogę poniżej, ale starczyłaby godzina marszu, aby dotrzeć na cieplejsze niziny, gdzie królowały dęby i olchy.

- Jak twoje klejnoty? - spytał Pashtuka. Zauważył wcześniej, że rycerz wierci się ciągle na siodle i próbuje opierać się bardziej na udach niż na siedzeniu. Sam Borenson nie potrafił zapomnieć, że jemu dopiero przyjdzie zapłacić za ujrzenie twarzy Saffiry.

- Tego właśnie nie rozumiem - powiedział Pashtuk. - Jakim cudem część ciała, której już nie ma, może tak boleć?

- Aż tak źle?

- Gdy będziemy pod Carris, Raj Ahten zażąda i od ciebie tej uncji ciała.

- Uncji? - Borenson zrobił wielkie oczy. - Ja mam więcej! Pashtuk wcale się nie uśmiechnął.

- Proponuję, byś pogonił we właściwej chwili konia i uciekł - mruknął. - Nasi strażnicy mają za słabe wierzchowce, nie dogonią cię. Ja mógłbym cię złapać... ale mi się nie uda.

- Dlaczego? Pashtuk pokręcił głową.

- Mój pan nakazał ukrywać położenie pałacu w Obranie przed ciekawskimi, żeby zapewnić spokój swym żonom i konkubinom. Z tego samego powodu polecił kastrować strażników. Ty jednak jesteś człowiekiem honoru. Nie wierzę, by trzeba było przedsięwziąć wobec ciebie jakieś drastyczne środki.

- Dziękuję - odparł Borenson, szczerze wdzięczny za uznanie. - Ale co byłaby ze mnie za eskorta, gdybym umknął przed dotarciem do celu?

W głębi serca wiedział, że nie zostawi Saffiry. Musiał jechać z nią do końca, a i potem niełatwo będzie mu ją opuścić. Coś jęczało w nim, by nigdy nie oddalać się od tej dziewczyny, gdyż będzie to zbyt bolesne doświadczenie. Z drugiej strony wiedział też, że gdyby spróbowała kiedyś zdradzić Króla Ziemi, przyjdzie mu wbić jej nóż w plecy.

- Ostrzegam cię tylko - dodał Pashtuk. - Zrozumiem, jeśli znikniesz. I błagam cię, byś to uczynił, gdy tylko trafi się okazja.

Borenson spojrział na drogę. Chciał przekonać Niezwycięzonego, że sam już o tym myślał i nic naprawdę nie trzyma go przy Saffirze.

- Może masz rację. Wygląda na to, że nie będziecie mnie potrzebowali. Gdyby tu były jakieś mystarriańskie patrole, już byśmy jakiś napotkali. A tu przejechaliśmy ze dwadzieścia mil przez pogórze i nic.

Nie musiał mówić więcej. Po zniszczeniu Błękitnej Wieży w Mystarrii na pewno brakło dobrych zwiadowców. Większość tych, którzy ocalili, schroniła się z pewnością w Carris.

- Ale to i tak bez sensu - powiedział w końcu. - Dlaczego Saffira tak opóźnia jazdę? Czego się boi?

- Jest sprytniejsza, niż sądzisz - szepnął Pashtuk. - Niebezpiecznie jest narazić się naszemu panu. W Indhopalu mawia się: „Nikt dwa razy nie sprawi królowi zawodu”. Gdy przekaże mu posłanie z prośbą o pokój, będzie miała tylko jedną szansę, stara się więc jak może. Cierpliwości, przyjacielu. Dałeś jej tysiąc drenów. Jak sądzisz, ile potrwa, nim darmistrze zrobią z nich użytek?

- Nie wiem. Zależy, ilu darmistrzów jest w pałacu. - Myślał, że Saffira ma ich co najmniej tuzin.

- Dwóch. Mistrz i jego praktykant.

Borenson oblizał wargi. Tylko dwóch. Pracując bez wytchnienia, mogli co pięć minut wykorzystywać jeden dren. Przy dwóch darmistrzach dawało to dwadzieścia cztery dary na godzinę, dwieście osiemdziesiąt w ciągu dziesięciogodzinnego dnia pracy. Może czterysta, gdyby przedłużyli swój trud do osiemnastu godzin na dobę.

I chyba tak właśnie pracowali, gdyż Saffira była z każdą godziną coraz piękniejsza. Niemniej i tak nie było szansy, żeby przekazanie tysiąca darów zajęło im mniej niż dwa dni.

Na razie byli w drodze ledwie dwadzieścia godzin. Borenson obliczył, że przy forsownej jeździe dotarliby do Carris już za jakieś cztery godziny. Albo i mniej.

Saffira musiała jednak czekać.

- Nie może zatrzymać nas tu na cały dzień! - przeraził się Borenson. - Raj Ahten najpewniej obiegł już Carris. Jutro przybędzie odsiecz. Król Ziemi nadjedzie...

- A czy to takie ważne? Nawet jeśli Carris upadnie, co z tego? - spytał Pashtuk. - Myślisz, jak zapobiec jednej bitwie, a Saffira chce przerwać wojnę.

- Ale... cały dzień!

- Cały dzień czekać nie będzie. Wczoraj, gdy spałeś, porozmawiałem z szambelanem Pałacu Kobiet. Łącznie przebywa w nim niewiele ponad pięćset żon i konkubin mego pana oraz strażników. No i jeszcze trochę służących. Darmistrze przysięgli, że do dzisiejszego zachodu słońca potraktują drenami wszystkich, którzy tylko mają coś do zaoferowania. Saffira otrzyma łącznie ponad tysiąc dwieście darów głosu i dwa tysiące czterysta darów urody. Gdy skończą, w całym pałacu tylko wielbłądy będą się jeszcze do czegoś nadawać - dodał Pashtuk i zachichotał.

Borenson uśmiechnął się. Bez wątpienia nawet sam Raj Ahten nie miał tylu darów urody. Historia nie wspominała o żadnej królowej, która przyjęłaby więcej niż jedną dziesiątą tego co Saffira.

Miała zatem szansę. Jedną tylko, ale zawsze.

Borenson przycupnął obok Pashtuka. Niech sobie Saffira odpoczywa.

Późnym popołudniem dziewczyna przebudziła się, a po paru chwilach odezwała głosem słodszy niż brzmienie najpiękniejszej pieśni:

- Mam dobre wieści. Darczyńcy skończyli pracę. Na dobre to się obróci czy na złe, zrobili wszystko, co było w ich mocy.

Borenson i Pashtuk czym prędzej osiodłali wszystkie konie. Ruszyli bez zwłoki, droga była jednak błotnista i nie mogli jechać zbyt szybko. Borenson uznał, że w najlepszym razie dotrą do Carris o zachodzie słońca.

Dwadzieścia mil przemknęli bez przeszkód, ale w końcu napotkali patrol, którego Borenson tak się obawiał.

Na poboczu leżały szczątki ponad dziesięciu rycerzy z Mystarii. Wszyscy byli rozdarci na sztuki: tu korpus, tam noga, gdzie indziej rozwłózione jelita. Czterdzieści stóp nad drogą wisiał na drzewie zewłok konia. Zakrwawiona ziemia wkoło nosiła ślady ciężkich stóp napastników, z których żaden jednak nie zginął. Borenson rzadko widywał podobne jatki. Na dodatek wszystko to musiało się zdarzyć mniej niż godzinę temu, bo ciała jeszcze nie ostygły do końca.

- Chyba jeden z waszych patroli wpadł na ludzi mego pana - rzuciła od niechcienia Saffira, zakrywając nos i usta jedwabną chustką, by nie wdychać odoru krwi i odchodów. Powiedziała to tak spokojnie, jakby widok poszarpanych zwłok nie był dla niej żadną sensacją. Borenson zastanowił się przelotnie, jakie też sceny musiała widywać w dzieciństwie, skoro tak zobojętniała. A może nawet nie tyle zobojętniała, ile nauczyła się nie zwracać uwagi na śmierć wrogów.

Pashtuk pokręcił głową, jakby znużyła go już święta naiwność podopiecznej.

- To nie był nasz patrol, najjaśniejsza gwiazdo - powiedział. - Żaden człowiek nie dokonałby niczego podobnego. To byli raubenowie.

- Och - westchnęła Saffira, wciąż bez śladu jakichkolwiek emocji. Zupełnie jakby nawet raubenowie nie robili na niej większego wrażenia. Obaj strażnicy przysunęli się jednak bliżej swojej pani.

Pashtuk spojrział znacząco na Borensona.

- A skoro to byli raubenowie, to znaczy, że mamy kłopoty - powiedział.

WIADOMOŚĆ OD RAUBENÓW

Sterczący wciąż na murze Roland nie posiadał się z radości. Ledwie chwilę wcześniej ujrzał, jak Raj Ahten wychodzi z Warowni Diuka i nakazuje swoim ludziom szykować się do ataku. Dumni Niezwycięzeni zbiegli z murów, giermkowie pognali po konie. Przygotowania miały potrwać z godzinę, ale Roland już teraz nie mógł doczekać się bitwy.

Magowie na Kościanej Górze pracowali bez ustanku. Wielka magini zwijała się przy szczycie z takim zapalem, że tylko jej łapy migwały. Przez cały czas wielki znak runiczny wydzielał z siebie jakiś brunatny, zakrywający wszystko mgiełką opar, któremu towarzyszył odór śmierci i gnicia. Rolandowi robiło się od niego niedobrze. Żołądek podchodził mu do gardła, mięśnie bolały, a oczy tak piekły, że prawie nie śmiał już spoglądać na splugawione wzgórze. Gdy ludzie Raja Ahtena dociągali jeszcze popręgi i rzemienie ladrów, Roland zauważył, że na równinie zaszły subtelne zmiany. Lepniaki wciąż przeżuwały drzewa i trawy i wydzielały maź używaną przez wyjce jako zaprawa przy wznoszeniu kamiennych murów, barykad i wielkich kopuł, które zajmowały coraz więcej miejsca na południowym brzegu jeziora. Ludzie snuli przypuszczenia, że mogą to być wylęgarnie, ale gdy raubenowie zaczęli je odwracać do góry nogami i spychać na wodę, wszyscy poznali, że to olbrzymie statki bez wiosel i żagli. Unosiły się na tafli jeziora niczym połówki gigantycznych orzechów.

Wyjce zaczęły się zwijać jak w ukropie, podwyższając burty statków, i Rolanda przebiegł zimny dreszcz. Aż do tej pory raubenowie zdawali się ignorować Carris i jego obrońców, ale teraz najwyraźniej przygotowywali się do ataku. Tak samo jak Raj Ahten.

Na zachodzie nie ustawały tymczasem prace ziemne. Widać było coraz więcej dziur, których obramowania wyrastały z jakiegoś powodu wyżej na północy niż na południu.

W miarę jak popołudnie przechodziło z wolna we wczesny wieczór, Roland czuł się coraz gorzej. Dusił się od smrodu, głowa pulsowała coraz silniejszym bólem, wewnętrzności mroziła z każdą chwilą głębsza rozpacz, a zmęczenie nie pozwalało prawie ustać na nogach. Wielu wkoło musiało znosić podobne katusze, gdyż ten i ów zaczynał nawet płakać, chociaż każdy próbował to ukryć.

Co dzielniejsi rycerze wzięli się do obrzucania raubenów wyzwiskami w nadziei, że dodadzą w ten sposób trochę ducha towarzyszom. Inni zanosili się śmiechem i wymyślali nowe nazwy dla powstających na ich oczach nowych elementów krajobrazu.

Wielka kamienna wieża na południu rosła coraz wyżej, aż pod wieczór przypominająca skręcony róg narwala albo gigantyczny róg budowla osiągnęła jakieś osiemset stóp, a raubenowie i tak dokładali ciągle nowe kamienie. Wielka magini przeszła dwa razy na szczyt wieży, jakby sprawdzała postęp prac. Ludzie zauważyli tymczasem, że konstrukcja przypomina do pewnego stopnia genitalia samców raubenów i nazwali ją Wieżą Miłości. Teren na wschód od wieży, gdzie budowano kopulaste statki, ochrzczono mianem Kamiennych Stoczni. Stos porzuconego drewna ze zburzonych domów, zniszczonych płotów i wyrwanych drzew nazwano Drewnianą Górą, a płataninę wykopów na północnym zachodzie okrzyknięto radośnie Ogrodami Paldane'a.

Niemniej najgorsze wrażenie robił ciągle wielki znak na Kościanej Górze. Widoczne chwilami zza muru białe wyjce usuwały ziemię z wykopów i ściągały wyrwane drzewa dla lepniaków, wytatuowani magowie zaś budowali kolejne fragmenty runy.

I tak rosła coraz większa, coraz bardziej też śmierdziała i dymiała. Widoczne w brunatnej mgielce linie zdawały się drgać niczym żywe węże albo ruchliwe języczki kolibrów. Znak ów był samą magią i wyglądał na wcielenie zła.

Ile razy Roland próbował się mu przyjrzeć, oczy zaczynały go boleć, jakby poruszające nimi mięśnie chciały się skrócić w powrozy. Musiał odwracać głowę, ale nawet skóra zdawała się piec tak bardzo, że chwilami macał się po twarzy, by sprawdzić, czy nie zaczął się jeszcze przysmażać od tego dziwnego, magicznego żaru, który emanował od wzgórze.

Musiało to być coś więcej niż tylko złudzenie, gdy bowiem znak był już prawie ukończony, nieliczne pozostałe jeszcze u stóp wzgórze drzewa i krzewy zaczęły parować i w parę chwil uschły. Trawa poszarzała, a rosnący przy murze migdał najpierw stracił liście, potem zaś powykrzywił konwulsyjnie gałęzie. Gdy ludzie Raja Ahtena kończyli nakładać zbroje, Roland wychylił się za mur. Takie samo dzieło zniszczenia dokonywało się wszędzie wokół. Jak okiem sięgnął, drzewa i trawy więdły w oczach.

Kościana Góra została tymczasem przezwana Pieczęcią Nieutulonego Żalu, chociaż niektórzy poszeptywali, że bardziej pasowałby Szyld Rzeźnika. Roland przyznał w duchu, że w mieście jest dość ludzi, żeby cała armia potworów miała co jeść przez parę miesięcy. Choć może i mniej, bo trudno było orzec, ile raubenów tu ściągnęło. Tak czy owak, każdy tutaj mógł prędzej czy później trafić do żołądka któregoś z tych stworów.

Co pewien czas Roland spoglądał z nadzieją na wschód, ale nie dostrzegał niczego ponad krótkie fale skąpane w słabym blasku jesiennego słońca. Łodzie nie wracały. Z braku innego zajęcia Roland zaczął w końcu ćwiczyć wyjmowanie mieczyka z pochwy.

Raubenowie ciągle budowali swoje, ale nie atakowali.

- Może nas poniechają - westchnął w pewnej chwili. - Może nie o nas im chodzi...

- To Kościana Góra ich przyciągnęła - powiedział stojący za Rolandem rolnik ze sztywną jak u kozła bródką. Wcześniej przedstawił się jako Meron Blythefellow. Za całe uzbrojenie miał jedynie własną motykę.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał Roland.

- Tam pochowano mnóstwo zmarłych - wyjaśnił rolnik. - Nigdzie indziej w Rofehavanie nie ma takiego miejsca. Na tej górze stoczono chyba ze sto bitew, a ziemia tak przesiąkła krwią, że każde zakłęcie, które w nią padnie, wszędzie tak bujnie jak nigdzie. Diuk próbował nawet szukać tam krwawego metalu. To dlatego raubenowie wybrali to miejsce na budowę pieczęci. Tam wszędzie jest ludzka krew.

Baron Poll też usłyszał słowa Blythefellowa i zmarszczył brwi.

- A ja tak nie myślę - powiedział. - Moim zdaniem to może być wiadomość.

- Wiadomość? - spytał z niedowierzaniem Roland. Przecież bez dwóch zdań raubenowie zatruli ludzi w Carris wyziewami swojej magii. - Ale te potwory nie mówią.

- W zasadzie nie - zgodził się baron. - W każdym razie nie w zrozumieli dla nas sposób. Ale na pewno się porozumiewają.

- No to co nam chcą przekazać? - zaciekawił się Roland. Poll zatoczył rękami krąg. Wszędzie wkoło Carris rozciągała się zryta do cna pustynia. Zniknęły wsie, gospodarstwa, ogrodzenia i fortece. Wszystko zostało albo zburzone, albo usunięte. Na odległych o pięć mil wzgórzach usychały ostatnie drzewa.

- Nie rozumiecie? - zawołał. - To łatwiejsze niż czytanie dawnych runów: „Ten kraj należał kiedyś do was, ale teraz jest nasz. Wasze domy to już nasze domy. Wasze jedzenie to teraz... no, to wy jesteście naszym jedzeniem. Wypieramy was stąd”.

Na dziedzińcu w dole Niezwyciężeni siadali na koń. Kopie trzymali pionowo, grotami mierząc w niebo.

- Otworzyć bramę! - krzyknął stojący na czele Raj Ahten. Zadzwończyła łańcuchy i skrzyknął opuszczany most.

49

WOŁANIE O POMOC

Averan sama nie wiedziała, kiedy zasnęła. O tym, że w ogóle sen ją zmorzył, dowiedziała się, gdy Wiosna zerwała się na równe nogi, pozbawiając ją okrycia ciepłego futra. Zielona kobieta drżała z podniecenia i łowiła wiatr w nozdrza.

Przez całą noc męczyły Averan dziwne i niesamowite sny przedstawiające sceny z podziemnego świata.

Dzień był chłodny, słońce skryło się za grubymi chmurami, z których padał mżawkowaty deszcz, a wkoło coś potężnie śmierdziało. Tuż przed przebudzeniem Averan śniła, że jeden z graaków przyniósł do gniazda zepsute ścierwo kozła i Brand kazał jej wyrzucić padlinę. Graaki rzeczywiście miały czasem takie pomysły.

Dziewczynka przetarła oczy. W ciągu tych paru godzin, gdy spała, paprocie nad nią poszarzały i zwiędły. To samo spotkało mech, pnącza i drzewa. Wszystkie wyglądały jak zwarzone mrozem. W powietrzu zalegała ciężka woń zgnilizny.

Co gorsza, dziwna zaraza, która zniszczyła roślinność, zdawała się wywierać też pewien wpływ na Averan, która czuła osobliwą słabość, a na dodatek bliska była mdłości.

Jeśli tu zostanę, to umrę i tyle, pomyślała.

Coś jeszcze ją zastanowiło. Spojrzała na niebo. Było późne popołudnie. Skryte za chmurami słońce miało niebawem zejść za horyzont. Averan biegła przez całą noc i gdy padła zmęczona, przespaa prawie cały dzień. Przez ten czas jakaś dziwna klątwa spadła na krainę wkoło.

Zielona uniosła nos, aż oliwkowe włosy spłynęły jej na ramiona.

- Krew tak - powiedziała cicho. - Słońce nie.

Averan zerwała się i spojrzała na równinę u stóp wzgórza. Jakaś milę dalej dojrzała dziewięciu raubenów podążających brzegiem kanału. Byli po tej samej stronie co ona, i wyraźnie tropili uciekinierki. Maszerowali w szyku, a prowadziła ich szkarłatna magini z laską jaśniejącą odrażającymi runami.

Przerażona Averan zrozumiała, co to za jedni. Dzięki wiedzy przyswojonej od zabitego raubena poznawała, że to nie są zwykli wojownicy, ale jakby gwardziści. Zostawione przez Averan znaki zapachowe musiały tak przerazić napastników, że wysłali jej śladem najgroźniejszych wojowników.

Dziewczynka ruszyła biegiem przez zmarniałe paprocie. Stopy ślizgały się jej po mokrej ziemi, ale biegła dalej, chociaż wiedziała, że nie zdoła uciec raubenom. Jeszcze chwila i wyczują jej obecność.

Zielona sadziła susami obok niej, ale oglądała się ciągle niczym pies, który miałby ochotę zapolować, ale nie wie jeszcze, czy atakować, czy zmykać.

Drzewa i krzewy straciły już wszystkie liście i nie było się gdzie ukryć, zatem Averan zrobiła w końcu to, co podpowiadał jej instynkt.

- Pomocy! Pomocy! Mordują! - wrzasnęła na całe gardło. Wiedziała, że gdyby zawołała „Raubenowie!”, nikt nie byłby taki głupi, żeby spieszyć jej na ratunek.

50

SZARŻA MYSIEJ ARMII

Pięciuset zbrojnych jeźdźców zebranych pod bramą czekało na rozkaz wymarszu.

Carris wznosiło się samotnie pośród krainy, z której zniknęły wszelkie inne świadectwa ludzkiej obecności. Białe mury wznosiły się wciąż dumnie pośród ciemnego, zamglonego deszczem krajobrazu. Dopiero parę chwil temu chmury rozeszły się na krótko i pokazało się trochę słońca.

Most opadł i na murach rozległy się głośnie wiwaty. Raj Ahten ruszył pierwszy. Uzbrojony w białą jesionową kopię pomknął z niewiarygodną szybkością przez groblę. Zdażał prosto ku wzgórzemu przemienionemu w Pieczęć Nieutulonego Żalu. Strzegący przejścia raubenowie ruszyli mu na spotkanie.

Kilku pierwszych ominął zgrabnie, jakby byli nieruchomi. Jego wojsko mknęło za nim niczym zamieć. Twarz wodza lśniła słonecznym blaskiem. Nawet z tej odległości przyciągał spojrzenia z murów, a jego uroda hipnotyzowała.

Rycerze uszykowali się w pięć kolumn i tak ruszyli dalej na północ. Lśniący od deszczu raubenowie próbowali zająć im drogę. Obrońcom Carris przypominali przerośnięte koty atakowane przez armię polnych myszy.

Rumaki Niezwycięzonych imponowały szybkością i zwinnością, długie kopie jaśniały w słońcu niczym igły. Wiatr unosił okrzyki bojowe szarżujących.

Raubenowie górowali nad nimi, ale gdy doszło wreszcie do starcia, wielu rycerzom udało się trafić przeciwnika we wrażliwe miejsce czaszki albo w podniebienie. Tak ugodzony rauben umierał prawie natychmiast. Inni mierzyli w brzuchy i zadawali potworom głębokie, obezładniające rany. Jednak równie wiele kopii skruszono w tym pierwszym starciu bez pożytku, a sporo Niezwycięzonych spadło z siodła i próbowało teraz znaleźć jakieś schronienie.

Roland widział, jak jeden z koni pośliznął się w błocie i uderzył bokiem w raubena. I wierzchowiec, i jeździec zginęli roztrzaskani, zupełnie jakby wpadli na skałę. Gdzie indziej

rauben jednym zamachem monstrualnego miecza odrąbał przebiegającemu rumakowi wszystkie nogi.

W jednej chwili zginęło ponad dziesięć potworów. Padło też kilkunastu ludzi. Każda z pięciu kolumn napotkała opór i szyk niebawem się porwał, zwłaszcza że ci Niezwycięzeni, którzy skruszyli kopie, mogli tylko zawrócić konia i uciekać, by nie umrzeć na darmo.

Raj Ahten dotarł z garstką rycerzy do wzniesienia. Mimo brunatnej mgiełki widać było, jak przemyka pomiędzy lepniaczymi murami i kolumnami. Całkiem jak mucha lecąca prosto w pajęczą sieć, pomyślał Roland.

Kilkudziesięciu roślących magów ruszyło mu na spotkanie, podczas gdy zaskoczone atakiem lepniaki i wyjce zaczęły się cofać. Wielka magini obróciła na chwilę ku Wilkowi bezoką głowę, po czym wróciła do pracy, uznając chyba, że to żadne zagrożenie.

Stojący przy murze magowie unieśli przednie łapy z olbrzymimi mieczami, a pierwszy impet ataku zmiotł z tuzin spośród nich. Trzaskały kopie, oręż raubenów migotał w powietrzu tak szybko, że ledwo było go widać. Niezwycięzeni i ich konie ginęli szybciej niż raubenowie. W parę chwil poległo ich ponad dziesięciu, a wielu utraciło broń. Sam Raj Ahten wraził kopię w podniebienie maga stojącego w przerwie muru. Potwór runął z hukiem na ziemię, ale jego wielkie cielsko zatarasowało drogę do Kościanej Góry i Ahtenowi nie zostało nic innego, jak tylko zawrócić. Pognął z powrotem do miasta. Za nim galopowało ledwie kilku konnych.

Raubenowie z wykopów Ogrodów Paldane'a zorientowali się już, co się dzieje, i biegli na pomoc. Inni nadciągali znad zachodniego brzegu jeziora, jednak wielka armia maszerująca nieustannie na południe nawet nie zwolniła, nie złamała szyku.

Raj Ahten dojrzał, co się dzieje, i pogonił konia. Raubenowie z zachodu chcieli zablokować wjazd na groblę: jedyną drogę ucieczki Wilka i garstki jego Niezwycięzonych.

Ludzie na murach podnieśli wielki krzyk, zagrzewając uciekających do większego wysiłku. Ze wszystkich sił chcieli pomóc swoim niedawnym wrogom.

Roland jednak stał tylko z otwartymi ustami.

Więc to wszystko, co możemy im zrobić? pomyślał zaskoczony. Przecież to jakby małe dziecko obrzucało zakutego w żelazo rycerza zgniętymi figami. Na równinie było widać ciała nie więcej niż sześćdziesięciu albo siedemdziesięciu martwych raubenów. Najlepsi wojownicy Raja Ahtena wstrzymali pracę tych potworów ledwie na chwilę i zaraz musieli uciekać przed wielką maginią i jej sługami. Zupełnie bez sensu.

Na szczycie Kościanej Góry coś syknęło niepokojąco. Okryta jaśniejącymi coraz wyraźniej runami wielka magini uniosła wysoko monstrualną cytrynową różdżkę. Chyba czekała na taką właśnie chwilę. Coś huknęło gromowo, zerwał się wiatr, który ruszył jednocześnie we wszystkich kierunkach, rozchodząc się od wzniesienia tak samo, jak fale rozbiegają się na powierzchni wody po upadku kamienia. Roland nie dostrzegłby tego, gdyby nie grisy, które ciągle krążyły nad okolicą. Wichura miotła nimi niczym suchymi liśćmi.

Gdy uderzyła na uciekających Niezwycięzonych, z pozoru nie wyglądało to groźnie, ale wiele rumaków potknęło się nagle, zrzucając jeźdźców na ziemię. Wielu zginęło na miejscu, ale paru próbowało jeszcze pełznąć. Nie mieli szans ująć raubenom...

Przed groblą dołączyli do Raja Ahtena ci, którzy wcześniej utracili kopie. Łącznie trzystu ludzi i trzysta oszalałych ze strachu koni. Gnali bez ładu i składu prosto na szeregi raubenów.

Wtedy wiatr uderzył na miasto. Roland poczuł jego lodowaty ziąb, a wraz z nim przyszedł strach. Paniczny strach sprawiający, że serce chciało wyskoczyć z piersi i człowiek zaczynał myśleć tylko o tym, gdzie by się tu ukryć. Wicher niósł też woń przypominającą odór palonych włosów, tylko setki razy intensywniejszą. Coś ryknęło Rolandowi w uszach hukiem tysiąca wodospadów. Oczy zapiekły go boleśnie i wszystko pociemniało.

Oślepiiony i ogłuszony krzyknął z całych sił i przylgnął do występu muru. Był tak zdezorientowany, że nie wiedział nawet, gdzie dół, a gdzie góra. Wkoło rozległy się krzyki przerażenia:

- Pomocy! Nic nie widzę! Oślepiłem! Pomocy!

Ale nie było co liczyć na pomoc. Zaklęcie magini było tak potężne, że kto żyw leżał tylko i łapał ciężko powietrze, próbując przeżyć jakoś te potworne chwile.

Nic dziwnego, że raubenowie się nas nie boją! pomyślał Roland. Oczy piekły go ciągle, jakby ktoś kwasem w nie prysnął, mięśnie w oczodołach drgały konwulsyjnie. Łzy płynęły wartkim strumieniem.

Przez długą chwilę Roland leżał całkiem bezsilny, aż w końcu szum w uszach zaczął przycichać. Po jakimś czasie pokazało się poszarzałe niebo i mdle niczym przedwieczorny księżyc słońce, Młodzieniec dźwignął się z wysiłkiem na kolana i spojrzał wkoło. Ludzie na murach kulili się ciągle i przecierali twarze.

Co z raubenami? pomyślał nagle Roland. Musieli już chyba dotrzeć do grobli, w zasięg balist i katapult... I rzeczywiście. Dały się słyszeć rozkazy, by rozpocząć ostrzał. Zadźwięzwały zwalniane stalowe ciężkiwy i skręcone do granic wytrzymałości liny. Pociski pomknęły z szumem i nie chybiły. Głuche trzaski dały znać, że przynajmniej kilku raubenów legło ze zgruchotanymi pancerzami.

Roland tak długo mrugał powiekami, aż dojrzał majaczące w półmroku szare kształty potworów. Było ich tak wiele, że los jazdy Raja Ahtena wydawał się przesadzony.

Jednak Wilk nie był zwykłym wodzem, a jego ludzie nie przypominali pospolitych żołnierzy. Szybko otrząsnęli się ze skutków działania klątwy i przystąpili do walki.

Uderzyli na ciżbę wrogów. Trzasnęły ostatnie kopie. Zarżały konie. Zahuczały potworne młoty raubenów.

Kolejne dziesiątki potworów padły trupem. Potężni wojownicy zeskakiwali z poranionych i ginących wierzchowców i biegli ku bramie. Po drodze pracowali ciężko młotami na długich rękojeściach, miażdżąc kończyny i dziurawiąc grubą skórę raubenów.

Artylerzyści na murach pracowali w pocie czoła, by jak najszybciej naciągnąć ciężkiwy balist. Pomagający im chłopcy wsuwali długie, stalowe strzały w wyżłobienia.

Nagle Raj Ahten krzyknął potężnie, aż tynk odpadł w wielu miejscach od murów miasta. Roland, którego oczy już tak nie piekły, zobaczył, że raubenowie cofnęli się na chwilę, po czym na moment stracił słuch. Jednak po chwili monstra otrząsnęła się i z nową zaciętością, jakby rozwścieczona zachowaniem Wilka, ruszyła znów do walki.

Roland usłyszał nowe krzyki przerażenia i spojrzał tam gdzie inni. Od strony Kamiennych Stoczni wypływało na jezioro prawie pięćdziesiąt osobliwych statków bez wiosel i masztów. Raubenowie wcale ich zresztą nie potrzebowali. Wojownicy zagarniali wodę swymi szerokimi mieczami, które starczyły im za wiosła.

Roland znów zamrugał, by powstrzymać łzy rozpaczki. Miał nadzieję, że nie będzie musiał stawiać czoła wrogowi. Stał na południowym murze, który wchodził na jezioro, a przecież wszyscy wiedzieli, że raubenowie nie potrafią pływać. Gdy który wpadł czasem do wody, zaraz szedł na dno jak kamień.

Poza tym tynkowane mury Carris były zbyt gładkie, aby ktokolwiek, człowiek czy rauben, mógł się na nie wspiąć. Nawet widoczne tu i ówdzie lekkie uszkodzenia umocnień tego nie zmieniały.

Młodzieniec sięgnął po swój mieczyk, który jeszcze nie tak dawno wydawał mu się całkiem użytecznym orężem. No ale wtedy zamierzał bronić się co najwyżej przez ludzi Ahtena. Czy przyda się na cokolwiek w tej potrzebie? Przecież zwykły człowiek nie ma z raubenami najmniejszych szans...

Walczący na grobli Raj Ahten znów krzyknął w nadziei, że ogłuszy trochę potwory. Roland zerknął w jego stronę. Raubenowie nie tylko zignorowali okrzyk Wilka, ale nawet raźniej ruszyli na niego, jakby rozpoznali w nim największego wroga.

- Szykujcie się! - zawołał baron Poll. - Szykujcie się!

Z dali rozległ się nieziemski wrzask zawodzących chórem wyjców.

Ludzie miotali się wkoło Rolanda. Unosili tarcze, chwyтали za topory. Ktoś krzyknął na Rolanda, by się ruszył, i paru chwatów ustawiło przy machikule przydźwigany skądś olbrzymi kamień. Sapnęli tylko i zaraz poszli po następny pocisk.

- Żeby to! - wyrwało się młodzieńcowi, jakby musiał coś powiedzieć, choć w zasadzie nie miał nic do powiedzenia. - Żeby to...

- Patrzcie! - krzyknął ktoś. - Są u bram!

Roland zerknął na zachód. Raubenowie tak się zapamiętali w pościgu, że kilku z nich przebiegło za Rajem Ahtenem po moście i dotarło do trzeciego barbakanu. Czy zdołali wdrzeć się do samego miasta, tego Roland nie dojrzał, wieża zasłaniała mu widok.

Magini na wzgórzu znów uniosła różdżkę do nieba. Ludzie na murach krzyknęli, przeczuwając, co może zaraz nastąpić.

- Zamknąć oczy! - rozległo się wkoło. - Zakryć uszy! Nie wdychać oparów!

Pierwsi ulegli działaniu zakucia ludzie przy bramach. Było widać, jak chwieją się i lecą z nóg.

Roland skulił się pod murem, osłonił dłońmi uszy, zacisnął mocno powieki i wstrzymał oddech. Zdażył w ostatniej chwili.

Mimo środków ostrożności poczuł ogarniającą go falę bólu, jednak nie było aż tak źle jak poprzednim razem. Przewrócił się wprawdzie, ale nie otworzył oczu, nie oderwał dłoni od uszu. Nie pojawiło się też mdlące poczucie braku orientacji.

Gdy w końcu spróbował uchylić powieki, poczuł wprawdzie ból i widział trochę niewyraźnie, ale okazało się, że nie oślepl. Naprzeciwko siebie zobaczył jakiegoś chłopaka, tak przerażonego, że cała krew uciekła mu z twarzy, a zęby szczękały rozgłośnie. Było niemal oczywiste, że dzieciak nawet nie spróbuje walczyć, już prędzej będzie tu leżał tak długo, aż umrze.

I o to chodzi, pomyślał Roland. Magini stara się zniechęcić nas do obrony Carris.

On sam był człowiekiem, który zawsze dawał się nieść życiu. Wcześniej kierowali nim rodzice, potem żona. Na dobre mu to nie wyszło, ale gdy się obudził, ruszył na północ, by poszukać syna, nie dlatego, że tak bardzo chciał go ujrzeć, ale z poczucia, że tak się godzi.

Teraz zazgrzytał zębami zły na siebie, że tyle go ominęło, tylu rzeczy nigdy nie uczynił i nigdy już nie będzie miał okazji naprawić dawnych błędów. Obiecał, że zaopiekuje się Averan, chciał też zostać ojcem swojego syna. I co? Żadnych szans...

Jeśli nie wstanę, by jednak walczyć, to zdechnę jak ten ówok obok mnie, pomyślał i usłyszał, jak burta jednego z kamiennych statków uderza z hukiem o mur miasta. Nie czekał już dłużej. Zerwał się na równe nogi.

- Chodź! - rzucił sparaliżowanemu strachem młodzikowi. - Umrzyjmy jak mężczyźni! - Podał mu rękę, żeby pomóc wstać, a potem wychylił się między zębami blanków i przez wyciskające łzy z oczu opary spojrzął na wodę.

Sto stóp niżej statek raubenów tkwił przyparty do muru, a jeden z potworów wyciągał właśnie przednie łapy i wbijał szpony w warstwę białego tynku.

Wrona przeleciała Rolandowi tuż na głowę dokładnie w chwili, gdy rauben odbił się od okężnicy statku i wczepił się wszystkimi kończynami w tynk. Broń trzymał w zębach, tak samo jak psy noszą patyki, i wspinał się żwawo coraz wyżej.

Przecież tu sami pospolitacy, pomyślał Roland. Nie dalibyśmy rady nawet nie uzbrojonemu raubenowi.

- Przynieście coś długiego! - krzyknął ktoś stojący za Rolandem i był to dobry pomysł, jednak brakło czasu na jego realizację. Poza tym większość halabard i pik potrzebna była już od dłuższej chwili przy bramie.

Roland schował mieczyk do pochwy i złapał leżący w pobliżu kamień. Chociaż młodzieniec był rostry i silny, nie poszło mu to łatwo. Kamień musiał ważyć ze czterysta funtów, jednak wyteżając mięśnie, zdołał go przeturlać i spuścić przez machikuł na raubena.

Pocisk trafił potwora dokładnie w środek łba. Napastnik zatrzymał się jakieś sześćdziesiąt stóp niżej, jakby trochę ogłuszony, i przygnał ciasno do muru. Niemniej kamień okazał się nie dość duży, by strącić raubena, który zaczął od tej pory poruszać się ostrożniej, na przykurczonych łapach. Jego stawy orały w tynku głębokie bruzdy. Mimo wszystko udawało mu się jakoś znajdować punkty zaczepienia.

W kilka uderzeń serca był już na górze. Wyprostował się, gotów skoczyć na drugą stronę. Uniósł łapę i zamierzył się mieczem na bladego chłopaka, który stał obok Rolanda.

Trysnęła krew. Roland jakimś cudem wyciągnął mieczyk i rzucił się z wraskiem na balansujące na występie muru monstrum. Młodzieniec zebrał całą odwagę i poszukał spojrzeniem stawu, który mógłby przeciąć swym mizernym orężem.

Z całej siły wbił żelazo w stopę raubena. Usłyszał jego syk bólu i spróbował wyszarpnąć mieczyk, który utkwiał głęboko między chrząstkami. Meron Blythefellow przyskoczył z drugiej strony i zamierzył się motyką na sąsiednią kończynę.

- Uważaj! - krzyknął baron Poll.

Roland uniósł głowę i ujrzał, jak wielki pazur opada ku niemu, a potem poczuł ból rozdieranego ramienia i już był trzydzieści stóp w górze, dokładnie ponad zębatą paszczą potwora.

Widział, że ludzie w dole próbują wykorzystać to, że rauben jest nim zajęty. Jakiś potężny żołnierz rzucił się na potwora i tak silnie pchnął go tarczą, że bydlę straciło oparcie i runęło z muru. Roland też spadł, ale wylądował na jednym z obrońców na baszcie i chyba dzięki temu przeżył. Spojrzał z przerażeniem na krew lejącą się z rany w prawym ramieniu. Bolało coraz bardziej.

- Cyrulika! Cyrulika! - krzyknął.

Ale nikt się nie pojawił. Ludzie wiwatowali, że udało się pokonać raubena, który spadł z rozgłośnym pluskiem. Roland musiał sam się sobą zająć. Spróbował zebrać razem brzegi rany, żeby powstrzymać krwawienie. Z wolna dostawał dreszczy.

Półprzytomny popełził z powrotem na koronę muru. Nie chciał blokować przejścia przez basztę.

Spojrzał na miejsce, gdzie baron siedział przez cały dzień, ale Poila tam nie było. Ktoś inny zajął jego stanowisko. Roland rozejrzał się wkoło. Łzy napływały mu do oczu, robiło mu się słabo i ledwo co widział.

Nagle zrozumiał, kto pchnął raubena tarczą. Przecież żaden zwykły żołnierz nie zdołałby tego dokonać. To musiał być ktoś z darami krzepy.

I już wiedział, gdzie się podział baron.

Serce mu się ścisnęło i wstał z wysiłkiem. Z lewej i prawej potwory próbowały opanować mury. Kto mógł, stawiał im opór.

Tutaj jednak było na razie spokojnie. Roland zerknął na jezioro. Woda była wzburzona, bo raubenowie nadal szukali miejsc do ataku, ale ten jeden statek, który przybił obok, zniknął właśnie pod powierzchnią. Strażony z góry potwór zahaczył o jego burtę tak fatalnie, że skruszył część konstrukcji, która z wolna nabrała wody. Poszła na dno razem ze wszystkimi raubenami, którzy byli w misie statku.

Tak samo jak odziany w ciężką zbroję baron Poll.

- Baron Poll! Gdzie się podział?! - krzyknął Roland do Merona Blythefellowa.

- Zginął! - odkrzyknął tamten.

Roland opadł na kolana. Zimna mżawka pocięła mu za kołnierz. W górze zawodziły boleśnie grisy.

Niebo pociemniało nagle, chociaż magini nie rzuciła jeszcze kolejnej klątwy.

OBCY NA DRODZE

„Uciekaj!”- zahuczało Borensonowi w głowie. Ściągnął cugle i spojrział na drogę wiodącą na zachód, do Carris. Zmrużył oczy, ale niewiele widział w półmroku, więc uniósł rękę, żeby wstrzymać jadącego obok Pashtuka i pozostałych.

- Co jest? Zasadzka? - spytał Niezwycięzony i też spróbował przeniknąć spojrzeniem cienie pod rosnącymi na stoku, na lewo od drogi, dębami i sosnami. Od jakiegoś czasu Borenson czuł się coraz bardziej nieswojo. Obawiał się raubenów, pięć mil wcześniej miał wrażenie, że przekroczyli jakąś niewidzialną linię, za którą wszystkie rośliny zdawały się wędnać i usychać w oczach. Trawa posykiwała, jakby kryły się w niej rojowiska węży, konary opadały, pnącza wiły się niczym cierpiące zwierzęta, a wszystkiemu towarzyszyła silniejsza z każdą chwilą woń gwałtownego rozkładu.

Im dalej jechali, tym było gorzej. Niebawem w polu widzenia nie pozostało nic żywego. Nisko nad ziemią snuły się brunatne opary.

Borenson nigdy nie spotkał się z zaklęciem, które równie gwałtownie potrafiłoby zabić całą roślinność, ale i tak czuł, że to tylko zapowiedź prawdziwych kłopotów.

- Nie wiem, czy to pułapka - odpowiedział.- Król Ziemi ostrzega przed czającym się z przodu niebezpieczeństwem. Może powinniśmy zjechać z drogi i przemknąć się bokiem.

Nagle zza zakrętu wybiegła jakaś dziewczynka. Była niewysoka i miała włosy tak samo rude jak Borenson. Nosila brudną tunikę jeźdźcy graaków. Gnała ile sił w nogach pod chorymi gałęziami dębów, aż nagle ujrzała prowadzącego oddział Borensona i na jej twarzy odmalowała się wyraźna ulga. Z daleka było słychać, że wzywa pomocy.

- Pomocy! Mordują! - krzyczała ciągle, gdy zza zakrętu wyłoniła się następna postać. Tym razem była to dorosła kobieta. Obie biegły tak szybko, jakby uciekały przed najgorszym koszmarem. Ostatnie promienie słońca przeświecające przez gałęzie ukazały wyraźnie ich twarze.

Kobieta była jakaś dziwna. Wyglądała, jakby wpadła do kadzi z zielonym barwnikiem. Nosila futro z niedźwiedziej skóry, ale pod rozwiewającymi się połami była całkiem naga. Miała małe piersi, zgrabną figurę i wszędzie była taka zielona jak na twarzy. Coś jednak zastanowiło Borensona. Nie chodziło wcale o to, że kobieta jest piękna i prawie naga. Nawet z dwustu jardów wydała mu się dziwnie znajoma.

Jasne! pomyślał. To dzika Binnesmana! Chociaż sam nigdy jej nie widział, słyszał dość, by ją rozpoznać. Wszyscy władcy Heredonu mieli przykazane szukać uciekinierki. Ciekawe, skąd się tu wzięła?

Pashtuk rozglądał się czujnie, ale Borenson sięgnął od razu po młot.

„Uciekaj!” - ostrzegł go ponownie Gaborn.

- Słyszę, do diaska! - krzyknął Borenson, chociaż król nie mógł go usłyszeć.

- To zasadzka? - spytał ponownie Pashtuk. W Indhopalu niekiedy wystawiano kobiety i dzieci na widok dla zwabienia nieostrożnych amatorów łatwych zwycięstw, chociaż żaden prawy władca Rofehavanu nigdy nie stosował takich niegodnych sztuczek.

- Uciekajmy! - krzyknął jeden z przybocznych Saffiry. Złapał cugle jej konia i skręcił na południe, ku otwartym polom.

W tej samej chwili na drodze ukazał się rauben. Był wielki, obrzydliwy i dźwigał monstualny „młot na bohaterów”.

- Ja biorę dziewczynkę, ty łapiesz kobietę! - krzyknął Borenson do Pashtuka i ścisnął boki konia. Pognał z uniesioną bronią, chociaż nie miał złudzeń, że zdoła bez darów siły i metabolizmu sprostać potworowi. Niemniej rauben tego nie wiedział. Istniała szansa, że wyczuwszy dwóch atakujących jeźdźców, bestia zwolni na tyle, by udało się uratować obie kobiety.

Pashtuk pogalopował za Borensonem.

- Czekaj! - krzyknął Ha’Pim. - Zostaw je! Jesteśmy tu po to, żeby strzec naszej pani!

Niezwycięzony od razu ściągnął wodze. Borenson obejrzał się i zobaczył, że Pashtuk wraca galopem do królowej, ale sam nie wiedział, mądra to czy pochopna decyzja. Wyczuł jednak wyraźnie strach pobrzmiewający w głosie Ha’Pima.

Pochylił się nad karkiem rumaka, który z dwoma darami krzepy bez trudu mógłby unieść jego, dziką i dziewczynkę, chociaż byłaby to zapewne mało wygodna jazda. Nie, raczej nie zdoła uratować ich obu. Zresztą dzika zostawała w tyle i oglądała się ciągle, jakby miała ochotę zawrócić i wziąć potwora w objęcia.

Borenson skierował się ku dziecku. Zwolnił dość, by je złapać i wciągnąć na siodło, jednak przeliczył się z siłami. Wprawdzie dziewczynka podskoczyła, jakby chciała mu pomóc, jednak okazał się za słaby. Nie dość, że omal nie stracił równowagi, to jeszcze poczuł palący ból w przedramieniu.

Koniec końców usadził jednak dziewczynkę przed sobą i skierował się ku zielonej kobiecie.

Tymczasem zza zakrętu wychynęło trzech kolejnych raubenów, a ten pierwszy uniósł młot, by zaatakować ofiarę. Nie zdążę, pomyślał Borenson i spróbował zawrócić konia. Musiał zostawić dziką, choć oznaczało to dla niej pewną śmierć.

- Mroczny Oswobodzicielu! Jasny Niszczycielu! Krew tak! - zawołała nagle dziewczynka, a zielona kobieta zatrzymała się gwałtownie i ruszyła na raubena.

Potwór musiał chyba poczuć się zaskoczony, ale uniósł młot. Opuścił go gwałtownie, trafił jednak w drogę. Zadudniło, jakby drzewo padało w lesie.

A potem zdarzyło się coś, w co Borenson niezbyt mógł uwierzyć.

Rauben był olbrzymi. Ważył tyle, co ze dwadzieścia koni. Gdyby padł na Borensona i jego wierzchowca, zostałyby z nich mokra plama.

A jednak zielona kobieta zatańczyła przed nim, nakreśliła w powietrzu jakiś znak i wyrznęła w łeb z taką siłą, jakby sama była „młotem na bohaterów”.

Kryształowe zęby poleciały lśniącem deszczem na drogę, a łeb raubena pękł prawie na pół, ukazując nagie kości. Polała się granatowa jak atrament krew.

Można by sądzić, że rauben zderzył się z grubym murem. Szare cielsko uniosło się na kilka stóp, a cztery wielkie nogi podkurczyły się konwulsyjnie, jak odnóża pająka, gdy chce osłonić brzuch.

Nim potwór padł z hukiem na drogę, był już martwy.

Borenson skręcił ku dziwnej istocie, ale nie musiał się trudzić.

Wprawdzie Saffira zabrała Pashtukowi męskość, ale nie stracił charakteru. Gnał już co koń wyskoczy ku zielonej kobiecie.

Ona zaś chyba nie zadowoliliła się samym zabiciem monstrum, bo nie bacząc na trzech następnych, coraz bliższych raubenów, wskoczyła na łeb pokonanego i potężnym uderzeniem wybiła otwór w czerepie. Potem sięgnęła głęboko, wydobyła ociekającą ciemną posoką garść mózgu i wpakowała ją sobie do ust.

Zapatrzony Borenson wstrzymał konia. Pashtuk dotarł do zielonej i złapał ją od tyłu. Nie bawił się w uprzejmości, tylko wciągnął kobietę na swoje siodło, jakby była workiem owsa. Nie protestowała, zajęta przeżuwaniami.

Borenson ruszył czym prędzej ku Saffirze i jej strażnikom. Po drodze oglądał się jeszcze, czy Pashtuk zdąży umknąć pozostałym raubenom.

- Tędy! - krzyknął Niezwycięzony, mijając Borensona, i skręcił na południowy wschód.

Zza wzgórza wychodziły kolejne potwory, wśród nich nawet jeden mag, ale nie miały szansy dogonić naprawdę szybkich koni. Raubenowie biegali co najwyżej z prędkością zwykłego konia, a i to raczej na niewielkich dystansach.

- Uratowałeś mnie! - pisnęła do Borensona zachwycona dziewczynka. - Wiedziałam, że wrócisz! - dodała i przytuliła się do jego pleców, gdyż tymczasem usadził ją za sobą.

Nigdy wcześniej nie widział tego dziecka.

- Wydaje się, że wiesz więcej niż ja - mruknął z sarkazmem. Nie cierpiał, gdy go podpuszczano. I nieważne, że tym razem chodziło o dziecko.

Przez kilka chwil jechali w milczeniu. Dziewczynka wychylała się zza Borensona i gapiała się na Saffirę, jakby oczu nie mogła od niej oderwać.

- A gdzie baron Brzuchaty? - spytała w końcu. - Nie wrócił z tobą?

- Kto?

- Baron Poll.

- Ha! Mam nadzieję, że nie spotkamy się zbyt rychło! - wykrzyknął Borenson. - Gdyby do tego doszło, rozwlóczyłbym jego flaki po drodze!

Dziecko pociągnęło go za płaszcz i spróbowało zajrzeć mu w twarz.

- Pokłóciliście się?

- Nie, skądże. Nienawidzę go tylko jak zła wcielonego. Dziewczynka spojrzała na niego dziwnie, ale nic już nie powiedziała.

Z daleka dobiegł ich przeciągły syk, jakby wszyscy raubenowie wciągali naraz powietrze. Za drzewami mignął płomień i w niebo wzbiła się kolumna czarnego dymu.

- Szybko! - krzyknął Pashtuk, zmuszając konia do największego wysiłku. - Mój pan walczy pod Carris!

W OGNIU WALKI

Niecałą godzinę po tym, jak Raj Ahten ruszył do ataku, Carris znalazło się na krawędzi zagłady.

Raubenowie, którzy ścigali rycerzy Wilka po grobli, dotarli do zachodnich murów tak szybko, że obsługa nie zdążyła podnieść mostów. Potwory natychmiast zburzyły młotami łuki bram, a wraz z nimi zniszczyły chroniące umocnienia runy ziemi. Osłabione fortyfikacje nie stawiały im już potem większego oporu niż zwykły żywopłot. W kilka chwil baszty legły w gruzach. Wyłom został uczyniony.

Raj Ahten rzucał weń coraz to nowych obrońców, próbując odepchnąć falę potworów. Rychło powstały tam wysokie czasem nawet na osiemdziesiąt stóp barykady z martwych ciał, tak raubenów, jak i ludzi. W końcu napastnicy mogli skakać z korpusów zabitych pobratymców prosto na mury.

Niektóre traciły przy tym równowagę lub ślizgały się na mokrych od posoki pancerzach, ale pozostałe rzucały się do walki z takim impetem, że miażdżyły wszystkich na swej drodze.

Wobec ich masy sama siła nie wystarczała. W stosunkowo niedługim starciu przy wyłomie w murach zginął prawie tysiąc Niezwycięzonych. Praktycznie na darmo.

Tymczasem raubenowie, którzy podpłynęli kamiennymi statkami, szturmowali południowe mury. Ich blanki były już mokre i czerwone od krwi obrońców. Dwadzieścia tysięcy zwykłego wojska musiało zginąć, nim Niezwyciężeni zdołali w końcu opanować sytuację.

Zdesperowany Raj Ahten pchnął do walki nawet wyczerpanych do cna tkaczy płomieni. Kazał im podpalić kilka gospod i wież, aby mieli z czego czerpać energię. Magowie stanęli na basztach na północ i południe od bramy i zasypali stłoczonego na grobli przeciwnika ognistymi kulami. Raubenowie cofnęli się, ale tylko na kilka chwil.

Rychło powrócili z olbrzymimi złomami wydobytego z głębi ziemi łupku. Trzymali je w pazurzystych łapach niczym tarcze. Potem ustawili z nich kamienne płoty wzdłuż grobli i pod tą osłoną zaczęli podchodzić z olbrzymimi głazami, które ciskali na miasto. Jedna baszta zawałiła się pod ich ciosami i stojący na niej tkacz płomieni zakończył życie w wodach jeziora.

Po kwadransie takiej walki Raj Ahten pojął, że nie utrzyma Carris. Gdyby musiał się bronić przed samymi wojownikami, sprawa wyglądałaby zapewne inaczej, ale miał przeciwko sobie jeszcze wielką maginię!

Sześć razy rzucała zaklęcia na miasto. Wszystkie były w gruncie rzeczy prostymi rozkazami, które jednak obezwładniały obrońców.

Pierwszy odbierał słuch i wzrok. Magini powtórzyła go trzy razy, po czym zmieniła polecenie. Tym razem ludzi miał obezwładnić strach. Raj Ahten był przerażony skutecznością

jej działań. Choć ostatnie zakłęcie padło już parę ładnych chwil temu, niektórzy obrońcy ciągle jeszcze nie mogli się otrząsnąć z przerażenia. Na dodatek żadne kroniki nie wspominały, aby magowie raubenów byli zdolni do czegoś podobnego.

W końcu i sam Wilk musiał rzucić się w wir walki. I wtedy właśnie magini po raz siódmy uniosła cytrynową różdżkę i syknęła tak głośno, że aż echo poszło po całej okolicy. Ludzie na murach podnieśli krzyk, ale Raj Ahten nastawił ucha. Nie rozumiał jednak treści klątwy, jak wszyscy musiał poczekać, aż czarny wiatr przyniesie kolejną plagę.

Tymczasem Wilk runął rozmazaną smugą na kolejnego raubena. Sześć darów metabolizmu dawało mu nieco przewagi nad potworami, chociaż i tak musiał pilnie baczyć na każdy krok.

Rauben ześliznął się ku Wilkowi po grzbietach zabitych kompanów. W łapie ścisnął „młot na bohaterów”. Z hukiem wylądował na ziemi i w tej samej chwili otrzymał potężny cios od stojącego za Wilkiem olbrzyma. Rycząca bestia przyłożyła mu maczugą w łeb i zmusiła do cofnięcia się o parę kroków.

Zaskoczone monstrum nie miało czasu, by pomyśleć o najlepszym sposobie ataku, odruchowo uniosło młot i zamierzyło się na olbrzyma. Raj Ahten zamarł na mgnienie oka i machnął toporem, mierząc w lewą łapę raubena. Żeleźce wbiło się głęboko, ale nie odcięło kończyny. Rozwścieczony potwór syknął z bólu.

Gdyby potwór ryknął głośno, otwierając paszczę, Raj Ahten mógłby rzucić toporem w miękkie podniebienie i sięgnąć mózgu. Gdyby zaś rauben zawrócił, odsłoniłby szczeliny pomiędzy płytami pancerza, a wtedy Wilk by go po prostu rozłupał.

Obolały stwór zachował się jeszcze inaczej. Opuścił łeb i uderzył na ślepo. Próbował chyba przejść obok Raja Ahtena, który usunął się na czas przed monstrualnym cielskiem i uniknął tym samym zmiżdżenia.

Następny cios potwór wymierzył w olbrzyma, który zasłonił się wielką maczugą, obracając przy tym łeb w stronę Ahtena. Wilk przez mgnienie przyjrzał się swemu ogromnemu wojownikowi. Sierść miał pozlepianą czerwoną ludzką krwią i granatową posoką raubenów. Jakiś wcześniejszy cios rozpruł olbrzymowi koleczkę i widać było, że krwawi.

Być może właśnie upływ krwi osłabił olbrzyma, gdyż normalnie stworzy te były prawie niezmordowane, dość że nie zdążył uchylić się na czas. Młot trafił go prosto w pysk. Krew i skrawki ciała spadły na Ahtena czerwonym deszczem.

Wściekły Wilk jednym cięciem odrąbał raubenowi dwa pazury z przedniej lewej łapy, a gdy potwór obrócił się ku niemu i otworzył groźnie paszczę, Ahten wskoczył pomiędzy ostrymi zębami do pyska, przetoczył się po chropawym języku i wraził topór w podniebienie. Gdy tylko wyrwał broń z rany, przekręcił toporzysko w dłoniach i uderzył drugą stroną żeleźca, długim żelaznym dziobem, który sięgnął mózgu raubena.

Zanim jeszcze trysnęła krew, Ahten wyskoczył z pyska ginącego raubena. Niestety, olbrzym też bliski był śmierci. Chwiejnym krokiem odszedł na bok i po chwili przewrócił się, miażdżąc kilku ludzi.

Wilk rozejrzał się, czy ktoś z jego wojowników w pobliżu nie potrzebuje pomocy. Większość atakowała raubenów w drużynach po pięciu albo czterech. Ubrani w żółte opończe kojarzyli się z szerszeniami próbującymi obezwładnić przeciwnika mnogością żądań.

Magini na Kościanej Górze zakończyła sykliwą klątwę, a Ahtenowi przemknęło przez głowę, czy ona się przypadkiem z nimi nie bawi. Przecież dysponując podobną mocą, mogłaby zapewne po prostu zabić wszystkich ludzi w mieście, nasyłając na nich już nie szkodliwy, ale wręcz trujący wiatr. A może chciała najpierw wypróbować nowe zaklęcia i przekonać się, jak działają? Ostatecznie minęło szesnaście wieków, odkąd ostatni raz raubenowie walczyli z ludźmi.

Wiatr uderzył. Ludzie zaczęli zaciskać nosy i krzyczeć, ale Wilk nie wiedział jeszcze, o co chodzi. Zrozumiał dopiero po chwili, gdy w ustach mu zaschło, a skóra spłynęła potem. Musiał się opanować, by nie oddać moczu, ale wielu wkoło straciło panowanie nad pęcherzami.

Tym razem magini nakazała ich ciałom, by wyschły na wiór.

Sto jardów za walczącymi pokazał się nagle Feykaald.

- O wielki, wiadomość! - zakrakał, stając na stopniach gospody. Raj Ahten krzyknął na Niezwycięzonych, by zwarli szeregi, i pobiegł przez murawę do budynku.

Po drodze obejrzał się jeszcze. Na szczycie wału trupów pojawiali się ciągle nowi raubenowie. Jeden szykował się właśnie, by skoczyć w dół. Na murach trwała rzeź. Wilk szacował, że do tej pory stracił trzy czwarte Niezwycięzonych. Zostało mu mniej niż czterystu.

- Gadaj - rzucił Feykaaldowi i wyciągnął osełkę, by naostrzyć topór. Nie potrzebował smarowidła, krew raubenów była dostatecznie gęsta.

Stary kanclerz odchrząknął z wysiłkiem. Cały ociekał grubymi kroplami potu.

- Łodzie wróciły. Wschodni brzeg jest bezpieczny - wyszeptał Wilkowi do ucha. - Nasi spotkali paru raubenów, ale ich zabili.

Ahten otarł pot z czoła. Cały był mokry, dłonie też miał śliskie. Przeciągnął jeszcze kilka razy osełką po ostrzu i zastanowił się chwilą.

Z blanków dobiegały ciągle krzyki i jęki konających. Stracili już połowę machin miotających. Raubenowie panoszyli się na koronie muru. Jeden tkacz płomieni zginął, reszta, mimo że czerpała siły z płonącego ognia, słaśniała się z wyczerpania.

Olbrzymowie walczyli dzielnie, ale po odwróceniu spod Longmot zostało ich tylko trzydziestu i z każdą chwilą było mniej. Na oczach Wilka rauben rozplątał właśnie czaszkę kolejnemu futrzastemu stworowi, innego trafił w plecy tuż nad krótkim, grubym ogonem i przeciął mu kręgosłup.

Wyrwa poszerzała się i obrońcy musieli walczyć na coraz dłuższym odcinku, a niewielu z ludzi Paldane'a miało dość darów, by przeciwstawić się raubenom. Stawali ramię w ramię z wojskiem Ahtena, ale niewiele mogli wskórać. To była daremna walka. Carris musiało upaść, i to nie za godzinę czy dwie, ale niebawem.

Zwykli ludzie słańiali się już z odwodnienia. Niektórzy mdleli. Jeszcze trochę, a zaczął umierać, pomyślał Wilk. Jedno tylko mu sprzyjało: wiatr wiał dziś od wschodu i zapewne osłabiał trochę działanie zaklęć magini.

Raj Ahten naostrzył topór i spojrzał na barykadę. Zjeżdżający z góry rauben uderzył kolejnego olbrzyma w grzbiet. Futrzaste stworzenie przewróciło się na dwóch Niezwycięzonych, a potwór kolejnym cięciem rozplątał czterech ludzi.

Raj Ahten nie miał wyboru. Jego ludzie ginęli daremnie i z każdą chwilą było ich mniej. Nie chciał tracić armii. Przecież to nie koniec, będą jeszcze inne bitwy.

Nie był tchórzem. Kalkulował, co najlepiej będzie uczynić. Nie zamierzał poświęcać swoich ludzi dla ratowania wroga.

- Przygotować łodzie. Najpierw wsiadają tkacze płomieni i Niezwyciężeni. Potem łucznicy. Wydać rozkazy - rzucił Feykaaldowi i ruszył z powrotem do walki.

BÓL ZIEMI

Jak mam ich wszystkich uratować? zastanawiał się po raz setny tego popołudnia Gaborn, jadąc do Carris. Chłodny deszcz siąpił z zaciągniętego chmurami nieba. Gnali co koń wyskoczy i niewielu mogło dotrzymać im kroku. Królowi Ziemi towarzyszyli jedynie Binnesman, królowa Herin, jej córka, sir Langley i jeszcze dwudziestu zbrojnych.

Gaborn czuł, jak śmierć osacza jego wybranych przebywających w Carris, a ziemia ostrzegała, że nie tylko on sam się naraża w tej podróży. Wszyscy, którzy mu towarzyszyli, igrali z losem.

Konie galopowały przez zielone pola Beldinooku. Prawie trzysta mil udało im się przebyć w sześć godzin, wspaniały czas. Tyle że setki jeźdźców musiały zostać z tyłu. Nie nadążali. Oddziały rozciągnęły się setki mil na szlaku, a wiele wierzchowców słańało się na nogach. Dziennik Gaborna odpadł już kilka godzin wcześniej, chociaż trudno było powiedzieć, czy to koń mu osłabł, czy może historyk obawiał się towarzyszyć królowi.

A wszystko wskazywało na to, że może być naprawdę źle. Nawet pod Longmot Gaborn nie wyczuwał takiego odoru śmierci jak teraz. Zagłada była o krok...

I jak mam ich uratować?

W pewnej chwili dotarło do niego, że coś zagraża Borensonowi. Ostrzegł wojownika, by uciekał.

Zostało im jeszcze piętnaście mil, gdy Binnesman podjechał do władcy.

- Zatrzymajmy się na chwilę, panie! Musimy odpocząć! - krzyknął. - Nic nie wskóramy na wierzchowcach zbyt zmęczonych, żeby walczyć!

Gaborn ledwie go słyszał w huku bijących o trakt kopyt.

- Panie! - zawołał sir Langley. - Kilka chwil! Prosimy! Przed nimi, z prawej strony drogi, pokazał się staw z błotnistym brzegiem. Widać pojono tu czasem bydło. Woda marszczyła się lekko. To ryby polowały na krążące tuż nad jej powierzchnią owady. Gaborn wstrzymał konia i zjechał ku stawowi.

Para kaczek zerwała się z trzciny, zatoczyła krąg i odleciała na wschód. Ledwo Gaborn zeskoczył z konia, zaraz otoczyła go chmara komarów. Sir Langley, który poił swojego konia dwadzieścia kroków dalej, uśmiechnął się do króla.

- Gdybym wiedział, że tu będzie tyle komarów, włożyłbym blachy zamiast karaceny - powiedział, ale Gaborn nie był w nastroju do żartów. Policzył szybko swoich ludzi.

Było ich nader niewielu. Nigdzie nie dostrzegł Dzienników. Gaborn wiedział już, że Carris padnie, nim minie godzina, ale nie miał armii. Brakło zbrojnych króla Lowickera, na których tak liczył. Ci, którzy jechali za nim, byli już teraz zbyt wyczerpani, aby stanąć do walki. Mógł tylko liczyć na oddziały, które wcześniej podeszły pod Carris, oraz na obiecanych przez Skalbairna wolnych rycerzy.

Zresztą to nieważne, pomyślał. Nie wiem, co zamierza Raj Ahten, ale i tak zażądam, by się poddał. Jeśli tego nie uczyni, będę musiał go zabić.

Koń Binnesmana pił łąpczywie. Gaborn sięgnął do juków i wydobył ostatnie dwie garście milnu dla wierzchowca, który z wdzięcznością przyjął słodkie kąski. Starczyło spojrzeć mu w ślepią, by zrozumieć, jaki jest zmęczony.

Młodzieniec wytarł lepkie ręce o tunikę.

- Co cię trapi, panie? - spytał Binnesman, który musiał dostrzec, że Król Ziemi jest zatroskany.

Zapadała już noc. Ostatnie promienie słońca przeświecały przez chmury. Chłodny wiatr znad stawu wiał Gabornowi prosto w twarz.

- Jedziemy na spotkanie wielkiego niebezpieczeństwa - odparł król cicho, by reszta nie słyszała. - A ja nie wiem ciągle, jak wybierać. Kto najbardziej wart jest życia?

- Wybieranie nie jest trudne - mruknął Binnesman. - O wiele trudniej jest nie wybrać.

- Ale skąd mam wiedzieć, kto nie jest dość cenny?

- Nieraz już udowodniłeś, że życie jest dla ciebie skarbem - stwierdził Binnesman. - Cenisz swój lud bardziej niż on sam siebie.

- Nie. Mój lud kocha życie.

- Może i tak. Ale ponieważ gotów jesteś osłaniać nawet najsłabszych, to wszyscy w twym otoczeniu, również oni... - skinął głową w kierunku kompanii Gaborna - ...nie zawahają się, gdy przyjdzie oddać za kogoś życie.

Miał rację. Gaborn gotów był do podobnego poświęcenia.

- Co naprawdę cię gryzie? - spytał raz jeszcze Binnesman.

- Ziemia przyszła do mnie we śnie - szepnął jeszcze ciszej Gaborn. - Zagroziła, że mnie ukarze. Ostrzegła, że mam wybrać tylko tych, którzy staną się zacynem nowej ludzkości, a nie wszystkich.

Binnesman spojrzał z przerażeniem na Gaborna i przysunął się bliżej.

- Uważaj, panie. Jeśli ziemia postanowiła przemówić do ciebie we śnie, to tylko dlatego, że widać nie słuchasz jej dość pilnie na jawie. A teraz powiedz dokładnie, co usłyszałeś.

- Powiedziała...- że wybieram zbyt szeroko. Objawiła się pod postacią mojego ojca i upomniała, że muszę nauczyć się akceptować śmierć.

Gaborn nie śmiał dodawać, że nie pogodził się jeszcze ze śmiercią rodzica. Jego zdaniem ziemia żądała odeń niemożliwego. Kazała zawęzić wybór tylko do tych najbardziej wartościowych. Ale którzy to? Ci najbardziej przezeń ukochani? Nie zawsze. Ci, którzy najwięcej dawali z siebie światu? A gdyby, to jaką miarą szacować ich rolę? Czy artysta wart jest więcej niż dobry piekarz? Czy można porównać ich do prostej wieśniaczki, która z poświęceniem wychowuje swoje dzieci? A może wybierać tych, którzy najlepiej sprawią się u jego boku w walce i tym samym najlepiej będą bronić ludu?

Jak zważyć cudze życie? Zajrzał już w tyle serc, że zdawał mu się ten dar raczej ciężarem niż wyróżnieniem. Przekonał się, że najbardziej kochają życie ludzie starzy. Młodzi nie wiedzą jeszcze, ile jest warte. Mało kto okazywał się też tak szlachetny, jak można by sądzić po samych pozorach. Wielu gardziło innymi, a wśród żołnierzy trafiał często na ludzi z natury brutalnych, którzy uwielbiali przelewać krew i panować nad bliźnimi. Ci z gruntu prawi rzadko zaś nosili miecz u boku.

Gaborn przeżywał zwykle rozczarowanie za rozczarowaniem. Tak jak z królem Lowickerem. I było mu coraz trudniej, bo przecież każdy zasłużył na życie. Nawet małe dzieci, chociaż nijak nie mogły mu pomóc. Również ten kulawy chłopiec. I stojący nad grobem starcy.

- Znalazłeś się w wielkim niebezpieczeństwie, panie - szepnął Binnesman, rozejrzawszy się dyskretnie na boki. - Kto służy ziemi, musi być jej posłusznym. W przeciwnym razie ziemia może cofnąć swoje wsparcie. - Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Gaborna. - Może to i moja wina - dodał po chwili. - Powiedziałem ci z początku, żebyś nie skąpił wyborów.

Winienem być cię ostrzec, byś nie wybierał też za szeroko. To także ryzykowne. Może się zdarzyć, że będziesz musiał porzucić niektórych wybranych... Czy tego się obawiasz?

Gaborn opuścił powieki i zacisnął zęby. Nie potrafił jeszcze zaakceptować śmierci.

- Panie! - krzyknął sir Langley, wskazując na grzbiet oddalonego o kilkaset jardów na południe wzgórza.

Przez pola pełzył w tempie ludzkiego marszu brązowy opar. Przypominało to pożar traw, ale nie było widać żadnego ognia, poza tym cała zieleń, którą pokryła ta dziwna mgła czy dym, parowała i szarzała. Wielki dąb, który znalazł się na jej drodze, stracił najpierw kilka płatów kory, a potem pękł na dwoje. Liście wędły i opadały, kwiatki rosnące u podstawy dębu straciły błękitną barwę, nawet jemiola gasła w oczach.

Trująca mgła dotarła do podstawy wzgórza. Binnesman zmarszczył brwi i poglądził niespokojnie krótką bródkę.

- Co to jest? - spytał zdezorientowany Gaborn.

- Nie wiem - szepnął Strażnik Ziemi. - Chyba jakieś zakłęcie... ale nigdy nie widziałem niczego równie potężnego.

- Niebezpieczne dla ludzi? Czy zabije konie? Binnesman skoczył na swego wierzchowca i podjechał bliżej oparu. Gaborn pospieszył za nim, chociaż wolałby się trzymać od zjawiska z daleka.

Mgła cuchnęła śmiercią i rozkładem. Mimo wielu darów młodzieniec zaraz poczuł się dziwnie słaby. Głowa zaczęła go boleć, pojawiły się mdłości. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak zareagują zwykli ludzie.

Potem spojrzął na Binnesmana i aż krzyknął z przerażenia. Zielarz postarzał się nagle o wiele lat. Pogłębiły mu się zmarszczki na twarzy, poszarzała skóra. Przygarbił się też, jakby dotknięty wielkim nieszczęściem.

Ludzie z drużyny przerwali pojenie koni i podjechali bliżej króla. Gaborn ze zdziwieniem ujrzał, że znoszą opar o wiele lepiej niż on i Binnesman.

- Wybacz mi, że wątpiłem, mój królu - powiedział chrapliwie uzdrowiciel, nim inni zdążyli się zbliżyć. - Miałeś rację, nalegając na pośpiech. Coraz lepiej wyczuwasz, co dzieje się wkoło. Prześcignąłeś mnie w tej sztuce. Cokolwiek spowodowało tę katastrofę, musimy to zniszczyć.

Gaborn wjechał na wzgórze i spojrzął na południe. Ujrzał nagie lasy i szkielety drzew wznoszące ku niebu sparszywiałe gałęzie. Nad szarą okolicą snuły się pasma brunatnego oparu. Czuł całym sobą, jak bardzo ziemia cierpi.

Trzy mile od wzgórza dojrzał trzech jeźdźców. Patrzyli na niego. Jeden nosił rogaty hełm z Toomu, drugi kanciąstą beldinoocką tarczę. Trzeci był w pełnej zbroi płytowej ozdobionej misternie na modłę Ashovenu.

Taką różnorodność uzbrojenia spotykało się tylko wśród wolnych rycerzy. W końcu ten z Toomu uniósł prawą rękę w geście pozdrowienia i pogonił konia ku wzgórzom.

Był to wielki mąż z olbrzymim toporem na plecach i dziwnym błyskiem w oku. Gdy podjechał bliżej i ujrzał, jak nieliczna grupa towarzyszy Gabornowi, nie zdołał ukryć przerażenia.

- To wszyscy, wasza wysokość? A gdzie armia?

- Za nami. Nie ma ich wielu i nie zdołają dotrzeć do Carris na czas - odparł szczerze Gaborn.

- Więc dobrze widzę... - stwierdził rycerz.

- Król Lowicker zdradził - wyjaśnił Gaborn. - Nie zjawi się nikt z Beldinooku. Jest za to królowa Herin i nieco władców z Fleeds, Orwynne i Heredonu. Przykro mi, ale nie zdążyliśmy.

- Czy możesz, panie, powstrzymać tę klęskę? - spytał rycerz, wskazując na pustoszoną ziemię.

- Trzeba będzie spróbować - odezwał się Binnesman. Wojownik odchrząknął i przeszedł do rzeczy:

- Wysłano mnie, bym wypatrywał waszej wysokości. Mieliśmy nadzieję na posiłki. Marszałek Skalbairn czeka na rozkazy. Nasze oddziały maszerują na południe. Są niecałe osiem mil dalej, ale nawet wszystkie zastępy prawowitych nie zdołają pokonać tylu raubenów.

- Raubenów? - spytał zaskoczony sir Langley, a reszta władców zaszemrała zaniepokojona. - Ilu ich jest? Kiedy zaatakowali?

Gaborn poruszył się w siodle. Nie wiedział, co powiedzieć. Nawet ze wszystkimi swoimi zdolnościami nie potrafił odróżnić, czy jego wybrani walczą ze zwykłymi bandytami, z wojskiem wroga, czy z raubenami. Wiedział tylko, że znajdują się w niebezpieczeństwie i myślał dotąd, że to Raj Ahten szturmuje Carris.

Wszyscy trzej wolni rycerze zaczęli odpowiadać jednocześnie:

- Nasi dalekowiedzący zameldowali, że Raj Ahten wziął miasto przed świtem, ale raubenowie deptali mu po piętach. Szacujemy, że jest tam około dwudziestu tysięcy wojowników i sporo innych gatunków raubenów. Raj Ahten poprowadził z godzinę temu wypad na wroga i stracił wielu ludzi. W tej chwili raubenowie są na murach, ale Wilk każe im drogo płacić za każdą piędź terenu.

Gaborn przyjrzał się sir Langleyowi. Rycerz był w ciężkiej karacenie i hełmie, ale poruszał się z równą łatwością jak chłop, który ma jedynie koszulę na grzbiecie. Przez ostatnie dwa dni darmistrze w Orwynne zasypywali go darami. Chcieli uczynić go równym Rajowi Ahtenowi i obecnie w młodzieńcu było tyle siły, że ledwo się w nim mieściła.

- Zaatakujmy ich z obu skrzydeł. Weźmiemy ich z zaskoczenia - zaproponował cały chętny. Nazbyt chętny.

- Atak na hordę raubenów to nie taka łatwa sprawa - powiedział Binnesman. - Nie mamy dość ludzi.

- Mamy prawowitych - wtrącił się rycerz z Toomu. - I jeszcze cztery tysiące świetnych pikinierów zbiegłych z Beldinooku.

Gaborn zastanowił się głęboko.

- Dobrze wszystko przemyśl - szepnął mu Strażnik Ziemi. Król spojrzał na zielonkawą twarz czarnoksiężnika. Binnesman już dawno stracił ludzkie cechy. Od setek lat służył ziemi najlepiej jak potrafił i był poniekąd starszym bratem Gaborna, który rozpoczął tę samą służbę ledwie tydzień temu. Jego rady były zwykle bezcenne. Ale nie tym razem.

- Zielarz może mieć rację - powiedziała Herin. - Chyba jest nas za mało przeciwko tylu raubenom.

- Nigdy nie myślałem, że brak ci odwagi - warknął Langley. - Czyż ziemia nie nakazuje naszemu królowi atakować?

Ziemia każe mi także uciekać, pomyślał Gaborn.

- Niemniej... - odezwał się rycerz z Orwynne. - Wprawdzie Paldane i jego ludzie czekają w Carris, ale... Raj Ahten też tam jest. Może raubenowie zrobią nam uprzejmość i zabiją gada. Owszem, jeśli zginą też ludzie z Carris, trudno będzie to przełknąć, ale w ostatecznym rachunku wyjdzie to na dobre.

- Zapominasz się - zgasił go Gaborn. - Nie mogę pozwolić setkom tysięcy ludzi zginąć po to jedynie, by pozbyć się jednego złoczyńcy.

Chociaż skłonny był bronić przed raubenami każdego, nawet Raja Ahtena, ciągle nie był pewien, jak powinien odczytywać swój ostatni sen.

- Pamiętajcie, że ci, którzy ruszą dziś do walki, spojrzą śmierci w oczy - ostrzegł wszystkich. - Kto jedzie ze mną?

Władcy i rycerze zakrzyknęli jednym głosem. Tylko Binnesman patrzył na Gaborna w milczeniu.

- Zatem postanowione! - krzyknął król, chociaż całym ciałem czuł nieustannie ból ziemi. Wrazził pięty w boki wierzchowca i pogalopował w kierunku Carris. Dwudziestu paru zbrojnych pognało za nim.

54

KOMPROMISY

W płytkiej dolince trzy mile na północ od Carris Gaborn trafił wreszcie na tylne szeregi oddziałów Skalbairna. Okolica była jak martwa, a brnący przez brunatny opar ludzie z trudem przezwyciężali słabość.

Marszałek wielki maszerował na czele armii, razem z paroma tysiącami rycerzy, za którymi podążało osiem tysięcy pikinierów i łuczników.

Na samym końcu ciągnęli oboźnicy z wielkimi wozami pełnymi zbroi, strzał i żywności, artylerzyści, którzy nie mieli za bardzo przydać się w nadchodzącej bitwie i dobrze o tym wiedzieli, oraz kucharze i wszelkie ciury, a także praczki, kurwy i chłopcy, którzy ruszyli za wojskiem w poszukiwaniu przygód, a mieli pecha trafić na wojnę.

Jak mam ich wszystkich uratować, zastanawiał się bez końca Gaborn.

Widząc Króla Ziemi, tylna straż zadęła w rogi i wszyscy obrócili głowy, żeby zobaczyć, jak wielkie posiłki sprowadził władca Heredonu i Mysterrii.

Jeśli nawet poczuli się rozczarowani, to nie dali tego po sobie poznać. Kto żyw uniósł ręce i zaczął krzyczeć z radości.

Ludzkość czekała dwa tysiące lat na pojawienie się nowego Króla Ziemi, a skoro już przybył, nie liczyło się, w jak dużym towarzystwie.

Tymczasem nad Carris rosła czerwona luna. Nisko zwieszony chmury odbijały blask pożarów, nad równiną niósł się huk odległych płomieni. Wolni rycerze nie ustawali w wiwatach, ale co młodszy obozowicze zaczęli wyciągać ręce i wołać: „Wybierz mnie, panie! Mnie też! I mnie!”

Zawrócili biegiem ku niemu, by błagać o wybranie, i Gaborn pojął, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, utknie w tłumie.

Skierował konia ku stojącemu przy drodze gospodarstwu. Obok domu przycupnęła ziemianka z niskim słomianym zadaszeniem, w której przechowywano zwykle zebrane w lesie trufle. Przypominała mały pagórek. Gaborn podjechał do niej i przeskoczył z siodła na strzechę, a potem wspiął się na sam szczyt i złapał ręką za metalowy wiatrowskaz wykuty na kształt biegnącego psa.

Spojrzał na wojsko Skalbairna. Wiedział, że to żaden przeciwnik dla raubenów: ci ludzie zwykli walczyć jedynie własnymi siłami, nie korzystali z czyichś darów. Jednak rozpaczliwie potrzebował jakiegokolwiek armii.

Uniósł lewą rękę i z góry przeprosił w myślach moce ziemi za to, co zamierzał uczynić.

- Wybieram was! - krzyknął głośno, by każdy usłyszał. - Wybieram was wszystkich! Wybieram was w imieniu ziemi! Niech ziemia was chroni. Niech was kryje i uzdrawia. Niech uczyni was swoimi.

Nie wiedział, czy to zadziała. Wcześniej zawsze starał się wejrzeć w serce wybieranego, by ocenić, czy wart jest daru. Nigdy nie wybierał tak wielkiej rzeszy jednocześnie.

Oby coś z tego wyszło. Ziemia sama powiedziała mu w ogrodzie Binnesmana, że może wybierać wedle własnego uznania, ale nie wiedział, czy oznacza to także zgodę na tych, których nie miał szansy sprawdzić.

Jadący w czarnej płytowej zbroi marszałek zatrzymał konia i spojrzał w stronę Gaborna. Uchylił przyłbicy i dotknął zwiniętą dłonią prawego ucha, jakby prosił króla o powtórzenie tego, co właśnie zostało ogłoszone.

Gaborn przysięgał, że nigdy nie wybierze marszałka, ale teraz wejrzał raz jeszcze w jego serce i zmienił zdanie, ale nie ze względu na Skalbairna. Miał nadzieję, że jeśli stary rycerz dzielnie stanie w polu, może ocali setki albo i tysiące zwykłych ludzi, o wiele lepszych niż on.

Gaborn czuł, jak zdradzają się z wolna więzi łączące go z tysiącami nowych podopiecznych. Czuł też, że zaczyna rumienić się ze wstydu.

„Tak” - przemówił w myślach wprost do marszałka, by nikt inny nie mógł go usłyszeć. „Wybieram cię, chociaż sypiałeś z własną matką i jesteś ojcem swojej niedorozwiniętej siostry. Cieszyła cię wówczas ta obrzydliwość, podobnie jak cieszy cię zrodzone z niej dziecko. Mimo to wybieram cię”.

Mogę tak uczynić, pomyślał. To mój wolny wybór. W głębi serca uważał, że postępuje właściwie, nie wiedział tylko, czy ziemia podziela jego zdanie.

Jeśli nawet miała coś przeciwko temu, Gaborn nijak tego nie odczuł. Siły go nie opuściły, nie zdarzyło się nic szczególnego. Nie zniknął także padający na wszystkich cień zagłady.

Ziemia dała wszelako o sobie znać, ponownie powtarzając swoje: „Atakuj! Uderz! Teraz!”, chociaż i tym razem nie odpowiedziała, o co dokładnie jej chodzi.

Gaborn przemówił w myślach do wszystkich i do każdego z osobna. Przekazał im, czego od nich oczekuje.

Marszałek Skalbairn pokiwał głową na znak, że usłyszał, a potem obrócił się i zagrał na wielkim rogu sygnał do ataku.

W drodze do Carris Erin spostrzegła, że Gaborn patrzy jakoś dziwnie. Trochę tak, jakby w myślach zmagał się z demonami.

Dziewczyna widziała już podobny wyraz twarzy u swojej matki i zrozumiała, co dręczy króla. Wszyscy uważali go za niezwykłego. Skoro został Królem Ziemi, musi być niezwykły, myśleli. Nie mieli pojęcia, ile nocy spędził bezsennie, targany niepokojem o los poddanych.

Erin domyśliła się także, że Gaborn lęka się tego, co ma nadejść. Nie była to dobra wróżba przed bitwą. Zostaną przy nim, postanowiła. W razie czego osłonię go własnym ciałem.

Spojrzała w lewo, na Binnesmana, który jechał na wielkim siwym rumaku ukradzionym Rajowi Ahtenowi. Koń miał tyle darów, że nie przypominał istoty z krwi i kości, lecz raczej żywioł wcielony albo rzeźbę z granitu, w którą ktoś tchnął życie. W oczach jarzyły mu się iskierki inteligencji równej ludzkiej, ale odmiennego rodzaju.

Chociaż brunatne opary sprawiały, że Erin czuła się dziwnie osłabiona, wciąż miała ochotę kogoś zabić. I to niejednego kogoś. Najpierw pomyślała o Raju Ahtenie, zabójcy jej ojca. Poza tym chętnie usunęłyby z tego padołu nieco raubenów. Wielu raubenów. Dość raubenów, by ukoić zimną złość.

Niebo znów zaciągało się chmurami, czerwone jak żużel słońce zachodziło za wzgórzami. Wierzchowiec Erin oddychał głęboko, para buchała mu z nozdrzy. Zwierzę wiedziało, że nadszedł czas bitwy, i rwało się do biegu.

Na razie jednak Erin musiała jechać wolno, by nie wyprzedzać piechoty. Nie dojrzała jeszcze ani śladu raubenów.

Wkoło rozchodziła się woń ciepłej, końskiej sierści. Rycerze jechali w milczeniu, tylko konie parskwały wstrzymywane, dudniły głucho kopyta. Czasem zadzwoniła czyjaś kolczuga albo kopia stuknęła o blachy.

Erin nie miała kopii. Nie chciała wozić ciężkiego oręża tyle mil, by skruszyć ją raz na jakimś rycerzu. Teraz, gdy usłyszała już o raubenach, pożałowała tej decyzji. Potwory miały pancerze twarde jak skała i chociaż dawało się je czasem wyszczerbić żelazem, trudno było zabić raubena czymkolwiek innym niż bojowa kopia.

Podjechała ku wozom, by poszukać takiego, który byłby dłuższy od innych. W końcu go znalazła.

- Macie jakieś kopie?! - krzyknęła.

Chłopak na wozie wstał z kozła i skoczył pod przykrycie. Po chwili podał jej rękojeść ciężkiej kopii. Przejęła ją w marszu.

Książę Celinor podjechał na wierzchowcu użyczonym ze stajen królowej Herin. Był jeszcze blady, zaciskał mocno szczękę.

- Znalazłaby się jeszcze jedna? - spytał i też otrzymał oręż. Spojrzał na Erin i poklepał przytroczony do siodła topór na sześciostopowej rękojeści, z szerokim ostrzem po jednej i długim ostrym dziobem po drugiej stronie. Była to nieporęczna broń, gdy przychodziło to walki z ludźmi okrytymi lekką zbroją, ale też do czego innego ją wymyślono. Szpikulec nadawał się idealnie do przebijania grubych blach i raubenowych pancerzy.

- Nie martw się - powiedział. - Obronię cię.

On mnie? pomyślała zdumiona Erin. Nie był przecież wybranym. Z całego oddziału on jeden nie został dotąd wybrany. Gaborn przemówił do wszystkich, od marszałka począwszy, na ostatnim obozowym chłystku skończywszy, ale przez cały czas stał obrócony plecami do Celinora.

Nie, jeśli ktoś potrzebował tu obrony, to właśnie mości książę.

Będę miała na niego oko, postanowiła Erin. W ten sposób miała już dwa zadania. Zgrzytnęła zębami i wskazała księciu Gaborna.

- Trzymaj się blisko niego - poleciła. Celinor uśmiechnął się krzywo.

- W głowę zachodzę, konna siostró, na jakież to czyny musiałbym się dzisiaj porwać, abys dość godnym mnie uznała i noc ze mną zechciała przepędzić - zaintonował, parodiując ulicznego śpiewaka.

Erin parsknęła śmiechem.

- Mówię poważnie - zapewnił.

- Nie łam sobie głowy. Co ty w niej masz? Pakuły czy wełnę? Zawsze tak się zachowujesz przed bitwą?

- Wojna jest jak kobieta. I odwrotnie. Obie mnie fascynują. Czy oczekujesz męstwa? Jeśli tak, to będę nieustraszony. A może to siłę i spryt najwyżej cenisz w mężczyznach? A jeśli uratuję ci dzisiaj życie? Dość się wtedy zasłużę, byś wzięła mnie do łóżka?

- Nie jestem niewolnicą z Kartishu. Nie kupisz mnie, ratując mi życie.

- Nawet na jedną noc?

Erin spojrzała mu w oczy. Celinor uśmiechał się, jakby o żarty tylko chodziło, ale pod spodem dostrzegła głód. Miała wrażenie, że patrzy w oczy dziecka.

Nie, on nie żartował. Pragnął jej rozpaczliwie i bał się odrzucenia. Wiedziała już, że nie jest złym człowiekiem. Był przystojny i dość silny, nie brakło mu charakteru. Gdyby szukała ojca dla swego dziecka, on by się nadawał.

Nie śmiała zatem odtrącać go już teraz. Poza tym, jakkolwiek na nią patrzył, przede wszystkim imponował jej odwagą czynienia własnych wyborów. Wiedział, jakie byłyby polityczne implikacje jakiegokolwiek ich związku, a mimo to poprosił. Przecież nie chodziło mu o jedną noc, gotów był starać się o jej rękę. Ona zaś nie była wrażliwą młodką, tylko twardą wojowniczką z Fleeds.

- Dobrze - powiedziała. - Pokaż dziś, ile jesteś wart, uratuj mi nawet życie, a może wezmę cię na jedną noc.

- Zgoda - odparł Celinor. - Ale to nasuwa mi jeszcze jedno pytanie. Czego musiałbym dokonać, żeby okazać się dobrym materiałem na męża? Może gdybym uratował cię trzy razy...

Erin roześmiała się głośno. Skłonna była przypuszczać, że tym razem przesadził.

- Uratuj mnie trzy razy, a spędzisz ze mną trzy noce - podkusiła. Potem jednak się uspokoiła, chociaż nie porzuciła prowokującego tonu. - Ale gdybyś chciał zostać moim mężem, musiałbyś dowieść swej wartości nie w bitwie, ale... w moim łóżku.

Erin odwróciła głowę i odjechała w mrok. Twarz płonęła jej rumieńcem. Spojrzała na niebo. Zachód słońca nie był szczególnie piękny, brakło złocistych czerwieni. Ot, jeszcze jeden gasnący dzień.

Obejrzała się. Celinor pogał konia, żeby się z nią zrównać. Wjechali na małe wzniesienie nad doliną. W dole widać było wysoki mur z łukiem bramy.

- Mur Pustkowi - rzucił ktoś.

Dwie mile dalej ujrzeli Carris. Białe wieże wciąż wznosiły się dumnie, ale zachodnia część fortyfikacji leżała miejscami w gruzach. Z bramy wodnej od południa wypływały kolejno łodzie. Mieszkańcy miasta próbowali jakoś się ratować.

Na murach podniosła się wielka wrzawa. To obrońcy dojrzeliby armię Gaborna. Zagrały rogi.

Na południe od Carris wyrosła dziwna, pochyła wieża. Widać było uwijających się pod nią raubenów. Zresztą raubenowie byli wszędzie. Dziesiątki tysięcy potworów roili się na równinie przed miastem, jeszcze więcej maszerowało ich w pochodzie ciągnącym się od gór na północy. Erin zrobiło się niedobrze na ten widok.

Na wzgórzu na północ od Carris ujrziała coś dziwnego. Nie dość, że całe wzniesienie spowijał jakby włóknisty kokon, to jeszcze na samym szczycie stała migotliwa sylwetka wielkiej magini raubenów. Buchało od niej brunatnymi oparami. W pewnej chwili uniosła trzymaną w łapie łagę i dudniący huk wypełnił dolinę. Coś jakby wicher runął ze wzgórza we wszystkich kierunkach równocześnie.

Wolni rycerze odpowiedzieli, intonując pieśń. Wielu wojowników pogoniło wierzchowce, by jak najszybciej przejechać przez bramę w Murze Pustkowi.

Koń Erin też przyspieszył, chociaż nie odezwała się do niego ani słowem, nie ścisnęła mu boków piętami. Widać sam uznał, że tak będzie najlepiej.

Z boku słyszała czysty głos księcia, który przyłączył się do śpiewu:

Zrodziło nas życie do krwawych wojen,
jak ojców nosach uczyło żyć znojem,
więc kiedy róg zagra, sięgnij po miecz,
zwycięzać lub ginąć - to nasza rzecz.

Ruszyła galopem. Krew w niej zawrzała i nagle straciło na znaczeniu, czy zginie dzisiaj, czy przeżyje. Ujęła mocniej kopię i z krzykiem pogoniła konia.

ŁOWCZY

Raj Ahten pamiętał niemal każdą chwilę swojego życia i chociaż minęło już pół roku, odkąd oglądał plany miasta Carris, wiedział dokładnie, gdzie mieści się przystań.

Podwórzec wkoło niego roił się od walczących ludzi i raubenów. Miasto płonęło, a żołnierze Wilka pocili się niemiłosiernie przygniecenii ostatnią klątwą wielkiej magini. Wieść o łodziach mających zabrać ich w bezpieczne miejsce rozeszła się już szeroko i tu i ówdzie widać było małe grupki ustępujące z pola bitwy. Mystarriańscy obrońcy robili, co mogli, żeby wypełnić puste miejsca w szeregach.

Ahten powątpiewał, by wielu jego podkomendnych zdołało samodzielnie trafić do przystani, która została przemyślnie ukryta w dzielnicy handlowej. Wypatroszył więc ostatniego raubena i wycofał się z walki.

- Za mną! - krzyknął na swoich i pobiegł na południe. Ziemia zawsze była droga w Carris, nie marnowano jej więc na zbyt szerokie ulice, a domy spotykały się prawie na wysokości drugiego piętra. Gdy Ahten kluczył zaułkiem, który mieszkańcy miasta zastawili prowizorycznymi barykadami z wózków oraz beczek ze smołą i gwoździami, usłyszał dobiegające zewsząd okrzyki przerażenia.

Uniósł głowę, by poznać ich przyczynę. To wszyscy zwykli ludzie z Rofehavanu, których zostawiał własnemu losowi, rozpaczali, widząc kres swoich nadziei: Wilk uciekał. Wielu z nich nie mogło utrzymać się na nogach.

Choćbym poświęcił Niezwycięzonych, choćbym oddał własne życie, i tak nie zdołam ich uratować, pomyślał i przyspieszył kroku.

Magini znów zasyczała i Raj Ahten przyklęknął na chwilę, wstrzymał oddech i zamknął oczy, by nie wchłonąć zbyt wiele ze złego czaru. Gdy znów wciągnął powietrze, zalała go nowa fala potów. Czym prędzej zerwał się i pobiegł ku przystani.

Nie przebył jeszcze połowy drogi, gdy za kolejnym zakrętem niemal wpadł na Paldane'a. Diuk wspinał się mozolnie stromą uliczką, a za nim widać było kilku mądrych zmarłego króla.

Paldane uniósł rękę, by zatrzymać biegnącego, i otarł rękawem pot z czoła. Ahten dojrzał na jego twarzy dziwny, triumfalny uśmieszek i zatrzymał się niepewny, co to ma oznaczać.

- Dobre wieści! - przywitał go Paldane. - Z radością donoszę, że łodzie wypłynęły w pierwszy kurs. Wyprawiłem kobiety i dzieci na bezpieczny brzeg.

- Co?! - zakrzyknął Wilk. W pierwszej chwili myślał, że diuk próbuje go oszukać. Przecież żadnym cudem nie mógłby zapełnić łodzi tak szybko.

- Właśnie to. Jeszcze rano pozwoliłem sobie zebrać wszystkich, którzy przeznaczeni byli do ewakuacji. Do południa zajęli miejsca w łodziach. Gdy mój dalekowidzący obwieścił, że pojawiła się powracająca łódź patrolu, pierwsza flotylla odbiła od nabrzeża. Wszystkie już wypłynęły - dodał, by podkreślić, czego dokonał. - Co do jednej.

Raj Ahten już chciał biec na północny mur, by sprawdzić, jak naprawdę się rzeczy mają, ale nagle dotarło doń, że Paldane wcale nie kłamie. Był szczery aż do bólu. Naprawdę wysłał wszystkie łodzie. Wilk mógłby sobie co najwyżej popatrzeć na tysiąc kołyszących się na falach jeziora skifów.

Diuk wiedział, co robi. Uwięził Raja Ahtena w mieście.

Pokonany uczynił zatem jedyne, co jego zdaniem pozostało do zrobienia: stał pancerną rękawicą drwiący uśmieszek, który pojawił się chwilę wcześniej na twarzy Łowczego. Trzasnęła pękająca kość, krew trysnęła wkoło, w tym również na oblicze Wilka. Diuk Paldane runął bezwładnie na bruk.

Jak on śmiał? pomyślał Ahten, wycierając twarz z czerwonych bryzgów.

Mądrzy cofnęli się o krok przerażeni, że teraz na nich pora, ale Wilk poniechał ich na razie. Wiedział, że najlepsza uczta to taka, do której siada się z pustym brzuchem.

Rozważył swoje szansę. Niezwyciężeni w zasadzie nie potrzebowali łodzi. W ostateczności mogliby zostawić broń i zbroje i przebyć jezioro wplaw.

Nagle zdarzyło się coś całkiem nieoczekiwanego. Dający dotąd głośno wyraz cierpieniu ludzie na murach zakrzyknęli radośnie i zadęli w rogi.

Raj Ahten obejrzał się. Kto żyw machał rękami, podskakiwał i wskazywał na północ.

- Król Ziemi przybywa! Król Ziemi! - niosło się przez miasto. Wilk uśmiechnął się i spojrzał na ciało diuka. Może jeszcze uda mu się zamienić tę klęskę w zwycięstwo...

- Słyszycie? - zwrócił się do drżących przed nim mądrych. - Wasz król przybywa w końcu, by zginąć w walce z raubenami. To może być wspaniały spektakl. Nie chciałbym go stracić.

PIECZĘĆ NIEUTULONEGO ŻALU

Pot zalewał Gabornowi oczy i spływał strumieniami pod skórzaną kamizelą noszoną jako podściółka kolczugi. Im bliżej było Carris, tym gorzej się czuł. Zaciskał kurczowo palce na wodzach i nie miał wątpliwości, że bez darów sił życiowych dawno spadłby już z siodła.

Ledwie co widział, a pieśń wolnych rycerzy docierała do niego dziwnie przytłumiona, ale gnał wraz z nimi w kierunku miasta. Minął kamienny łuk bramy Muru Pustkowi, aż znalazł się w odległości pół mili od płonącego Carris. Niebo nad jego wojskiem poczerwiano od grisów.

Przez cały czas odczuwał brzemień więzów łączących go z nowymi wybrańcami. Świadom był, jak blisko czai się śmierć. To obezwładniało.

Spojrzał na spustoszoną równinę przed miastem. Nigdy jeszcze nie widział podobnego obrazu zniszczenia. Wszędzie roiły się hordy raubenów.

- Jak teraz, panie? - spytał jadący obok sir Langley. - Gdzie uderzamy?

Oszołomiony, ledwo przytomny Gaborn spróbował zebrać myśli. Jego ojciec był wśmienitym strategiem i sporo nauczył kiedyś syna. Trzeba było szybko wymyślić jakiś plan.

Grupa odległych o ćwierć mili raubenów wyczuła obecność rycerzy i ruszyła ostrożnie w ich stronę. Z tej odległości potwory przypominały kraby pełznące brzegiem pustej plaży.

Gaborn przyjrzał się umocnieniom raubenów. Wprost na południu wznosiła się monstrualna wieża, która niczym czarny płomień chyliła się w kierunku miasta. W okolicy bram Carris widniała olbrzymia wyrwa w murach. Raubenowie wdarli się do miasta, gdzie rósł z wolna olbrzymi wał trupów żołnierzy obu stron. W świetle płonących wież wyraźnie widać było ludzi Paldane'a odpierających ataki na mury, jednak raubenowie wdarli się już tak daleko, że nie było raczej szans, aby wyprzeć ich z miasta.

Na północ od Carris wyrastało niewielkie, ale nader dziwne wzgórze otoczone pierścieniem białawych murów. Kościana Góra. Gaborn wiele razy czytał o nim w kronikach opisujących dawne bitwy.

Na jego zboczach roili się magowie, a na samym szczycie odprawiała swoje praktyki wielka magini. Stamtąd właśnie rozchodził się ten brunatny opar, który sprowadzał chorobę i cierpienie, oślepił i wyciskał łzy. Widoczny na szczycie potężny znak runiczny zatruwał ludzką krew. Niemniej to właśnie wzgórze miało się stać celem uderzenia Gaborna. „Atakuj!” - nagliła cicho ziemia. „Atakuj, nim będzie za późno!”

Gaborn użył swych darów, by przeniknąć naturę runy. To, co ujrzał, napełniło go przerażeniem.

Dawne księgi powiadały, że wszystkie runy to tylko fragmenty wielkiej runy macierzystej, która zawiadywała całym światem. Ta tutaj była jej największym odłamkiem, jaki dane było mu dotąd napotkać.

Była też przeciwieństwem wszystkiego, do czego dążyła w swych staraniach ziemia:

Gdzie rosła zieleń, niechaj pył nawieje,
Gdzie życie kwitło, niech wionie martwością,
Gdzie ład panował, niech chaos szaleje,
Gdzie ludzkie schronienie, niech nie będzie nic.

Gaborn poznał już jej nazwę, wyczuł ją, wglądając w jej wewnętrzną strukturę: Pieczęć Nieutulonego Żalu.

Nie została jeszcze ukończona, przypominała miecz, który chociaż wykuty, potrzebuje jeszcze szlifu. Niemniej i tak niszczyła co mogła w promieniu wielu mil.

Włosy uniosły się Gabornowi na karku. Setki mil przejechał, aby pokonać Raja Ahtena. Obiecał swoim wojownikom, że poprowadzi ich do wielkiej bitwy, a tymczasem okazało się, że nie z ludźmi ma walczyć. Z raubenami też nie. Nie oni byli prawdziwym przeciwnikiem. Przede wszystkim należało unicestwić ich przepotęzną broń, a to nie było zadanie dla największej nawet armii. Tutaj trzeba było magii potężnego czarnoksiężnika dysponującego mocami ziemi.

Król Ziemi musiał zniszczyć źródło zarazy.

Gaborn pomyślał, że to ponad jego siły. Musiałby zbliżyć się do Kościanej Góry, żeby rzucić skuteczne zaklęcie, a z każdym krokiem czuł, że bijący od wzgórza odór pozbawia go sił i przytomności.

- Mam zamiar zaatakować Kościaną Górę, ale potrzebuję pomocy - zwrócił się do Skalbairna. - Weź tysiąc ludzi, przeprowadź ich doliną i ruszaj z nimi na tę czarną wieżę. Podejdź dość blisko raubenów, by cię wyczuli. Jeśli nie podejmą od razu pościgu, zabij paru, ale nie angażuj wszystkich do walki. Nie trać ludzi. Masz tylko odciągnąć raubenów. Jeśli zginę, poprowadzisz atak na wielką maginię. Wszystko jasne? Pamiętaj, ona nie może odejść stąd żywa!

- Jak sobie życzysz, panie - odparł marszałek, urażony wyraźnie, że wyznaczono mu poboczne zadanie, ale zaraz zawrócił konia i zebrał odpowiedni oddział.

- A ja? - spytał Langley.

Gaborn chciał mu powierzyć znacznie bardziej niebezpieczne zadanie. Wielka siła młodzieńca przeznaczała go do walki.

- Weź pięciuset rycerzy i ruszaj pod same Carris. Zaatakuj z flanki raubenów przy grobli i zaraz się wycofaj. Nie wdawaj się w walkę, masz tylko uczynić wyłom w ich szeregach. A gdybym zginął...

- Rozumiem, panie - odparł Langley, któremu również było nie w smak, że ma uprawiać dywersję. Niemniej zadanie nie było łatwe, gdyż raubenowie nie zostawili przy grobli zbyt wiele miejsca na manewry.

Langley uniósł rękę i wezwał swoich.

- A co z nami? - spytała Herin.

- Pojedziecie ze mną - odparł Gaborn. Królowa uśmiechnęła się, że to coś akurat dla niej.

- Jeśli to będzie możliwe, chciałabym sama zabić tę poczwarę. Gaborn pokręcił głową.

- Musimy wywalczyć sobie drogę do wzgórza, bym mógł zniszczyć runę na szczycie. Nic więcej. Potem przegrupujemy siły i pomyślimy, co zrobić z maginią.

- Tak jest. - Królowa pokiwała głową i pojechała do swojego oddziału.

- A pikinierzy i piechota? - spytała Erin Connal. - Możemy ich jakoś wykorzystać?

- Nie tym razem. Nie przydadzą się przeciwko raubenom - stwierdził Gaborn. - Niech zostaną za Murem Pustkowi. Tam będą mogli obronić się przed potworami, gdyby próbowały go przeleźć.

Skalbairn odjechał w lewo. Nierówna formacja tysiąca rycerzy spłynęła na równię, ku zachodnim stokom Kościanej Góry. W galopie podzwaniiali pancierzami, dudnienie kopyt ich koni niesło się na mile wokoło, podobnie jak i śpiew, który teraz towarzyszyć miał także ich atakowi.

Wbrew rozkazom Gaborna, Skalbairn uderzył prosto na grupę ponad dziesięciu raubenów i rychło powalił wszystkich wśród trzasku kopii. Potem oddział zawrócił szerokim łukiem.

Zaczepekka przyniosła zdumiewające skutki. Zryta jamami równina, na której i wcześniej kręciła się masa raubenów, ożyła nagle rojowiskiem potworów, które wypełzały z dołów i rzucały się w pościg za konnicą. Starczyło parę chwil, a prawie dwa tysiące raubenów biegło za ludźmi marszałka na południe.

Oddział za plecami Gaborna zaczął wiwatować.

- Dobra robota! - szepnęła Herin, a inni pokiwali głowami.

Gaborn dał znak sir Langleyowi, że pora na szturm z lewej.

Młodzieniec także zbliżył się najpierw niespiesznie do Kościanej Góry, tyle że od północy. To zadanie było jednak o wiele bardziej niebezpieczne niż szarża Skalbairna.

Magini uniosła różdżkę i syknęła. Jej głos przetoczył się gromowo pod niską powłoką chmur.

Czarny wiatr runął na atakujących, którzy zakrzyknęli ze strachu i skręcili w kierunku jeziora. Ich pancerze lśniły czerwonym blaskiem pożarów obejmujących kolejne umocnienia miasta. Wiele setek raubenów rzuciło się w pościg, jednak wiatr był szybszy. Dogonił ludzi nad brzegiem jeziora i nagle rycerze zaczęli spadać z siodła, jakby grom ich poraził. Gaborn nie potrafił orzec, co właściwie się z nimi dzieje. Był za daleko.

- Wstawajcie! - nakazał im w myślach. - Walczcie, bo zginiecie! Po ciągnącej się całą wieczność chwili Langley wyprostował się w siodle i pogonił z krzykiem na południe. Wielu jego podwładnych ruszyło jego śladem, chociaż większość ciągle nie mogła się pozbierać. Ich konie biegały wkoło albo umykały przed coraz bliższymi raubenami.

Trzydziestu ludzi spotkało się w końcu z potworami. Co najmniej jedna trzecia poległa w starciu, a reszta zawróciła na północ, w kierunku brzegu. Kilku raubenów rzuciło się za nimi w pościg.

Reszta potworów nie pozostała obojętna. Te walczące w pobliżu grobli cofnęły się, by nie ryzykować ataku ze skrzydła, i obrońcy Carris natychmiast odczuli ulgę. Reszta wciąż próbowała dopaść Skalbairna.

Ku uldze Gaborna północny stok wzgórza został praktycznie bez obrony. Widać było tylko kilkuset raubenów kręcących się wkoło głębokich jam, choć i taka siła znaczyć mogła wiele, szczególnie przy wielkiej magini trzymającej straż na szczycie.

Nadeszła pora na właściwy atak.

- Przygotować się! - zawołał Gaborn. - Szyk okrężny! Jeden szereg! - Uniósł rękę i zakreślił nią, pokazując, że krąg winien obracać się w prawo.

Szyk ten, zwany czasem również cyrklem rycerzy, dowiódł już w dawnych czasach swej użyteczności. Miast atakować raubenów prostym szeregiem, lepiej było utworzyć krąg, który obracał się niczym skrzydła wiatraka i z każdej strony mógł użądlić przeciwnika.

Przy atakowaniu raubena najważniejszy był kąt wbicia kopii. Jeśli uderzyło się nazbyt po skosie albo za słabo, samemu można było przy tym zginać. Tyle Gaborn dowiedział się już od tych, którzy próbowali tej sztuki. Ostatecznie decydowała jednak szybkość: Koń z wieloma darami gnał podczas ataku jak wichra i rycerz musiał bardzo uważać, by nie zaczepić przypadkiem o raubena, gdyż groziło to połamaniem kości. Musiał zatem skrócić ostro zaraz po wbiciu kopii, gdyż masywnego potwora nie dawało się wyminąć tak łatwo jak ludzkiego przeciwnika. Rycerz wpadł wtedy zwykle za linie wroga i zostawało mu gnać jak najszybciej równoległe do nich, tak manewrując, by nie dać się ponownie wciągnąć do walki.

Wielki temu Heredon Sylvarresta pokazał, że najlepiej walczyć z raubenem, nie jadąc wprost na niego, tylko rażąc monstrum wysuniętą w bok kopią. Wtedy rycerz może gnać szybciej, gdyż nic nie zmusza go do skręcania zaraz po ataku. Ważne, by trafił w „złoty trójkąt” na głowie potwora. Był to fragment czaszki wielkości dłoni mężczyzny, gdzie zbiegały się trzy płyty kostne, znacznie tutaj słabsze. Drugim, podobnym miejscem było miękkie podniebienie raubena, ale do niego dostęp pojawiał się dopiero wówczas, gdy monstrum otworzyło paszczę. Jeśli jednak kopia trafiła gdzie trzeba i wbiła się pod właściwym kątem, wbijała się w mózg stworu.

W szyku okrężnym jazda poruszała się na tyle szybko, że raubenowie nie nadążali za pojedynczymi rycerzami. Na dodatek zwarta formacja dawała szansę ratunku tym, którzy chybili przy ataku albo spadli z konia. Jadący z tyłu natychmiast osłaniali ich przed ciosami raubenów.

Gaborn pogonił konia, ale gdy po paru chwilach rozejrzał się na boki, ujrzał, że jedzie sam. Żaden inny wierzchowiec nie mógł nadążyć za jego doborowym rumakiem.

„Uważaj” - szepnęła ziemia, zaskakując Gaborna. Przywykł ostrzegać innych, ale sam nigdy dotąd nie słyszał podobnego głosu.

Obejrzał się. Za nim sunęła cała fala rycerstwa. Pożary Carris kąpały ich tarcze w szkarłacie. Słychać było śpiew.

Erin Connal wykrzyczała swoje zawołanie bojowe. Obok niej jechał Celinor Anders, za nimi królowa Herin. Czarnoksiężnik Binnesman patrzył przerażony na jazdę wylewającą się przez bramę Muru Pustkowi.

Spowita w dziwny kokon Kościana Góra rosła przed nimi coraz wyższa. Widać było oplatające je białe sieci, spod których wyglądały zryte do niepodobieństwa, okaleczone zbocza.

Ostrzeżeni przez czujki raubenowie wyroili się z jam i obsadzili kokon, który był ich murem obronnym. Magini na szczycie dalej czyniła swe podłe dzieło.

Rdzawa mgła spełzała gęstymi kłębamii w dolinę pod Kościaną Górą i wyciskała łzy z piekących oczu. Gaborn zamrugał i dojrzał migoczące wkoło białego muru widmowe ognie. Wciągnął powietrze i skrzywił się boleśnie. Opadło go nagle potężne zmęczenie. Żołądek podszedł mu do gardła, wezbrały mdłości, mięśnie odezwały się bólem, czoło okryło kroplami potu.

Minął raubena, który zamierzył się nań „młotem na bohaterów”, ale chybił, gdyż Gaborn pochylił się w siodle. Gdyby nie dary zyskane w zamku Groverman, byłby już martwy...

Usłyszał trzask kopii pękającej w ciele potwora. To królowa Herin dopadła pierwszego przeciwnika.

Koń sam gnał w kierunku runy, ale Gaborn ledwie trzymał się w siodle. Zwolnił jedną trzecią mili przed celem. Przed nim pojawiły się zastępy zbiegających z góry raubenów.

Nie śmiał podejźdzać bliżej. Tutaj, w dolinie, smrodliwe opary tak dusiły, że żaden zwykły człowiek by tego nie wytrzymał. Nawet Gabornowi oczy zaszczyły w pewnej chwili mgłą, aż zachwiał się i spadł z konia.

Ziemia była bardzo gorąca, niemal parzyła. Nie było prawie czym oddychać.

Gaborn pożałował w duchu, że nie nabrał więcej darów sił życiowych, i rozejrzał się wkoło. Krąg obronny sunął z wolna w jego stronę, by nie dopuścić raubenów do króla. Kilku rycerzy zbliżyło się, żeby chronić władcę. Widać było przerażenie malujące się na twarzach Erin i Celinora.

Gaborn ciągle nie mógł się podnieść. Ból utrudniał oddychanie, bury dym przeżerał mu duszę.

Magini na szczycie ponowiła rytuał z różdżką i syczeniem i wypuściła chmury czarnego dymu.

Widząc czarny tuman sunący ku dolinie, Gaborn podniósł się wreszcie na kolano, chociaż uczynił to z najwyższym trudem.

Erin Connal jechała tuż za Gabornem. Uważała, że strzegąc go jak źrenicy oka, uczyni lepiej, niż gdyby włączyła się w krąg. Wkrótce się okazało, że nie mogła wybrać lepiej.

Kolejny atakujący rauben odbił się od kręgu po tym, jak jeden z rycerzy złamał kopię na jego boku, i wywijając młotem, pognął w kierunku Gaborna.

Erin strząsnęła krople potu z czoła, krzyknęła i wypuściła konia na potwora. Uniosła kopię i odchyliła ją nieco w bok. Mrużąc oczy, pochylała się w siodle i przygotowała do zadania ciosu...

Trafiła akurat w chwili, gdy rauben obracał łeb ku Gabornowi -.Grot kopii wbił się w złoty trójkąt i wszedł płytko w czaszkę.

Kopia pękła, nie czyniąc potworowi większej szkody, Erin zaś zachwiała się i spadła z siodła prosto pod łapy raubena, który cofnął się trochę i osłonił orężem przed następnym atakiem.

„Uciekaj!” - rozległ się w jej głowie głos Gaborna.

Erin chciała wstać, ale było już za późno na ucieczkę. Potwór pochylał właśnie ku niej łeb z wyszczerzoną paszczą.

Coś mignęło obok. Kopia Celinora wbiła się w złoty trójkąt i sięgnęła mózgu potwora. Zdumiona Erin pojęła, że księżę cisnął ciężką kopią jak oszczepem!

Rauben padł bez życia.

Celinor przegalopował obok, jakby chciał zasłonić Erin na wypadek, gdyby potwór nie wyzionął jeszcze do końca ducha. Potem zawrócił i sięgnął po topór.

Erin pobiegła do swojego konia.

- Punkt dla mnie! - krzyknął Celinor, ale zamilkł zaraz i wskazał na Króla Ziemi, który właśnie spadł z konia.

Gaborn dźwigał się z wolna. Paru rycerzy zeskoczyło z koni. Gotowi byli walczyć albo i umrzeć w jego obronie. Celinor Anders stanął tuż nad królem. Krzyczał i wymachiwał toporem, jakby wyzywał raubenów. Niech no który poważy się podejść!

Powinienem go wybrać, przemknęło Gabornowi przez głowę.

Raubenowie zsuwali się jednak ze wzgórza niczym żywe głazy i nie było czasu na nic więcej prócz ostrzeżenia towarzyszy broni. Chwilę potem obok Celinora pojawiła się Erin Connal.

Czarny wiatr dotarł do doliny i okazało się, że niesie ze sobą trudny do nazwania smród, który kojarzył się z wonią przypalanej kapusty, jednak skutek powodował o wiele większy niż tylko zwykłe obrzydzenie. Mięśnie zaczęły odmawiać Gabornowi posłuszeństwa, nogi miał jak z waty. Zmęczenie wzięło górę i znowu padł na ziemię, jakby wcale nie miał darów krzepy. Inni zareagowali tak samo. Nawet Herin Ruda nie zdołała ustać na nogach.

Binnesman zatrzymał konia sto jardów dalej i zwinął się z bólu.

- Jureem! - krzyknął. - Weź Gaborna! Zabierz stąd Króla Ziemi! Jesteśmy za blisko!
Jureem wjechał pomiędzy rycerzy i zeskoczył z wierzchowca.

Gruby sługa przyciskał jedwabną szarfę do nosa, by choć trochę osłonić się przed smrodem. Złapał Gaborna za łokieć.

- Wstań, panie! - krzyknął. - Uciekajmy! Gaborn ledwie znalazł siły, by mu się wyrwać.
- Jeszcze nie! - wychrypiał. - Pomóż mi!

Musiał zniszczyć znak, a wciąż był jeszcze za daleko. Mur Kriskaven zburzył z odległości pół mili i ledwo wtedy sięgnął, jednak opar był nazbyt trujący. Nie śmiał jechać dalej.

Z wysiłkiem zaczął kreślić na gorącej ziemi runę niszczenia.

Jureem znów spróbował go złapać i pociągnąć w kierunku wierzchowca.

- Przytrzymaj konia naszemu panu! - zawołał do Celinora. - Musimy wsadzić go na siodło!

- Nie! - jęknął Gaborn. - Zostaw mnie! Binnesman, pomocy! Obejrzał się i zobaczył, że czarnoksiężnik osuwa się na koński kark. Rumak musiał wyczuć jego słabość, bo skierował się na północ, unosząc swego pana z pola bitwy.

Ku zdumieniu Gaborna otaczający go rycerze okazali się o wiele mniej wrażliwi na zaklęcia magini. Niektórzy wciąż mogli władać bronią i atakowali raubenów. Może mieli więcej sił życiowych? zastanowił się. Niemniej królowa Herin także osłabła, a przecież była równie mocno obdarowana jak pozostali.

- Zostaw mnie, Jureem - wycharczał Król Ziemi, kreśląc drżącym palcem misterny znak. Miał wrażenie, że dotyka płonących węgli.

Jureem przestał go szarpać i spojrzał na Gaborna z takim żalem, jakby sam cierpiał boleśnie z tego tylko jednego powodu, że nie może pomóc swemu panu.

Gaborn skończył rysunek i sprawdził, czy wszystkie linie są na swoich miejscach. Potem uniósł wzrok na Kościaną Górę. Za kokonem migotały dziwne, turkusowe światła, a od południa wylewały się poza mur nowe zastępy raubenów. Magini tkwiła ciągle na szczycie.

Teraz nie było trzeba już wiele, by obrócić wszystko w ruinę i rozszepścić skałę pod runą. Gaborn skupił spojrzenie na wzniesieniu.

- Rozstąp się! - krzyknął i uderzył pięścią w ziemię, wyobrażając sobie równocześnie, jak we wzgórzu pojawiają się szczeliny, jak ziemia kołysze się i kruszy dziwny kokon i sam znak runiczny.

I ziemia odpowiedziała.

Zatrzęsała się tak silnie, że rycerze wkoło aż otworzyli usta ze zdumienia i ledwie utrzymali się na nogach.

Konie zarżały z przerażenia. Raubenowie zmylili krok. W trzewiach ziemi zaczął narastać ogłuszający huk, aż w końcu grunt zafalował potężnie. Potwory na wzgórzu uchwyciły się w panice białych nici.

Gaborn nie miał pojęcia, jak gwałtowne moce uwalnia. Jeźdźcy zaczęli spadać z koni, wszędzie pojawiały się szczeliny i wyrzuszenia. Niestety, Pieczęć Nieutulonego Żalu kołysała się wprawdzie niczym korek na falach, ale nie pękała.

Taką odporność mogła zawdzięczać jedynie potężnym runom spajającym. Gaborn wejrzał w nią, podobnie jak uczynił to przed Murem Kriskaven, i przekonał się, że faktycznie, każda spoina i złączenie zostały wzmocnione magią. Poniekąd ziemia zwróciła się w ten sposób przeciwko sobie. Gaborn wiedział wcześniej, że raubenowie potrafią odwoływać się do tych samych mocy co on.

- Patrzcie! Patrzcie! - podniósł się nagle krzyk i Gaborn obrócił głowę w kierunku Carris.

Raubenowie między nim a miastem całkiem się pogubili. Wielu zginęło zasypanych w jamach, inni umknęli z połamanymi kończynami i pełzali teraz bez celu po okolicy. Nad ich grzbietami Gaborn ujrzał, jak jedna z wież miasta przechyla się wolno i przewraca. Z dali słychać było głośne krzyki. Trzęsienie ziemi okazało się niszczące, ale nie tak, jak Król Ziemi

sobie to zamierzył. Odległe ledwie o pół mili mury Carris chwiały się ciągle niczym wierzby na wietrze. Tynk odpadał całymi plastrami, wielkie kawały muru z blanków spadały do jeziora.

Nagle grunt zadrżał z nową siłą i miasto okryło się kurzawą. Kolejne dziesiątki i setki budynków rozpadały się w gruzy. W wielu miejscach pojawiły się pożary.

U stóp wzgórza nie było wiele lepiej i koń Gaborna robił co mógł, żeby ustać na nogach.

Wstrząsy wtórne... Gaborn nie potrzebował szczególnych darów ni mądrości, aby pojąć, jak straszne moce uwolnił. Jeden drobny, stosunkowo słaby impuls zapoczątkował coś, nad czym nie mógł już zapanować Król Ziemi, tak samo jak mały kamyk ciśnięty na wysokie górskie zbocze może czasem wywołać niszczącą wszystko na swej drodze lawinę.

Gaborn patrzył bezradnie, jak mieszkańcy Carris czepiają się rozpaczliwie murów. Jeszcze przed chwilą byłem pewien, że to genialny pomysł, westchnął w duchu. A tymczasem sprowadziłem zagładę na tych, których miałem chronić.

Ogarnęło go poczucie winy. Popelniał właśnie brzemienne w skutki błęd, a co gorsza, zaraz zamierzał dopuścić się czegoś jeszcze gorszego.

Unióś lewą rękę i spojrzał na miasto oraz na tych, którzy rozpaczliwie walczyli w nim o życie.

- Wybieram was! - krzyknął, chociaż mało kto w mieście miał szansę go usłyszeć. - Wybieram was dla ziemi!

Ziemia na pewno na to pozwoli, myślał. Przyznała mi prawo wybrania tych, co przetrwają, a Carris wymagało ratunku. Niemniej nigdy dotąd nie wybierał nikogo, kogo by nie widział. Sprawdzał granice swoich możliwości. Miał nadzieję, że patrząc na mury, zdoła wybrać tych, którzy się za nimi kryli. W tym i Raja Ahtena.

O ile wybranie Skalbairna miało przyczynić się do uratowania tysięcy ludzi, o tyle wybranie Wilka dawało być może nadzieję na uratowanie setek tysięcy.

- I ciebie też, Raju Ahtenie - wyszeptał, patrząc na skruszone mury. - Nawet ciebie!

Poczuł, jak z wolna nawiązuje kontakt z broniącymi miasta wojownikami, z kryjącymi się tam kobietami i dziećmi, i tymi nieszczęśliwymi, którzy sparaliżowani strachem kulili się po różnych kryjówkach i czekali na śmierć.

Odszukał myślą Wilka.

„Wybieram cię” - szepnął raz jeszcze tak czule, jakby Raj Ahten był jego bratem. „Pomóż mi uratować nasz lud”.

W końcu wyczuł jego obecność oraz grożące mu niebezpieczeństwo. Śmierć czaiła się tuż za plecami Wilczego Władcy. Gaborn nigdy jeszcze nie spotkał nikogo, kto byłby tak bliski końca, i zastanowił się nawet, czy starczy mu sił, by uratować Ahtena.

- Uciekajcie! - szepnął, patrząc na Carris.

W dali, na równinie, sir Langley i marszałek Skalbairn widzieli, jak przerażeni trzęsieniem ziemi raubenowie idą w rozsypkę. Wielu odniosło poważne rany, wszyscy wyglądali na zdezorientowanych. Oddaleni bardziej od magini rycerze nie ucierpieli tak bardzo od złowrogich zaklęć i nie wahali się długo z kolejnym atakiem. Mieli nadzieję odciągnąć wrogów od Gaborna. Tysiąc konnych Skalbairna runęło do szarży.

Raj Ahten nie poczuł się zdumiony, że ten dzieciak, który mienił się Królem Ziemi, próbuje uratować Carris przed raubenami. Miał to za posunięcie równie śmiałe jak głupie, wynik młodzieńczego idealizmu i wychowania w czci dla rycerskich ideałów. To zwykle odbiera rozum, pomyślał Wilk, i skłania do całkiem niepotrzebnych ofiar.

Pobiegł schodami na wieżę i spojrzął na północ.

Grupa wolnych rycerzy krążyła u stóp Kościanej Góry, a drugi oddział, liczący z tysiąc jeźdźców, atakował kurhany na południu. Trzeci odciągał pozostałych raubenów ku północy.

Raj Ahten omal nie pogratulował Gabornowi pomysłu, jak rozciągnąć siły raubenów i osłabić ich obronę.

Patrzył na jego rycerzy przedzierających się ku Kościanej Górze, widział, jak grunt zdrzął wkoło nich, wyrzucając w powietrze pył i kamienie. Raubenowie wysypali się z jam, które stały się nagle śmiertelnymi pułapkami. Wielu nie zdążyło. Gromowy huk przetoczył się po okolicy.

Z jakiegoś niepojętego powodu Raj Ahten nigdy nie mógł dojrzeć Gaborna. Jakiś czar skrywał chłopaka przed jego oczami. Jednak Wilk wiedział, że on tam jest.

Mury miasta zdrząły i zakołysały się jak pijane. Wkoło rozległy się krzyki.

Tylko Król Ziemi władał wystarczającą mocą, by dokonać czegoś podobnego. Raj Ahten natychmiast dostrzegł nadciągające niebezpieczeństwo. Ten wstrząs zrówna miasto z ziemią.

Niemal w tej samej chwili usłyszał w głowie głos Gaborna. Król Ziemi dokonywał wyborów.

Cóż to? pomyślał Raj Ahten. Na jednym oddechu błogosławisz mnie i przeklinasz?

Oddział Gaborna był coraz bliżej wielkiej magini. Gaborn prowadził ledwie dwa tysiące jazdy, jakby miał nadzieję, że tak mała siła wystarczy przy odrobinie szczęścia do zadania decydującego ciosu.

Nad Carris nadleciał czarny wiatr niosący ostatnie zaklęcie magini.

Raj Ahten wciągnął powietrze i poczuł zmęczenie, jakiego jeszcze nie zaznał. Tym razem potworna istota kazała im umrzeć z wyczerpania.

Tak, to potężne zaklęcie, pomyślał. Gdyby skierować je z małej odległości na zwykłych ludzi, bez wątpienia padliby martwi. Ich serca przestałyby tłoczyć krew, płuca odmówiłyby podjęcia wysiłku następnego oddechu.

Wielu ludzi na murach i tak zaczęło omdlewać. Niemniej Raj Ahten był jedyny w swoim rodzaju.

Krąg wojowników Gaborna przesunął się z wolna na południe, a raubenowie gromadzili się wkoło coraz większym tłumem. Trzęsienie ziemi mogło ich przerazić, ruszyli jednak ku Kościanej Górze. Również ci, którzy dotąd kręcili się blisko Carris, zawrócili na spotkanie nowego niebezpieczeństwa.

Raj Ahten był pewien, że Gaborn nie zdoła odeprzeć ich zmasowanego ataku. W dotychczasowych walkach o miasto zginęło z pięciuset raubenów. Zostało ich jednak prawie dwadzieścia tysięcy. W każdej chwili mogli spaść na Króla Ziemi i rozedrzeć jego wojska na strzępy.

„Uciekajcie!” - usłyszał znowu głos Gaborna. „Uciekajcie z Carris, ratujcie się!”

Raj Ahten uznał, że to żadna rada. Owszem, mieszkańcy oraz obrońcy miasta i tak mieli zginąć. Jeśli nie pod gruzami, to przy pierwszym ataku na blokujących groble raubenów.

- Bystry drań - mruknął nagle Wilk. Zrozumiał, o co chodzi.

Gaborn chciał, by Ahten i jego ludzie ruszyli się z miasta i odciągnęli od niego część sił raubenów.

Ale Wilk był za sprytny, aby się na to nabrać.

Jego Niezwyciężeni zaczęli się już wycofywać.

- Zostać na miejscach! - krzyknął na nich. - Pilnować wyłomu! - rozkazał ludziom diuka.

Król Ziemi umrze, pomyślał. Umrze tutaj, a ja będę się temu przyglądał.

Niemniej gdy znowu spojrzął na wyłom, ujrzał, że ludzie Paldane'a walczą równie żarliwie jak sami raubenowie. Z początku myślał, że to desperacja dodała im sił, ale nie: to jakaś niewidzialna siła zaczęła koordynować wysiłki zwykłej piechoty i nielicznych wojowników o zaburzonych proporcjach darów. Raj Ahten ujrzał, jak jeden młodzik z mieczem wystawił się na przynętę raubenowi, a gdy ten zamachnął się nań, chłopak odskoczył, robiąc

miejsce dla dwóch innych, którzy rzucili się z toporami i odrabali potworowi łapę. Gdy napastnik zawył z bólu, czwarty żołnierz, widać najsilniejszy, wbił mu długi miecz w podniebienie. Zanim rauben upadł martwy, cała grupa rzuciła się na następnego stwora.

Dotychczasowa chaotyczna rzeź zmieniła się w planową obronę. Miast bezładnej bieganiny Wilk ujrzał makabryczny taniec śmierci. Ku jego zdumieniu walczący ludzie radzili sobie tak dobrze, że raubenowie zawahali się i zaczęli się cofać. Nie wytrzymywali naporu.

Wojsko diuka zwarło szeregi. Wielu zeskoczyło z murów na stosy trupów i ławą zaczęło zapędzać potwory z powrotem na groblę. Reszta kierowała się ku dziedzińcowi przed wyłomem, by wykonać rozkaz Gaborna i uciec z miasta. Niektórzy rzucali się z blanków do jeziora.

Carris było wielkie, jego murów broniło czterysta tysięcy żołnierzy, po domach kryło się jeszcze wielu mieszkańców. Teraz wszyscy ci ludzie wylegli na wąskie uliczki, by ująć przed trzęsieniem.

- Stać! - krzyknął Raj Ahten. - Zostać na miejscach, powiedziałem!

Jego potężny głos dotarł do wszystkich i tyle było w nim mocy, że ludzie zaczęli z wolna wracać na posterunki.

Nie dam się wykorzystać, powiedział sobie Wilk i uśmiechnął się ponuro.

- Wciąż jesteśmy wrogami, synu Ordена! - zawołał tak donośnie, że nawet Gaborn musiał go usłyszeć.

Rolandowi wydawało się, że gdzieś w pobliżu szczekają i ujadają jakieś psy. Siedział wysoko nad ziemią w rozwidleniu konarów kamiennego drzewa.

Gdy uniósł z wysiłkiem głowę, ujrzał raubenów przemykających po wyższych gałęziach. Nagle ogarnęło go tak wielkie zmęczenie, że musiał się położyć. Konar trzasnął gdzieś w dole pod wielkim ciężarem.

- Mury się wał! Mury zaraz padną! - krzyknął ktoś w oddali.

- Do mnie! Do mnie! - zahuczał po lesie głos Raja Ahtena. Ludzie wrzeszczeli i umierali. Jakaś kobieta wołała w pobliżu o pomoc. Nagle na gałęzi w dole pokazała się znajoma twarz barona Poila. Patrzył na Rolanda.

- Pomóż mi - szepnął młodzieniec.

- Pomóc ci? - roześmiał się baron. - Od trupa chcesz pomocy? A co dasz mi w zamian?

- Proszę...

- Nie, chyba że zwrócisz się do mnie jak trzeba - odparł Poll z zadowoloną miną.

- Proszę waszmości...

- Żeby jeszcze twój syn znał to słowo - odrzekł baron ze śmiechem, zawrócił konia i odjechał przez zamglone pole.

W oddali rozległy się krzyki, słychać było grzechotliwy oddech raubenów. Roland poczuł obezwładniający ból.

Coś błysnęło mu nad głowę. Płomienie buchnęły z ogarniętej ogniem wieży.

Otworzył oczy. Najpierw zobaczył swoje ramię. Było owinięte zakrwawionym bandażem. Wszędzie wkoło leżeli martwi, białe mury Carris ciemniały od szkarłatnych plam.

Z ciemnego nieba padały szare płatki śniegi. Nie, to popiół, pomyślał Roland i przymknął oczy. Widok był zbyt bolesny. Dzień już się skończył, zapadał zmrok. Musiał być chyba nieprzytomny co najmniej przez godzinę.

Usłyszał płacz dziecka i obrócił głowę. Na dziedzińcu pojawiła się młoda kobieta w szaroniebieskiej szacie. Próbowwała uspokoić wydzierające się niemowlę.

Roland zebrał siły i przetoczył się na brzuch. Zabolalo. Krew zaczęła przesączać się przez bandaże. Przyklęknął, przycisnął dłoń do rany i popatrzył dokoła, by się zorientować w sytuacji.

Na południowym murze nie został już nikt żywy. Wkoło leżały tysiące ciał, w większości ludzkich, tylko tu i ówdzie widniała szara padlina raubena. Z zimnego nieba sypało popiołami.

Mury miasta kołysały się, kamienie spadały na ziemię.

„Wybieram cię, wybieram cię dla ziemi” - rozległo się nagle w głowie Rolanda.
„Uciekaj!”

Roland ledwie dosłyszał ten głos i w pierwszej chwili pomyślał, że to ciąg dalszy majaków. Zostałem sam wśród trupów, wszyscy zginęli... Chociaż nie. Mury zostały opuszczone. Rozpadają się...

Spojrzał na miasto. Główna wieża bramna zniknęła, podobnie jak i dwie przyległe baszty. Raubenowie dokonali wyłomu. Żołnierze próbowali wypchnąć napastników. Wspinali się na wał trupów, by odbić groblę. Za nimi postępowała gromadka olbrzymów.

Równina przed Carris czerniała od ciał tysięcy raubenów. U stóp Kościanej Góry walczył jakiś oddział. Setki rycerzy krążyły w olbrzymim, połyskującym kopiami kręgu. Co rusz któryś z nich brał na cel kolejnego potwora. Konie potykały się, „młoty na bohaterów” opadały na ludzkie czaszki.

Pośrodku tego młyna powiewała na wietrze chorągiew przedstawiająca zielonego męża Mystarrii. Znak króla Ordena.

Roland dojrzał po chwili, że sam król też tam jest. Gaborn Val Orden, Król Ziemi. Przedzierał się ku wielkiej magini. Gwardia otoczyła go ciasno, a w Rolandzie serce urosło, gdy pomyślał, że to towarzysze jego syna. Ach, gdyby tylko Averan mogła to zobaczyć!

Ten głos, który słyszałem... to nie było złudzenie, pomyślał. Król Ziemi mnie wybrał. Dlaczego? Dlaczego mnie? Nie jestem godny. Jestem mordercą. Bezwartościowym wyrzutkiem. Nie wojownikiem. Roland nie zwykł marzyć, ale nawet w najśmielszej fantazji tego akurat by nie wymyślił. Łzy pociekły mu po policzkach. Jak mógłbym mu się za to odwdziaczyć? pomyślał.

- Dziękuję - szepnęła, chociaż nie wiedział, czy Król Ziemi może go usłyszeć.

Nagły poryw wiatru targnął krążącymi wciąż nad miastem grisami i przyniósł ze sobą odór kolejnego zaklęcia magini.

Osłabły od rany Roland omal nie upadł, choć przecież tylko klęczał. Ogarnął go chorobliwy letarg. Brakło mu sił i chęci, by zawołać o pomoc, odetchnąć lub choćby mrugnąć okiem.

59

NIEOCZEKIWANE ZNAJOMOŚCI

Cztery mile od Carris Averan przyłgnęła do pleców Rolanda. Bała się spaść z konia. Jeden z mężów z Indhopalu trzymał w siodle zieloną kobietę, która jednak wyraźnie miała ochotę zeskoczyć.

Z wolna odsądzali się od pościgu raubenów, jednak coś tu było nie w porządku. Averan nie rozumiała, co Roland robi w towarzystwie pięknej kobiety z Indhopalu i jej asysty. Nie pojmowała także, czemu jej przyjaciel nosi inne szaty niż poprzedniego dnia i skąd wziął tego konia. Pachniał inaczej, jego ubranie załatywało pustynią i szalwią, a nie trawami Mystarrii.

- Kim jesteś? - spytała w końcu. - Z początku wzięłam cię za kogoś innego. Myślałam, że jesteś moim przyjacielem Rolandem.

Wielki mąż obejrzał się na nią. Teraz poznała, że to naprawdę nie Roland, chociaż miał takie same rude włosy i identyczne oczy. Błękitne i uśmiechnięte. Tyle że tu i ówdzie pojawiła się już w tych włosach siwizna.

- Znasz kogoś imieniem Roland? - spytał. - Z Błękitnej Wieży?

- Tak - szepnęła. - Jechałam z nim na jednym koniu. Razem z baronem Poilem zdążył do Carris. Chciał spotkać Króla Ziemi i odszukać swojego syna. To ty? To ciebie szukał, prawda?

Mężczyzna skinął głową.

- Roland to imię mojego ojca. Mnie możesz nazywać Borensonem.

Nie wyglądał na uszczęśliwionego tą wiadomością.

- Nie lubisz swojego ojca? - spytała Averan.

- Moja matka go nie cierpiała. A ponieważ jestem podobny do niego, mnie też znienawidziła.

- A ja lubię Rolanda - stwierdziła Averan. - Ma poprosić diuka Paldane'a, żebym mogła zostać jego córką.

- To człowiek małego ducha. Nie będzie dla ciebie lepszym ojcem niż dla mnie.

Averan nie spodobała się niechęć, z jaką Borenson mówił o swoim ojcu. Zła była też, że tak lekceważył jej słowa. Owszem, miała tylko dziewięć lat, utraciła dary, ale nie była głupia. Przecież właśnie powiedziała Borensonowi, że ma zostać jego siostrą, i oczekiwała z jego strony jakiegoś zainteresowania. On jednak pozostał całkiem obojętny.

Wjeżdżali na podługowate wzgórze. Suche trawy łamały się pod kopytami koni.

Na szczycie ciemniały granitowe ruiny pradawnej świątyni słońca. Okrągła misa służąca niegdyś do palenia ciał odłamała się od szczątków kopuły i leżała niczym pęknięte jajo na stoku wzgórza.

Averan widziała stąd wyraźnie niemal całą okolicę. Raubenowie nie mogliby już ich tu zaskoczyć. Gdy objechali podstawę kopuły, obejrzała się na Carris.

Białe miasto płonęło. Wysokie kolumny ognia odbijały się w wodach jeziora, po barbakanach zostały tylko zgliszcza, a z zachodniego muru odpadła większość tynku. Na zamglonej burym oparem równinie roilo się od raubenów.

- Nasz pan broni forticy razem z Mystarrianami - powiedział jeden z Indhopalczyków. - Król Ziemi walczy na przedpolu.

- Może nie będziemy potrzebni - odezwał się eunuch. - Wydaje się, że nasz pan zawarł już jakieś przymierze.

Głos mu się trząsał i Averan pomyślała, że to chyba wielki tchórz.

Cała okolica miasta została tak spustoszona, że ludzie nie mieli tam czego szukać. Trudno było orzec, czy Carris będzie jeszcze kiedykolwiek zamieszkane, czy ktoś podejmie trud odbudowania domów, wyrównania i obsiania na nowo pól.

Averan patrzyła uważnie na Króla Ziemi. Przyciągał jej spojrzenie. Poznała go od razu, ale zdumiała się. Gaborn wyglądał jak każdy, brakło tego szmaragdowego płomienia, który widziała, gdy przymknęła powieki.

Obejrzała się na zieloną kobietę. Siedziała w siodle przed Indhopalczykiem i też obserwowała Króla Ziemi, ale z zamkniętymi oczami. Uśmiechała się z rozmarzeniem.

Ona też go tak widzi, pomyślała Averan. Dostrzega jego moc. Dziewczynka zacisnęła powieki i teraz znów ujrzała płomień, który drgał i przesuwiał się z każdym ruchem króla.

- Gdybyśmy zjechali ze wzgórza i podążyli na północ akweduktem, moglibyśmy dotrzeć do Króla Ziemi - zaproponował Indhopalczyk.

- Albo i nie - zaproponował Borenson. - Na końcu może nie być wyjścia. - Wskazał na północ. - Proponuję raczej okrążyć Mur Pustkowi i dotrzeć tam od tyłu.

- To za daleko! - zakrzyknął Indhopalczyk.

Averan patrzyła, jak Gaborn walczy pod Kościaną Górą. Miał tyle darów metabolizmu, że poruszał się dla niej niesamowicie szybko. Przyklęknął i rzucił zaklęcie, od którego ziemia zatrzęsła się jak w febrze. Spojrzał z otwartymi ustami na miasto i uniósł lewą rękę...

- Patrzcie! - zawołał Borenson. - Wybiera! Wybiera całe miasto!

Jeśli Gaborn coś mówił, Averan tego nie słyszała. Wszystko zagłuszył syk raubenów i huk towarzyszący wstrząsom wtórnym. Niemniej pełna była podziwu dla króla, który nie zawahał się wybrać całego miasta, w tym i swoich wrogów.

Ludzie na murach ożywili się i runęli do ucieczki. Raubenowie zwarli szyki, by zaatakować Gaborna. Wypełzali z jam w ziemi, przedzierali się przez barykadę na Kościanej Górze.

Król Ziemi pchnął jazdę do walki.

- Co on chce osiągnąć? - spytał jeden z eunuchów.

- Próbuje uratować miasto - odparł zdecydowanie Borenson. - Ma nadzieję odciągnąć napastników.

Jednak nawet z daleka Averan widziała jasno, że Gabornowi się nie uda. Raubenów było zbyt wielu, atakowali za szybko. Jeszcze chwila, a odetną go od głównych sił.

Nad doliną poniósł się potężny głos Raja Ahtena:

- Wciąż jesteśmy wrogami, synu Ordena!

Wilk stał na murze, wymachiwał toporem i nie zważał wcale na padające wkoło płaty tynku.

Magini na szczycie Kościanej Góry uniosła różdżkę i zasyczała z taką mocą, jakby grom strzelił z pochmurnego nieba.

- Więc to prawda - powiedziała cicho piękność z Indhopalu. -

Mój mąż odrzuca przymierze ze swoim kuzynem i zostawia go na pastwę raubenów.

Powiedziała to z wielkim smutkiem i żalem, jakby nigdy sobie nie wyobrażała, by Raj Ahten mógł być aż tak pozbawiony ludzkich uczuć.

- Obawiam się, że tak, pani - odezwał się Borenson, chcąc złagodzić szok.

Ziemia znów zadrżała i konie zatańczyły nerwowo.

Saffira krzyknęła i wypuściła swego rumaka ku równinie. Wierzchowiec gnał z szybkością i gracją osiągalną tylko dla rumaków z wieloma darami. Kierował się prosto na zachód, w stronę miasta, chociaż drogę zagradzały mu tysiące raubenów.

Borenson też zakrzyknął i Averan złapała się siodła, gdy zwierzę ruszyło z kopyta.

W pierwszej chwili dziewczynka myślała, że Saffira gna na oślepe, ale po chwili żona Wilka skrzyknęła na południe i było już widać, gdzie zmierza. Raubenowie atakowali na kilku odcinkach. Jedna bitwa wrzała pod Carris, druga pod Kościaną Górą. Trzecie zgrupowanie potworów ścigało odchodzącą na południe jazdę.

Pomiędzy nimi pojawiła się szeroka, wolna przestrzeń i tam właśnie podążała Saffira.

- Czekaj! - krzyknęły eunuchy. - Pani, wstrzymaj konia!

Jednak nic to nie dało. Saffira zwolniła dopiero pół mili od murów miasta, gdy naprawdę nie mogła już jechać dalej. Raubenowie wyczuli ją za sobą i zaczęli zwracać się w jej stronę.

Saffira zatrzymała konia na szczycie małego pagórka. W gasnącym świetle dnia widać było, jak rozpina złoty pas, rzuca go na ziemię, jak ściąga obszerną szatę z czerwonej bawełny i zrzuca cieniutki welon przytrzymywany srebrną koroną. Wyprostowała się dumnie w siodle rumaka. Teraz miała na sobie tylko prostą suknię z lawendowego jedwabiu, która podkreślała ciemny odcień jej skóry.

Słońce zapadało za horyzont, nikłe promyki przenikały przez porwaną tu i ówdzie powłokę chmur. Na równinie wznosiło się wiele podobnych pagórków, ale Averan dostrzegła, że Saffira wybrała jedyny skąpany akurat w resztkach słonecznego blasku.

Wyglądała na skończoną piękność. Sama linia karku i ramion mogłaby zainspirować minstrela do stworzenia pieśni życia. Nawet Behoran Złotousty nie powstrzymałby się przed próbą opisanie i wychwalenia blasku jej oczu i dumnej postawy.

Niemniej Averan zdało się, że piękna dziewczyna szykuje się na śmierć. Podjechała zbyt blisko raubenów, którzy stali zdumieni ze sto stóp dalej. Nie wiedzieli jeszcze, jakie to nowe niebezpieczeństwo szykują im ludzie, ale rychło mieli się zorientować, że Saffira jest całkiem sama.

Jednak ona nie potrzebowała więcej niż parę chwil. Zaczepnęła głęboko powietrza i zaczęła śpiewać.

KOŚCIANA GÓRA

Jak mam ich wszystkich uratować? zastanawiał się ciągle Gaborn.

Czuł więzy łączące go z tysiącami ludzi w Carris i wiszące nad nimi niebezpieczeństwo. Trzeci wstrząs wtórny zakołysał ziemią.

Król Ziemi skoncentrował się na tych, którzy walczyli o życie w ruinach wieży bramnej. Oni byli w najgorszym położeniu. Jednak skryty w mieście Raj Ahten odmówił pomocy i czym prędzej zakazał swoim wojskom atakować, chociaż Niezwyciężeni mogliby oczyścić groble.

Wybierałem zbyt szeroko, pomyślał Gaborn, czując, jak opada go nowa fala zmęczenia. Przyszło mu prowadzić zbieraninę piechoty, która była o wiele mniej skuteczna niż jazda i posuwała się do przodu chyba tylko dzięki desperacji i sile woli.

Na południu marszałek Skalbairn ciągle prowadził skazany na niepowodzenie atak. „Wycofaj się!” - nakazał mu Gaborn. „Ratuj się, póki możesz!”

Skupił się na tym, co działo się najbliżej. Wiedział jednak, że jego własna straż nie zdoła odeprzeć zmasowanego ataku raubenów, którzy gnali ku niemu z obu stron Kościanej Góry. Próbował podejść bliżej, ale okazało się to niewykonalne. Czar był zbyt silny.

Padł na kolana i zaczął rysować kolejną runę niszczenia. Równocześnie kierował swe zmysły ku wzgórzom, szukając słabych miejsc.

Raubenowie byli już o pięćdziesiąt jardów. Prawie nic nie widział spoza ich masywnych cielsk.

Jednak rycerze trzymali szyk. Byli gotowi do ostatniej walki.

Rauben gnający na Króla Ziemi nie zwolnił nawet, przetaczając się pod dwóch rycerzach. Erin Connal rzuciła mu się z krzykiem na spotkanie.

- Bierz go z dołu, ja będę z góry! - krzyknął za nią Celinor. Bestia uniosła „młot na bohaterów”, a Erin uderzyła własnym młotem w kościany łokieć. Może go nie zgruchotała, ale ramię zwiślało bezwładnie. Przynajmniej na jakiś czas. Z drugiej strony, wściekły potwór mógł być groźniejszy. Uniósł młot jedną kończyną - osiemset funtów stali osadzone na dwudziestostopowym drągu - i opuścił z całą siłą. Erin nie usłyszała ostrzeżenia Gaborna, ale drąg zahaczył o jej ramię i zrzucił ją z siodła. Rauben uniosł łapę, by wbić przeciwniczkę w ziemię.

Celinor przeskoczył nad Erin, pochylił się i uderzył potwora w szczelinę między płytami pancerza. Nie uczynił tego dość silnie. Wnętrznosci nie wypłynęły, niemniej rauben syknął z bólu i cofnął się, by spróbować ucieczki.

Celinor przymierzył się do drugiego ciosu. Tym razem pancerz pękł, a potwór zatoczył się, wpadając z hukiem na gnającego do walki pobratymca.

Książę Crowthenu Południowego splunął, otrzepał się i złapał Erin za rękę.

- Dwie - powiedział znacząco. Erin poczuła, że się czerwieni.

Gaborn skończył rysować runę, uniosł pięść i rozejrzał się wkoło.

Raubenowie gnali ze wszystkich stron. Ludzkie szeregi topniały w zastraszającym tempie. Po lewej ktoś zginął właśnie ugodzony „młotem na bohaterów”. Wyrzucone w powietrze ciało obróciło się dwa razy i poleciało prosto na Gaborna.

Celinor osłonił króla tarczą, ale siła uderzenia była tak duża, że i książę, i trup wpadli razem na Gaborna, powalając go na ziemię.

Wszystko wkoło pociemniało.

GASNĄCY BLASK WIECZORU

Saffira śpiewała w swoim ojczystym języku, a dzięki tysiącom darów głosu jej pieśń brzmiała donośniej niż czyjakolwiek w dziejach.

Raj Ahten też spojrział z murów Carris. Odwrócił oczy od walczących oddziałów Gaborna.

Czas jakby stanął w miejscu. Nawet raubenowie na grobli cofnęli się nieco, poruszając wyrostkami czuciowymi. Nie byli pewni, czy to, co słyszą, nie jest zapowiedzią kolejnego ataku.

Większość ludzi pod Carris wywodziła się z Rofehavanu i nie rozumiała mowy Tuulistanu, małego indhopalskiego kraiku, który w jedną noc można było przewędrować od krańca od krańca. Niemniej było w tej pieśni tyle błagania, że nawet Raj Ahten zapragnął uczynić coś, by ukoić tęsknotę żony.

Nagle pojawił, czego dokonał Gaborn: przelał urodę i głos wszystkich jego żon i konkubin w jedno ciało. Oto był cały harem Raja Ahtena.

Saffira śpiewała popularną kołysankę. Kiedyś nuciła ją swojemu pierworodnemu, Shandiemu. Pięć lat temu... zanim wolny rycerz zabił dziecko, by uwolnić świat od potomstwa Wilka.

Melodia była dość prosta, a tekst mało wymyślny, jednak poruszył Raja Ahtena do głębi.

Nie jesteś sam tu obok mnie,
miłość czyni nas jednym,
nie ty, nie ja, lecz zawsze my...

Spośród wszystkich, którzy ją słyszeli, tylko on jeden zrozumiał, co Saffira chciała powiedzieć: „Rozumiem twą nienawiść i gniew. Rozumiem je i podzielam. Nie wybaczyłam śmierci naszego syna. Ale teraz musisz o tym zapomnieć”.

Gdy skończyła, zawołała w nie najlepszym rofehawańskim: - Mój panie Raju Ahtenie, błagam cię o wstrzymanie tej wojny.

Król Ziemi prosił mnie, bym ci przekazała te słowa: „wróg mojego kuzyna jest moim wrogiem”. Ludzie Mystarrii, ludzie Indhopalu, zjednoczcie swe siły!

Pomachała dłonią mężowi, a w ciszy, która potem zapadła, wszyscy ujrzeli, że raubenowie wkoło wzgórza ruszyli ku samotnej postaci, jakby odpowiadali na jej wezwanie.

Dobrani z najlepszych Niezwycięzonych eunuchowie Saffiry przypadli do niej i cała trójka zjechała razem ze wzgórza i pognęła na północ, ku odległym o pół mili siłom Gaborna.

Raubenów było jednak zbyt wielu. Raj Ahten widział, że Saffira nie zdoła przemknąć przez ich szeregi otaczające Króla Ziemi. Saffira też musiała to zrozumieć, ale mimo wszystko jechała dalej. Chciała zmusić Wilka do działania. Jeśli nie zamierzasz uratować Króla Ziemi, to ratuj chociaż mnie...

Obrońcy Carris pierwsi odpowiedzieli na pieśń dziewczyny. Szybkim atakiem przepędzili raubenów z wału trupów i pogonili ich przez groblę. Nieliczne olbrzymy poszły za ich przykładem. Niebawem główne siły ludzi diuka zostawiły za plecami zasłaną ciałami raubenów groblę i zapuściły się na sto jardów w równinę.

Tysiące zwykłych żołnierzy walczyły jak jeden mąż. Z rykiem gardeł parli przed siebie, jakby zmęczenie wywołane czarami magini gdzieś się nagle ulotniło. Na murach i na ulicach kto żyw łapał za broń lub cokolwiek, co mogłoby za nią posłużyć, i spieszył przyłączyć się do Saffiry i Króla Ziemi.

Raj Ahten własnym oczom nie dowierzał. Wiedział, że nie mają szans. Setki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci ruszyły do zmasowanego ataku. Musieli zginąć.

A jednak nie ustawali. Wilk nie potrafił powiedzieć, co nimi kieruje. Czy była to wiara w potęgę Króla Ziemi, czy tęsknota wywołana pieśnią Saffiry? A może ani jedno, ani drugie? Może walczyli, bo nic innego im już nie zostało...

Też zbiegł po schodach. Serce waliło mu jak młotem, gdy odsuwając wolniejszych żołnierzy, pognął do walki. Niezwyciężeni ruszyli jego śladem.

W PASZCZY RAUBENA

W drodze do Carris Borenson zastanawiał się nieustannie, czy Saffira znajdzie w sobie dość siły, żeby przeciwstawić się Rajowi Ahtenowi. Czy naprawdę chciała pokoju? A może zdradzi Gaborna?

Niemniej teraz, w prawdziwym niebezpieczeństwie, ta dziewczyna, prawie że jeszcze dziecko, stanęła w obronie Gaborna.

Gdy zakończyła pieśń, Borenson trwał jeszcze chwilę w oczarowaniu. Nie był zdolny do żadnej innej myśli prócz żalu, że śpiew dobiegł końca.

Z miasta dobiegła go wielka i radosna wrzawa brzmiąca jak szum odległego morza. Obrońcy Carris oznajmiali, że usłyszeli i zaraz przybędą na wezwanie.

Saffira dała dowód odwagi. W tej chwili Borenson kochał ją i niczego tak nie pragnął, jak stanąć w jej cieniu, wdychać woń jej perfum i patrzeć bez końca na jej hebanowe włosy.

Saffira słuchała dobiegających z Carris głosów i oczy jej płonęły. W końcu pochyliła głowę.

- Jedźmy, przyjaciele, nim będzie za późno! - zawołała i pogoniła konia na północ, ku Gabornowi. Nie wybrała najkrótszej drogi, lecz taką, która dawała jej szansę ominięcia gęstwy raubenów.

Bystra dziewczyna, pomyślał Borenson. Udaje atak, żeby odciągnąć napastników od Króla Ziemi. Minawszy Kościaną Górę od zachodu, mogła skrócić następnie i zbliżyć się do Gaborna od tyłu.

Ha'Pim i Mahket poganiali konie, by za nią nadążyć. Przed nimi lśnił matowo biały kokon otaczający wzgórze z jaśniejącą od runów maginią. Wielka raubenica znów uniosła różdżkę, a wyrostki wokół jej głowy poruszyły się energicznie. Łapała wiatr.

Nagle obróciła łeb ku Saffirze, jakby dopiero teraz ją zauważyła. Skierowała różdżkę na jej oddział.

Myśli, że naprawdę atakujemy! przemknęło Borensonowi przez głowę.

- W lewo! - krzyknął. Nie wiedział, czy ktokolwiek inny zauważył manewry potwornej magini.

Pulsujące światło spowiło ogromną różdżkę, która buchnęła zielonym dymem.

Saffira skręciła ostro w lewo i smuga zielonego blasku uderzyła w ziemię dokładnie w miejscu, gdzie byłaby dziewczyna, gdyby nie wykonała uniku. W nozdrza uderzył odór zgnilizny. Był tak dojmujący, że nie tylko nos, ale i skóra Borensona zareagowała i lekko posiniała.

Saffira zakryła twarz jedwabnym szalem, a jej koń zatoczył się niebezpiecznie blisko jednego z atakujących raubenów. Pashtuk i zielona kobieta po prostu wylecieli z siodła.

Niezwycięzony złapał dziką i spróbował powrócić z nią na siodło. Kobieta stawiała opór, jakby pilno jej było do walki z raubenami.

Saffira obejrzała się i zatrzymała konia, by poczekać na Pashtuka.

- Uwaga! - krzyknęła siedząca za Borensonem dziewczynka. Zbrojny rauben podchodził Saffirę od tyłu. Strażnicy podnieśli krzyk, żeby ją ostrzec.

Saffira pochyliła się nad karkiem wierzchowca i pogoniła konia w bok, jakby chciała odciągnąć raubena od Pashtuka, jednak bestia machnęła tylko długimi jak miecze pazurami i przetrąciła rumakowi kark. Saffira przetoczyła się przez łeb padającego konia, odbiła się od jednej z wielkich łap i zniknęła gdzieś w cieniu za cielskim potwora.

Trzech innych raubenów już biegło ku miejscu walki.

Ha'Pim krzyknął z przerażenia i zeskoczył z siodła, ale rauben trafił go w tej samej chwili „młotem na bohaterów”. Krew trysnęła na twarz Borensona.

Mahket ruszył pędem na rząd potworów. Wymachując ciężkim młotem, uderzył najpierw w podniebienie tego samego potwora, który powalił Saffirę. Potem przemknął rozmazaną smugą kawałek dalej i odrąbał nogę kolejnemu.

Pashtuk przestał drapać się na siodło i rzucił się na spotkanie najbliższego atakującego raubena. Wyskoczył na kilka stóp w górę i ciął bestię toporem w szyję.

Borenson wstrzymał wierzchowca. Była jeszcze nadzieja, że Saffira nie zginęła. Na pewno została ranna, ale mogła żyć. A jeśli tak, to należało czym pilniej coś zrobić, by wydostać ją zza raubenów albo nawet spod cielska jednego z nich, bo w przeciwnym razie na pewno za parę chwil przyjdzie jej zginąć.

- Zabierz nas stąd! - pisnęła siedząca za Borensonem dziewczynka i objęła go w pasie. Wywołany przez maginię odór prawie pozbawił ją oddechu.

Borenson zgrzytnął zębami ze złości. Był strażnikiem Saffiry. Z całych sił pragnął ją chronić. Niemniej z drugiej strony ślubował wierność Gabornowi. Znał swoje obowiązki. Wiedział, że przede wszystkim powinien zadbać o dziką Binnesmana. Kobieta była niezrównanym orężem. Należało czym prędzej doprowadzić ją do czarnoksiężnika.

- Ahretva! Ahret! - usłyszał nagle słaby krzyk Saffiry. Wołała po tuulistańsku, nie rozumiał jej słów, ale wiedział już, że żyje. Jej głos sprawił, że zapomniał o wszystkim innym. To będzie moja ostatnia walka, pomyślał. Tutaj stanę, chociaż gdzie indziej ślubowałem zginąć. Chociaż bez darów, zeskoczył z konia i porzucając dziecko, ruszył do walki.

Averan zamarała z przerażenia. Borenson i strażnicy Saffiry porzucili konie i ją samą. Wszyscy chcieli bronić tej piękności.

Zielona kobieta stała w pobliżu, a dwóch raubenów gnało w jej kierunku.

- Mroczny Oswobodzicielu! Jasny Niszczycielu! - krzyknęła Averan. - Krew tak! Zabij!

Wiosna skoczyła płynnie ku najbliższemu potworowi i uderzyła go pięścią w kopulastą czaszkę. Przekonała się już, że w ten sposób najłatwiej jest dostać się do smakowitego mózgu.

Dwóch Indhopalczyków odrąbało właśnie łapy innemu raubenowi, który ryknął z bólu i spróbował się cofnąć, ale w porównaniu z wojownikami z darami metabolizmu był rozpaczliwie niezgrabny. Borenson zaszedł go z boku i spróbował wbić miecz pomiędzy płyty pancerza, Niezwyciężeni zaś skierowali się ku kolejnym potworom, by utorować sobie drogę do Saffiry.

Averan znalazła się sama między raubenami.

- Pomocy! - krzyknęła. - Pomocy!

Jednak nikt się nie pojawił. Nie miała głosu Saffiry. Koniec końców była tylko małą dziewczynką.

Zeskoczyła z konia. W ostatniej chwili, gdyż zaraz spryskał ją deszcz krwi i wnętrzności. To jeden z potworów zmiażdżył młotem rumaka Borensona.

Averan skuliła się, by stanowić jak najmniejszy cel, i rozejrzała się za jakimś ukryciem.

Zielona kobieta zabijała właśnie kolejnego potwora, który padł z otwartą paszczą i wywalonym na parę stóp językiem. Averan chętnie wpełzłaby pod truchło, ale ciało zleгло płasko na boku.

Ale przecież mogę schować się w jego paszczy, pomyślała.

Wskoczyła do środka. Jama gębowa raubena była tak obszerna, że dorosły mężczyzna mógłby stanąć w niej prosto, tyle że boki pokrywał paskudny śluz. Z niemal czarnych dziąseł wyrastały rzędy przejrzystych jak kryształ zębów. Averan złapała się dwóch najdłuższych, by nie ześliznąć się w głąb gardzieli.

Do wszechobecnego smrodu rozkładu doszły teraz jeszcze odrażające wonie właściwe dla tak odrażającej gęby. Averan zdawało się, że bestia gnije w zastraszającym tempie. Dłonie zaczęły ją swędzieć, na skórze pojawiły się czerwone plamy. Co gorsza, zuchwa drgała jeszcze konwulsyjnie, a język, na którym stała, napiął się dziwnie. Paszcza z wolna się zamykała.

Dziewczynce zrobiło się zimno ze strachu. Wparła dłonie w dziąsła, ale brakło jej siły, by rozewrzeć szczękę. Obawiała się, że bestia może ją połknąć. Widziała zwierzęta, które zachowywały pewne odruchy jeszcze długo po śmierci.

- Pomocy! - krzyknęła.

- Już idę! - zawołał Borenson, który przebił się w końcu przez spojenie płyt raubenowego pancerza i cofał się właśnie przed padającym cielskiem.

Zaraz mi pomoże, pomyślała Averan. Jednak Borenson zanurkował za powalonego raubena. Szukał Saffiry.

A ja myślałam, że to mnie zamierzasz pomóc! chciała krzyknąć Averan.

Niebo pociemniało, w półmroku i gęstej mgłę potwory przesuwają się niczym widmowe posągi z czarnego granitu. Kolejny napastnik wspiał się na ciało martwego towarzysza i niemal całkowicie odciął Averan od resztek światła.

Dziewczynka krzyknęła z przerażenia i raz jeszcze spróbowała rozepchnąć wielkie szczęki. Przymknęła przy tym oczy i nagle ujrzała znowu płonący w pobliżu szmaragdowy płomień.

On jest tuż obok, pomyślała. Prawie mogłabym go dotknąć. Zaczynała rozumieć, dlaczego przyciągał ją od tylu dni. Wiedziała, że z nim będzie bezpieczna. Bezpieczna, bo wybrana. Nagle wstąpiła w nią nowa nadzieja.

- Mroczny Oswobodzicielu! Jasny Niszczycielu! - zawołała natychmiast. - Idź po Króla Ziemi! On nam pomoże!

Zaraz potem, mimo wszelkich wysiłków, paszcza raubena zatrzasnęła się nieodwołalnie i Averan wrzasnęła ze strachu.

NAJJAŚNIEJSZA GWIAZDA INDHOPALU

Raj Ahten wyciągał nogi, by dotrzeć jak najszybciej do Saffiry. Gdy przeskakiwał martwego olbrzyma, stopa zaczęła mu o kolczugę i musiał na chwilę przystanąć. Uwolniony się, pobiegł, skacząc z jednego martwego ciała raubena na następne, dzięki czemu dotarł do ruin bramy szybciej niż inni.

Na moment zamarł tutaj, przeczekując kolejny wstrząs, który zachwiało fundamentami Carris. Przed nim najlepsi ludzie Paldane'a oczyszczali groblę z raubenów. Złość i tęsknota dodawała im sił. Wilk wcale im się nie dziwił.

Truchło pod nim zakołysało się wraz z ziemią, skoczył więc na następne cielsko i odbiwszy się od niego, wylądował na głowie najbliższego żywego potwora. Powalił go jednym uderzeniem młota w „złoty trójkąt”.

Fala uderzeniowa dotarła do miasta i przy wtórze ogłuszającego huku oraz chóru ludzkich krzyków mury wybrzuszyły się i runęły do jeziora.

Wilk nie śmiał zwlekać ani chwili. Zeskoczył z głowy raubena i pobiegł dalej. Nie oglądał się na upadające Carris, ale słyszał łomot walących się wież i budynków, wyczuwał kwaśny zapach kraszonego tynku.

Z sześcioro darami metabolizmu walczył niczym błyskawica, ważył się na ataki, których normalnie by poniechał. Ale tym razem chodziło o Saffirę... Gdy tylko mógł, rozłupywał czaszki. Przy jednym z potworów przystanął tylko na chwilę, by zgruchotać mu nogi i ułatwić robotę tym, którzy podążali jego śladem. Na kilka długich chwil zmienił się w maszynę do zabijania i okaleczania.

Słyszał, jak tysiące innych przedzierają się ku Saffirze. Byli wśród nich ludzie Paldane'a i Niezwyciężeni. To samobójstwo, pomyślał, ale zaraz dotarło doń, że przecież ci ludzie nie mają wyboru.

Płonące wcześniej pożary zaczęły rozprzestrzeniać się wśród ruin. Teraz uciekały z miasta także kobiety i dzieci, biegli kupcy i starcy. Wszyscy.

Raj Ahten nie pojmował, jakim cudem tak wielu przetrwało to straszne trzęsienie ziemi. Gdyby nie widział fali uciekinierów, pomyślałby, że ledwie kilkaset osób miało szansę je przeżyć.

Raj Ahten przedzierał się przez równinę nawet nie kwadrans, ale zdawało mu się, że minęła już co najmniej godzina. Tymczasem do atakującego raubenów wojska dołączyły całe rzesze zwykłych ludzi z miasta.

Skutek był zdumiewający, gdyż potwory zaczęły się cofać. Niemal każdy z nich, gdy stawał przeciwko tuzinowi ludzi, wołał podać tyły.

Łatwo było odgadnąć powody ich zachowania. Nigdy dotąd nie miały do czynienia z tak pospolitym ruszeniem, a nie potrafiły przecież odróżnić zwykłego ciury od Władcy Runów. Dla nich wszyscy ludzie pachnieli tak samo i każdy, kto śmiał stanąć im na drodze, mógł się okazać niebezpieczny.

Jesteśmy wobec nich jak szerszenie, pomyślał Raj Ahten. Nigdy nie wiadomo, który użądli.

Największy tumult powstał wkoło Niezwyciężonych i najlepszych ludzi Paldane'a. Tutaj raubenowie, choć nierzadko unikali walki, to jednak nie uciekali.

Obrońcy Carris szli na nich równą ławą, często tylko ze zwykłymi młotami, oskardami czy kilofami, i chociaż co rusz zwyciężali, to również ginęli tysiącami. Walczyli dla Króla Ziemi z niespotykaną zaciętością i poświęceniem. Raj Ahten nie mógłby liczyć na nic podobnego z ich strony.

Na dodatek nie była to daremna ofiara, gdyż ułatwiali znacznie zadanie tym, którzy mieli dość sił do wprawnego ubicia raubena. Tyle że wspomnienie rzezi miało ścigać Raja Ahtena przez długie lata. Zbyt wiele krwi spłynęło na ruiny bram, zbyt wiele kości i strzępków ciała poniewierało się po całej okolicy, zbyt wiele trupów patrzyło szklistym wzrokiem w niebo.

Wilk przebijał się niezmordowanie ku niewidocznej Saffirze. Dwakroć otrzymał rany, które zabiłyby zwykłego człowieka, i musiał czekać wiele cennych chwil, aż się zagoją.

Ironia losu sprawiła, że do ukochanej kobiety doprowadził go głos dziecka.

Wkoło słyszał zgiełk toczoney w kilkudziesięciu ogniskach bitwy, od północy dobiegały krzyki walczącej konnicy Gaborna. Mimo wielu darów słuchu Raj Ahten ledwie wyłowił słabe, dziewczęce zawołanie.

Ustalił kierunek i pobiegł jak najszybciej. Kilku raubenów minął, zanim zdążyli zareagować na jego widok.

Przed sobą ujrzał istny labirynt martwych cielsk potworów. W powietrzu unosił się duszący odór nieczystości, skutek ostatniego zaklęcia wielkiej magini. Raj Ahten przeskoczył nad splątanymi kończynami dwóch potworów i wcisnął się w szczelinę pomiędzy następnymi

trupami. Po chwili dotarł do niewielkiego wolnego obszaru otoczonego przez tuzin martwych raubenów. Leżały w nieregularnym kręgu wraz z trupami konia i rycerza. Trochę dalej słychać było, jak inny Władca Runów powala kolejnego potwora.

Tutaj ujrzał wzywającą pomocy dziewczynkę. Siedziała uwięziona w paszczy zabitego raubena. To nie była Saffira, więc zostawił ją, ale w przelocie zaintrygowała go rana widoczna na łbie potwora. Ktoś rozłupał mu czaszkę. Podobne obrażenia mógł zwykle spowodować jedynie olbrzym dzierżący wielką maczugę.

Krwawiąc obficie z rany w nodze, pobiegł dalej i po chwili trafił na Mahketa, który bronił się przed raubenem usiłującym dosięgnąć go w ciasnej przestrzeni pomiędzy dwoma martwymi cielskami. Saffiry wciąż nie było nigdzie widać, ale Wilk poczuł już jej zapach. Delikatna woń jaśminu dobiegała z plamy cienia po prawej.

Saffira leżała pod łapą powalonego potwora. Jeden z ludzi króla Ordenu, sir Borenson, próbował osłonić ją swoim ciałem przed naciskiem olbrzymiej kończyny. Sam ledwo oddychał i jęczał z bólu. Na czole Saffiry ziała olbrzymia, szkarłatna rana, z której płynęła obficie krew.

Raj Ahten chwycił łapę za pazur i chociaż ważyła z siedemset albo i osiemset funtów, odciągnął ją na bok, a potem odepchnął rudowłosego rycerza.

Wkoło trwała walka, ale krąg ciał raubenów chronił ich przed spojrzeniami. Ktokolwiek inny szukałby Saffiry, najpewniej nie trafiłby aż tutaj.

Dziewczyna oddychała płytko i nieregularnie. Jej oczy patrzyły gdzieś w przestrzeń. Wilk wiedział, że niewiele życia już jej zostało.

- Jestem tutaj, kochana - powiedział.

Złapała jego dłoń. Miała tylko trzy dary krzepy i jej dotyk wydał mu się lekką pieszczotą.

- Król Ziemi zmusił cię do tego? - spytał Wilk, kipiąc gniewem.

- Do niczego mnie nie zmusił. Chciałam się z tobą zobaczyć.

- Choć zabroniłem ci jechać za mną? Saffira uśmiechnęła się lekko.

- Usłyszałam... usłyszałam, że Król Ziemi pojawił się na Północy. Wysłałam umyślnego...

To było oczywiście kłamstwo. Żaden strażnik z pałacu nie miał prawa rozprawiać z kobietami Wilka o wojnach i polityce. Żaden nie śmiałby wspomnieć o Królu Ziemi.

- Obiecuj mi, że nie będziesz z nim walczyć! Obiecuj, że go nie zabijesz! - jęknęła Saffira i zakaszła śliną i krwią.

Raj Ahten milczał. Otarł krew z brody dziewczyny i przytulił ją mocno. Odgłosy bitwy docierały doń stłumione niczym wycie wilków na dalekich pustkowiach.

Nie poczuł, w której chwili zmarła, jednak gdy spojrzął na nią w zapadającym mroku, ujrzał, jak jej ciało odmienia się i gaśnie. Wszystkie przyjęte dary wracały do darczyńców w dalekim Indhopalu.

Saffira wędła niczym kwiatny płatek rzucony na huczące palenisko kuźni. Niebawem stała się tylko cieniem dawnej siebie.

Największa piękność wszech czasów odeszła bezpowrotnie.

Świadomość Gaborna odpłynęła w regiony poza czasem i przestrzenią, gdzie nie było bólu ani udreki umysłu.

Leżał na pełnym kwiatów polu pod fioletowym niebem. Słońce zachodziło, jak już raz kiedyś, dawno temu, w dniach jego dzieciństwa. Powietrze pachniało trawą i wysuszonymi w upale liśćmi. Stokrotki rozkładały białoróżowe płatki. Ich zapach dopełniał gorzką nutą bukiet ziemistych woni łąki.

Gaborn przysypiał. Gdzieś w dali słyszał wołanie Iomy, ale rozluźnione mięśnie nie chciały go słuchać.

Ioma. Pragnął jej rozpaczliwie, tęsknił za jej dotykiem i pocałunkiem. Powinna być ze mną, pomyślał. Jej miejsce jest u mego boku.

Niechby też ujrzała ten przepiękny zachód słońca, poczuła miękkość traw. Od czasu wizyty w ogrodzie Binnesmana Gaborn nie widział niczego równie uroczego.

- Panie?! - zawołał ktoś. - Nic ci nie jest, panie?! Gaborn chciał odpowiedzieć, ale nie mógł słowa wykrztusić.

- Weźcie go na konia! Chyba jest ranny! Wywieźcie go stąd! - odezwał się czyjś znajomy głos. Tak, to Celinor, poznał Gaborn. Celinor Anders niepokoił się o Króla Ziemi.

- Już dobrze - mruknął Gaborn, chcąc go uspokoić. Zamierzał powiedzieć, że nic mu nie jest. Spróbował unieść głowę, ale chociaż mu się nie udało, poczuł coś dziwnego. Całe to zmęczenie, które towarzyszyło mu od paru godzin, gdzieś uleciało i teraz był już sobą. Miał wrażenie, jakby owionął go ciepły, wiosenny wiatr. Z każdą chwilą przybywało mu sił.

To była moc ziemi. Zetknął się z nią już w ogrodzie Binnesmana oraz przy Siedmiu Kamieniach w Mrocznej Puszczy. Ogarniała go coraz potężniej, przybliżała się. Tak jak kwiat obraca się ku słońcu, tak i on zwrócił twarz w kierunku, z którego przybywała.

To Ioma nadchodzi, pomyślał niezbyt przytomnie.

Nagle poczuł coś ciepłego na policzku. Ciepłego jak plama słonecznego blasku.

Powieki same się uniosły.

W półmroku ujrzał kobietę ubraną tylko w niedźwiedzie futro. To nie była Ioma, ale poznał od razu, z kim na do czynienia. Miała piękną i niewinną, ale dojrzałą twarz. Małe piersi wyglądały spod płaszcza. Skóra zieleńiała się lekko, a spod spodu promieniowała wielka i przyjazna moc. Wyciągnęła dłoń i musnęła jego szyję, a cała reszta bólu i znużenia odeszła go w jednej chwili.

Miał pewność: to była dzika Binnesmana.

Czarnoksiężnik stworzył ją nocą z kamieni i ziemi trochę ponad tydzień temu, nadał jej postać zrodzoną w jego umyśle. Miał nadzieję uczynić z niej wielkiego wojownika, takiego samego, jaki wspierał w walce jego przodków. Niestety, zaraz po akcie stworzenia dzika wzleciała w powietrze i gdzieś zniknęła.

Ale teraz wróciła. Gaborn otworzył szeroko oczy, gdy uniosła go jedną ręką na równe nogi.

- Idź po Króla Ziemi - powiedziała niewyraźnie.

Gaborn pomyślał, że ona chyba chce, by poszedł z nią gdzieś. Albo może i sama ziemia ją tu przysłała...

Rozejrzał się. Był daleko od miejsca, w którym upadł. Książę Celinor, Erin Connal i rycerze ze świąty króla odsunęli się o kilka kroków i patrzyli z niedowierzaniem na zieloną kobietę.

Jeźdźcy porzucili konie i walczyli pieszo, stawiając postrzępioną linią opór raubenom, którzy i tak postępowali krok po kroku. Wspinali się jeden na drugiego, by dopaść kłasnających żelazem ludzi. Starczyło jedno spojrzenie na pole bitwy, aby orzec, że wojsko nie utrzyma się długo. To była daremna walka.

Wielka magini na wzgórzu szykowała się do rzucenia kolejnej klątwy. Już teraz w powietrzu pojawiła się nowa fala smrodu, a u podstawy znaku runicznego zaczęły migotać jaśniejsze niż kiedykolwiek wcześniej widmowe ogniki.

- Idź po Króla Ziemi - powtórzyła dzika, ciągnąc Gaborna ku szeregom walczących.

Zrozumiał. Ktoś przysłał ją tutaj po niego. Ale on był przy stworzeniu tej istoty i znał jej prawdziwe imię.

- Mroczny Oswobodzicielu! Jasny Niszczycielu! Stań przy mnie! - powiedział, łapiąc ją za nadgarstek, by wykorzystać dziką do własnych celów. Zielona kobieta otworzyła usta i zastygła w oczekiwaniu, jakby całkowicie zapomniała o poprzednim zadaniu.

- Teraz! - nagle podpowiedziała Gabornowi ziemia. Przyklęknął, wziął palec zielonej kobiety i zaczął na nowo kreślić na ziemi runę niszczenia.

Jednak gdy przyjrzał się Kościanej Górze, stwierdził z rozczarowaniem, że nie było w niej słabych miejsc, które mógłby rozsadzić.

Nagle w jego umyśle pojawiło się coś całkiem nowego. Nowy znak, którego wcześniej nie znał. Nie przypominał runy niszczenia, ale miał moc. Wielką moc.

Nakreślił na ziemi splątany, okrągły kształt z pojedynczą kropką na samej górze.

Spojrzał na maginię i wyobraził sobie jej całkowite zniszczenie. Oczami duszy ujrzał, jak ziemia strzela w górę i wzniesienie rozpada się bez śladu, jakby nigdy nie istniało.

Nie wiedział, czy się uda. Czy ziemia może niszczyć samą siebie?

- Rozpadnij się w pył! - krzyknął i przez dłużącą się w nieskończoność chwilę czekał na odpowiedź ziemi.

Gdzieś głęboko pod nim zrodził się głuchy hurkot. Z początku narastał powoli, ale potem zaczął nabierać impetu. Było to coś o wiele potężniejszego niż niedawne trzęsienie ziemi. Coś walczyło, by się uwolnić i parło ku powierzchni niczym olbrzymia, pancerna pięść.

Magini uniosła łagę, a runy na jej skórze zajaśniały żywym ogniem.

Echo jej syku odbiło się od murów Carris i od ciężkiej powłoki chmur. Ciężka chmura dymu zaczęła zbierać się u jej stóp. Mieszała się z trującym dymem spływającym z Pieczęci Nieutulonego Żalu. Tej klątwy ludzie najpewniej nie mieli szansy przetrwać.

Niemniej ziemia nie ustawała w wysiłku. Mocarne coś było coraz bliżej, a Gaborn z całych sił skupiał się na obrazie zniszczenia, aż wyparł on z jego głowy wszystkie inne myśli.

W końcu otworzył pięść i uwolnił wszystko, co w sobie nagromadził.

64

CZERW

Ioma Sylvarresta była wciąż czterdzieści cztery mile od Carris. Wraz z Myrrima i sir Hoswellem zatrzymali się na chwilę, by zjeść coś, wypić i dać odpocząć koniom. Wiatr dmuchał lekko, szeleszcząc liśćmi dębu nad jej głową, trawy szumiały na stokach wzgórz.

Drganie ziemi poczuła na długo przedtem, niż cokolwiek usłyszała. Ziemia wstrząsnęła się i jakby warknęła pod jej stopami, a królowa spojrzała zdumiona ku południowemu widnokręgowi.

Z tej odległości dojrzała tylko wielką chmurę kurzu, który wzbila się na wiele mil w wieczorne niebo, aż zaszło już słońce oświetliło jej wierzchołek szkarłatem.

- Na Moce! - zakrzyknęła Myrrima, zrywając się na nogi i rozlewając wino z bukłaka.

Ioma złapała ją za rękę, bo chociaż miała dość darów krzepy, nagle zrobiło jej się słabo. Wiedziała, że jej mąż jest w Carris i że nikt nie mógłby przeżyć podobnego kataklizmu.

Długo później dotarł do nich grzmot, który po chwili powrócił odbity echem od dalekich gór. Ioma nie była pewna, czy słyszała jeden gromowy huk, czy dwa.

Później mówiła, że dwa: jeden rozległ się w chwili, gdy Gaborn rzucił zaklęcie, a drugi towarzyszył wydostającemu się na powierzchnię ziemi wielkiemu czerwowi.

Jednak świadkowie, którzy przebywali bliżej Carris, utrzymywali, że słyszeli tylko jeden grzmot w chwili, gdy ziemny czerw wynurzył się na wezwanie Króla Ziemi dokładnie u podstawy Kościanej Góry.

Erin Connal, która stała u boku Gaborna, zawsze potem wspominała, że jej zdaniem ziemia warknęła niczym zły pies.

W olbrzymiej chmurze pyłu i kurzu czerw wysunął się prawie do połowy długości z uczynionego przez siebie otworu i zawisł setki stóp nad ziemią. Słońce oświetliło wierzchołek monstrualnego cielska. Te fragmenty murów miasta, które przetrwały wcześniejsze trzęsienie, teraz runęły do jeziora.

Erin serce zamarło w piersi. Stała tylko i patrzyła na niesamowite, obłe stworzenie. Było szerokie na jakieś sto osiemdziesiąt stóp, muskularne, z paszczą pełną ostrych jak kosy zębisk. Po okrytych szramami bokach spływała magma, a w powietrzu rozszedł się nagle zapach siarki i metalicznej kurzawy.

Czerw pokazał się tylko na chwilę, ale dla patrzących czas jakby stanął w miejscu. Erin nie pamiętała dokładnie, co działo się zaraz potem. Gdy oprzytomniała, dotarło do niej, że wkoło słyszy wiele tysięcy wiwatujących głosów. Czerw wycofał się do otworu, który ział w miejscu, gdzie wcześniej wznosiła się Kościana Góra. Powietrze pełne było kurzu.

Grzybiasta chmura pyłu dotarła powyżej warstwy chmur i zaraz spowiły ją błyskawice wyładowań.

Raubenowie rzucili się do ucieczki.

Wydawało się to nazbyt piękne, żeby mogło być prawdą, ale po zniszczeniu runy i śmierci prowadzącej całą armię magini nie mieli już tu czego szukać.

Umykali w noc, by schować się z powrotem w mrocznych tunelach podziemi i czekać tam na czas, aż będą mogli wrócić w znaczniejszej sile.

„Uciekaj” - rozległ się słaby głos i sir Borenson drgnął, pełen chęci, by posłuchać. „Uciekaj, póki możesz”.

Ziemia zatrzęsała się, wyrzucając Borensona na dwie stopy w górę. Rozległ się ogłuszający huk, o wiele głośniejszy niż podczas burzy. Zamigotała błyskawica, z nieba posypały się kamienie i pył.

Ziemia się rozstępuje, pomyślał półprzytomnie Borenson.

Niemal odruchowo, bez udziału woli, przysunął się do Saffiry. Krwawiła i była ledwie żywa. Pashtuk i Mahket walczyli zjadle w jej obronie, a Borensonowi zostało tylko przykryć ją własnym ciałem w nadziei, że choć trochę zdoła ją w ten sposób ochronić. Chwilę potem padający rauben wypchnął mu całe powietrze z płuc.

Jednak Borenson wiedział, że nie zostawi Saffiry. Kaszłąc, próbował łapać oddech. Pył prawie zalepiał mu nozdrza.

„Uciekaj!” - rozległo się znowu i Borenson pojął w końcu, kto do niego przemawia. Bardzo chciał posłuchać tego głosu. Objął Saffirę.

- O najjaśniejsza, musimy się stąd wydostać - szepnął, próbując się podnieść. Jednak niewiele widział. Zapadała już noc, pod olbrzymimi cielskami raubenów już wcześniej zaległ głęboki cień, a pył nie dawał przystępu światłu. Borenson uniósł głowę. Nad zachodnim horyzontem wciąż jaśniała mdła poświata, ale pobojujowisko kryła chmura czarnego pyłu. Z trudem dźwignął się na kolana.

- Gdzie ją zabierasz, nędzniku z Północy? - rozległ się nagle tuż nad nim czyjś głos. To był Raj Ahten. Przemawiał spokojnie i melodyjnie, ale było słyhać, że jest wściekły.

Borenson zamrugał, żeby dojrzeć przybysza. Kolejna błyskawica ukazała mu go z Saffirą w objęciach. Dziewczyna nie ruszała się, jej białe zęby i oczy dziwnie wyblakły. Straciła urodę.

Cała chęć życia uszła z Borensona. Klęczał, ale osłabł tak, że nie pojmował, jakim cudem nie pada na ziemię. Odeszła... Odeszła na zawsze. Ta myśl przyprawiała go o bolesne szaleństwo.

Ale przecież nie całe piękno zniknęło wraz z nią, próbował się pocieszać. Coś jeszcze zostało. Nie tak doskonałe, ale jednak. Życie nie będzie tak całkiem puste.

Powtarzał to sobie, ale i tak odczuwał pustkę. Pustkę i nicość, która zdawała się go pochłaniać. Ledwie mógł oddychać, ale jakoś się tym nie przejmował. Po co oddychać...

Znał Saffirę tylko przez jeden dzień, niby krótko, a jednak... Starczyło, by zaczął oddychać tylko dla niej. Dla niej żył. A teraz nie było już warto...

„Uciekaj!” - powtórzył Gaborn.

Leżał pod osłoną martwych raubenów. Za nimi rozległ się zgiełk i szcęk oręża. Potwory stawiały jeszcze opór, ale bitwa przesunęła się dalej.

Borenson spojrział obojętnie na Raja Ahtena. Król Ziemi nakazywał mu uciekać, ale nie przed raubenami.

- Powiedz mi, gdzie chciałeś zabrać moją żonę - zażądał Wilk.

- W bezpieczne miejsce - zachrypiał Borenson. Obliznął wargi, ale kurz wysuszył nawet język.

- To ty ją tu przyprowadziłeś, zgadza się? Ty przywiódłeś ją do śmierci na rozkaz swego pana. Była najpiękniejszą kobietą na świecie, a ty zabrałeś ją tutaj.

To nie było fałszywe oskarżenie. Borenson poczerwieniał na twarzy. Raj Ahten usiłował wzbudzić w nim poczucie winy, co przy jego umiejętności operowania głosem nie było trudne, ale czynił to całkiem niepotrzebnie. I bez niego Borenson czuł się winien najgorszej zbrodni.

- Nie wiedziałem, że raubenowie podejną pod Carris - mruknął Borenson tonem przeprosin, bardziej jednak do siebie niż do Wilka. - Ona się ich nie bała. Chcieliśmy ją zatrzymać, ale nie słuchała...

Raj Ahten warknął głucho, jakby brakło mu słów, by wyrazić ślepy gniew.

On mnie nienawidzi, pomyślał Borenson. Zapamiętał sobie, co powiedziałem mu pod zamkiem Sylvarresta, i że zabiłem jego darczyńców. Oszukałem go i skłoniłem do ucieczki z Heredonu, a teraz przyczyniłem się do śmierci jego żony.

- Byłeś godnym przeciwnikiem - szepnął Raj Ahten. Borenson chciał się zerwać i uciekać, ale i tak nie dałby rady umknąć Wilkowi. Nie miał też żadnych szans w walce z kimś o tylu darach.

Raj Ahten złapał Borensona za kostkę i szarpnął, obracając go na plecy.

- Tuliłeś się do niej jak kochanek - szepnął ze złością. - Czyżbyś został jej kochankiem?

- Nie!

- Zaprzeczasz, że ją kochałeś?

- Nie!

- Nie wolno spoglądać na moje kobiety. A jeśli ktoś to już uczyni, musi za to zapłacić! - syknął Wilk. - Zapłaciłeś?

Borenson nie odpowiedział, ale Ahten przyciągnął go do siebie i przebiegł dłonią po spodniach ofiary, która próbowała się uwolnić, sięgnęła nawet po sztylet, ale nie dość szybko.

Wilk złapał miękki kawałek skóry mocarnymi niczym stalowe szczytce palcami i pociągnął.

Borensonowi pociemniało w oczach z bólu. Upuścił sztylet.

Gdy Raj Ahten cofnął rękę, wojownik nie był już praktycznie mężczyzną. Pchnięty, padł na ziemię tak gwałtownie, że grzbiet go zabolął, jakiś kamień skaleczył mu policzek.

Raj Ahten wstał i rzucił krwawy kawałek ciała obok ucha zwijającego się z bólu Borensona.

- Wyrównaliśmy rachunki - syknął i odszedł.

Averan ciągle wzywała pomocy i próbowała otworzyć jakoś szczękę raubena. Tuż obok niej przemknął gris, który musiał podzielać jej zdanie, że w podobnym zamieszaniu paszcza martwego potwora będzie najbezpieczniejszym miejscem. Wkoło cuchnęło coraz bardziej, a co gorsza, jakieś dobywające się z cielska opary powodowały, że skóra dziewczynki okrywała się wciąż nowymi plamami i bąblami.

- Pomocy! Proszę! - starała się przekrzyczeć huk piorunów, aż w końcu dojrzała w zapadających ciemnościach, jak Raj Ahten wraca ku niej przez szczelinę pomiędzy dwoma padłymi raubenami. Nadzieja w niej ożyła. Był ledwie dwadzieścia stóp od niej. Przed chwilą przechodził w drugą stronę, potem zamienił kilka gniewnych słów z Borensonem, którego bolesny krzyk wypełniał teraz okolicę.

Raj Ahten zawołał coś w mowie Indhopalu. Averan nie rozumiała słów, ale domyśliła się, że wydaje rozkazy swoim żołnierzom. Głowę trzymał wysoko, tak że pył opadał mu na policzki. Blask błyskawicy ukazał go z całą wyrazistością. Averan nie widziała jeszcze nikogo równie pięknego i dumnego. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Proszę! - krzyknęła, wpierając dłonie w czarne dziaśła.

Raj Ahten zerknął niechętnie w jej kierunku, jakby wołał nie mieć nic wspólnego z żadnym dzieckiem, jednak ku wielkiej uldze Averan po chwili podszedł bliżej.

Normalnie do rozwarcia szczęk raubena trzeba by kilku zwykłych ludzi, ale Wilk tylko zawiesił młot na plecach i rozchylił je gołymi rękami. Potem podał dłoń Averan i pomógł jej wyjść, jakby była damą wysiadającą z powozu.

Na jego rękawicach czerwieniła krew.

Moment później pojawiło się obok kilkunastu Niezwycięzonych. Raj Ahten powiedział coś do nich, ale mówił tak szybko, że Averan nic z tego nie rozumiała. Wyłowiła tylko jedno słowo: „Orden”.

Potem wszyscy pobiegli na północ. Ruszyli tak szybko, że zdawało się, jakby po prostu zniknęli. Ot, mignęła rozmazana smuga, szczęknięta zbroja i już ich nie było.

Nagle zapadła cisza. Pył ciągle spadał z nieba. Błysnęło, huknął grom.

Raubenowie boją się burzy, przypomniała sobie Averan. Oślepia ich i wypełnia bólem. Rzucają się do ucieczki. W każdym razie ja bym teraz uciekła, gdybym była raubenem.

Z miejsca, w którym ostatni raz widziała Borensona, dobiegał jakiś hałas.

Averan ruszyła się i popęzła w tym kierunku. Borenson leżał skulony jak dziecko. Wymiotował, łzy spływały mu po twarzy. Obok leżała martwa Saffira, teraz już tylko zwykła, ładna dziewczyna.

Czyżby Borenson miał umrzeć z ran? przestraszyła się Averan. Nie mogłaby mu pomóc.

- Co się stało? - spytała nieśmiało. - Jesteś ranny? Borenson zacisnął zęby i otarł łzy.

Długo się nie odzywał.

- Kiedyś wyrośniesz na piękną kobietę - rzucił w końcu nieswoim, pełnym cierpienia głosem. - A ktoś taki jak ja nijak nie będzie mógł z tego skorzystać.

ZDRADZONA ZIEMIA

„Uciekaj!” - ostrzegła Gaborna ziemia.

Młodzieniec jednak siedział ciągle tam, gdzie rzucił go wstrząs. Był niepomiernie zdumiony. Nie miał pojęcia, że może przywoływać zwierzęta na pomoc.

Wielki czerw wysunął się tylko trochę ponad powierzchnię ziemi, a i tak wyrzucił w powietrze fontannę kamieni i chmury pyłu. Przez chwilę trwał niczym półmilowa, wijąca się wieża.

Zielona kobieta leżała obok niego i też patrzyła na błyskawice spowijające czubek czerwia świetlistą koroną. Gabornowi zdawało się przez chwilę, że to jego własna korona. Przerażeni raubenowie uciekali w panice.

„Uciekaj!” - powtórzyła ziemia.

Śmierć była blisko. Gaborn czuł, że też może tu zginąć. Był tego całkiem pewien.

Robiło się coraz ciemniej od padającego z nieba deszczu pyłu i wszelakich szczątków. W tym mroku Gaborn zerwał się na nogi i poszukał konia. Krzyknął do swoich ludzi, by natychmiast się wycofali.

Właśnie, pomyślał. O to chodziło cały czas ziemi. Uderz i uciekaj. Cios i odwrót.

- Chodź! - zawołał do zielonej, wyciągając ku niej rękę. Skoczyła przez dzielące ich dwadzieścia stóp i wylądowała tuż obok niego. Gaborn wciągnął ją na siodło.

- Tędy! - pokazał podkomendnym i ruszył, by ratować życie.

Wiedział, że w ciągu kilku chwil bitwa została praktycznie rozstrzygnięta. Teraz ważniejsze były te setki tysięcy ludzi, którzy nie opuścili jeszcze Carris, i dziesiątki tysięcy biegnących już przez równinę.

Raubenowie umykali. W świetle błyskawic było widać, jak ustępują pola. Gaborn czuł, jak maleje zagrożenie z ich strony.

Wyminął dwa żywe potwory i skręcił na północ. Zwyciężył, ale niebezpieczeństwo nie minęło. Zmieniła się tylko jego natura. Ziemia nie polecała mu już atakować. Teraz kazała uciekać. Natychmiast i jak najszybciej. Mijając ludzi i raubenów, czuł, że nie jest już potrzebny pod Carris.

Na wpół oślepiony przejechał przez chmurę kurzu, aż dotarł do bramy Muru Pustkowi. Sam mur leżał częściowo w gruzach. Widać wstrząsy dotarły i tutaj. Niemniej łuk nad bramą sterczał nienaruszony. Będąc już blisko, Gaborn obejrzał się na Carris.

Większość wież i baszt runęła, pozostałe płonęły. Całą dolinę wypełniała kurzawa, martwi ludzie i raubenowie leżeli pospołu na spustoszonej i zrytej równinie. Wielka czarna wieża też się zawałiła, jej szczątki trawił ogień. Wielki czerw chował się w ziemi. Po Kościanej Górze i Pieczęci Nieutulonego Żalu nie został nawet ślad. Nad polami snuła się jeszcze trująca brunatna mgła, błyskawice migotały co chwila w pylistej chmurze.

Rozmiar zniszczeń przerastał wszelkie oczekiwania Gaborna.

Kilkaset jardów dalej wychynał z mroku Binnesman. Też uciekał co koń wyskoczy. Z krzykiem ruszył w kierunku Gaborna, który jednak nazbyt wziął sobie do serca ponaglenia ziemi, by czekać na czarnoksiężnika.

Razem z Jureemem, Erin i Celinorem przejechał przez bramę.

- Panie! - zawołał Pashtuk. - Tam jest!

Raj Ahten zebrał grupę Niezwycięzonych i kazał im szukać Króla Ziemi.

W huczącej burzy próbował dojrzeć cokolwiek przez kurzawę i deszcz, który się właśnie rozpadał. Ziemia zrobiła się śliska, bo z nieba leciało bardziej rzadkie błoto niż deszcz. Wilk wskoczył na wzgórze utworzone z martwych ciał raubenów i spojrzał tam, gdzie pokazywał Pashtuk.

Raj Ahten nigdy nie widział twarzy Gaborna. Ile razy próbował na niego spojrzeć, zawsze miał przed oczami głaz, drzewo albo pustkę. Teraz skupił spojrzenie na koniu, na którym siedziała jakaś ciemnoskóra kobieta trzymająca przed sobą coś na kształt dębowego konaru. Obok jechało jeszcze paru rycerzy, czarnoksiężnik Binnesman gonił ich ze wszystkich sił.

- Gdzie się kierują? - spytał Mahket.

Wydawało mu się dziwne, że Król Ziemi uchodzi zaraz po niemal pewnym zwycięstwie. Pozbawieni dowództwa raubenowie umykali lub miotali się po okolicy.

- Nieważne. Zamierzam ich zabić.

- Ale... O wielki - powiedział Pashtuk. - To twój krewniak... Chce pokoju.

Raj Ahten spojrzał na Pashtuka i ujrzał oblicze wroga.

Nie posiadał się z wściekłości. Gaborn nasyłał nań zabójców, wygnał go podstępem z zamku Longmot, ukradł mu dreny. Przywiódł nawet Saffirę do śmierci, obrócił ją przeciwko niemu, a teraz odbierał mu najwierniejsze sługi.

Wilk zapragnął zemsty.

- Raubenowie uciekają - wyjaśnił, jakby tłumaczył rzecz dziecku. - Niebezpieczeństwo minęło. Możemy zapomnieć o sojuszu.

- Wygrana bitwa nie oznacza jeszcze końca wojny - odparł Pashtuk.

- Uważasz, że raubenowie powrócą? Skąd ten pomysł? Przecież nie możemy tego wiedzieć.

- O wielki, wybacz - powiedział Pashtuk. - Nie chciałbym cię urazić, ale on jest Królem Ziemi. Wybrał cię.

- I ja też przybyłem na Północ, by ratować ludzkość - przypomniał mu Wilk. - Też mogę zniszczyć raubenów.

„Uważaj!” - przekazał w myślach Ahtenowi Gaborn.

Pashtuk uniósł młot i wziął zamach, ale miał nie więcej niż trzy dary metabolizmu i Raj Ahten z łatwością się uchylił. Zaraz potem uderzył Niezwycięzonego pancerną dłonią w ciemie i rozłupał mu czaszkę.

„Uwaga!” - rozległo się ponownie. Wilk obrócił się i ujrzał, jak dwóch Niezwycięzonych za jego plecami sięga po broń. Zamierzali go zamordować, ale walka nie trwała długo. Zaraz potem musiał stawić czoło kolejnej parze.

Raj Ahten nie był głupcem. Wprawdzie Niezwyciężeni nieraz dowodzili swojej bezgranicznej lojalności i zwykli ludzie mieli ich za potężnych wojowników, jednak zawsze któryś mógł się zbuntować przeciwko swemu panu. Musieli zatem być słabsi od niego.

Powalił tych czterech, odnosząc tylko kilka lekkich ran, które zagoiły się, nim ostatnie ciało legło na ziemi.

Staął, dysząc, i spojrzął w świetle błyskawicy na pozostałych ośmiu Niezwycięzonych. Żaden z nich nie śmiał go atakować, ale Ahten pomyślał, że lepiej byłoby i tak ich zabić.

„Zabiłeś tych, których wybrałem” - zahuczał mu w głowie głos Gaborna. „Twoja własna śmierć jest tuż. Po raz ostatni proponuję ci opiekę i nadzieję...”

- Nie wybierałem ciebie! - wrzasnął Raj Ahten, przekrzykując burzę.

Gaborn oddalał się od Carris. Pot zalewał mu czoło. Wkoło wrzały tysiące drobnych starc. Rycerze sir Langleya i marszałka Skalbairna wycinali bez litości wszystkich napotkanych raubenów, którzy nie umknęli w porę lub chcieli walczyć.

Najważniejsze jednak było dla Gaborna to, co się działo z Ahtenem i jego Niezwycięzonymi. W pierwszej chwili myślał, że to raubenowie im zagrażają, że może nawet jakiś mag ich podchodzi, ale po chwili okazało się, że to całkiem co innego. Ostrzegając Wilka, przyczynił się mimowolnie do śmierci kilku ludzi.

Wzburzony i poruszony spróbował raz jeszcze przemówić Ahtenowi do rozsądku, ale ponownie został odepchnięty.

Tego było już za wiele. Nie mógł pozwolić, by Wilk zabijał wybranych. W desperacji nie widział już innego sposobu, jak zaatakować.

Owszem, obawiał się popełnić świętokradztwo. Ziemia dała mu moc wybierania dla ochrony ludzi. Użycie ich w jakimkolwiek innym celu mogło ściągnąć nań karę.

Niemniej, zabijając Ahtena, ochronię wiele tysięcy ludzi od śmierci, pomyślał. Oczami duszy widział, co się dzieje: Raj Ahten stał w otoczeniu Niezwycięzonych, którzy dopiero co byli świadkami zamordowania pięciu swych towarzyszy i palili się do walki.

Bez wątplenia byli potężnymi wojownikami. W przeciwnym razie ziemia nie ostrzegalaby tak gwałtownie przez niebezpieczeństwem grożącym Wilkowi.

Tym razem Gaborn go nie ostrzegł. Wbrew sobie i z najwyższym trudem zostawił go samemu sobie i nakazał wojownikom atakować.

Bez jakiegokolwiek znaku Niezwyciężeni runęli na Raja Ahtena. Wszyscy równocześnie, jakby na rozkaz.

Jego stary przyjaciel Chesuit, najbardziej zaufany sługa, zamierzył się na niego dziobem młota.

Wilk uchylił się i wbił Chesuitowi własny młot w ramię. Potem sięgnął po sztylet, by na bliskim dystansie pokonać pozostałych.

Gaborn wyczuł, jak niebezpieczeństwo osacza Niezwycięzonych, których pchnął do ataku na Raja Ahtena, ale było to bardzo słabe wrażenie. Płomień, który oświetlał mu wnętrze, został

jakby zdmuchnięty i teraz jarzył się tam jedynie czerwonawy knot. Niewiele. Tyle tylko, by móc orzec, że coś się jeszcze tli.

Przerażony Gaborn wjechał na wzgórze i obejrzał się. Wiedział, gdzie szukać Raja Ahtena. Sam go przecież ostrzegał.

Walka rozegrała się zbyt szybko, aby Gaborn mógł wiele z niej dojrzeć. Trzasnęły kości, krew trysnęła na ziemię, zapiekło rozdzierane ciało.

Niewiele widział, ale poczuł, jak Niezwyciężeni po kolei umierają. Wraz z ich śmiercią coś pękło w Gabornie. Kiedyś, w rozmowie z Molly Drinkham, wspomniał, że wraz z odejściem każdego wybranego i w nim coś umiera. Teraz było tak samo, tylko silniej.

Zgony nastąpiły w błyskawicznej sekwencji, a każdy dał znać o sobie niczym dzwon rozbrzmiewający z najwyższej wieży miasta. Oznajmiał nie tylko zgaśnięcie iskry ludzkiego życia, ale także kres nadziei. Gaborn czuł, jak opuszczają go użyte przez ziemię siły.

Przypomniał sobie, co usłyszał w ogrodzie Binnesmana. Kiedyś inne istoty władały tym światem. Byli tothowie, byli śniadzi, a wszyscy oni zniknęli. Ziemia uprzedzała, że pod koniec mrocznej ery ludzkość też może stać się ledwie wspomnieniem.

Ale czy to właśnie moja zdrada ma ją zgubić?

Ziemia dała mu moc i pozwoliła ratować wszystkich, których uznał za godnych ocalenia. On jednak spróbował właśnie zabić jednego z wybranych.

Naruszył porozumienie. Sprzeniewierzył się ziemi. Jego moce słabły i Gaborn czekał z przerażeniem na chwilę, gdy opuszczą go ostatecznie.

W świetle błyskawicy dojrzał, że walka dobiegła końca. Tylko jedna, samotna postać wytoczyła się z kręgu trupów.

Król Ziemi pogonił konia na północ.

- Raj Ahten nadchodzi! - krzyknął do towarzyszy. - Uciekajcie!

66

NALEŻNE PRZEPROSINY

Niezwyciężeni rzucili się na Raja Ahtena z ośmiu stron. Jedni mierzyli nisko, inni wysoko, z przodu albo od tyłu. Atakowali młotami, sztyletami, pięściami, stopami.

Nawet szybki i wytrenowany Wilk nie mógł sobie pozwolić na to, żeby ich zlekceważyć.

Młot zdruzgotał mu prawe kolano. Sztylet przeszedł przez karacnę i przebił płuco. Ostrze miecza przecięło tętnicę szyjną. Pancerna pięść wgniotła hełm i kości czaszki.

Jednak pozostałe rany nie były tak poważne i Raj Ahten przeżył, chociaż przez kilka chwil był jedną nogą na tamtym świecie.

W kilka mgnień ściał tych ośmiu i zsunął się z ciała raubena, by zaleczyć rany. Szyja zablizniła się pierwsza. Gdy ściągnął hełm, wraz z nim odszedł spory kawałek ciała, ale najwięcej cierpienia sprawiało kolano. Młot zgruchotał rzepekę i przesunął odłamki, tak że chociaż całość szybko się wygoiła, nie zrosła się poprawnie.

Gdy Wilk spróbował stanąć na tej nodze, zabolą tak bardzo, jakby kawał żelźca młota został w ranie.

Potem pobiegł jednak na północ, chociaż nie przyszło mu to łatwo. Z tyloma darami winien lecieć praktycznie nad ziemią z szybkością konia o wielu darach. W normalnych warunkach potrafił utrzymać takie tempo przez cały dzień. Może na krótki dystans koń Gaborna

byłby w stanie go wyprzedzić, ale Wilk był niezmordowany i z czasem na pewno dopadłby Gaborna.

Teraz było gorzej, ale i tak przemknął przez spustoszoną równinę, minął Mur Pustkowi i pognał na północ drogą przez wioski Casteer, Wegnt i Złamane Serce, aż odgłosy bitwy zostały w tyle.

Pot łał się z niego strumieniami. Wprawdzie bitwa trwała tylko dwie i pół godziny, jednak dla niego minęło ich prawie piętnaście. Od południa mało co pił, niczego nie jadł. Zakłęcia magini osłabiły go i odurzyły, a teraz był jeszcze poważnie ranny.

W tych warunkach podjęcie pościgu było dowodem bezmyślności. Przecież nie był koniem upasionym na milnie. Od paru tygodni żywił się skapo, bo i trudno było inaczej podczas przekradania się z całą armią na północ, do Heredonu. A potem przyszło mu stoczyć szybką kampanię i uciekać... Nie dość, że schudł, to jeszcze zajęty gojeniem ran organizm domagał się odpoczynku.

Biegł i dręczyło go pragnienie. Wypocił już z siebie chyba połowę wody. Dziesięć mil od Carris nie wytrzymał. Padł obok kałuży przy drodze, by się napić.

Trawa wkoło była brunatna i krucha, jakby słońce ją wypaliło. Nie był pewien, czy bezpiecznie jest pić wodę z kałuży w tej okolicy. Smakowała dziwnie. Jakby miedzią... albo krwią.

Odpoczął dłuższą chwilę, potem znowu zerwał się do biegu. Kilka mil dalej wciąż jeszcze nie widział Gaborna, ale wyczuł wreszcie woń koni.

Pomyślał, że niepotrzebnie włożył karacnę. Ciężała mu coraz bardziej i spowalniała. Chociaż może to ta rana w kolanie... Albo może stracił część sił życiowych. Może coś stało się z darczyńcami? Albo i Król Ziemi rzucił na mnie zakłęcie, uznał. Dziwnie trudno było mu biec.

Po jakim czasie wyczuł w powietrzu zmianę. Pojawiła się chłodna i kojąca woń zielonych, letnich łąk, wyczuł jesienne liście i grzyby rosnące pod drzewami. I jeszcze zapach kwiatów, element tak powszedni, że nie zauważa się go zwykle, chyba że raptownie zniknie.

Dwadzieścia osiem mil na północ od Carris dotarł do granicy zniszczeń. Była bardzo wyraźna. Starczył krok, by przejść do krainy żywych drzew i krążących po nocy nietoperzy. Gdzieś niedaleko zahukała sowa.

Tam też, wśród zieleni, czekał Gaborn. Raj Ahten wciąż nie widział jego postaci, tylko coś na kształt dyni balansującej osobliwie na siodle. Przy nim stało dwoje innych wojowników: książętko w barwach domu monarszego Crowthenu Południowego i młoda kobieta z Fleeds. Z tyłu zebrało się z sześćdziesięciu rycerzy z Heredonu i Orwynne. Wyglądali, jakby przybyli dopiero co z lepszego świata i zatrzymali się, nie mając śmiałości wjechać na spustoszone tereny. Wszyscy dzierżyli w dłoniach łuki, topory i miecze. Raj Ahten dostrzegł w gromadzie także swoją kuzynkę Iomę.

Obok siedział na koniu Wilka Binnesman. W prawej ręce ścisnął laskę, a wkoło jego głowy polatywała cała chmara świetlików. Przy jego rumaku stała dzika, ubrana tylko w niedźwiedzie futro kobieta o skórze zielonej jak owoc awokado. Już wcześniej widział ją od tyłu, ale nie rozpoznał wtedy, co to za istota. Gdyby wiedział, że z Gabornem jest dzika, może nie próbowałby pościgu.

Udając, że nie brak mu pewności siebie, spróbował podejść bliżej, ale z każdym krokiem ogarniało go coraz większe zmęczenie. Ręce, twarz i każdy odsłonięty kawałek skóry zaczął dziwnie drętwieć. Trudno było nawet oddychać, zrobiło się zimno.

Ahten nie miał pojęcia, jakie to zakłęcie go osłabia, aż Binnesman uznał za stosowne się odezwać:

- Zostań, gdzie jesteś. Nie zdołasz oprzeć się tojadowi. Jeszcze krok, a serce ci stanie.

Wilk znał tę roślinę. Kiedyś zerwał ją w dzieciństwie i zaraz poczuł jej działanie na skórze dłoni. Nie było to groźne, ale teraz tojad znajdował się w ręce Strażnika Ziemi. To potęgowało niebывale moc każdego zioła.

- Tak może być - oznajmił Binnesman. - A zatem, Raju Ahtenie, dlaczego idziesz za Królem Ziemi? Czyżbyś postanowił oddać mu w końcu hołd?

Wilk zatrzymał się, cały roztrzęsiony. Nawet z tyloma darami nie mógł walczyć ze Strażnikiem Ziemi, a szczególnie z takim, któremu towarzyszyła dzika i cała kompania Władców Runów. Kobieta uniosła głowę i wciągnęła powietrze.

- Krew tak! - powiedziała z rozmarzeniem i uśmiechnęła się, ukazując lśniące kły.

Raj Ahten nigdy jeszcze nie spoglądał w twarz komuś, kto miałby ochotę go zjeść, ale nie wątpił, że dzika nabrała na niego apetytu.

- Jeszcze nie - szepnął do niej Binnesman. - Ale jeśli spróbuje podejść bliżej, to możesz się z nim zabawić.

Raj Ahten przełknął z wysiłkiem ślinę.

- Masz moje dreny - zwrócił się do Gaborna, celowo lekceważąc czarnoksiężnika. - Chcę tylko dostać je z powrotem.

- A ja chcę z powrotem moich ludzi - odparł Gaborn. - Moich darczyńców z Błękitnej Wieży, mojego ojca i moją matkę, moje małe siostry i brata.

Raj Ahten nie słyszał jeszcze nigdy, by dynia mówiła. Ale słuchał.

- Dla nich jest już za późno - powiedział. - Tak jak nikt nie zwróci mi mojej żony, Saffiry.

- Jeśli to zemsty pragniesz, wyrzyc ją na raubenach - rzekła dynia. - Zresztą to ja miałbym do niej większe prawo. Gdybym chciał, mógłbym dać jej upust choćby teraz.

Raj Ahten uśmiechnął się.

- Co zatem cię wstrzymuje, Gabornie Val Ordenie? Czemu mają służyć te pogrożki? Chcesz mi dać do zrozumienia, że w towarzystwie tylu zbrojnych i czarnoksiężnika wcale się mnie nie boisz?

Raj Ahten dyszał wciąż ciężko, chociaż starał się nie pokazywać, jak silnie działa na niego tojad. Żałował też, że nie widzi twarzy Króla Ziemi. Wiele mógłby z niej wyczytać.

- Nie, nie zamierzam ci grozić. Przybyłem, aby ostrzec cię przed wielkim niebezpieczeństwem. Wyczułem je wczoraj, chwilę przed tym, jak zniszczyłeś Błękitną Wieżę. To naprawdę wielka groźba. Mystarria nie jest jedynym krajem, gdzie raubenowie wychodzą na powierzchnię. Obawiam się, że w drugiej kolejności zajmą się twoimi darczyńcami.

Mówił to całkiem szczerze, chociaż nie miał powodów, aby życzyć Wilkowi dobrze.

- Więc chcesz, bym uciekł do siebie? - spytał Ahten. - Abym zaczął pościg za widmami, podczas gdy ty będziesz umacniał swoje granice?

- Nie. Chcę cię ocalić. Jeśli powrócisz do swego kraju, zrobię wszystko, co w mej mocy, aby ci pomóc.

- Niecałą godzinę temu próbowałeś mnie zabić - zauważył Wilk. - Skąd taka zmiana?

- Wybrałem cię. Nie chciałem używać moich mocy przeciwko tobie, ale nie zostawiłem mi wyboru. Raz jeszcze cię proszę: przyłącz się do mnie.

Zatem chłopak szuka sojusznika, pomyślał Raj Ahten. Obawia się, że sam nie powstrzyma raubenów. Ciekawe, czy dałoby się go nakłonić, aby oddał dreny.

- Rozejrzyj się dokoła siebie, Raju Ahtenie - wtrącił się Binnesman. - Popatrz na ten obraz zniszczenia i śmierci. Poznałeś moc wielkiej magini. Takiego świata pragniesz? A może wolisz żyć wraz z nami wśród zieleni i kwitnienia?

- Darowujesz mi ten kraj? - spytał wyraźnie rozczarowany Wilk. - Szczodry gest, ale sam mogę go sobie łatwo wziąć. Szczególnie gdy ktoś nie potrafi należycie bronić swego.

- Ziemia nakazuje mi, bym cię ostrzegł - powiedział Gaborn. - Śmierć czai się tuż za twoimi plecami, a ja nie mogę chronić kogoś, kto nie chce mojej opieki. Jeśli nie opuścisz królestw Rofehavanu, nie zdołam cię ocalić.

- Ale nie zdołasz mnie też wypędzić - oznajmił Raj Ahten i obejrzał się na Carris, gdzie były jego oddziały.

W tejże chwili Gaborn zmienił ton. Zaczął się śmiać. To nie był chichot, ale głęboki i serdeczny śmiech. Raj Ahten nie pojmował, skąd ta wesołość. Po raz kolejny zaklął w duchu, że nie może go widzieć.

- Cóż, kiedyś się ciebie bałem. Ciebie i twoich Niezwycięzonych - rzucił kordialnie Król Ziemi. - Ale teraz już wiem, że cię pokonałem, Raju Ahtenie. Wystarczy, że wybiorę twój lud. Cały twój lud. Wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci. Wszystkich po kolei, aż wszyscy staną się moimi poddanymi!

Binnesman pojął, o co chodzi Gabornowi, i też wybuchnął śmiechem. Raj Ahten zaś zdreptał, bo pojął, że to prawda. Nie miał już armii pod Carris. Zapewne nie znalazłby w jej szeregach nikogo, kto zgodziłby się podnieść rękę na Gaborna.

- Wracaj do Carris, jeśli chcesz - zaproponował Król Ziemi nagle lodowatym głosem. - Zabiłeś dwunastu Niezwycięzonych, ale ja mam na swoje rozkazy setki tysięcy ludzi. Również twoich. Pokonasz ich wszystkich?

- Oddaj mi dreny - zażądał spokojnie Wilk w nadziei, że może uzyskać coś dzięki swojemu niezwykłemu głosowi.

- Żadnych targów, zaprztańcu! - krzyknął Gaborn. - Daruję ci życie i to będzie wszystko! Odejdź! To rozkaz! Albo posłuchasz, albo i życie utracisz!

Raj Ahten poczerwieniał z gniewu. Serce zaczęło walić mu w piersi. Krzyknął wściekle i zaatakował.

Tuzin rycerzy wypuściło strzały. Próbował opędzić się od nich dłońmi, ale jedna i tak trafiła w zmasakrowane kolano. Ból wrócił z nową siłą.

A chwilę potem była już przy nim dzika. Chwyliła go za karacnę i uniosła w powietrze. Mocarne paznokcie obdzierały go z żelaznych łusek równie łatwo jak nóż czyszczący boki karpia.

Ahten spróbował się bronić. Uderzył kobietę pięścią w grdykę, aż trzasnęły mu kostki w dłoni. Dzika poczuła cios, cofnęła się nawet o krok, ale ze dziwienia jedynie, gdyż nie odniosła najmniejszej rany.

Krzyknęła i nakreśliła prawą dłońią w powietrzu jakiś misterny znak. Taniec jej palców przyciągał spojrzenie, hipnotyzował.

A potem uderzyła Wilka w pierś. Żebra mu trzasnęły, a ich ułamane, ostre końce wbiły się w płuca i serce. Przeleciał, koziołkując, kilkanaście jardów w powietrzu i padł na plecy.

Aż do teraz nie zauważył, że chmury się rozeszły i na niebie pojawiły się gwiazdy. Leżąc nieruchomo, widział ich nad sobą miliony, o wiele więcej, niż zdołałby kiedykolwiek dojrzeć ktoś nie mający wielu darów wzroku. Piękny obraz.

Leżał i dławił się własną krwią, serce uderzało nieregularnie i cała pierś płonęła mu bólem. Pot znowu wystąpił na czoło. Zabili mnie, pomyślał. Jednak mnie zabili.

Krew szumiała mu w uszach, a zielona kobieta znów pojawiła się obok i złapała Ahtena za gardło, gotowa ostatecznie go udusić.

- Poczekaj! - krzyknął Binnesman.

Dzika ledwie na niego zerknęła. Wysunęła ciemnozielony język i przesunęła nim po górnej wardze. Patrzyła łakomie na Ahtena.

- Krew? - spytała błagalnym tonem.

Binnesman podjechał tuż do leżącego, a wraz z nim zbliżyło się kilkoro wojowników. Opuścili już łuki. Na całe szczęście dla Wilka czarnoksiężnik wyrzucił już liście tojadu.

- I co zrobimy, panie? - spytał z udawaną troską. - Dokończymy go?

Raj Ahten zdrowiał zawsze w błyskawicznym tempie. Kości zrastały się, mięśnie wracały do formy i w parę chwil znowu był gotów do walki. Należało zatem tylko zyskać na czasie.

Jednak przeliczył się. Tym razem było inaczej. Czuł, że chociaż jego organizm wygaja rany, z jakiegoś powodu robi to bardzo, bardzo wolno.

Był całkowicie zdany na łaskę tych, którzy jazgotali teraz nad nim niczym ujadające nad zdobyczą ogary.

Myrrima spojrzała na Gaborna. Widziała płonący w jego oku płomień słusznego gniewu. Był cały spięty, gotowy. Zdumiała się, że prosił w ogóle Wilczego Władcę o wybaczenie, proponował mu sojusz.

Ale to już minęło. Teraz Gaborn kipiał gniewem. Myślała, że zaraz zabije Raja Ahtena. Chętnie by go w tym wyręczyła. Nie kłamała, gdy kilka godzin wcześniej wspomniała Iomie, że obecność Gaborna przydaje jej chęci do walki. Za niego gotowa byłaby nawet zginąć. Była szczęśliwa, że spotkała go właśnie tutaj i teraz, gdy dopełnić miał się los Wilka. Żaden człowiek bardziej nie zasłużył na śmierć niż Raj Ahten.

Ale Gaborn, chociaż bolesna to była dla niego decyzja, postanowił inaczej.

- Nie. Zostaw go.

- Panie! - wykrzyknął poruszony Celinor, podobnie jak Erin i wielu jeszcze innych, chociaż księżę odezwał się najgłośniejszym głosem. - Jeśli sam nie chcesz go zabić, odstęp mi ten zaszczyt!

- Ja też o to błagam! - zawołał ktoś z tyłu. Ioma starała się zachować spokój.

- Myślę, że popełniasz błąd, kochany - wycedziła przez zęby. - Niech się nim zajmą.

Myrrima nie posiadała się ze wzburzenia. Widziała ojca Gaborna w zamku Longmot pięć godzin przed upadkiem twierdzy. Odmówił jej wtedy wstępu i odesłał, najpewniej ratując jej życie. Potem, w nocy, widziała go już martwego. Jego i tysiące innych wojowników.

Wspomniała Hobie'ego Hollowella, Wyetha Ablego i paru jeszcze chłopaków z Bannisferre, którzy zginęli w tej bitwie. I rolników, którym zwiadowcy Raja Ahtena pucinali głowy, by przemknąć się niepostrzeżenie przez Mroczną Puszcę. Zabili nawet jej sąsiadkę, dziewięćdziesięcioletnią Annie Coyle, która była zbyt słaba, by dokuśtykać do miasta.

Żona Gaborna straciła w swoim czasie urodę na rzecz Wilka, widziała, jak ten potwór zabija jej matkę, była obecna przy śmierci ojca, który zginął przez Raja Ahtena. Jej armie zostały więcej niż zdziśiatkowane.

A jednak Gaborn miał śmiałość sprzeciwić się zabiciu Wilka.

Patrząc po twarzach towarzyszy, Myrrima widziała, że wszyscy dzielą jej odczucia. Oni też ucierpieli za sprawą toczącego Ahtena zła. Tracili swych władców, braci i rodziców zamordowanych przez nasyłanych z Południa zabójców. Myśl, że Wilk ma pożyć jeszcze chwilę dłużej, była dla nich trudna do zniesienia. Chcieli zemsty.

- Tak jak mnie kochacie, jak miujecie własne życie, błagam was razem i każdego z osobna, byście go oszczędzili - poprosił Gaborn. - Ziemia powiada mi, bym puścił go wolno.

Myrrima, patrząc Gabornowi w oczy, powoli wyciągnęła strzałę z kołczanu i nałożyła ją na cięciwę. Ta pierwsza, którą wystrzeliła, tkwiła ciągle w kolanie Wilka. Trafiła go w kolano, chociaż mierzyła w pierś.

- Tak nie można! - krzyknął sir Hoswell. - Żeby pozwolić mu żyć...

Reszta zaszemrała potakująco. Jednak Gaborn uniósł dłoń i poprosił ich, by umilkli.

- Wybrałem Raja Ahtena w wielkiej desperacji, a potem próbowałem użyć mych sił, by go zabić. Ziemia ukarała mnie za ten grzech. Zmniejszyła swoje wsparcie. Możliwe, że nie będę już mógł wybierać. Wiem zatem, że dla dobra tego świata muszę powściągnąć gniew. Nikt nie pragnie bardziej śmierci Ahtena niż ja... - Zadrżał z bezsilności i jęknął. Zaraz też wraził piętę w boki wierzchowca i pogonił w kierunku Carris, jakby nie dowierzał swojemu opanowaniu. Jeszcze chwila, a mógłby zabić go mimo wszystko... Zatrzymał się pół mili dalej. Tam się obrócił.

- Chodźcie! - krzyknął. - Zostawcie go!

Dzika cofnęła się od Wilka, ale reszta nawet się nie poruszyła. Wojownicy siedzieli w siodłach jak posągi, ich miecze błyszcząły złowrogo. Myrrima ledwie nad sobą panowała.

Raj Ahten usiadł i wyciągnął strzałę z kolana. Dzika rozdarła mu karacnę, a jego strój wisiał teraz w strzępach. Mimo to popatrzył buńczucznie na zebranych wkoło władców.

- Gdybym to ja był Królem Ziemi, oszczędziłbym wszystkim podobnie żalonych gestów - powiedział.

- To oczywiście, kuzynie - stwierdziła Ioma. - Zawsze musisz być we wszystkim najlepszy. Wierzę ci, że byłbyś większy, ale też o wiele bardziej żalony.

Odwróciła się z pogardą od Raja Ahtena.

- Jedziemy - rzuciła do pozostałych, zawróciła konia i ruszyła w ślad za Gabornem. Reszta nie zwlekała. Nikt nie chciał zostać sam z Wilkiem.

Myrrima czekała, żeby odjechać na samym końcu. Nie chciała okazać strachu. Sir Hoswell trwał u jej boku nawet wtedy, gdy Binnesman odwołał dziką.

Gdy wszyscy już się oddalili, Myrrima spojrzała przenikliwie na Ahtena. Wciąż siedział na ziemi. Uniósł wyczekująco głowę.

- Chciałabym ci podziękować za zwrot strzały - powiedziała, pokazując na drzewce, które trzymał ciągle w dłoni. Niech wie, że to ona go trafiła.

Raj Ahten dźwignął się na nogi i podał jej strzałę.

- Nie zwykłem odmawiać pięknym damom - dodał zalotnym tonem.

Myrrima wzięła strzałę i wciągnęła w nozdrza zapach Wilka na wypadek, gdyby przyszło jej kiedyś tropić drania.

- A poza tym pragnę przekazać ci tylko tyle, młoda kobieto, że wilczyca z ciebie i dziwka - dodał, po czym obrócił się ku południowemu zachodowi i ruszył przez spustoszoną równinę.

Myrrima nie otarła nawet strzały z krwi, tylko wsunęła ją do kołczanu. Zaraz zawróciła konia i pogoniła za pozostałymi. Odjechała, zostawiając Ahtena żywego.

Nie domyślała się jeszcze, jak bardzo będzie tego żałować.

67

NA WYPALONEJ ZIEMI

Po bitwie Averan została z Borensonem. Niebawem zjawili się kilkoro uzdrowiaczy z Carris, ale zerknęli tylko na jego ranę i odeszli w poszukiwaniu innych, ciężiej poszkodowanych.

Dziewczynka mogła jedynie zgadywać, co przydarzyło się roślemu rycerzowi. Jakaś kobieta zaproponowała mu schronienie na noc, ale on odwarknął z irytacją, że nie chce. Medycy powiedzieli, że nie umrze od obrażeń, jednak ciągle leżał skulony na ziemi.

Averan zdarła opończę z jakiegoś zabitego i otuliła się nią przed chłodem. Rozglądała się za zieloną kobietą, ale nigdzie jej nie widziała. Może nawet Wiosna zginęła. Dziewczynka niepokoiła się o nią coraz bardziej i wciąż nasłuchiwała, czy nie dobiegnie jej odgłos jej stóp na błotnistej ziemi.

Godzinę po zachodzie słońca poczuła głód, wzięła więc nóż Borensona i tak uzbrojona ruszyła pomiędzy martwymi ciałami raubenów w kierunku Carris w poszukiwaniu kolacji.

Miasto ciągle płonęło i blask pożaru pozwalał łatwiej znaleźć drogę. Na grobli ujrzała tysiące ludzi. Żołnierze z Carris, Niezwyciężeni i piechota z Indhopalu wspólnie oczyszczali drogę z padłych raubenów. Spychali truchła do jeziora i spieszyli się z obawy, że potwory mogą powrócić pod osłoną ciemności. Inni siedzieli przy ogniskach i snuli opowieści, tu i ówdzie słyhać było wybuchy śmiechu. Chwilowo panował między nimi pokój, chociaż Averan nie przypuszczała, by zrodził się z tego jakiś trwały sojusz.

Mimo pozornego opanowania, nastroje nie były najlepsze. Ten i ów rozsiewał pogłoski, że Król Ziemi zginął albo że porzucił ich wszystkich. Inni powtarzali z niepokojem, jak to pośrodku zmagających przestali nagle słyszeć głos swojego władcy.

Averan spróbowała odszukać płomień Króla Ziemi, ale chociaż zaciskała mocno powieki, nigdzie nie mogła go dojrzeć.

Czyli naprawdę zginął, pomyślała.

U wjazdu na groblę wojownicy wyciągnęli właśnie częściowo z jeziora ciało wielkiego raubena. Czarną i moką skórę pokrywały płonące jeszcze własnym ogniem runy, a szczęki podparł ktoś drągiem, aby dobrze było widać, jaka to wielka sztuka.

- Co to jest? - spytała Averan, gdy mężczyźni przystanęli, by odsapnąć.

- Wielka magini, a raczej to, co z niej zostało - odparł jeden z nich. - Wyłowiliśmy ją z jeziora. Ale uważaj, jeszcze się rusza, może cię ugryźć! - rzucił ze śmiechem. Żart był kiepskiej próby, bo nawet dziewięcioletnia dziewczynka widziała, że potwór jest już całkiem martwy.

Zauważyła też, że ten właśnie rauben jest chyba największy i najstarszy spośród wszystkich, które zginęły tego dnia.

Po chwili wspięła się do paszczy. Mężczyźni wyrazili krzykami swoje uznanie.

- Aleś ty odważna! - stwierdził któryś, Averan zaś wsunęła się głębiej, aż znalazła właściwe miejsce w miękkim podniebieniu. Prędko, żeby nikt nie zdołał jej powstrzymać, wbiła nóż.

Nic innego nie mogło zaspokoić jej głodu.

Gdy wypłynęła krew, dziewczynka sięgnęła jak najgłębiej i wyrwała garść tkanki mózgowej. Rauben był tak wielki, że jeszcze nie ostygł. Szara masa parowała w dłoni.

Averan pożerała ją przez dłuższy czas, a potem położyła się oszołomiona napływającymi wizjami. Wreszcie dowiedziała się czegoś o magii Jedynego Prawdziwego Mistrza. To, co zrozumiała, przeraziło ją do cna. Najchętniej zaraz by komuś wszystko opowiedziała, najlepiej Królowi Ziemi, jednak gdy przymknęła oczy, wciąż nigdzie nie mogła go znaleźć.

- Ejże, mała, co ty tam robisz?! - zawołał ktoś.

Averan uniosła głowę. Wciąż ścisnęła krwawy strzęp mózgu w dłoni. Wytarła rękę o język raubena.

Tuż przed otwartą paszczą stał mężczyzna z pochodnią. Nie rycerz, raczej jakiś chłopak z miasta.

- Nie możesz tego jeść! Poczekaj, przyniosę ci coś.

Był tak przerażony jej poczynaniami, że Averan wołała nie zbliżać się do niego za bardzo. Chyba wziął ją za obłąkaną i mógłby próbować ją zamknąć w klatce.

Złapała nóż w obie dłonie i uniosła je wysoko, aby dobrze przyjrzał się broni.

- Cofnij się! - krzyknęła.

- Ależ proszę - mruknął chłopak, robiąc ostrożnie kilka kroków do tyłu. - Nic ci nie zrobię. Chciałem tylko pomóc.

Averan zerwała się, wyskoczyła z paszczy i odbiegła czym prędzej, klucząc pomiędzy ogniskami.

Gdy dotarła do końca grobli, obróciła się i krzyknęła do obozujących tam rycerzy:

- Raubenowie nie wróć, w każdym razie nie tutaj i nie dzisiaj! Nie rozumiecie, że wygrali bitwę?! Zniszczyli cały krwawy metal, jaki krył się w ziemi, i nie mają już tutaj po co wracać!

Popatrzyli na nią jak na wariatkę.

- Naprawdę! - dodała. - Jedyne Prawdziwy Mistrz przygotowuje wiele Pieczęci Nieutulonego Żalu. Jeśli go nie powstrzymacie, nigdzie nie będziecie bezpieczni!

Ale nie wierzyli jej. Kto by tam słuchał postrzelonej dziewczynki. Obróciła się i uciekła.

- Pani, chciałabym udać się do Carris - powiedziała Myrrima. - Tam też na pewno jest wielu rannych, którymi trzeba się zająć.

Tam też... tak wielką ranę Ioma ujrzała dziś w Gabornie, że pomniejsze nie robiły już na niej wrażenia.

- Oczywiście - zgodziła się Ioma, zwalnając dziewczynę chwilowo ze służby.

Gaborn spojrział w blasku gwiazd na Myrrimę.

- Twój mąż znajduje się prawie jedną trzecią mili na północny zachód od miasta - powiedział. - Żyje, ale od dłuższego czasu się nie poruszył. Żałuję, że nie mogę iść z tobą. Muszę... Muszę porozmawiać z ziemią, a tutaj gleba jest martwa, bez mocy.

Spojrzał na północ, jakby tam właśnie zamierzał zaraz pojechać, i nie dodał już nic więcej. Myrrima wyczytała w jego głosie coś dziwnego, co kazało jej się domyślać, że lepiej będzie, jeśli przygotuje się na najgorsze. Nie wyobrażała sobie, co mogłoby powalić potężnego Borensona. Jakaż to ranę odniósł, że leży bez siły? Może ma zgruchotane wszystkie kości? pomyślała. A może skręcony kark?

- Jedźcie z nią - zwróciła się Ioma do pozostałych. - Jest naprawdę wielu rannych i musimy zrobić dla nich wszystko, co w naszej mocy.

- Ja pojadę z wami na północ - powiedziała Erin Connal do Iomy. - Mam kilka spraw do załatwienia w moim kraju.

Gaborn został sam z Iomą, Binnesmanem i jego dziką, Juremem, Erin i Celinorem, a reszta kompanii skierowała się na południe. Przez jakiś czas jechali w milczeniu, aż oddalili się poza zasięg najczulszego nawet słuchu.

- I co teraz zrobimy? - odezwał się pewien władca z Orwynne.

- To, co trzeba - odparła Myrrima, by przerwać krępującą ciszę, która zapadła po pytaniu. - Będziemy walczyć.

- Ale co z tymi mrocznymi czasami, które mają nadejść? Tymi, o których mówił Gaborn. Powiada, że wybiera nas, byśmy wraz z nim przetrwali najgorsze.

- I tak dzieje się coraz gorzej - mruknął sir Hoswell.

- Jeśli zostaniemy przy Królu Ziemi, będzie mógł nas ostrzegać przed niebezpieczeństwem - dodał ktoś niespokojnie.

Myrrima spróbowała wyobrazić sobie swoją przyszłość u boku Gaborna. Wilcza pani wiodąca kilka setek podobnych jej mężczyzn i kobiet kryjących się po lasach i walczących, by przetrwać najazd raubenów.

Nie, lasy to nie jest dobry pomysł, pomyślała, patrząc wokoło, na zalatujący ciężkim odorem zgnilizny, spustoszony krajobraz. Już lepiej będzie chować się pod kamieniami. W jaskiniach. Tak, zrobimy, co będzie trzeba, poprzysięgła sobie w duchu.

Zgrzytnęła zębami i ściągnęła wodze. Ponieważ jechała na przedzie, pozostali poszli w jej ślady i spojrzeli na nią wyczekująco.

- Od niedawna jestem wilczycą - oznajmiła i popatrzyła po ich twarzach, czekając na reakcję. Znalazła jedynie żal. - Nikt nie zjawi się cudownie, aby nas uratować. Ale dreny Raja Ahtena leżą schowane w królewskich grobowcach w Heredonie i może z ich pomocą zdołamy się uratować.

Mężczyźni nie wyglądali na przekonanych.

- Jak mamy to rozumieć? - spytał jeden. - Czy chcesz zostać naszą panią? To chyba byłaby zbyt arogancja...

Myrrima uniosła wysoko łuk, by wszyscy ją zauważyli.

- O to nie proszę. Nikt nie może oczekiwać aż takiego zaszczytu - powiedziała. - Wyrzekam się wszystkich królów aż do chwili powrotu Króla Ziemi. Ale wam ślubuję wierność. Ślubuję wierność całemu rodzajowi człowieczemu. Ślubuję ją sercem, duszą i umysłem! Gdziekolwiek ktoś stanie w potrzebie, zjawię się walczyć u jego boku. Wykorzystam do tej walki wszystko, co tylko się da: dary psów, nawet własne zęby i paznokcie, jeśli będzie trzeba. Ślubuję wam wierność dla zachowania ludzkości i dla ziemi!

Spoglądali na nią zaskoczeni. Właśnie ogłosiła się wolnym rycerzem i przyrzekła chronić ludzkość. Chociaż grała w niej krew, nie oczekiwała, by ci mężczyźni poszli za nią. Wszyscy byli potężnymi Władcami Runów, wysoko urodzonymi rycerzami, którzy długie lata spędzili na

służbie władców Heredonu, Fleeds i Orwynne. Jednak ze zdumieniem ujrzała, jak jeden po drugim dobywają broni i unoszą ją ku niebu.

- Za ludzi! - krzyczeli. - Za ziemię!

I tak pośród mrocznej nocy zrodziło się Wilcze Bractwo.